

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

DŁUGIE ŻYCIE

WSPOMNIENIA

TOM DRUGI

Kolekcja
Emilia Kornasła

WARSZAWA 1947

KSIEGARNIA „BIBLIOTEKA POLSKA” SP. Z O. O.

B P
W

W. Rogowski

DŁUGIE ŻYCIE

WSPOMNIENIA

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

DŁUGIE ŻYCIE

WSPOMNIENIA

T O M D R U G I

Kolekcja
Emila Kornasia

W A R S Z A W A 1947

KSIEGARNIA „BIBLIOTEKA POLSKA“ SP. Z O. O.

CM KKK 326718

PIERWSZE
WYDANIE
1947

WSZELKIE PRAWA
ZASTRZEŻONE

ZAKŁADY
GRAFICZNE
POD ZARZĄDEM
PAŃSTWOWYM
W TORUNIU
UL. RABIAŃSKA 15/17
E 13908

sygn 317063/II

PROJEKT OKŁADKI
I I I I T O M U
W S P O M N I E Ń
S T E F A N A
K R Z Y W O S Z E W S K I E G O
„DŁUGIE ŻYCIE“
W Y K O N A Ł A
E W A S I E D L E C K A

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 56 4 CM
...../201/.....

Prezydent Wojciechowski.

Nowy prezydent Rzeczypospolitej, ukończywszy gimnazjum filologiczne, urywał łeb hydrze na uniwersytecie warszawskim. Był żarliwym zwolennikiem „Głosu”, „wczytywał się w artykuły i szkice socjologiczne J. K. Potockiego (Mariana Bohusza). Na wszechnicy warszawskiej więcej wówczas politykowano, niż się uczono. W swych „Wspomnieniach” prez. Wojciechowski wyznaje, że pierwszy rok w uniwersytecie zmarnował. Zdaje się, że i następne nie były wydajniejsze. Młodzież zajmowała się „wyrrywaniem z rąk niedołącznych sztandaru narodowego”, „wyłamywaniem się ze skrupy egoizmu i sobkostwa i obliczaniem sił na zamiary”. Rozpalone mózgi studenckie burzyły się przeciw wszelkim objawom ugodowości. Podczas przedstawień w Warszawie trupy rosyjskiej, celem odstraszenia publiczności polskiej, zapowietrzano widownię Teatru Wielkiego asafetydą. Gdy to nie skutkowało dostatecznie, paniom wychodzącym z teatru oblewano suknie kwasem siarczanym. Kilka pism warszawskich potępiło owe wybryki wspólnym oświadczeniem. Młodzież, uzurpującą sobie władzę instancji zwierzchniej, postanowiła redaktorów tych pism ukarać kijami. Wojciechowskiemu przypadł mandat obicia redaktora „Słowa”, Antoniego Donimirskiego. Towarzyszył mu inny kolega. Na szczęście Donimirskiego nie zastali. W kilkanaście lat później Wojciechowski czuł się szczęśliwym, że Towarzystwo Kooperatystów, którego był głównym twórcą, pozyskało cennego członka w osobie Antoniego Donimirskiego, redaktora warszawskiego „Słowa”... Donimirski ułatwił uzyskanie pozwolenia na zwołanie pierwszego krajowego zjazdu stowarzyszeń spółdzielczych w r. 1908-m i jednogłośnie wybrany był na przewodniczącego.¹⁾

¹⁾ W rozmowie z jednym z dyplomatów francuskich Wojciechowski, już jako prezydent Rzeczypospolitej, tak tłumaczył swą niedostateczną biegłość w języku francuskim:

— Chciałem nauczyć się lepiej, lecz wasza policja nie pozwoliła mi pozostać dłużej w Paryżu. (Francesco Tommasini „Odrodzenie Polski”).

W swych „Wspomnieniach” jednak prez. Wojciechowski przyznaje, że jego wymowa angielska wywoływała również nieporozumienia. Gdy w Londynie chciał kupić papieru (paper), w sklepie rozumiano, że żądał pieprzu (pepper).

W czerwcu 1892 r. Wojciechowski, szpiegowany bezustannie przez tajną policję rosyjską i zagrożony uwięzieniem, przerwał mało owocne studia, przedostał się przez zieloną granicę do Otłoczyna, stamtąd do Zurychu i Paryża.

W paryskiej drukarni polskiej Reiffa jał uczyć się zecerki, która przez dłuższy czas miała dostarczać mu środków na bardzo ubogie utrzymanie.

Ambasada rosyjska w tym właśnie momencie zaniepokoiła się bujnością polskiej młodzieży socjalistycznej w Paryżu (która zresztą kontynuowała potępieńcze swary dawnych emigrantów). Ribot uległ naciskowi. Izba deputowanych znaczną większością głosów pochwaliła oświadczenie rządu, iż „nie dopuści, aby na terytorium francuskim knuto intrygi przeciw obcemu mocarstwu”. Zaaresztowano garść przybyszów z Polski, znalazł się w ich gronie i Wojciechowski. Po sześciu dniach odstawiono go wraz z Edwardem Abramowskim do Calais, skąd przedostali się do Londynu.¹⁾ Tutaj przyjął ich Witold Jodko, umieścił w suterynie mieszkania Mendelsonów. Wojciechowski znalazł zajęcie przy składaniu naczelnego organu Polskiej Partii Socjalistycznej, „Przedświtu”.

Jakiś przyjaciel Rosji zgłosił z powodu ich przybycia interpelecję w Izbie Gmin. Przedstawiciel rządu odpowiedział, że nie dostrzega powodu, dla którego Anglia miałaby odmawiać prawa azylu. Jeśli przybysze popełnią przestępstwo, zajmą się nimi sądy.

Od tego czasu Wojciechowski stał się „Latającym Holendrem” Polskiej Partii Socjalistycznej. Bywał często wysyłany do kraju i do ośrodków emigracji polskiej w Cesarstwie, przewoził bibułę, organizował drukarnię „Robotnika”. Gdy Piłsudski redagował to pismo, Wojciechowski składał je, odbijał na maszynie ręcznej, trudnił się kolportażem.

W toku wędrówek po kraju ożenił się i do Anglii powrócił z żoną. Odtąd misje partyjne zaczęły mu doskwierać: budziły łatwo zrozumiałe niepokój w młodziutkiej małżonce. Wojciechowski znalazł pracę w drukarni grupy tołstojowców, zajmującej się w Anglii pod kierownictwem Czertkowa drukiem pism Tolstoja, które były zakazane w Rosji przez cenzurę.

Warunki życia jednak w Anglii były trudne, dokuczała coraz więcej tęsknota za krajem.

Wojciechowski powrócił na stałe do Warszawy z początkiem r. 1906. W akcji rewolucyjno-bojowej Piłsudskiego już udziału nie

¹⁾ Stanisław Wojciechowski: „Moje wspomnienia”.

brał. Poświęcił się wyłącznie, wraz z Mielczarskim, działalności spółdzielczej. W tej dziedzinie położył zasługi bezsporne.

Podczas wojny światowej, na emigracji w Rosji, Wojciechowski dał się znów pociągnąć polityce, zmienił wszakże front. Dawny nieprzejednaniec narodowy i społeczny wszedł w kontakty z Narodową Demokracją, zbliżył się do Komitetu Narodowego, którego prezesem był ugodowiec nad ugodowcami, Zygmunt hr. Wielopolski. Aprobował wybór przedstawicieli Komitetu na zagranicę: Dmowskiego w Londynie, Piltza w Paryżu, Maur. hr. Zamoyskiego w Rzymie. Drażniła go młodzież radykalna, grupująca się w zrzeszeniach, które sympatyzowały z akcją legionową, przeciwstawiał się zabiegom Więckowskiego, Skąpskiego i Lednickiego, niechętny był Radzie Regencyjnej. W kraju przyłgnał do ludowców.

Prez. Wojciechowski zawsze przy tym był człowiekiem wielkiej zacności, patriotą gorącym i pobłażliwym. Jako minister spraw wewnętrznych i później — prezydent Rzeczypospolitej, objawiał wielką pracowitość. Twórczym umysłem politycznym w większym stylu nie był.

Po wyborze, marsz. Piłsudski opuścił pałacyk belwederski i zamieszkał w swym skromnym domku w Sulejówku. Do Belwederu wprowadzili się państwo Wojciechowscy.

Przyjęcia czwartkowe u pani prezydentowej nacechowane były pocziwym mieszczańskim prowincjonalizmem. Gospodarstwo wydawali się zakłopotani hurmą znakomitych gości, pani była onieśmielona i wskutek tego nieco odęta, prezydent nie bardzo wiedział, co miał robić. Odzyskiwał swobodę i humor, gdy w saloniku pojawiał się stary Frenkiel lub wiecznie młodociany Osterwa. Frenkiel przynosił świeżo u Lourse'a upieczoną anegdotę, „Julek” Osterwa swój wdzięk osobisty. Prezydent go do Spały zapraszał, od pracy w „Reducie” odrywając. Za kulisami teatrzyku mówiono:

— Dlaczego dyrektor „Reduty” tak rzadko wystawia nowe sztuki?

— Bo myśli o Spale (ospale).

Prez. Wojciechowski był myśliwym zamiłowanym, lecz niezbyt wprawnym. Zyskując możliwości łowieckie na terenach państwowych, zwolna nabierał doświadczenia i pewności strzału. Zdarzało się atoli, że raz po raz chybiał, i to do grubszego zwierza.

W otoczeniu szeptano:

— Prezydent ułaskawił dzisiaj dwa dziki.

Znając moje upodobania myśliwskie, prez. Wojciechowski witał mię koleżeńskim pozdrowieniem:

— Co słyszeć w kniei?

Zawsze miałem ochotę odpowiedzieć, że kazała mu się kłaniać. Bo knieja tym się właśnie wyróżnia, że panuje w niej niezgłębiona cisza.

Dyrektorem kancelarii prez. Wojciechowskiego został Konstanty Lenc. Prezydent poznał go bliżej, gdy sam był ministrem spraw wewnętrznych, a Lenc w tym ministerstwie wyższym urzędnikiem. Konstanty Lenc zasługiwał na zaufanie, posiadał bowiem charakter lojalny, był prawnikiem doświadczonym. Polityką nigdy przedtem się nie zajmował, kompetencji w tej dziedzinie nie posiadał. Znał „Warszawkę” od strony Resursy Kupieckiej i Lourse’a, dbał przede wszystkim o własny spokój, i był równie namiętnym zbieraczem plotek, jak jego starszy brat, Władysław — marek pocztowych.

Gen. Sikorski, szukając zgody wewnętrznej, spotkał się w Zakopanem z Witosem, Ratajem, Seydą i Thuguttem. Nic z tego zjazdu nie wyszło. Wład. Grabski wypracował plan gospodarki skarbowej: szanse naprawy widział w podwyższeniu podatków, w eksploatacji państwowej monopolów i należących do skarbu przedsiębiorstw, we wprowadzeniu waluty złotej, w oszczędności w wydatkach i w ofiarności obywateli.

Marszałek Foch w Warszawie.

Przed Świętem Narodowym przybył do Warszawy wielki wódz francuski, marsz. Foch, aby reprezentować Trzecią Republikę na uroczystościach, związanych z odsłonięciem pomnika ks. Józefa Poniatowskiego na placu Saskim. Foch interesował się nie tylko naszą wojskowością, ale i ogólnym stanem kraju. Gen. Sikorski zobrazował mu trudności, z jakimi odradzająca się Polska musiała walczyć, — wysiłki, jakie podejmował. Powołał się na opinię lorda Curzona, że Polska czyniła postępy i kończył swój referat uwagą, że czas pracuje na korzyść Polski.

Marsz. Foch odpowiedział z uśmiechem:

— *C'est bien. Mais il faut aider le temps.*¹⁾

¹⁾ To dobrze, lecz należy czasowi dopomagać.

...Spodziewano się ujrzeć wielkiego wodza w kapiącym od złota mundurze, jak kiedyś prezentował się Murat. Bohater wojny światowej okazał się starszym panem niewysokiego wzrostu, szerokim w ramionach, — nosił szare ubranie cywilne przeciętnego burżuja. Jego szaro-niebieskie oczy patrzyły mądrze, pod wąsem błąkał się łagodny uśmiech.

Autorytet jego sugestii był nieodparty. W r. 1917-m angielski generał French zdecydował się ewakuować Ypres. Sztab francuski gotował się do opuszczenia Arras. Na teren walki przybył Foch.

Wszedł mocnym krokiem do sali, gdzie rada wojenna omawiała plan odwrotu i zaordynował:

— Panowie! Ani chwili do stracenia! Atakujemy! Idziemy naprzód!

Zgromadzeni generałowie zapomnieli o powziętych postanowieniach. W parę godzin później sprzymierzone armie przechodziły do ofensywy.

A ów dzień, kiedy cofała się ku granicy francuskiej armia belgijska...

Foch pędził samochodem. W dali na szosie pokazał się inny samochód, mknący w jego stronę. Foch zatarasował drogę, zmuszając obcą limuzynę do zatrzymania się. W limuzynie siedział oficer belgijski wysokiej rangi i młoda jeszcze pani w kosztownym futrze, — oboje bezgranicznie znękani.

Oficer poznał marszałka, otworzył drzwiczki limuzyny. Foch zbliżył się z szacunkiem.

— Sire, rzekł, król nie opuszcza swego państwa w niebezpieczeństwie. Armia belgijska powinna bić się na ziemi ojczystej.

Król Albert podał mu w milczeniu rękę. Królowa przyłożyła chusteczkę do ust, by powstrzymać łkanie.

Foch mierzył parę królewską mądrymi oczyma.

Król Albert nagle rzucił rozkaz szoferowi.

— Zawracać.¹⁾

...Przenikliwy umysł marsz. Foch'a sięgał daleko. Gdy w listopadzie i grudniu 1918 r. dłużyły się tarcia o warunki zawieszenia broni i pokoju, marsz. Foch złożył na ręce szefa rządu francuskiego,

¹⁾ Anegdotę tę puścił w obieg Stefan Lausanne w „Le Matin”. Lecz król Albert sprostował ją listem do redakcji, twierdząc, że armia belgijska nie zamierzała się cofać. Szef sztabu belgijskiego rozważał wprowadzić taki projekt, król jednak nie chciał się nań zgodzić.

Jerzego Clemenceau, memoriał, w którym tak pisał o świeżo na gruzach cesarstwa powstałej socjalistycznej Republice Niemieckiej:

„Republika Niemiecka opiera się na tych samych zasadach centralizacji władzy i militarystyki, co było cesarstwo. Tak samo dźwizgi w swym ręku kraj, takie samo będzie stanowić niebezpieczeństwo dla pokoju. Natchnie całą Rzeszę duchem pruskim, pruskimi metodami militarystycznymi. Ludność tamtejsza nawykła do rządów autorytatywnych. Poszczególne państwa i państewka niemieckie, jednocząc się, zyskają na sile”.

Marsz. Foch przestrzegał, — doradzał twarde klauzule zapobiegawcze. Niestety, przeciwiał się jego wywodom nie tylko Lloyd George, lecz — najwięcej — sam Clemenceau, który uważał, że sprawą generałów jest wojna, zawieranie pokoju — należy do cywilnych mężów stanu.

Dalszy bieg dziejów przyznał teżom marsz. Foch'a stuprocentową słuszność.

.

Na pewnym zebraniu w Warszawie marsz. Foch mówił:

— Zdobądźcie się na zgodę wewnętrzną. Pamiętajcie, że tylko ten naród godzien jest wolności, który potrafi nieść dla niej ofiarę i poświęcenia. Pracujcie, umacniajcie się. Łatwiej bywa niepodległość zdobyć, niż ją utrzymać. Tylko silne państwo, oparte na dzielnym wojsku, budzi w sąsiadach szacunek.

W Warszawie krążyła taka opowieść:

Marszałek Foch siedział w gabinecie i pisał listy, gdy zaanonsowano pułk. Wieniawę Długoszowskiego z meldunkiem od marsz. Piłsudskiego. Foch kazał wprowadzić.

Wieniawa, Długoszowski, w galowym mundurze, wszedł krokiem bojowym i tak gorliwie złożył ukłon wojskowy, że zadzwoniły ostrogi, zabrzęczała szabla.

Foch, nie wstając z fotela, wyciągnął rękę.

— Colonel, — rzekł, uśmiechając się pobłażliwie, *vous m'avez fait peur.*¹⁾

...Ledwie marsz. Foch opuścił Warszawę, nowa koalicja sejmowa wyraziła rządowi gen. Sikorskiego votum nieufności. Gabinet podał się do dymisji.

¹⁾ — Pułkownik! przeraził mnie pan!

Witos — premierem.

Na czele nowego gabinetu stanął Witos, tekę ministra Spraw Zagranicznych otrzymał Marian Seyda, Skarb — na krótko został przy Wł. Grabskim. Sprawy wewnętrzne przypadły zatem adwokatowi małopolskiemu — Kiernikowi, mężowi zaufania Piastowców, Oświata — Głabińskiemu, Sprawiedliwość — Stan. Nowodworskiemu, Sprawy Wojskowe — gen. Osińskiemu, Rolnictwo — Jerzemu Gościckiemu, Praca — Ludw. Darowskiemu.

Do władzy doszli narodowi demokrati i piastowcy. Uwzględnione zostały interesy personalne stronnictw.

W połowie czerwca miała zjechać do Warszawy królewska para rumuńska, aktualnym problemem stał się strój premiera na uroczyste przyjęcia. Wódz ludowców zdawał sobie sprawę, że przedstawicielowi chłopów nie należało przebierać się we frak. Pozostać w koszuli chłopskiej i kurtce — nie wypadało. Kurtkę zastąpiła szamerowana czamara.

Marsz. Piłsudski, na prośbę prez. Wojciechowskiego, przybył z Sulejówka do Warszawy. Nikt lepiej od niego nie reprezentował nowej Polski.

To było ostatnie ustępstwo ze strony marszałka. Wnet potem opuścił Sztab Generalny, odsunął się od wszelkich czynności państwowych. W dniu 3 lipca 1923 r. w sali Malinowej hotelu Bristol odbył się na jego cześć bankiet pożegnalny.

Zgromadzili się liczni przedstawiciele inteligencji postępowej i radykalnej. Marsz. Piłsudski wygłosił przemówienie, w którym rozprawił się ze swymi przeciwnikami. Piętnował ich złą wolę, brak uczciwości w walce, sobkostwo. Słowa były twarde i ciężkie, jak kamienie, piekły, jak żagwie płonące.

Były świadectwem wzburzenia, które nurtowało rozgoryczoną i zbolalą duszę.

...Przeciwnicy Piłsudskiego mniemali, że pozbyli się go na zawsze. Mylili się. Piłsudski nie był zdolny do rezygnacji.

Inflacja, drożyzna, paskarstwo.

Marka polska spadała tak, że niedawnym milionerom — groził niedostatek. Ci, co spekulowali na zniżkę, zarabiali miliony. Ceny produktów pierwszej potrzeby podnosiły się z godziny na godzinę.

Jeśli stosowano represje, towar znikał. Paskarz był nieubłagany; honor go nie krępował, więzienia się nie lękał.

W obawie przed dewaluacją, oszczędność stawała się marnotrawstwem, rozrzutność — przezornością.

Pocieszano się dowcipem, że jeśli świat powstał z chaosu, to może również chaos odrodzi Polskę.

Giełda szalała. Kursy akcji skakały w tempie nieprawdopodobnym. Przy większej zwyczajnie restauracje stołeczne wypełniały się rozradowanymi gośćmi. Pękały butelki szampana, w dancingach tańczono do białego dnia. W klubach i klubikach tryumfował poker i bakarat.

Kryzys finansowy stawał się kryzysem obyczajowym. Energia tych, co do władzy dochodzili, wyczerpywała się w wysiłkach, żeby się przy władzy utrzymać.

Wład. Grabski rozumiał, że bez dobrej polityki nie ma dobrych finansów. I odwrotnie. Tedy ustąpił. Skarb przejął Linde, lecz wprędce musiał zrzec się teki; przypadła Wład. Kucharskiemu. Żadnej poprawy! Generał Szeptycki zastąpił gen. Osińskiego. Jako minister wojny nie umiał sobie radzić. Ministrem Oświaty został Stanisław Grabski, Rolnictwa — Alfred Chłapowski.

Wieś lepiej się rządziła niż państwo. Urodzaj w r. 1923-m był obfity. Cały obszar Rzeczypospolitej pokryły niezliczone sterty zboża, stogi siana i koniczyny. Na rżyskach i łąkach pasły się liczne stada bydła.

Żywny kraj pracował samorzutnie nad odzyskaniem zamożności.

Jan Dąbski z grupą swych zwolenników oderwał się od Stronnictwa Ludowego i przystąpił do Wyzwolenia. W Krakowie tłum stał się krwawo z wojskiem.

Witos spróbował ostatniej stawki: zwrócił się o ratunek do dwóch ludzi, których popularność w kraju była niewątpliwa: do Romana Dmowskiego i do Wojciecha Korfanteo.

Dmowski zastąpił w M. S. Z. Seydę, którego w kołach dyplomatycznych nazywano „le ministre étranger aux affaires”. Korfanty wszedł do gabinetu jako wicepremier.

Pomoc przyszła zbyt późno. Sytuacja finansowa stała się rozpaczliwa! W grudniu 1923 r. za jednego dolara płacono 6.400.000 marek!

Gabinet Witosza podał się do dymisji.

Klub polityczno-społeczny.

W inteligenckich kołach Warszawy, trzymających się z dala od walk partyjnych, dawał się odczuwać brak środowiska, gdzieby ważniejsze aktualne sprawy państwowe mogły być roztrząsane w sposób rzeczowy i kompetentny, — gdzieby obywatel, interesujący się żywiej zagadnieniami państwowymi, mógł urabiać sobie rzetelną opinię. W tym celu założony został Klub Polityczno-Społeczny. Klub miał zbliżać obywateli różnych poglądów politycznych, społecznych i gospodarczych, ale przejętych wspólną troską o dobro ojczyzny.

Do Rady Naczelnej Klubu weszli: Stanisław Bukowiecki, Witold Chodźko, Józef Ewert, Józef Karśnicki, Tomasz Kociatkiewicz, Antoni Kostanecki, Jan Kucharzewski, Wacław Makowski, Ignacy Łysakowski, Józef Mikułowski-Pomorski, Antoni Ponikowski, Leopold Skulski, Artur Śliwiński, Jan Kanty Steczkowski, Antoni Wieniawski. Do Komitetu Wykonawczego powołani zostali: Ludwik Darowski, Stefan Dziwulski, Zygmunt Jastrzębski, Witold Kamieniecki, Stefan Krzywoszewski, Stefan Laurysiewicz, Aleksander Lednicki, Krystyn Ostrowski, Zygmunt Nagórski, Janusz ks. Radziwiłł, Wojciech hr. Rostworowski, Józef Targowski, — i jako zastępcy: Edmund Iwaszkiewicz, Stanisław Kętrzyński i Marian Sobolewski.

Klub z początku odbywał zebrania w sali pompejańskiej hotelu Europejskiego. Później przeniósł się do kamienicy Książąt Mazowieckich na Starym Mieście. Istniał z przerwami dziesiątek lat. Dyskusje wyróżniały się zawsze wysokim poziomem, zebrania ściągaly kwiat inteligencji stołecznej.

...Pamiętam jedno posiedzenie Klubu... Przewodniczył Janusz ks. Radziwiłł, referentem był marsz. Piłsudski. Mówił o polskim duchu militarnym, a opierając się na starej tezie rzymskiej, *tot cives tot milites*,¹⁾ nawoływał, aby społeczeństwo zacieśniło swój stosunek do armii, aby rozgrzało się do niej miłością rodzicielską, bo armia, najistotniejsza podstawa niepodległości, — to najlepsza część naszej młodzieży, przyszłość narodu.

W dawnej Rzeczypospolitej Polak chwycił za broń, jeśli ojczyzna była w opałach. Bił się w jej obronie bohatersko, ale gdy kończył wojować, spieszenie wracał w pielesze rodzinne.

Polska za Jagiellonów, Batorego i nawet jeszcze za Zygmunta III-go była silną, choć nie była wojowniczą, — kwitnącą, aczkol-

¹⁾ Każdy obywatel żołnierzem.

wiek nie bogatą. Na wojsko zawsze pieniędzy brakło. Szlachta żywiła wstręt do podatków, możnowładcy stale się od nich uchylali.

Godną wielkiego państwa, stutysieczną armię uchwalił Sejm Czteroletni. Środków na realizację tej uchwały jednak również nie znalazł. Ks. Józef w roku 1792-m, i Kościuszko w roku 1794-m rozporządzali siłami słabymi i niewyćwiczonymi.

Nowoczesną armię narodową zapoczątkowały Legiony Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Wielhorskiego i Zajączka. Ich szanowne resztki posłużyły jako kadry, kiedy Napoleon w r. 1807-m, po zwycięstwie pod Friedlandem i po pokoju w Tylży, przyjął w Berlinie deputację polską.

Ta dopominała się, by przywrócił Polsce wolność. Napoleon odpowiedział:

— Ogłoszę waszą niepodległość, skoro obaczę w Warszawie trzydzieści do czterdziestu tysięcy ludzi uzbrojonych.

Z góry tych obietnic narodziła się mysz: Księstwo Warszawskie.

Powstała wprawdzie armia trzydziestotysieczna, ale szczupłe środki finansowe nowotworu nie starczały nawet na taki kontyngent. Napoleon wziął na swój koszt dywizję Chłopickiego, — i wysłał ją do Hiszpanii...

W r. 1811-m podwyższono liczebność armii polskiej do 80 tysięcy. Szykowała się wielka wyprawa na Rosję. Najlepsza młodzież polska garnęła się wtedy z zapalem do szeregów. Znalazł się w nich mój dziad macierzyński, porucznik Feliks Homicki. Odbił całą kampanię 1812 i 1813 r. od Smoleńska, Mołajaska i Borodina, aż do Loeben i Lipska.

Owe dywizje polskie odwagą, sprawnością bojową, i wytrzymałością zdobyły sobie takie uznanie, że cesarz rosyjski, Aleksander I, odbywając ich przegląd w r. 1814-m w St. Denis pod Paryżem, zwrócił się do oficerów ze słowami:

— Na polach bitew nauczyliśmy się wzajemnie szanować!...

Wojsko Królestwa Kongresowego było dumą brata jego, Konstantego. Po klęskach 1831 r. przestało istnieć. Odtąd służba wojskowa w armiach zaborczych stała się dla Polaka przekleństwem. W armii pruskiej, o ile się nie zniemczył, nie mógł uzyskać wyższej rangi. W Austrii zdobywał ją wyjątkowo. W Rosji — nieco częściej, ale gdzieś na pograniczach Azji.

Tym trybem powszechność polska oddaliła się od spraw militarnych.

Marsz. Piłsudski uważał, że jedyną niezawodną gwarancją bez-

pieczeństwa kraju jest jego moc zbrojna. Największe wysiłki czynił, aby tę moc rozwinąć i utrwalić.

Tadeusz Hołówko przestrzegał wszakże:

— „Musi u nas zginąć oficer kastowiec, który uważa się za coś lepszego i wyższego od reszty społeczeństwa i wymaga dla siebie przywilejów na tej podstawie, że będzie swoją krew na wojnie przelewał....

— „Widzimy dwa zasadnicze typy oficera: jeden — oficera kastowca, izolowanego od reszty społeczeństwa, drugi — oficera obywatela, ściśle z tym społeczeństwem związanego, niczym nie różniącego się od każdego przeciętnego obywatela i w niczym nie uprzywilejowanego”...

Kariera artystki polskiej.

Jadwiga Mrozowska, jako aktorka dramatyczna, była talentem nawskroś nowoczesnym, indywidualnością artystyczną niepospolitą. Talent jej był raczej analityczny, niż samorzutny, opierał się więcej na wnikliwym intelekcie, niż na intuicji. Dominantą tej indywidualności była śmiała i niespożyta ambicja. Powodzenie w kraju nie wystarczało jej, chciała sukcesów światowych. Pojechała do Mediolanu uczyć się śpiewać. Śniła się jej sława Sembrich-Kochańskiej, lwowianki, która w końcu ubiegłego stulecia swym słowicznym głosem podbiła obie półkule.¹⁾

Pracowite studia w Mediolanie nie przyniosły Mrozowskiej na scenach operowych powodzeń, jakich pożądała, ale zbliżyły do potentata finansowego Włoch, — Józefa Toeplitza, dyrektora naczelnego „*Banca Commerciale*”. Toeplitz pochodził z warszawskiej rodziny semickiej, o Polsce nie zapomniął. Jego bracia zajmowali wysokie stanowiska w przemyśle i handlu polskim, siostra, kobieta wysokiej wartości, zaślubiła Jerzego Meyera.

Józef Toeplitz, człowiek starszy, rozkochał się w Mrozowskiej. Ona długo się wahała. Gdy go poślubiła, stała mu się przywiązaną i oddaną przyjaciółką. Korzystając z obfitych środków, czyniła wiele dobrego wśród niezamożnych Polaków, we Włoszech zamieszkałych.

¹⁾ Sembrich-Kochańska w pełni swej sławy przybyła na gościnne występy do Warszawy. W jakiejś jednodniówce ukazał się jej aforyzm: „Miło śpiewać obcym, lecz swoim najmilej”. Występy gościnne doznały wielkiego powodzenia, Sembrich-Kochańska wyjechała do Ameryki — i nigdy już do kraju nie wróciła.

Toeplitz, po części może pod jej wpływem, skuteczne przysługi i pomoc finansom polskim świadczył.

Rodzice Mrozowskiej mieszkali w Jędrzejowie. Stąd wywiązała się znajomość z córkami mego brata Ksawerego, którego Jasiona była zaledwie o 8 kilometrów od Jędrzejowa odległa. Moje bratanice zaprzyjaźniły się z młodą artystką, stąd i moja z nią przyjaźń.

Gdy już jako pani Toeplitzowa bawiła w Warszawie, zaproponowałem jej, by pisywała do „Świata”. W korespondencjach z Włoch, które zaczęła wkrótce nadsyłać, uwydlatniała się żywość jej umysłu, dar spostrzegawczy, rozpięcie zainteresowań.

Później drukowałem obszerniejsze jej wrażenia z ekspedycji do Indii Wschodnich i Azji Środkowej, jakie parokrotnie podejmowała.

Mussolini doszedłszy do władzy dyktatorskiej, zlikwidował wpływ Banca Commerciale. Toeplitz bronił się, w końcu uległ. W ostatnich latach poświęcił się przemysłowi filmowemu.

W lipcu 1939 r. Mrozowska przybyła do Warszawy. Ja spędzałem lato, jak zwykle, w Skolimowie. Teatr Polski grał wówczas moją ostatnią komedię — „Koleżanki”. Mrozowska poszła na sztukę, nazajutrz przysłała mi list niezmiernie pochlebny. Obiecywała odwiedziny. Lecz z Mediolanu dostała depeszę, przynaglającą do powrotu... We Włoszech spodziewano się lada chwila wybuchu wojny.

Miłość tragiczna.

Pośród najmłodszych pokoleń aktorek warszawskich, w pierwszych latach po wojnie światowej niezwykłym zjawiskiem była Stanisława Umińska. Drobnej, chłopięcej postaci, szczupła, w stroju zaniedbana, — przypominała wczesnowiosenną roślinkę, którą zwały spóźnione przymrozki. W bladej, przywiedłej twarzyczce żarzyła się para ciemnych, wyrazistych oczu, patrzących na świat z głębi duszy gorejącej i smutnej. Umińska była milkliwa, uśmiechała się rzadko, nie słyszałem, aby kiedykolwiek głośno się śmiała.

Zakochał się w niej młody literat, Jan Żyznowski, który i do „Świata” niekiedy pisywał. Nie był pozbawiony talentu i wyższych aspiracji, lecz w życiu radzić sobie nie umiał. Żarły go trzy okrutne Harpie: lues, niemoc twórcza i bieda. Ukojenia szukał w kieliszku.

Umińska pokochała go miłością pierwszą i jedyną. Bez odwrotu.

Z wielkim trudem zgromadziwszy trochę pieniędzy, Żyznowski wyjechał do Paryża w nadziei, że tamtejsi specjaliści przywrócą mu zdrowie. Mówiono wiele o nowych metodach leczenia choroby, która go trawiła. Gdy poprawa nie następowała, w przystępie rozpacz przyzywał Umińską. Rzuciła teatr, pojechała. Przez dwa miesiące siedziała u wezglowia umierającego kochanka.

Lekarze szpitalni nie łudzili jej nadzieją. A on błagał:

— Wyzdrowieć nie mogę. Więc po co męczyć się nieludsko? Jeśli kochasz prawdziwie, wyświadcź ostatnią łaskę. Zabij.

Ile przecierpieć musiała nieszczęsna dziewczyna, zanim powzięła tragiczne postanowienie!...

... Pewnej nocy uległa błaganiu. Przyłożyła rewolwer do skroni ukochanego, pociągnęła za cyngiel...

... Paryski sąd przysięgłych Umińską uniewinnił. Warszawski świat artystyczny przyjął ten wyrok z ulgą, bo współczucie dla niej było powszechne. Ona jednak nie mogła odzyskać równowagi duchowej. Daremnie próbowała wrócić do teatru, pielęgnować chorych w szpitalu. Gasła jak lampa, w której dopala się oliwa.

Postąpiła wbrew przykazaniom Boskim i ludzkim, ukojenie osiągnęła w ciszy klasztornej.

Polowanie na Pińszczyźnie. Kamil Mackiewicz.

Kamil Mackiewicz, wielce utalentowany rysownik-ilustrator i karykaturzysta,¹⁾ pochodził ze Żmudzi. Brat jego pozostał w rodzinnej wiosce i gospodarzył. Kamil włóczył się po Europie, zajrzał nawet do Ameryki. Gdy chciał wrócić do gniazda rodzinnego, Waldemaras, który wtedy w Kownie rządził, wizy odmówił. Bratu majątek zabrano, zostawiając maleńką resztówkę.

Wtedy dopiero Kamil odczuł, czym była dlań ziemia ojczysta. Tęsknota za Żmudzią stała się tragedią jego życia.

Sztuka, którą Mackiewicz uprawiał, wiązała go z miastem, a do gwaru miejskiego na stałe nie potrafił się wdrożyć. Więc tylko od czasu do czasu nurzał się w kotle wielkomijskim i zaraz wracał do cichych zakątków kresowych, do włóczęgi po uroczysskach kniei litewskiej, po moczarach i rojstach białoruskich.

¹⁾ Talent Mackiewicza najpiękniej uwydlatnił się w „Albumie Wojska Polskiego” i w ilustracjach do moich „Wrażeń i przeżyć myśliwskich”.

Nasze polowania na hodowane kozły, zające, kuropatwy i bażanty lekceważył.

W połowie kwietnia wpadł do redakcji, rozpromieniony.

— Jedziemy na kaczory.

— Gdzie?

— Do Porohońska, na Pińszczyznę. Oto zaproszenie od mojego przyjaciela Czechowicza.

Podał mi list bardzo serdeczny.

Mackiewicz był ulubieńcem dworów na Litwie i Białorusi. Znał całe tamtejsze ziemiaństwo, a gdzie się zjawił, był upragnionym źródłem najświeższych nowin i anegdot.

Anegdota opowiadał z takim kunsztem, że nie dorównywał mu nawet Antoni Bogusławski, mistrz w tej sztuce nie lada. Gdy Mackiewicz zjeżdżał do przyjaciół kresowych, po kolacji wnet rozlegały się prośby. Panie wynosiły się spieszenie z jadalni, Kamil uśmiechał się błogo, golił jeszcze dwa — trzy kieliszki starki. Za chwilę przy stole strzelały gęste salwy niefrasobliwego śmiechu.

....Porohońsk nad Bobrykiem i Bogdanówkę otrzymała w spadku po ojcu księżniczka Zofia Drucka-Lubecka. Porohońsk składał się głównie z ługów, które przecinał kapryśny w swych rozlewach wiosennych Bobryk, Bogdanówka była kompleksem lasów. Ługi były kwaśne, lasy bagniste, ziemi godnej do uprawy niewiele. Księżniczka Lubecka poślubiła młodego ziemianina z Litwy Wileńskiej, Władysława Czechowicza, rotmistrza ułanów w rezerwie.

...Wczesnym rankiem wysiedliśmy na małej stacyjce wśród podmokłych lasów, pustej i zaspanej. Fornal w siwej sukmanie i wysokiej czapie baraniej zabrał z wagonu walizki i dubeltówki. Pociąg pomknął dalej, nas zabrała bryczka bez resorów, zaprzężona w niewielkie, kosmate szkapy. Pod kołami uginały się, jak klawisze, dyle sosnowe, którymi błotnista droga była wymoszczona. Wyssoko, pod bładym niebem, kołysał się jastrząb.

Wkrótce dotarliśmy do wydmy piaszczystych, pojawiły się uprawne poletka, pięć nieruchliwych wiatraków. Wtłoczyliśmy się w długą i szeroką ulicę sioła. Domostwa z ledwie obciosanych okraglaków sklecone, bez zwykłych w Polsce sadów. Pośrodku sioła przysadkowata cerkiewka o jaskrawo szafirowych i zielonych kołach.

Wieś budziła się dopiero ze snu, żaden pies nie czekał. Zza uchylonych drzwi ściagały nas tępy wzrokiem przedwcześnie zestarzałe kobiety, wynędzniałe i lękliwe dzieciaki. Gospodarze, dążący do swoich robót, mijali obojętnie.

Pałac książąt Druckich — Lubeckich, wraz z bezcennymi zbiorami i biblioteką, zrabowano i spalono w r. 1920-m. Państwo Czechowiczowie zamienili dawną piekarnię na dom mieszkalny.

Wstępna narada łowiecka odbyła się przy pierwszym śniadaniu. Rozrządzono, że Maurycowa hr. Potocka (z domu księżniczka Woroniecka) Jan hr. Zamoyski, Mackiewicz i ja niezwłocznie wyruszymy do Bogdanówki na głuszcę i słonki. Gospodarstwo, z Maurycem hr. Potockim i paru innymi myśliwymi, mieli popołudniu odpłynąć łódkami do kurenia na Cholczy. Po dwóch dniach, spędzonych w kniei Bogdanowskiej, mieliśmy się z nimi połączyć.

...Mrok gęstniał, gdy po okropnej drodze „na palikach“, poprzez niezliczone „brodki“, w których niewyrosłe koniki brnęły w wodzie po brzuchy, dotarliśmy do wyznaczonego szałas w kniei. Nie uprzedzeni o naszych zamiarach leśnicy tego wieczora nie osadzili głuszców na zapadach. Musieliśmy zdać się na los szczęścia.

Noc spędziliśmy pokotem pod ścianą szałas, bo wewnątrz powietrze było duszne, a w słomie roilo się robactwo. Gajowi podśladali siano, rozpalili wielkie ognisko. Dachem był nam ciemny strop gwiazdami sadzonego nieba. Kartofle piekły się w popiele, kiełbasa przysmażała się na patykach, butelka nalewki krążyła z rąk do rąk. Gardła nikt nie oszczędzał. W kociołku, zawieszonym nad ogniskiem, grzała się woda na herbatę.

Zapasy żywności były obfite. Pani Potocka, zaprawiona w tego rodzaju wyprawach, posłała leśników, by nasaczyli z brzoź wiosennego otoku. Słodkawa, cokolwiek lepka ciecz smakowała nieporównanie gorzej od szampana, ale była pewniejsza od wody z bajorów leśnych.

....Knieja usnęła. Leśnicy ułożyli się dokoła ogniska, przykryli czym kto mógł. Żaby w oparzeliskach umilkły.

Bezdenne ciszę rozdarło nagle wycie tak złowrogie, że porwaliśmy się wszyscy z legowisk. Leśnicy chwycili instynktownie za broń.

— Wilki!...

— Nie podejda. A w gąszczach nikt ich po nocy nie odszuka.

Wycie powtórzyło się jeszcze boleśniej, jeszcze okropniej. Nikt nic nie mówił. Gdy poczęło się oddalać, pani Potocka wróciła na swe posłanie, przepadła w pledach i kocach. Sen morzył, uczyniliśmy to samo.

Noc była jeszcze głucha, gdy zbudziły nas szepty i ruch koło ogniska, które dogasało. Nasza towarzyska podniosła się ostatnia.

Zrzuciła dachę, poprawiła kożuszek i futrzaną czapeczkę, — już była gotowa do drogi.

Na niebie nic nie zapowiadało nadchodzącego ranka. Poszliśmy wąską ścieżyną, gęsiego, w głąb utkanego mokradłami lasu. Prowadził stary leśnik. Mimo rosoch, nogi obsuwały się nieraz w lepkie bagno i w wiosenne śniegów rozcieki. Błogosławiłem sięgające poza kolana buty gumowe.

Leśnicy zatrzymali nas na suchym wrzosowisku i rozeszli się na zwiady. Niebawem powiał przedporanny, chłodny wietrzyk. Od wschodu niebo zlekka bladło, gwiazdy pełzły.

Ozwało się senne, nieśmiałe kwilenie małego ptaszka, który się zbudził. Zachrapała słonka, zabrzączał bekas. Bardzo daleko cietrzewie jęły bełkotać uparcie.

Leśnicy zjawili się ze spuszczoneymi głowami. Ranek był mglisty i zimny, koguty siedziały cicho. Mackiewicz kłął, wróciliśmy do ogniska.

...Dzień upłynął na zabiegach kulinarnych, posiłkach i gawędach przeplatanych drzemką. Pod wieczór ociepliło się, las się ożywił. Świergot ptactwa dyszał wiosennym podnieceniem, żaby szalały. Leśnicy rozstawili nas w mokrych wertepach, sami poszli na zapady. Czekałem dość długo, nim usłyszałem pierwsze chrapanie słonki. Nad czubami drzew, na tle szarzejącego nieba, ukazał się maleńki czarny punkcik, sunął wprost na mnie. Strzeliłem, słonka spadła blisko. Wkrótce ozwały się strzały innych myśliwych.

Była już noc, gdy wrócili ze zwiadów leśnicy. Powiodło im się osadzić trzy koguty.

...Wczesnym rankiem hr. Potocka, rezygnując z własnego strzału, podprowadziła hr. Zamoyskiego do głuszca nie dalej, jak na pięćdziesiąt kroków. Olbrzymi ptak rozśpiewał się tak namiętnie, że nie słyszał i nie widział zbliżającej się pary myśliwych.

Siedział na wierzchołku ogołoconej z listowia brzośli. Strzał był dziecinny. Lecz hr. Zamoyski pierwszy raz na głuszcze polował, młodego myśliwego, mimo że strzelał wybornie, takie chwyciło wzruszenie, iż dwa razy wygarnął i dwa razy spudłował. Był w rozpacz.

Głuszec, do którego ja, w ślad za leśnikiem, w pociesznych skokach podchodziłem, sfrunął w wysokie trawy, gdzie zapewne oczekiwała nań kochanka. Tylem go widział. Mackiewicz powrócił w złym humorze, bez koguta i bez ochoty do zwierzeń.

Pora na toki była spóźniona.

Skwaszeni, postanowiliśmy zrezygnować z dalszych usiłowań i pomścić się na kaczorach. Zwiniliśmy obozowisko, w południe przybyliśmy do opustoszałego dworu porohońskiego. Wnet po obiedzie wsiedliśmy z manatkami do łódek. Każdy myśliwy miał wyznaczonego wiosłarza — rybaka, każdy wiosłarz posiadał koszyk z krykuchą.

Krótkim kanałem wypłynęliśmy z parku na leniwe nurty i rozlewę Bobryku. Spoza szklących się sinobłękitnym blaskiem wód wynurzała się zieleń traw. Na wzniesieniach żółciły się kaczeńce, kilku poleszuków kosiło trawę z łódek. Ciszę przerywały żałosne skargi czajek, koziółkujących w powietrzu i kwakanie podrywających się na daleką odległość krzyżówek.

O melancholio tej dziwnej krainy!...

...Po dwóch godzinach drogi, w ciągu których strzeliłem kilkanaście razy i parę kaczorów spod nieba strąciłem, zbliżyliśmy się do gęstych kęp łoż. Coraz rzadziej dawało się słyszeć gniewliwe kwakanie i łopot skrzydeł zrywających się kaczek.

Mrok zapadł, ułożyłem się w dziobie łódki. Głębokiej ciszy nie płoszył już żaden dźwięk. Żaby posnęły, kurki wodne zaniechały rozpustnych gonitw. Czasem plusnęło wiosło.

— Daleko jeszcze?

Zakłopotany rybak począł usprawiedliwiać się, że wycięto w łożach nowe korytarze i wskutek tego zmylił drogę.

— Dajcie, panie, fuzję...

Podąłem mu ogołoconą z nabołów dubeltówkę, on wsparł się na wiosło, przytknął lufę do ust. Po wodach i łożynach wypłynął jęk żałosny. Odjął usta, nabrał oddechu, znów zatrąbił. W dali na prawo, odpowiedziała taka sama pobudka.

— Wot i oni!

Łódka pomknęła chyżej, trąbienie z ostroga nie ustawało. Po kwandransie, poprzez gałęzie łożyny, spostrzeżyliśmy czerwony odblask ognia. Wydostaliśmy się na jezioro. Zamajaczyły ciemne kształty kurenia, zaświeciły łuczywa, które na naszą cześć płonęły. Już słyszeć było śmiechy i radosne krzyki, — odpowiedzieliśmy godnie. Łódka wbiła się dziobem w piaszczysty brzeg czarowniczej pustelni. Królestwo za kieliszek wódki! Śliczne panie podały całą butelkę. Ryba, świeżo złowiona w jeziorze, ciskała się na patelni. Życie było piękne!

...Kureń na Cholczy zajmował całą przestrzeń mikroskopijnej wysepki, niczem arka Noego na szczycie Araratu. Wzniesiony był z okrągłaków sosnowych, które tworzyły szpary. Okien nie

było. Wewnątrz, wzdłuż ścian — wąskie nary, wymoszczone suchą trzcina i sianem.

Pośrodku — ognisko na ceglach, w dachu — wielki otwór do odprowadzania dymu. Jeśli palił się ogień, dym niemiłosiernie gryzł w oczy; jeśli gasł, dolegał wilgotny, wieczorny chłód.

W izbie panował rejdach niebywały. Panie, wraz ze służącym, przy ogarkach świec, szykowały na zaiprowizowanym z desek stole kolację. Myśliwi grzebali w walizkach i neseserach, rybacy kręcili się bez potrzeby ze swymi krykuchami. Parę wielkich wyźłów plątało się między nogami.

Mackiewicz tubalnym głosem nawoływał do wódki.

— Panowie! Nie traćmy czasu! Czas to pieniądz!

Drogi Kamilu! Tyle miałeś czasu, a stale brakło ci pieniędzy...

.

Było ciemno, że oko wykoł, gdy twarda ręka Wąża spoczęła na mym ramieniu.

— Jedziem, panie.

Dokoła wszyscy jeszcze spali, Mackiewicz chrapał sromotnie, bez żadnej uwagi dla pań. Rybacy rozpalali ognisko przed kureniami.

Noc była zimna, zarzuciłem na kozuch dachę, położyłem się na dnie łódki. I zaraz ponownie zasnąłem.

Obudziłem się, gdy od wschodu niebo zaczęło się rozjaśniać seledynem. Łódka sunęła szybko i cicho. Zrzuciłem futro, usiadłem na ławeczce, nabiłem broń, kieszenie wypełniłem nabojami. Stalowe wody jeziora zaczęły mienić się fioletem, gdzieś w dali odezwała się senna kukulka. W rodzącym się brzasku wyłoniły się kontury łąk, tajemnicze, niby ogrody z nieprawdziwego zdarzenia. Kaczeńce zaświeciły żółtym blaskiem, zieleń traw stała się jaskrawą. Na krańcach widnokregu ukazały się pierwsze rumieńce, zwiastujące wschód słońca.

Gdzieś daleko tokowały cietrzewie, swarzyły się jęklwym lamentem zórawie. Para krzyżówek porwała się na zakręcie, strzeliłem, kaczor spadł. Wąż wyjął krykuchę, przymocował ją na sznurku do palika. Poczym wepchnął łódź w gąszcz krzewów.

Krykucha załopotana skrzydłami, zanurzyła łeb i szyję w wodzie. Otrząsnęła się i wrzasnęła namiętnie, zmysłowo.

Pod niebem pojawił się kaczor. Krążył, jak gdyby go przyzwania nie nęciły. Zniknął.

Raptem z kępy, naprzeciwko naszej, wypłynął inny. Ten nie ukrywał swoich zamiarów. Wypreżył w piękny łuk szmaragdową szyję, skrzydła połyskiwały mu ciemnym szafirem. Szorował z animuszem prosto w kierunku kuszającej go zalotnicy. Już był niedalej, jak o dziesięć metrów, gdy zwąchał zasadzkę. Porwał się, strzeliłem, uwodziciel zwinął się i spadł ciężko tuż obok zdrajczyny. Leżał białym brzuchem do góry, drgając łapami. Krykucha odwróciła się odeń z pogardą i odpłynęła.

W ciągu pięciu godzin ubiłem dwadzieścia kilka kaczorów różnych odmian.

... Przed południem, gdy wracałem do kurenia, zerwał się wiatr, niebo zmąciło się, zżółkło. Rozwierało się w nieustających błyskawicach. Grzmiało bez przerwy, nie było gdzie się schronić. Zaczął smagać gruboziarnisty grad, w chwilę później sprąla nas do suchej nitki ulewa. Dygotaliśmy z zimna. Lecz gdy lądowaliśmy przy kurenium, słońce znów prażyło rozkosznie, jaskółki śmigały wysoko. Błękit nieba był bez skazy.

Wł. Grabski staje do walki z inflacją.

Prez. Wojciechowski, przyjąwszy rezygnację gabinetu Witosa, zaproponował utworzenie nowego rządu Stan. Thuguttowi. Gdy ten nie wybrnął z zadania, obdarzył ową misją Wład. Grabskiego.

Wład. Grabski był jednym z nielicznych ludzi w Polsce, do których w chwilach niebezpieczeństwa zwracała się opinia publiczna. Teraz Państwu groziło bankructwo. W pierwszych dniach stycznia za jednego dolara płacono 9.350 tys. marek polskich. W obiegu krążyło 178 miliardów marek w banknotach.

Wład. Grabski na długo przed wojną zajmował się studiami nad położeniem gospodarczym Królestwa.

Wywiódł z nich, iż rząd carski tak dalece ludność polską wyzyskiwał, że nawet na uwłaszczeniu włościan, którym się chełpił, jako czynem humanitarnym, grubo zarobił.¹⁾ Później Grabski wydawał „Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego”. Zmuszony do opuszczenia Warszawy w sierpniu 1915 r. (był prezesem Ogólnokrajowego Centralnego Komitetu Obywatelskiego), w r. 1917 wraz z Lednickim kierował w Petrogradzie Polską Komisją Likwidacyjną.

Grabski posiadał szczegółowo opracowany plan uzdrowienia finansów. Ufny w siły żywotne narodu, na pierwszy plan wysuwał zrównoważenie budżetu i założenie banku emisyjnego, którego statut zawczasu zamówił u prof. Rybarskiego.

Najbliższym towarzyszem pracy w tych usiłowaniach był mu Stanisław Kauzik. Grabski postawił go na czele departamentu prezydialnego w Ministerstwie Skarbu, nie bacząc, iż Kauzik wówczas jeszcze trzydziestu lat nie liczył. Pozaparlamentarny gabinet Grabskiego składał się z wytrawnych sił fachowych, utrzymał się blisko dwa lata (do połowy listopada 1925 r.).

¹⁾ Za ogłoszenie tej tezy Grabski został wtrącony do więzienia. „(Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej, 1924—25)“.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych Maurycego hr. Zamoyskiego zastąpił Aleksander hr. Skrzyński,¹⁾ w Sprawach Wojskowych gen. Sosnkowskiego — gen. Wład. Sikorski. Z innych członków gabinetu, którzy dłużej lub krócej w nim współpracowali, wymienić należy Czesł. Klarnera, Wł. Wyganowskiego, Ant. Żylińskiego, B. Miklaszewskiego, J. Zawidzkiego, Stan. Thugutta, Aleksandra Raczyńskiego, Stan. Grabskiego, Stan. Janickiego, Zdzisława Ludkiewicza, Wiesława Kopczyńskiego, Ludwika Darowskiego, Gustawa Simona, Franc. Sokala.

Zadania były nad wyraz trudne, lecz Grabski wiedział, czego chciał, do swoich celów szedł nieustępliwie. I zwyciężył.

Kryzys finansowy w Polsce został opanowany w pierwszych miesiącach 1924-go roku. Pocztowa Kasa Oszczędności zaczęła przyjmować wkłady zwaloryzowane, kredyty Skarbu w Polskiej Krajowej Kasie Pożyczkowej zamknięto. Bank Polski rozwinął działalność, prezesem jego rady nadzorczej mianowany został Stanisław Karpiński.

Grabski napiął w tym wysiłku całą swą energię i wytrwałość. Samowola władz, jaka ciążyła nad Polakami w zaborze rosyjskim za czasów caratu, podkopała w naszym społeczeństwie zaufanie do prawa i wogóle — do legalności. Zawsze tak bywa: rząd który gwałci prawo w stosunku do obywateli, uczy ich prawo obchodzić.

Trzeba było przełamać złe obyczaje dość znacznego odłamu społeczeństwa, który w okresie inflacji utracił szacunek dla pracy produkcyjnej, dla skrupulatnego wywiązywania się z obowiązków wobec własnego państwa. Doraźne warunki życia stały się twardsze, niezadowolenie i żale obracały się przeciw temu, który chciał ratować ojczyznę od gospodarczego upadku.

Rozwiały się złudy łatwych, szybkich fortun. Kursy akcji spadały z większą szybkością, niż się przedtem podnosiły.

Opozycja sejmowa czyhała na najlżejsze objawy załamania. Głabiński, urażony, że ktoś inny osiągnął to, czego on uzyskać nie

¹⁾ Jakim zaufaniem cieszył się w cesarskim Wiedniu hr. Aleks. Skrzyński, świadczył fakt, że w styczniu 1918 r. ówczesny austro-węgierski minister spraw zagranicznych hr. Czernin, w porozumieniu z cesarzem Karolem II-m, wydelegował hr. Skrzyńskiego do Genewy celem kontynuowania tajnych pertraktacji z gen. Smutsem, wysłańcem rządu brytyjskiego, w sprawie pokoju. Mozolne zabiegi nie doprowadziły do porozumienia: rząd brytyjski chciał zawrzeć pokój odrębny z Austrią, nie chciał pokoju z Niemcami. Cesarz Karol nie decydował się zdradzić sprzymierzeńca i przypłacił to koroną.

zdołał, wznawiał ataki. Harmonję wewnętrzną gabinetu utrudniał Thugutt, wicepremier bez teki. Sam porównywał się do furmana, któremu dano lejce bez zaprzęgu. Stąd wywodził się jego stały malkontentyzm. Grabski obarczył go sprawami mniejszości narodowych. Thugutt pojechał na Kresy i wrócił tak przerażony, że, nie chcąc dźwigać odpowiedzialności, z gabinetu ustąpił. Podtrzymywała Grabskiego niewzruszona życzliwość, jaką mu świadczył prez. Wojciechowski. Przyjaźń ich zacisnęła się przez małżeństwo córki prezydenta z synem premiera.

Złoty polski zastąpił zdewaluowaną markę.

Reymont — laureatem nagrody Nobla.

Polski świat literacki został poruszony wiadomością, że Reymontowi przyznano w Sztokholmie nagrodę Nobla. Sfery radykalne uczuły się dotknięte, iż nagrody nie otrzymał Stefan Żeromski.

Odznaczenie, które pisarzowi polskiemu dawało rozgłos światowy i majątek, zawdzięczał Reymont swemu talentowi, szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i energicznym zabiegom Alfreda Wysockiego, posła polskiego w Sztokholmie.

Owa nagroda przeznaczona była jakiemuś innemu sławnemu cudzoziemcowi, lecz w ostatniej chwili kandydatura ze względów politycznych została wycofana. Wysocki zręcznie spożytkował zakłopotanie jurorów. Zapropomował Reymonta. Żaden z sędziów przedtem nie słyszał tego nazwiska, uprzedzeń więc nie było. I traf chciał, że wtedy pojawił się w druku przekład niemiecki „Chłopów”, dokonany sumiennie przez Kaczkowskiego. Wysocki sprowadził coprędzej egzemplarze, szwedom zaimponowała powieść i wartością, i rozmiarami. Czy który z sędziów przeczytał uważnie i docenił dzieło Reymonta? *Forse che si, forse che no!* Dyplomatyczny talent Wysockiego okazał się na poziomie literackiego talentu Reymonta.

Nagroda Nobla była chlubną nietylko dla tych co ją otrzymywali, lecz i dla ich ziomków. Przed wojną światową zdobył ją Henryk Sienkiewicz, teraz przypadła Reymontowi. Obu zapewniła dostatek do końca żywota zabezpieczenie, — takie, jakiego ojczyzna nie była w stanie im zawarować.

W kawiarniach i cukierniach literackich syczała zawiść. Ubolewano, iż Żeromskiemu stała się krzywda. Znaleźli się filuci, któ-

rzy insynuowali, że Reymont powinien był złożyć otrzymane pieniądze (nagroda wynosiła około pół miliona złotych) na cele publiczne. Po przedwczesnej śmierci Reymonta owa zawiść nie oszczędziła wdowy.

Karol Szymanowski. Kompozytorowie i muzycy.

Wielbicieli Karola Szymanowskiego wychodzili z założenia, że geniusz, który wyprzedza swą epokę (a to właśnie bywa specyficzną właściwością geniuszu), nie może być przez współczesnych w całej pełni zrozumianym i docenionym.

Żarliwa propaganda rozwinęła w stosunku do Szymanowskiego snobizm. Kto nie zachwycił się jego muzyką, poczytywany był za beznadziejnego mydlarza. Towarzystwo Popierania Sztuki Polskiej Zagranicą, utrzymywane przez M. S. Z., urządzało mu koncerty w różnych miastach zagranicznych, wprowadzało jego utwory do programów światowych.

... O tym, że Szymanowski posiadał wielki talent, nikt nie wątpił. Jego muzyka była natchniona cierpieniem i buntem przeciw nieubłaganemu przeznaczeniu. Głębia szamotań umęczonej duszy wyrażała się w dźwiękach, których dobozem i skoordynowaniem kierowała odraza do pospolitości i łatwizny. Stąd w tej muzyce tak częste dysonanse, odbłask rozterek wewnętrznych twórcy.

Kontrast między jego osobowością a sztuką, której wszystkie swe intuicje i myśli poświęcił, był zadziwiający. Postać wyniosła, głowa piękna, oczy przysłonięte lekką mgłą smętku, na ustach — melancholijny, życzliwy uśmiech. W obejściu — spokojna uprzejmość, pańskie opanowanie. A w muzyce — beznadziejne przygnębienie i rezygnacja, to znów nagłe wybuchy rozpacz, — nieukojona tęsknota, żałość i skargi...

Muzyka ta nie była kanwą do dzierzgania przyjemnych marzeń, nie kołysała nerwów słuchacza, lecz raczej dręczyła je i burzyła.

W Szymanowskim tkwiła przewaga elementu kobiecego. Wyrażała się w szczególnej skłonności do narcyzizmu, w kulcie dla siebie samego, który psychoanaliza Freuda tłumaczy niedostatecznym różniczkowaniem płci i przedwczesnym zmęczeniem życiowym. Na wyczerpanie psychiczne Szymanowskiego wpływał nie mało zły stan zdrowia.

Nieuleczalna choroba, która tak rychło uporała się z Szopenem, zakłóciła ostatnie lata Szymanowskiego. Zabrała go w kwiecie wieku.

...Poznałem Szymanowskiego przed wojną światową, kiedy przybył ze swej bujnej Ukrainy do Warszawy. Przyjaźnił się wtedy nierozdzielnie z Pawłem Kochańskim, Arturem Rubinsteinem i Fitelbergiem.

Ostatni raz spotkałem Szymanowskiego w Zakopanem, na dwa lub trzy lata przed zgonem. Kończył swój balet „Harnasie”, wchłaniał rytm życia górali tatrzańskich.

...Żywotność polska wypowiadała się wspaniale w piśmienictwie i w malarstwie. Słabiej — w muzyce, rzeźbie i architekturze.

Twórcę operowego w wielkim stylu mieliśmy tylko jednego — Moniuszkę, cudownego poetę tonów — Szopena. Talenty kompozytorskie wysokiej miary — Karłowicza, Noskowskiego, Żeleńskiego... Jakie miejsce w Panteonie muzycznej twórczości polskiej przypadnie Szymanowskiemu, rozstrzygnie dalsza przyszłość.

Zagadnienie polskiej twórczości operowej stało się uciążliwym problemem Warszawskich Teatrów Miejskich. Teatr Wielki wykazywał potężne deficyty. Niedobory powodowało wiele przyczyn: widownia zbyt szczupła, a skutkiem tego mało rentowna, niezaradność dyrekcji, brak utalentowanych i fachowo wyrobionych kapelmistrzów, pomyslowych reżyserów oraz artystów, którzyby piękny z przyrodzenia głos łączyli z wyborną techniką śpiewu i z uzdolnieniem aktorskim.

Opera warszawska, w zasadzie winna była przede wszystkim popierać twórczość rodzimą. Nowe polskie utwory operowe nie ujawniały wszakże talentów fascynujących, wystawianie ich obciążało budżet Teatru Wielkiego niedoborami. Grzeszyły nie tylko muzyka, ale i libretta.

Zdawałoby się, że jeśli opera składa się z libretta i muzyki, to libretto winien tworzyć autor, dorównujący talentem kompozytorowi. Idealny przykład takiej dobranej spółki dali Heine i Schumann, dwaj nieźrównani pieśniarze, — poeta i muzyk, — choć podobno raz jeden tylko osobiście się zetknęli, i to przelotnie.

Cenniejszego wątku do oper dostarczały w pewnej mierze dawniejsze utwory głośnych poetów i autorów dramatycznych, — o ile trafiały na zręcznych adaptatorów. Wagner tekst do swych oper z prastarych sag o Nibelungach czerpał, Boito sam libretto do swego „Mefista” ułożył.

Naogół wszakże libretta były w jednakim stopniu lekceważone przez kompozytorów i przez dyrekcje teatrów. Na afiszach zazwyczaj wymieniano jedynie nazwiska kompozytorów. Dostawca libretta pozostawał w cieniu, musiał nawet zadowalać się skromnym ryczałtem, który przekreślał raz na zawsze wszelkie jego pretensje. Wybitniejsi pisarze nie kwapili się zgoła do tej współtwórczości.

...W widowisku operowym nie podobna domagać się realizmu i logiki. W życiu doczesnym nawet najpotężniejsi władcy, bohaterzy rycerze i tkliwe księżniczki nie śpiewają, lecz mówią. Muzyka, sztuka najbardziej irracjonalna i uduchowiona, jest fantazją, tkana na kanwie podświadomych uczuć, sięga tam, gdzie słowo nie starczy. Wolną od wszelkiej konwencji jest muzyka symfoniczna, to też najistotniej wypowiada utajone, ludzkie tęsknoty, skargi i wzloty.

W operze wiele może dokonać artysta, jeśli los obdarzył go pięknym głosem i talentem. Głos, wsparty umiejętnością śpiewu i talent sceniczny, pozwalający wyrazić wszystkie intonacje uczuć, zlewają się wówczas w całość, pulsującą pełnią pogłębionego życia.

Do tego apogeum nie dociera się jednak bez mozołu i zmagania.

Jeden z najznakomitszych śpiewaków ostatniej doby, Szaliapin, zwierza się w swych pamiętnikach „Maska i dusza”, z jakimi trudnościami musiał borykać się, gdy w pierwszych poczynaniach przypadła mu odpowiedzialna partia w operze Rimskiego-Korsakowa „Pskowianka”. Miał odtwarzać postać Iwana Groźnego. Opanował zawczasu pamięciowo tekst i stronę wokálną, wydawało mu się, że na próbę z orkiestrą i chórami przyszedł całkowicie przygotowany.

Pierwszy akt przeszedł poprawnie, nikt nie czynił mu uwag. Szaliapin mimo to wyczuwał, że nie wywiera spodziewanego wrażenia. Był przygnębiony. Uciekł do garderoby, rzucił się na fotel, zaczął łkać. Powiadomiono reżysera, ten wezwał na pomoc najwyższą instancję, — Mamontowa, — rosyjskiego „króla kolejowego”, który, jako nienasycony miłośnik muzyki, własnym sumptem prowadził w Moskwie świetny teatr operowy. Mamontow indaguje młodocianego śpiewaka, ten zwierza się ze swego zawodu i niemocy. Pada decyzja: powtórzyć pierwszy akt.

— Usiądę na krzesłach, mówi Mamontow, będę pilnie baczył, w czym tkwi ówiek.

Akt znów minął poprawnie i bez wrażenia. Szaliapin, do cna przybity, podchodzi do Mamontowa. Ten waży myśli, nie spieszy z rezolucją.

— Tak... pańskiej interpretacji czegoś brak... jest jakiś mankament...

Nagle ożywił się.

— Trzeba od pierwszego wejścia uwidocznic zasadniczą cechę Groźnego: okrucieństwo!... W tekście tego nie ma, ale bez tej ekspresji postać Groźnego jest bezkrwista...

Spostrzeżenie wnikliwego dyletanta było błyskawicą, rozświetlającą ciemnię. Szaliapin wołał w uniesieniu:

— Tak. Już wiem. Racja!...

Po krótkiej przerwie, podjęto próbę po raz trzeci. Szaliapin, wchodząc na scenę, pierwszy swój frazes rzucił z takim żywiołowym akcentem okrucieństwa, że wszystkich obecnych, — artystów, członków orkiestry, służbę, wstrząsnął dreszcz zgrozy. I tak trwało do końca aktu. Wrażenie było piorunujące. Mamontow z tryumfalnym okrzykiem wskoczył na scenę, Szaliapin, bardzo wzruszony, rzucił się w jego objęcia. Z oczu sypały mu się łzy, ale były to łzy szczęścia.

Zaprosiłem któregoś dnia na śniadanie dwóch wybitnych muzyków tej samej rasy i wyznania, wyśmienitego kapelmistrza symfonicznego, Birnbauma, i głównego kapelmistrza Opery Szarlottenburskiej w Berlinie, Ignacego Waghalter. Ten ostatni skomponował kilka oper, które były wystawiane w Niemczech.

Waghalter zainteresował się moją komedią fantastyczną p. t. „Diabeł i Karczmarka”, i prosił, bym mu jej udzielił na libretto. Zgodziłem się, i stąd wynikło owo śniadanie.¹⁾

Obaj muzycy kaleczyli mowę polską nieludzko. Po paru kieliszkach wódki wpadli w doskonałe humory, zaczęli sypać dowcipami i anegdotami, od których uszy puchły. W końcu, w dyskusji muzycznej, tak się pokłócili, że mało brakło, aby się za czuby nie wzięli. Lecz nagle się pogodzili, uściskali. Moja żona, — która Birnbauma bardzo ceniła, długo nie mogła się uspokoić.

I Birnbaum, i Waghalter kochali muzykę namiętnie, nic więcej dla nich w życiu nie istniało.

¹⁾ Opera nosiła tytuł „Sataniel” i była wystawiona w Berlinie oraz w paru innych miastach niemieckich. Podobno także w Rydze.

Wojciech Kossak i jego córki.

W Teatrze Małym odbyły się jeden po drugim debiuty autor-skie dwóch siostr, córek Wojciecha Kossaka: Magdaleny Starzewskiej i Marii Pawlikowskiej. Pierwsza znana już była z szydliwej broszurki „Na ustach grzechu”, w której pod pseudonimem Magdaleny Samozwaniec rozprawiła się z Mniszkówną, popularną autorką „Trędowatej”. Pawlikowska, *secundo voto* Jasnorzewska, była poetką. Jej wiersze łączyły kunsztownie radosną frywolność z melancholijną zadumą.

Kossak prosił mię, bym pilotował jego córki w tej pierwszej teatralnej przeprawie. Wiązały mię z nim od wielu lat stosunki życzliwe, lubo Kossak nie miał nic wspólnego z cyganerią, ja zaś do cyganerii artystycznej Ignąłem. Przeszkodę do intymniejszego zbliżenia stanowiła moja serdeczna przyjaźń z Julianem Fałatem i jego żoną. Ci dwaj artyści — ongiś przyjaciele, — kiedy Fałat opuścił Berlin, a jego miejsce przy dworze zajął Kossak, poróżnili się na zawsze. Pojedynkowali się, na szczęście bez wypadku, potem przestali się znać. Jeden z drugim nigdy już słowa nie zamienił.

Wojciech Kossak w czepku się urodził. Życie było dlań jednym długim świętem, praca — lekką przyjemnością. Doskonale wychowany, — temperamentem salonowo-ułańskim, łatwą techniką malarską i wdziękiem osobistym torował sobie drogę, jak po kwiatach. Powodzenie przychodziło mu lekko, piękne panie wobec jego męskiej urody tak dalece traciły przytomność, że czasem nie odróżniały go od jego brata Tadeusza, bliźniaczko doń podobnego (boć i bliźniakami byli). Zaczyna małżonka Wojtka miewała z nim wiele kłopotu, rozumiała jednak, że go nie przeobrazi. Mąż marnotrawny wracał skruszony do domowego ogniska, gdy się nadto zagalopował.

W teatrze na pierwszy ogień poszła komedyjka Magdaleny Samozwaniec „Malowana żona”. Przyjęta była przychylnie, zważywszy na personalia początkującej autorki. Talent jej właściwsze pole odnalazł w felietonie.

Lepiej powiódł się eksperyment sceniczny Pawlikowskiej. „Szofer Archibald” osiągnął większą ilość przedstawień. Pawlikowska zaczęła sypać nowe komedie z zadziwiającą łatwością i pośpiechem.

Atak Magdaleny Samozwaniec na Mniszkównę, dowcipny w formie i niesprawiedliwy w treści, zjednał jej względy protago-

nistów „Skamandra”. Powieści Mniszkówny w istocie pozbawione były głębszej wartości literackiej: wyjątkową poczytność ich powodował niezaprzeczony talent narracyjny autorki i sentyment, równie dostępny dla czytelniczek z kuchni i magła, jak z salonów. Beletrystyka Mniszkówny była nawskroś uczciwa, czyniła zadość potrzebie społecznej. Nie zasługiwała, żeby się nad nią natrząsać.

... Wojciech Kossak wybierał się w jakiejś dłuższej misji do Londynu. Zaproponowałem mu, by nadesłał do „Świata” serię wrażeń. Z początku wzdragał się, w końcu przyrzekł spróbować.

W korespondencjach, które otrzymywałem, objawił ten sam temperament ułański, co w obrazach rodzajowo-wojskowych. Winszując mu rzekłem:

— Po tej próbie powinienes zabrać się do spisania swoich przeżyć przy dworze berlińskim i wiedeńskim.

Kossak zapalił się do tego projektu. W dwa lata później pojawiły się piękne wydania jego „Wspomnień” w języku polskim i niemieckim.

Kłopoty warszawskich teatrów miejskich. Moje sprawy teatralne.

Warszawskie władze miejskie nie mogły uporać się ze swymi teatrami. Nie były w stanie utrzymać Opery na należytej stopie, rząd subwencji odmawiał. W teatrach dramatycznych łatwiej było wiązać koniec z końcem, lecz system protekcyjny sprawiał, że zarząd teatrami powierzano zazwyczaj dobrym ludziom, ale lichym administratorom.

Dyrekcja Osterwa-Rostkowski, mimo, że ci dwaj ludzie byli z teatrami organicznie zrośli, również nie rokowała pomyślnych nadziei. Rostkowski pracował przez dłuższy czas w biurach administracji teatralnej, jako urzędnik. Wnosił rutynę, trudno było wszakże spodziewać się odeń inicjatywy i pomysłowości. Osterwa, jako aktor, był faworytem publiczności, czarował wdziękiem osobistym, finezją dialogu, i dobrymi manierami, które zawdzięczał opiekuńczym względom Józefa Kościelskiego i Zdzisława ks. Czartoryskiego. Pozornie — kapryśny efeb, w życiu wcale dobrze umiał sobie radzić. Tkwiła w nim uparta wola proletariackiego dziecka, które chciało oderwać się od swej sfery. Osterwa wyczuwał umiejętnie, skąd wiał wiatr i zawsze umiał szukać wpływowych protektorów. Był równie zadowolony przed przewrotem

majowym w Belwederze prez. Wojciechowskiego, jak później — w salonach pani generałowej Gąsiorowskiej, małżonki szefa Sztabu, lub pani ministrowej Bobkowskiej, córki prez. Mościckiego. Pierwsze małżeństwo — z Wandą Malinowską — podniosło go do burżuazji szlacheckiej. Drugie — z księżniczką Sapieżanką, — zbliżyło do arystokracji. Instytut sztuki teatralnej „Reduta”, przezeń założony i prowadzony, sporo ponośnej młodzieży obojga płci wykoleił, ale też i garść cenionych artystów wydał. Wszyscy byli pod urokiem młodego dyrektora.

W pierwszych miesiącach swej dyrekcji Osterwa ujawniał gorący zapał i nosił się z aspiracjami tak górnymi, że o pułap nieba zawadzały. Najważniejszym jego wyczynem jednak było przemianowanie Teatru Rozmaitości na Teatr Narodowy. Po kilku wstępnych powodzeniach przyszły klęski. Krytyka stała się kwaśna, publiczność, trapiąca kryzysem, od teatru stroniła. Niedobory wzmagali się, Ratusz sarkał, aktorzy dokuczali.

Wojewodą wileńskim został wtedy Wład. Raczkiewicz. Osterwa potrafił wzbudzić w nim zaufanie do swojej apostołskiej misji teatralnej. Skonstruował plan objęcia całego terenu Litwy Wileńskiej przez zespół Reduty, z Wilnem, jako stacją wypadową. Specjalny wagon miał obwozić zespół, wraz z dekoracjami i kostiumami, po miastach i miasteczkach województwa. Układ doszedł do skutku, Osterwa opuścił Warszawę.

Magistrat zwrócił się do Artura Śliwińskiego, ofiarując mu prezesurę Teatrów. Ten propozycję przyjął, dyrekcję Teatru Nowego i Narodowego powierzył Janowi Lorentowiczowi, Letniego — Emilowi Chaberskiemu.

Rok 1924-ty był dla mnie, jako dla autora dramatycznego, wyjątkowo pomyślny. Teatr Polski wznowił „Diabła i Karczmarke”, Teatr Letni — „Zmartwienia p. Hammelbeina”. Oba wznowienia doznały dużego powodzenia. Dekoracje i kostiumy, skomponowane do „Diabła i Karczmarki” przez Karola Frycza, nadały przedstawieniu cechy fantastyczne, których Teatr Rozmaitości nie potrafił dobyć. Swywolna bajka nabrała bogactwa barw i ruchu. Może jeszcze poskąpiono muzyki, odpowiednio dostosowanej. W obsadzie na pierwszy plan wysunęły się dwie młode artystki, świeżo z Krakowa przybyłe: Maria Malicka i Maria Modzelewska.

Obie stały się najwybitniejszymi talentami swego pokolenia. Główne role męskie objęli Wład. Grabowski i Jaracz.¹⁾

W „Zmartwieniach p. Hammelbeina” tryumfowali Ćwiklińska i Fertner. Stworzyli parę niezrównaną. Farsa nie była wysokiego poziomu, ale tak rozbawionej publiczności i takich salw nieustannego śmiechu ani przedtem, ani potem w teatrze nie zaznałem.

Ślub syna. Boże Narodzenie w Zakopanem.

Mój syn zakochał się w młodziutkiej pannie Irenie Lilpopównie, córce śp. Bronisława i Zofii z Wernickich, a bliskiej krewnej naszego przyjaciela, Stanisława Lilpopa. Pani Lilpopowa posiadała majątek ziemski pod Słonimem. Syn nasz odbywał wówczas aplikację adwokacką.

Młode lata syna przypadły na okres wyjątkowo ciężki. Chłopiec zasługiwał na uśmiech losu, trudno było znaleźć duszę czystsza. Sobie wszystkiego ujmował, by innym dawać. Nasze współżycie (nazywaliśmy je komuną rodzinną) opierało się na bezgranicznym, wzajemnym zaufaniu i całkowitym zespoleniu uczuć, zainteresowań i frasunków.

Święta Bożego Narodzenia 1924 r. spędziłem z żoną w Zakopanem. Na Wigilię zaprosili nas Waydowie, którzy inaugurowali swój świeżo wykończony „Biały Dom”. Korolewicz-Waydowa prześlicznie śpiewała kolędy, zgromadzoną brać literacko-artystyczną ponosiła radość życia. Wśród gości znalazł się gen. Wład. Sikorski. Był w humorze wybornym, przy stole wygłosił przemówienie, nacechowane gorącą wiarą w przyszłość.

¹⁾ Julian Ejsmond wydrukował z powodu wznowienia „Diabła i Karczmarki” wiersz, który tak się zaczynał:

Gdyby Malickiej przy końcu żywota
nie uchroniła przed piekłem jej cnota,
gdyby do ciemnej wzięto ją otchłani,
powariowałiby wszyscy szatani...
W miódby hyblejski zmieniła się siarka,
Lucyfer śpiewałby, jak sam Petrarka,
na tkliwy temat: „Diabeł i Karczmarka”.

Głuszce w Białowieży. General Bałachowicz.

Minister Rolnictwa, Stanisław Janicki, zaprosił mię na toki głuszcowe do Puszczy Białowieskiej.

...Drogę przebyliśmy samochodami w kilka godzin. Wieczorem siedzieliśmy przy kolacji w szpetnym pałacu myśliwskim Białowieży.¹⁾ Kompania myśliwska była dobrana: dwóch miłych cudzoziemców, poseł duński Arnstedt i amerykański a t t a c h é wojskowy, kpt. Moore, minister Janicki, dyrektor lasów państwowych Miklaszewski, Stanisław Lilpop, Wład. Rabski, Włodz. Korsak, Julian Ejsmond i ja.

Rabskiemu i mnie przypadł pokój, który służył kiedyś za sypialnię cesarzowej Aleksandrze, małżonce Mikołaja II-go. Obok mieściła się obszerna łazienka, w której nieletni następca tronu został rażony groźnym krwotokiem.

Po wieczery samochodami do Hajnówki. Tam wagoniki kolejki leśnej. Myśliwi ładują po dwóch w poszczególnych rewirach. Przy rozpalonych ogniskach czekają leśnicy.

Mnie los wyznaczył wspólny rewir z Ejsmondem.

...Była dopiero północ. Mieliśmy wyruszyć do naszego ostępu o wpół do drugiej.

Usadowiliśmy się na zwałach dokoła ogniska. Puszcza tonęła w czarnym mroku. Że mimo puszystych futer chłodny dreszcz chodził po plecach, puściliśmy w ruch manierkę z wódką.

I rozpoczęła się z leśnikami cicha gawęda myśliwska, — cicha, bo wszystkich przytłaczał majestat Puszczy.

W czym tkwi jej niesamowite piękno i surowa powaga? Właściwie, to przecież taki sam las, jak każdy inny, tyle że bardziej rozległy, stary i zaniedbany!

Nieprawda!

Zwykły las tak się ma do Puszczy, jak ogrodowy staw, na którym pływają domorosłe gęsi i kaczki do wielkiego, dzikiego jeziora.

W Puszczy wszystko jest spotężniałe: jej dawność, ogrom, — głębia jej oddechu. Nie daj Boże, gdy się w niej gniew rozpęta. Ryk, świst i łomot wtenczas taki, jak gdyby się czeluście piekieł rozwarły!

¹⁾ Pałac ten kazał wybudować architektowi niemieckiemu cesarz Aleksander III. Kiedy go zobaczył, podziękował twórcy jednym lapidarnym słowem: — Naplewat’.

W Puszczy wszystko przejmuję nieokreślonym niepokojem, — niepokojem i respektem, jaki budzi elementarna potęga przyrody.

Teraz wczesne przedwiośnie. W rozpadlinach biela się jeszcze płaty śniegu, ale w powietrzu nie ma już twardości zimy. Lekki wiatr nasiąkł wilgocią.

Puszcza śpi. Cisza kamienna. Czerwone światła ogniska nie sięgają dalej paru kroków. Rozmowy utknęły. Gdzieś niedaleko odzywa się ponure wołanie puszczyka.

...Leśnicy podnieśli się ostrożnie. Obejrzałem uważnie naboje, włożyłem je do luf, leśnik podał wysoką rosochę, wystruganą z brzoški. Poszliśmy gęsiego niewidoczną, bagnistą ścieżyną wśród wykrotów i zielska. Woda pluskała pod butami. Na trzęsawiskach kładki: cienkie sosny, niedbale rzucone. Przewodnik posuwał się bez zatrzymania.

Przystanęliśmy na suchej polance, pod starym dębem. Leśnicy zamienili się w słuch. Widnokrąg od wschodniej strony już szarzał, odzywał się wąty, urywany pogwizd budzącego się drobnego ptactwa. W pobliżu zaszczekał kozioł, gdzieś daleko swarzyły się żórawie.

Leśnik Ejsmonda nagle poruszył się, ujął go za rękę, zniknęli w ciemnościach. Mój leśnik ani drgnął, wsłuchany nabożnie w przedporanną symfonię Puszczy. Lecz oto i jemu oczy błysły, nabrał ducha. Zanurzyliśmy się w mroczną mokrzę leśnych bezdroży. Wśród zmaconych dźwięków zbliżającego się świtu i ja wreszcie rozróżniłem ledwo dosłyszalne klaskanie głuszca.

Głuszc zapamiętywa się przy drugiej części swej pieśni, — podczas szlifowania. Ta druga część trwa 5 do 6 sekund. Trzeba w tym krótkim czasie poskoczyć kilka kroków naprzód, i znieruchomieć, nim pieśń się urwie, — zanim skrzydlaty król Puszczy odzyska przytomność. Bo skoro to nastąpi, spłoszy go najlżejszy szelest.

Przestrzeń, która nas od głuszca dzieliła, wynosiła około trzystu metrów. Posuwaliśmy się, kiedy kogut szlifował, w cichych skokach, zatrzymując się w najdziwniejszych pozycjach, gdy kończył. Raz utknąłem w głębokim bajorze, powyżej kolan, woda była zimna jak lód. Gumowe buty chroniły wprowadzić od przemoczenia, lecz stopy od chłodu drętwiały. Trzymałem się na nogach wysiłkiem woli. Kogut, jak na złość, milczał, minuta wydawała się godziną.

Wreszcie przemówił. Pot ściekał mi spod kapelusza strumieniem. Leśnik podał mi rękę. Wydostałem się na suchą kępę...

Oczy wpijały się w grupę sosen na rudym mokradle. Pieśń biegła stamtąd, serce łomotało w piersiach. Żrenice leśnika płonęły. Przeżywał to samo wzruszenie myśliwskie, co ja.

W czarnym, gęstym igliwiu niepodobna była głuszca dostrzec. Podchodzić bliżej? Niebezpiecznie. Przestał się odzywać, widocznie odczuwał niepokój. Niebo blade, radosny jazgot ptactwa wzmacniał się.

...O pół kilometra od nas, jeśli nie o kilometr, huknął strzał. Ejsmond dopadł swego głuszca, może podnosił go już z ziemi! Trzymałem fuzję w pogotowiu, licząc, że i mój kogut się poruszy. Nic z tego. Puszcza zamilkła ze zgrozy. Stałem bez ruchu, w zakłęta sosnę zapatrzony, gdy nagle za sobą usłyszałem potężny łopot skrzydeł. Obróciłem się. Ponad wierzchołkami drzew sunął ku nam olbrzymi ptak. Gdy był na 50 kroków, bez namysłu strzeliłem z rzutu, i równocześnie odwróciłem się do naszej sosny, bo leśnik gorączkowo wskazywał mi gałąź. Słyszałem, jak strzelony głuszc spadł ciężko na ziemię, aż jęknęła. I w tej chwili dojrzałem wreszcie ciemną sylwetę koguta, — któregośmy podchodzili. Strzeliłem z drugiej lufy. Ocierając się o gałęzie, głuszc spadł w wodę. Chlusnęła fontanna.

Wszystko to trwało nie dłużej, jak kilka sekund. Byłem oszłomiony. Leśnik biegł po głuszce, kładł mi je u stóp. Z krzaka świerczyny uciał nożem dwie gałązki i z namaszczeniem wsunął mi je w klapę kożucha.

Odczuwałem to samo wzruszenie, jakiego doznawał przed tysiącami lat mój pradziad tryglodyta na widok ubitego przedpotopowego potwora. Ucałowałem leśnika, on kiwał głową z uznaniem.

— Pięknie pan strzelił!

Sięgnąłem do manierki, łykaliśmy po tęgim haucie nalewki.

Ranek był już jasny i słoneczny, gdy wagonik kolejki z myśliwymi zatrzymał się na naszym postoju. Ejsmond nadszedł przede mną, gorzko uskarżał się na przewrotność głuszca, który w chwili strzału sfrunął z gałęzi. Arnstedt i Moore, — każdy trzymał w ręku koguta, — słuchali zwierzeń z uprzejmym współczuciem. Rabski i Janicki, którzy do strzału nie doszli, szydzili z niedoli poety.

Lilpop, ujrawszy mię z daleka, wołał:

— Zabiłeś?

Odpowiedziałem z niezupełnie szczerą skromnością.

— Dwa.

Ogólne zdumienie.

— Jakto dwa?

Opowiedziałem moją odyseję. Wzbudziła sensację. Lilpop, jako przyjaciel, cieszył się moim sukcesem. Jako myśliwy-formalista, czynił zastrzeżenia. Nie darmo Weyssenhoff z niego wzór czerpał do świetnej postaci Liebego w „Sobolu i Pannie”.

— Na tokach wiosennych, kończył swój fachowy wykład, powinno się strzelać jedynie do głuszca, siedzącego na drzewie i podczas pieśni.

Taka była reguła snobizmu myśliwskiego. Lecz gdybym był nie zaryzykował strzału w lot, prawdopodobnie wróciłbym bez koguta. A tak zdobyłem dwa!

Ejsmond ułożył na temat mej przygody bajkę, którą przy obiedzie w pałacu wygłosił.

.

Pod wieczór strzelałem do słonek na ciągu, parę spuściłem. Gdym wracał o zmroku do szosy, przebiegł ścieżkę duży wilk. Miałem broń nabitą drobnym śrutem, odległość była koło stu kroków. Szkoda było naboju.

Towarzyszący mi pracownik administracji leśnej opowiadał anegdoty o generale Bałachowiczu. Był to żołnierz wielkiej fantazji, a jakich sposobów się imał, by swoich ochotników dzierżyć w ryzach karności, świadczył fakt następujący:

Zdarzyło się, że kilku kozaków po pracy bawiło się w karty. Jeden zgrał się do nitki. Chciał się odbić, postawił na kartę ubranie i buty, które miał na sobie. Przegrał. Koledzy rozebrali go i puścili nago na ulice Hajnówki. Tam napotkał go policjant i zaaresztował.

W urzędzie zjawił się wnet gen. Bałachowicz.

— Oddajcie mi chłopca. Lepiej będzie, jeśli ja sam sprawę rozpatrzę i winnych ukarzę.

— Dobrze.

Sąd odbył się niezwłocznie. Gen. Bałachowicz zwrócił się do kolegów niefortunnego gracza.

— Złupiliście bezwstydnie towarzysza, zdarliście z niego nawet ubranie. Każdy z was dostanie 25 nahajek, a bić będzie przegrany.

Kozacy położyli się bez szemrania, poszkodowany wrzepił każdemu wyznaczoną porcję.

Gdy skończył, gen. Bałachowicz do niego przemówił:

— Teraz ty, bratku, połóż się na tym samym miejscu. Żeś był głupi, i dał się zgrać tak haniebnie, otrzymasz odemnie nahajek pięćdziesiąt.

.

Pojechaliśmy wieczorem w kilku na toki cietrzewie, ja na jednej bryczce z Lilpopem. Droga wiodła nawskroś przez Puszcę, takich wertepów jeszcze w życiu nie spotkałem. Na przedzie konwoju szedł leśnik z latarnią, wskazując drogę, konie szły stępą. Nie wiele to pomogło. Nasza wysoka bryczka wpadła kołami w wyrwę i niespodzianie tak się przechyliła, że wszyscy trzej, Lilpop, ja i woźnica, wylecieliśmy jak z procy w maź grzęzkiego, czarnego błota. Gdyśmy się podnieśli, wyglądaliśmy jak czarnoludy. Lufy fuzji, którą trzymałem między nogami, błotem do pełna się nadziały.

Nieudała to była wyprawa, bo na tokowisko przybyliśmy za późno.

Odbudowa.

„Złoty” trzymał się mocno, kraj się odradzał. Nowe warsztaty pracy wyrastały, jak grzyby po deszczu. Upadek ducha przeradzał się w szal inwestycji, często niewspółmiernych ze środkami. Grabski zwierzał się, że nie tylko nie potrzebuje zachęcać do odbudowy, lecz — przeciwnie — musi jej rozpęd miarkować. Doprowadzano do porządku uszkodzone dworce kolejowe: jeśli były spalone lub zburzone, — wznoszono nowe, piękniejsze. Administracja państwowa potrzebowała obszerniejszych gmachów, zwiększająca się w miastach ludność — mieszkań. Gdy rząd nie był w stanie wszystkim zadaniom podołać, użalano się, że gasi entuzjazm.

Ten sam zapał ogarniał inne dziedziny życia. Mnożyły się bez liku stowarzyszenia i związki. Każdy zawód, każdy odłam pracy chciał posiadać własną organizację i pragnął, by ta jego organizacja nawiązywała styczność z analogicznymi zrzeszeniami zagranicznymi. Nastął okres kongresów międzynarodowych. Zjeżdżali się z różnych kątów świata ludzie zacni i nudni, marnując czas na wygłaszanie referatów, których mało kto słuchał. Podczas uroczystych bankietów wznoszono kwieciste toasty na cześć wiecznego pokoju i braterstwa ludów.

Wiosnę życia powojennego cechował czczy uniwersalizm, zainteresowanie eksperymentem bolszewickim i takie rozlubowanie się w tańcu, że nawet siedemdziesięcioletni Bernard Shaw, radykał, drwiący ze wszystkich uznanych świętości, pilnie uczył się foxtrotta i rumby.

Poprawę wewnętrzną w Polsce widzieli i chwalili cudzoziemcy, natomiast nie wszyscy swoi chcieli ją dostrzec. Mniemali, że ten sam cud, który trzy zabory wyzwolił i połączył, powinien być odrazu Polskę uczynić Arkadią wszelkiej pomyślności. Jeśli tak się nie stało, winę ponosił nie naród, lecz zły rząd.

Szemrania i utyskiwania podsycala zawiść. Niecierpliwiły się ambicje królewiatek sejmowych, mnożyły — intrygi.

W sferach ziemiańskich wzrosła niechęć, gdy rząd przeprowadził ustawę w Sejmie o reformie rolnej. Była to historyczna konieczność, — wypełnienie honorowego przyrzeczenia, danego właścicielstwu polskiemu w lipcu 1920 r.

Wytrzymałość Grabskiego w tej atmosferze zaczęła się kruszyć.

A nadchodził moment krytyczny. W sierpniu 1925 r. na giełdzie warszawskiej wybuchła panika. Banki niemieckie, posłuszne inspiracjom swoich władz państwowych, cisnęły wielkie ilości waluty polskiej na rynki zachodnio-europejskie. Złoty polski zachwiał się. Interwencja ze strony rządu wydawała się nieodzowną.

Opozycja sejmowa nie zawahała się wyzyskać sposobności, by podstawić Grabskiemu nogę. Zdołano wzbudzić skrupuły w Stanisławie Karpińskim, którego Grabski powołał był do przewodnictwa w Radzie Nadzorczej Banku Polskiego.

Karpiński, człowiek prawy, lecz sugestiom Demokracji Narodowej uległy, zląkł się odpowiedzialności, jakaby nań spadła, gdyby interwencja na giełdach zagranicznych nie odniosła skutku. Może nie wierzył w jej powodzenie.

Bank Polski odmówił Grabskiemu współdziałania.

Grabski, wyczerpany nerwowo, bawił na krótkim wypoczynku w Krynicy, kiedy Kauzik przywiózł mu wiadomość o stanowisku, jakie zajął Karpiński. Grabski podobno się rozplakał. Życzliwi namawiali go, aby do obrony waluty posłużył się Bankiem Gospodarstwa Krajowego. Omówił. Utracił wiarę w zwycięstwo.

Grabski energią swą przełamał niechęć i bierny opór społeczeństwa w uiszczaniu podatków, wskrzesił zaufanie do własnych sił, pobudził ogół do pracy i oszczędności. Całokształtu zagadnień gospodarczych nie zdołał rozwiązać.

Zasługi Grabskiego oceniła garść ludzi roztropnych i sprawiedliwych, pospół chciał cudu. Że cud zawiódł, niezadowolenie wyładowywało się w płaskich koncepcjach. Porównywano Grabskiego do fantasty, który, chcąc oduczyć swego osła od jedzenia, zmniejszał mu stopniowo porcje stawy. Osioł chudł, lecz redukcję znosił, fantasta tryumfował. Wreszcie całkiem przestał osła karmić, ciesząc się, że cudu dokonał. Osioł po dwu dniach zdechł.

Proponowano również, aby na cokół, który dźwigał na Krakowskim Przedmieściu Mickiewicza, zamiast poety postawić Grabskiego z napisem:

„Twórcy dziadów — rodacy”.

Lato na Pomorzu.

Postanowiliśmy spędzić tygodnie wakacyjne nad morzem lub w pobliżu morza. Wpłynęła na decyzję akwizycja małego Citroen'a, pozwoliły na wydatek tantjemy teatralne.

Wybraliśmy ciche Kartuzy. Stały się one punktem wypadowym, bo codziennie robiliśmy wycieczki, już to na wybrzeże, już w głąb lasów pomorskich, tających sennie jeziora. Nieraz zapędzaliśmy się tak daleko, że wracaliśmy, gdy już dzień świtał. W ten sposób poznaliśmy dokładnie ten kraj piękny, lecz urody chłodnej i bez uśmiechu.

Syn nasz przybywał na week-end'y aeroplanem na lotnisko gdańskie. Bardzo sobie chwalił tę lokomocję.

Dziad mój jeździł do Karlsbadu własną karetą, ojciec podróżował po całej Europie koleją, mnie najlepiej odpowiadał samochód, że łączył w podróży szybkość z niezależnością. Syn przekładał samolot, jako nierównie szybszy.

Co czeka moją wnuczkę?

Manewry na Wołyniu. (Sierpień 1925 r.).

Wczesnym rankiem letnim trzy długie węże pulmanów wślizgnęły się jeden za drugim na niewielką stację wołyńską, odświętnie przystrojoną. Zaaferowani ordynansi biegali wzdłuż wagonów. Nad dworcem, wysoko pod niebem, kołysał się balon na uwięzi, warczały przelatujące chyżo eskadry samolotów. Gdzieś daleko huczały armaty. Z pociągów wysypał się tłum wojskowych przeróżnej broni i rangi, wśród nich — gen. Gouraud, bohater wojny światowej, o surowej twarzy wodza, gen. Ironside, wspinały typ anglosasa, włosi, hiszpanie, rumuni, dobrze odżywiony oficer turecki. Japończyk rozglądał się uważnie, z przymarznętym uśmiechem na czarnych wargach. Witał przybyłych gen. Sikorski, otaczali go generałowie Józef Haller, Żeligowski, Romer, Szeptycki.

Naczelne kierownictwo manewrów spoczywało w rękach gen. Rozwadowskiego, typowego szlachcica polskiego, ucharakteryzowanego na dygnitarza austriackiego. Płk. Kukowski, rumiany i uśmiechnięty, zapraszał do wnętrza dworca na śniadanie, namawiał do gruntownego posiłku.

— W tumultcie wojennym kantyny zawodzą! — przestrzegał.

Niebawem długi sznur samochodów walił szosą, wspinał się w tumanach kurzu na łyse, kamieniste wzgórze, z którego roztaczał się widok rozległy. Tutaj gen. Rozwadowski doskonałą francuzczyzną wygłosił krótki fachowy wykład dla oficerów cudzoziemskich. Ledwie skończył, na dalszych planach pojawiły się większe zastępy konnicy. Przednie straże armii atakującej potykały się z tylnymi strażami armii napastowanej. Wzmagająca się strzelanina z karabinów, terkotały maszynki, rósł huk niewidzialnych dział.

Kilka razy zmienialiśmy punkty obserwacyjne. Dzień był rozkosznie błękitny, słońce prażyło. Ciężkie pociski i szrapnele znaczyły się coraz bliżej. Na dużą kolumnę jazdy, która wichrem wypadła z lasów na pola otwarte, rzuciły się jastrzębim lotem eskadry powietrzne. Konnica rozsypała się, jak spłoszone stado kuropatw.

Przepowiednie Kukowskiego sprawdziły się, kantyna zawieruszyła się w drodze. Mackiewiczowi doskwierał głód, jeszcze więcej — pragnienie. Znalazła się wprawdzie beczka z wodą źródlaną, lecz urażony Mackiewicz oburknął się, że tak nisko nie upadł. Bliżej i dalej przesunęły się większe zastępy piechoty, artyleria zmieniała w pośpiechu pozycje, pędziły pułki konnicy. Stary Rosen, wojak doświadczony, uspokajał że wszystko skończy się dobrze.

Pod wieczór zatrafiły pobudki, samochody powiozły nas z powrotem na stację. W drodze natknęliśmy się na pułk ułanów, który przegalopował, nie zatrzymując się, 30 kilometrów. Gen. Ironside wyskoczył z samochodu, zaglądał koniom w pyski, badał pęciny, przypatrywał się jeźdźcom. Wszyscy oczekiwali w napięciu, co powie.

Nie powiedział nic. Przyłożył rękę do czapki i wrócił do samochodu, bawiąc się szpicrutą.

Rzuciliśmy się na obiad, jak zgłodniałe wilki. Rosen, bardzo znużony, proponował, żeby zaraz po kawie pójść na spoczynek. Już zatrzymaliśmy się przy naszym wagonie, gdy Antoni Bogusławski, poeta, dziennikarz i oficer, zaczął opowiadać Mackiewiczowi anegdotę, której ten, o dziwo! nie znał. Anegdota, bardzo sprośna, podnieciła Mackiewicza. Wywiązał się turniej między dwoma najlepszymi może w ówczesnej Polsce opowiadaczami anegdot.

Byliśmy nieludzko umęczeni, objedzeni, opici, morzyła nas senność. Talenty narracyjne Bogusławskiego i Mackiewicza odniosły zwycięstwo. Słuchaliśmy ich na stopniach wagonu do późnej nocy. A o 6-ej zrana ozwały się trąby i piszczałki orkiestry ułańskiej.

Punktem obserwacyjnym drugiego dnia była Krasnogóra. Ze stożkowatego jej szczytu wzrok sięgał do ciemnych borów. Skra-

jem ich toczyła swe wody Ikwa, w dali bieliły się wieżycy Ławry Poczajowskiej, ukraińskiej Częstochowy.

Ojczyście strony Słowackiego! Tu się urodził i wychował, tęsknota za tym szmatem ziemi żarła go na obczyźnie do śmierci.

...Ostateczna rozgrywka między dwiema walczącymi armiami nastąpiła na stokach Makutry. Teren raptownie się ożywił. Kawaleria „czerwonych” pędziła olbrzymią ławą na pozycje „niebieskich”, mimo gęsto rozsianych gniazd z karabinami maszynowymi. Na prawym skrzydle szorował prosto na nas z piekielną furją pułk ułanów. Na przedzie gnał młody pułkownik z wzniesioną do góry szablą. Ułani pochyłili się na siodłach, wściekle „hurra” zlewało się z niemilknącym grzmotem armat, z przynaglonym stukaniem maszynek, z gniewnym warkotem nurkujących samolotów.

— Stój!

Niemal u naszych stóp wryły się w piach kopyta końskie. Pułkownik, zdyszany i płonący, opuścił szablę. Jakże chętnie bylibyśmy go uściskali!

Lecz oto podbiega wzburzony gen. Rozwadowski. Aby mu powinszować? Nie, aby go wobec wysokiego areopagu skrzyczeć:

— Taka fantazja, wołał, jest niedopuszczalna! Ani jeden żołnierz pański nie dojechałby żywy!

Gorący pułkownik pochylił głowę, stropiony i zawstydzony.

Gen. Rozwadowski, wódz śmiały, militarnie wyszkolony i doświadczony, miał z pewnością słusność.

W lipcu 1939 r. Rydz-Śmigły i Kasprzycki zapewniali, że bohaterstwu naszej konnicy nie oprą się najnowocześniejsze czołgi i działa...

....Gen. Gouraud utkwiał orle spojrzenie w dwu oficerach polskich, skromnie trzymających się na uboczu. Podszedł do nich.

— Panowie byli ze mną w 1918-m roku w Szampanii?

— Tak jest, generale.

Generał wyciągnął do nich rękę, jedyną, jaką posiadał.

— Jestem szczęśliwy, że tutaj, na wolnej ziemi polskiej, mogę uścisnąć wasze dłonie.

Siwe oczy oficerów zaszklily się wzruszeniem.

Manewry pod Krzemieńcem wykazały zalety naszego zespołu oficerskiego, wytrzymałość żołnierza. Materiał ludzki był wyso-

kiej wartości, niedostawało czołgów, szybkostrzelnych dział i samolotów.

Ekspansja zagraniczna literatury polskiej.

Z inicjatywy Stefana Żeromskiego powstał Polski Klub Literacki (Pen-Club), jako samodzielna jednostka narodowa organizująca się pisarstwa wszechświatowego.

Ludzkość, umęczona wojną i spragniona trwałego pokoju, łudziła się, że, zbliżając grupy zawodowe różnych nacji, doprowadzi do wyrównania uprzedzeń i do usunięcia dzielących narody niechęci. Wyciągnięto z lamusów hasła 1848 r.: braterstwo ludów, solidarność powszechną. *Treuga Dei!*

Na porządku dziennym były kongresy międzynarodowe.

Odradzającej się Polsce niepodobna było uchylić się od udziału w tych poczynaniach, mimo, że trudno było w ich skuteczność wierzyć.

Nim powstał Pen-Club, nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych dopomogło do założenia Towarzystwa Popierania Sztuki Polskiej Zagranicą. W tym Towarzystwie utworzoną została, między innymi i sekcja literacka (byłem jej przewodniczącym). Lecz gdy rozwinął się Pen-Club, Towarzystwo Popierania Sztuki Polskiej Zagranicą, prowadzone przez Tretera i Guttrego, zajęło się głównie propagandą polskich sztuk plastycznych i muzyki.

Pierwszym prezesem Pen-Clubu polskiego był Jan Lorentowicz, mnie przypadła wiceprezesa.

Piśmiennictwo polskie poniosło w tym czasie niepowetowane straty: dwaj jego koryfeusze, Żeromski i Reymont przedwcześnie dokonali żywota.

Wł. Grabski rezygnuje.

Środki zapobiegawcze, do których Grabski musiał się ograniczyć, nie odniosły skutku. Kurs złotego spadł. Zmora ponownej inflacji wywowała w życiu gospodarczym zamieszanie i trwogę.

Zaufanie do własnej waluty zostało znów podważane. Rządowi groził upadek. W październiku Grabskiego podtrzymał swoim autorytetem prez. Wojciechowski.

Lecz w połowie listopada 1925 r. spadek złotego wynosił już dwadzieścia parę punktów. Prez. Wojciechowski nie mógł uratować przyjaciela. Grabski zresztą nie upierał się przy władzy. Usunął się z godnością — i goryczą — „by zniknął cel, do którego strzelano, trafiając w rząd i w interes państwowy.”

Po Grabskim Skrzyński — po Skrzyńskim Witos.

Miernoty polityczne urągały prawdzie, opowiadając, że Grabski musiał ustąpić, bo naród stęsknił się za przywróceniem władzy Sejmowi. W tym samym czasie francuski filozof Gustaw Le Bon pisał o parlamentaryzmie powojennym, że „nie bronił interesów państwowych, że był jedynie organem malkontentyzmu, który szerzyli rozmyślnie demagodzy partyjni”. Hr. Aleksander Skrzyński uległ namowom i złożył gabinet „kadłubowy”, zatrzymując dla siebie Sprawy Zagraniczne. Na ministra Skarbu wysunął się niespodzianie Jerzy Zdziechowski, kolega Skrzyńskiego z Klubu Myśliwskiego. Był to człowiek niezaprzeczalnie zdolny, lecz nie dorastający do tak odpowiedzialnego stanowiska. Ministrem Spraw Wojskowych został gen. Żeligowski, ministrem Spraw Wewnętrznych — Wład. Raczkiewicz. Inne resorty objęli Kiernik, Stan. Osiecki, Adam Chądzyński, M. Rybczyński, Norb. Barlicki, Bron. Ziemięcki, Jan Jankowski.

Sejm powitał nowy rząd łaskawie. Społeczeństwo — z niedowierzaniem. Doświadczyło już bezskuteczności łączenia wody z ogniem, — współpracy żywiołów biegunowo sprzecznych.

W Niemczech szydzono radośnie z wewnętrznych rozterek polskiego „państwa sezonowego”....

Stanisław Thugutt upominał:

— „Jesteśmy społeczeństwem, w którym rozprzegają się wszelkie więzy. Ci, którzy atakują Sejm, winni uwzględnić, że Sejm jest taki, jaką jest Polska. W państwie zanikł wszelki autorytet: Sejmu, rządu, urzędnika, sądu, a przede wszystkim — polskiej gospodarki. Strwożyła się i zmąciła dusza narodu. Upada wiara w przyszłość, we własną moc, w swoje prawa do życia. Stronnictwa martwieją w bezsensowych kalkulacjach partyjnych albo sypią się w gruzy, na których, jak chwast, pleni się coraz dziksza demagogia. Inteligencję zabija nędza i strach. Chłop, który przed wojną był wielkim

ugorem duszy narodowej, który w początkach istnienia nowego państwa budził się do życia z siłą żywiołowego zjawiska, kurczy się w sobie, przypada do ziemi, próbuje odwiecznej chłopskiej taktyki: przeczekać zło.¹⁾

Prof. Adam Krzyżanowski w broszurce p. t.: „Pauperyzacja” kreślił posępny obraz sytuacji gospodarczej.

Hr. Skrzyński rychło zorjentował się, że jego rząd piętrzącym się coraz wyżej trudnościom nie sprostą. Chciał odejść, trzymano go za poły. Atmosfera była naładowana elektrycznością.

Z Sulejówka dochodziły wieści, że cicha samotnia marsz. Piłsudskiego raptownie się ożywiła, że odbywały się tajemnicze narady z oficerami i cywilami, którzy stanowili dawne najbliższe otoczenie marszałka.

W Sejmie, w Belwederze, w kołach politycznych stolicy wy czuwano, że zbliżała się burza.

Hr. Skrzyński musiał pozyskać dokładniejsze wiadomości, bo 5-go Maja nieodwołalnie zgłosił dymisję gabinetu.

Prez. Wojciechowski zniewolony był tym razem przyjąć rezygnację. Utworzenie nowego rządu zlecił Witosowi.

Lista nowych ministrów została ogłoszona w dniu 10-go maja.

Przewrót majowy.

Wiedzieliśmy, że działo się źle. Mało kto jednak spodziewał się, że na ulicach Warszawy pułki po'skie staną do walki orężnej z innymi pułkami polskimi: że od wskrzeszenia wolnej Ojczyzny nie minie dziesiątek lat, i już wojna domowa!

...Jakby na urągowisko, błękit nieba był tego dnia ²⁾ bez skazy, powietrze pachniało wiosną. W rozkwitłych bzach i kasztanach szczebiotało radośnie ptactwo.

¹⁾ W życzliwym dla Polski tygodniku paryskim „Les Annales” deputowany A. Fribourg, omawiając sprawy polskie, przestrzegał: Wyższość Prus polegała na tym, że miały one zawsze rząd, a Polska nie posiadała go nigdy. Silna władza Hohenzollernów, konsekwentna i nieprzerwalna, stworzyła państwo pruskie. Nie mając dlań mocnych granic naturalnych, władza ta oparła się na dwóch czynnikach: na tegiej armii i na tegiej administracji. Tymczasem w Polsce panowała anarchia, nie było rządu, nie było wojska, nie było administracji. Polska musiała stać się łupem sąsiadów. Lekcja, jaką daje historia, nie powinna być zapomniana.

²⁾ 12 maja 1926 r.

W Alei 3-go Maja, pod oknami naszego mieszkania, wczesnym rankiem oddziały piechoty w rynsztunku bojowym rozkopywał na przecięciu Nowego Światu bruk i wznosił niewysoki szaniec.

Słysząc było niedaleki terkot maszynek, salwy karabinowe, z rzadka — huk armat. Ulice wymarły. Rzadki przechodzień, zagnany koniecznością, przemykał śpiesznie, zniknął za węglem. Na przeciw Gastronomii stał pusty czołg. Usiadł na nim mały gazeciarz i gapił się na żołnierzy, którzy przy swej pracy wykonywali ruchy dziwaczne, jakby oganiając się od natarczywych much. Gdy jednego wyniesiono na noszach, chłopak zraził się i umknął. W godzinę później na tym samym miejscu ciężko raniona została zbłąkana kula nie dość ostrożna dziewczynka.

Żołnierze skończywszy robotę, ułożyli się za wzniesionym na prędce okopem i poczęli strzelać w stronę mostu Poniatowskiego. Tam podobna znajdował się marsz. Piłsudski ze swym sztabem.

...Okropna myśl, że to bracia strzelają do braci, chwytając za gardło. Zona zamknęła się w sypialni, syn — w swoim pokoju, ja siedziałem przy biurku, usiłując pracować. Gdy strzelanina wzmogła się, zona weszła do gabinetu, pochyliła się nademną. Kula gwizdnęła tuż nad głowami. W górnej szybie okna widniał maleńki, krągły otwór. Poszedłem szukać śladów strzału na przeciwległej ścianie. Znalazłem kulę w machoniowym oparciu starej, biedermajerskiej kanapy.

...Po południu strzelanina przycichła. Na chodnikach zjawili się nieliczni przechodnie; pierwszy strzał rozpraszał ich po bramach. Potem znów zaczęły grać armaty. Na podwórku naszego domu zebrała się garstka mieszkańców. Opowiadano o przebiegu walki na Nowym Zjeździe, o pułkach poznańskich, wiernych prez. Wojciechowskiemu i rządowi. Przewaga sił wydawała się po stronie marsz. Piłsudskiego.

Wieczorem miasto zaległ martwy spokój. Od czasu do czasu przebiegały większe patrole, tu i owdzie stały pikiety. Nikt nie był pewny, do jakiej należały armii.

Następnego dnia linia frontu przesunęła się w kierunku Łazienek. W śródmieściu walki ustały. Zgorączkowane tłumy zapełniły ulice. Ukazały się dodatki nadzwyczajne gazet.

Pod wieczór, jak wicher, przeleciała przez miasto wieść:

— Belweder wzięty!

.

Dwustu poległych, koło tysiąca rannych!

„Robotnik” nazywał „białą gwardią” wojska, które, dochowując wiary prezydentowi Rzeczypospolitej i rządowi, spełniły swój obowiązek. W oczach Demokracji Narodowej pułki, które stanęły przy marszu Piłsudskim, były „czerwoną armią rewolucyjną”. Komuniści próbowali wywołać strajk powszechny.

Prez. Wojciechowski, pragnąc uniknąć dalszego przelewu krwi, opuścił Belweder i w towarzystwie Witosa oraz paru innych ministrów poszedł piechotą do Wilanowa. Gen. Zagórski proponował mu podobno samolot do Poznania. Prez. Wojciechowski odmówił. Podpisał akt, w którym zrzekał się swego mandatu i wyjechał na razie do Spały.

W Belwederze pozostał wystraszony Konstanty Lenc. Żadnej krzywdy mu nie wyrządzono, lecz odtąd w niechęci do marsz. Piłsudskiego nie dał się nikomu prześcignąć.

Walka była skończona.

Ogół oczekiwał teraz w wielkim napięciu dalszych decyzji marsz. Piłsudskiego. Spodziewano się, że obejmie władzę niepodzielną w twarde dłonie.

Wielu było w Polsce obywateli, którzy, nie należąc do obozu marszałka i ubolewając nad krwawym zamachem, — tak czuli się znużeni i zaniepokojeni rozterką wewnętrzną, że godzili się na przewrót, byleby wrócił ład.

— Lepiej, żeby nas wziął za łeb swój, niżli obcy! Piłsudski może zdoła przewyciężyć nieszczęsną skłonność polską do kłótni i warcholstwa, brak dostatecznego zrozumienia obowiązków wobec państwa!

Nieprzejednani endecy wydobyli z lamusa wspomnień powstaniowych powiedzonko, że, jak ongiś Wielopolski, Piłsudski kochał Polskę, ale nienawidził Polaków... Paradoks był równie fałszywym teraz, jak przed sześciu dziesiątkami lat. Piłsudski nie mógł ścierpieć polskiej skłonności do sporów, waśni i niesnasek.

Zamach majowy miał być groźnym napomnieniem. Ale nie wzięto w rachubę, że mógł także być złym przykładem...

Gen. Sosnkowski, od wielu lat najbliższy towarzysz broni marszałka, mając wybierać między jego wezwaniem, a przysięgą na wierność Rzeczypospolitej, targnął się na własne życie. Z trudem zdołano go odratować. Gen. Sikorski nie opuścił ze swymi pułkami Lwowa, choć podobno był przez obie strony wołany. Uniknął w ten sposób udziału w wojnie domowej. Marsz. Piłsudski Sikorskiemu nigdy nie wybaczył, Sosnkowskiemu — nie zapomniał.

W Sejmie i poza Sejmem mniemano, że bezpośrednim następstwem zamachu będzie zawieszenie Konstytucji, rozwiązanie Izby i ogłoszenie dyktatury.

Gdy się dowiedziano, że marsz. Piłsudski poprzestaje na rezygnacji prez. Wojciechowskiego i rządu, Sejm nabrał otuchy. W szerszych warstwach natomiast dało się odczuć zdziwienie. Z wielkiej chmury mały deszcz! Po cóż marsz. Piłsudski wszczywał wojnę domową, jeśli nie sięgał po władzę dyktatorską?

Tłumaczono, że marsz. Piłsudski nie chciał gwałcić Konstytucji, uchwalonej przez Sejm Ustawodawczy. Pragnął jej zmiany, ale w drodze legalnej. Gdyby przyjął wybór, musiałby ślubować wierność Ustawie, w której dopatrywał się źródła złego.

Prowodrzy sejmowi zgodzili się łatwo, ażeby prof. Bartel podjął się misji utworzenia nowego rządu. Weszli doń K. Młodzianowski (sprawy wewnętrzne), August Zaleski (sprawy zagraniczne), Wacław Makowski (sprawiedliwość), prof. Mikułowski-Pomorski (oświata), Hipolit Gliwic (handel i przemysł), Józef Raczyński (rolnictwo), Witold Broniewski (roboty publiczne), Stan. Jurkiewicz (praca). Premier zatrzymał komunikacje dla siebie.

Prof. Bartel posiadał umysł lotny, wiedzę rozległą. Orientował się szybko, często — trafnie. Mówił biegle, w replikach bywał cięty. W obcowaniu z ludźmi nie zawsze umiał zachować miarę i wagę.

Była w nim mieszanina zacności i chimer.

...Rząd został ustanowiony, należało przystąpić do obioru prezydenta. Nikt nie wątpił, że prezydentem zostanie marsz. Piłsudski. On z paroma najzaufańszymi przyjaciółmi odbywał w Sulejówku tajemnicze narady.

Głosowanie nastąpiło w dniu 31-ym Maja. Zgromadzenie Narodowe w pierwszym głosowaniu oddało na marsz. Piłsudskiego 292 głosy. Hr. Bniński otrzymał 193 głosy, 61 kartek oddano białych lub nieważnych.

Obrót rzeczy wydawał się tak pewny i jasny, że w pół godziny potem niecierpliwy prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, gen. Górecki, już obwieszczał radosną nowinę publicznie na placu Saskim wobec zawczasu zgromadzonego tłumu. Zwracając się w krasomówczym zapędzie do spiżowej postaci księcia Józefa, gen. Górecki wołał z emfazą:

— Marszałku Poniatowski, melduję ci, że marszałek Piłsudski jest prezydentem Rzeczypospolitej.

Marszałek Poniatowski ani drgnął.

W gmachu sejmowym tymczasem panował niesłychany rejwach. Marsz. Piłsudski nadesłał list, w którym oświadczył, że wyboru nie przyjmuje, ponieważ nie mógłby dotrzymać przysięgi na dochowanie wierności Konstytucji z marca 1921 r.

Kogoż marsz. Piłsudski proponował na swoje miejsce?

Podczas konwentyków w Sulejówku rozważano podobno kandydatury prof. Mariana Zdziechowskiego, Zdzisława ks. Lubomirskiego, Jana Kucharzewskiego i Artura Słowińskiego. Prof. Bartel wysunął kandydaturę prof. Ignacego Mościckiego, dyrektora Zakładów Chorzowskich.

Ten reprezentował cnotę, na której marsz. Piłsudskiemu bardzo zależało: uległość...

Nazajutrz, w dniu 1 czerwca, Zgromadzenie Narodowe 283 głosami obrało prezydentem prof. Mościckiego. Kontrkandydat, hr. Bniński, otrzymał 200 głosów.

W gabinecie gen. Góreckiego zabrzęczał telefon.

— Kto mówi?

— Marszałek Poniatowski. Generale, wzywam pana do raportu za szerzenie kłamliwych wiadomości...

Prez. Wojciechowski, rezygnując z najwyższego w państwie stanowiska, wrócił do skromnego życia rodzinnego, do ulubionej pracy w dziedzinie spółdzielczości. Polityki się odrzekł.

Nie posiadał wszystkich kwalifikacji, jakich Rzeczpospolita miała prawo domagać się od swego prezydenta. Można o nim wszakże śmiało powiedzieć, że był to Polak uczciwy i poczciwy, najlepszej woli i zawsze tylko dobro ojczyzny mający na oku.

Spotkałem go po abdykacji parę razy u Antoniego Wieniawskiego. Zimą 1939 r. grałem z nim tam w brydża. Był opanowany, małowówny i jakby oderwany od życia bieżącego.

W roku 1940-m spotkało go największe nieszczęście. Władze okupacyjne uwięziły jego syna i wywiozły go do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Nie wytrzymał mąk. Ojcu zwrócono prochy.

Nowe siły w Gabinetcie.

Nowymi, wybitniejszymi członkami rządu prof. Bartla byli August Zaleski, Gabriel Czechowicz i — nieco później — inż. Eugeniusz Kwiatkowski.

Pierwszym dwóm przypadły resorty szczególnie ważne: Zaleskiemu — sprawy zagraniczne, Czechowiczowi — skarb.

Zaleski, bratanek b. redaktora „Słowa”, politycznie był zbliżony do Ligi Państwowości Polskiej. Prezentował się wyśmienicie, posiadał wyższe wykształcenie, bezpośrednią znajomość stosunków zachodnio-europejskich. Brak żwawszego temperamentu, wrodzona ostrożność, oraz warunki, w jakich spełniał swe funkcje, czyniły go niespiesznym w decyzjach i działaniach, choć życie pędziło cwałem. W stosunkach dyplomatycznych pomocną była mu żona, z domu hr. Komorowska, pani wytworna, usposobienia ruchliwego.

Nowy minister spraw zagranicznych odpowiedzialnym był wobec Sejmu, Senatu i prezydenta Rzeczypospolitej, dyrektyw jednak musiał szukać w Belwederze i ściśle do nich się stosować. Marszałek Piłsudski z natury był podejrzliwy. Stanowisko ministra Spraw Zagranicznych stało się tańcem wśród mieczów.

W świecie dyplomatycznym Zaleski jednał sobie sympatie ogładą towarzyską, łatwym sybarytyzmem i umiarkowaniem. Na większych oficjalnych przyjęciach, gdy witał zaproszonych, przypominał margrabiego de Palomey z Proust’a „Strony Guermantów”:

— „zdawał się nie widzieć składających ukłony gości, jak ryba w akwarium nie widzi za szklaną szybą publiczności. Patrząc nań, niepodobna było odgadnąć, czy cierpi, czy śpi, pływa, znosi jajko lub tylko oddycha”.

O ile Zaleski był Europejczykiem, Czechowicz posiadał zalety i przywary biurokraty rosyjskiego. W Cesarstwie dochrapał się stanowiska prezesa izby skarbowej i to było jego główną kwalifikacją na ministra Skarbu Rzeczypospolitej. Trudnościami swej misji zbytnio się nie przejmował, lubił dobrze zjeść, dużo wypić, zagrać drogo w karty i opowiadać tłuste anegdoty. Śmiech jego bywał podobny do zapomnianych rakiet, które strzelają po ukończonym fajerwerku.

W czerwcu 1928 r. nastąpiła pierwsza częściowo rekonstrukcja gabinetu. Ministrem Przemysłu i Handlu, po Gliwicu, został inż.

Eug. Kwiatkowski. Statecznych przemysłowców i kupców niepokoił jego młodzieńczy entuzjazm i brak doświadczenia. Godzono się wszakże, że jego umysł sięgał daleko, — a wiara w przyszłość i zapal nie były ogniem słomianym.

Twórczość dramatyczna polska na forum światowym.

W czerwcu 1926 r. odbył się w Paryżu pierwszy Kongres Międzynarodowy Związków Autorów Dramatycznych. Wzięły w nim udział wszystkie narody świata, posiadające zorganizowaną twórczość teatralną. Do delegacji polskiej należeli Zdzisław Kleszczyński, Ludwik Morstin, Kaz. Wroczyński i ja. Mnie, jako prezesowi Polskiego Związku Autorów Dram. przypadło przewodnictwo delegacji.

Francuską twórczość reprezentowali na Zjeździe Robert de Flers, Henryk Rivoire, Tristan Bernard, Al. Bernstein, Fr. de Croisset, Gavault, Kistemakers, Porto-Riche, Lenormand, Coolus Marcel Prévost, Pierre Wolff i wielu innych. Z Anglików przybyli Pinero i Maxwell, z Niemców — Fulda, Auernheimer i Dörrman, z Włochów — Morello, Chiarelli i Gheraldi, z Duńczyków — Michaelis i Sven Lange. Hiszpanię reprezentował Marquina, Węgry — Hoeltai, Stany Zjednoczone — John Emerson. Byli poza tym Czesi, Rumuni, Grecy, Portugalczycy, Szwedzi, Holendrzy, Belgowie...

...Zbiegowisko pisarzy teatralnych było tak niezwykle, że nawet zblazowany Paryż okazał zainteresowanie. Prezydium Kongresu, do którego zostałem wybrany, było przyjęte przez prezydenta Republiki Doumergue'a i przez ówczesnego premiera, Aristyda Briand'a.

Audiencja w Elizejach nosiła charakter oficjalny, Briand natomiast wdał się w dłuższą gawędę. Delegację naszą zamianował „Teatralną Ligą Narodów”. Żle ogolony, w stroju zaniedbany, obrabiał bezustanku resztkami żółtych zębów ogryzek cygara, siląc się na dowcipy. Udawał mu się conajmniej jeden na trzy. Do mnie przyczepił się z powodu trudnego do wymówienia nazwiska. Poprosił o bilet wizytowy, zaczął me nazwisko wykichywać. Robert de Flers śmiał się, lecz trudno było odgadnąć, czy śmiał się z niewymyślnych konceptów, czy z tego, który się nimi bawił. Anglicy i Amerykanie ryczeli, nic nie rozumiejąc.

Gdyśmy wychodzili z ministerstwa na Quai d'Orsay, de Flers wziął mnie pod ramię i mówił:

— Ten sam człowiek na trybunie staje się tytanem słowa. Wymową swą porywa najoporniejsze audytoria, przeciwników zapędza w kozi róg.')

Postulaty, które w toku obrad kongresowych złożyłem w imieniu delegacji polskiej, obejmowały następujące zagadnienia:

1. Wzajemne przedstawicielstwo interesów moralnych i materialnych przez poszczególne związki.

2. Organizowanie wzajemnych przekładów i nadzoru nad ich poziomem.

3. Wzajemną propagandę i wymianę usług.

Heine porównywał przekłady poezji na języki obce do księżyców, upchanych ze słomy. Przekłady utworów scenicznych winny być w każdym kraju powierzane autorom dramatycznym.

Duszą Kongresu był Robert de Flers, autor „Króla”, „Ładnej historii” i tylu innych uroczych komedii. Słusznego wzrostu, nieco ociężały w ruchach, stylizował się na wzór Barbey'a d'Aureville. Nosił krawaty Lavalliere, w oku monokl w rogowej oprawie na czarnej wstążeczce, — łączył nonszalanckie maniery wielkiego pana z dobrym smakiem i swobodą artysty. Był to najdowcipniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem.

Podczas pożegnalnego bankietu w „Ambasadorach” na Polach Elizejskich, wśród powodzi toastów, zabrał głos nieoficjalny przedstawiciel autorów sowieckich, — Bienstock. Wyraził podziw i uznanie dla kultury francuskiej, a iżby go nie posądzono, że schlebia, poparł swe wywody następującym argumentem:

— Niech panowie wierzą, że mówię, co myślę. Nie można kłamać w języku, którym się wprawnie nie włada.

Wyznanie p. Bienstocka przyjęte zostało wybuchem home-rycznego śmiechu. On wydawał się zadowolony z efektu...

Na rojstach literowskich.

Stanisław Lilpop, Kamil Mackiewicz i ja otrzymaliśmy zaproszenie do Woropajewa, rozległych lasów i włości Konstantego

*) Leon Daudet w swych wspomnieniach „Paris vecu” (2 seria) pisał: „Ignorancja Briand'a była nieprawdopodobna. Nic nie czytał, nic nie umiał, niezdolny był napisać listu bez błędów ortograficznych. Wyniesienie polityczne tego człowieka było dziwotworem nowoczesnej historii”.

hr. Przeddzieckiego, obejmujących znaczne połacie starostw Bracławskiego, Dżisnieńskiego, Postawskiego i Święciańskiego. Na tych skąpo zaludnionych obszarach można było spotkać wilka, rysia i głuszca, wiosną ciągnęły słonki, na rzekach i jeziorach gnieździły się dzikie kaczki, zatrzymywały się w swych wędrówkach gęsi, czasem łabędzie. Na rojstach żerowały cietrzewie i pardwy, na ługach — kszyki i dubelty. Nas osobliwie interesowały pardwy, jako jeden z rzadszych w Polsce ptaków łownych.

Hr. Konstanty Przeddziecki był z powołania oficerem kawalerii. Czynną służbę w armii polskiej opuścił w stopniu pułkownika. Ze sam upodobań łowieckich nie żywił, naszymi opiekunami i współtowarzyszami polowań byli pp. Wardeński i Korkozowicz, kierownicy administracji olbrzymich dóbr, a myśliwi zawołani.

Na drugi dzień, wczesnym rankiem sierpniowym, wyruszyliśmy dużym taborem na rojsty oświeckie. Drogę utrudniały nam liczne mosty i mostki, bo miejscowi woźnice stale im nie dowierzali i szukali w sąsiedztwie „brodków”. Celem naszej wyprawy był zaścianek w Obołomi, nad Dżisienką. Sad, otaczający mały, dworek, schodził do rzeki, pędzącej głębokim jarem do Dżwiny. W sadzie rumieniły się i złościły dorodnym owocem jabłonie, w pasiece brzęczały pszczoły. Z ganeczka widać było w oddali srebrzystą taflę jeziora.

Mackiewicz był wzruszony i rozradowany.

— Zupełnie jak u nas na Żmudzi!

Odwiódł mię tajemniczo na bok i szepnął:

— Na kolację będą kołduny!

Jakoż, po zakąskach domowego wyrobu, — niezrównanych wędlinach, marynatach i serach, przy których wszyscy zgodnie i godnie ścinali doletnie nalewki, izbę wypełnił gorący zapach majeranku. Wniesiono uroczyście ogromną wazę. Oblicza gości i autochtonów zakwitły błogim uśmiechem.

— Kołduny! Rzetelne litewskie kołduny!

Teraz Mackiewicz, rozrosły szlachcic polski z pod Kowna, i chudy, jak szczapa, Korkozowicz, szlachcic polski z pod Mińska, dali koncert nad koncertami. Przyparli się do dymiącej wazy z takim impetem, że usługujące schludne Warszulki nie mogły strzymać przychylnego chichotu.

Rozmowy ucichły. Od czasu do czasu siwowłosy nadleśny napominał:

— Panowie, kieliszki pełne! Stygnie!

Mackiewicz i Korkozowicz „perswadowali” sobie wzajem z namaszczaniem. Po każdym sutym łyku oddychali głębiej, krajali

surowe ogórki przez pół, smarowali grubo miodem, którego złote plastry nęciły wzrok, powonienie i smak. I wracali do kołdunów. Puste talerze oddawali Warszulkom, gospodyni wielką drewnianą warząchwią sięgała do wazy, wyładowywała świeże porcje.

Aż wreszcie przyszedł moment, że Mackiewicz, aczkolwiek nie bez żalu, talerz odsunął. Wyjął fajkę, napełnił tytoniem, zapalił.

— Że też człowiek nie może zmieścić, ileby chciał! westchnął.

Korkozowicz rozpoczynał właśnie nową porcję.

— Za dużo w mieście siadujesz! — strofował przyjaciela.

...Gospodarz kręcił się na stołku niespokojnie. Poglądał na Mackiewicza, znaki oczyma dawał. W końcu zagadnął.

— Panie Kamilu! A możeby tak o tych dwóch kupcach ormiańskich?

Mackiewicz co nieco się certował. Lecz w bladych jego oczach już błakał się swywolny humor.

— Naprzód coś takiego, żeby i panienki mogły posłuchać, rzekł. Odpowiedział mu wdzięczny, wstydlivy pisk. On puścił parę kłębow dymu, rozjaśnił zacne oblicze.

...Rosyjski oficer, przywitawszy się „po formie” ze swym generałem, pyta go, nadskakujący i ugrzeczniiony, o zdrowie wielce szanownej małżonki.

Generał, w kwaśnym humorze, zachnął się.

— A pana co obchodzi zdrowie mojej żony...

Na to urażony oficer:

— *Mnie naplewał na waszu suprugu.¹⁾* — spytałem się ot tak...
...że za młodu świń nie pasałem.

Anegdota pisana — jest jak ryba, wyjęta z wody lub jak ptak, któremu podcięto skrzydła. Trzeba było usłyszeć ją w intonacjach Kamila, patrzeć na grę jego twarzy. Zagrzemiał jędrny wybuch radości. Dziewczęta śmiały się do rozpuku, nadleśny i jego towarzysze wtórowali basem. Tym jednak pilno było do anegdot bardziej pieprznych. Gdy Kamil zaczął snuć rozpustne opowieści o kupcach ormiańskich, Warszulki uciekły w popłochu. Od Dżisienki przez otwarte okna szedł orzeźwiający chłód, sad kąpał się w modrej poświacie księżycy. Po rosie niosły się oddalone, tęskne zawodzenia ligawek pastuszych...

Żyć, nie umierać, na takim zaścianku! Wszystko w domu, czego dusza i ciało zapragną! Do najbliższego miasteczka 25 wiorst drogi, a droga taka, że podczas odmięczy wiosennych i jesiennych

¹⁾ Ja pluję na pańską żonę!

roztopów nikt nie poważy się jechać bryczką, nawet wozem. Co tygodniowa „posyłka” uda się do miasteczka konno lub pieszo.

... O świcie wyjechaliśmy na rojsty. Rychło dotarliśmy sapami do mokradeł, porośniętych gęstymi kępami rudego, gąbczastego mchu i twardą trawą. Nogi zapadały się przy każdym kroku do połowy łydek. Żółte plamy błotnego zielska znaczyły oparzeliska, które należało omijać. Na suchych wzgórkach gęściły się ciemno fioletowe wrzosy, żórawiny i pijanice, ulubione smakołyki głuszców, cietrzewi i pardw.

Na tym beznadziejnym pustkowiu zrzadka napotykało się skarlale brzoźki lub sosenki. Gdy się jawiły ślady zapuszczonej ścieżyny, nie było pewnym, kto ją wydeptał: ludzie czy wilki. Bo wilk częściej szukał tu bezpiecznego schronienia, niż człowiek — myśliwskich wrażeń. Głuchą ciszę zakłócał daleki lament żórawi; para kruków, kraczac złowrogo, przeleciała z północnym i wysoko.

...Nie powiodło się nam. Do pardw nikt tego dnia nie strzelał. Naidwaliśmy ich pióra, przed Korkozowiczem porwało się o sto kroków niewielkie stadko, zapadło daleko za jezioro. Daremnie szukaliśmy go przez dwie godziny. Lilpop smucił dubletem dwa murzyni.) Wvtrzymale wvżły niemieckie pokładały się ze zmęczenia. Wróciliśmy do zaścianka bez pardw, nieludzko znużeni. Powieki kleiły się do snu.

Nazajutrz od świtu prosiły drobny deszcz. Zanosilo się na trzydniówkę. Mokliśmy na roście wytrwale, lecz bezowocnie. Skończyło się znów na kilku cietrzewiach. Pardwy uwzięły się, nie dostaliśmy ani jednej.

Korkozowicz proponował inny teren: roisty sergieiowickie, od Woronajewa o trzydzieści kilometrów w kierunku Mołodeczna oddalone.

Więc na nowo do dnia w drogę, ale już bez taboru. W Duniłowicach, gdzie u hr. Jana Tyszkiewicza gościł często Mackiewicz, uzyskaliśmy ściślejsze drogowskazy. Koło 8-ej z rana dobrneliśmy do zamożnego chutoru na skraju wielkiego siola. Chutor, okolony sporym sadem, zawierał dwie izby przestronne i chędogie. W jednej mieścił się olbrzymi piec kuchenny, krzątały się baby stare i młode. W drugiej ściany były wytapetowane „Gazetą Świąteczną”, a łóżka, uroczyście zasłane, imponowały ilością poduszek.

Lilpop, skwaszony niepowodzeniem na Oświecie, na progu pytał:

’) Młode cietrzewie.

— Pardwy są?

Gospodarz zmierzył go spokojnym spojrzeniem.

— Pardwa? Jest, panie.

— Dużo?

— Raz więcej, raz mniej. Cietrzewi sporo. Dubelt też się trafi. I głuszców nie brak.

— Do głuszców o tej porze nie strzela się! surowo pouczył Lilpop.

Wiesz dostarczyła nam przewodników do syta. Poszliśmy ściernią, w stronę nisko zapadłych łąk. Wiła się wśród tych łąk rzeczka, tworząc tu i owdzie szkliste bajora.

...Szedłem koło Lilpopa. Nogi zapadały w grząski grunt, niekiedy w wodę. Naizdradliwsze były trawiaste kozuchy, zasłaniające głębsze trzęsawiska. Gdy się taki kozuch przedzierał, myśliwy wpadał w mokrzę po pas, i gorzej.

Wyżel Lilpopa zaczął się składać. Posuwał się z pewnym wahaniem — jak gdyby wietrząc zwierzynę, bliżej nieznana — ku pobliskim krzakom. Nagle skoczył naprzód, z przed krzaków furknęły skrzydła, trzy spore ptaki porwały się z niesamowitym jazgotem. W słońcu mignęły pióra śnieżnobiałe i rudo-ceglaste.

— Pardwy!

Lilpop strzelił z obu luf, stracił jedną sztukę. Ja zdażyłem tylko raz wygarnąć, i to na chwila trafił, bo pardwy niskim lotem błyskawicznie znikły w krzakach. Tylem je widział!

Lecz wkrótce pocziwy wyżel zaczął znów węszyć. Stanał, wyciągnął się jak struna. Zerwał się z tym samym szatańskim hałasem wspaniałego gargantun.) Strzeliłem z rzutu, zważył się w trawę, pies przyaportował go natychmiast. Podniosło się jeszcze parę sztuk, jedną z nich drugim strzałem spuściłem.

Moje pierwsze pardwy!

Im dalej grzęźliśmy w rojst, obchodząc większe bajora, tym częściej stawała się strzelanina. Zabiłem dwa dubelty, siedem czy ośm młodych cietrzewi, jeszcze trzy pardwy. Gdy przechodziłem koło stłoczonych pod borem haszczów, w gęstwie zerwał się stary głuszc z tak piekielnym łoskotem, że o włos do wody nie wpadłem.

Wtem rozległ się straszliwy ryk. Mackiewicz wysforował się przed ławę, brodząc za ciągnącym chyżo starym ciecieruchem. W zapamiętaniu myśliwskim władował się niebacznie na kozuch.

’) Kogut pardwi.

Kożuch przerwał się, Mackiewicz wpadł w ciemną maź po ramiona. Gdyśmy go wyciągnęli, wyglądał jak potwór z obrazu Boecklina.

Umorusany błotem, sapał, parskął i natarczywie domagał się wódki. Podałem mu manierkę, przypominając radę zacnego Reya:

Rozliczne są na świecie szkody,

Ale conajwiększe z wody!

Korkozowicz zrozumiał moją intencję i dodał z powagą doświadczonego znawcy:

— Od wody w brzuchu trzcina rośnie i żaby się lęgną.

...Koło piątej po południu nogi zaczęły nam odmawiać posłuszeństwa. Kropił znów zimny deszczyk, płaszcze gumowe zostały w chutorze. Ze sakwy już był wyciągnięty płaszczyk, postanowiliśmy wracać. Do bryczek wsiedliśmy przemoczeni i zziębnięci. Jeden Lilpop był na tyle przezorny, że o cieplejszym płaszczu pamiętał.

W Duniłowicach, na popasie, przy kielbasie i jajecznicy, ratowaliśmy zdrowie wódką.

I pomogła. Nikt nawet kataru nie dostał.

Wstać, czy nie wstać?

Przed rozpoczęciem jesiennej sesji sejmowej wyłonił się nowy problem. Sesię miał otworzyć osobiście nowy prezydent Rzeczypospolitej. Powstała kapitalna wątpliwość: iak posłowie mają przywitać prezydenta? Czy mają słuchać orędzia stojąc, czy siedząc? Zanosilo się na gorszącą burdę.

Przemysłny Protokół znalazł rozwiązanie, przenosząc uroczystość do wielkiej sali w Zamku. Nie wstawiono do niej ani jednego krzesła. Posłowie musieli stać, bo nie mieli na czym usiąść.

Skończyło się tedy na śmiechu. Niestety! Śmieli się również i obcy.

Organizacje partyjne.

Z inicjatywy Romana Dmowskiego nastąpiło zjednoczenie ugrupowań, już to do Demokracji Narodowej należących, już to do niej zbliżonych. „Obóz Wielkiej Polski”, według intencji inicjatora,

miał stać na straży godności narodu oraz jego wartości religijnych i moralnych, miał podtrzymywać męską odwagę, „zważywszy, że tchórze nigdy nie walczą uczciwie”.

O konieczności naprawy obyczajów politycznych mówili wszyscy, lecz — jak to bywa zwykle — lekarze nie kwapili się rozpocząć kuracji od siebie.

Obóz Wielkiej Polski, jako organizacja polityczna na skalę szeroką, nie ziścił pokładanych w nim nadziei.

Połączyły się również ugrupowania zachowawcze. Realisci warszawscy, stańczycy krakowscy, podolacy ze Wschodniej Małopolski, konserwatyści poznańscy i pomorscy oraz żubry kresowe, mieli oddać stanowić iedno stronnictwo.

Prezesem został obrany Janusz ks. Radziwiłł.

Był to zasobny w wyższe zalety umysłowe i moralne sztab oficerski bez szeregów żołnierskich. Własnymi siłami żaden konserwatysta nie mógł się dostać ani do Sejmu, ani do Senatu.

Groch o ścianę.

Mimo ciągłej wymiany oficjalnych uprzejmości, stosunki z Niemcami były wciąż napięte. August Zaleski w przemówieniu, wygłoszonym podczas otwarcia Tow. Badań Międzynarodowych, odsłonił propagandę antypolską, prowadzoną w Niemczech przez prasę, przez samorządnych agitatorów i nawet przez czynnniki rządowe. Streseman nie wahał się na wiecu publicznym w Bytomiu głosić rewindykacji niemieckich, całkowicie sprzecznych z tenorem traktatu wersalskiego. Na granicy polskiej Niemcy nie tylko nie burzyli twierdz, do czego obowiązywał traktat, lecz usilnie je wzmacniali.

Eugeniusz Kwiatkowski z zapalem rozbudowywał Gdynię.

W składzie gabinetu zaszły zmiany. Na ministra oświaty nieoczekiwanie powołano dr. Dobruckiego, naczelnego lekarza szpitalnego w Stanisławowie.

Ogół był zdumiony, bo nazwisko dr. Dobruckiego, człowieka bardzo pocziwego, było poza Stanisławowem nieznane. Ministrem Poczt i Telegrafów został płk. Bogusław Miedziński, obok płk. Becka najzdolniejszy z politykujących oficerów belwederskich, i stąd nawet we własnym środowisku budzący nieufność. Jako minister Poczt nie znalazł odpowiedniego pola dla użytkowania swych uzdolnień. Ministerstwo wymagało rutynowanego administratora, Miedziński był politykiem, ciętym publicystą i mówcą parlamentarnym.

W Izbach opozycja przeciwrządowa rosła w siłach. Zachowywała się wszakże powściągliwie. Z marszałkiem nie było żartów.

...Stosunek z Litwą raptownie się zaostriżył. Waldemarasz rządził się w Kownie, jak szara gęś, jurzył nieustannie przeciw Rzeczypospolitej. Groził konflikt.

Marsz. Piłsudski postanowił osobiście przestrzec Ligę Narodów przed niebezpieczeństwem, wyjaśnić prosto i jasno stanowisko Pol-

ski.. Wiadomość o tej decyzji wywołała w całej Europie sensację. Nudna Genewa ocknęła się z trapiącej ją stale śpiączki. Gdy marszałek przybył własnym pociągiem nad Lemn, sala posiedzeń Ligi wypełniła się po brzegi. Dziennikarze szaleli z radości. Nareszcie w szanownym zgromadzeniu impotentów dyplomatycznych będzie się coś działo!

W bezpośredniej dyskusji z Waldemarasem, który kluczył jak lis, marsz. Piłsudski postawił sprawę po żołniersku.

— Niech pan powie wyraźnie, panie Waldemaras, czego pan chce: pokoju czy wojny?

Szanowne zgromadzenie impotentów na takie dictum a c e r b u m osłupiało. Trybuny zawrzały. Wszystkie oczy wpiły się w marsowe oblicze polskiego marszałka. Daremnie Briand, gracz przebiegły, jał swoim zwyczajem szukać kompromisu, któryby odroczył sprawę, nie rozstrzygając jej. Marsz. Piłsudski nie był człowiekiem, którego mogłyby zbić z tropu tego rodzaju fortele. Uderzył ręką w stół, podniósł się.

— Jeśli nie otrzymam na moje pytanie odpowiedzi wyraźnej i stanowczej, wracam do pociągu.

Groźba podziałała, bo nikt nie wątpił, że marsz. Piłsudski dotrzyma słowa i wyciągnie konsekwencje. Zaczęły się przewlekłe targi, Waldemaras wyjął wreszcie oświadczenie pokojowe.

Wystąpienie Marszałka zjednało mu na forum międzynarodowym uznanie i sympatię.

Dziedzina rozstrzygnięć politycznych, zdana areopagowi mózgow dyplomatycznych, to pole jałowe, na którym zdrowe kłosy nie rosną.

Efektowny incydent nie miał jednak następstw praktycznych. Sesja Ligi skończyła się. Waldemaras wrócił do Kowna i w dalszym ciągu politykę antypolską uprawiał. Próbował pertraktować z nim w imieniu Rzeczypospolitej Adam hr. Tarnowski. Bez skutku.

We Francji dokonywał chlubnego żywota ten, który wraz z marsz. Foch'em dał jej ostateczne zwycięstwo. Umierał Jerzy Clemenceau.

Gdy lekarze francuscy nie widzieli już ratunku, zgłosił się do łóża umierającego słynny lekarz rosyjski Woronow, nowoczesny Mefistofel, który eliksiru młodości dla ludzi szukał w genitaliach pawjanów. Zaproponował kurację, przywracającą siły młodości.

86-letni Clemenceau kazał mu odpowiedzieć, że woli umierać, iako stary człowiek, niż żyć, jako młoda małpa.

Sprawa gen. Zagórskiego.

W związku z wypadkami majowymi uwięzieni zostali dwaj wybitni generałowie armii polskiej, którzy zajęli stanowisko, zamachowi nieprzychylni: Rozwadowski i Zagórski.

Rozwadowskiego wypuszczono po roku. Pobyt w więzieniu wileńskim tak nadwyrężył jego zdrowie, że niedługo korzystał z wolności. Wkrótce życie zakończył, z wielką dla armii polskiej szkodą.

Zagórski, w okresie wojny światowej, jako zdolny oficer sztabowy, przydzielony był do Legionów w charakterze szefa sztabu ich Głównej Komendy. W r. 1918-m objął dowództwo 3 pułku Legionów. Po zaareztowaniu w drugiej połowie maja 1926 r., osadzony został również w więzieniu wileńskim. Przebywał tam piętnaście miesięcy, aż nadszedł rozkaz przewiezienia do Warszawy. Eskortowali go kapitanowie Miładowski i Myśliszewski.

Na dworcu w Warszawie oczekiwali dwaj inni kapitanowie: Włoskowski i Piaskowski. Gen. Zagórski wsiadł z nimi do samochodu. Pojechali, i odtąd wszelki ślad po gen. Zagórskim zaginął.

O przyczynach zawziętości, jaką niecił w kołach belwederskich gen. Zagórski, krążyły różne plotki i supozycje. Prawda pozostała taką samą tajemnicą, jak jego zgon. Utrzymywano, że wyższy oficer, któremu powierzono w Warszawie załatwienie tej sprawy, Zagórskiego podczas badania zastrzelił.

Marsz. Piłsudski był w Warszawie nieobecny.

Opinia publiczna zainteresowała się w sposób niebywały tajemniczym zniknięciem gen. Zagórskiego. Nie wierzono w jego zgon. Przez dłuższy czas każdy dzień przynosił nowe bajki i wersje. Gen. Zagórski stał się postacią legendarną. Krążyły pogłoski, że widziano go w Paryżu, to znów — w Nowym Yorku; przeprowadzano dochodzenia, pogłoski okazywały się bezpodstawne. Pewnego dnia silne wrażenie wywołała wiadomość, że przyjaciele gen. Zagórskiego otrzymali odeń listy. Stwierdzono, że listy nie były datowane, i że nawet gdyby były autentyczne, pochodziły z czasów dawniejszych.

Prywatne poszukiwania nie odniosły żadnego skutku. Opozycja wyczyszczała dręczącą zagadkę, szerząc domysły, że gen. Zagórski został zgładzony.

Była to jedna z przykrzejszych spraw, związanych z zamachem majowym. Prof. Marian Zdziechowski, którego prawość i odwagę cywilną marsz. Piłsudski tak wysoko cenił, że nosił się z zamiarem wysunięcia jego kandydatury na prezydenta Rzeczypospolitej, wy-

dał broszurę, w której sprawę generałów Rozwadowskiego i Zagórskiego poddał surowemu rozbirowi.

I na tym urwały się osobiste stosunki prof. Zdziechowskiego z marsz. Piłsudskim.

...Gen. Zagórskiego spotykałem niekiedy w paru znajomych domach. W pamięci zostało mi zebranie u Jul. Germanów, którzy z nim w bliskiej żyli przyjaźni. Było to może na rok przed jego uwięzieniem, — może nawet później. Zagórski mógł mieć wtedy koło pięćdziesięciu lat, był przystojnym, mocno zbudowanym brunetem, wydawał się gorącym wielbicielem płci nadobnej. Uwodził w nastrojowo półoświetlonym salonie co ładniejsze panie, one zdawały się ulegać sugestii jego męskiej żywotności.

W zachowaniu się gen. Zagórskiego, mimo wielkiej pewności siebie, było coś sztucznego. Śmiał się, dowcipkował — w oczach czaił się niepokój. Ten rozdźwięk często jawił się u oficerów, którzy przez dłuższy czas zajmowali odpowiedzialne stanowisko w wywiadzie wojskowym.

Sprawę gen. Zagórskiego w Komisji Sejmowej podjął jasno i bez osłonek Wojciech Trąpczyński, wymieniając nazwiska pułkowników, których opinia publiczna oskarżała o czynny udział w zabójstwie.

Przedstawiciele partii rządowej, stanowiący w owej Komisji zwartą większość, wpadli w furję. Zerwała się burza, zdawało się, że dojdzie do rękoczynów. Trąpczyński groził, że gdyby go kto dotknął, będzie strzelał, — i rękę trzymał w kieszeni marynarki na rękojeści rewolweru.

Tego wystąpienia nigdy Trąpczyńskiemu w obozie belwederskim nie zapomniano.

Tajemnica śmierci gen. Zagórskiego nie została potąd ostatecznie wyświetlona.

Gen. Tadeusz Rozwadowski.

Gen. Rozwadowski przewyższał innych naszych generałów sumą wiedzy fachowej i doświadczeniem. Stopień generalski otrzymał przed wojną światową w armii austriackiej. Pochodził ze wschodnio-galicyjskiej arystokratyzującej rodziny ziemiańskiej, w Wiedniu dotarł do salonów arcyksiążęcych, był nauczycielem sztuki wojennej jednego z młodszych Habsburgów. W pierwszym miesiącu wojny, w bitwie z Rosjanami pod Annopolem, śmiałym ata-

kiem artyleryjskim przechylił zwycięstwo na rzecz wojsk austriackich. W wielkiej rozprawie wojennej pod Gorlicami tak wybitnie swą artylerią przyczynił się do wygranej, że cesarz Wilhelm, który obserwował akcję bojową, wyraził mu uznanie i nadał Krzyż Żelazny I klasy. W armii polskiej, gen. Rozwadowski w r. 1919-m odegrał decydującą rolę w obronie Lwowa, w r. 1920-m był rzecznikiem kontrofensywy z pod Wieprza, która jak grom spadła na armię Tuchaczewskiego i sprawiła „cud nad Wisłą”.

Wład. Studnicki w swej książce „Ludzie, idee i czyny” powtarza plotkę, jakoby marsz. Piłsudski dopatrywał się w gen. Rozwadowskim współzawodnika. Trudno w to uwierzyć. Rozwadowski nie posiadał daru sugestji, który marsz. Piłsudskiemu jednał serca i posłuch zarówno w wojsku, jak w szerszych rzeszach narodu. „Dziadek” miał za sobą młodzież, a w Polsce młodzież zwykle przeważała szalę.

Marsz. Piłsudski i gen. Rozwadowski stanowili indywidualności tak odrębne, że zbliżyć się im nie było łatwo. W Piłsudskim, przy wszystkich jego właściwościach i niedostatkach, tkwił samorządny autorytet wodza narodu. Rozwadowski, patriota gorący, był wybornym, fachowo wykształconym generałem.

W marcu roku 1926-go gen. Rozwadowski miał złożyć na ręce prez. Wojciechowskiego i premiera hr. Skrzyńskiego poufny memoriał, w którym przestrzegał o szykującym się w wojsku *pronunziamento* i nawoływał do energicznego przeciwdziałania.

Prez. Wojciechowski przestrogi zlekceważył. Hr. Skrzyński o tyle je uwzględnił, że w porę usunął się od władzy.

Marsz. Piłsudskiemu doniesiono później o tym memorjale. W gen. Rozwadowskim uznał wroga, wobec wrogów był bezwzględny.

Z gen. Rozwadowskim w r. 1925-m spędziłem parę dni w Miłosławiu u Wład. Kościelskich. Bawili tam wtedy pp. Jędrzejewiczo-
wie, siostra i szwagier Kościelskiego, polowaliśmy na bażanty. Gen. Rozwadowski robił strzały fenomenalne, lecz gdy się zdenerwował, puszczał koguta za kogutem. W pałacu szalał przy brydżu. Wyczuwało się w nim temperament śmiały, skłonny do hazardu.

W redakcji „Świata”. Nowe czasy — nowi ludzie.

Z biegiem lat zespół współpracowników „Świata” ulegał przeobrażeniom. Jedni jak Ehrenberg Kazimierz, Grendyszyński Ludomir, Jankowski Józef, Jankowski Czesław, Kosiakiewicz Wincenty,

Kozłowski Stan., Lemański Jan, Miecznik Antoni, Perzyński Włodz., Piltz Erazm, Reymont Wład., Smarzewski Tadeusz, Wankie Wład., Weyssenhoff Józef, — tylu innych, — przenieśli swe penaty na dalszy etap naszego istnienia. Breza opuścił redakcję „Świata” w drugim roku wojny światowej; zdomowił się w „Gazecie Warszawskiej”. Bartkiewicz zasklepił się w swym domku brwinowskim, Chołoniewski przedwcześnie wyczerpany, zrzadka się pięknym artykułem przypominał. Kazimierz Tetmajer, zmożony nieuleczalną chorobą, pisać całkiem zaprzestał. Na szpaltach „Świata” jawiły się teraz często nazwiska Breitera Emila, Czekalskiego Eust., Grubińskiego Wacława, Giełżyńskiego Witolda, Gorczyńskiego Bolesława, Kadena-Bandrowskiego Jul., Kiedrzyńskiego Stefana, Lorentowicza Jana, Lutomskiego Bolesława, Lutosławskiego Wincentego, Łunińskiego Ernesta, Makuszyńskiego Kornela, Nalkowskiej Zofii, Noskowskiego Witolda, Rzymowskiego Wincentego, Sieroszewskiego Wacława, Śliwińskiego Artura, Struga Andrzeja, Wroczyńskiego Kazimierza, Zdziechowskiego Kazimierza. Z najmłodszego pokolenia: Iwaszkiewicza Jarosława, Pawlikowskiej Marii, Samozwaniec Magdaleny. Umieszczali artykuły również: Daniłowski Gustaw, Dziewulski Stefan, Dąbrowska Maria, Górski Artur, Goetel Ferd., Grabiec J., Jodko Witold, Kleiner Jul., Korab-Kucharski Henryk, Kucharzewski Jan, Lam Stanisław, Ligocki Edward, Mrozowska-Toeplitz Jadwiga, Ossendowski Ferd., Parandowski Jan, Popławski August, Potocki Antoni, Pozner Stan., Rutkowski Szczęsny, gen. Sikorski Władysław., Szpotański Stan., Treter Mieczysław, Wańkowicz Melchior, Warchałowski Jerzy, b. prezydent Wojciechowski Stanisław, Zagórski Adam....

Wymieniam wybitniejsze nazwiska z pamięci, mogą więc znaleźć się w tej liście przeoczenia. Świadczy ona pochlebnie o intensywności naszego ruchu literackiego w okresie bezpośrednio powojennym, o żywotności talentów i wiedzy, skoro jeden tygodnik mógł się tyloma i takimi współpracownikami szczyścić.

Eustachy Czekalski zrośł się organicznie ze „Światem” Od r. 1912-go do r. 1934-go, to jest do chwili, kiedy tak nieopatrznie „Świat” Leonowi Chrzanowskiemu przekazałem, Czekalski był mi stale najbliższym towarzyszem pracy.

Jako młodzieniaszek, w latach 1905-06 Czekalski dał się pociągnąć hasłom Polskiej Partii Socjalistycznej. Zdołał uzyskać wstęp

do Jasnej Polany. Stary Lew Tołstoj budził wówczas w całym świecie osobliwe zainteresowanie z powodu ekskomuniki, jaką dotknął go Kościół Prawosławny.

Czekalski spędził kilka dni u Tołstoja, również u jego sąsiada i przyjaciela, Czertkowa. Kiedy wyjeżdżał, Tołstoj powierzył mu rękopis swej odpowiedzi na ekskomunikę. Rękopis, przeznaczony do opublikowania, został wszyty do czapki barankowej Czekalskiego. Na dworcu moskiewskim miał go spotkać umówiony spiskowiec rosyjski, i witając się z Czekalskim, mieli nieznacznie zamienić czapki.

Okazało się wszakże, iż Tołstoj był czujnie przez Ochronę szpiegowany. Zamiana czapek została sprawnie dokonana, lecz co się stało ze spiskowcem rosyjskim, pozostało tajemnicą. Czekalskiego na dworcu w Warszawie zatrzymali żandarmi i powieźli do X pawilonu w Cytadeli. Przesiedział kilka miesięcy.

Wrażenia swe z pobytu w Jasnej Polanie wydrukował później w „Kurierze Warszawskim”.

Odzyskawszy wolność, Czekalski wyjechał na dłuższy pobyt za granicę. Uczęszczał na wykłady uniwersyteckie w Lipsku i Monachium, spędził blisko rok w Paryżu. Wrócił do Warszawy, należycie do pracy literackiej i dziennikarskiej przygotowany. Józef Jankowski wciągnął go wtedy do redakcji „Świata”.

W okresie inflacji i kryzysu dochody „Świata” zmalały. Trzeba było przycinać fałdów, by utrzymać się na powierzchni. Czekalski, nie rzucając „Świata”, został redaktorem urzędowego „Monitora”. Mimo to najdywał czas na pisanie powieści, które odzwierciedlały powojenne obyczaje warszawskie, — czytał wszystko, co ukazywało się w druku, a godnego było czytania. Wystawił dwie sztuki teatralne.

Ogrom pracy intelektualnej tego człowieka był imponujący. Innych upodobań nie miał.

Wyborną siłę redakcyjną „Świat” zdobył w Witoldzie Giełżyńskim. Umysł jasny, wyższe wykształcenie, nerw publicystyczny, a przy tym charakter prawy, ludziom życzliwy i lojalny. W środowiskach dziennikarskich Giełżyński cieszył się rzetelnym mirem. Był profesorem Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, przez dłuższy czas wiceprezesem Związku Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Właściwie powinien był być prezesem, i za prezesa był poczytywany, bo z własnej, nie przymusowej woli dziennikarze polscy

prawdopodobnie nie byliby wybierali na prezesa Związku ppłk. Wyżła - Ścieżyńskiego, dyrektora urzędowej agencji prasowej „Iskry”....

Nie ziścił podkładanych w nim nadziei Leon Chrzanowski, który zapowiadał się dość pomyślnie, gdy w „Kurierze Polskim”, jako początkujący dziennikarz praktykował. Niepodobna było odmówić mu umysłu ruchliwego, zdolności politycznych. Brakło wytrwałego, konsekwentnego wysiłku i ochoty do skoordynowanej pracy. Nigdzie miejsca nie zagrzał, musiało się na nim sprawdzić stare przysłowie, że kto zbyt wiele ściga, mało dogoni. August Zaleski zrobił go naczelnikiem Wydziału Prasowego w M. S. Z. Posterunek ten bywał odskocznią dla ludzi twórczych, Chrzanowski nie umiał z tej odskoczni skorzystać.

W redakcji „Świata” pulsowało swoiste, własne życie. Lokal w najruchliwszym punkcie śródmieścia, przyzwoicie urządzone, chętnie był odwiedzany. Pociągała atmosfera pogodna i aktywna, spotykały się w „Świecie” różne światy: literatura, polityka, dziennikarstwo, teatr, sztuki plastyczne, t. zw. towarzystwo. Jedni mieli interesy, — tych było najwięcej. Inni szukali nowin i plotek. Każda redakcja jest swoistym maglem. Z dorywczych rozmów rodziły się nieraz inicjatywy i pomysły, zyskiwało pismo. Moje komedie cieszyły się powodzeniem, aktorzy i aktorki ubiegali się o role. Dyrekcje teatrów liczyły się ze mną i jako z autorem, i jako z redaktorem. Początkującym artystom mogłem świadczyć przysługi. Nieraz i starszym, gdy z prowincji chcieli przesiedlić się do Warszawy. Fotografia, umieszczona w „Świecie”, stanowiła dla wszystkich upragnione poparcie.

Pewnego dnia Czekalski wszedł do mego gabinetu, komunikując, — że student uniwersytetu ma do mnie osobisty interes. Wyszedłem na salę redakcyjną, która o tej porze była zawsze ludna. Przybliżył się młody, szczupły chłopak.

— Panie redaktorze, ja do pana z wielką prośbą!

— Słucham.

Rozejrzał się cokolwiek nieufnie po sali, ściszył głos.

— W przyszłym tygodniu debiutuję w Operze. Czy pan nie zgodziłby się umieścić w „Świecie” mojej fotografii?

— Owszem, jeśli debiut wypadnie pomyślnie..., albo jeśli pan zrobi sensacyjną klapę.

— Kiedy ja myślałem, że właśnie przed przedstawieniem....

W oczach studenta migotały niepokój i spryt. Wyczuł życzliwy nastrój, plótl żywo dalej:

— Kto będzie wiedział o moim debiucie, jeśli w „Świecie” nie będzie fotografii? Od tego debiutu zależy moja przyszłość!

Teraz już cała sala redakcyjna rechotała przychylnym śmiechem. Panna Zofia Głodowska, wierna „Światu” korektorka (ileż błędów w skryptach znanych nawet pisarzy wyławiała!), wstawiała się rzewliwie za petentem. Obecny w redakcji Wacław Grubiński proroczym tonem wieścił:

— Jeśli ten obiecujący młodzieniec nie rozbije sobie nosa po drodze, powinien zrobić karierę.

Obiecujący młodzieniec wyprostował się z godnością.

— Proszę pana, ja jestem z Sosnowca!

Na sali rozległ się ryk. — Z Sosnowca? Dać mu kliszę!

Niech robi karierę chłopak z Sosnowca!

W ten sposób na parę dni przed pierwszym występem w Operze Warszawskiej pojawiła się w „Świecie” fotografia Jana Kiepury.

.

Pisarze, związani ze „Światem” stałym współpracownictwem, chętnie wstępowali do redakcji, jeśli nie z interesem, to po nowiny i na gawędę.

• Częstym gościem przez szereg lat bywał Juljusz Kaden Bandrowski. W „Świecie” prowadził krytykę muzyczną, drukował obrazki legionowe, felietony wojenne, rozwlekłą powieść p. t. „Czarne Skrzydła”. Niskiego wzrostu, na kabłąkowatych nogach, — Papkin zabijaka, — wnosił do naszej pracowni zamaszysty gwałt i hałaśliwą wesołość. Później, gdy wraz z Sieroszewskim i Goetlem stał się jedną z chlub literackich pomajowego reżimu, zuroczył się.

Kaden, galicjanin przemysłny, zawczasu zorientował się, że dla wojaków legionowych zbliżała się godzina zapłaty. Jako swoją częśćkę, wybrał sobie Miejskie Teatry Warszawskie: obiecywały i stanowisko godne, i uposażenie dostatnie. O kwalifikacje się nie troszczył, nigdy bowiem wątpliwości w swój geniusz nie uwidomił.

Innego wszakże zdania był ówczesny prezydent miasta Słomiński. Kandydaturę Kadena spławił. Ten uczuł się w swej próżności i nadziejach boleśnie dotkniętym. Do mnie powziął żal, żem go w jego zabiegach sprężysiej nie poparł.

Zofię Nałkowską „Świat” zbliżył do rozleglejszych rzesz czytelników, drukując parę jej powieści i nowel. Chwaliła sobie wówczas odwiedziny w redakcji, choć koleżeńska dezynwoltura była jej

obca. Nałkowska pragnęła stać się polską panią de Staël, czekała ją — Akademia Literatury, roily się — sława wszechświatowa, wpływy i przodujące stanowisko w salonach oficjalnych. Jej talent nawskroś intelektualny, pozbawiony był żaru i bezpośredniości wzruszeń, uroda chłodna i już okwitająca. Nałkowska chciała zawsze być dystygowaną, lecz niezawsze odróżniała dystynkcję od pretensjonalności. W nowym okresie była Egerią sanacji, w 10 lat później stała się Egerią Rządu Tymczasowego. Blade jej oczy były szkiełkiem mędrca, który analizował życie i ludzi z zaciekawieniem, i bez cieplejszej życzliwości.

Pierwszym mężem Nałkowskiej był Leon Rygier, pedagog i poeta. Gdy się z nim rozwiódł, po pewnym czasie zaślubiła płk. Jura Gorzechowskiego, sławnego z zuchwałego uwolnienia dziesięciu więźniów z Pawiaka w r. 1906-m. Gorzechowski był żołnierzem gorącego animuszu; lubił polowanie, brydża, kieliszek wódki, raczej dwa. Problemy psychiczne i intelektualne mniej go interesowały. Małżeństwo rozeszło się, lecz Nałkowska się nie zraziła i wyszła za mąż — już w latach dojrzałych — po raz trzeci.

...Stosunki redakcyjne z Wacławem Sieroszewskim zacieśniły się po odbudowie Polski. Ten z przyrodzenia dobry i szlachetny człowiek dawał się powodować porywom fanatyzmu politycznego: każdy, kto inaczej myślał, wydawał mu się zaraz przedawczykiem i zdrajcą. Tak stosunkował się do Erazma Piltza, gdy ten wraz ze Spasowiczem i realistami wznawiał politykę Aleksandra Wielopolskiego.

Piltz przeniósł się do wieczności; Sieroszewski zbliżył się do „Świata”. Otworzyłem mu szpalty pisma, mimo, że talent jego zdradzał już wyczerpanie. Podniecił go sukces, jakiego dość niespodzianie doznał w teatrze. Wystawił aktualny melodramat, osnuty na wojnie 1920 r. Wydało mu się, że czekają go dalsze tryumfy sceniczne. Druga sztuka jednak zawiodła, Sieroszewski wrócił do beletrystyki.

Jako autor teatralny, przystąpił do Związku Autorów Dramatycznych, którego byłem przewodniczącym.

Do Związku należał także Adolf Nowaczyński, polski Aretino, który w tym czasie stał się harcownikiem Demokracji Narodowej. Nie śmiać porwać się na marsz. Piłsudskiego, szarpał i kłuł złośliwym dowcipem jego akolitów. Przyczepił się do Sieroszewskiego, oskarżając go o plagiat. Zarzut był nieusprawiedliwiony, można było przejść nad nim do porządku dziennego, Sieroszewskiemu jednak wydawało się, że uosabia godność i powagę piśmiennictwa polskiego. Atak Nowaczyńskiego uznał za świętokradztwo i zażądał

ode mnie, bym reagował wykluczeniem Nowaczyńskiego ze Związku.

Daremnie, chcąc próżnego pisarza uspokoić, przekładałem, że statut Związku dopuszczał usunięcie członka jedynie na mocy uchwały Walnego Zgromadzenia, powziętej kwalifikowaną większością głosów, że osiągnięcie takiej uchwały nie było nigdy rzeczą pewną. Urażony — wykreślił się ze Związku. Jego życzliwość w stosunku do mnie okazała się winem niższego gatunku, które łatwo fermentuje w ocet.

...Całkiem innego pokroju, choć tak samo porywczy, był Aleksander Świętochowski, który w tym czasie począł często do „Świata” pisywać. Był już w późnych latach, mózg jednak działał sprawnie. Nie dopisywało serce. Mimo, że miesiące zimowe spędzał w łóżku, zachował bojową pobudliwość i nieugiętą wolę. Nienawiść do Piłsudskiego wpłynęła zapewne w niemałym stopniu na jego zbliżenie się do Demokracji Narodowej. Odrzę żywił do drużyny belwederskiej.

Gdym go w sprawach redakcyjnych odwiedzał, zatrzymywał mię zwykle na dłuższą rozmowę; mieszkał skromnie, prawie ubogo.

Był to wstyd dla Polski, że znakomity pisarz, który przez pół wieku był bożyszczem młodzieży, trybunem śmiałej myśli, a postrachem zaśniedziałości umysłowej i zacofaństwa, na starość i w chorobie nie miał dostatecznego zaopatrzenia.

Zeromski w ostatnich latach przed zgonem, Sieroszewski, Przybyszewski, Lorentowicz, inni starsi pisarze, uzyskiwali szczupłe zasiłki, którym początkowo jakiś dureń nadał poniżające miano „daru z łaski”, gdy w istocie były nader skąpą spłatą długu wdzięczności.

Ośmieliłem się zapytać Świętochowskiego, czy nie pozwoliłby mi wszcząć zabiegów celem uzyskania dla niego analogicznego dożywocia.

Zachnął się, długa broda patriarchy trzęsła się ze wzburzenia.

— Nigdy! wołał. Nic od nich nie przyjmę!

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni Świętochowski przebywał w swej maleńkiej i skromnej posiadłości wiejskiej. Ulubioną jego rozrywką było strzelanie z okien do przelatujących wron. Czatował godzinami, a jeśli strzał powiódł się, starzec promieniał zadowoleniem.

Twardy był to człowiek, i bardzo zgorzkniały. Więcej w nim było skłonności do nienawiści, niż do miłowania. Umysł imponował światłem i bystrością, w artykułach, którymi „Świat” darzył, przejawiał się dawny, lwi pazur.

...Wysoko ceniłem sobie przyjazny stosunek z Andrzejem Strugiem (Gałęckim). Strugowi, w moim przekonaniu, po śmierci Żeromskiego i Reymonta należało się w belestryce polskiej pierwsze miejsce. Był to pisarz o wysokiej kulturze umysłowej, o bujnej wyobraźni i żywiołowym talencie narracyjnym. Nie zawsze dociągniętą formą wetował rozmachem i głębią ujmowania zagadnień społecznych i humanitarnych.

Struga trawiła choroba. Zapadał często na zdrowiu, w jego procesach twórczych drażyły się luki. Czułą opieką otaczała go żona, znacznie od niego młodsza, bardzo w nim zakochana. Towarzyszyła mu zwykle, gdy do „Świata” zaglądał.

Polska urodzajna była w talenty, talentom jednak nie zawsze dopisywała wiedza, charakter i chęć pracy. Strug był pisarzem, którego życie integralnie godziło się z tym, co pisał. Posłuszny wezwaniom Piłsudskiego, ćwiczył się w praktykach wojskowych: w lipcu 1914 r. odbył w Zakopanem letnie manewry Związku Strzeleckiego. W Legionach służył jako ułan pod Beliną. Rok spędził w nieustannych walkach, mimo, że już był przeszedł czterdziestkę; aż nabawił się choroby, musiał zsiść z konia. Wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej, należał do jej kierownictwa.

Po przewrocie majowym rozszczepiły się drogi Struga z Komentantem. Strug nie był zdolny do kompromisu ze swymi ideałami. Z ramienia P. P. S. w r. 1928-m wszedł do Senatu. Odpowiadając na przechwałki ówczesnego premiera, prof. Bartla, 12 marca 1930 r. Strug mówił z trybuny:

— Panie Premierze! Nie udawajmy mocniejszych, niż jesteśmy: Wiemy, że za panem stoi marszałek Piłsudski, wielka postać dziejowa, która spełnia swe funkcje ponad rządem, ale niestety: i ponad Polską.

I dalej:

— Są okresy dziejowe, gdy takie zjawiska zachodzą. Trzeba je rozumieć i przetrwać. Lecz jeśli kto tę siłę zapożycza, jeśli wyraża i bije pięścią w stół, naśladując cudze gesty, a zarazem, — jak wszystkim wiadomo, — toleruje rządy nieodpowiedzialnej grupy, jest to dowodem, że nie posiada własnej siły, ani idei.

Andrzej Strug zewnętrznych zaszczytów i odznaczeń, ani dotacji nie uznawał, więc ich nie przyjmował, udziału w Kadenowskiej Akademii Literatury odmówił. Był z jednej bryły. Piękno talentu łączyło się w nim niepodzielnie z pięknym charakterem.

Pomawiano go, że był głową masonerii polskiej. Jeśli było to prawdą, takiego szefa można było masonerii polskiej winszować.

Wzorowym współpracownikiem był Kornel Makuszyński. Każdy jego felieton, w treści więcej czy mniej udatny, pod względem formy zawsze był bez skazy. On sam — uśmiechnięty, serdeczny i punktualny, ślizgał się po powierzchni życia, nie łamiąc nigdy lodów.

Makuszyński w Warszawie szybko zjednał sobie tę samą popularność, jaką cieszył się w Lwowie. Łatwy w przyjaźni, z całą Polską tykał się i całował, całą Polskę rozweselał jego pogodny humor. Powiedzonek brydżowych Makuszyńskiego uczono się po dworach wiejskich na pamięć. Gdy w warszawskiej szopce kabaretowej pokazywała się figurka „Mornela Kakuszyńskiego”, sala trzęsła się od radosnych okrzyków.

...W tych latach, wróciwszy z Rzymu, pisywał przez jakiś czas stale do „Świata” Wincenty Rzymowski. Ceniłem wysoko jego inteligencję i talent pisarski, który tak świetnie się objawił w znakomitych przekładach dzieł Machiawela i Papiniego.

Porywista indywidualność Rzymowskiego nie mogła się pomieścić w ramach pisma, które przestrzegało miary. Rzymowski przystał do belwederczyków, ci wynagrodzili go redaktorstwem w zagarniętym od Fryzego „Kurierze Porannym”, oraz fotelem w Akademii Literatury. Współżycie z Sanacją jednak nie wytrzymało próby. Miodowe miesiące były krótkie, rozdźwięki — ostre i gwałtowne: Rzymowski odsunięty został od „Kuriera Porannego” i zniewolony do ustąpienia z Akademii. Na widowni publicznej zjawił się ponownie, u schyłku ostatniej wojny, jako bardzo czynny członek Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN). W Rządzie Lubelskim objął tekę Kultury, po przeniesieniu się do Warszawy w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej awansował na ministra Spraw Zagranicznych.

Gustaw Daniłowski drukował w „Świecie” swe utwory, ciśniejszych węzłów z redakcją nie zadzierzgnął.

We wszystkich sprawach aktualnych zabierali głos na szpaltach „Świata” wybitni fachowcy. Był to najlepszy sposób utrzymywania stałego kontaktu ze społeczeństwem.

Kongres autorów dramatycznych w Rzymie.

Kongres Międzynarodowej Federacji Związków Autorów Dramatycznych w r. 1927-m odbywał się w Rzymie. Polskich delegatów było trzech: Zdzisław Kleszczyński, Kazimierz Wroczyński i ja. Obradowaliśmy w lokalu Włoskiego Towarzystwa Autorów, lokal

mieścił się w pięknym pałacu renesansowym, w pobliżu Piazza di Venezia.

Prezesem Federacji Związków Autorskich obrany został ponownie Robert de Flers. Mnie przypadła godność jednego z wiceprezów. Niepokoił nas wszystkich stan zdrowia de Flers'a: schudł, zczerniał, oczy jego patrzyły zbyt daleko.

Zjazd rzymski był ostatnim jego wystąpieniem publicznym. W kilka tygodni po powrocie do Francji zakończył życie.

W pałacu Chigi, czujnie strzeżonym przez zgiefkliwe „koszule czarne”, przyjął prezydium Kongresu Mussolini.

Dyktator był wzrostu mniej niż średniego, rozrosły w barkach, ciężkiej budowy i ruchów. Pospolita twarz tchnęła energią, siłą woli i niezachwianą pewnością siebie. Spojrzenie — władcze i twarde. Był nieodrodnym potomkiem dawnych kondotierów i tyranów, nie znaczyło to przecież, by mu brakło tradycyjnej, włoskiej giętkości. Umiał zręcznie grawitować między elitą inteligencji a rzeszami ludowymi, był nawskroś Włochem, jak nawskroś włoską była jego doktryna. Audiencja w pałacu Chigi była krótka i zdawkowa.

Zgoła odmiennym było posłuchanie, jakiego udzielił członkom Kongresu król Wiktor Emanuel we wspaniałych apartamentach recepcyjnych Kwirynału. O ile w siedzibie Mussoliniego było tłumno, gwaro i gorączkowo, o tyle w krużgankach pałacu królewskiego — cicho, pusto i sennie. W szkarłat przystrojeni gwardziści, jeden w drugiego olbrzymy, nudzili się i ziewali w bramie, w podwórcach, na monumentalnych schodach Kwirynału.

W wielkiej sali audiencjonalnej mistrz protokołu ustawił nas w półkole. Przez wysokie drzwi w głębi wszedł król Wiktor-Emanuel, w skromnym mundurze wojskowym, za nim kilku adiutantów i szambelanów.

Król był niskiego wzrostu. Obuwie nosił na wysokich obcasach, wskutek czego, idąc, stukał głośnie o posadzkę. Włosy i wąsy znaczyła już siwizna, na ustach błąkał się łagodny uśmiech.

Oficjalna atmosfera odprężyła się, gdy przemówił do króla Robert de Flers. Przygotował zawczasu parę komplementów i dowcipów, wypowiedział je, jak znakomity aktor, grający margrabię (bo prawdziwi margrabiowie bywają nieraz podobni do kelnerów). Król śmiał się wesoło, autorzy rechotali, dworacy wydawali się uszczęśliwieni.

Monarcha odplacił de Flers'owi pięknym za nadobne, bo w odpowiedzi umieścił żartobliwą aluzję do jego najlepszej komedii, do „Króla”.

Francuzi byli uprzywilejowani: mogli zawsze i wszędzie przemawiać własnym językiem. My, Polacy, nie mogliśmy posługiwać się naszym, bo niktby nas nie zrozumiał. A język obcy, choćby nawet posiadany biegle, jest jak tramwaj: dowozi pasażera blisko domu, ale prawie nigdy — do samej bramy.

Dziedzic jednej z najstarszych panujących w Europie dynastii obchodził potem kolejno delegacje, przy niektórych zatrzymywał się. Uczynił to przy delegacji polskiej. De Flers przedstawił mi, jako przewodniczącego, król podał rękę i zapytał po francusku, czy znam język włoski. Odrzekłem, że czytuję książki i dzienniki włoskie, lecz mówić mi trudno.

— A w Polsce dużo osób mówi po włosku?

Zełgałem, że liczba ich rosła. Król ucieszył się, podziękował za dobrą nowinę i poszedł dalej.

„Po nudnym posiedzeniu kongresowym powędrowałem z paru kolegami włoskimi do *Cafe Aragno* na Corso. Że do czasu objęcia władzy przez Mussoliniego poraz pierwszy byłem w Rzymie, próbowałem zasięgnąć języka. Moje pytania wydały się kolegom włoskim tak drażliwe, że jęli rozglądać się z widocznym niepokojem po sąsiednich stolikach. Bali się, czy naszej rozmowy nie podsłuchują. Chiarelli szepnął mi do ucha, że w kawiarniach rzymskich roiło się od szpiegów.

Dawna beztraska radość życia we Włoszech zniknęła. Umilkły pieśni śpiewaków ulicznych i lazzaronów, pieśni słodkie i wzruszające, w których zawsze dominowały dwa wyrazy: *il sole* i *l'amore*, słońce i miłość.

Jeszcze smutniejszego wrażenia doznałem na powrotnej drodze w Wenecji. Mimo rozkosznej pory wiosennej, hotele na *Riva dei Schiavoni* były puste, na placu św. Marka panoszyły się krzykliwe i wulgarne wycieczki niemieckie.

Faszyzm rzekomo łągodził przeciwieństwa między kapitałem a pracą, ustalił bezwzględny autorytet państwa, podniósł gospodarkę wewnętrzną. W istocie rzeczy warstwy posiadające i inteligentne zubożały, rzesze pracownicze nie wiele zyskały.

Wzrost potęgi państwowej wzniecił ambicje zaborcze, wplątał naród, miłujący pokój, wolność i piękno, w potworne sojusze i nie-szczęśliwe wojny...

Kraj słońca, miłości i sztuki!

Polowanie dla arcyksiążąt.

...Wczesnym rankiem sierpniowym pociąg wpadł na maleńką stacyjkę, przyczajoną w zieleni rozłożystych dębów i lip. Chybie!

Nasz wagon spiesźnie odczepiono, pociąg pomknął ku niedalekiej granicy czeskiej. Minister rolnictwa, Karol Niezabitowski zaprosił garstkę myśliwych na Śląsk Cieszyński. Czekaliśmy na polowanie na dzikie kaczki w kompleksie wielkich stawów rybnych, które przed wojną stanowiły własność arcyksięcia Fryderyka.

Niebo było w chmurach, nasiąkniętych deszczem. Julian Ejsmond, niepoprawny optymista, przepowiadał, że do południa „rozejdzie się”. Pesymiści zapewniali, że zanoszą się na trzydniówkę. Beskidy lubią się płukać. Zdając się na los Opatrzności, wdzieliśmy płaszcze gumowe, wsiedliśmy do oczekujących pojazdów i pięknie ocienioną szosą ruszyliśmy na punkt zborny. Krajobraz zachwycał spokojną podgóorską urodą i odwieczną kulturą.

Śląsk, perła Rzeczypospolitej!

Na skrzyżowaniu dróg, pod starymi dębami, spotkaliśmy starostę cieszyńskiego, paru urzędników miejscowego leśnictwa i liczną naganę.

Rozstawiono nas między stawami na szerokich groblach tak czysto utrzymanych, że można było po nich w lakierkach chodzić. Groble gęsto zarosły jeżyną, krzaki były utkane słodkimi, czarnymi jagodami. Trudno było oprzeć się pokusie i niejedna kaczka zawdzięczała jagodom życie.

Pierwszy staw był rozmiarów olbrzymich. Gdyśmy zajęli stanowiska, wydawał się pusty i martwy. Lecz gdy naganiacze weszli w nadbrzeżne trzciny i sitowia, kaczki jęły rwać się niezliczonymi chmarami. Szły odrazu w górę, strzały były dalekie. Kanonada nabrała takiego zapamiętania, że sąsiadujący z moim stanowiskiem Niezabitowski począł się troskać, aby gościom nie zabrakła nabożów. Pudłowali wszyscy nagminnie. Za to gdy krzyżówka skręcała się pod szarym niebem i spadała z wysoka, celny strzał wywoływał huczne uznanie sąsiadów.

Następnie stawy, gęściej wodnym zielskiem pokryte, dały lepsze wyniki. Kaczki rwały się w mniejszych stadkach, często parami nawet pojedynczo. Strzały były krótsze. Wyśmienicie tresowane wyżyły goniły po sitowia postrzałki.

Po myśliwskiej, zimnej przekąsce niebo przechyliło się na stronę pesymistów. Deszcz przestał mżyć, zaczął lać. Trwaliśmy mimo

to na groblach, bo kaczki podnosiły się ciężej. W końcu jednak trzeba było zejść ze stanowisk.

Zabiliśmy sto kilkadziesiąt kaczek. Strzelanie było przyjemne, aż nadto ułatwione. Utrzymały się dawne tradycje: arcyksiężęta austriaccy lubili wygody.

Ku silnej władzy.

Wybory do Sejmu i Senatu wzmogły liczebnie partię rządową, nie przyniosły jej jednak takiej większości, która pozwoliłaby łatwo przeprowadzić dwa postulaty zasadnicze: znaczne wzmocnienie władzy zwierzchniej, tj. prezydenta Rzeczypospolitej i niemniej znaczne rozszerzenie kompetencji władzy wykonawczej, tj. rządu.

W stronnictwach, obok miernot partyjnych, nie brakło ludzi światłych, politycznie doświadczonych. Marsz. Piłsudski trzymał w ręku wojsko, swymi ludźmi obsadził administrację, w szerszych warstwach społecznych umiał wzniecić wiarę w czystość swoich zamierzeń. Mógł być sięgnąć jawnie po władzę najwyższą, jak to czynili w Turcji — Kemal-pasza, we Włoszech — Mussolini, później w Niemczech — Hitler.

Marsz. Piłsudski odrzekł się splendorów pierwszego w Rzeczypospolitej urzędu nie dla tego, aby uchylał się od odpowiedzialności, ale żeby uniknąć dolegliwości reprezentacyjnych, z owym dostojnictwem związanych. Z decyzji w sprawach wyższej wagi nie rezygnował.

...Stosunki układały się tak, że, przy pewnej uступliwości, marsz. Piłsudski mógł być poradzić sobie z przeciwnikami, nie atakując ich, ani narzucając im więzów. Tak umieli rządzić we Florencji w dobie Odrodzenia Medyceusze. Herman Grimm w swym pomnikowym dziele o Buonarottim pisze:

„Medici byli książętami Florencji, a jednocześnie pozostali ludźmi prywatnymi. Posiadali władzę nieograniczoną, właściwie jednak nigdy nie wydawali rozkazów. Można by ich raczej nazwać dziedzicznymi doradcami ludu florenckiego, dziedziczną Opatrznością Florencji. Wypośrodkowywali opinię publiczną, reprezentowali ją. Rządzili bez tytułu i mandatu, ich absolutną władzę usprawiedliwiała jedynie jej nieodzowność.”

Marsz. Piłsudski był twardym żołnierzem, do kompromisów niezdolnym. Porywcznością zrażał niekiedy nawet dawnych towarzyszków z PPS. Niedomaganie fizyczne wzmagały w nim gorycz, rozdrażnienie, skłonność do samotnictwa. Wobec narodu nie był lekarzem, który baczy, aby pacjent nie chorował; raczej tym, który nęka chorego, bezustanną kuracją.

Zdzisław ks. Lubomirski, b. Regent, który wysoko autorytet duchowy marsz. Piłsudskiego szacował i nawzajem przez niego był ceniony, opowiadał mi, że blisko przez dwa lata nie mógł uzyskać dłuższej rozmowy w cztery oczy z marszałkiem. A w owym czasie ks. Lubomirski przewodniczył Komisji Zagranicznej Senatu. Ministrowie nieraz po parę miesięcy daremnie dobijali się o audiencję.

W ostatnich dniach czerwca 1928 r. marsz. Piłsudski zrzekł się manifestacyjnie stanowiska premiera. Przekazując władzę prof. Bartłowi, ogłosił deklarację, w której popędliwie rozprawił się z parlamentaryzmem polskim. Dowodził w tej deklaracji, jakoby Konstytucja Marcowa uniemożliwiała ukrócenie warcholstwa, że sejmowładztwo stało się nonsensem ustrojowości polskiej.

Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński odpowiedział komunikatem rzeczowym, w którym streścił przebieg i wyniki prac Sejmu.

Epizod afgański.

Warszawa miała uciechę z powodu odwiedzin egzotycznego króla Afganistanu, Amanullaha, który z małżonką i dość licznym orszakiem przez parę dni bawił w Warszawie.

Przyjmowany był bardziej uroczyście, niż na to zasługiwał. Ani w hotelu, ani w pierwszorzędnym magazynie warszawskich, które zakupami zaszczycał, nie zawsze pamiętając o zapłaceniu rachunku, dodatnich wspomnień nie zostawił. Prezydent Rzeczypospolitej wyprawił dla azjatyckich gości uroczysty obiad i wielki raut, na który zbiegła się „cała Warszawa”. Osobliwą ciekawość budziła młoda małżonka Amanullaha, królowa Surijska, uchodząca w swej ojczyźnie za piękność; jej uroda w Warszawie nie zwróciła uwagi. Królik afgański postacią i przymilnym uśmiechem przypominał przekupniów arabskich, włóczących się po bulwarach Paryża, Marsylii i Nizy z dywanikami wschodnimi.

Wielu wyższych i niższych dygnitarzy polskich uzyskało przy tej okazji ordera afgańskie. Niektóre z nich oktrojowały podobno tytuły książęce. Ledwie jednak Amanullah opuścił Warszawę, telegraf rozniósł wiadomość, że w Kabulu wybuchła rewolucja, i walęsający się po Europie monarcha został zdetronizowany.

Szwendał się jeszcze przez dłuższy czas po kontynencie, lecz już nikt mu uroczystych przyjęć nie urządzał, w sklepach odmawiano kredytu. Nadobna Surijska musiała zastawiać swe klejnoty w lombardach.

W jednej z miejscowości kuracyjnych Szwajcarii Amanullah zawarł znajomość z kokotką, spotkaną na promenadzie. Wróciwszy do hotelu, zamówił obok swoich apartamentów jeszcze jeden luksusowy pokój. Wieczorem sprowadziła się doń nowa faworyta. Sielanka trwała parę dni, król opuścił uzdrowisko. Wyjeżdżając, odmówił stanowczo zapłaty za pokój, w którym gościła płoża niewiasta, ufna w hojną wdzięczność królewską. Gdy się dowiedziała, że egzotyczny monarcha uniósł swą obecność, nie uściwszy rachunku, wpadła w rozpacz.

— Nie dał mi nic! Ani jednego franka! A obiecywał dziesiątki tysięcy!

Hotel musiał należność od zawiedzionej w swych nadziejach damy zapisać na straty.

„Walka”.

W marcu 1928 roku wystawiłem w Teatrze Narodowym dramat historyczny pt. „Walka”, osnuty na wydarzeniach listopadowych 1830 r. W stuletnim z górą zmaganiu się w Polsce dwóch zasadniczych ideologii politycznych, — realizmu i romantyzmu — wybuch rewolucji listopadowej wydawał mi się momentem kulminacyjnym.

Romantyzm odnosił w Polsce te same zwycięstwa w polityce, co w poezji.

Polski romantyzm polityczny zrodził Konfederację Barską, jego poniekąd dziełem była Ustawa 3 Maja, mimo, że jej główni twórcy nasiąknięci byli racjonalizmem encyklopedystów francuskich. Romantyzm wzniecił powstanie Kościuszkowskie, organizował legiony Dąbrowskiego i Kniaziewicza, rozpałał entuzjazm dla Napoleona. Umacniał w narodzie mistyczną wiarę w przeznaczenie Polski,

utrwał taką odporność wobec zawodów, klęsk i prześladowań, że w niewoli naród polski okazywał większą siłę duchową, niż w ostatnich stu latach wolnej Rzeczypospolitej.

Największy polski mąż stanu w okresie porozbiorowym, Ksawery ks. Lubecki odbudował w dziesiątek lat gospodarkę Królestwa, obdarzył ziemian Towarzystwem Kredytowym Ziemskim, cały kraj — Bankiem Polskim, rozwinął przemysł i eksport, wprowadził ład administracyjny. Umiał pozyskać zaufanie cesarzów Aleksandra i Mikołaja, — nie potrafił zdobyć go w ojczyźnie. Serce narodu zwracało się ku tym, którzy o zrzuceniu jarzma marzyli, i nawet z dekabrystami rosyjskimi, — z Bestużewym, Murawjewym, Pestlem, — nawiązywali stosunki (płk. Krzyżanowski, mjr. Łukasinski), by wspólnie za swoją i ich wolność walczyć.

Gdy w ostatnią noc listopadową 1830 r. osiemnastu podchorążych, z podporucznikiem Piotrem Wysockim na czele, porwało się na Belweder, a ksiązę Konstanty, strzeżony przez najbitniejsze pułki rosyjskie, sromotnie umknął, uświadomiona powszechność polska nie była zdolna oprzeć się entuzjazmowi zapaleńców. Nie Lubecki, ani Czartoryski lub Chłopicki, lecz garść szalonych pałek wyrażała utajone uczucia narodu. Romantyzm rozpowszechniał wiarę, że nie należy ufać doświadczeniu i rozsądkowi starszych, że siły można mierzyć na zamiary. Prawda, że i największy poeta niemiecki, Goethe wówczas wołał: — Kocham tych, którzy domagają się niemożliwości! ¹⁾

Pomysł do „Walki” nasunęły mi książki o Mochnackim Jana Kucharzewskiego i Artura Śliwińskiego. Wiele skorzystałem z rozmów z Szymonem Askenazym, który był niewyczerpaną kopalią szczegółów i anegdot charakterystycznych. Opowiadał jeszcze lepiej, niż pisał, lubo pisał doskonale. Wielka to była strata, że ten uczony historyk oderwał się dla dyplomacji od swych studiów, i przede wszystkim — że tak wcześnie zmarł.

Scenariusz „Walki” nakreśliłem podczas pobytu zimowego w Nizy w roku 1913-m. Temat wszakże był tak niecenzuralny, że odroczyłem pisanie do lepszych czasów. I lepsze czasy nadeszły.

Nil desperandum!

W moim dramacie realizm polityczny reprezentowali: Ksawery ks. Lubecki, Adam ks. Czartoryski, Chłopicki, Niemcewicz, — ich

¹⁾ Tenże sam poeta jednak na innym miejscu głosił: — „Niekiedy trzeba wybierać między brakiem sprawiedliwości, a brakiem ładu”. Tą sentencją romantyzm polski nie byłby się splamił.

zwolennicy. Romantyzm: Maurycy Mochnacki, Lelewel, Piotr Wysocki, Lach Szyrma... Moment historyczny interesował mnie tym żywiej, że mój dziad, Dominik Krzywoszewski, brał w rewolucji Listopadowej czynny udział.

Mnie pociągał entuzjazm młodych, ale szanowałem rozum doświadczonych. Zwycięstwo mogło zapewnić jedynie sprzęgnięcie tych dwóch wartości.

Żadnej z mych dotychczasowych sztuk nie poświęciłem tyle czasu i trudu, co „Walce”. Niestety! jej realizacja sceniczna w Teatrze Narodowym nie ziściła moich nadziei. Obsada była niefortunna, reżyseria — szablonowa. Węgrzyn, który odtwarzał Mochnackiego, był tym razem nieusposobiony, Majdrowiczówna, mimo niepospolitej urody, zawiodła. Tym nie mniej jednak sztuka doznała bardzo życzliwego przyjęcia, a Grzymała Siedlecki napisał w „Kurierze Warszawskim”, że „Walka” była nie tylko dziełem, ale i czynem.

Jesienią 1928 r. Łotewski Teatr Narodowy w Rydze wystawił z powodzeniem „Diabła i Karczmarkę”. „Kolombina” doznała bardzo życzliwego przyjęcia w Teatrze na Vinohradach w Pradze Czeskiej.

Audycja u Prezydenta Rzeszy, Marsz. Hindenburga.

W czerwcu 1928 r. Kongres Międzynarodowy Związków Autorów Dramatycznych odbył się w Berlinie. Na porządku dziennym były sprawy zawodowe ważne: zmiany w Konwencji Berneńskiej (Międzynarodowa ustawa o prawie autorskim), zagadnienie przekładów, ujednostajnienie tantiem, ustalenie stosunku autora do reżysera.

Delegacja polska składała się z Włodz. Perzyńskiego, Wacława Grubińskiego, Kaz. Wroczyńskiego i mnie, jako przewodniczącego. Niemcy bardzo się wysadzili na przyjęcie. Chcieli zaćmić Paryż i Rzym. Nie mogło się to im powieść, bo Berlin w areopagu wielkich stolic europejskich był i pozostanie szpetnym miastem parweniuszowskim, bez stylu, tradycji i swoistego wdzięku.

Obrady zaczęły się od przykrego zgrzytu. Wywołał go list Sudermanna, w którym autor „Honoru” i „Końca Sodomy” usprawiedliwiał swą nieobecność na Kongresie.

Pisał:

— „Stałe, nieznośne napaści krytyki sprawiły, że przestałem dla teatru pisać. Zarzucono mi, że nie rozumiem sceny, że — chociaż wystawiam sztuki, — nie jestem wcale pisarzem dramatycznym. Więc piszę teraz wyłącznie powieści. Proszę, niech autorzy niemieccy i cudzoziemscy, biorący udział w Kongresie, wybaczą nieobecnemu koledze, któremu krytyka teatralna zatruiła ostatnie lata i od teatru go odsunęła”.

W drugim dniu obrad prezydium Kongresu było przyjęte przez prezydenta Rzeszy, marsz. Hindenburga. W delegacji brali udział Henryk Rivoire, Denys Amiel, senator Morello, Hoeltai i ja.

W sieniach pałacu kanclerskiego przy Wilhelmstrasse powitało nas kilku skromnie przyodzianych służących. Zjawił się zaraz sekretarz, sprawdził nasze bilety wizytowe z listą, którą miał w ręku, — wprowadził do gabinetu.

Marsz. Hindenburg siedział w wielkim fotelu przy oknie, czytał ranne gazety. Zdjął okulary, powstał, sekretarz kolejno nas przedstawił. Zasiadliśmy przy dużym, okrągłym stole jesionowym. Przez otwarte okna dochodził szczebiot ptactwa w ogrodzie kanclerskim i przyciszony oddech wielkiego miasta.

Marsz. Hindenburg był imponującego wzrostu. Mimo późnych lat, jego włosy i wąsy ledwie były przyprószone siwizną. Surowe oblicze łagodził uśmiech i żołnierska prostota.

Rivoire, jako przewodniczący delegacji, złożył w języku francuskim marszałkowi krótkie sprawozdanie z działalności Federacji i obrad Kongresu. Marszałek odpowiedział po niemiecku, że pochwała tego rodzaju zjazdu, jako że zbliżają one inteligencje poszczególnych narodów, i przyczyniają się do wyrównania szkodliwych uprzedzeń.

Nagle zwrócił się do mnie.

— Pan jest Polak?

— Tak jest, Ekscelencjo.

— Z Warszawy?

— Tak.

Stary pan zamyślił się na sekundę.

— Jak się rozwija uniwersytet warszawski? Ilu obecnie liczy studentów?

Wymieniłem przybliżoną liczbę młodzieży, studiującej w Warszawie na Uniwersytecie, w Politechnice i w paru innych wyższych zakładach naukowych. Marszałka Hindenburga interesował jednak szczególnie Uniwersytet. Był, wraz z gen. Beselerem, jego wskrze-

sicielem. Pamiętał o tym, może był sobie wdzięczny. Gdym mówił o impecie, z jakim garnęła się młodzież polska do wyższych studiów, uśmiechał się życzliwie.

Moi koledzy z prezydium Kongresu nie bez zdziwienie przysłuchiwali się rozmowie, odbiegającej od szablonu zwykłych dialogów oficjalnych.

Jesienne polowania na Pomorzu: jelenie i daniele.

Dyrektor Banku Rolnego, p. Staniszewski zabrał mię na rykowisko jeleni w lasach chojnickich, na samej granicy z Rzeszą. Gdyśmy przed świtem znaleźli się w kniei, słyszeliśmy strzały: opodał polowali myśliwi niemieccy.

Dwie doby spędziliśmy w lasach tak niefortunnie, że wciąż płatały się przed nami płowe, piękne wyrosnięte łanie, a byki przerywały swe miłosne turnieje, kryły się w gęstych zaroślach i milczały, jak zakłète. Na dziennych nagonkach wymykały się chyłkiem flankami lub szalonym pędem przedzierały się przez łańcuch naganiaczy.

Wracaliśmy do Warszawy w kwaśnych humorach. Dyrektor Grudziądzkiego Oddziału Banku Rolnego, p. Zan, wnuk Mickiewiczowskiego przyjaciela, szepnął mi na pociechę przy pożegnaniu.

— Chciałby pan ustrzelić daniela?

— Bardzo.

— Niech pan przyjedzie do Grudziądza. Ale rychło!

...W pogodny wieczór wrześniowy przybyłem samochodem do Grudziądza. Obiecany daniel oczekiwał mię w lasach hr. Schwabina, o dwadzieścia parę kilometrów od miasta.

Daniele widywałem dotychczas w ogrodach zoologicznych, i raz, z daleka, większy ich rudel w lasach skierniewickich, kiedy lasy te były terenem polowań carskich. Więc byłem onieśmielony — jak panna, która idzie po raz pierwszy na bal.

Towarzyszył mi p. Zan.

Wyjechaliśmy z Grudziądza o wschodzie słońca. W pół godziny zajechaliśmy przed pałac, pogrążony we śnie. Przyjął nas nadleśniczy. Wsiedliśmy natychmiast do powozu o niskich, szerokich stopniach, wygodnie przystosowanego do podjazdu. Nadleśniczy zajął miejsce na koźle, obok stangreta. Las, na poły szpilkowy, na poły liściasty, utrzymany był wzorowo. Sarny pasły się na każ-

dej polance, marudziły w krzakach. Zający stosunkowo było niewiele.

...Nadleśniczy wpatrywał się uważnie w drągowinę, o paręset kroków od drogi odległą. Błąkały się w niej płowe cienie.

Zan znieruchomiał.

— Są!...

Aby okrążyć drągowinę, trzeba było zboczyć w starodrzew. Posuwaliśmy się wolno, lecz bez przerwy. Już można było rozróżnić skład rudla: stary byk z pięknymi łopatami, dwie łanie, troje młodych. Patriarcha węszył i nasłuchiwał, jego niepokój udzielał się całej rodzinie. Nie było czasu do stracenia. Wskoczyłem ostrożnie z powozu, który pojechał dalej, ległem na małym wzgórku. Przestrzeń, dzieląca mnie od danieli, wynosiła mniej więcej sto kroków. Strzał poprzez drągowinę był bardzo niepewny.

Lecz byk już odsadzał się do skoku. Poniosła mnie gorąca krew, przywarłem ekspres do ramienia, huknęły dwa strzały. Daniele skłębiły się w raptownym zamęcie, zniknęły. Ptactwo zamilkło, las stężał w zgrozie. Pobiegłem w nadziei, że daniel będzie farbował. Nic z tego. Drwił sobie już zapewne w gąszczach z mej porywczosci.

Nadleśny i Zan byli zwarzeni. Poszliśmy razem sprawdzić ślady strzałów. Znaleźliśmy świeżo odłamane gałazki. Nic nas nie pocieszyły.

Pech prześladował mnie do końca. Ranek zrobił się słoneczny i ciepły, sarny i daniel pokładły się w zaroślach. Do ponownego strzału nie doszedłem. Wróciłem do Grudziądza bez łopat danielich, z gorzkim wspomnieniem pudła.

Nadleśny pocieszał mnie, że ten sam los spotkał przed paru dniami dra Sahma, burmistrza gdańskiego.

Polowanie prezydenckie bez Prezydenta.

Kpt. Ropelewski, zarządzający Spalą, z upoważnienia prezydenta zaprosił kilku myśliwych na małe polowanie na zające. Przyjechaliśmy wieczorem samochodami, nocowaliśmy w „hotelu”, obok pałacu, w apartamentach, urządzonych z wyszukany komfortem. Wczesnym rankiem obudziły nas pobudki łowieckie. Pagórkowaty las był tak mało podszyty, że widziało się przemykające koty na paręset kroków. Podziw wywoływała mnogość sarn, które

jak gdyby wiedziały, że im nic nie groziło: szły na myśliwych bez strachu, jedna o włos mnie nie przewróciła. Sprawność dwóch naganek była wzorowa. W ciągu krótkiego dnia zdążyliśmy odrobić piętnaście czy szesnaście miotów. O zmierzchu otrąbiono strekę.

Przebieg polowania był wzorowy. Brakło jedynie tego, co jest łowów najcenniejszym powabem: przypadkowości.

Widnokrąg polityczny w chmurach.

Stronnictwo rządowe rodziło w mękach projekt nowej Konstytucji, która miała wyposażać prezydenta Rzeczypospolitej we władzę prawie dyktatorską. Stanisław Thugutt z tego powodu pyta?

„Skoro Sejm i Senat, sądy i rząd, nie mają być w tym projekcie zniesione, ma-ż prezydent i w stosunku do nich być czynnikiem nadrzędnym?...”

Działalność finansowa Czechowicza wywoływała coraz przykrzejsze zarzuty. Nie mogąc zdobyć się na realny plan podniesienia gospodarki państwowej, względny belwederczyków jednał sobie gorliwym wspieraniem ich „radosnej twórczości”. Dodano mu fachowego anioła-stróża z Nowego Jorku, Dewey’a. Posłowie Liebermann, Wyrzykowski i Pieracki domagali się wydania Czechowicza Trybunałowi Administracyjnemu.

Na naczelne staniwiska wysuwali się zaufańcy, którzy wyższe studia praktyczne odbyli w Drugim Oddziale Sztabu. Car był ich doradcą prawnym. W mieście mówiono, że Polska miała w tym czasie dwa rządy: jeden oficjalny, który obradował w dawnym pałacu Radziwiłłowskim, i drugi, utajony, który o wszystkim decydował.

Członkowie tego drugiego rządu jawne konwentykle odbywali w kawiarni Europejskiej. Schodzili się tam w porze południowej Bronisław Pieracki, Stamirowski, Hauke-Nowak, niekiedy Beck i Miedziński. Sami pułkownicy! Lecz bywali także majorowie: Świtalski, Zyndram Kościałkowski, kapitan zamkowy Zaćwilichowski, Polakiewicz i wielu innych.

...O kilkanaście kroków, bliżej od wejścia, zbierała się przy innym stole, również codziennie, garść literatów, artystów i różnego autoramentu łązégów kawiarnianych. Przewodził tym posiedzonkom przy „małej czarnej” Kornel Makuszyński, stale dotrzymywali mu

placu Ludwik Solski i Juliusz German. Tutaj znoszono i stąd rozchodziły się najświeższe nowiny, dobre i złe, prawdziwe i zmyślane. Tu układano i puszczano w obieg złośliwe anegdoty i dowcipy.

Atmosfera polityczna znowu stawała się duszna. Do Belwederu jakoby nadbiegały raporty, że ludowcy i socjaliści wspólnymi siłami knowali zamach. Przygotowywano wielki zjazd w Krakowie.

W marsz. Piłsudskim rośło wzburzenie, podejrzliwość i zawziętość. Cnoty, które począł najwyżej cenić w swym otoczeniu, były — nie wartości umysłu i charakteru, — lecz bezwzględne posłuszeństwo i całkowite oddanie się. Stąd powstawały fatalne pomyłki w wyborze ludzi, którym marszałek zdawał władzę, stąd karierowiczostwo, które zaczęło trawić jego zaufańców. Złe rodzi zwykle gorsze.

Siako tako jeszcze było, pokąd marszałek, choć schorowany, w Belwederze czuwał. Gdy po śmierci podzielono jego doczesne szczątki między Kraków i Wilno, władza dostała się w ręce klanu, który nawet tak zasłużone wobec marsz. Piłsudskiego jednostki, jak Sosnkowski, Sławek i Prystor od udziału w rządach odsunął.

...W dziennikach opozycyjnych jawiły się złośliwe ataki na marszałka i jego otoczenie. Gorliwi oficerowie odpowiedzieli brutalnymi napadami. Pobito dotkliwie Jana Dąbskiego, Mostowicza, Adolfa Nowaczyńskiego. Nowaczyński jedno oko utracił. Pięciu oficerów w mundurach i przy orderach wdarło się do mieszkania Jerzego Zdziechowskiego, b. ministra Skarbu. Poraniono go tak, że przez dłuższy czas chorował.

Te metody walki wywoływały oburzenie. Zdzisław ks. Lubomirski dotarł do Belwederu.

— Panie marszałku, mówił, w interesie publicznym leży, aby napastnicy na Zdziechowskiego zostali ujawnieni i ukarani.

Marsz. Piłsudski zmarszczył gęste brwi.

— Ja ich szukać nie będę, odrzekł.

— Pan marszałek nie potępia gwałtu, dokonanego przez oficerów wojska polskiego?

Surowy wyraz oczu marszałka rozjaśnił przekorny uśmiech i zgasł.

— Uczynię wszystko, co będę mógł, aby ich nie odnaleziono, odpowiedział.

W Lubomirskim zagrała krew.

¹⁾ Proces Brzeski”. Nakład Pawła Kolety w Cieszynie. 1932.

— Pan marszałek śmieje się? zawołał. Ja sędzę, że należałoby raczej płakać!....

Na tym rozmowa się urwała. Pożegnanie było chłodne.¹⁾

Marsz. Piłsudski w tym czasie chętnie powtarzał, że tylko ten jest wart nazwy człowieka, kto ma ustalone przekonania i potrafi bez względu na skutki wyznawać je czynem.

Prof. Bartel skrewił dość prędko. Zgłosił dymisję w kwietniu. Marsz. Piłsudski wysunął, jako jego następcę, majora Świtalskiego, pedagoga galicyjskiego, zapalonego miłośnika nart, tenisa i płci nadobnej. Wybór wywołał zdziwienie, bo mjr. Świtalski już w gabinecie Bartla, jako minister Oświecenia Publicznego, zdążył odsłonić swą niezdatność.²⁾

Do gmachu sejmowego weszło hurmem kilkudziesięciu oficerów w pełnym rynsztunku. Marsz. Piłsudski siedział na ławie ministrów, mjr. Świtalski tego dnia był w Izbie nieobecny. Jego przyjaciele objaśnili, że z wyższego rozkazu „został zachorowany”. Krążyła również niesprawdzona pogłoska, jakoby liczniejsza partia oficerów zgromadziła się w pobliskim Szpitalu Ujazdowskim.

Marszałek sejmu, Ignacy Daszyński, przerwał posiedzenie i opuścił salę obrad.

Gdy czas mijał, a Daszyński nie wracał, większość prorządowa jęła się niecierpliwić. Marsz. Piłsudski zdecydował się pójść do Daszyńskiego, by go nakłonić do powrotu. W gabinecie marszałka Sejmu rozegrała się dramatyczna scena między dwoma ludźmi, którzy z jednego obozu ideowego wyszli i których przez dziesiątki lat łączyła przyjaźń.

¹⁾ Rozmowę tę powtarzam dosłownie według relacji ks. Zdzisława Lubomirskiego.

²⁾ Przy egzaminach wstępnych do szkół średnich wprowadzono wówczas nowy sposób badania inteligencji nieletnich kandydatów. Winni byli uzupełnić aforyzm, który wymyślnym belfrom wydawał się mądrością.

Nauczyciel pisał malcowi na tablicy:

— Nienawiść ludzi dzieli, a miłość?

Malec po dłuższym namyśle dodał:

— mnoży.

Rezolutną dziewczynkę zapytano.

— Pszczółka daje miód, a mleko?...

Dziewczynka zawahała się.

— Mamka!...

I wreszcie:

— Wódz wydaje rozkazy, a żołnierz je?...

Zmyślny chłopak odpowiedział spieszenie.

— Zrąży!...

Rozmowa była prowadzona w tonie gwałtownym. Piłsudski domagał się wznowienia obrad. Daszyński żądał usunięcia oficerów z gmachu Sejmowego. Do porozumienia nie doszło. Piłsudski na pożegnanie miał zawołać.

— Stary dureń!

Daszyński wkrótce potem wycofał się z życia publicznego. Lekarze wysłali go do sanatorium w Bystrej. Tam po kilku latach dokonał żywota.

Oficerowie legionowi byli dumni z roli, jaka im przypadła. Generał Górecki chełpił się:

— My, legionieści, wszystko potrafimy. Ja każde odpowiedzialne stanowisko przyjmę!

I w rzeczy samej przyjął prezesurę Banku Gospodarstwa Krajowego. Gdy bankierzy nowojorscy zauważyli na obligacjach tego Banku podpis „generała”, kurs ich podobno się zachwiał. *Wall-street* nie dowierzała wszechstronności legionowej.

P. W. K. (Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu).

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu miała na celu zbilansowanie wysiłków i trudów, dokonanych przez wskrzeszoną Polskę w ciągu pierwszego dziesięciolecia. Świadczyła, że rozterki polityczne mąciły tylko powierzchnię życia, głębiej nie sięgały.

Wystawa poznańska ogromem, wszechstronnością, urządzeniami technicznymi i systematyką budziła szacunek. Główni jej organizatorowie, prezydent miasta Poznania Cyryl Ratajski i wojewoda Wachowiak pięknie wywiązali się z zadania.

Na dworzec poznański co chwila wpadały pociągi, przywożące tłumy ciekawych ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej. Poznań nigdy nie widział tylu gości. Organizacja była tak wyśmienita, że każdy przybysz najdywał wszystko, na co mógł sobie pozwolić.

Tym nie mniej jednak Wystawa Poznańska zostawiła doświadczenie, że wielkie wystawy powinny urządzać wielkie miasta. W Polsce — jedynie Warszawa.

„Światu” przyznano złoty medal.

Warszawa, stolica Rzeczypospolitej.

Życie towarzyskie i obyczaje uległy po wojnie w całym świecie, a więc i w Polsce, ogromnym przeobrażeniom. Proces demokratyzacyjny nacisnął pedał, synowie drobnych mieszczan, chłopów i robotników garnęli się do wyższych uczelni, zdobywali szarże oficerskie, zapełniali urzędy i biura państwowe. Arystokracja i dawna szlachta traciły swe przywileje, przede wszystkim — najcenniejszy z nich — fortuny.

Polskie rodziny magnackie przed wojną światową posiadały najrozleglejsze i najintratniejsze włości, przeważnie w dawnych „prowincjach zabranych”, to jest na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Ukrainie i Podolu.

Rewolucja bolszewicka zlikwidowała je doszczętnie. W granicach niepodległej Rzeczypospolitej jednak pozostały jeszcze w posiadaniu arystokracji ogromne posiadłości, zwłaszcza w dzielnicach wschodnich. Wielcy panowie naogół nie potrafili się rzucić, administratorów dobierali sobie jak najfatalniej. A szczerbiąc lub marnując swoje dziedziczne fortuny i nie świadcząc krajowi wydatniejszych usług, tracili wpływy i znaczenie.

Arystokracja angielska umiała lepiej utrwalić swoją pozycję: przodowała stale w służbie publicznej. Młodzi lordowie przy tym nie zasklepiali się w swej ciasnej sferze. Żenili się z córkami bogatych kupców, odświeżając anemiczną krew błękitną — treściwą krwią czerwoną.

Polscy młodzi landlordowie nie kwapili się ani do służby wojсковej, ani do administracji. Pociągała ich jedynie dyplomacja. Wnosili do niej wyższą ogłędę towarzyską, znajomość języków obcych, — wybitniejszych talentów nie objawiali. W związkach małżeńskich trzymali się uparcie swego klanu, z rzadka czyniąc wyjątek dla syren teatralnych i kabaretowych.

Dawne salony artystyczne, w rodzaju tego, jaki w Warszawie przed wojną światową prowadziła Eliza margrabina Wielopolska, znikły z widowni. Podupadła również spolszczona finansjera warszawska, która u schyłku ubiegłego stulecia odgrywała w Warszawie rolę wydatną.

Fortuny Kronenbergów, Blochów, Epsteinów, Natansonów, Goldstandów, rozpadły się już w drugim pokoleniu. Poszły ich śladem salony artystyczne Grossmanów i Wertheimów. Przesilenie gospodarcze nie oszczędziło nawet patrycjatu przemysłowo - handlowego. Zachwiały się lub rozdrobniły majątki Szlenkerów, Tem-

lerów, Szwedów, Pfeiffrow, Lilpopów, pojawili się nowi potentaci, jak Steinhagenowie, Wedel, — umiejący pracować i żyć skromnie. Wielkie firmy, służące upodobaniom komfortu i zbytku, jak — Szczerbiński (meble), Bogusław Herse (mody) — wiedły i schły.

Średnie i mniejsze ziemiaństwo stękało i skwierczało, lecz swej gleby strzegło. W Wielkopolsce, w Galicji Zachodniej, w Kutnowskim, w Lubelszczyźnie, gdzie ziemia była urodzajniejsza, a działki większe, chłopci dochodzili do zamożności. Kształcili dzieci, budowali wygodniejsze dworki, tu i owdzie pojawiały się meble wyściełane, nawet fortepiany. Nagminnie — aparaty radiowe.

Życie polityczne koncentrowało się w Sejmie, Senacie i w organizacjach partyjnych; życie społeczne — w związkach i stowarzyszeniach. W Warszawie Klub Myśliwski i Resursa Kupiecka, placówki dawnych warstw uprzywilejowanych, podupadły. Resursę Obywatelską, że sferom belwederskim wydawała się ośrodkiem opozycyjnego mieszczaństwa, doprowadzono do likwidacji. Pleniły się prywatne Kluby brydżowe, do których każdy miał wstęp, kto posiadał kilkadziesiąt złotych w kieszeni, a w pamięci — obowiązujące przykazania Culbertsona. Kawiarnie natłoczone w dzień, dancingi — w nocy, stały się wykładnią nowych umiowań i obyczajów. W ciżbie, zgiełku i dymie, w dusznej atmosferze zapachów dobrych i złych, przy barbarzyńskim kwiku, wrzasku i trzasku jazzbandów, kołysały się w zmysłowej ekstazie od wieczora do rana setki i tysiące par, podnieconych alkoholem. Niekiedy płochy generał kawalerii wskakiwał na estradę, odsuwał kapelmistrza i dyrygował rozweselonymi tą zmianą muzykantami. Hrabia tańczył tam obok swego fryzjera, żona ministra ocierała się o subiekta z Nalewek, panienci z „dobrych domów” — o przeszminkowane for-danserki. Dygnitarze wojskowi i cywilni sączyli przy stolikach mocne trunki, bratali się z przypadkowo poznanymi pijakami.

Ilu w tym ścisku pętało się defraudantów, oszustów i wszelkiego rodzaju nicponiów, prostytutce jawnej i utajonej, niepodobna było się doliczyć.

Żona bogatego przemysłowca w jednym z takich lokalów nocnych spostrzegła nad ranem, że zgubiła kosztowną broszkę. Gdy poszukiwania nie odniosły skutku, mąż wezwał policję. Zarządzono doraźne śledztwo i rewizję wszystkich obecnych na sali osób. Dla pań sprowadzono specjalną agentkę...

Broszki nie znaleziono.

Przyjęcia oficjalne, nad którymi czuwał Protokół, były szablonowe i nudne. Tym, co częściej brali w nich udział, brzydł na resztę żywota sandacz po parysku, łosoś z wody i indyki. Rozmowa była jeszcze bardziej jałowa, niż potrawy.

O salonach dyplomatycznych, sławionych przez Balzac'a, Stendhal'a i Georges Sand, marzyła jeszcze przed półwiekiem Flaubert'owska „Pani Bovary”. Wyobraźnia małej burżuazki idealizowała ich wykwinny przepych, stroje dam, dowcipy biesiadników, — profuzję kwiatów, światła i muzyki. Warszawskie salony dyplomatyczne tak dalece nawykły do rozmów beztreściwych, że każda śmielsza myśl uchodziła tam za nieprzyzwoitość.

Pierwszy ambasador zaprzyjaźnionej Francji, p. Panafieu, zachowywał się dość gburnie. Gdy chodziło o sprawy finansowe, walił pięścią w stół. Jego następcą, p. Laroche posiadał maniere gładkie, lecz wiał od niego chłód. Pobyt w Warszawie osładzał sobie cyzelowaniem kunsztownych wierszy, świadczyły one wszakże, że inne drogi prowadzą na Olimp, inne na Parnas. Wykwintne przyjęcia odbywały się w ambasadzie angielskiej, zwykle w dość ciasnym kole, *very selected*.

Z szablonowego rytuału wylamywały się przyjęcia w ambasadzie niemieckiej i Stanów Zjednoczonych, w ostatniej zwłaszcza, odkąd objął ją bogaty i lubiący życie towarzyskie p. Beadle.

Sytuacja ambasadora niemieckiego była drażliwa wobec wciąż napiętych stosunków między Rzeszą a Polską. Łagodził ją hr. Moltke gościnnością i wszechstronnością zainteresowań, skuteczną pomocą świadczyła mu małżonka. Państwo Moltke ściągali do swych salonów nie tylko dygnitarzy oficjalnych i dyplomatów, ale także literatów i artystów. Szampana podawano tak szczerze, że słabszej głowy premier polski ¹⁾ w nieopanowanym podochoceniu popisywał się dowcipami, które budziły niesmak, nawet oburzenie.

W okresie wojny polsko-niemieckiej hr. Moltke został mianowany rzeczoznawcą do spraw polskich w berlińskim ministerstwie spraw zagranicznych, atoli wpływu na decyzje nie posiadał. W końcu 1942 r. powierzono mu ambasadę w Madrycie. Tam wprędce zmarł.

Pierwszy poseł Italii, Francesco Tommasini zostawił trwałą pamiątkę swego pobytu w Warszawie: książkę o „Odrodzeniu Polski”, napisaną rozumnie i życzliwie. Jego żona, dziwaczna w strojach i nieco krzykliwa, była również Polsce i Polakom przychylna. Tom-

¹⁾ Leon Kozłowski.

masini nie potrafił utrzymać swego południowego temperamentu w cuglach, jeśli przy stole posadzono go obok młodej i powabnej sąsiadki. Nie poprzestawał na wynurzeniach słownych, — puszczał w ruch pod obrusem nogi. Przytomniejsze panie upominały go półgłosem, że takich podstolnych igraszek nie znoszą. Lecz gdy trafiał na damę bardziej popędliwą, groził niekiedy skandal. Wskutek tego poczęto wyznaczać mu miejsce obok pań przejrzałych i ostrzelanych, — z owej starej, niezwykłej gwardii, co nigdy nie wymiera i zawsze się poddaje. Może to zraziło go do Warszawy.

Pomajowe sfery rządowe nie umiały wytworzyć własnego życia towarzyskiego, lubo jego potrzebę uznawały. Marsz. Piłsudski, szlachcic z dziada pradziada, gdzie się pojawił, sugerował autorytet, ujmował swadą żołnierską. Z przyrodzenia jednak był samotnikiem, dokuczał mu stan zdrowia, pochłaniała praca. Panią marszałkową absorbowały sprawy społeczno-dobroczynne i wychowanie córek. Prez. Mościcki lubił polowania, spokój i wygodę. Obowiązki reprezentacyjne ograniczał, najlepiej było mu w zacisznym dostatku Spały. Obie kolejne jego małżonki źle się czuły w roli pierwszej pani Rzeczypospolitej. Córką, pani Bobkowska, nie wiele lepiej. Uroczyste assamble ściągaly do apartamentów zamkowych tłumy mężczyzn, obwieszonych wstęgami i orderami, oraz ich małżonek, wystrojonych różnorodnie i bez smaku. Organizacja tych przyjęć była nieudolna. Ledwie dziesiąta część zaproszonych gości mogła usiąść, bufet tonął w kłębach gęstego dymu, uzyskanie szklanki herbaty lub lemoniady wymagało upartej cierpliwości, nie zawsze zresztą skutecznej. Trzeba było przestępować z nogi na nogę lub przepychać się w ciżbie. Najmniej ukrywał nudę dostojny gospodarz, mimo że na chwilę nie przestawał uśmiechać się łaskawie.

Po śmierci pierwszej żony, w wycieczkach wypoczynkowych towarzyszyła zwykle panu prezydentowi Mościckiemu sekretarka, o parę dziesiątków lat odeń młodsza. Spotkałem go z nią raz zimą w Dolinie Kościeliskiej, w Zakopanem. Szedł pierwszy, za nim brnęła w śniegu mała pani w dużym futrze, o dziesięć kroków dalej kroczył poważnie żandarm polowy.

W rok po śmierci pani Mościckiej sekretarka awansowała na panią prezydentową. Marsz. Piłsudski miał jakoby bardzo dosadnie wyrazić się o niespodziewanym małżeństwie prezydenta ¹⁾.

¹⁾ Stary pryk nabywa browar, żeby raz w roku wypić szklankę piwa.

Żony nowych dostojników państwowych, wojskowych i cywilnych, nie zawsze posiadały dostateczne obycie towarzyskie. Mężowie mało się troszczyli, co robiła żona, byle czyniła to, czego chcieli. Oczy pań pomajowych patrzyły zuchwale, jak gdyby świadcząc o otrzaskaniu się z wszelkim niebezpieczeństwem. Interesowało je rozrzutne bogactwo, fascynowały wpływowe stanowiska, drażniła ciekawość erotyczna.¹⁾

W zawierusze wojennej związki ślubne legionistów zawierane były przypadkowo i w pośpiechu. Równie łatwo żenili się, jak rozżeniali. Kariery ulubieńców marszałka bywały zawrotne, wywiązywała się istna powódź rozwodów. Gdy Kościół Katolicki ich odmawiał, niezadowolenicy pokonywali szkopyły zmianą wyznania. Wyrzekano się wiary ojców dla porywu zmysłów lub doraźnych korzyści.

Była to frymarka sumieniem, i jeszcze jedna wyrwa w życiu rodzinnym.

Wilno stało się ośrodkiem owych szachrajstw. Opinia publiczna reagowała niedostatecznie.

W labiryncie szufladek małżeńskich nie łatwo bywało się połapać. Na zebraniu towarzyskim spotkałem młodą żonę jednego z wyższych oficerów, której ślub odbył się przed paru laty. W toku rozmowy spytałem.

— Jak się miewa mąż pani?

Pani uśmiechnęła się swywolnie i, mrużąc oczy, rzekła.

— A który?

Bo już zdążyła rozejść się z owym wyższym oficerem i w nowe wstąpić związki.

...Do salonu weszła młoda pani, za nią uśmiechnięty radośnie małżonek. Że się pobrali niedawno, wszyscy obecni składali im życzenia. Wśród nich — dwaj poprzedni mężowie pani. Ona witała się z nimi poufale, jak z wypróbowanymi przyjaciółmi, oni z mężem ściskali się serdecznie. Gospodyni proponowała:

¹⁾ Maskarady publiczne stały się przeżytkiem. Dawniej udostępniały mężatkom o temperamentie lotniejszym, tudzież pannom śmielszego autorkom — zbliżenie pod maską do grzechu, niekoniecznie popełniając go. Stara to prawda, sformułował ją La Rochefoucauld, — mało bywa kobiet uczciwych, któreby w pewnych chwilach nie odczuwały zmęczenia z powodu swej cnoty. Tym porywom dawała upust reduta. Dyskretna intryga podniecała tajone ciekawości, szampan pieniał się w szklankach, w mrocznych głębiach łóż krzyżowały się ataki i obrona, porażka niekiedy likwidowała się zamkniętym gabinetem restauracyjnym. Masakra wabiła hazardem niezwyklej przygody. Życie ułatwione nie potrzebowało masek.

— Powinniście usiąść do brydża we czwórkę, przy jednym stoliku....

Jedna z takich powtórnych mężatek zwierzała się w przystępie szczerości, gdyśmy rozmawiali o muzyce.

— Wie pan, jaka muzyka sprawia mi najwyższą rozkosz? Gwizd lokomotywy, która uwozi mego męża na dłuższy urlop.

Spytałem dość naiwnie.

— Panią w małżeństwie spotkał zawód?

— Przeciwnie. W małżeństwie najlepiej czuje się kobieta, jeśli męża nie kocha. Małżeństwo z miłości, to wino, które fermentuje: zwykle zamienia się w ocet.

Byłem stropiony.

— Więc czego pani szuka w życiu?

Pani uśmiechała się zagadkowo.

— Szczęścia....

Nie wytrzymałem.

— Czy to, co pani zowie szczęściem, nie jest tylko przyjemnością?

Rozmowa się urwała.

...Jedna z wielkich ministrowych, szybko ustoleczniona lwica z prowincji, flirtowała w buduarze, przylegającym do salonu oficjalnego, z wyczesanym hrabiczem, który uważał się za wskazanego do reprezentowania Rzeczypospolitej w salonach wielkich stolic europejskich. Pani śmiała się do rozpuku z zuchwałych komplementów. Że zrobiło się jej gorąco, niedbałym ruchem odgarnęła sukienkę, odsłaniając zgrabną linię łydek.

Hrabicza poniósł entuzjazm.

— Takich nóg nigdy nie widziałem!

Pani klasnęła go dłonią w udo z takim rozmachem, że inni goście zwrócili się, zdziwieni, w ich stronę.

— Niech mię pan nie buja!

Ta sama ministrowa w pierwszorzędnej pracowni bielizny wybierała modele koszul, — poematów z pajęczynowych batystów, jedwabi i koronek. Arcydzieła były kosztowne, pani zamówiła ryczałem dwa tuziny, cała pracownia była pod wrażeniem wielkiego obstalunku. Dwie właścicielki obsługiwały osobiście znakomitą klientkę. Ona wyrzekała, że „tyle forsy będzie musiała wybulić!“

Ale pocieszała się, że koszulki tak będą „klawe“, że „bubek będzie musiał się zaiwanić!“

Właścicielki, zubożałe panie „z towarzystwa“, dowiedziały się później od jednej z pracownic igły, bieglej w gwarze Kercelaka,

że „klawe” znaczyło — piękne, „bubek”, to pewno mąż, albo kochanek, a „zaiwanić”, to rozkochać.

Złośliwy w stosunku do kobiet Nietzsche zauważył, że kobiety bywają, jak kotki i jak ptaki, lecz jeśli dobrze pójdzie, bywają również, jak krowy. A Kajetan Węgierski pisał:

„Że wyjął jedno źebro Pan Bóg człowiekowi,
I z niego stworzył Ewę, w to nam wierzyć każą.
Ja wierzę, odtąd bowiem któremu-ż mężowi,
żony bokiem nie wylażą”.

Kobieta przeciętna taką najczęściej się staje, jaką pragnie ją widzieć kochany mężczyzna. Dawniej cenił w niej słodycz charakteru, wytworność umysłu, głębię uczuć, cnoty rodzinne.

Teraźniejszy Don Żuan szukał sex - appeal'u....

Dla powojennych lwic dwa najważniejsze momenty życia były:

Kiedy pierwszy raz przywdziewały na większe przyjęcie nową, efektowną suknię,

i kiedy pierwszy raz rozbierały się w garsonierze nowego kochanka....¹⁾

.....

Oficjalne rauty w prezydium Rady Ministrów bywały zbiegowiskiem bez składu i ładu. W pierwszej sali witał gości premier wraz z małżonką, jeśli ją posiadał, i także, jeśli była dostatecznie reprezentacyjną. Premier zachowywał się godnie i powściągliwie, pani premierowa spełniała swą misję z wypiekami na twarzy. Nikt im nikogo nie przedstawiał, choć z pewnością dziewięciu dziesiątych gości nie znali.

Dygnitarzom pomajowym brakło uśmiechu i poczucia humoru.

.....

Grupa belwederska, umocniwszy się u władzy, odczuła potrzebę własnego klubu. Pułkownicy z początku nosili się z zamiarem opanowania Resursy Kupieckiej. Pociągał ich piękny, historyczny pałac Mniszchów, komfortowe urządzenie wewnętrzne.

¹⁾ Petrarka przed sześciuset laty zapewniał, że kobieta jest wcielonym diablem, nieprzyjaciółką wszelkiego szczęścia, źródłem ciągłego rozdrażnienia i nieporozumień. I jednocześnie pisał do swej Laury najczulsze sonety. Byron utrzymywał, że małżeństwo tak tworzy się z miłości, jak ocet z wina.

Lecz Resursa Kupiecka była własnością prywatną pięciuset z górą członków ze sfer zamożnych, znanych w stolicy i w kraju. Pułkownicy bratać się z nimi nie chcieli, wywłaszczenie groziło wrzawą. Zdecydowali się tedy odnająć apartamenty Mikołajowej ks. Radziwiłłowej, primo voto Ludwikowej hr. Krasińskiej, przy ul. Foksal (później Pierackiego) Nr 11.

Dyrektorem Klubu po pewnym czasie został Józef Targowski, ziemianin z sandomierskiego, który na widownię polityczną wypłynął w okresie okupacji. Należał do „kanapowej” grupy aktywnych neokonserwatystów, której przewodniczyli Wojciech hr. Rostworowski i Stanisław Janicki. Targowskiemu później powierzano różne misje polityczne, nawet poselstwo w Tokio. Stanisław Janicki otrzymał tekę ministra Rolnictwa. Pułkownicy odnosili się do nich przychylnie, z dalszych ich usług państwowych wszakże nie korzystali.

Klub na Foksalu stał się wręcz rządową centralą poufnych wiadomości i dyrektyw. Restauracja była sówicie zaopatrzona w przysmaki i cenne trunki. Raz w tygodniu odbywały się zabawy wieczorne z paniami; pod względem towarzyskim zebrania te przedstawiały mixtum compositum dość dziwaczne i przypadkowe. Zapraszano na nie co powabniejsze aktorki, (nowi panowie nabierali ochoty do teatru od strony kulis), — literatów, artystów.

Spotykało się tam spryciarzy najróżniejszego gatunku, najwięcej spośród tych, co jak powiadał pan Rey z Nagłowic, „węchem śledzą, gdzie się komin kurzy, zawsze czepić się gotowi, przy kim więcej zyskać mogą i którzy swój wzrost z utraty innych biorą”.

...W Klubie Towarzyskim częstym gościem bywał Stefan Ossowiecki, jasnowidz, którego rozgłos sięgał daleko poza rogatki Warszawy. Słynny uczony francuski, Karol Richet nazywał Ossowieckiego „fenomenem ludzkim”.

Właściwości psychiczne inż. Ossowieckiego istotnie należały do zjawisk niezwykłych. Jego wyobraźnia, w stanie osobliwego napięcia, odtwarzała wydarzenia, odczytywała treść tajemniczych dokumentów, odgadywała przyszłość. Oczywiście, na skrzydłach rozbiegały się wieści, które się sprawdziły, nie wspominano o tych, które okazały się mylnymi. Jak stosunkowały się wzajemnie owe dwie kategorie, wiedział zapewne tylko sam jasnowidz.

Był on synem bogatego przemysłowca polskiego, który w Moskwie dorobił się znacznego majątku. Siostra inż. Stefana Ossowieckiego poślubiła generała Jacynę, który przed wojną światową

w Petersburgu wysokie stosunki posiadał, młodych wielkich książąt w sztuce wojennej kształcił.

Inż. Ossowiecki w towarzystwie unikał pozy czarnoksiężnika. Zdradzały go oczy, nadto uważne i nieco przeciągnięty uścisk dłoni, w którym jak gdyby szukał zatajonego fluidu. Mnóstwo osób zwracało się doń w sprawach osobistych. Zdarzało się podobno, że nawet władze śledcze, gdy w zwykłym, urzędowym trybie nie mogły rozwiązać zagadki popełnionego przestępstwa, do niego zwracały się o wskazówki. Opowiadano, że inż. Ossowiecki bywał wzywany do Belwederu, że marsz. Piłsudski dłuższe konferencje z nim odbywał.

...Wielokrotnie proponowano mi wróżby, stale odmawiałem. Nie dlatego, żebym im całkowicie przeczył. Dokoła nas — i w nas samych — tkwią moce, dotychczas niezbadane, niewyzwolone. Istota ludzka daleka jest od szczytowego punktu swego rozwoju.

Determinizm był mi zawsze obcy. Człowiek, pozbawiony wolnej woli, traciłby swą wyższą wartość. Cóż znaczyłaby wola, gdyby była tylko wykładnią przyczyn, niezależnych od uczuć i myśli?

Znać swą przyszłość i nie móc własnym wysiłkiem zmienić jej kolei? To byłaby najsroższa kara Niebios!

...Te same zdolności szukania tajemnic w mrokach duszy ludzkiej posiadały niesamowite czarne oczy Mirty Noel, wróżki i poetki, przyjaciółki Kazimierza Tetmajera. Przychodziła czasem do redakcji „Świata”, drukowałem jej drobne utwory. Raz wzięła mnie za rękę i chciała wróżyc. Prosiłem, by zostawiła mnie w spokoju. Instynkt bronił przed świadomością tego, co czekało mnie u schyłku żywota...

....Ożywiony salon polityczno-artystyczny prowadzili państwo Janiccy. B. minister Rolnictwa, któremu stolica zawdzięczała odbudowę pałacu prymasowskiego, owdowiawszy, ożenił się po raz wtóry. Pani była młoda i ambitna. Mniemała, iż jednając sobie względy belwederczyków, ułatwi mężowi powrót do dostojenstw. Na mniejszych i większych przyjęciach bywali u Janickich Sławek, Koc, Chomiedziński, Staniszewski (dyrektor Banku Rolnego), Prystor, Chodacki (ostatni komisarz gdański), Henryk Strasburger, Józef Targowski, Wł. Zawadzki (minister Skarbu), Antoni Wieniawski....

Na większych zebraniach gromadziła się również literatura, sztuka i teatr, tworząc dzięki swobodnej gościnności państwa domu całość zajmującą i wesołą.

Niekiedy z płk. Kocem wracaliśmy od Janickich piechotą, gwarząc de omnibus rebus. Płk. Koc wyróżniał się w sztabie pułkownikowskim spokojnym rozsądkiem i skromnością życia. Nie ustępując nic z własnych przekonań, zdawał się rozumieć, że inni ludzie mogą również mocno cenić swoje. Szwankował na zdrowiu, nie dostawało mu sił, by podołać zadaniom, jakimi wkrótce go obarczono. Mógł być bardzo pożytecznym działaczem społecznym, nie był ani mężem stanu, ani bojowym przywódcą politycznym.

Hiszpania w przededniu rewolucji.

Czwarty z kolei Kongres Federacji Związków Autorów Dramatycznych odbywał się w r. 1929-m w Madrycie. Że podróż była daleka i kosztowna, nikt nie chciał jechać. Przynaglono mnie, bym reprezentował nasz Związek.

Po dwu dziesiątkach lat po raz wtóry znalazłem się w stolicy Hiszpanii. Na zjeździe dominowali Niemcy. Na pierwszy plan wysunął się Fulda, tłumacz Lope de Vega, który mówił po hiszpańsku dość biegle. Zainteresowanie budził Mascagni, już postarzały i brzuchaty. W Hiszpanii nie ma uroczystości bez akompaniamentu muzyki. Gdzie zaś jawili się muzykanci, zebranie rozpoczynało się od entuzjastycznych tuszów na cześć znakomitego włocha. Raczone go stale melodiami z „Rycerskości Wieśniaczej”: Mascagni ukrywał twarz w dłoniach i słuchał z takim skupieniem, jak gdyby ta muzyka była dlań objawieniem. Rozlegały się burzliwe oklaski, on dziękował z ręką na sercu, zawsze bardzo wzruszony.

Równocześnie z naszym Kongresem odbywał się w Madrycie zjazd Przyjaciół Ligi Narodów. Na te obrady przybyli z Polski posłowie Stroński i Loewenstein oraz adw. Wacław Łypacewicz. Poseł Rzeczypospolitej w Madrycie, Perłowski, urządził dla nas wszystkich śniadanie, na które zaprosił również paru wybitniejszych przedstawicieli prasy miejscowej.

P. Perłowskiego znałem z Warszawy. Z przekonań był światłym konserwatystą, z upodobań miłośnikiem i znawcą sztuki we wszystkich jej przejawach. Też same upodobania, może wydatniej kolekcjonerskie, żywił radykał Patek, wtedy ambasador polski w Japonii.

Z pośród obecnych na śniadaniu dziennikarzy hiszpańskich wyróżniał się autorytatywną pewnością siebie Rewesz, redaktor po-

czytnej gazety A. B. C., z pochodzenia — Żyd austriacki czy węgierski, który zaledwie przed 11-tu laty osiedlił się w Madrycie. Przywoił sobie szybko język hiszpański i tak nim ovladnął, że jako publicysta rodowitych dziennikarzy hiszpańskich w kozi róg zapędzał. Gen. Primo de Rivera chętnie się nim posługiwał.

Później mówiono o Reweszu, że przyczynił się niemało do upadku monarchii.

Generała Primo de Rivery, qu a s i dyktatora, nie było w Madrycie. Król okazywał bezradność, arystokracja - impotencję. Inteligencję trawił ferment. Don Alvero Goliano w tych słowach ujmował ówczesną sytuację w Hiszpanii:

...Nie było dnia, żeby nie grzmiała zapłacona reklama dla utworów, które atakowały religię, moralność, prawa boskie i ludzkie. Niepokoje duchowe tłumaczono, jako skutki zaburzeń fizjologicznych. Najwyższe zainteresowanie budziły zagadnienia seksualne i patologiczne, jaskrawość formy osiągała największy rozgłos. Wychwalano rewolucję rosyjską, wynoszono na wyżyny Lenina i Trockiego, jako zbawców ludzkości, szerzono kult dla Marksa. Od komunizmu spodziewano się nowej dla ludzkości ery.... Marks był bożyszczem wojującej inteligencji, literaci i artyści lgnęli do haseł rewolucyjnych!

Król nie posiadał autorytetu, dwór — szacunku. O księżniczkach hiszpańskich opowiadano, że trzeba było spieszenie je wydawać za mąż: zbyt często zachodziła obawa, aby dziecko nie wyprzedziło ślubu....

Przebieg Kongresu Związku Autorskich był jałowy. Z tego pobytu w Madrycie zostały mi w pamięci zachwycające chwile, spędzone w Prado, w salach Velasquez'a i Goy'i, okrutne walki byków wobec 30-tysięcznych tłumów, — i bal w Klubie Artystycznym, na którym panie, przeważnie młode i piękne, strojne były w różnobarwne szale, arcydzieła hiszpańskiej sztuki hafciarskiej. Doznawało się wrażenia, że olbrzymią salę wypełniały egzotyczne motyle.

...W kilka miesięcy potem gen. Primo de Rivera zrezygnował ze swych porywów dyktatorskich, król — z korony. W mroku, z bocznej bramy pałacu, wymknęła się cicho wielka limuzyna ze zgaszonymi światłami. Kierując się na południe, król Alfons przybył nad ranem do jednego z pomniejszych portów hiszpańskich nad morzem Śródziemnym. Tam oczekiwał krążownik, który powiózł monarchę do Francji.

Ucieczka zdyskredytowała dynastię do reszty.

Tragedia rodzinna.

Zima w roku 1929-m była nad miarę ostra i przewlekła. W końcu stycznia, podczas prób z „Panienki z dancingu“, nabawiłem się choroby. Lekarz, — zacny dr Aleksander Bernstein, — wysłał mnie na rekonwalescencję do Rabki, gdzie bawiła żona z wnukiem.

W malcu tym pokładałem wielkie nadzieje. Miał reprezentować piątę z rzędu pokolenie Krzywoszewskich od czasu upadku pierwszej Rzeczypospolitej. Mój dziad, ojciec, ja i mój syn, — każdy w swoim zakresie sił i środków — służyliśmy krajowi. Ta ciągłość obowiązków i usiłowań krzepiła poczucie współodpowiedzialności obywatelskiej i godności osobistej, które nic wspólnego nie miały z nieusprawiedliwioną dumą lub — co gorsza — z pychą.

Wnuk liczył półczwarta roku. Fizycznie wątły, ponad wiek rozwinięty był duchowo. Tkwiło w nim tyle ukochań, niemyłnej intuicji i powabu, że kto się doń zbliżył, mówił o nim ze wzruszeniem.

W Rabce mróz ścisnął siarczyście, lecz błękit nieba był bez skazy, w południe przygrzewało słońce. Jaś znacznie się poprawił, ja odzyskałem siły. Wróciłem do Warszawy w końcu lutego. „Panienka z dancingu“, doznała nieoczekiwanego powodzenia.

Pewnego wieczora, wróciwszy z teatru, zastałem w domu rejwach. Jaś nagle zachorował, lekarz stwierdził dyfteryt.

Przez kilka dni toczyła się rozpaczliwa walka o życie. Zastrzyki surowicy nie odnosiły skutku. Dziecko męczyło się, gasło w oczach.

...O późnej godzinie nocnej czterej lekarze — wśród nich mój brat cioteczny, jeden z najlepszych chirurgów warszawskich, generał Witold Horodyński, — zamknęli się w moim gabinecie na konsylium. My siedzieliśmy bez słowa przy łóżeczku duszącego się dziecka.

Najstarszy z lekarzy stanął w drzwiach, gestem wezwał syna i mnie. Przeszliśmy do gabinetu. Twarze doktorów były zaszępicone.

— Wyczerpaliśmy wszystkie środki. Stan jest beznadziejny. Pozostaje tylko jedna jedyna próba: tracheotomia. Za skutek nie możemy przyjąć odpowiedzialności. Decydować muszą panowie.

Spytałem.

— Innego ratunku nie ma?

— Nie.

Zwróciłem się do syna.

— Zgadzasz się?

— Tak.

W mgnieniu oku jadalnia została zamieniona na salę operacyjną. Jeden z lekarzy przywdział biały fartuch, szykował narzędzia. Wpada żona.

— Jaś umiera!

Pospieszyliśmy wszyscy do dziecka. Było nieprzytomne. Twarzyczkę, z której uciekła krew, szarpały skurcze i wstrząsy.

Przywarłem rękę do ust, by stłumić krzyk, uciekłem do gabinetu, rzuciłem się na kolana, głowa płonęła, oczy wychodziły z orbit. W półprzytomnym uniesieniu wzywałem Pana Niebios na ratunek, błagałem, by nie odbierał nam chłopczyny, który był treścią i nadzieją naszego życia.

— Nie zabieraj go nam, Pani!

Horodyński wszedł do pokoju, położył rękę na ramieniu.

— Pójdź!

Żona, synowa i syn klęczeli przy łóżeczku. Wzruszeni lekarze rozmawiali szeptem. Jaś leżał nieruchomy. Mała twarzyczka, uspokojona, odzyskała łagodną słodycz. Przypominała głowy aniołków Łukasza della Robbii.

Śmierć Jasia sprawiła w mym życiu wyrwę, której balsam czasu nigdy nie wyrównał. Była pogwałceniem przyrodzonego porządku rzeczy. Kolej była moja. Mnie ominęła — choć już byłem liściem więdącym — nasze ukochane maleństwo uniosła.

Dalszy rozwój walki marsz. Piłsudskiego z Sejmem.

Światalskiemu na gwiazdkę (w grudniu 1929 r.) większość sejmowa wyraziła votum nieufności. Marsz. Piłsudski uradził z prezydentem Mościckim, żeby jeszcze raz — piąty w ciągu lat czterech — zwrócić się do prof. Bartla. Mniemali prawdopodobnie, że poprzednie niepowodzenia wzbogaciły jego doświadczenie.

W Sejmie powiadano, że prof. Bartel obiecał przeprowadzić nową ustawę konstytucyjną oraz zmiany w ordynacji wyborczej. Opozycja przycichła. W grupach prorządowych narastały chorobliwe żądze panowania, zaszczytów i dochodów, mnożyły się wzajemne intrygi. Gdy prof. Bartel, objawszy władzę, zjawił się z meldunkiem w Belwederze, marsz. Piłsudski zapytał:

— Jakże profesor daje sobie radę z opozycją?

Prof. Bartel miał odpowiedzieć:

— Broń mi, panie marszałku, od przyjaciół. Z przeciwnikami sam się rozprawię.

Marszałek tym skwapliwiej zachęcał premiera do wytrwania na stanowisku i przeprowadzenia ustalonych zamierzeń, że sam potrzebował wypoczynku. Lekarze nakłaniali go usilnie do wyjazdu na dalsze południe. Dobrał sobie na przewodnika kpt. Lepeckiego i popłynął na Maderę.

Rozejm w Sejmie nie trwał długo. Niebawem wznowiły się kłótnie i burdy. Ministrowie wadzili się między sobą. Generalny szafarz funduszków państwowych, minister Skarbu Matuszewski podjął „kompresję budżetu”. Należało ścisnąć kabzę. Ministrowie gorąco popierali ów plan, lecz gdy przyszło do realizacji, żaden nie godził się na uszczuplenie kredytów swojego resortu.

Bezustanne turbacje w Izbach i w Radzie Ministrów uprzykrzyły się prof. Bartłowi dość prędko. W połowie marca zgłosił rezygnację. Decyzja była tak niespodziana, że stolik pułkownikowski w kawiarni Europejskiej dowiedział się o przesileniu gabinetowym z „dodatków nadzwyczajnych”.

Debiut płk. Sławka.

Marsz. Piłsudski bawił na Maderze, prez. Mościcki musiał samodzielnie powołać premiera. Wydało mu się, że zmniejszy swą odpowiedzialność, zwracając się do Jana Piłsudskiego, brata marszałka. Ten gotów był oddać swe talenty i wiedzę na usługi Rzeczypospolitej, ale nie znalazł chętnych partnerów. Wtedy, już to w porozumieniu telegraficznym z marszałkiem Piłsudskim, już z własnej inicjatywy, prez. Mościcki powierzył utworzenie gabinetu płk. Waleremu Sławkowi, jednemu z najzaufañszych towarzyszy broni marsz. Piłsudskiego z czasów Organizacji Bojowej P. P. S. i z Legionów. Płk Sławek mandat przyjął. Członkowie gabinetu prof. Bartła zgodzili się pozostać na swych posterunkach. Odpadł jedynie minister Sprawiedliwości Dutkiewicz, zastąpił go Stanisław Car.

Płk Sławek znany był dotychczas głównie ze swej działalności konspiracyjnej. W r. 1906-m, przy jednym z przygotowywanych przezeń zamachów, odłamy bomby poszarpały mu okrutnie twarz. Wysiedział się w więzieniach rosyjskich, poznał później i niemieckie. Jego odwaga, przytomność w niebezpieczeństwie, nieskazitelna prawość i lojalność budziły szacunek. Były to zalety charakteru, nie były, niestety! dostatecznymi kwalifikacjami na męża stanu.

Zamęt panował nie tylko w Polsce. Chwiejna i lekkomyślna polityka Briand'a doprowadziła do niewczesnej ewakuacji woisk koalicyjnych z nad Ruhry i Saary. Retor paryski łudził siebie i świat mrzonkami o powszechnym ograniczeniu zbrojeń. Niemcy za dolary użyczone przez *Wallstreet* nowojorską odbudowały swój przemysł, intensyfikowały rolnictwo, szykowały się gorączkowo do odwetu. Hitler wszczynął „swą walkę” o władzę dyktatorską. Niemieckie regresje do Polski o „fałszywe granice” nabierały rozpędu. Minister Rzeszy Treviranus publicznie domagał się zwrotu Górnego Śląska i Pomorza. Nawet niemieckie umysły zrównoważone (prof. Mendelsohn-Bertholdy), skłonne do dobrych sąsiedzkich stosunków z Polską, nie chciały wyrzec się rewizji granic.

W wyborach do Sejmu Rzeszy Hitler zwyciężył kanclerza Brüninga. Marsz. Hindenburg wszedł z Hitlerem w układy.

W Paryżu przestrogi szlachetnego Franklin-Bouillon, że „granice Francji leżały nad Wisłą”, były wołaniem na puszczy.

Polska potrzebowała więcej niż kiedykolwiek spoistości wewnętrznej.

Marsz. Piłsudski wrócił z Madery w lipcu 1930 r. Rozejrzawszy się w sytuacji, doszedł do przekonania, że należało bez zwłoki ład utrwalić i że płk. Sławek, mimo swych wartości, do takiego zadania nie dorósł. Zluzował go, stanął na czele gabinetu, rzucił własny autorytet na szalę.

Nastąpiło rozwiązanie Sejmu i Senatu. Wybory zostały wyznaczone na listopad. Powszechność polska miała się wypowiedzieć, czy sprzyjała planom naprawy marsz. Piłsudskiego, czy je odrzucała.

Agitacja wyborcza rozpoczęła się z końcem żniw. Napięcie było niesłychane. Ważyły się losy wewnętrznego układu stosunków w Rzeczypospolitej.

Marszałek postanowił zaskoczyć opozycję postrachem. Wkrótce wyjaśniło się, dlaczego w ministerstwie Sprawiedliwości zastąpił Cara prokurator Czesław Michałowski.

Szach królowi.

W nocy z dnia 9 na 10 września (r. 1930) zaaresztowano dwudziestu przywódców stronnictw opozycyjnych. Znaleźli się w tej liczbie tacy działacze polityczni, jak Winc. Witos, Aleks. Dębski, Wład. Kiernik, Norbert Barlicki, Herman Lieberman, Karol Popiel, Józef Putek, Stan. Bagiński, Adam Ciołkosz, Stan. Dubois, Miecz. Mastek, Adam Pragier. Wojciech Korfanty został aresztowany w parę dni później.

Uwięzionych przewieziono do „Brigidek” w Brześciu Litewskim.

Zarządzenie motywowane było uchwałami Kongresu Krakowskiego, zorganizowanego przez ludowców i socjalistów. Uchwały miały domagać się ustąpienia prez. Mościckiego i rządu. Oskarżano oponentów, że tworzyli zakonspirowane milicje i że gromadzili broń w mieszkaniach posłów, że wichrzyli kraj, wszczynali rokosz.

...Gen. Składkowski w tym wypadku był tylko wykonawcą woli wyższej. Jakoby wnet miały nastąpić aresztowania dalsze, z Wojciechem Trąmpczyńskim i Marianem Seydą w pierwszym rzędzie.

B. poseł, prof. Stefan Dąbrowski w roku 1946-m ogłosił w „Tygodniku Warszawskim” interesujące w tej mierze szczegóły.

Wież o aresztowaniach rozbiegła się błyskawicznie po całym kraju, wywołując wielkie wzburzenie. Dr. Lewicka, którą łączyła z marsz. Piłsudskim głębsza przyjaźń, wymogła na nim, że zgodził się udzielić audiencji „pewnej osobie ze sfer ziemiańskich, wobec której miał dług wdzięczności za opiekę nad rannymi legionistami”.

Rozmowa trwała od południa do północy. Marszałek upierał się przy swej decyzji, w końcu jednak uległ przełożeniom. I nazajutrz wczesnym rankiem wezwany został do Belwederu płk. Beck.

Piłsudski polecił mu zawiadomić gen. Składkowskiego, by dalszych aresztowań zaniechał.

Beck, zaangażowany w tę sprawę, podobno odmówił wykonania zlecenia. Ale Piłsudski nie znosił niesubordynacji. Powtórzył rozkaz w formie kategorycznej. O dalszym oporze nie mogło być mowy.

Aresztowania zostały przerwane. Głuche, niesprawdzone pogłoski łączyły to wydarzenie z nagłym zgonem dr. Lewickiej, jaki wkrótce nastąpił, i wywołał silne wrażenie.

Spełnione aresztowania odbyły się bez nakazu sądu, na podstawie piśmiennego zlecenia gen. Składkowskiego, jako ministra Spraw Wewnętrznych.

Więźniowie byli traktowani z niezwykłą brutalnością. Czuwał nad tym płk. Kostek-Biernacki. Posłów Liebermana i Popiela pobito do utraty przytomności.

Wrażenie w kraju było piorunujące. Z inicjatywy prof. Kota w Krakowie liczne grono profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego ogłosiło protest. Prof. Krzyżanowski, członek prorządowego Bloku Bezpartyjnego, wystąpił z tej organizacji i złożył mandat poselski. Dwaj inni posłowie z Bloku poszli za jego przykładem.

Wybory listopadowe przyniosły liście prorządowej zwycięstwo oszałamiające. Blok Bezpartyjny zdobył i w Sejmie i w Senacie większość wszechmożną.

Winston Churchill pisał wówczas w paryskich „*Annales*”, że wskrzeszenie Polski po jej rozbiorach było jednym z najchlubniejszych osiągnięć wojny światowej. Przestrzegał jednak, że Polska, ponownie zjednoczona, ze względu na swe położenie geopolityczne narażona jest na groźne niebezpieczeństwa i że redukcja armii byłaby dla niej wielką nieopatrnością. W dniu 22 czerwca 1941 r. Churchill w przystępie szczerości wyznał:

— My, Anglicy, i cała reszta cywilizowanego świata, byliśmy tak głupi, żeśmy dopuścili do odbudowy, — z niczego — niemieckiej potęgi wojennej!

Proces brzeski.

Proces brzeski odbył się bezpośrednio po wyborach. Lżej oskarżonych zwolniono w toku śledztwa, które prowadził sędzia Demant.

Marsz. Piłsudski chciał dobrać się do skóry głównym przywódcom opozycji. Trzymał się zasady Reya: jaka choroba, takiego lekarza potrzeba.

W obronie uwięzionych posłów wzięła udział elita palestry warszawskiej: Jan Nowodworski, Eug. Śmiarowski, Stefan Urbanowicz, Zygmunt Nagórski, Stan. Szurlej, Szymański, Berenson, Sterling, Rudziński, Barcikowski, Hanigswill, Dąbrowski...

Przewodniczył sądowi wiceprezes Hermanowski, asystowali mu sędziowie Rykaczewski i Leszczyński. Oskarżenie popierali wiceprokuratorzy Grabowski i Rauze.

Liczba świadków była ogromna. Stawiły się najwybitniejsze tuzy opozycyjne z Sejmu i Senatu: Trąpczyński, Głabiński, Wł. Seyda, Bartel, Rataj, Arciszewski, Niedziałkowski, Ziemięcki, Stan. Stroński, Bitner, Rybarski, Thugutt, Czapliński, Żuławski, Jan Dąbski i inni. Zeznawali również prof. Kot, gen. Kukiel, b. prezes Sądu Najwyższego Mogilnicki, Wiktor Kulerski, dr Bolesław Motz z Paryża, Andrzej Strug.

Świadcami ze strony oskarżenia byli nieomal wyłącznie przedstawiciele policji.

Zeznania świadków odwodowych były jednym wielkim aktem oskarżenia w stosunku do marsz. Piłsudskiego: że jego rządy łamały obowiązującą konstytucję, gwałciły prawo, stwarzały terror, niszczyły wolność. Zarzucano mu, że postępując, jak dyktator, uchyla się od odpowiedzialności za swe czyny. Cytowano opinię jurysty francuskiego, Bartholomey'ego, który nazwał rządy marsz. Piłsudskiego „dyktaturą za pośrednictwem” (*dictature par entremise*), powoływano się na czasopismo londyńskie „*The Economist*”, w którym zaznaczano, że w Polsce wprowadzoną została dyktatura, lecz dyktator był nieczynny. Nieczynny, bo obarczając odpowiedzialnością inne osoby, nie był właściwie dyktatorem.

Świetna obrona adwokatów nic nie wskórała. Wyrok był powzięty z góry, miał stanowić surową przestrożę na przyszłość. Mastek, Dubois, Ciołkosz i Pragier otrzymali po pięć lat więzienia, Barlicki i Lieberman — po półtrzecia roku, Bagiński — dwa lata, Witos, Korfanty i Rataj — po półtora roku.

Sędzia Leszczyński zgłosił *voctum separatum*.

Witos, Korfanty, Rataj i Lieberman ucieczką za granicę uchylili się od zasądzonej im kary.

Proces brzeski uzupełniony został wkrótce obozem karnym w Berezie Kartuskiej. Organizował go znany już ze swej dynamiki służbista, gen. Kostek Biernacki, wojewoda brzeski.

W obozie tryb życia zesłańców był wysoce twardy. Zmuszano ich do pracy fizycznej w polu, traktowano surowo.

Założenie Berezy świadczyło albo o niedostatecznej sprawności sądów, albo też — przewidywało możliwość, iż sądy, służące sprawiedliwości i prawu, mogłyby przeciwieć się natchnieniom i życzeniom sfer rządzących.

Marsz. Piłsudski zawodu i urazy nie zapominał, neutralność utożsamiał z indyferentyzmem.

Przed czterystu bez mała laty Montaigne pisał:

— „W pośród zamieszek we własnym kraju i w powszechnym rozdwojeniu, pozostawać wahającym się i wątpliwym, chować afekt swój i nie objawiać skłonności, wydaje mi się ani pięknym ani uczciwym”.

— „Nie jest to droga pośrednia, lecz żadna, gdy się czeka na wynik, aby do szczęścia swoje zamysły dostosować”.

Spełniwszy to, co uważał za swoją misję, w pierwszych dniach grudnia (1930 r.) marsz. Piłsudski zdał z powrotem władzę płk. Sławkowi.

Kwiaty i ciernie komediopisarza.

W latach 1929 i 1930 wystawiłem w teatrze Letnim dwie nowe lekkie komedie, — prawie na pograniczu farsy: „Panienkę z dancingu” i „Noc sylwestrową”. Obie u publiczności doznały wyjątkowego powodzenia.

„Panienkę z dancingu” grano przy wypełnionej widowni przez trzy miesiące, „Noc Sylwestrową” niewiele krócej.

Za kulisami teatrów i w kawiarniach aktorskich bardzo interesowano się dochodami, jakie te komedie niosły. Budziła się zazłość. Wybaczano sukcesy autorom francuskim, węgierskim. Rodakowi poczytywano je, jako wynik „spekulacji”.

Stara bajka o psie ogrodnika...

Nie przeceniałem nigdy swego talentu. Pisałem moje komedie dla publiczności, — sam się, pisząc, bawiłem. Pisałem je najczęściej w okresie wakacji, zawsze w pośpiechu, a teatry zabierały mi je, jeszcze nie ostygłe, — kiedy widziałem w nich wszystko, co chciałem wydobyć, nie zaś tylko to, co w samej rzeczy dobyłem.

Każdy twórca, większy czy mniejszy, ukończywszy podjęte dzieło, powinien oderwać się odeń, oddalić, i dopiero po pewnym czasie poddać rewizji. Wtedy uwidocznią mu się braki, będzie mógł je wyrównać. W najwyższym stopniu wyczuwał tę potrzebę czołowy geniusz Odrodzenia, Lionardo da Vinci. Hermann Grimm stwierdza, że twórca „Mony Lizy” ukończone dzieło przetrzymywał w pracowni, jak mógł najdłużej. Goethe w późnej starości wracał do swych utworów młodzieńczych, poprawiał je i uzupełniał.

Ja moje sztuki pisałem jednym tchem i zawsze z myślą o wrażeniu, jakie wywoływać będą u publiczności. Rozstanie się ze świeżo ukończoną sztuką stale bywało zmartwieniem. Doznawałem uczuć ojca, kiedy jego córka wychodzi za mąż i opuszcza dom rodziców. Im dalej posuwałem się w lata, tym więcej zadawałem sobie trudu w szukaniu słów, któreby najtrafniej oddawały myśl. Jakże pragnąłem takiej „mocy ekspresji, iżby słowa pęczniały, rosły i świeciły niewidzialnymi blaskami!” (Rimbaud).

W r. 1930-m nastąpiła w Paryżu inauguracja nowego teatru, który ufundował z nadmiernym przepychem James br. Rotszyld.

Sasza Guitry napisał na tę uroczystość sztukę okolicznościową pt. „Histoire de France”. Jeden z 14-u jej obrazów rozgrywał się za kulisami teatru Moliera, podczas premiery komedii „Georges Dandin”. ...Skończył się właśnie tej komedii akt drugi. Molierowi, który święcił sukces równocześnie jako autor i jako dyrektor teatru, przyszli za kulisę składać powinszowania przyjaciele i znajomi. Zjawił się wśród nich Boileau, wyrocznia ówczesnej krytyki paryskiej, przywodząc z sobą Rasyna, który z Molierem naogół nie w najlepszych pozostawał stosunkach.

Wszyscy w napięciu oczekiwali, co Boileau powie o sztuce. On nie spieszył się, mówił o czym innym. Wreszcie raczył na-

pomknąć kilka słów pochlebnych, zarzucał wszakże, iż Molier nadto dba o zbawienie publiczności.

Molier usprawiedliwiał się.

— Widz rozśmieszony łatwiej połknie gorzką prawdę!

Na to Boileau:

— Są reguły, od których nie wolno odstępować.

Molier bronił się.

— Najważniejszą regułą dla komediopisarza jest, aby jego sztuka podobała się publiczności.

Księżę krytyki, urażony, że ówczesny „dostawca repertuaru” ośmiela się przeciwieć jego mądrości, zawyrokował:

— Gdybyś pan chciał raz jeszcze przeczytać swą sztukę, postrzegłbyś, że zamykasz nią sobie drogę do Akademii!

— Moją Akademią, odparł Molier, jest teatr. Moje komedie nie są do czytania, ale do odtwarzania na scenie!

Kongres teatralny w Budapeszcie.

Na ten zjazd wybrało się nas trzech: Włod. Perzyński, Kazimierz Wroczyński i ja. Perz tak dalece do serca wziął swój mandat, że nabył na dworcu w Warszawie „zwięzłą metodę języka węgierskiego”, opracowaną przez Czesława Łukaszkiewicza. Ledwie pociąg ruszył, już pilnie ją studiował. Za Wiedniem, na granicy, zjawiała się w wagonach węgierska służba kolejowa. Perzyński obrzucił Wroczyńskiego i mnie wyniosłym spojrzeniem i do konduktora przemówił po madziarsku. Konduktor zdębiał, współpasażerowie w przedziale bardzo się ucieszyli. Przejrzała dama o błyszczących, czarnych oczach, nie mogła nadziwić się, że język polski tak był do węgierskiego podobny.

Ten debiut nie zraził Perza. W Peszcie uważał się za powołanego do układów z szoferami taksówek. Tak świetnie wywiązywał się z zadania, iż stale wieziono nas gdzieindziej, niż pragnęliśmy. Perz zapewniał, że był to najlepszy sposób rzetelnego poznania miasta.

Obrady kongresu były czcze, przyjęcia — wysoce gościnne. Jedliśmy dwa razy na dzień fogosza, produkt Balatonu, najsmaczniejszą rybę jeziorową w Europie, piliśmy od rana do późnej nocy wyborne wina miejscowe, ciepłe wieczory spędzaliśmy na uroczym wyspie Św. Małgorzaty. Prezydium kongresu podejmował śniada-

niem minister Oświaty, na Zamku w Budzie regent Horthy wyprawił dla wszystkich członków zjazdu uroczysty raut. Gdy prezes Tow. Autorów Węgierskich Hoeltai przedstawił delegację polską, regent Horthy ujął nas serdecznymi słowami o węzłach historycznych, łączących narody polski i węgierski. Odpowiedziałem, że tego rodzaju uczucia bywają pewniejsze od zmiennych koniunktur politycznych...

Kulminacyjnym momentem zjazdu była propagandowa wycieczka statkiem parowym do Butafok, pagórkowatej miejscowości nad Dunajem, gdzie mieściły się słynne piwnice ministerstwa Rolnictwa.

Piwnice w Butafok stanowiły obszerny, kilometrowej długości korytarz, wydrążony we wzgórzu nadrzecznym, a wypełniony dwoma rzędami olbrzymich kuf dębowych. Tutaj dojrzewały szlachetne gatunki win węgierskich, topazy i rubiny „samorodnych”, „muszkatelów” i dostojnych tokajów. Suche, mocno paprykowane wędliny węgierskie pobudzały pragnienie. Na drodze powrotnej, o zmroku, kapela cygańska na pokładzie wytrącała do reszty całe towarzystwo z równowagi. W żółtawych falach Dunaju przeglądał się księżyc w pełni. Statek, oświetlony jarzyscie, rozśpiewany, płynął niespiesznie. Byliśmy upojeni winem, wspaniałą rzeką, czarem nocy letniej, namiętną muzyką. Kazimierz Wroczyński deklamował paniom węgierskim „Okręt pijany” Rimbaud’a, w polskim przekładzie Miriama. Perzyński nieoczekiwanie zaatakował powabną sąsiadkę.

— Szuroszyt szegeszl!

Przerażona pani próbowała wytłumaczyć się. Daremnie. Perz wołał na cały głos.

— Szuroszyt szegeszl!

Pani porwała się z ławki, zniknęła w tłoku. Perzyński, cokolwiek zaniepokojony, wyciągnął z kieszeni książeczkę Łukaszkiewicza. Zaszła fatalna pomyłka. Perz chciał powabnej sąsiadce powiedzieć: — Jaki piękny księżyc!, a powiedział i powtórzył:

— Na bagnety!

Takie bywają skutki zbyt raptownie prowadzonych studiów językoznawczych.

Biedny Perzyński! W parę miesięcy później zachorował na zapalenie płuc. Ledwie się o tym dowiedziałem, przyszła wiadomość o śmierci. Żegnałem przyjaciela na Powązkach.

Rotary International.

Jeszcze jeden kwiat, wyhodowany w ciepłej atmosferze Ligi Narodów, — międzynarodowy związek wyznawców zasady, że prawo do korzystania z przysług posiada ten, kto poczuwa się do obowiązku ich świadczenia.

Inicjatorem Rotary-klubów był adwokat chicagoski, Paul Harris. Chciał zbliżyć w tych klubach ludzi, pragnących być sobie wzajemnie pożytecznymi i przez to mnożyć swój własny pożytek społeczny. Pomysł odpowiadał ideologii Wilsona i nastrojom powojennym, kluby Rotary mnożyły się bez liku we wszystkich kulturalnych krajach świata. W r. 1926 liczba ogólna klubów przekroczyła 6000, mimo, że Hitler rozwiązał wszystkie organizacje Rotary w Niemczech, a Mussolini we Włoszech. Szerzenie i pogłębianie uczuć humanitarnych wydawało się obu dyktatorom akcją szkodliwą.

Osobliwość Rotary stanowiła zasada, że poszczególny zawód mógł posiadać w danym klubie tylko jednego przedstawiciela. Wpływało to dodatnio na różnorodność składu osobistego i sprawiało, że każdy klub zabiegał o wybitne jednostki zawodowe.

Kluby Rotary nabrały wagi, jako placówki uczciwej i uświadomionej opinii publicznej. Bez dostatecznie usprawiedliwionego powodu zaniepokoiły się tą międzynarodówką koła katolickie, dopatrując się w niej utajonych związków z masonerią.

Pomawianie o masonerię stało się w Polsce obyczajem szeroko stosowanym. Jeśli w ogniu dyskusji zbrakło lepszych argumentów, zafrasowany polemista ratował się oskarżeniem przeciwnika, który bronił skutecznie swoich poglądów.

— Nic dziwnego, że się tak upiera! Jest masonem!

I sprawa była rozstrzygnięta. *Roma locuta!* W sporze czy targu z „masonem” każdy „narodowy” Polak zawsze miał słuszość, bo człowiek, o masonerię podejrzany, musiał być przyjacielem Żydów, a wrogiem Kościoła i Ojczyzny.

W ten sposób, w miarę potrzeby, za „masonów” poczytywani byli ludzie tej wartości społecznej, co Stanisław Bukowiecki, Józef Mikułowski-Pomorski, dr Benni, dr Radziwiłłowicz, Andrzej Strug, Stanisław Patek, Jan Kucharzewski, Erazm Piltz, Włodzimierz Spasowicz, Aleks. Lednicki, Adam Zakrzewski, Ludwik Straszewicz, Ludomir Grendyszyński, Stefan Dziewulski, Antoni Wieniawski, setki innych.

Wyznaję, że kiedy raz w toku jakiejś dyskusji Andrzej Niemojewski zaliczył i mnie do tego grona, nie sprawił mi przykrości.

Z tymi światłymi i zasłużonymi w pracy publicznej działaczami łączność mogła być tylko pochlebna. Czy który z nich nie należał istotnie do loży masonskiej? Nie wiem. Nie zajmowałem się nigdy bliżej masonerią, nie byłem obznajmiony z jej działalnością i rytuałem. Ale niewątpliwym mi się wydaje, że olbrzymia większość ludzi, których w Polsce mianowano masonami, zasługiwała na szacunek i uznanie.

Mnie wciągnął do Rotary Piotr Drzewiecki, b. prezydent m. Warszawy, obywatel wielkiej zacności. W warszawskim Rotary reprezentowałem teatr i prasę.

Poza stolicą, na terenie Rzeczypospolitej założono kluby w Łodzi, we Lwowie, w Katowicach, Bielsku, Krakowie i Wilnie. Wszędzie zbliżały ludzi, pracujących społecznie. Komisja Główna utrzymywała stosunki z klubami zagranicznymi, wydawała co miesiąc Biuletyn dla rotarian polskich, od czasu do czasu — większe i ozdobniejsze zeszyty propagandowe w jednym z języków światowych. Nasze Rotary przyczyniło się niewątpliwie do pogłębienia sympatii dla Polski w Stanach Zjednoczonych A. P. i w W. Brytanii.

Kluby rotariańskie w Polsce zbliżały czynnych ludzi różnych zawodów, ułatwiały i rozszerzały przyjazne stosunki z zagranicą. Wojna światowa dowiodła, że tego rodzaju zabiegi były pożyteczne, bo świat nie dojrzał jeszcze do pokoju powszechnego, i trudno się ludziom, aby nastąpiło to rychło.

Sławek — Prystor — Pieracki.

Druga kadencja płk. Sławka mało różniła się od pierwszej. Prawość charakteru i odwaga osobista są cnotami cennymi, nie wystarczają jednak, by sprawować rządy w większym państwie nowoczesnym. Marsz. Piłsudski zluźował płk. Sławka w maju 1931 r. Zastąpił go płk. Prystor, równie zaufany towarzysz broni marszałka, bojowiec chmurny i gburny, człowiek uczciwy i stateczny, lecz fizycznie i duchowo ociężały. Pracując przez dłuższy czas jako urzędnik w Wileńskim Banku Ziemskim, zbliżył się do zagadnień gospodarczych, jego żona, katoliczka gorliwa, dała się poznać, jako czynna działaczka społeczna.

Łaskę marszałkowską w Senacie otrzymał Władysław Raczkiewicz, zawsze jak słonecznik frontem do słońca zwrócony. W Sejmie Świtalski tak obrady prowadził, że posiedzenia przeciągały się do świtu. Hulało gadulstwo. Nieszczęśni sprawozdawcy parlamentarni utrzymywali, że wybór Świtalskiego był złośliwością marsz. Piłsudskiego wobec Sejmu i prasy.

Polityka wewnętrzna.

Polska większość ziemiska w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu domagała się w stosunku do Ukraińców polityki jasnej, zdecydowanej i konsekwentnej. Chłopi małopolscy, w tych dzielnicach osiedli, skarżyli się, że władze państwowe nie okazywały im współdziałania. Jako czynnik narodowy, pozbawieni byli znaczenia.

Polska inteligencja radykalna chciała pozyskać Ukraińców ustępstwami. Wyrazicielem tych dążeń był wojewoda wołyński Józewski, sprzyjało im paru przejściowych wojewodów małopolskich. Metody, jakimi eksperymentowali, w kołach polskich budziły zastrzeżenia i sprzeciwy. W procesie brzeskim b. wojewoda Lwowski, Dunin-Borkowski, zwierzał się:

— Od początku drugiej Rzeczypospolitej na terenach Małopolski Wschodniej brakło stałej, legalnej formy dla życia publicznego.

Sprawą ukraińską interesowali się specjalnie płk. Bronisław Pieracki, minister spraw wewnętrznych, i Tadeusz Hołówko. Nacjonaliści ukraińscy uznali widocznie podejmowane przez nich poczynania za niebezpieczne, bo na obu nasłali zbirów. Hołówko zamordowany został w Truskawcu, gdy bawił tam na kuracji, płk. Pieracki — w Warszawie.

Hołówką kierowała skłonność do tolerancji narodowościowej i religijnej. Do ukraińców odnosił się przychylnie. Nieraz w tych sprawach zabierał głos na szpaltach „Kuriera Polskiego” i „Świata”.

Bracia Pieraccy pochodzili z Nowego Sącza. Najwybitniejszym z czterech braci był Bronisław: w Legionach i wojsku dosłużył się rangi pułkownika, przeszedł szkołę II-go Oddziału Sztabu. Nadawał się więcej na szefa policji politycznej, niż na ministra spraw wewnętrznych.

W pamięci utkwiała mi późnowieczorna audjencja, którą uzyskała delegacja Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Pałac „pana Andrzeja” (Zamoyskiego) drzemał w półmroku. Obszerny podwórzec, sienie i schody tonęły w ciszy. Nagle, jak spod ziemi, wyrastał urzędnik i pytał, do kogo zmierzamy. Grzeczność formy była w sprzeczności z napięciem oczu.

Półmrok panował również w obszernym gabinecie ministra. Rozmowa w sprawie konfiskat gazet, dokonywanych przez władze policyjne, ciągnęła się dość długo. Przerywały ją krótkie telefony i meldunki dyskretnych współpracowników. Atmosfera była zaskakująco podobna do tej, w jakiej kiedyś, za czasów Skałłona, przyjmował mnie Jacewski, w pałacu Radziwiłłowskim. Ten sam ton uprzejmy, głos przyciszony, i tajemniczość...

...Ministrowie pomajowi w Sejmie naogół głos zabierali rzadko. Wyjątek stanowił Janusz Jędrzejewicz, bardzo języczliwy. Minister Pieracki należał do najmilniejszych.

Literatura i sztuka w opalach.

Nauka, literatura i sztuka nigdy w Polsce nie opływały w dostatki. Jedyne król, który gorąco sprzyjał twórczości rodzimej, — Stanisław August, — sam stale tkwił w długach i kłopotach pie-

nieżnych. W okresie niewoli inicjatywa społeczna zastępowała własne czynniki państwowe. Życie była łatwiejsze, ludzie uczynniejsi. Wojna światowa i olbrzymie ofiary, związane z odbudową państwowości, zubożyły kraj. Mózgi były zmęczone wszelakiego rodzaju troskami, instynkt samozachowawczy sprzyjał sobkostwu. Sfery literackie i artystyczne spodziewały się, że Państwo spłaci dług, należny kulturze narodowej.

Parodniowy „rząd lubelski” zainicjował ministerstwo Kultury i Sztuki. Odziedziczył po nim ten spadek Jędrzej Moraczewski, na czele resortu pozostawił Medarda Downarowicza, który do pomocy dobrał sobie Miriamą Przesmyckiego. W ten sposób powstało ministerstwo, z ministrem, wiceministrem, i garstką urzędników; brakło dotacji, która pozwoliłaby piskłciu wzmocnić się i rozwinąć skrzydła. Paderewski spławił Downarowicza, zatrzymał Miriamą, awansując go na ministra. Kredytów nie zwiększył. Miriam musiał ograniczyć swe ambicje do poczynañ idealnych. Do takich należało potępienie obsadzania dróg w Sieradzkim drzewami owocowymi, że wypaczały jakoby charakter swojski krajobrazu. Ministerstwo zalecało rosochate wierzby.¹⁾ Na posiedzeniach Rady Ministrów Miriam pouczał kolegów o zadaniach Wielkiej Sztuki przez duże S. Następcy Paderewskiego doszli do przekonania, iż twórczości naszej wystarczy departament Sztuki, przydzielony do ministerstwa W. R. i O. P. Dyrektorem departamentu został mianowany architekt Heurich, człowiek sumienny i skromny.

Sfery literackie i artystyczne nie były tej degradacji rade. W prasie nie szczędzono gorzkich wymówek. Aby podnieść autorytet departamentu, powołano niebawem na jego kierownika Juliana Fałata, malarza sławy europejskiej, który przy tym cieszył się względami wojowniczej cyganerii artystycznej. Łudzono się, że autorytet i urok osobisty Fałata pozwoli mu rozszerzyć budżet, o co Heurich daremnie zabiegał. Fałat tyle dokonał, że bratając się, i w dzień i w nocy, z literatami i artystami w Astorii, u Langnera i w innych popularnych lokalach, złagodził żale i sarkania. Liczył już wtedy 72 lat, ale wytrzymałością w pracy i zabawie wielu młodych prześcigał. Rychło wszakże sam spostrzegł, że wdał się w nieswoje rzeczy, pokłonił się grzecznie i do swej samotni bystrzańskiej wrócił. Zastąpił go Jan Skotnicki, także malarz. Ten

¹⁾ Naczelnik jednego z powiatów gubernii Tambowskiej, na parę lat przed pierwszą wojną światową, poszedł dalej: zakazał w powiecie ruchu samochodami, dopóki konie nie oswoją się z tego rodzaju pojazdami.

posiadał nie tylko umysł światły, ale i praktyczne zdolności administracyjne. Nie bujając w obłokach, wypracował dla departamentu program, możliwy do ziszczenia. Wprowadzał ład do naszego życia artystycznego drogą odpowiednich ustaw i regulaminów, inicjował pomoc państwową dla obiecującej młodzieży i zasłużonych inwalidów, uruchamiał w urzędach wojewódzkich opiekę nad zabytkami i sztuką w ogóle, wzbogacał muzea i galerie krajowe. Niestety, w tej dobie właśnie kryzys tak się rozsrożył, że nawet bardzo zmoderowane zamierzenia okazały się nierealnymi. W Ministerstwie Oświecenia nie spotkał się zresztą Skotnicki z dostatecznym dla swych planów zrozumieniem i poparciem.

Zaostrzona walka o byt, o utrzymanie się na powierzchni życia, gasiła zainteresowania wyższego rzędu. Tadeusz Pruszkowski, rektor Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, zapewniał, że nawet obrazy Matejki, Brandta, Chełmońskiego, Malczewskiego, Fałata, Wyczółkowskiego nie znajdowały nabywców. Malarze o głośnych nazwiskach szukali posad nauczycieli w szkołach średnich i powszechnych. Utalentowani muzycy grywali w kapelach kawiarnianych. Jedna rzeźbiarka, podobno, zarabkowała, jako mamka z dobrym pokarmem. Artyści żyli z doraźnych pożyczek, z kredytów u najbliższego kupca; w sezonie wyścigowym — z totalizatora, zimą — z „szopek”.

Pruszkowski kończył swe opowiadanie ze zwykłym mu humorem wisielczym:

— Jeden z moich przyjaciół, świetny rzeźbiarz i wyborny anatom, — że posiada wysokie protekcje, — zabiega o stanowisko pomocnika przy kacie Maciejewskim.

Literaci? Kornel Makuszyński utrzymywał, że tak atramentowo czarnych czasów jeszcze w Polsce nie było. Pisarze polscy przypominali mu trupy z „Salambo” Flaubert’a pod murami Kartaginy: taki był ścisk wśród walczących, iż nie mogły upaść i wydawało się, że żyły.

Na fraszunek coraz powszechniejszym środkiem stawał się trunek. Gdy Melchior Wańkowicz, na pociechę cukrownikom, wymyślił aforyzm reklamowy: „cukier krzepi”, *vox populi* dodał natychmiast uzupełnienie: wódka lepiej!

Minister W. R. i O. P. Sławomir Czerwiński odważył się na szczere wyznanie w Sejmie:

— Nie daje nam spokoju myśl, że państwo polskie nie znalazło dotąd odpowiednich środków i form do roztoczenia opieki nad literaturą i sztuką.

...Pocieszał się tym samym trybem, co przed 350 laty dyplomata francuski, o którym opowiada Paweł Hazard w swym studium o Cervantesie. Przybywszy do Madrytu, dyplomata ów dowiedział się ze zdumieniem, że autor „Don Kiszota” cierpiał w Toledo nędzę. Pytał tedy jednego z grandów:

— Może-ż być, aby pisarz tak genialny nie otrzymywał żadnych zasiłków?

Grand odpowiedział z godnością.

— Pan Cervantes otrzymuje pieniądze od drukarzy, którzy wydają jego utwory w książkach. Czyż chciałoby mu się pisać, gdyby nie potrzebował środków na życie?

Francuz zauważył rozsądnie.

— Jeśli bieda zniewala pana Cervantesa do pisania arcydzieł, niechże Pan Bóg broni go od zamożności.

Polska stosowała wobec swych pisarzy i artystów te same metody.

Świtalski, zostawszy ministrem W. R. i O. P., uznał Skotnickiego za nieprawomyślnego. Forytowano na jego miejsce Wojciecha Stpiczyńskiego, publicystę zdolnego, i cieszącego się względami marszałka.

Stpiczyński wszakże więcej interesował się polityką, niż sztuką. Spadek po Skotnickim odziedziczył inny Wojciech, — Prof. Jastrzębowski, popierany przez „Orła Białego” i przez gen. Rydza Śmigłego.

Jastrzębowski odznaczał się temperamentem swarliwym. Mało co osiągnąwszy, ustąpił miejsca prof. Skoczylasowi, który reprezentował tę samą ideologię polityczną przy większych zasobach sprężystości.

Skoczylas, jako malarz, był indywidualnością wybitną, aczkolwiek jednostronną. Zrośnięty z secesją artystyczną i literacką, której patronowały „Wiadomości Literackie”, przejmował z prostą sympatią i animozją swoich sprzymierzeńców, nie biorąc w rachubę, że powinność państwa wskazywała mu pieczę nad całokształtem twórczości narodowej, bez względu na jej kierunki. Wynikiem tych tendencji było założenie Instytutu Propagandy Sztuki (IPS)¹⁾, na przekór zasłużonej, choć nieco ospałej „Zachęcie”, oraz poparcie udzielone Konserwatorium Muzycznemu w jego kłótni z Filharmonią...

¹⁾ Wśród obrazów, zgromadzonych na Wystawie Inauguracyjnej Instytutu Propagandy Sztuki, zwracało uwagę malowidło jednego z artystów łódzkich, przedstawiające zającą, świeżo odartego ze skóry i obłożonego cytrynami.

Janusz Jędrzejewicz, objąwszy ministerstwo W. R. i O. P., zdegradował departament Sztuki do skromniutkiego poziomu Wydziału. I jakoby chcąc degradację podkreślić, naczelnikiem owego wydziału mianował Władysława Zawistowskiego, który na stanowisku doradcy literackiego Teatrów Miejskich zdemaskował swą nieudolność.

Janusz Jędrzejewicz chciał pisarstwo polskie i sztukę okiełznać dla swych celów politycznych. Rozpoczęło się wyróżnianie tych, co byli układni. Pen-Club organizował wycieczki reprezentacyjne za granicę, uzyskiwał środki na przekłady dzieł autorów uprzywilejowanych. Mieczysław Treter, dyrektor Towarzystwa Popierania Sztuki Polskiej Zagranicą, urządził — według tych wskazań — wystawy obrazów i koncerty w większych miastach Europy. Większość pisarzy naszych nie garnęła się do łask „nowych panów”.

Józef Weyssenhoff dokonywał żywota w niedostatku i gorczy.

W Polsce jednocześnie zmniejszał się analfabetyzm i spadały nakłady książek wyższej wartości. Wydawcy obcinali honoraria autorskie. Dopominano się o ustawę biblioteczną: pisarze przerwali obietnicę sobie z niej suto korzyści.

Umiejętność czytania, pisanie i czterech działań arytmetycznych stanowi zaledwie pierwszy etap w rozwoju kultury. By następny szczebel osiągnąć, trzeba dłuższego łańcucha wysiłków i pokoleń...

Młodych talentów jawiło się sporo, bo pod tym względem Polska była zawsze urodzajna. Tu i owdzie wszakże dawały się wyzuwać objawy choroby społecznej, która w tym okresie zatruwała i inne piśmiennictwa, a które Wilhelm Steckel, uczeń Freuda, zwał „nostalgia błota”. Prof. Szober skarżył się w „Kurierze Warszawskim” na upadek moralny twórczości powojennej. W „Myśli Narodowej” Zygmunt Wasilewski ubolewał, że zachwiał się kontakt piśmiennictwa z narodem. W „Czasie” prof. Dobrzycki wymawiał niesumiennym krytykom, że narzucali cześć dla rzekomego kapłaństwa tam, gdzie tkwiła zaledwie szara przeciętność.

Rynek księgarski zalewały przekłady z języków obcych. Była to przeważnie literatura sensacyjna, obliczona na smak pospólity. Przygodni tłumacze pastwili się nad mową polską bez miłosierdzia. Większość owych przekładów była zbrodnią wobec gramatyki i czystości języka. Ubolewano nad tym bezceństwem, nikt skuteczniejszej walki z nim nie podjął.

Dawne, zasłużone firmy wydawnicze ciężko borykały się z przewlekłym kryzysem gospodarczym. Dwie nowe, założone już po wojnie światowej, wyróżniały się rozmachem i planowością wysiłków: „Biblioteka Polska”, impreza Władysława Kościelskiego z Miłosławia, i „Trzaska, Ewert i Michalski”.

Kościelski zaczął od tego, że nabył po Niemczech wybornie pod względem technicznym zaopatrzoną drukarnię w Bydgoszczy, oraz dwie sędziwe kamienice przy ul. Ś-to Jańskiej w Warszawie. Kamienice przebudował, nie ujmując nic z archaicznej powagi, wyposażył je natomiast w wygody nowoczesne; jedną przeznaczył na użytek osobisty, w drugiej umieścił zarząd księgarsko - wydawniczego przedsiębiorstwa. Do rady, która spółką akcyjną miała zaawadywać, zaprosił Kasprowicza, Żeromskiego, Staffa, Berenta; powołał do życia miesięcznik, służący literaturze nadobnej. Cykle, jak „Biblioteka Historyczna”, i „Historyczno-Literacka”, „Wielka Biblioteka”, pierwsze pełne wydanie „Dzieł” Stanisława Wyspiańskiego, świadczyły o górnych ambicjach.

Chwalebny zasób energii i pomysłowości wydawniczej wykazywali Trzaska i Michalski, główni założyciele i kierownicy firmy księgarskiej „Trzaska, Ewert i Michalski”. Specjalnością jej stały się zakrojone na wielką skalę wydawnictwa, szerzące i pogłębiające wiedzę, a umiejętnie dostosowane do naszych warunków społecznych i potrzeb. W organizacji wydawnictw zeszytowych dopomagał im rzutki i bystry Stanisław Lam.

Oba instytuty wydawnicze godnie iściły swoje cele, nie plamiąc się tandetą ani szkaradnymi przekładami, jakie stały się nagminną plagą tych czasów.

Bibliotekę Narodową uporządkował Stefan Demby. Na razie znalazła schronienie w gmachu Wyższej Szkoły Handlowej. Pałac, wzniesiony własnym sumptem na Okólniku przez Edwarda hr. Krasińskiego, stał się jednym z najsmadniej przysposobionych warsztatów dla pracy umysłowej. Gospodarz cały swój czas Bibliotece poświęcał, służąc gościom radą i pomocą. I tacy hrabiowie w Polsce się rodzili! Wr. 1941 hr. Edward został uwięziony przez władze niemieckie i zesłany do jednego z obozów koncentracyjnych. Nie wytrzymał okrutnego reżimu, po kilku tygodniach oddał ducha.

Prasa w odrodzonej Polsce. Organizacje prasowe.

Prasa Polska w okresie niewoli prostała swej misji. Była sumieniem narodu i jego przednią strażą w walkach z władzami zabórczymi, które ze swej strony czyniły, co mogły, by jej rozwój hamować. Giętkość piór i dowcip redaktorów umiały przemycać przez sito cenzury „niebłagonadziejne” wiadomości i uwagi, w formie, — na pozór niewinnej, że tylko publiczność polska, czytać między wierszami nawykła, istotną treść ich chwytała.

Posiadamy garść cennych monografii, studiów i przyczynków do dziejów prasy polskiej tych czasów. Na metodyczną, mądrze opracowaną historię czekamy. Zadanie jest trudne i mozolne, tak ściśle jednak z dziejami polskiego Odrodzenia zespolone, że musi być wykonane.

Przed październikowym reskryptem konstytucyjnym (1905 r.), który zmiotł cenzurę przewencyjną, prasa polska w Królestwie bratała się z literaturą. Nie każdy dziennikarz był literatem, ale prawie każdy literat był mniej lub więcej dziennikarzem. Redaktorami dzienników i czasopism bywali pisarze tej miary, co — w czasach dawniejszych — Henryk Rzewuski, J. I. Kraszewski, Wacław Szymanowski, Adam Pług, później Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Aleksander Świętochowski, Edward Lubowski, Larik-Gadomski... Bywali nimi również prawnicy: Franc. Nowodworski, Stan. Libicki, Franc. Olszewski, lekarze: dr. Jan Brzeziński, przemysłowcy: Konrad Olchowicz senior, obywateli ziemscy: Antoni Zaleski, Mścisław Godlewski, Antoni Donimirski. Fachowe wykształcenie nie wydawało się dla dziennikarzy koniecznym. Domagano się od nich wiedzy ogólnej i umiejętności pisanja. Współpraca wybitnych pisarzy sprawiała, że zarówno dzienniki, jak czasopisma, okazywały żywe zainteresowanie dla literatury i jej zagadnień.

Założenie w Warszawie Kasy Literackiej¹⁾ (1899 r.) mimo, że zakres działalności tej instytucji był ściśle ograniczony, poczytywano za zdobycz narodową. W Wielkopolsce władze pruskie pozwoliły w r. 1905-m na utworzenie w Poznaniu Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów Polskich na Rzeszę Niemiecką. Pierwszą na ziemiach polskich organizacją prasową w szerszym stylu był Związek Dziennikarzy Polskich we Lwowie (1908 r.); statut był wzorowany na analogicznym zrzeszeniu dziennikarzy wiedeńskich. W dwa lata później, po niezliczonych staraniach, wydebiliśmy w Petersburgu zaawtwierdzenie statutu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy w War-

¹⁾ Warszawska Kasa Przezorności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy.

szawie. Wcześniej, bo w r. 1907-m, powstała Polska Agencja Prasowa w Paryżu, powołana do życia przez galicyjską Radę Narodową. Kierownikiem jej był Kazimierz Woźnicki.

Gdy wybuchła w r. 1914-ym wojna światowa, Erazm Piltz założył w Lozannie Centralną Agencję Polską. W r. 1917-m Krakowski Naczelny Komitet Narodowy zorganizował Polskie Biuro Prasowe w Bernie.

Założycielem pierwszego w Warszawie zrzeszenia prasowego o charakterze zawodowym, — Klubu Sprawozdawców Parlamentarnych, — był Władysław Bazylewski, dziennikarz ze Lwowa, który przed wojną światową służył gazetom tego grodu, jako korespondent wiedeński. Niezadługo potem odbyło się zebranie organizacyjne Warszawskiego Syndykatu Dziennikarskiego. Statut został zatwierdzony dopiero w lutym 1920 r. Za przykładem Warszawy poszły inne większe ośrodki dzielnicowe Rzeczypospolitej, a w r. 1924-ym zrzeszenia te połączyły się w Związek Syndykatów Dziennikarzy Polskich.

Związek Dziennikarzy R. P. powstał w maju tegoż roku i stał się naczelnym przedstawicielstwem całej prasy, wychodzącej na obszarach państwa polskiego. Pierwszym prezesem Związku był Jan Dąbski, zaufany Witosa. Gdy awansował na wiceministra spraw zagranicznych, miejsce jego zajął Bolesław Koskowski, powszechnie szanowany redaktor polityczny „Kurier Warszawskiego”, polski Jacques Bainville. Koskowski zmarł w czasie, kiedy otoczenie marsz. Piłsudskiego poczyniło roić sny o władzy totalnej. „Czynniki miarodaine”, chcąc zawarować sobie wpływy Związku Dziennikarzy, przeforsowały na prezesa ppłk. Wyżła Ścieżyńskiego, dyrektora półoficjalnej agencji prasowej „Iskra”. Ppłk. Ścieżyński starał się sprawować swój mandat poprawnie, jednak większego autorytetu w kołach dziennikarskich zjednać sobie nie mógł. Zaufaniem kolegów cieszyli się dwaj wiceprezesi: Witold Giełżyński i Hieronim Wierzyński. Oni też byli właściwymi kierownikami Związku.

W Polsce wprowadzono do prasy system meldunkowy. Każdy, kto poczuł w sobie Bożą wolę i znalazł łatwowiernego drukarza, mógł się na własny dziennik lub czasopismo porwać. Witold Giełżyński z tego powodu pisał: „Upadek polskiego zawodu dziennikarskiego staje się zrozumiałym, jeśli się zważy, że do założenie zakładu fryzjerskiego czy warsztatu stolarskiego trzeba wykazać się znajomością fachu i mieć odpowiednie świadectwo, redaktorem zaś,

wydawcą czy współpracownikiem pisma może być każdy ignorant, który zamelduje odpowiedniej władzy o zakładanym przez się piśmie”.

Pismom, które niezależność opinii i wolność drukowanego słowa uważały za podstawowe przywileje prasy, przeciwstawiała się z jednej strony — nielojalna konkurencja dzienników i perjodyków, przez rządy pomajowe subwencjonowanych, z drugiej — spekulacja wydawnicza, nadużywająca sensacji i nie zawsze posługująca się metodami godziwymi. Liczba wydawnictw codziennych i tygodniowych rosła bez miary i wagi, do przybytku prasy pchali się niejednokrotnie przekupnie bez wykształcenia, bez kultury, i — co ważniejsza — bez poczucia odpowiedzialności obywatelskiej, jaką musi dźwigać każdy wydawca i redaktor.

Szkoła dziennikarska.

Pierwsza w Polsce Szkoła Dziennikarska powstała w Warszawie w r. 1917-ym, jako wydział dziennikarsko-publicystyczny przy Szkole Nauk Politycznych.

Na czele tego wydziału stanął Bolesław Koskowski, jako dziekan i profesor.

Wśród wykładowców znaleźli się Adam Nowicki, Stanisław Jarkowski, Józef Kotarbiński.

Wydział ten nie ściągnął większej liczby słuchaczy i po paru latach został zwinięty. Wogóle dwie osoby uzyskały na tym wydziale dyplomy z całkowitego ukończenia kursu.

Jedną z przyczyn szczupłej frekwencji było założenie przy Wolnej Wszechnicy w tymże samym roku samodzielnej Szkoły Dziennikarskiej; głównym inicjatorem i pierwszym dyrektorem był serdeczny mój przyjaciel, Wincenty Kosiakiewicz. Gdy przedwcześnie zmarł, brzemień kierownictwa przejął Ernest Łuniński, historyk i publicysta, człowiek najlepszej woli, lecz pozbawiony zdolności organizacyjnych. Za jego dyrekcji Szkoła Dziennikarska opierała się o Wolną Wszechnicę Polską. Rozwój jej chromał, prasa odnosiła się do wychowawców nieufnie. W redakcjach utrzymywały się w mocy przedawnione poglądy, iż dziennikarzem może stać się każdy, kto posiada wykształcenie ogólne, zdolność „wypisania się” i spryt. Poglądy, które nie odpowiadały zgoła przeobrażeniom, jakie w życiu nowoczesnym wprowadziły telegraf, radio, samochody i sa-

moloty, rozwój przemysłu, handlu i giełd. Dziennikarstwo stało się zawodem, jak również zawodem uczyniło się wydawanie gazet, zaś każdy zawód ustala dla swych adeptów program wiedzy fachowej i praktyki. Dziennikarstwo informacyjne, które nie pragnie niczego dowieść, — prowadzi do rozczarowań i cynizmu. Życie jedynie wtedy jest coś warte, jeśli wypełnia je dążenie do celów wyższych.

Dziennikarstwo tak się komplikowało, iż zaczęło wymagać od swych pracowników, prócz wiedzy ogólnej, — wiadomości specjalnych, a tych mogła udzielić jedynie uczelnia o charakterze fachowym. Dla warszawskiej Szkoły Dziennikarskiej momentem zwrotnym było usamodzielnienie się, które nastąpiło w r. 1927-m, a więc w 10 lat po narodzinach. Szkoła otrzymała wówczas statut, zatwierdzony przez ministra W. R. i O. P., awansowała w randze. Prawnym właścicielem jej było teraz Towarzystwo Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. Prezesem zarządu został Aleksander hr. Dzieduszycki, w jednej osobie dyplomata, zapalony miłośnik hodowli koni arabskich i gorliwy opiekun Szkoły. Trafił do niego Łuniński, który go bliżej poznał w czasie pobytu w Kopenhadze, kiedy hr. Dzieduszycki sprawował tam obowiązki posła Rzeczypospolitej.

Po śmierci Łunińskiego, kierownictwo Wyższej Szkoły Dziennikarskiej objął Wincenty Trzebiński, filar „Kuriera Warszawskiego”, dziennikarz wszechstronnie wykształcony, doświadczony i zrównoważony, który przy tym okazał talent pedagogiczny i rzetelne zamiłowanie.

Hr. Dzieduszycki i dyr. Trzebiński wywiedli Szkołę z powijków. Powiodło im się ziszczyć górny plan, który wydawał się dotąd niedoścignionym marzeniem. Zgromadzili większe fundusze, uzyskali ładny plac przy ul. Rozbrat i wyposażyli uczelnię we własny gmach (w r. 1936-m), skromny, lecz wygodny. Dokonali zaś tego cudu własnymi zabiegami, bez pomocy ze strony bogatszych wydawnictw. W gabinetach redaktorskich i w administracjach gazet odnoszono się do Szkoły w dalszym ciągu sceptycznie. Dopiero w ostatnich latach przed najazdem niemieckim stosunek ów począł się zmieniać na lepsze.

Tow. „Ruch” i akcja prasowa płk. Miedzińskiego.

Kiedy skończyła się wojna światowa, grono najpoważniejszych księgarzy (Gebethner i Wolff, Arct, Mortkowicz, Rzepecki z Poznania, Altenberg ze Lwowa) oraz kilku warszawskich wydawców dzienników i czasopism założyło spółkę, celem prowadzenia hurtowni kolportażowej, koncesjonowanej do wyłącznej sprzedaży dzienników i czasopism wewnątrz dworców kolejowych i na peronach stacyjnych. Pierwszym prezesem spółki został poseł na Sejm, dr. Antoni Rząd, później stanowisko to objął Gustaw Wolff. Gdy z biegiem lat i ten ustąpił, przewodnictwo mnie przypadło. „Ruch” pod zarządem Tadeusza Tchórzowskiego i Stanisława Godyckiego rozwinął się znakomicie, przyczyniając ministerstwu Komunikacji i zrzeszeniu Inwalidów Wojennych znaczne dochody. Akcjonariusze też nie byli pokrzywdzeni.

W najbliższym otoczeniu marsz. Piłsudskiego było trzech pułkowników niezaprzeczenie zdolnych i żywotnych: Beck, Matuszewski i Miedziński.

Pierwszy był synem zasłużonego małopolskiego działacza społecznego, który w okresie niepodległości powołany został na wiceministra spraw wewnętrznych. Ignacy Matuszewski był synem znanego badacza literatury i pedagoga. Bogusław Miedziński urodził się i wychował na wsi. Beck, jako adiutant i sekretarz marsz. Piłsudskiego, wyróżniał się pracowitością i bezwzględną lojalnością. Referując sprawy zagraniczne, wdrażał się w ich tajniki — i równocześnie wgłębiał się w koncepcje marszałka. W Belwederze od pierwszych czasów panowało przekonanie, że marsz. Piłsudski kształtował sobie w Becku przyszłego ministra spraw zagranicznych, posłusznego swoim wskazaniom.

Płk. Matuszewski wyrósł w środowisku intelektualnym, po ojcu odziedziczył talent pisarski. Pociągnęła go jednak nie literatura, lecz polityka, a zwłaszcza najtrudniejsza i najkłopotliwsza jej dziedzina — skarbowość. Drukował doskonałe artykuły w „Gazecie Polskiej”, przez jakiś czas, z ramienia płk. Miedzińskiego, kierował jej redakcją. W r. 1929-m Bartel powierzył Matuszewskiemu, który w Sejmie referował budżet, tekę ministra Skarbu. Giełda była zaskoczona! Pułkownik legionowy na czele finansów! Okazało się jednak, że Matuszewski lepiej bronił interesów Państwa, niż potencji bankowi; fachowcom imponował przenikliwością i trafnym ujmowaniem zawiłych problemów.

Jako minister Skarbu, naraził się marsz. Piłsudskiemu, musiał ustąpić. Przygarnęło go Tow. Kredytowe m. Warszawy, ofiarując prezesurę. Była to odprawa dla emeryta, nie dla indywidualności twórczej i dla człowieka w sile wieku.

Płk. Miedziński odznaczał się rzutką inteligencją i temperamentem, orientował się wyśmienicie w stosunkach politycznych i prasowych. Był najlepszym wśród belwederczyków mówcą parlamentarnym, na szpaltach „Gazety Polskiej — polemistą ciętym i niebezpiecznym, choć zawsze rycerskim. Powinęła mu się noga, gdy objął ministerstwo Pocht i Telegrafów. Postradał względy marszałka. Kto mu uszył buty, trudno odgadnąć: belwederzycy znali się, jak łyse konie, rzeli do siebie, jeśli trzeba było hurmem walczyć z przeciwnikami, ale skoro przychodziło do podziału łask, jeden drugiemu smaczne kąski wydzierał. Płk. Miedziński od początku swej kariery politycznej szukał odskoczni i oparcia w prasie. Pierwszym etapem tej akcji była „Gazeta Polska“, drugim — zręczne wykorzystanie trudności płatniczych, w jakich znalazła się „Prasa Czerwona“ skutkiem olbrzymich wkładów w budowę własnego pałacowego gmachu i w instalacje najnowocześniejszych maszyn drukarskich. Płk. Miedziński pomógł właścicielom „Prasy Czerwonej“, Butkiewiczowi i Lewandowskiemu, wyrejtować z oparów, przystąpił do nowoutworzonej spółki („Dom Prasy“), wprowadził do niej, z głosem decydującym, swego zausznika. Był nim mjr. Leon Puławski, zaradny i dyskretny, a swemu szefowi duszą i ciałem oddany.

Ażeby utrwalić swe wpływy w prasie, płk. Miedziński postanowił ośwładać „Ruchem“, w którym koncentrował się kolportaż ogólnokrajowy, — jak we Francji — w paryskiej księgarni Hachette'a.

Płk. Miedziński wyzyskał chwilę, kiedy minister Kühn, który nie dopuszczał, by mu w kaszę dmuchano, musiał oddać swój resort inż. Butkiewiczowi, bratu naczelnego redaktora „Prasy Czerwonej“. Przypadło to w czasie, kiedy dobiegała kresu koncesja „Ruchu“. Nikt nie wątpił, że będzie przedłużona na dalsze dziesięciolecie; wszyscy dyrektorzy ministerstwa Komunikacji byli zdania, że „Ruch“ wywiązywał się ze swych zobowiązań pod każdym względem wzorowo.

Stało się inaczej. Nowy minister narzucał akcjonariuszom „Ruchu“ ingerencję ministerstwa przy ustalaniu rady nadzorczej i zarządu. Było to pogwałceniem praw akcjonariuszów. Cóż z tego!

Oświadczono nam kategorycznie: albo przyjmiecie nasze warunki, albo — pożegnajcie się z koncesją.

W ten sposób do rady i zarządu „Ruchu“ dostały się osoby, wybrane przez płk. Miedzińskiego.

...Z płk. Miedzińskim mordowałem nieraz na polowaniach zające i lisy, grywałem w brydża. I jako towarzysz myśliwy i jako partner karciany był kompanem doskonałym. Jak sobie poczynął z prasą, rzuca światło fakt następujący:

Odwiedziłem pewnego dnia płk. Miedzińskiego w redakcji „Gazety Polskiej“. W toku rozmowy zapytał znienacka, czy „Świat“ nie przystąpiłby do grupy dzienników i czasopism, popierających bez zastrzeżeń politykę marsz. Piłsudskiego i jego wybrańców?

Odpowiedziałem, że moim zdaniem, w zawodzie dziennikarskim nie było skarbu cenniejszego, jak niezależność. Pismo, które idzie na służbę pewnej idei czy doktryny, zawsze zwięża zasięg swych wpływów. Niezależności „Świata“ broniłem zawsze tak dalece, że pozostając w bliskich stosunkach przyjaźni z czołowymi przywódcami realistów (Er. Piłtż, Ludw. Straszewicz, Tad. Smarzewski, ks. Zygmunt Chełmicki, Aug. Popławski) nie dałem nigdy wciągnąć „Świata“ w odmęty polityki ugodowej. Dzięki takiemu postępowaniu „Świat“ cieszył się popularnością wśród czytelników najróżnorodniejszych kierunków politycznych. Na szpaltach „Świata“ chętnie zabierali głos pisarze i działacze polityczni, należący do najbardziej przeciwnych sobie obozów. Strzegąc swej niezawisłości, „Świat“ tym większe mógł świadczyć przysługi wszelkim uczciwym poczynaniom, bez względu na ich etykietę partyjną.

Nie byłem pewny, czy moje argumenty przekonały płk. Miedzińskiego. Nie nalegał, wzajemne stosunki nasze zostały poprawne. Gdy we władzach „Ruchu“ miały nastąpić zmiany, mjr. Puławski oświadczył mi, że jego mocodawca pragnie, abym pozostał na stanowisku prezesa rady nadzorczej, które to stanowisko już więcej niż od dziesięć lat sprawowałem. Zwróciłem się do głównych akcjonariuszów z prośbą o wypowiedzenie swej opinii. Wszyscy domagali się, bym mandat w dalszym ciągu przyjął i na terenie „Ruchu“ interesów całej prasy, nie wyłączając opozycyjnej, bronił.

Płk. Miedziński był człowiekiem innego kalibru, niż mjr. Zyndram Kościakowski i wiceminister Korsak.

Potrzebę stałego porozumienia między wydawcami dzienników i czasopism odczuwano w warszawskich kołach prasowych już przed pierwszą wojną światową. Ludwik Straszewicz gorąco namawiał, sam jednak bardzo nie wierzył, by władze zaborcze do takiego zrzeszenia dopuściły. W latach pierwszej okupacji niemieckiej odbywaliśmy od czasu do czasu zebrania wydawców, już to w redakcji „Kuriera Polskiego”, kiedy byłem jego właścicielem, już — w redakcji „Kuriera Warszawskiego”. U schyłku wojny światowej projekt założenia Związku Wydawców skryształizował się konkretnie. Narady najczęściej odbywały się wówczas w mieszkaniu Ludwika Fryzego, udział w nich brali gospodarz i Palemon Magnuski, administrator „Kuriera Porannego”, z ramienia „Kuriera Warszawskiego” — Tadeusz Kraushar i Zygmunt Olchowicz oraz Mieczysław Niklewicz i ja. Prasa nasza była tak zróżnicowana przez orientacje polityczne, że doprowadzenie wydawców dzienników do zgodnego współdziałania, choćby tylko w sprawach gospodarczych, wydawało się szukaniem południa o północy.

Wróciliśmy do tych zamysłów, gdy „wybuchła” niepodległość. Teraz już godziliśmy się, że Związek Wydawców Dzienników i Czasopism, o charakterze zawodowym, stawał się pilną niezbędnością. Poród jednak był ciężki. Wydawców warszawskich poza polityką, dzieliła wielka rozbieżność celów i środków. Nikt nie chciał kłaść zdrowej głowy pod Ewangelię. Tak było, póki nie zajął się tą sprawą Stanisław Kauzik, który, po ustąpieniu z ministerstwa Skarbu, szukał dla siebie nowego warsztatu pracy. Tyle w swe zabiegi włożył energii i wytrwałości, że w październiku 1928 r. doprowadził do uzgodnienia i zatwierdzenia statutu. Związek miał służyć rozwojowi i doskonaleniu się prasy w Polsce, miał objąć przedstawicielstwo jej interesów. Zwyciężyło hasło, że lojalne współzawodnictwo nie przeszkadza solidarności zawodowej.

Feliks Mrozowski, współwłaściciel i wydawca „Kuriera Warszawskiego”, zdobył dla Związku lokal w domu, należącym do tego pisma. Założyciele złożyli większą sumę na pierwsze wydatki.

Związek szybko wzmocnił się i uniezależnił, osiągnąwszy dla swych członków zniżkę cen papieru. Obdarowani ofiarowali z tej zniżki na rzecz Związku stałą daninę.

Duszą Związku był Stanisław Kauzik. Na jego wybitnych zdolnościach poznał się przed dziesiętkiem lat Władysław Grabski:

Kauzik, mimo że nie miał wówczas trzydziestu lat, stał się jego prawą ręką. Grabski posługiwał się nim w układach z przywódcami stronnictw sejmowych, darzył całkowitym zaufaniem. Kiedy w r. 1925 ustąpił, a Skarb przeszedł w ręce Jerzego Zdziechowskiego, Kauzik został zredukowany. Częste zmiany gabinetowe mnożyły bez liku młodych i zdolnych do pracy emerytów.

Działalność Związku szybko rozszerzała się. Kauzik dobrał sobie na pomocnika Franciszka Głowińskiego, wydawcę i redaktora „Ekspressu Lubelskiego”. Wybór okazał się trafny, bo Głowiński był człowiekiem wielkiej prawości, a wyróżniał się doświadczeniem fachowym, zmysłem praktycznym i wielką w pracy sumiennością. Referentami byli przeważnie studenci uniwersytetu.

O sprężystości Kauzika świadczy fakt, że pracując od rana do wieczora w Związku, nocami uzupełniał, przerwane przez wojnę, studia prawnicze. Pewnego dnia zdumieni wydawcy dowiedzieli się, że dyrektor ich Związku złożył egzamin adwokacki...

Związek zaważył na rynku wydawniczym. Przewodnictwo w Radzie Naczelnej sprawował Feliks Mrozowski, przewodnictwo Zarządu mnie przypadło. Sprawowałem je przez 10 lat, do wybuchu wojny niemieckiej.

Jubileusz „Świata”.

W grudniu 1930 r. upłynęło 25 lat od dnia wydania pierwszego zeszytu „Świata”.

Nie moją rzeczą jest wskazywać, jaką rolę w prasie polskiej spełniał „Świat” przez ćwierć wieku, dzięki jakim wartościom zyskał wśród rodzin polskich w kraju i na wychodźstwie życzliwość i szeroką poczytność. Wystarczy zajrzeć do roczników. Są one dokumentem, jak wysoką była kultura polska w tym okresie, jakimi ta kultura szczyliła się talentami i umysłami, — są ilustrowanym raptularzem życia polskiego, wysiłków polskiej twórczości i pracy, powodzeń i zawodów, radości i smutków.

Garść przyjaciół i kolegów zorganizowała bankiet w Resursie Kupieckiej, na który przyszło stu kilkudziesięciu przedstawicieli: Prezydium Miasta, literatury, sztuki, prasy i teatru.

Jak objąłem Miejskie Teatru Dramatyczne.

W warszawskich Teatrach Miejskich niedobory rosły z roku na rok. Preliminarz budżetowy na sezon 1929—1930 przewidywał deficyt Opery i trzech Teatrów Dramatycznych (Narodowego, Letniego i Nowego) w kwocie 3.236.777 zł. W rzeczywistości deficyt bywał wyższy. Szczupłały dochody, obniżał się poziom artystyczny.

Niewiele lepiej powodziło się i teatrom Szyfmana. Ten, by się ratować, usiłował nakłonić Magistrat do przyłączenia jego scen do kompleksu Teatrów Miejskich. Magistrat zapatrywał się krytycznie na taki związek biedy z nędzą. Aktorzy i autorzy byli monopolowi teatralnemu przeciwni. Pożądliwym okiem zezował w stronę Teatrów Miejskich Związek Artystów Scen Polskich (Z. A. S. P.), w którym wtedy rej wodził Jan Pawłowski.

W Ratuszu coraz mocniej utwierdzało się przeświadczenie, że Miasto powinno ograniczyć swą odpowiedzialność teatralną do ściśle określonej subwencji. Znalezienie wszakże dzierżawcy, któryby dawał należne rękojmie artystyczne i finansowe okazywało się kwadraturą koła. Więc zwlekano z ostatecznym rozstrzygnięciem. Gdy w pierwszych dniach września 1930 r. Artur Śliwiński, rozgoryczony trudnościami zgłosił rezygnację, zażegnano przesilenie sobotnim sztychem na niedzielny targ: ustanowiono teatralny gabinet urzędniczy z Antonim Strzeleckim jako intendentem, Emilem Chaberskim, jako dyrektorem i Wład. Zawistowskim, jako doradcą literackim na czele. Operę powierzono reżyserowi Popławskiemu, który utworzył osobne zrzeszenie artystów. Za kulisami krążyły domysły, że to prowizorium miało być etapem przejściowym do objęcia Teatrów Miejskich przez wiceprezydenta Mariana Borzęckiego.

Dyrekcja urzędnicza doprowadziła Miejskie Teatry Dramatyczne do upadku ostatecznego. W Operze działo się nielepiej.

Prezydent Miasta, inż. Słomiński, był człowiekiem sprężystym. Nie mogąc rozwiązać teatralnego węzła gordyjskiego, postanowił go przeciąć. Z końcem sezonu, w dniu 31 sierpnia 1931 r., wszystkie Miejskie Teatry Dramatyczne zostały zamknięte. Opera wcześniej. Z aktorami i pracownikami umów nie odnowiono.

Dążąc do usamodzielnienia i skomercjalizowania Teatrów Miejskich, Zarząd Miasta wszedł w układy z Ludwikiem Solskim. Zaproponowano mu objęcie Teatrów Narodowego i Nowego. Drewnia-

ną budę, w której mieścił się Teatr Letni, a która szpeciła Ogród Saski, zamierzano zburzyć.

...Lato 1931 r. spędzałem w Sokolimowie, w willi, należącej do Władysława Buchnera, redaktora „Muchy”. Że posiadłość tę nabył z dochodów, jakie przynosiło mu popularne piśmko, nazwał swą posiadłość jego imieniem.

Pewnego dnia zjawił się w Sokolimowie Chaberski, zdyszany i tajemniczy.

— Chce redaktor objąć ze mną razem Teatr Letni?

— Przecież ma być zburzony....

— My go ocalimy. Magistrat panu koncesji nie odmówi!

Miałem pewien sentyment dla obdrapanej szopy, zawdzięczałem jej wiele powodzeń. Ów sentyment sprawił, że zainteresowałem się propozycją Chaberskiego. On ją poparł zestawieniem rachunków, preliminarzem budżetowym i projektem organizacji zespołu i pracowników. Dzierżawa zapowiadała się pomyślnie.

Zażyłem 24 godzin do namysłu. Nazajutrz wczesnym rankiem przyjechałem do Warszawy i zaraz zgłosiłem się do wiceprezydenta Borzęckiego, przewodniczącego stałej magistrackiej Komisji Teatralnej, w której od szeregu lat brałem czynny udział. Gdym mu wyłuszczył propozycję Chaberskiego, uśmiechnął się i rzekł:

— Chodźmy do prezydenta.

W gabinecie inż. Słomińskiego przeprowadziliśmy dłuższą dyskusję. Obaj zachęcali mnie do złożenia oferty, zastrzegając się jednak, że Magistrat mógłby zawrzeć umowę tylko ze mną. Chaberskiego, jako współkontrahenta, nie chcieli.

Już się żegnałem, gdy prez. Słomiński niespodziewanie zagadnął:

— A dlaczego nie chce pan wziąć wszystkich Teatrów Dramatycznych?

— Nie myślałem o takiej możliwości, odparłem. O ile mi wiadomo, Zarząd Miasta pertraktuje z Solskim.

— Tak, ale nie możemy z nim dojść do ładu.

— Czyż ja mógłbym się ważyć na tak wielkie przedsięwzięcie, nie mogąc udzielić odpowiednich rękojmi materialnych?

Prez. Słomiński spoważniał.

— Pańskie kwalifikacje moralne i fachowe byłyby dla nas wystarczające.

Wróciliśmy ode drzwi, zasiedliśmy ponownie przy stole. Słomiński zobrazował teatralne bolączki i zamiary Zarządu Miasta. Magistrat postanowił wyrzec się prowadzenia Teatrów na własny rachunek, szukał osoby, godnej zaufania, której mógłby ich administrację powierzyć. Gotów był oddać do dyspozycji gmachy, warsztaty, dekoratornie, kostiumernie i wszelkie instalacje, zapewniał bezpłatne ogrzewanie i oświetlenie, a ponadto zobowiązywał się nabywać corocznie 50 przedstawień dla swych pracowników, płacąc za każde po 5 tys. złotych. Była to utajona subwencja, w istocie rzeczy bardzo zredukowana (bo przedstawienia te, same przez się, reprezentowały stratę dużego dochodu). Deficyt samych tylko Teatrów Dramatycznych wówczas wynosił rocznie milion złotych z górą!

Przyrzekłem prezydentowi, że rozpatrzę bliżej jego propozycję. On kazał sprowadzić Strzeleckiego, intendenta Teatrów i wydał mu polecenie, aby mnie wtajemniczył we wszystkie szczegóły administracji teatralnej. Strzelecki, nie w ciemną bitą, z pierwszych słów odgadł, że wypłynęła na jaw nowa kandydatura. Nie zdradził się przedwczesnym pytaniem, lecz twarz rozjaśniła mu się szerokim uśmiechem.

Przez dwie doby ślęczałem z nim nad bilansami, statystykami i raportami, zwiedzałem wszystkie zaułki gmachów teatralnych. W organizacji pracy pokutowały dawne rosyjskie metody biurokratyczne. Dyrekcja była urzędem, usilność wypowiadała się w skomplikowanej kontroli, w drobiazgowych raportach i czujnych zabiegach, aby w żadnym poszczególnym wypadku na nikogo nie spadła odpowiedzialność. System protekcyjny kwitł, zespoły aktorskie zachwaszczane były nieużytkami, za kulisami panoszyło się nieróbstwo. Kultu i zapachu dla sztuki brakło.

Naprawa była zadaniem trudnym, lecz pociągającym. Nie wierzyłem krakaniom, jakoby teatr się przeżył, że nowym pokoleniom wystarczały kabarety i kina. We Francji już w 18-m wieku przepowiadano upadek teatru, w Niemczech bawiono się tymi wieszczbami w początkach 19-go stulecia (listy Lessinga do Klopstocka). I wnet po tym teatr w całej Europie święcił wspaniałe odrodzenie. Zamiera to, co życia nie warto, upada teatr, nie odpowiadający potrzebom duchowym publiczności. Teatr dobry będzie długo jeszcze ważkim czynnikiem w rozwoju kulturalnym ludzkości, a dobrym będzie ten teatr, który zdoła poruszyć serca i mózgi.

Teatr zawsze nęcił tych, co dla teatru tworzyli. Półtrzecia tysiąca lat temu Eschyles był dyrektorem teatru, Arystofanes we

własnych komediach występował. Największy później dramatopisarz, — Szekspir i najwyborniejszy komediopisarz — Molier, — prowadzili własne teatry. W Polsce dyrektorami teatrów byli tacy pisarze jak Wojciech Bogusławski, Jan Chęciński, Stanisław Koźmian, Kazimierz Zalewski, Marian Gawalewicz, Józef Kotarbiński, Bolesław Gorczyński...

Teatr był moją pasją od najwcześniejszej młodości. Wabiła mię również zmiana pracy. Ćwierć wieku sterczałem w redakcji „Świata“! *La natura e bella per variare!* mawiał Papież Pius II...

Ryzyko? Bez wątpienia. Lecz goły rozboju się nie boi. Rzucałem na szalę najlepszą wolę, — i niewielkie oszczędności. O robieniu majątku nigdy nie myślałem. Teatr pociągał mię swoistym urokiem. Stanowił świat odrębny, sam w sobie, żyjący życiem własnym w nieustającym podnieceniu. Gdzież zawrotnej kłębią się ambicje, górne i niskie, gorączkowe upojenia i rozpaczne zawody, uczucia pierworodne i chytne kalkulacje?...

W teatrze kłamstwo i udawanie staje się kunsztem. W tej twierdzy, do której „wstęp osobom obcym wzbroniony“, znaleźć można wszystko. Kobiety, wyposażone w urodę i wdzięk, biegłe w miłości. Konflikty erotyczne, które przeżywały na scenie, nauczyły je wiele dobrego, i jeszcze więcej złego. W aktorach uwydatniają się charaktery postaci, które z osobliwym powodzeniem odtwarzali. W przyrodzie nic nie ginie. Żadne uczucie czy namiętność nie mijają bez reakcji. Z każdej głębiej odczutej roli coś na dnie duszy zostaje. Z tej przyczyny może Cromwell tak teatr znienawidził, że w Londynie wszelkich przedstawień zakazał, zaś autorów, piszących sztuki dla sceny, chłostą karał.¹⁾

¹⁾ Gordon Craig, słynny angielski teatrolog i reżyser, syn największej współczesnej aktorki londyńskiej, Ellen Terry, mawiał:

— Aktorki gubią teatr, bo źle spożytkowują swój urok i wpływ na mężczyzn. Wnoszą do sztuki teatralnej — intrygi, faworytyzm i miłostki.

Że o aktorach nie wiele lepsze miał wyobrażenie, Craig marzył o teatrze, w którym żywych wykonawców zastąpiłyby artystycznie wykonane kukły.

We Włoszech próbowano urzeczywistnić jego zamysły. Stworzono niezrównane teatry marionetek. Jeden z takich teatrów objeżdżał Europę. Warszawa zachwycała się owymi przedstawieniami, lecz po paru dniach miała ich dosyć.

Żywy człowiek nie da się zastąpić maszyną. Chyba, jeśli jest za życia nieboszczykiem.

Następna konferencja w Ratuszu odbyła się w porze wieczornej. Prócz prez. Słomińskiego wzięli w niej udział dwaj wiceprezydenci, Marian Borzęcki i Tadeusz Szpotański, — Antoni Strzelecki, adw. Gadomski, naczelnik magistrackiego biura prawnego, — Ludwik Solski, Emil Chaberski i ja.

Prez. Słomiński oznajmił na wstępie, że do Magistratu wpłynęła moja oferta na dzierżawę teatru Letniego, i, że Zarząd Miasta postanowił wejść ze mną w układy.

— Pragnęliśmy wszakże *junctim* rozwiązać zagadnienie wszystkich naszych Teatrów Dramatycznych. Więc może pan Solski wypowie się ostatecznie, czy mógłby się zdecydować na analogiczne objęcie teatrów Narodowego i Nowego?

Solskiemu podbródek latał, co było u niego oznaką silnego wzburzenia.

Jego zachłanność aktorska nie znała granic. Pracą, wytrwałością i zapalem dźwigał się z nizin aktorskich na teatralne szczyty, mimo, że postać miał niepozorną, głos suchy i głowę, którą nie dla ozdoby nosił. Każda jego rola była wszechstronnie obmyślana, każdy ruch i gest — wystudiowane. Potrafił być na scenie zgrzybiałym starcem i ognistym młodzieńcem (Dymitr Samozwaniec), nie było roli, którejby nie wzbogacił własną pomysłowością.

Praktyczna znajomość teatru Solskiego była fenomenalna. W potrzebie mógł być dekoratorem, krawcem, suflerem, elektrotechnikiem, rekwizytorem, entuzjastycznym widzem na sali, maszynistą, fryzjerem. Zawsze i wszędzie był wybornie doświadczonym reżyserem.

Solski był najdoskonalszym wcieleniem teatru, z wszystkimi jego właściwościami.

W jego kulturze umysłowej tkwiły luki. Był samoukiem, który wszystko, co umiał i wiedział, teatrowi zawdzięczał. Nie mógł się równać z Koźmianem, Pawlikowskim, Marianem Gawalewiczem, Józefem Kotarbińskim, Kaz. Zelewskim. Intuicją może ratować się aktor: kierownikowi sceny o wyższym zasięgu intuicja nie wystarcza.

W Warszawie Solski, jako dyrektor, już był poparzył sobie palce. Nie ostudziło to jego płonących ambicji. Gdy prez. Słomiński przyparł go teraz do muru kategorycznym pytaniem, Solski na dłuższą chwilę zaniemówił. Kręcił głową, rozkładał ramiona. Wreszcie cichym głosem wyłuszczył swój żal.

— Takie ryzyko! Kryzys... Kto może przewidzieć, co jutro przyniesie!

Słomiński był nieubłagany.

— Musi pan nam odpowiedzieć; tak lub nie. Uchwały Magistratu nie zmienimy.

Scena była molierowska. Solskiego szarpały za trzewia z jednej strony — żądza teatru, z drugiej — strach przed utratą choćby części mienia. Głowa mu się trzęsła, język drętwiał, wydawał się pół przytomny. Wreszcie wyszeptał:

— Nie...

Prez. Słomiński zwrócił się do mnie.

— A pan redaktor? Czy nie chciałby Pan objąć wszystkich trzech naszych teatrów dramatycznych?

Odrzekłem:

— Jeśli mój przyjaciel Solski swoją kandydaturę cofa, — zasadniczo godzę się na objęcie Teatrów w administrację poręczającą. Zastrzegam sobie tylko uzgodnienie poszczególnych warunków.

Wywiązała się krótka dyskusja, Słomiński, zadowolony z mej deklaracji, zapewniał o najżyczliwszym współdziałaniu władz miejskich. Solski uśmiechał się nijako. Wyszliśmy razem, Chaberski i Strzelecki szli za nami. W bramie Ratusza przystanęliśmy.

— Pragnąłbym — mówiłem, — abyście wszyscy trzej stanowili wraz ze mną nową dyrekcję. Solski byłby moim zastępcą, Chaberski — głównym reżyserem, Strzelecki — ministrem finansów.

— Wszyscy trzej w gorących słowach zapewniali, że w ogień za mną pójda.

.

Opracowanie aktu umowy trwało tydzień. Przewlekły spór wywołał punkt, narzucony przez adw. Gadomskiego, że event. podatek przemysłowy będzie mnie obciążał. Emil Breiter przestrzegał, bym się nie godził: istotnie, popełniłem nieodżałowany błąd, ustępując namowom i przełożeniom prez. Słomińskiego. Ów podatek, najniesprawiedliwszy ze wszystkich, bo pobierany nie od zysków, lecz od obrotu, stał się później dla mnie źródłem największych strapień.

Kontrakt z Miastem podpisałem w ostatnich dniach października. Teatry były od dwóch miesięcy nieczynne. Aktorzy — w rozsypce.

.

Przykrym incydentem było rozstanie się z Wincentym Drabikiem, dotychczasowym kierownikiem w Teatrach Miejskich działu dekoracyjnego i kostiumowego. Był to artysta wielkiego talentu, lecz nawykły w pracy nie liczyć się z kosztami i terminem. Sprawę komplikowała okoliczność, że Drabik, rozszedłszy się z pierwszą żoną, poślubił artystkę dramatyczną, panią Halską, której — w zgodzie z Solskim i Chaberskim — nie zamierzaliśmy angażować. Strzelecki bardzo namawiał, aby na razie zrezygnować z Drabika, a zwrócić się do Karola Frycza, artysty równie świetnego, a w robocie oszczędniejszego i punktualnego.

Zmiana systemu wymagała zmiany w ludziach.

Moim pragnieniem było posiadać i Drabika i Frycza, bo uzupełniali się wybornie. Lecz na taki wydatek budżet nie pozwalał, i spokoju — by nie było. W półtora roku potem wróciłem do tej idealnej koncepcji. Już wszystkie szczegóły kontraktu z Drabikiem uzgodniłem, gdy nagle i niespodziewanie, w ciągu 24 godzin, nastąpił jego zgon.

Teatralna wojenka.

Aktorzy, zmęczeni paromiesięczną bezczynnością i niespokojni o przyszłość, odnieśli się z początku do mej dyrekcji życzliwie. Wyobrażali sobie, że od nowicjusza łatwiej będzie wytargować korzystne warunki, łudzili się, że na mej głowie będą ciosać kołki. Nastrój zmienił się w oka mgnieniu, kiedy gruchnęła wieść, że postanowiłem zmniejszyć liczebnie zespół, i przede wszystkim — wyzbyć się notorycznych nieużytków.

Na zwołanym *ad hoc* wiecu aktorskim zapadła uchwała: wszyscy albo nikt. Gaże miały być utrzymane na ogół w dotychczasowej wysokości, protagoniści domagali się znacznych podwyżek.

Postulaty te obalały wszelkie kalkulacje. Kompromis był niemożliwy.

Gdy paru najwybitniejszym aktorom dowodziłem, że ich żądania przewyższały pensje ministrów, Mieczysław Frenkiel oświadczył:

— To zaangażuj do teatru ministrów!

Związek Artystów Scen Polskich popierał pretensje aktorów. Zaś póki konwencja nie była podpisana, żadnemu aktorowi nie wolno było zawrzeć ze mną umowy.

Trzeba było przyjąć wyzwanie i przeprowadzić walkę. Miałem za sobą Prezydium Miasta i opinię publiczną. Nie wątpiłem, że zwycięzę, lubo wprędce spostrzegłem, że na Solskiego i Chaberskiego nie podobna było liczyć. Zbyt ciasne łączyły ich węzły z aktorstwem.

Aktorzy radzili i gadali, ja ustalałem wszystkie szczegóły nowej administracji teatralnej, wypracowywałem projekt repertuaru na najbliższe miesiące dla wszystkich trzech scen. Nawiązałem bliskie stosunki z agencją Rechtlebena, która rozporządzała wielkością sztuk cudzoziemskich, zawarłem prowizoryczne umowy z artystami tej rangi, jak Maria Malicka, Kazimierz Junosza Stępowski, Juliusz Osterwa i Bogusław Samborski, którzy do dawnego zespołu Teatrów Miejskich nie należeli.

Przewagą w tej wojence, która stała się sensacją Warszawy, była okoliczność, że mogłem czekać. Po trzech tygodniach wiecowania, aktorów ogarnął niepokój. Wzmogła się tęsknota za światłami rampy i gorączką kulis, za oklaskami widowni.

Pewnego ranka u Strzeleckiego zjawili się wysłańcy ZASP z różdżką oliwną. Zaczęły się targi. Swoje zasadnicze postulaty przeprowadziłem, musiałem jednak zrobić i pewne ustępstwa. Najniebezpieczniejszym — ukazała się zgoda na kontrakty dwunastomiesięczne, które dla każdej dyrekcji teatralnej w Polsce były mieczem Damoklesa.

Na pobjawisku zostały nieużytki.

...W jednej chwili zawrzało podniecone życie na wszystkich trzech scenach, w dekoratoriach, warsztatach, kostiumerni. Aktorzy i pracownicy jednym susem przeskoczyli ze stanu beznadziejnej depresji do radosnej ochoty i zapału.

Zarząd Miasta pilił, aby teatry jak najspieszej uruchomić. Dokonałem tego w ciągu 8—10 dni, posiłkując się wznowieniami.

Rygory, które wprowadziłem w organizacji pracy, wzbudziły w personelu wiarę w powodzenie. Wczorajsi wrogowie stali się entuzjastami.

Niepodobna tylko było ich przekonać, że, obejmując dyрекcję, kierowałem się nie żądzą zysków, lecz ambicją przywrócenia Teatrom Miejskim dawnego ich blasku. Aktorzy uznają w swym zawodzie dwie świetności: powodzenie (oklaski, recenzje) i gaże. Bezinteresowność wysiłku i cele idealne rzadziej mieszczą się w ich mentalności.

Najznakomitszy aktor, jakiego znała scena polska, Alojzy Żółkowski pozostawił pamiętnik, w którym notował codziennie

najważniejsze swe przeżycia. W czymże się owe przeżycia wyrażały?

— Jaką rolę wieczorem odtwarzał i ile razy wywoływano go po każdym akcie.¹⁾

Reżyseria i reżyserowie.

W realizacji scenicznej reżyser wykonywa to samo zadanie, co w orkiestrze symfonicznej kapelmistrz.

Kapelmistrz dociera w dziele muzycznym do głębi utajonych w nim uczuć i namiętności, daje im pełnię wyrazu. Reżyser teatralny z dzieła dramatycznego tworzy na scenie życie, dobywa zeń wszystkie wartości, splata słowo, ruch i gest w organiczną, niepodzielną całość.

Aktorzy przeważnie mają skłonność do łatwizny efektów zewnętrznych, do ślizgania się po gładkiej powierzchni swych ról. Światły i doświadczony przewodnik strzeże ich od omyłności i zboczy, wskazuje kierunek właściwy.

Stanisławskij, znakomity organizator i animator teatralny, powiedział:

— Nienawidzę teatralności. Kocham w teatrze sceniczność.

Miało to znaczyć, że nie cierpiał sztuczności. Szukał prawdy, najdywał ją w szczerości i prostocie.

Wnikliwy, twórczy reżyser może dokonywać w teatrze cudów. Wyposaża odleżałe arcydzieła literatury dramatycznej w świeże blaski, wskrzesza ich wieczną młodość. W aktorach odgaduje i budzi drzemiące w nich możliwości.

Takimi czarodziejami byli Antoine w Paryżu, Kroneck i Reinhardt w Niemczech, Craig w Anglii, Stanisławskij w Moskwie.

W teatrach polskich reżyseria nie dorównywała ani twórczości dramatycznej, ani talentom aktorskim. Reżyserowie rekrutowali się niemal wyłącznie z pośród artystów. Jedni z nich — łączyli szczęśliwie talent aktorski z talentem reżyserskim (przed laty — Tatarkiewicz i Ładnowski, później — Kazimierz Kamiński, Ludwik Solski, Roman Żelazowski, Juliusz Osterwa, Zełwerowicz; zapowiadał się pomyślnie — Zbigniew Ziemiński). Inni, zawiódłszy się,

¹⁾ — Zdumiewająca rzecz, mówił Maurycy Maeterlinck do Stanisławskiego, jak mało aktorzy interesują się swoją sztuką, jej filozofią, techniką, aktorskim mistrzostwem!

jako aktorzy, a nie chcąc rozstać się z teatrem, przeobrazili się w reżyserów (Borowski, Chaberski). Józef Śliwicki tak samo pracowitym i sumiennym był w swym szablonie aktorem, jak reżyserem.

Reżyseria polska nie wykazała własnej osobowości, odrębnego stylu. Naśladowała dawniej — Francuzów, później Niemców, a w końcu Rosjan. Z pośród polskich pisarzy dramatycznych genialną intuicję inscenizacyjną posiadał Wyspiański. Gdyby był miał zdrowie i siły, mógł być stworzyć teatr prawdziwie narodowy. Wacław Grubiński sam zwykle reżyserował swe komedie. W Karolu Fryczu, świetnym malarzu-dekoratorze, tkwił materiał na wybornego reżysera. Koźmian i Pawlikowski łączyli gruntowną znajomość literatury dramatycznej z taką znajomością teatru. Natomiast niektórzy nasi autorzy uważali, iż, — napisawszy sztukę i wzięwszy zaliczkę, — spełnili swoje zadanie. Realizację sceniczną, i nawet obsadę sztuki, powierzali reżyserowi, którego im dyrekcja teatru wyznaczała.

Jak niesłuszną bywała ta obojętność, dowodzi fakt, że niezrządkiem w toku prób okazuje się potrzeba zmian i uzupełnień w tekście sztuki. Najgłośniejszym autorom francuskim zdarzało się, że po kilkunastu próbach skreślali całe akty, dopisywali nowe; zmiany w poszczególnych scenach były na porządku dziennym. Lew Tołstoj, postrzegłszy podczas prób z „Płodów Oświaty”, że jeden z aktów nie był dostatecznie związany, zwrócił się do Stanisławskiego z prośbą, by mu doradził potrzebne przeróbki. Próby zawieszono, póki Tołstoj nowego tekstu nie dostarczył.¹⁾

W istocie twórczości aktorskiej podstawowym elementem jest talent i promieniejący zeń dar sugestii. Zastępuje go, — do pewnego stopnia, — inteligencja, opanowanie techniki scenicznej, korzystne warunki zewnętrzne. Aktorki o małym talencie lub zgola talentu pozbawione, manią niekiedy publiczność i krytykę powabem młodości i urodą. Są to niewątpliwie zalety pożądane, aczkolwiek najświetniejsze artystki, jakie danym mi było podziwiać na scenie (Eleonora Duse, Sarah Bernhard, Romana Popielówna, Rejane, Judic, Graniec, Simone, Lavalliere, Eysold, Sorma, Komisarzewska) w okresie największego powodzenia nie odznaczały się zgola osobliwszą pięknoscia i dawno już pożegnały się z niewolącym wdziękiem wiosny życia.

Reżyserowi nie wystarcza zamiłowanie teatru, umiejętność naśladownicza i rutyna, zmysł organizacyjny. Nieodzowna jest

¹⁾ K. J. Stanisławskij: „Moja Żłóżka w iskuście”.

specjalna wrażliwość i wnikliwość, zdolność sięgania w głąb duszy ludzkiej, znajomość literatury dramatycznej a w stosunku do aktorów, — autorytet.

Protekcja.

Była to jedna ze zjadliwszych harpii, jakie dławili Teatry Miejskie. Lęła się w Magistracie, w Radzie Miejskiej, w każdej redakcji, w gabinetach ministrów, prezesów banków, sięgała nawet Zamku. Pani Mościcka, pierwsza małżonka prezydenta Rzeczypospolitej, przysłała do prez. Słomińskiego adiutanta z żądaniem, aby wymógł na mnie zaangażowanie dwóch artystek w równym stopniu pozbawionych talentu, jak młodości i urody. Prosiłem, aby kandydatki pofatygowwały się do kancelarii teatralnej! Każdej poświęciłem kwadrans czasu, każdą zapewniłem, że skoro zdarzy się sposobność, nie omieszkam skorzystać z jej usług. Ale sposobność nie nadarzyła się.

Wpływowy w sferach rządowych pułkownik sprowadził mi przekwitłą małżonkę, która jakoby przed laty występowała w rosyjskich teatrach kijowskich. Sposób jej mówienia przywodził na pamięć słynnego Połusztannikowa z „Muchy”. Pułkownik przysięgał, że Teatr Narodowy cenniejszego nabytku nie najdzie... Wy-mówiłem się rygorami budżetu.

Radni miejscy, jeśli ich protekcja nie odnosiła skutku, grozili burzą w Ratuszu. Dygnitarze — represjami. Recenzenci i wzmiankarze — kampanią prasową. Jeden z krytyków, mój niedawny przyjaciel, w dłuższym liście dowodził, że gaża, wyznaczona przeze mnie jego protegowanej, nie wystarczy jej na wytworną bieliznę. Odpisałem mu, że powinien sam sprawiać swej ukochanej ozdobne majtki.

Zawilsza przeprawa była z innym recenzentem. Domagał się natrętnie, abym przyjął do zespołu artystkę prowincjonalną, którą się interesował. Odrzekłem, iż lista była zamknięta. Zachnął się.

— To mi jest wszystko jedno! Albo pan ją przyjmie, albo w każdej recenzji będę pańskie teatry mieszał z błotem.

Replikowałem mu uprzejmie.

— Niechże kolega się nie krępuje. Każdy walczy taką bronią, jaka mu do smaku.

Wybiegł bez pożegnania, i odtąd rąbał każdą premierę. Na szczęście dziennik, w którym swe krytyki drukował, wydawany był nieomal konspiracyjnie: w kolportażu trudno było się z nim spotkać, bo nikt nie chciał go kupować. Skutek ofensywy był niewidoczny.

Minęło kilka miesięcy, mozoliłem się nad obsadą nowego widowiska w teatrze Letnim. Brakowało artystki do epizodu charakterystycznego. Przypomniała mi się protegowana wojowniczego recenzenta. Sprowadzono ją na próby. Traf chciał, że wkrótce potem spotkałem się z opiekunem.

— Pańska przyjaciółka otrzymała rolę.

Zdziwił się.

— Moja przyjaciółka? Która?

Wymieniłem nazwisko artystki. Wzruszył ramionami.

— Ta pani już nic mnie nie obchodzi.

Za kulisami objaśniono mi, że teatralny Sinobrody poróżnił się z dawniejszą pupilką, znalazł inną i właśnie szukał dla niej miejsca w teatrze.

Wzmiankarze byli nienasyceni. Jeden z nich, współpracownik dziennika bardzo poczytnego, usiłował narzucić teatrowi swą doletnią żonę, której dykcji przeszkadzały tak zwane kluski w ustach. Ponadto nieustannie szturmował o bezpłatne „kartki”.¹⁾ Bywały dni, że wybierał ich po kilka dziesiątków. Płacił nimi swoich dostawców...

Ukrócałem te nadużycia, ile mogłem. Przybywało mi niechętnych.

U Jerzego Szaniawskiego.

Jerzy Szaniawski należał, obok Tadeusza Rittnera, do tych wyjątkowych pisarzy dramatycznych, którzy cieszyli się względami i krytyki i publiczności. W ich utworach nurt poezji wyrażał się raczej w nastrojach, niż w akcji. W sztukach Rittnera większą rolę grał erotyzm, u Szaniawskiego — problemy etyczne.

Szaniawski mieszkał w swoim Zegrzynku nad Narwią. Jechało się tam przez Jabłonnę, trzeba było minąć Zegrze i z szosy na Se-rock skręcić w jar zalesiony. Wnet jawiła się szeroka wstęga rzeki,

¹⁾ Bilety wolnego wstępu, każdy na dwie osoby.

niosącej bez pośpiechu między niskimi brzegami swe żółtawe wody. Cichy Zegrzynek był letniskiem, w którym mniej zamożni warszawianie szukali wakacyjnego wypoczynku.

Pragnąc zapewnić Teatrowi Narodowemu nowe utwory Szaniawskiego, wybrałem się z Bolesławem Gorczyńskim samochodem do Zegrzynka. Listopadowy dzień był chłodny i bez słońca, wiatr strącał suche liście z drzew. Na pobrzeżu Narwi skupiło się kilka szpetnych domostw, przeznaczonych dla letników. Były zabarykadowane na zimę, wiały martwą pustką. Szaniawski mieszkał z matką w małym dworku, życie wiódł samotne, do niedalekiej Warszawy zaglądał na krótko. Wydawał się przywiązany do swego zaścianka, który prawdopodobnie przysparzał mu sporo kłopotów.

W towarzystwie — nawet w koleżeńskim spotkaniu, Szaniawski był nieporadny. Uśmiechał się łagodnie, od czasu do czasu bąknął sylabę i milknął. Rozmowa się rwała. Jeśli jakąś sprawą żywiej się zainteresował, nie zawsze można było dokładnie rozumieć, co chciał wyrazić. Ta niejasność wysłowienia i pewna chaotyczność myśli odzwierciadlała się w jego utworach. Emil Breiter pasował go na najwybitniejszego poetę wśród polskich autorów dramatycznych.

Ludzie utalentowani czują się w towarzystwie nieswojo, bywają wprost nudnymi mrukami. Ich umysłowość nawyka do ustawicznej obserwacji i analizy, wyobraźnia nie zna wytchnienia. Stąd roztargnienie oraz — naiwność.

Wracaliśmy z Gorczyńskim do Warszawy zadowoleni: wieźliśmy rękopis nowej sztuki Szaniawskiego „Fortepian”, którą wystawiłem zimą 1932 r. w Teatrze Narodowym. W r. 1933 wystawiłem drugą — „Most” w Teatrze Nowym.

Tragiczny koniec Kamila Mackiewicza.

W ostatnich paru latach nieco rzadziej spotykałem się z Kamilem Mackiewiczem. Wyjechał na rok do Stanów Zjednoczonych, zyskał tam, jako artysta-ilustrator, poważne uznanie. Nie mógł jednak pogodzić się z ówczesną „suchością” nowego kontynentu. Prohibicja sprawiała, że strong drinks były przywilejem bogaczy i gangsterów.

Kamil osiadł w Duniłowiczach, u hr. Józefa Tyszkiewicza, i prowadził tam samotniczy żywot kresowca. Pałac w Duniłowi-

czach był spalony, rezydencja mieściła się w dawnych czworakach. Hr. Tyszkiewicz rzadko przyjeżdżał. Mackiewicz rysował, błąkał się po kniei z fuzją, — pił.

Na kresach wschodnich wódka była pociechą powszechną. Życie kulturalne chromało. Brak komunikacji i odległości utrudniały stosunki sąsiedzkie.

Od czasu do czasu, gdy mu samotność nadto dojadła, Mackiewicz wyrывał się do Wilna lub Warszawy. Wówczas, — jak kozak siczowy w beczie dziegiu, — Kamil nurzał się w conocnych hulankach. Kiedym go molestował, by nie trwonił zdrowia i talentu, odpowiadał z bladym uśmiechem.

— Raz kozie śmierć.

Tym razem przybył do Warszawy z końcem listopada, zamieszkał w pensjonacie. Któregoś wieczora znalazł się, dobrze zawiązany, za kulisami Teatru Narodowego, kreślił dla „Świata” karykatury wybitniejszych artystów. Nagle przerwał pracę i bez pożegnania ulotnił się. Po kilku dniach wpadł do mego gabinetu przed południem. Zamknął starannie drzwi, tajemniczo i bezładnie zaczął bredzić o prześladowaniach i gwałtach, jakimi miały go nękać w pensjonacie rozpasane wiedźmy. Noc stawała się rzekomo męczarnią. Zjawy, które leżały się w zamroczonej przez delirium *tremens* wyobraźni, napominały najokrutniejsze opowieści Edgara Poe’go i Barbey d’Aurévilly.

Raptem chwycił się za głowę i wybiegł.

Zatelefonowałem do wspólnego znajomego, który z nim często birbantował. Przyobiecał natychmiast zająć się zorganizowaniem opieki.

...Nazajutrz rano zatelefonowano mi, że Mackiewicz odebrał sobie życie wystrzałem z dubeltówki. Z tej samej dubeltówki, która przez dwa dziesiątki lat służyła mu wiernie w wyprawach łowieckich.

Moje ostatnie polowanie na Kresach: na Polesiu Wołyńskim.

Zaprosił mnie na tę wyprawę dyrektor Banku Rolnego, Staniszewski. Teren był trudny, knieja na skrajach nieco sfalowana, głębsze rewiry tonęły w niedostępnych mokradłach. Mnie przypadło uroczysko wyjątkowo dzikie.

Gdym o północy zasiadł przy ognisku, przy którym czekał na mnie leśnik, wiatr wył ponuro, gałęzie trzeszczały. Od czasu do

czasu odzywały się bolesciwe wołania sowy. Na godzinę przed świtem poszedłem z mym przewodnikiem w las.

Kogutów tokowało parę, ale sfruwały w wysokie trawy, gdzie ich wabiły stęsknione kochanki. Dobrnęliśmy do rozległego trzęsawiska, usianego bajorami. Gęsta mgła opadła.

Leśnik położył rękę na mym ramieniu. Na czubie niewyrośłego chojaka, w odległości 80—100 kroków, czerniał na tle błędnego nieba olbrzymi ptak. Wydawał się zaniepokojony. Leśnik szeptał, żeby strzelać. Ja wahałem się, bo odległość była ryzykowna. Lecz nie było czasu do stracenia. Huknął strzał, echo rozniosło go ze zgrozą po uroczysskach. Z paru stron załopotały skrzydła spłoszonych kur i kogutów. Mój poderwał się, strzeliłem drugi raz, gdy już zasłoniło go igliwie gałęzi.

Leśnik nasłuchiwał w pobożnym skupieniu. Wtem oczy mu zaświeciły, odetchnął z ulgą.

Ruszył żwawo w trzęsawisko, ja za nim, ale bez wiary. Grzeźliśmy w bagnie, wpadaliśmy w wodę po pas. Dotarliśmy wreszcie do chojaka. Głuszcza ani śladu.

Leśnik namyślał się przez chwilę, brnął dalej, wodził jastrzębim wzrokiem dokoła. Nagle zatrzymał się, wskazał ręką.

— Leży!

O pięćdziesiąt kroków od nas kogut rozpląszczył się na kępie trawy, zwiesił zakrzywiony dziób w wodę.

Honor mordercy był uratowany.

Na Prypeci.

Po nocy bezsennej w wagonie natłoczonym, wylądowałem na małej stacyjce za Łunińcem; rozklekotanym wózkiem chłopskim dotarłem do Kiżangródku, większej wsi cerkiewnej. Sporo czasu ubiegło, nim odnalazłem rybaka Raszewskiego, który miał mię powieźć dalej wodą.

Długo rychtował łódkę, bo naciekło do niej tyle wody, że skopkiem trzeba było wybierać. Suchym sianem wymościł przód, iżby można było ułożyć się wygodnie.

Rzeczka Cna, wcale bystra, wiła się w skrętach wśród podmokłych ługów. Ze słońce kłoniło się już ku zachodowi, stada cherlawych krów ścigały do wsi. Gdzieś daleko kwiliła fujarka pastu-

sza, nad łódką koziółkowały z żalosnym krzykiem czajki. Minęła jedna godzina, druga, łąki spowijały się w opary, zapadał zmierzch. Zrzadka i odległe zrywały się krzyżówki, pojedynczo lub parami. W kępkach łóz wabiły się cyranki, głębokim basem stękał bąk. Żaby darły się jak opętane.

Rozciągnąłem się na dziobie „duszegubki”, nakryłem dachą. Wczesnowiosenny wieczór był chłodny. Pierwsze gwiazdy przekłuwały szarobłękitny strop nieba.

Było ciemno, jak w worku, i nawet rechot żab przestał mącić ciszę, gdy tuż przed łódką rozległ się piekielny rwetes, gwałtowny rozplusk wody. W mroku zamajaczyły olbrzymie cienie cwałujących potworów.

— Do diabła! Hipopotamy?

Raszewski objaśniał rzeczowo.

— Konie wsiowe pozrzucały pętliska i wędrują z jednej strony rzeki na drugą.

Na tych pustkowiach nawet koń staje się zwierzęciem wodnym!

Przecieliśmy szeroką wstęgę Prypeci, wypłynęliśmy na jej rozlewy. Wśród ciemnej, że oko wykol, bezksiężycowej nocy, nie dać się zbić z drogi, była to sztuka nie lada. Raszewski sunął naprzód bez wahania. Wreszcie zamigotało czerwone światełko, dziób łódki utknął w piaszczystym brzegu wysepki. Zdzisław Nirensztein, malarz i karykaturzysta, tudzież zapalony myśliwy, wrzeszczał z radości. Przed szalasem płonął ogień, w kociołku grzała się woda. Wódka, bułki, kielbasa, kartofle pieczone, herbata. Wymiana nowin, — i spać.

...Przed wschodem słońca każdy wsiadł do swej łódki, rozjechał się w przeciwne strony. Uroczysska były piękności niewysłowionej. Gaje liściastych drzew i krzewów przystroiły się w świeżą zieleń wiosenną, na wodach złociły się nenufary, suchsze miejsca tworzyły wielobarwne kobierce z kwieciami.

Oczy mimowolnie szukały ondyn...

Ondyn nie było, a kaczek mniej, niżśmy się spodziewali. Niepokoiło matowo szkliste niebo i spokój powietrza.

Do południa zabiłem kilkanaście krzyżówek, podgorzałek i cyranek. Strzelałem do wielkich gągołów, lecz daleko i bez powodzenia.

Wróciłem na obiad do szałas, bo Nirensztein, kuchmistrz doskonały, zapowiadał ucztę kulinarną. W sporym saganku, zawieszonym na tykach nad ogniskiem, warzyła się zupa ze złowionych w Prypeci ryb, z obfitą domieszką kartofli, cebuli, marchwi i ziół,

silnie woniejących. Malarz dorzucał drewnianą łyżką masła, solił, pieprzył, wachał, kosztował — i twarz mu się coraz bardziej wyciągała. Spróbowałem i ja: *bouillabaisse* czuć było błotem tak niezdolnie, że krzywili się nawet mało wybredni rybacy.

Nirensztejn zwał odpowiedzialność na ryby. Ja, by ich honor ocalić, wydostałem z torby pudełko sardynek. Nalewka poprawiła humory.

Gdyśmy się obudzili w szałasie z poobiednej drzemki, niebo było szare, lekki wiatr niósł krople deszczu. Nirensztejn utrzymywał, że to była rosa. Nałożyliśmy gumy, wsiedliśmy do łódek. Gęste mgły osiadały przedwcześnie, niebawem zaczął mżyć deszcz.

Wróciłem do szałasu przemokły do nitki. Guma nie wytrzymała. Kaczek zabiłem ledwie kilka. Kolację spożyliśmy w szałasie, przy wątlwym ogarku świecy.

Nazajutrz rano deszcz lał jak z cebra, zanosilo się na trzydniówkę. Po przyspieszonym posiłku ułożyłem się na dnie łódki, Raszewski nakrył mię sianem i popłynęliśmy z powrotem do Kiżangródka. Noc spędziłem w chałupie rybackiej na wiązce słomy, rannem pospieszyłem do stacji.

Pogoda była cudowna!...

Rządy Prystora.

Marsz. Piłsudski część zimy spędził w Egipcie. Gdy powrócił, w składzie rządu pułk. Prystora zaszły zmiany. W wyborze nowych ludzi uwidoczniła się tendencja szukania nie tyle zdolności, wiedzy i doświadczenia, co — stuprocentowej lojalności. Najważniejszą ze zmian było ustąpienie Augusta Zaleskiego, który przez 7 lat kierował polityką zagraniczną odrodzonego Państwa Polskiego. Zastąpił go pułk. Józef Beck, przyboczny adiutant marszałka, zaś w ostatnich latach — wiceminister tego resortu.

Łabędzim śpiewem Zaleskiego był pakt o nieagresji, zawarty w lipcu 1932 r. ze Związkiem Radzieckim na 10 lat. Ogłoszony został dopiero w końcu października: czekano 4 miesiące, póki nie doszedł do skutku analogiczny układ z zaprzyjaźnioną Rumunią.

Z ministerstwa Skarbu ustąpił pocziwy sędzia wileński, Jan Piłsudski. Spadek po nim przypadł prof. Władysławowi Zawadzkiemu, że także był z Wilna. Budżet ustalony przezeń wykazywał 361 mil. złotych niedoborów. Wywołał wrażenie przygnębiające. Zawadzki tłumaczył się w Sejmie kryzysem światowym i zubożeniem społeczeństwa polskiego. Poseł Niedziałkowski replikował, że na polskim morzu tej powszechnej nędzy znajdują się wyspy szczęśliwe, które nie odczuwają klęski. Wybrańcy losu korzystają na nich z wszelkiej pomyślności i dobrobytu, gdy jednocześnie reszta narodu szamoce się w bezsilnych zmaganiach.

Po tej dyskusji nastąpiło odroczenie Sejmu. Opinia publiczna wiązała fakty.

Nawet najbliżsi towarzysze broni marsz. Piłsudskiego przyznawali, że w Polsce działo się źle. Sławek, prezes Bloku Bezpartyjnego, w okólniku, skierowanym do władz stronnictwa, doradzał „odpędzać émy karierowiczowskie, które leciały do światła”. Gorzkie słowa wznieciły niezadowolenie, lecz Sławek nie uląkł się. Na zjeździe delegatów Związku Legionistów mówił:

— „Nakazywać posłuszeństwo można, o ile stosuje się terror i represje. Tego rodzaju środki prowadzą wszakże do zabicia w społeczeństwie inicjatywy, zdolności do borykania się z trudnościami, radości życia. Dyktatura zamienia społeczeństwo w popędne stado. Taki system należy odrzucić”.

Bracia Jędrzejewicze i ich zwolennicy byli zdania odmiennego.

Jak pojmował swe obowiązki szef rządu, płk. Prystor, świadczy drobny, lecz charakterystyczny epizod. Prezesem Najwyższego Trybunału Administracyjnego mianowany został wykształcony prawnik małopolski, dr. Jan Piętaś. Uroczystość jego zaprzysiężenia zaszczylił swą obecnością premier. Pierwszy raz prezydent Rady Ministrów uczestniczył w zebraniu najwyższej w kraju instancji sądowej. Przewodniczący powitał go dziękczynnym przemówieniem, płk. Prystor w odpowiedzi skinął lekko głową. Gdy skończył się akt zaprzysiężenia, podniósł się, jeszcze raz kiwnął głową i opuścił salę.

W Rzeszy.

Wewnętrzne fermenty w Niemczech stawały się coraz bardziej niepokojące. Cały obszar Rzeszy podminowany, nie było dnia bez strzelaniny i mordów. Wybory dały zwycięstwo sędziwemu marsz. Hindenburgowi.

Zaostrzyła się propaganda antypolska. Straszono opinię rzekomymi zamiarami agresji ze strony Rzeczypospolitej na Prusy Wschodnie, to znów na Gdańsk. Reakcją na te metodycznie szerzone baśnie były odwiedziny niemieckiej eskadry wojennej w Gdańsku. Senat Wolnego Miasta przyjął upragnionych przybyśców entuzjastycznie, wyprowadził na ulice tłumy. Komisarz rządu polskiego, Papée, wyjechał dyskretnie do Krakowa, lubo formalnie jemu przypadała rola gospodarza wobec gości zagranicznych.

Jak głęboko worywała się w dusze niemieckie propaganda przeciwpolska, miałem sposobność przekonać się bezpośrednio. Do Warszawy przybyli z Berlina dwaj dyrektorzy „Ufy” (Universum — Film A. G.), Meidam i v. Theobald. Hugenberg, który dawniej już opanował olbrzymie przedsiębiorstwo wydawnicze Scherla, położył w tym czasie rękę na największej europejskiej wytwórni kinematograficznej i tych panów na jej czele postawił. Obaj dyrektorzy byli ludźmi światłymi i dojrzałymi, obaj walczyli w okresie wojny świa-

towej na ziemiach polskich, dosłużyli się „z tego co boli” wyższych rang oficerskich.

Jako przewodniczący Warsz. Spółki Kinematograficznej, która była ekspozyturą „Ufy” na Polskę, zaprosiłem gości na śniadanie, — nie do restauracji, lecz do domu. Wiedziałem, że Niemcy, jak w ogóle większość cudzoziemców, cenią sobie przyjęcia w zawarcu rodzinnym.

Panowie dyrektorzy byli bardzo zadowoleni. Kuchnia polska wprowadziła ich w zachwyt. Żonę zasypali kwiatami. Nazajutrz odwiedzili mi się sutą kolacją w hotelu Europejskim. Przy kawie czarnej, koniaku i cygarach, Niemców roztkliwiły wspomnienia przeżyć wojennych, doznanych pod Łodzią, nad Bzurą i Rawką, pod Warszawą. Meidama ścisnął raptem niepohamowany żal.

— Naszą krwią — mówił ścisłym głosem — wywalczyliśmy Polsce niepodległość, a Polacy zagarnęli nam Poznańskie, Pomorze, Śląsk, Gdańsk. Teraz sięgają po Prusy Wschodnie!

Zaprzeczyłem stanowczo tym plotkom, i spytałem.

— Czy panowie mogliby z całą pewnością powiedzieć, że w celach wojennych cesarza Wilhelma mieściła się odbudowa niepodległej Polski?

Wywiązała się dyskusja. Ani ja ich przekonać nie mogłem, ani oni mnie. Powiało chłodem. Pożegnaliśmy się uprzejmie, lecz konwencjonalnie.

Wróciwszy do domu, oświadczyłem żonie.

— W najbliższym czasie trzeba będzie pożegnać się ze Spółką Kinematograficzną. Współpraca z Niemcami robi się niemożliwą.

Tak się też stało. Franciszek ks. Radziwiłł i Karol Kozłowski, którzy do Rady Spółki należeli, poszli za moim przykładem.

Przesilenie gospodarcze.

Rozpierzchły się nadzieje, oparte na przedawnionych doktrynach ekonomicznych, że po latach chudych następują z reguły lata tłuste. Po wojnie światowej przekonaliśmy się, że nie ma czasów tak złych, po których nie mogłyby następować gorsze.

Optymizm ekonomistów starej szkoły dopatrywał się w przesileniach stron dodatnich: miały oczyszczać gospodarkę z jednostek wątplych i chwastów, aby tym żyźniejszy plon zapewnić jednostkom krzepkim i zdrowym.

Na przekór tym teoriom, obecnie bankrutowały, lub poddawały się kontroli rządowej przedsiębiorstwa, prowadzone kompetentnie i uczciwie. Patrycjuszowskie firmy handlowe w Warszawie szły pod nadzór sądowy, majątki ziemskie o wysokiej kulturze rolnej — na licytację. Utrzymywały się na widowni przedsiębiorstwa wątpliwej wartości, — wymykające się powinnościom podatkowym, nie dotrzymujące umów i terminów płatności.

Sejm przestał być sprawdzianem nastrojów społeczeństwa, wyrazicielem jego życzeń. Kwiliły w nim co najwyżej żalosne utyskiwania i lamenty. Wobec kryzysu, rząd skutecznej rady nie nadywał, przyznać się do tego nie chciał. W społeczeństwie pomocy nie szukał.

W mętnej wodzie łowili ryby spryciarze bez skrupułów. Potenci finansowi najświeższej daty nie poczuli się do obowiązków wobec powszechności. Byli jemiołą, wysysającą soki żywotne z topoli. Jeden z takich nieboraków zwierzał się melancholijnie, że pieniędzy nie jest wszystkim, że na strychu jego kamienicy mieszkają ludzie znacznie szczęśliwsi, niż opływający w dostatki lokatorowie pierwszego piętra.

Młody adwokat, do którego były zwrócone te słowa, odpowiedział z uśmiechem.

— Panie prezesie, to są pogłoski, tendencyjnie szerzone przez pierwsze piętro w obawie, aby lokatorzy ze strychu nie zeszli niżej...

Wielu obywateli sprawdziło w tym czasie wartość sentencji, że bankier to dobry człowiek, stale gotowy użyczyć parasola, gdy pogoda. Ale zawsze żąda jego zwrotu, skoro zaczyna padać deszcz.

Na ulicach Warszawy mnożyło się żebractwo. Wśród tych, co wyciągali rękę po datek, spotykano inteligentów z wykształceniem uniwersyteckim.

Rząd był zmuszony obciąć urzędnikom państwowym dodatki stołeczne i budowlane, częściowo i kresowe. Redukcja sięgała 15%. W Warszawie przykre wrażenie wywołały dwa samobójstwa. Jedno — założyciela i właściciela najlepszej w kraju fabryki meblarskiej, — polskiego Maple'a. Męczył się długo, przemóc losu nie mógł, na upadek swego przedsiębiorstwa nie chciał patrzeć.... W tych samych kłopotach znalazł się ruchliwy księgarz — wydawca ze śródmieścia. Jego wydawnictwa, zazwyczaj wyższej wartości wewnętrznej, wyróżniały się artystyczną grafiką. Widział dokoła triumfy obrzydłej tandety, swoim ideałom nie chciał się przenie-wierzyć, wolał odejść... Obu zabiła wulgaryzacja życia.

Żniwa odbyły się pomyślnie, lecz urodzaj wywołał zniżkę cen. Wład. Grabski pocieszał współobywateli, że kryzys może dodatnio wpłynąć na otrzeźwienie społeczeństwa, w które na przekór prawdzie wmawiano, że Polska była krajem niezmiernie bogatym.

Na giełdzie pytano:

— Jaka jest różnica między kupcem wypłacalnym, a niewypłacalnym?

— ?

— Tydzień czasu!...

Radość budził fenomenalny rozwój Gdyni. Tam, gdzie niedawno gnieździła się uboga osada rybacka, rósł jak na drożdżach najnowocześniejszy port w Europie, tworzyła się flota polska, wojenna i handlowa. Dla Niemców gdańskich Gdynia była cierniem w niegojącej się ranie.

Za każdym jednak razem, kiedy bawiłem w Gdyni, kasał mnie niepokój. Co stanie się z tym cudem energii polskiej i zapału, jeśli potęga germańska runie na Polskę.

Mój pierwszy sezon teatralny.

Rozpocząłem go szczęśliwie dwoma sukcesami. W teatrze Letnim duże powodzenie odniosła lekka komedia angielska Ellissa p. t. „Omali nie noc poślubna”. Grana była przez Malicką i Osterwę, trzymała się na afiszu niespodziewanie długo. W teatrze Narodowym, w trzy miesiące później, chlubną sensacją stało się przedstawienie dawno w Warszawie nie granego „Don Carlosa” Schillera, w nowym przekładzie Iłłakowiczówny.

Przekład tchnął świeżością i polotem. Iłłakowiczówna, „Księżniczka Księżycowa”, należała do sekretariatu belwederskiego. Była szczerą wielbicielką marszałka, nie wydawało się jednak, ażeby tym samym entuzjazmem darzyła całe jego otoczenie. W szarych jej oczach tała się głębia, swej wartości była świadoma. O najdrobniejsze zmiany w tekście przekładu staczała heroiczne walki.

Pragnąc utrzymać całość przedstawienia na należytej wyżyźnie, zwróciłem się do referenta prasowego przy ambasadzie niemieckiej z prośbą o materiały z państwowych teatrów berlińskich. Hr. Moltke chciał porozumieć się ze mną w tej sprawie osobiście. Złożyłem wizytę. Hr. Moltke, wysokiego wzrostu, mocnej budowy, — myśliwy zawołany, — był wzorem landlorda niemieckiego.

Niezachwiane opanowanie umiał zespałać z wielkopańską swobodą. Rozmowa z nim o tyle chromała, że ambasador zawsze pragnął więcej się dowiedzieć, niż powiedzieć.

Hr. Moltke zainteresował się moim zamiarem wystawienia „Don Carlosa”. Nie dalej jak w tydzień później otrzymałem wiadomość, że nadeszły materiały teatralne z Berlina. Hr. Moltke zapraszał mnie w imieniu żony na obiad.

Pani Moltke przy mężu wydawała się drobną i wątłą. Zajmowało ją wszystko, co interesowało małżonka, który prawdopodobnie nieraz roztropną radę u niej najdywał. Była doskonałą panią domu. Przyjęcia w ambasadzie niemieckiej wyróżniały się ożywieniem, brał w nich udział polski świat naukowy, literacki i artystyczny. Recepcje urozmaicały często produkcje znakomitych artystów niemieckich. Oboje gospodarstwo byli niestrudzeni w gościnności, stoły suto zastawione, dobrych trunków co niemiara. Jednak w atmosferze wyczuwało się nieuchwytną sztuczność, hrabina Moltke wydawała się niekiedy rozdrażniona misją, którą przy boku męża spełniała.

W arcydziele romantyzmu niemieckiego, (do którego ideologii nabrałem sporo zastrzeżeń), rolę Filipa II objął Ludwik Solski, lubo wiekiem jej nie odpowiadał. Solski nie byłby jednak dopuścił, aby grał ją kto inny, i prócz Junoszy-Stępowskiego, nikt jej lepiej od Solskiego zagrać nie mógł. Markiza Pozę grał Węgrzyn, królowę — Malicka, Don Carlosa Osterwa.

Pierwsze przedstawienie odbyło się uroczyście. W loży prosceniowej zasiadł prezydent Rzeczypospolitej, w teatrze gość bardzo rzadki. W innych łóżach — ministrowie i dygnitarze. Po drugim akcie Solski wrócił do garderoby tak wyczerpany, że prawie nieprzytomny. Podpierali go koledzy, słowa nie mógł wymówić. Nadbiegł lekarz, doradzał przerwać przedstawienie. Za kulisami powstała panika, przez pół godziny trwał zamęt nie do opisania. Widownia huczała, bo międzyakt przeciągał się katastrofalnie i wiadomość, że Solski zaniemógł, przedostała się na salę.

Już byłem zdecydowany pójść za radą lekarza, gdy Solski podniósł z trudem powieki, zmierzył mętным wzrokiem tych, co otaczali jego posłanie, i zaczął niecierpliwie wołać krawca, który go ubierał. Za chwilę zmieniał przed zwierciadłem strój, lustrował go uważnie, i spiesznym, lubo chwiejnym krokiem pędził na scenę, odtrącając artystów, którzy go podtrzymywać chcieli. Zasłona się podniosła, publiczność powitała go niemilkącym oklaskiem, on

kłaniał się, bardzo wzruszony i pełen fantazji. Stał się bohaterem widowiska.

...Bezpośrednio po „Don Carlosie”, Teatr Narodowy wystawił sztukę, która w całej Europie wzniciła zaniepokojenie. Na afiszu, jako autor, figurował włoski komediopisarz Forzano, wszakże było powszechnie wiadomym, że do współautorstwa przyznawał się Mussolini. W Wiedniu „Sto dni” uzyskały gorące przyjęcie. Dyrekcja Teatru Burgu wysłała gratulacyjną depezę do dyktatora, tamtejsza ambasada włoska wyprawiła dla artystów ucztę.

W Warszawie członkowie ambasady włoskiej nie pofatygowali się nawet na przedstawienie.

Sztuka świadczyła, że Duce przejmował się silnie upadkiem Napoleona. Może dręczyły go przecucia własnego przeznaczenia?...

Mimo zaostrzającego się wciąż kryzysu, teatry zimę przebrnęły pomyślnie. Zaczęły szwankować, gdy nastały ciepłe wieczory wiosenne. Najefektowniejsze sztuki nie wytrzymały współzawodnictwa ze słowikami. Rezerwy, zgromadzone w zimie, zezwoliły jednak pokryć deficyty letnie, nowy sezon zapowiadał się dobrze. Zespół został znakomicie uzupełniony. Sztab kierowniczy wzbogacili dwaj wyśmienici reżyserowie: doświadczony Borowski i wrzący młodzieńczym entuzjazmem Zbigniew Ziemiński.

Na otwarcie sezonu jesiennego poszedł „Car Iwan Groźny” Al. Tołstoja, w świeżym, przeze mnie zamówionym przekładzie Stan. Miłaszewskiego. Junosza Stępowski, odzyskany dla teatru Narodowego, święcił sukces wspaniały.

Triumfem było wznowienie „Wesela”. W przedstawieniu wzięły udział czołowe siły aktorskie: Malicka, Pancewiczowa, Lindorówna, Solski, Junosza Stępowski, Józef Węgrzyn, Jerzy Leszczyński, Brydziński, Ziemiński. Adam Grzymała-Siedlecki pisał w „Kurierze Warszawskim”: „Może nigdy dotychczas arcytwór ten nie był przyjęty z takim wzruszeniem. To było głębokie, do dna duszy sięgające przeżycie wizji i poezji Wyspiańskiego”.

Teatr Narodowy wracał do dawnej świetności, artyści podnieśli się na duchu, rozgorzała ochota do pracy. W Ratuszu witały mię życzliwie uśmiechy i powinszowania. Prasa nie szczędziła słów uznania. Na oficjalnych przyjęciach prez. Mościcki zaszczycał mię rozmową.

Poruszał się jednak również i robak, co „lęgnie się w bujnym kwiecie”. Zawiśł

Jędrzejewicze u władzy.

Wobec wciąż pogarszającej się sytuacji gospodarczej, rząd był bezradny. Marszałek Piłsudski, dręczony chorobą, spadał z sił. Popiecznicy belwederscy, chcąc usprawiedliwić własną niemoc, przychylić złego szukali w niechętnych nastrojach społeczeństwa. W Bloku Bezpartyjnym rej wodził Janusz Jędrzejewicz, pedagog gadatliwy, któremu wydawało się, że wszystkie rozumy pojadł. Cechowała go niespokojna ruchliwość, w której dopatrywano się energii, skłonność do fanatyzmu partyjnego i zawziętość. Płk. Prystor ustąpił w pierwszych dniach maja, Janusz Jędrzejewicz, mianowany premierem, na razie zatrzymał tekę ministra W. R. i O. P. Wkrótce jednak oddał ją bratu Wacławowi. Ta nominacja nawet w obozie prorządowym wywołała konsternację.

Nasze ministerstwo Oświecenia, resort najwyższej wagi państwowej, nie miało na ogół szczęścia do swych kolejnych kierowników. Nie tyle było ośrodkiem wychowania publicznego, co raczej — naczelnym urzędem krajowego szkolnictwa. W szkołach zamęczano młodzież nauką, która szybko wietrzała z głowy, nie wszczepiano natomiast zrozumienia głębszego sensu życia, poszanowania jednostki ludzkiej, obowiązku pracy, — wszystkiego tego, co stanowi najistotniejsze wartości obywatela państwa.

Spółeczeństwo nie zostało wciągnięte do udziału w zabiegach wychowawczych. Między ministerstwem a senatami uniwersyteckimi i związkami nauczycielstwa toczyły się nieprzerwane walki. Znęcano się nad pisownią polską, opieka nad literaturą i sztuką była nikła. Poczynania ministerstwa cechował suchy biurokratyzm.

Opłakany był los nauczycielstwa szkół powszechnych. Uposażenie liche, warunki pracy ciężkie. Na wsi, między dworem a szkołą, stosunki przeważnie oziębłe.

Wacław Jędrzejewicz był prawdopodobnie jednym z najsłabszych ministrów Oświaty. Gdy odchodził, wyposażono go komi-

sariatem oddziału polskiego na paryskiej Wystawie Powszechnej. Znow znalazł sposobność wykazania swej nieporadności. Syt doznanych zawodów, zwrócił swe ambicje w kierunku najmniej oczekiwanych: b. minister Oświaty zajął się organizowaniem baletu, który miał być propagandą polskiej kultury artystycznej. Impreza pochłoneła sporo pieniędzy a pouczyła zagranicę, że Polska nie mogła współzawodniczyć z baletem rosyjskim, jaki stworzył i po całej kuli ziemskiej obwoził Diagilew. Polsce brakowało tak hojnych mecenasów, jak petersburski bankier, baron Ginsburg, kompozytorów, jak Czajkowski, Rimskij-Korsakow, Mussorgskij i Strawiński, artystów dekoratorów jak Bakst i Korowin, tancerzy, jak Pawłowa i Niżyński, reżyserów, jak Fokin.

Januszowi Jędrzejewiczowi wydawało się, że będzie mógł historyczną odegrać rolę. Autorytetu w narodzie jednak nie zdobył, jego totalistyczne zapędy trafiały w próżnię. Powszechność polska była przeciwną warcholstwu, ale nie chciała wyrzec się wolności przekonań i dążenia do prawdy, dwóch głównych, według Einsteina, podstaw kultury duchowej.

Nowemu szefowi rządu brakło taktu i miary. Zatargi w Sejmie z opozycją, mimo jej słabości, stały się burzliwe. Marsz. Piłsudski nie zdawał się żywić złudzeń. Świadczyła o tym anegdota, która w równym stopniu cieszyła przyjaciół i przeciwników premiera.

...Obaj Jędrzejewicze przez dłuższy czas dobijali się o audyencję w Belwederze. Po kilku tygodniach zabiegów, uzyskali ją wreszcie. Zaczęli rozmowę od troskliwych pytań o zdrowie. Marszałek był chmurny, nastroszył krzaczaste brwi i wąsy, wzrok jego błędził po gąszczach parku. Po dłuższej chwili wycedził:

— Czuję się dziś źle, bo w nocy trapił mnie okropny sen.

Janusz Jędrzejewicz pyta skwapliwie.

— Jaki sen, panie marszałku?

— Śniło mi się... możesz sobie wyobrazić, jak byłem przerażony...

Bracia Jędrzejewicze nasrożyli uszy.

— Śniło mi się, powtórzył marszałek, mierząc ich ponurym spojrzeniem, że jest jeszcze trzeci brat Jędrzejewicz.

Odmarszczył się i rozradowany swym dowcipem, zaczął się śmiać. Jędrzejewicze śmieli się również, lecz kwaśno...

Polsce za ich rządów nie było do śmiechu. Deficyt wynosił blisko 400 milionów, liczba bezrobotnych zwiększyła się, rynek wewnętrzny redukował zapotrzebowania. Wywozu zagranicę nie stało. Fabryki zawieszały produkcję, w miastach szerzyła się nędza.

Witold Giełżyński w „Świecie” ostrzegał, że w Polsce mnożyło się od dołu łapownictwo, — od góry — karierowiczostwo i synekury. Płace podrzędnych urzędników spadały poniżej minimum egzystencji, zmniejszała się ich odporność wobec pokus. W czołowych przedsiębiorstwach państwowych i akcyjnych roiło się od prezesów i dyrektorów, którzy miast kompetencji i sprężystości wnosili wpływy i stosunki. Honoraria uprzywilejowanych adwokatów, zwłaszcza w sprawach ze Skarbem, bywały horrendalne. Przy Bloku Bezpartyjnym wałęsały się chmary próżniaczych obiboków, gagacików i bęcwałów, każdy w nagrodę za gorliwą lojalność domagał się intratnej synekury.

Gorzka prawda, datująca z epoki Alcybiadesa: kto chce mieć użytek z lampy, musi dolewać do niej oliwy...

Kończyło się pierwsze siedmioletnie prez. Mościckiego. Nikt się do jego ponownego wyboru nie kwapił, ale i nikt się nie przeciwiał. Atmosfera była tak duszna, że za wszelką cenę chciano uniknąć jawnych walk. Prez. Mościcki tym chętniej nadal na swym posterunku pozostał, że prezes Bloku Bezpartyjnego, płk. Walery Sławek znaczne wzmożenie władzy prezydenckiej w nowej konstytucji zapowiadał.

Odbudowa niemieckiej potęgi wojennej.

Jednym z duchowych ojców niemieckiego *risorgimento* był filozof powojenny, prof. Oswald Spengler. Natchnienie czerpał z Mommsena, który obok wielkiego Rzymu widział tylko „narody do zagłady dojrzałe i przeznaczone”. Spengler opierał się w swych wywodach na założeniu, że w niepowstrzymanym rozwoju ludzkości zachodzą bezustanne zmiany i przeobrażenia, będące widocznym znakiem „logiki czasu”. Przeznaczeniem człowieka na ziemi jest urodzić się, żyć i umrzeć. Temu samemu nieubłaganemu prawu podlegają narody i ich kultury: dochodząc do pełni dojrzałości, rozpadają się.

W magistralnym swym dziele „Zmierzch Zachodu” (*Der Untergang des Abendlandes*), Spengler wieścił koniec starej kultury europejskiej, według jego mniemania, — pozbawionej tak samo sensu, jak wszystkie inne, którymi szczyciła się ludzkość. Przepowiadał, że Paryż i Londyn tak samo legną w gruzy, jak kiedyś Niniwa, Babilon i starohelleńskie Ateny.

Spengler wróżył, iż rządzić światem będą teraz Nowy Jork i Berlin.

Człowiek, według tej ideologii, jest jednym z ogniw nieskończonego łańcucha przemian, zachodzących w przyrodzie. Wszystko w niej ma swój początek i kres. Prawdy ludzkie spotyka ten sam los, jaki nawiedza wszystko inne. Biorąc spadek po Grekach, Rzymianie duszę helleńską zastąpili suchym intelektem łacińskim. Tak samo jeździli do Aten sycić oczy pięknoscią Akropolu, jak dziś Yankesi z Chicago lub Buffalo odwiedzają Rzym, by zachwycić się kaplicą Sykstyńską.

Materialistyczne wywody Spenglera przypadły do smaku dwóm piszącym generałom: Haushoferowi, który wykładał na uniwersytecie w Monachium i poglądy swoje streścił w „Geopolitik” — oraz Ludendorffowi, który doświadczenia z klęsk, poniesionych w r. 1918-m, usiłował spożytkować w książce pt. „*Der totale Krieg*”. Wbrew przestrogom uczonych statystów francuskich z końca ośmnastego stulecia, którzy twierdzili, że gwałty i okrucieństwa, praktykowane w wojnie, bardzo utrudniają pokój, gen. Ludendorff zalecał je swoim rodakom, — i znalazł w nich niezwykle pojętnych uczniów.

Czyż tak nie bywało i dawniej?

Przed paru dziesiątkami lat jeden z najkulturalniejszych uczonych niemieckich, Herman Grimm twierdził, że światem rządzą rozum, siła i pieniądze. W tym samym czasie we Francji Renan dowodził, że bodźcem tworzenia się narodów jest pamięć wspólnych osiągnięć i pragnienie nowych.

Duchowość niemiecka, sfanatyzowana żądzą odwetu i panowania nad światem, odnajdywała swe drogi nie tylko w ksenofobii: występowała z taką samą nienawiścią przeciw swoim, jeśli byli odmiennego zdania.

Bardem tych dążeń uczynił się Ewers, autor „Alraune”. Bohaterem i męczennikiem — Horst Wessel, alfons, prowokator i piosenkarz, Ange Pitou rewolucji narodowo-socjalistycznej. Goebbels wpręgał do propagandy twórczość „germańską z krwi i ducha”. Na wiecach publicznych śpiewano: „gdy krew żydowska bryźnie spod noża, będzie nam dwa razy lepiej”.

Pisarze pochodzenia semickiego, jak Tomasz, Henryk i Claus Mannowie, Bernard Kellerman, Jakub Wassermann, Einstein, Bruno Frank, Jerzy Kaiser, Havenklever, Gina Kaus, Stefan Zweig, Ludwig, — setki innych, — musieli uchodzić za granicę.

Pisarz francuski, który w tym okresie dłużej przebywał w Rzeszy, tak charakteryzował ówczesną niemiecką twórczość literacką:

„Jej augurzy stale mijali się z optyką: w otyłości dopatrywali się siły, w zawiłych ciemnościach — głębi, w gadatliwości — fantazji, w sentymentalizmie — uczucia, w narzuconej organizacji — kultury, w okrucieństwie — odwagi, i w talencie — geniuszu”.²⁾

Adolf Hitler był Niemcem austriackim. Wyrósł w niezamożnym środowisku małomieszczańskim, w młodości przecierpiał taką nędzę, że do państwowości rakuskiej nabrał odrazy. Gdy wybuchła wojna światowa, zgłosił się do wojska w Bawarii. Chciał walczyć dla Niemiec. Cztery lata spędził w okopach, dosłużył się szarży kaprala. W październiku 1918 r. uległ zatruciu: oczy paliły go, jak rozżarzone węgle. Gdy wyzdrowiał, wszystkie swe uczucia i myśli poświęcił sprawie wszechniemieckiej. Doszedł do nieodpartego przekonania, że spoistość i moc państwa wytwarza jedynie wspólnota krwi i czystość rasy. Aby nie rozpraszać sił, naród winien stanowić jedną partię.

Jak taką jedność osiągnąć?

Hitler, nieprzejednany wróg socjalizmu komunistycznego, nie żywił ufności, aby przebudowę od podwalin mogły przeprowadzić pokolenia starsze. Wierzył w impet i entuzjazm młodych, do młodych się zwracał, przy czym szukał takich, którzy zdecydowani byli urzeczywistniać swe ideały przemocą, choćby za cenę życia. W przemówieniach swych niecił wiarę w misję dziejową Niemiec, w wartość jednostki, w konieczność walki. Wołał:

— *Deutschland und Raum!*

— Niemcy i przestrzeń!

Wiece, na których Hitler uczył się żywym słowem porywać tłumy, ściągały rzesze coraz gromadniejsze. Do szeregów nowej partii garnęli się niezadowoleni, a było ich bez miary. W Niemczech bowiem działo się źle. Rządy umiarkowanych socjalistów nie potrafiły opanować katastrofalnej sytuacji politycznej i gospodarczej. Mnożyły się bez liku strajki, niepokoiły rewolty wojskowe („Czarna Reichswehra”). Rudolf Hess i Roehm organizowali partyjne „Oddziały Szturmowe”, które miały stać się armią ochotniczą partii narodowo-socjalistycznej.

²⁾ Marc Henry: „*Au pays des Maitres Chanteurs, Paris*”.

Wówczas zbliżył się do Hitlera Ludendorff, upatrując w nim przywódcę ludu.

Młodszych *exaltados* parła chęć czynu. Marzyli o „marszu na Berlin”. Lecz Monachium wydało im się łatwiejsze. Ludendorff dał się wciągnąć do spisku. Przedwczesny zamach nie powiódł się, rząd bawarski w krwawej rozprawie stłumił bunt. Hitler skazany został na 7 lat więzienia. Najbliżsi towarzysze, — Goering, Goebbels, Roehm, — rozproszyli się po świecie. Ludendorff, któremu roiły się wawrzyny Wallensteina, zakopał się w swej posiadłości wiejskiej. Zajął się hodowlą róż.

Zwycięstwo socjalistycznych umiarkowców, paktujących z generalizacją, na razie przywróciło kredyt zagraniczny. Banki amerykańskie, a nawet angielskie i francuskie, jeły sypać złoto na odbudowę przemysłu niemieckiego. Po śmierci Eberta (1925 r.) prezydentem Republiki Niemieckiej zostaje marsz. Hindenburg. Liczy wtedy 76 lat. Sztab główny, który go wysunął, zyskuje na wpływach. Reorganizację armii podejmuje gen. von Seeckt. Mimo obostrzeń traktatu wersalskiego, dokłada starań, by szczupła liczebnie Reichswehra mogła zamienić się każdej chwili w kadry wielkiej armii narodowej, — i ażeby wojsko nie uroniło nic z dawnych, chlubnych tradycji.

Po 13 miesiącach i 7 dniach zamknięcia, Hitler został ułaskawiony. W twierdzy czasu nie zmarnował. Pracował nad sobą, umacniał się w swych ideach i planach. Wierni adherenci witają powracającego wodza z zapalem, on rozpoczyna od nowa zabiegi organizacyjne, żmudne i długie. Już nie da się skusić niecierpliwemu pośpiechowi. Mimo, że Roehm go zawiódł, sprowadza go aż z Boliwii, powierza mu „Oddziały Szturmowe”. Hitler, jeśli kogoś potrzebuje, zapomina o urazach. Gdy mu ktoś przeszkadza, jest nieubłagany.

Himmler obejmuje „plutony ochronne”. Zaczatek Gestapo (*Geheime Staatspolizei*) dostał się w ręce właściwe!...

Partia narodowo socjalistyczna i popularność jej nieustrudzonego wodza rosły w oczach.

Przekonał się o tym marsz. Hindenburg, gdy w r. 1932-m skończyło się jego pierwsze siedmioletnie. Sfery wojskowe, ze Sztabem Głównym na czele, dochowały mu wierności: on właśnie reprezentował ich umiłowane tradycje. Plebiscyt przyniósł mu zwycięstwo. Zyskał 19.359.633 głosy. Ale drugie miejsce zajął już Adolf Hitler, kapral austriacki, który zdobył głosów 13.418.051.

Na czele rządu stał wówczas v. Papen. Zdawał sobie sprawę z przeobrażeń, jakie dokonywały się w psychice niemieckiej. Na-

ród był do cna wyczerpany wojną, zamieszkami wewnętrznymi, upadkiem gospodarczym. Naród chciał spokoju i ładu. Hitler ów spokój i ład przyrzekał.

Pappen usiłował wciągnąć socjalizm narodowy w orbitę utrwalonego życia państwowego.

Daremne zalecanki. Hitler nie będzie dzielił się z nikim władzą. Dla Hitlera Pappen i jego rząd, to dzień wczorajszy. On, Hitler, będzie Niemiec dniem jutrzejszym.

W Sejmie Rzeszy partia narodowo-socjalistyczna staje się czynnikiem decydującym. Obradom przewodniczył Goering. Pappen wpada w matnię jego zręcznych manewrów. W listopadzie 1932 r. zmuszony jest ustąpić. Miejsce jego zajmuje na krótko gen. v. Schleicher.

W Rzeszy chaos rozpaczliwy. Liczba bezrobotnych przewyższa 6 milionów. Deficyt budżetowy lat powojennych sięga 7 miliardów marek. Produkcję przemysłową zakłócają ustawiczne strajki. Bankructwa mnożą się zastraszająco. Od r. 1919-go do r. 1933-go statystyki urzędowe notują 224.900 samobójstw. Rewolty wojskowe, działalność komunistów, scysje między policją a wojskiem...

Kto podejmuje ratunek?

Erzberger, Rathenau zawiedli. Już tylko jedno nazwisko na ustach.

Hitler.

Hitler, człowiek mocny, Nietscheański nadczłowiek, który wie, czego chce. Marszałek Hindenburg zwraca się do kaprała austriackiego. W dniu 30 stycznia 1933 r. Hitler tworzy gabinet, obejmuje kanclerstwo. Lud berliński szaleje. Na wszystkich ulicach brzmi „*Deutschland über Alles*“ i „*Horst Wessel Lied*“.

I dalszy opór daremny. Hitler wygrał „Swą Walkę“. Niemcy znalazły wodza, który je wywiedzie z chaosu. Skończyło się „bezhołowie“ 37-u partii politycznych. Roehm prowadzi „koszule brązowe“ do boju. Masowe rewizje, aresztowania. Zapelnily się więzienia i obozy koncentracyjne. Hindenburg podpisuje srogi dekret „O ochronie ludności i państwa“. W ponownych wyborach do parlamentu narodowi-socjaliści święcą tryumfy. Otwarcie sesji staje się znamienną uroczystością. Uczestniczą w niej osobiście Hindenburg, Hitler i Kronprinz.

Hitler głosi:

— Już nie państwo kieruje nami. Teraz my kierujemy państwem.

— Będziemy decydować o losach narodu. Tak. Ale będziemy wyrazicielami woli narodu.

Takim trybem Hitler począł budować swój nowy, twardy porządek, oparty na nienawiści do wrogów istotnych i urojonych.

Umiejętnie prowadzona propaganda judziła szersze warstwy niemieckie przeciw Polsce. Sprawa Korytarza Pomorskiego i Gdańska nie schodziła z porządku dziennego. Gorliwcy domagali się Knesebeckowskich „sprostowań granicznych“. Obejmowały one Kalisz, Częstochowę, Łódź, Kutno, Płock, Mławę, Ciechanów!...

Stosunki niemiecko-polskie wciąż były napięte. Zatarg o liczebność garnizonu polskiego na Westerplatte zlikwidował mocnym uderzeniem pięścią w stół marsz. Piłsudski. Minister Beck w wywiadzie, udzielonym tygodnikowi „*Sunday Express*“, widział się zniewolony oświadczyć:

— Nasz stosunek do Niemiec i ich spraw będzie dokładnie taki sam, jak stosunek Niemiec do Polski.

Niemcy wszakże nie były jeszcze przygotowane do agresji. W maju 1933 r. Kanclerz Hitler zaprosił do siebie naszego posła w Berlinie, Alfreda Wysockiego, i oznajmił mu, że niczego bardziej nie pragnie, jak oprzeć współżycie między dwoma sąsiadującymi państwami na ścisłym przestrzeganiu traktatów i na rozwiązywaniu wzajemnych zagadnień — bez namietności. Takie same zapewnienia zostały wymienione w Warszawie między ministrem Beckiem a hr. Moltkem.

Alfred Wysocki uznał, że swoje zrobił i przeniósł się do Rzymu, by zaznać zasłużonego spokoju. W stolicy Rzeszy miejsce jego zajął Lipski. W listopadzie 1933 r. uzgodnił z Kanclerzem Hitlerem dwa nowe, ważne punkty:

- a) Celem rozpatrzenia spraw, dotyczących stosunku między Niemcami a Polską, rządy niemiecki i polski przystąpią niezwłocznie do układów bezpośrednich.
- b) Dla umocnienia pokoju w Europie, oba rządy rezygnują w stosunkach wzajemnych z użycia siły.

W tymże samym czasie jednak narodowi socjaliści niemieccy w Gdańsku owładnęli Senatem i zarządem Wolnego Miasta. Hasło „*Zurück zum Reich*“. (Z powrotem do Rzeszy) było głoszone publicznie.

Akademia literatury.

W zamian za 50 katedr, skasowanych w uniwersytetach i wyższych uczelniach, Janusz Jędrzejewicz, — by udobruchać wzburzoną opinię publiczną — powołał do życia „Akademię Literatury”.

Wyrażenie: „powołał do życia” było kwiatem stylistycznym. Noworodek — niedonoszony —, przyszedł na świat obciążony złośliwą anemią.

Pisarstwo polskie domagało się Akademii, wyposażonej w autorytet moralny i w środki materialne, warujące jej niezależność.

Stefan Żeromski ujmował zadania Akademii w dwóch punktach:

1. Troska o czystość i piękność języka, doświadczonego tak ciężką nawałą prześladowań.
2. Szerzenie kultury literackiej w szerszych warstwach inteligencji.

Jakimi drogami Akademia mogła zdobyć znaczenie w społeczeństwie?

W pierwszym rządzie — przez trafny, wolny od wszelkich nacisków zewnętrznych, dobór członków, uwzględniający nie tylko talenty i zasługi, — ale także — równowagę duchową i czystość życia osobistego. Że gdzieindziej klauzulom tym przypisywano należną wagę, świadczył fakt, iż do Akademii Francuskiej nie weszli Moliere, Beaumarchais, J. J. Rousseau, Stendhal, Balzac, Flaubert, Zola, Alf. Daudet, Beaudelaire, Verlaine i tylu innych. Sława ich przez to nie ucierpiała, Akademia Mazarin'a i Richelieu'go pozostała wierna swoim tradycjom.

Akademia Literatury, obmyślona przez Jędrzejewicza i jego akolitów, została zdana na łaskę i niełaskę rządu, który miał łożyć na jej utrzymanie. Stanowiła nagrodę dla pisarzy uległych, miała miękczyć i jednać opornych.

Pierwszych siedmiu członków, zaproponowanych przez szefa rządu, powołał dekret Prezydenta Rzeczypospolitej. Byli to: Juliusz Kaden Bandrowski, Wacław Berent, Piotr Choynowski, Zofia Nałkowska, Zenon Przesmycki, Wacław Sieroszewski, Leopold Staff. Ów pierwszy zespół dobrał dalszych ośmiu członków: Karola Irzykowskiego, prof. Juliusza Kleinera, Bolesława Leśmiana, Wincetego Rzymowskiego, Jerzego Szaniawskiego, prof. Tadeusza Zielińskiego, Karola Huberta Rostworowskiego i Tadeusza Boya Żeleńskiego.

Każdy wybór podlegał zatwierdzeniu Prezyd. Rzeczypospolitej.

Przewodnictwo było z góry ukartowane. Prezesem został Wacław Sieroszewski, sekretarzem generalnym — Kaden Bandrowski. Hubert Rostworowski, przejrawszy intencje założycieli, wprędce zgłosił rezygnację. Jego fotel odziedziczył wypróbowany w lojalności — Ferdynand Goetel. Gdy zaś Choynowski i Leśmian zmarli, a Rzymowski zmuszony był Akademię opuścić, na ich miejsce weszli Kornel Makuszyński, Jan Lorentowicz i Kazimierz Wierzyński.

Akademia całkowicie uzależniona od rządu, nie mogła stać się strażnicą wolnej myśli twórczej, kultury i wzniosłości duchowej, — ekspozyturą procesów rozwojowych, dokonujących się w piśmiennictwie narodowym.

Zawód był tym przykrejszy, że, jak pisał Jan Skotnicki, Polska przechodziła nie tylko kryzys gospodarczy, lecz i kulturalny. Publiczność zubożała dla książek, sztuki i teatrów. Skotnicki nie składał wyłącznej winy na społeczeństwo. Utrzymywał, że marlarstwo nasze stało się beztreściwe, że pisarze rozmyślnie zaciemniali swe utwory, by wydawały się głębszymi, i że w teatrach rzedły talenty aktorskie.

Techniczna doskonałość zwycięża swój czas, jeśli służy ideom, które nurtują powszechność. Techniczna doskonałość, jako cel sam w sobie, jest pustym słowem.

Administracja teatrów miejskich. Nieoczekiwana propozycja.

Katastrofalny brak gotówki i zubożenie ogólne wpływały ujemnie na frekwencję w teatrach. Publiczność pragnęła uczęszczać na widowiska, lecz brakło jej na to środków.

Obniżyłem znacznie ceny biletów. Nie pomogło.

W miesiącach zimowych mimo to wiązałem koniec z końcem. Gaże i wszelkie należności były wypłacane w terminie. Punktualność dawała pochoch do podejrzeń, że administracja gromadziła zyski. Doświadczeni dyrektorzy przyzwyczaili personel teatralny do biadań i skarg na złe czasy.

Jasnym się stawało, że rezerw na kanikułę letnią nie uciulamy. Gdym się zwierzał w Ratuszu z moich niepokojów, prez. Słomiński dawał do zrozumienia, że Zarząd Miasta nie opuści mię w opresji. Na mojej dyrekcji, w stosunku do dawnych niedoborów, Magistrat oszczędzał około miliona złotych rocznie.

W tym samym czasie Operze groziło zamknięcie, teatrom Szyfmana — upadłość. W kołach, zaprzyjaźnionych z braćmi Jędrzejewiczami, poczęto zastanawiać się, czy nie byłaby to pora do zawładnięcia całym życiem teatralnym stolicy. Wciągnięto do tej akcji wiceministra spraw wewnętrznych, Włodzimierza Korsaka, którego resort obejmował gospodarkę komunalną wszystkich miast Rzeczypospolitej; jego małżonce uśmiechała się rola Egerii i salon literacko-artystyczny...

Gorliwie owym zamierzeniom współdziałający byli: Juliusz Kaden-Bandrowski, który szukał dla siebie trwalszego zabezpieczenia finansowego, i Władysław Zawistowski. Ten, choć dochrapał się już rangi naczelnika Wydziału Sztuki w Ministerstwie W. R. i O. P., nie mógł przeboleć swoich niepowodzeń teatralnych. Chciał się odegrać.

Prezydium Miasta było tym planom niechętnie. Nie pragnęło spółki z Szyfmanem, nie żywiło zaufania do talentów administracyjnych Kadena i Zawistowskiego. Ale musiało liczyć się z Korską. Tym więcej, że prez. Słomiński wciąż łudził się jeszcze nadzieją, że zdoła utrzymać się na swym stanowisku.

...Pewnego dnia, w marcu 1933 r. min. Korsak odwiedził mnie niespodziewanie w kancelarii teatralnej. Był bardzo uprzejmy, prawił komplementy. Wyszliśmy z dyrekcji razem, odwiózł mnie piękną limuzyną, a przy pożegnaniu oświadczył.

— Pragnąłbym pomówić z panem o zagadnieniach teatralnych obszerniej...

Konferencja odbyła się w parę dni później w ministerstwie. Korsak orientował się szybko, argumentował wprawnie. Problem teatralny w Warszawie wydawał mu się skomplikowanym, naprawę widział w organizacyjnym uzgodnieniu wysiłków. Dowodził, że połączenie wszystkich poważniejszych scen w jeden wielki kompleks, pozwoliłoby opanować nadmierne pretensje aktorów i pracowników, umożliwiłoby zróżniczkowanie repertuarów, sprowadziłoby redukcję wydatków. Nie zaprzeczałem, że były to zyski. Przeważały jednak straty: takie rozwiązanie kładło kamień węgielny pod monopol teatralny, usuwało współzawodnictwo, które, — jeśli przestrzega zasad statecznej lojalności, — staje się najskuteczniejszym czynnikiem postępu i rozwoju.

Dyskusja miała charakter raczej akademicki. Korsak był z niej widocznie zadowolony, bo wkrótce prez. Słomiński zawiadomił mnie, że na życzenie wiceministra odbędzie się w apartamentach repre-

zentacyjnych Teatru Wielkiego narada, w której wezmą udział prócz inicjatora, Kaden-Bandrowski i Szyfman, zaś ze strony Zarządu Miasta — on i wiceprezydent Borzęcki, oraz ja, jako dyrektor Miejskich Teatrów Dramatycznych.

Spytałem:

— Jak pan prezydent odnosi się do zamysłów p. Korsaka? Słomiński był szczery.

— Wolałbym mieć w dalszym ciągu tylko z panem do czynienia, odpowiedział. Ale nie chcę wywierać nacisku na pańską decyzję. Odmowa mogłaby narazić pana na represje. Zarząd Miasta żywi do pana zaufanie i zgodzi się z tym, co pan postanowi.

W tych oględnych słowach kryła się myśl przejrzysta. Słomiński był projektowi Korsaka stanowczo przeciwny, lecz nie mógł mu się jawnie opierać.

Przed konferencją spotkałem się z Szyfmanem.

— Z tobą mógłbym współpracować, mówiłem mu, bo ty znasz się na gospodarce teatralnej, a co dwie głowy, to nie jedna. Łączył się z Kadenem Bandrowskim i z Zawistowskim nie chcę; byłiby piątym kołem u wozu i spławiliby mnie przy pierwszej intrydze. Mamyż do tego przykładać rękę?

Szyfman dyplomatyzował. Na wszystko gotów był pójść, byle się od bankructwa uchylić.

Naradę w apartamentach reprezentacyjnych zagaił Korsak, referując w ogólnych zarysach projekt spółki, któraby przejęła i zjednoczyła teatry Miejskie i Szyfmanowskie. W zakończeniu zwrócił się do mnie z pytaniem, czy za zgodą Zarządu Miasta przystąpiłbym z moim kontraktem do takiej spółki?

Odpowiedziałem, że trudno byłoby mi powziąć decyzję przed dokładniejszym rozważeniem szczegółów projektu. Prosiłem o wyjaśnienie, jaki był przewidywany kapitał przyszłej spółki i kto miał go dostarczyć.

Na to dość mętnie jął tłumaczyć Kaden, że właściwy kapitał spółki stanowiłyby kontrakty Szyfmana i mój z właścicielami gmachów i urządzeń teatralnych, tj. — z Miastem i z akcjonariuszami Teatru Polskiego (Tow. Budowy Teatrów). Stosunki i wpływy, jakimi rozporządzali projektodawcy, pozwalały jakoby liczyć na znaczniejsze zasilki ze strony poszczególnych ministerstw i banków państwowych.

Kapitał zakładowy spółki miał tedy opierać się na nadziejach dalszych subwencji. Taka podstawa finansowa wydała mi się kru-

chę. Cały projekt miał wyraźne cechy kartelu uprzywilejowanego. Grzebał swobodny rozwój życia teatralnego, zwiększał koszty eksploatacji (nowe synekury i zwiększenie administracji), uzależniał dyrektorów od kaprysów i humorów dygnitarzy, którzy mieli z funduszków publicznych łożyć na pokrycie deficytów.

Proponowałem, by Kaden wziął na siebie prowadzenie Opery. Nie chciał.

Słomiński i Borzęcki nie brali udziału w dyskusji. Szyfman przemawiał za projektem, lubo bez przekonania.

Wyłuszczone przezemnie wątpliwości i odmowa przystąpienia do zamierzonej spółki ubodły Korsaka, wzburzyły Kadena. Trudno było rozeznąć się, czy chłód, który mi odtąd okazywali, wywodził się z obrażonej dumy, czy z zadraśniętego sumienia.

Za to nazajutrz w Prezydium Miasta doznałem bardzo serdecznego przyjęcia. Wiceprezydent, Tadeusz Szpotański mówił:

— Aby osłonić Krzywoszewskiego od dalszych ataków, powinniśmy niezwłocznie przedłużyć z nim kontrakt na trzy lata.

Słomiński godził się w zasadzie, lecz by nadto nie rozdrażniać Korsaka, radził odczekać do jesieni.

O konferencjach w apartamentach reprezentacyjnych przedostały się za kulisy wieści głuche i niedokładne. Aktorzy i pracownicy na ogół byli przeciwni fuzji z teatrami Szyfmana. Zmyślniejsi jednak już pismo nosem wietrzyli.

Walka o lato.

Przewidując, że podczas kanikuły nie zdołam związać dochodów z wydatkami, w kwietniu zaproponowałem aktorom i pracownikom skromne na okres letni ustępstwa, ustosunkowane procentowo do ewentualnego deficytu. Tłumaczyłem, że jeden człowiek nie mógł udźwignąć całego ciężaru, że katastrofalny kryzys stanowił siłę wyższą, elementarną, — przekreślał możliwości dotrzymywania zobowiązań, że wszyscy musieli uczestniczyć w ratowaniu swoich warsztatów pracy.

Pracownicy zgodzili się od razu. Aktorzy odmówili.

— Kontrakty są święte.

Każde czasy mają swoje świętości, i wszelkie świętości mają swoich wyznawców. Apele do rozsądku były miotaniem grochu na ścianę, liczenie na wdzięczność — gonitwą za ptakiem po wietrze.

Słomiński i Borzęcki radzili, by ustąpić. Z ciężkim sercem zawarłem ugodę, obciążającą sezon następny. Niedopłaty letnie miały być aktorom wyrównane w kilku ratach. Ostatnia z nich przypadała w czerwcu 1934 r. Najnieustępliwszymi okazali się najwyżej płatni.

Lato było skwarne. Publiczność po spiecu dziennej szukała wytchnienia w ogrodach i za miastem. Parę sztuk zawiodło, i to takich, które poczytywaliśmy za niewątpliwe szlagiery („Obiad o 8-ej”).

Tym staranniej przygotowywałem się do sezonu jesienno. Lecz moi przeciwnicy nie zasypywali gruszek w popiele.

Podatkowa ekspedycja karna.

Teatry Miejskie były dotychczas wolne od podatku przemysłowego (obrotowego). Nagle z jasnego nieba piorun: otrzymałem wezwanie do niezwłocznego uiszczenia tego podatku za cały czas mojej administracji poręczającej tj. za dwa lata. Nakazy płatnicze były zawrotne, natarczywość egzekucyjna — gwałtowna.

Protesty w Urzędach Skarbowych nie odnosiły skutku. Zwróciłem się do ministerstwa Skarbu. Dyrektorem departamentu podatkowego był Koszko, urzędnik doświadczony, człowiek rozsądny. Według jego opinii, podatek przemysłowy nie powinien być obciążać instytucji kulturalnych o charakterze użyteczności publicznej. Tą zasadą kierowała się carska Rosja, habsburska Austria. Przyobiecał mi, że przedstawi w tym duchu wniosek ministrowi.

Radził wszakże, bym starał się dotrzeć sam do ministra Zawadzkiego.

Prosiłem o audiencję. Zawadzkiego spotykałem u Janickich i Wieniawskich, grywałem z nim w bridge'a. Jako prezes zarządu Związku Wydawców parokrotnie odbywałem z nim konferencje. Tym razem odesłał mnie do Stefana Starzyńskiego, który, jako wiceminister Skarbu, zajmował się specjalnie podatkami.

Częściej spotykałem się z jego starszym bratem, Romanem, dyrektorem Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Trzeci brat, Mieczysław, późniejszy redaktor „Gazety Polskiej”, przebywał wówczas we Lwowie.

Stefan Starzyński z trójki braterskiej był najzdolniejszy. Legiony wyrobiły w nim służbistość, umysł posiadał żywotny, odznaczał się niezwykłą pracowitością. Jak hartowną była jego wola, dowiódł we wrześniu 1939 r., kiedy w oblężonej Warszawie sprawował obowiązki prezydenta miasta i komisarza rządu. Tylu mocnych ludzi wówczas się załamało, on wytrwał na najtrudniejszym stanowisku, stał się bohaterem i męczennikiem.

Moją sprawą zainteresował się, wypytywał o szczegóły administracji teatralnej. Rozmowa trwała blisko dwie godziny, lecz gdy zdawało mi się, że go ostatecznie przekonał, nagle ochłódł i oświadczył, że decyzja Izby Skarbowej nie może być cofnięta, on może jedynie dołożyć starań, aby zastosowano cokolwiek niższą stawkę podatku.

Powróciłem do Koszki. Stary urzędnik uśmiechał się melancholijnie, i w końcu, zakławszy mię, bym tego za jego życia nikomu nie powtórzył, wyjaśnił tajemnicę nieustępliwości władz podatkowych. Inspirowana była z góry.

Jak odbywały się owe sugestie?

Narzucając Miejskim Teatrom Dramatycznym haracz od obrotu, władze skarbowe, ze względów przyzwoitości, obarczyły nim i Zrzeszenie Opery, które miało kontrakt z Miastem analogiczny z moim. Śpiewacy podnieśli gwałt. Wtedy z ramienia Janusza Jędrzejewicza, jako ministra W. R. i O. P., do Koszki zatelefonował Wład. Zawistowski, prosząc, by Zrzeszenie Opery zostało od podatku przemysłowego zwolnione. Koszko chętnie się zgodził i dodał.

— W takim razie tę samą ulgę zastosujemy i do Miejskich Teatrów Dramatycznych.

Na to Zawistowski miał odpowiedzieć sucho.

— Pan minister w stosunku do Teatrów Dramatycznych Miejskich nie wyraził żadnych życzeń.

Koszko zrozumiał dyrektywę. Trudno mu było samorzutnie się jej przeciwstawiać.

Syn mój, jako radca prawny Teatrów Dramatycznych, wniósł rekurs do Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Był pewny wygranej, ale czekaj tatka latka. Godny ten areopag badał i rozpatrywał każdą sprawę z przykładną sumiennością i rzeczoznawstwem, — atoli, zawałony pracą, — posuwał się w swych orzeczeniach noga za nogą, gdy życie pędziło cwałem. Sprawy w Trybunale ciągnęły się dwa i trzy lata. Przez ten czas egzekutorzy skarbowi mogli zedrzeć skórę z Rotszylda.

...Jesienią 1933 r. prez. Słomiński i wiceprezydent Borzęcki pojechali ze mną na polowanie do Boglewic, do moich przyjaciół Edw. Bersonów. Wieczorem, pod koniec obiadu, dziękując gospodarstwu za gościnne przyjęcie, Słomiński zwrócił kilka słów do mnie, jako że tego dnia najwięcej miałem zajęty i kuropatw na rozkładzie. Podniósł w swym przemówieniu moją działalność w Teatrach Miejskich.

— To też oceniając należycie wyniki pracy pana Krzywoszewskiego, — mówił, — prezydium Miasta postanowiło w najbliższym czasie przedłużyć z nim umowę na dalsze trzy lata.

Zebrani przy stole, myśliwi i goście, przepieczętowali oklaskami oświadczenie prezydenta m. Warszawy

Rozstanie ze „Światem“.

Coraz trudniej było mi pogodzić pracę w Teatrach z kłopotami w redakcji, nie starczyło siły i czasu. Warunki wydawnicze stawały się w dobie kryzysowej uciążliwe, „Świat“ przeszedł swój okres młodzieńczego rozpędu i pomyślności. Dawny zespół współpracowników rozproszył się na tamtym i tym świecie. Udoskonalone maszyny drukarskie udostępniły ilustracje aktualne pismom codziennym, prasa tygodniowa różniczkowała się, czasopisma o zainteresowaniach wszechstronnych traciły grunt. Ażeby „Świat“ odrodzić, należało pójść z duchem czasu, nakład trzeba było podwyższyć przez znaczną obniżkę ceny, dać bardziej nowoczesną szatę graficzną, skupić świeże talenty pisarskie. Na przeprowadzenie zmian potrzebne były znaczniejsze środki.

A ja własnych miałem niewiele. Dokoła — wszystkich kryzysowe nękały frasunki, każdy się ścisnął. Większymi środkami rozporządzała tylko grupa belwederska. Czerpała je z funduszków dyspozycyjnych poszczególnych ministerstw, z przedsiębiorstw i banków państwowych. Pomoc zyskiwał ten, kto szedł na usługi bez zastrzeżeń.

Wolałem wyrzec się „Świata“, niż niezależności.

I wreszcie, co tu ukrywać — teatr chwycił mię za trzewia. Kto się raz da porwać tej bestji, jak ja, z bebechami, — nie ma dlań odwrotu. Teatr staje się namiętnością, która rzuca na szalę wysilek mózgu, zdrowie, pracę i majątek. Teatr nadaje żyjący kształt tworom fantazji poetów, ich uczuciom i myślom, radości

życia i głębi jego tęsknot, smutków i cierpień. W szatańskim kotle teatru kłębi się wzniosłość i pospolitość, idee i konflikty wieczne, obok takich, które jednego dnia niezdolne są przetrwać. A dla tego, co teatrem kieruje, — nieustająca walka o powodzenie, zmaganie się z publicznością i z krytyką, z autorami i z aktorami, nawet — z pogodą! Hazard cowieczorny, łudzący wciąż nadzieją wygranej, drażniący nerwy, przenikający do szpiku kości.

Wierzyłem upornie, — jak każdy dyrektor teatru — że po przypadkowych, nieuniknionych potknięciach, powodzenie musi dopisać. Ufałem obietnicom władz miejskich, ich niezachwianej życzliwości.

Nie słuchałem przyjacielskich ostrzeżeń Kauzika, poświęciłem „Świat”. Przekazałem go Leonowi Chrzanowskiemu. Była to jedna z cięższych pomyłek, jakie w życiu popełniłem.

W Niemczech — Hitler Wodzem.

Przewrót, dokonywany się w Rzeszy, budził niepokój na całym kontynencie. Najgroźniejszym stawał się dla Polski.

Hitler umacniał swą władzę terrorem.

Niezachwianej wierności Hitlerowi dotrzyмали Goering, Rudolf Hess, Himmler. Zamach na Himmlera chybił.

Zamach stanu w Berlinie Hitler powierzył Goeringowi. Sam 30 czerwca 1934 r. trzymotorowym Junkersem o czwartej z rana wylądował w Oberwiesefeld pod Monachium. Główni przeciwnicy zostali już aresztowani przez usłużnego Wagnera, bawarskiego ministra spraw wewnętrznych. Rozstrzelano ich. O godz. 6-ej z rana Hitler ze swą drużyną zjawia się w hotelu Haussbauera w Wiessee pod Monachium. Tam przebywa Roehm. Hitler wkracza do jego pokoju, zamyka drzwi. Między dwoma niemieckimi „nadludźmi” ostateczna rozgrywka.

Hitler wyszedł, Roehm uwięziony. W parę godzin później w celi więziennej znajdują go bez życia.

W porze południowej już w Monachium „panował porządek”.

Hitler wrócił do Berlina o 6-ej po południu. W stolicy Goering spełnił powierzone mu zadanie. Wszyscy główni spiskowcy wymordowani. Schleicher w swej willi. Ofiarą padła również jego żona, że usiłowała zasłonić męża. V. Papen internowany pod strażą w mieszkaniu.

Do późnej nocy bezustanne salwy karabinowe płoszyły sen załękniętym berlińczykom.

Wyjaśniając genezę i rozwój spisku, Hitler w Sejmie Rzeszy usprawiedliwiał się, że koniecznym było działać błyskawicznie. Tylko bezlitosna i krwawa represja mogła zdusić rokosz w zarodku.

— Lepiej było zgładzić stu czy więcej zdrajców, niż dopuścić, aby zginęło dziesięć tysięcy zbałamuconych szturmowców, a może drugie tyle — cywilów."

Sędziwy marszałek Hindenburg bawił w swym Neudeck. Stamtąd przysłał kanclerzowi telegraficzne gratulacje. Był to jego ostatni akt polityczny.

W parę tygodni później z Neudeck nadbiegła wieść o zgonie marszałka. Powstał nowy problem: kto go zastąpi? Krążyła pogłoska, że wróca do tronu Hohenzollerni.

Wątpliwości i nadzieje przecięła uchwała rady ministrów. Władza prezydenta została przelana na „wodza” i kanclerza.

Adolf Hitler stał się niepodzielnym dyktatorem Rzeszy.

Generalicja aprobowала to postanowienie. Blomberg, v. Fritsch i Raeder złożyli Führerowi w imieniu armii i floty wojennej przysięgę na wierność.

Krwawe wydarzenia w Berlinie i Monachium wywołały w całym świecie dreszcz zgrozy, dyktatura Hitlera — niepokój. W Sowietach ogłoszono, że zwyciężył w Niemczech imperializm, że „prawo życia” pchnie Niemcy przede wszystkim na Wschód, w kierunku Bałtyku i morza Czarnego. Marszałek Woroszyłow pomnażał liczebność armii czerwonej, sowiecki budżet wojenny został podwyższony w r. 1934-m z sześciu i pół miliardów rubli do 14,8 miliardów. Zapoczątkowano gorączkowe tworzenie przemysłu zbrojeniowego, — samolotów, czołgów i armat. Wobec grożącego niebezpieczeństwa, Sowiety zdecydowały się zerwać z dotychczasowym odosobnieniem, przystąpiły do Ligi Narodów. Litwinów domagał się na tym forum stałego komitetu bezpieczeństwa, wszczął zabiegi o pakt wzajemnej pomocy z mocarstwami zachodnimi.

Barthou szukał dla Francji oparcia na Wschodzie, w Warszawie odbył konferencję z marsz. Piłsudskim. Ten postawił sprawę jasno. Polska nie zgodzi się na żaden układ, któryby dopuszczał przemarsze wojsk obcych przez terytorium Rzeczypospolitej.

Mussolini głosił publicznie, że „wojna tkwiła w powietrzu”. Podejmował Hitlera w Wenecji, ale oparł się aneksji Austrii. Hitler wyładował zły humor, odmawiając Estonii i Łotwie gwarantowania ich niepodległości.

W Wiedniu ofiarą agitacji wszechniemieckiej padł kanclerz Dollfuss.

Spiskowcy chorwaccy, na czele których stał Pawelicz, zastrzelili w Marsylii króla Jugosławii, Aleksandra. Śmiertelną ranę odniósł przypadkowo — witający go na ziemi francuskiej min. Barthou.

Mussolini udzielił Paweliczowi schronienia we Włoszech. Dynasta sabaudzki, którego ojciec został w podobny sposób zamordowany, nie protestował. Hitler wynagrodził skrytobójcę w siedem lat później, powierzając mu władzę w Chorwacji, oddartej od Jugosławii.

W kraju.

O stanie zdrowia marsz. Piłsudskiego krążyły wieści, niecałe powszechną troskę. Lekarze zalecali mu wypoczynek, otoczenie utrudniało dostęp. Ale wszystkie ważniejsze sprawy z dziedziny wojskowości i spraw zagranicznych opierały się o autorytet marszałka. Do stolicy Polski coraz częściej zaglądali umocowani przedstawiciele obcych państw. W r. 1934-m, prócz ministra Barthou, bawili w Warszawie kolejno Goebbels, zaufany Hitlera, estoński minister spraw zagranicznych Seljamaa, nadzwyczajny ambasador belgijski dr. Max, generał Debeney, członek francuskiej Najwyższej Rady Wojennej, szefowie lotnictwa sowieckiego, gen. Nygren, szef szwedzkiego sztabu głównego, gen. Reck, szef sztabu estońskiego, premier węgierski Goemboes i inni. Każdy pragnął dotrzeć do marszałka, jako do decydującej instancji polskiej.

Rozgardiasz wewnętrzny jednak rósł, Janusz Jędrzejewicz musiał ustąpić. Jego miejsce zajął — nieoczekiwanie — Leon Kozłowski, profesor archeologii uniwersytetu lwowskiego. Marsz. Piłsudski zwrócił nań uwagę już w r. 1930-m. Powierzył mu wówczas tekę ministra Reform Rolnych.

Opowiadano, jakoby marsz. Piłsudski żywił długi wdzięczności wobec rodziców prof. Kozłowskiego. W okresie rewolucyjnym 1905-6 r., kiedy pp. Kozłowscy mieszkali w Kieleckim, Piłsudski, któremu szpicle ochrony carskiej deptali po piętach, miał się u nich przez pewien czas ukrywać.

Nowy premier posiadał wyższe wykształcenie, umysł bałamutny. Niemiecki socjalizm narodowy pouczył go stawiać wyżej siłę władzy, niż prawo i moralność. Z nazwiskiem prof. Leona Kozłowskiego łączy się ohydnej pamięci Bereza Kartuska, w zorganizowaniu której dopomógł mu gorliwie wojewoda poleski, gen. Kostek-Biernacki. Do owego obozu karnego poczęto zsyłać drogą administracyjną tych, którzy jakoby zakłócali ład społeczny lub — po prostu — byli rządowi niedogodni. Zdrowa opinia publiczna przeciwiała się temu bezprawiu.

W życiu osobistym prof. Kozłowski nie objawiał szacunku dla stanowiska, na które został wyniesiony. A stara prawda głosi, że jeśli na wyższych szczeblach panoszy się rozprężenie obyczajów i zanik poczucia godności, na dołach zagęszcza się korupcja i karjerowiczostwo.

Humorem Kozłowski odznaczał się tak hałaśliwym, że kiedy w swym gabinecie sejmowym odbywał konferencje, grzmoty jego tubalnego śmiechu zakłócały tok obrad. W składzie gabinetu zmiany zaszły nieistotne. Rolnictwo objął Juliusz Poniatowski, niecąc popłoch w ziemiaństwie. Obawiano się, że doda gazu reformie rolnej.

Ta — sama przez się — była już opóźnioną koniecznością.

Chłop w Polsce przeważnie posiadał ziemi zbyt mało, liczba zgoła bezrolnych rosła z każdym rokiem. Stopa życiowa najliczniejszej warstwy narodu była zawstydzająco niska. Wzmagala się niechęć w stosunku do wyposażonego w wielkie obszary ziemiaństwa.

Przemysł nie mógł się należycie rozwijać, bo chłonność rynków wewnętrznych była anemiczna.

W ten sposób sprawa chłopów wiązała się organicznie ze sprawą robotników.

W masach chłopskich wytwarzała się coraz jaśniejsza świadomość własnych celów, praw i obowiązków.

Zagadnienia te były najwyższej wagi. Od ich pomyślnego rozwiązania zależała przyszłość państwa. Niestety! Jak kiedyś przeciwiono się zniesieniu pańszczyzny, i chłop polski zawdzięczał swe uwłaszczenie rządowi zaborczemu, tak samo teraz, w Polsce Odrodzonej, wlokła się kaducznie reforma rolna.

Przed 75 laty jeden z koryfeuszów ówczesnej konserwy małopolskiej, Stanisław Koźmian wyrzekał:

„W Polsce, kraju przeważnie rolniczym, którego byt całkowicie od wsi zależy, stosunki agrarne tak lekkomyślnie zaniedbywano, że wskutek tego Polska była słaba i uboga, i w końcu runął gmach, bo zapomniano o podwalinach.”

Teraz świat przeżywał okres socjalizacji. Kapitalizm był zwycięstwem jednostek, socjalizacja — zwycięstwem zbiorowości.

Nowy minister Rolnictwa Juliusz Poniatowski, syn właściciela Jaszczowa w lubelskim, wyższe studia rolnicze odbył w Puławach i w Niemczech. Od wczesnych lat był szczerym i gorącym zwolennikiem rewindykacji włościańskich, naprzekór ojcu, który był zawziętym wstecznikiem.

Opowiadano, że syn w majątku ojca organizował strajki służby folwarcznej.

Stary Poniatowski dawał wyraz swej goryczy w korespondencji z sąsiadami. Listy swe zwykł był kończyć wykrzyknikiem: „Przekleństwo uwodzicielom ludu!

Z poważaniem

Poniatowski.”

Silne wrażenie w całym kraju wywołało zabójstwo ministra Pierackiego, dokonane w biały dzień (16 czerwca 1934 r.) w chwili, kiedy wchodził do Klubu Towarzyskiego przy ul. Foksal. Zbrodnia była sprawką terrorystów ukraińskich, wśród których przewodził Bandera. W Berlinie zdobył sobie tym aktem względy.

Rozgrywka w teatrach miejskich.

Nadzieje, jakimi pieścił się lub był durzony prez. Słomiński, okazały się płonne. Musiał z początkiem 1934 r. z prezydenckiego stolca ustąpić. Wiceprezydenci Borzęcki i Szpotański przetrwali go o parę miesięcy. Przepowiadano rugi większości kierowników poszczególnych przedsiębiorstw miejskich.

Szpotański znów wrócił do projektu przedłużenia ze mną umowy na trzy lata. Borzęcki wahał się, wysuwał obiekcje prawne.

Wreszcie stało się wiadomym, że komisarycznym prezydentem miasta będzie mianowany Marian Zyndram Kościałkowski.

Minister Korsak i Kaden Bandrowski zabiegali o hojnych protektorów dla mającego powstać Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej (T. K. K. T.). Wśród aktorów, nawet wśród członków dyirekcji — ferment. Oblicza oficjalnych delegatów zespołu — Buszyńskiego, Janusza i Myszkiewicza — stały się obleśne i boleściwe. Gdy się u mnie jawili, mówili cichutko i smutnie, jak agenci zakładu pogrzebowego, którzy przychodzą brać miarę z nieboszczyka na trumnę.

Nacisk ze strony urzędów skarbowych o podatek obrotowy wzmagał się. Pewnego wieczoru egzekutorzy zasiedli w kasach teatralnych.

Kościałkowskiego (Zyndrama) znałem powierzchownie. Wydawał się wzorem szarej przeciętności: niepozorny, mały człowieczek do wielkich interesów, o twarzy bez wyrazu i niespokojnych

oczach. Główną jego legitymacją był czynny udział w Polskiej Organizacji Wojskowej. Marsz. Piłsudski zlecił mu w swoim czasie podobno wywołanie powstania na Wileńszczyźnie. Kościalkowski pokpił sprawę i akcja spaliła na panewce. Zostawszy wojewodą białostockim, urządził polowania dla pułkowników belwederskich. Powiodło mu się ściągnąć na nie prez. Mościckiego.

Obowiązkiem moim było przedstawić się nowemu prezydentowi miasta. Strzelecki zwrócił się do sekretariatu. Odpowiedziano mu, że pan prezydent zaprosi mnie w dniach najbliższych.

Czekałem na owo zaproszenie cały miesiąc. Kościalkowski szedł na rękę Korsakowi.

Gospodarka teatralna stawiała się w tych warunkach niemożliwa, rozprężenie rosło z dnia na dzień. W Wielki Piątek, gdy pensje zostały poprzedniego dnia wypłacone, wtargnęło do administracji dwóch artystów, ulubieńców publiczności. Mimo wcześniejszej pory już byli dobrze zawiani. Wybierali się „na rybkę”, żądali zaliczki. Kasa była nieczynna, dyżurny urzędnik nie mógł uczynić zadość ich pragnieniu. Wpadli w furję, zaczęli rozbijać krzesła. Ledwie zdołano ich usunąć.

W teatrze dyrektor bywa młotem albo kowadłem. Ja nie chciałem być kowadłem.

W dniu 31 marca (1934 r.) zgłosiłem rezygnację z administracji Miejskich Teatrów Dramatycznych, proponując jednocześnie oddanie ich do końca sezonu zrzeszeniu artystów i wyrażając gotowość przystąpienia do zrzeszenia z całym moim dorobkiem aktywów.

Komisaryczny prezydent uczuł się moją rezygnacją dotknięty. Jako żywo, nie miałem zamiaru obrazić męża tej miary!

Sokrates w podobnej okoliczności odpowiedział Trazymachowi: — Czy masz mię za tak szalonego, bym śmiał odważyć się strzyc lwa?

Na groźne wezwanie odpowiedziałem, jak należało.

... Były to dla mnie przekłete dni, jeszcze cięższe noce. Poznałem gorycz, której dał wyraz Torquato Tasso w słowach:

— „*I suoi pensieri in lui dormir non ponno*”.¹⁾

... Komisaryczny Zarząd Miasta nie potrafił znaleźć lepszego rozstrzygnięcia, jak to, które proponowałem. Zdał swoje trzy sceny dramatyczne artystom, ci zaś nie tylko zagarnęli wszystkie moje aktywa teatralne, ale jeszcze wnieśli na mnie skargę do Sądu Pra-

¹⁾ Jego myśli nie mogły w nim zasnąć.

cy o zlekceważenie zobowiązań i złośliwe wstrzymanie wypłaty gaż.

Byłem do cna wyczerpany, lekarz wysłał mnie do Zakopanego. W Sądzie Pracy stanął mój syn. Nie dopuszczono go do obrony. Orzeczenie, przyznające słuszność aktorom i wymierzające mi karę, było z góry przygotowane. Mój syn złożył protest u starosty. Ten rozkładał ramiona, wyrażał ubolewanie. Wtem odezwał się sygnał telefonu. Starosta przyłożył słuchawkę do ucha, twarz mu się błogo rozjaśniła. Złożył korny ukłon i usłużnie raportował.

— Owszem, załatwione. Wszystko w porządku.

Syn zarządził odwołanie do Sądu Okręgowego.

Św. Augustyn pisał, że tam, gdzie zawodzi sprawiedliwość, władza staje się rozbojem, odwaga cywilna słabnie i chorzeje. Na szczęście w Polsce nie wszystkie instancje były pajęczyną, w której wikła się mucha, a którą bąk przebija.

Jak Aleksander Lednicki radził przyjaciołom i jak sam sobie poradził.

Doświadczenie, nabyte w Sądzie Pracy, nakazywało w dalszej obronie zwiększoną przezorność. Poszliśmy z synem do Aleksandra Lednickiego, który od wielu lat okazywał mi przyjaźń, a orientował się w stosunkach sądowniczych wybornie.

Widząc mnie przygnębionym, Lednicki zaczął od reprimendy.

— Czemu się pan tak przejmujesz? Wszyscy przyzwoici ludzie oburzeni są intrygą, która odsunęła pana od Teatrów. O innych nie powinien pan się troszczyć. Pan Bóg na szczęście świniom rogów poskapił. Żali się pan na zawiść i niewdzięczność. Dziennikarstwo i teatr wymagają twardej skóry i wytrzymałych nerwów. Psy szczekają, karawana idzie dalej.

— Tym niemniej, — ciągnął dalej Lednicki, — obronę należy obmyślić starannie. Zasadniczo najlepiej wywiąże się z niej syn, bo zna najdokładniej szczegóły sprawy. Myślę jednak, że trzeba mu dodać asystę starszego kolegi, panu obcego, a więc takiego, którego nie będzie można posądzać o afekt. Najpraktyczniej byłoby go szukać wśród zwolenników obecnego reżimu.

— Paschalski? Bogucki?

Lednicki radził zwrócić się do Radlickiego, posła na Sejm z listy Bloku Bezpartyjnego, człowieka prawego i rozsądnego.

Byłem wzruszony życzliwością, z jaką Lednicki odniósł się do mej sprawy. Nie wiedziałem, że w chwili, kiedy tak przekonująco zalecał mi rozwagę i zimną krew, sam borykał się z ciężkimi strapieniami i miał je w parę tygodni później życiem przyplacić.

Lednicki był człowiekiem wybitnej inteligencji i dużych zasług. Wsławiwszy się w Moskwie, jako znakomity obrońca, zdobył tam uznanie i zamożność. Korzystał z jednego i drugiego, służąc pomocą rodakom, których los w głąb Cesarstwa zapędził. Szczególną troskliwością otaczał młodzież, dom jego stał się centralnym ogniskiem życia polskiego w Moskwie. Przekonaniami był zbliżony do radykalizującego Stronnictwa Konstytucyjno-Demokratycznego (Kadetów). W Mińszczyźnie mandat do pierwszej Dumy uzyskał i na ławach tej partii zasiadał.

Żaden z polskich działaczy politycznych i społecznych w tym okresie nie zdobył w Rosji takich stosunków i wpływów, jak Lednicki.

Kierenski powierzył mu przewodnictwo Komisji Likwidacyjnej, Regencja mianowała go swym przedstawicielem w Rosji. W rządzie Kierenskiego był ministrem spraw polskich.

Przewrót bolszewicki pozbawił Lednickiego zdobytej pracą fortuny. Utrzymał jedynie posiadłość ziemską na Wileńszczyźnie, która więcej potrzebowała wkładów, niż dawała dochodu. Liczył zapewne, że swe zdolności i praktyczne doświadczenie będzie mógł spożytkować w odrodzonej Ojczyźnie. Ale, — jak pisał Wład. Studnicki: „w Polsce talent i wiedza stawały się niekiedy przeszkodą do zajęcia odpowiedniego stanowiska”. Z Lednickim miała cierpkie porachunki Demokracja Narodowa, Belweder nie był mu przychylny. Nawykły do życia na szeroką stopę, Lednicki — już na progu starości — wpadł w kłopotliwe trudności finansowe.

... Wybuchł ostry zatarg między finansistami francuskimi a polskimi w Spółce Żyrardowskiej. Pierwsi posiadali większość akcji, i wyzyskiwali ją po lichwiarsku na swoją korzyść. Mniejszość polska broniła się, przedsiębiorstwo odczuwało dotkliwie następstwa tej walki. Lednicki dał się wciągnąć do misji mediatorskiej. Mówiono, jakoby w nagrodę za przywrócenie harmonii miał przyrzeczoną prezesurę w radzie Spółki.

Owóż stanowisko to budziło apetyty i gdzieindziej. W parę tygodni po mej wizycie u Lednickiego, w „Gazecie Polskiej” pojawił się artykuł z podpisem jej redaktora, płk. Ignacego Matuszewskiego, pod niesmacznym tytułem „śmierdzące serdelki”. Ar-

tykuł godził w dobrą sławę Lednickiego, a umieszczony w organie półoficjalnym, niweczył jego plany.

I wówczas okazało się, że Żyrardów był ostatnią stawką Lednickiego.

... Wczesnym rankiem letnim na brukowanym podwórzu domu, w którym mieszkał, znaleziono jego zwłoki. Okno sypialni było otwarte na oścież, wypadł w białiznie, jak z łóżka się porwał. Czy to był przypadek, — zamroczenie, wywołane dusznością i rozstrojem nerwowym, — czy nieopamiętany akt zniechęcenia, pozostało tajemnicą. Tak tragicznie rozstał się z życiem jeden z niepospolitych Polaków doby ostatniej.

Pisząc swoje „śmierdzące serdelki”, płk. Matuszewski nie brał w rachubę, że o innych zwykle mniemamy gorzej, niż na to zasługują, a o nas również inni gorzej mówią, niż bywamy warci...

Pogrzeb Lednickiego był ponury. Wyprowadzenie zwłok odbyło się z kaplicy powązkowskiej. Zgromadziło się tyle osób, że szeroka ulica była zatłoczona. Wszyscy odczuwali gorzyc i jakby zawstydenie.

Wielu ludzi w zmiennych kolejach losu, doświadczając pokusy do samobójstwa. Kilku moich przyjaciół i bliższych znajomych tej pokusie uległo. Bodźce bywały różnorodne: znużenie życiem, ostateczne załamanie się wewnętrzne, utrata mienia i niemożność uczynienia zadość zobowiązaniom, nieuleczalna choroba... Najczęściej — upokorzenie miłości własnej.

Lednicki był człowiekiem o tak wysokim poczuciu odpowiedzialności, że trudno uwierzyć, aby świadomie sam skrócił sobie żywot.

Jego syn, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wyzwiał płk. Matuszewskiego na pojedynek. W spotkaniu, które odbyło się w okolicach Warszawy, żaden z przeciwników nie poniósł szwanku.

Epilog krucjaty teatralnej.

Termin mego odwołania w sprawie z aktorami wyznaczony został w Sądzie Okręgowym na pierwsze dni października. Sprawiedliwość w Polsce nie była rychliwa.

Z pracownikami doszedłem do ładu bez trudu. Okazali mi wiele życzliwości.

Letnie miesiące spędziłem, jak często w ostatnich latach, w willi „Mucha” w Skolimowie. Z właścicielem jej, Władysławem Buchnerem, łączyła mnie przyjaźń. Buchner reprezentował dawniejsze pokolenie dziennikarskie, kiedy zawód ten był przede wszystkim powołaniem i służbą publiczną. Za taki właśnie postereunek Buchner poczytywał swoje piśmiotwo humorystyczne, — „Muchę”, — które od wielu dziesiątków lat prowadził i któremu w szerokich warstwach rozległą poczytność wyrobił. Ludwik Straszewicz, rozmiłowany w paradoksach, chętnie powtarzał, że większość mieszkańców stolicy z „Muchy” czerpała swą mądrość polityczną. Tkwiło w tym sarkazmie żdźbło prawdy. Buchner orientował się w kapryśnych nastrojach społecznych i przeciętny czytelnik najdywał w „Musze” własne poglądy i tendencje. „Mucha” przy tym służyła każdej dobrej sprawie, jej redaktor, — kpiarz zawołany, — był obywatelem pocziwym, uczciwym i pobożnym. Każdy numer „Muchy” zawierał jego dłuższy i poważniejszy wiersz; jedyna to była w swoim rodzaju gazetka, w której artykuły wstępne pisane były rymami.

...Sąd Okręgowy dał mi w dniu 5 października 1934 r. najpełniejsze zadośćuczynienie. Zostałem całkowicie oczyszczony z oskarżeń, jakie wykombinowała zła wola aktorów i ich obrońcy. Teraz syn mógł spokojnie wystąpić z akcją wzajemną.

Kiedy nadszedł termin tej rozprawy (blisko w rok później), popieracz aktorów, adw. Bartczak, proponował polubowny układ przez wyrównanie obustronnych pretensji (*clearing*).

Tak mi aktorskie pieniactwo dojadło, że zgodziłem się. Zrezygnowałem również z procesu z Magistratem o odszkodowanie, do którego to procesu namawiali mnie tacy juryści, jak Wacław Paszkowski i Stanisław Goldstein.

Znacznie dłużej musiałem czekać na orzeczenie Najwyższego Trybunału Administracyjnego. I tu syn, jako prawnik, odniósł zwycięstwo. Narzucony mi przez Ministerstwo Skarbu podatek przemysłowy uznany został za nieusprawiedliwiony.

Zabiegi o zwrot pobranych niesłusznie sum były nową gehenną. Biurokracja skarbową czyniła na każdym kroku wstręty. Ledwie część należności udało mi się odzyskać.

...Św. Paweł jakoby powiedział, — że dobrze jest — ożenić się, ale lepiej — nie żenić się. Sentencja ta znacznie lepiej da

się przystosować do teatru. Dobrze jest prowadzić teatry, ale lepiej — nie wdawać się w ich prowadzenie.

...Sergiusz ks. Wołkoński, który w latach 1899—1901 pełnił obowiązki dyrektora Cesarskich Teatrów w Petersburgu, w swych „Wspomnieniach” pisze, że był to okres jego najcięższej próby życiowej.

„Mimo najlepszej, bezinteresownej woli służenia sztuce i artystom, spotykałem się na każdym kroku z zawiścią, obłudą i brakiem życzliwości. Nigdzie większej ciekawości spraw cudzych, nigdzie pochopniejszej łatwowierności wobec nieżyczliwych plotek, jak w teatrach. Moja dwuletnia dyrekcja była lekcją poznania charakterów ludzkich, zwyczajów i obyczajów.”

Gdy jesień życia bieli włosy...

Skończyłem 68 lat.

Nie miałem prawa narzekać. Życie me było bujne, czasy, które mi przypadły, bogate w wydarzenia! W późnym wieku czułem się zdrow i rześki.

Tragedia człowieka nie tkwi w tym, że się starzeje. Tragedią bywa, jeśli, starzejąc się, chce pozostać młodym.

Wyrzeczenie się tych porywów i przeżyć, które były radością lat młodych i dojrzałych, nikomu nie przychodzi lekko. Jeden z moich bliskich przyjaciół z tego powodu odebrał sobie życie. Nie umiał wyrzec się rozkoszy, które są przywilejem lekkoskrzydłej młodości. Nie zniósł jej bankructwa.

...Bywają ludzie do radości życia urodzeni, bywają — do niej niezdolni. Pierwsi to ci, co umieli wykreślić sobie ideały i cele, i szli śmiało naprzód, nie zrażając się zawodami, walcząc z przeciwnościami. Drudzy — szare woły robocze — godzą się z każdym losem, ciągną z rezygnacją dyszel swego kierunku.

Jeszcze inni — przesypiają życie lub trwonią. Zgorzkniali niezadowoleni zatrują je sobie i innym. Lecz niekiedy stają się zarzewiem buntu.

Być szczęśliwym jest nie mniej trudno, jak nie poddawać się cierpieniu. Stendhal pisał, że szczęśliwy los należy chwycić za włosy. Dodawał wszakże, iż ów fortunny los bywa często łysy.

Goethe twierdził, że poczucie szczęścia jest obowiązkiem jednostki zdrowej i czynnej.

Kobieta, — wolna od weiningerowskich pierwiastków męskich, jeśli kocha i jest kochana, zwykle nie żąda nic więcej. Mężczyzna, który kocha i jest kochany, jeśli nie jest durniem, musi pragnąć jeszcze innych, większych rzeczy — uznania i władzy. Kobieta w objawach miłości nie zna granic. Mężczyzna odczuwa je już w swoich możliwościach fizjologicznych.

Tadeusz Rittner, kiedy obaj w Wiedniu jednocześnie rozpoczynaliśmy karierę teatralną, zwierzał mi się, że pisał swe sztuki w podnieceniu, zbliżonym do *libido*. Stąd wyciągał melancholijny wniosek, że zmierzch potencji płciowej stanie się pogrzebem jego twórczości. Nie sprawdził tych przewidywań, bo zmarł przedwcześnie.

Jan Kasprowicz utrzymywał, że kobieta była, jest i będzie uzupełnieniem mężczyzny, jednym z głównych żywiołów tworenia. ¹⁾

K. S. Stanisławskij, założyciel teatru artystycznego w Moskwie pisał, że dynamika twórczości zależną jest od skoncentrowania wszystkich sił fizycznych i duchowych. ²⁾

Ale na wszystko pora. Starzec, uganiający się za radościami zmysłów? ... Cóż za ponura ohyda! Odstraszaający przykład zostawił lew romantyzmu francuskiego, Wiktor Hugo, który, mając lat siedemdziesiąt — kupował sobie łaski pokojówek i kucharek i narażał się na pośmiech gawiedzi. ³⁾

Ja w latach młodych i dojrzałych piłem suto z pełnej czary życia, według rad Horacego:

„Każ wino nosić, póki beczka leje,
póki wiek służy, a śmierć nie pośpieje ...”

Ale „zegar dzwoni, czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka”. Takie przestrogi umieszczano na zegarach staropolskich.

Co minęło, nie wróci. Starość szczęśliwa, to słońce późnojesienne, które, — nawet gdy się z chmur wychyli i świeci, — nie grzeje.

Kto chce żyć, nie powinien nigdy dopuścić, aby życie go wyprzedziło. Musi stosować się do jego rytmu. Kardynalnym warunkiem utrzymania zdolności do pracy jest ekonomia sił.

¹⁾ Maria Kasprowiczowa: „Dziennik” część III.

²⁾ „Moja żizń w iskustwie”.

³⁾ Leon Daudet: „Tragiczny żywot Wiktora Hugo”.

Praca była najistotniejszym elementem mego życia. Niczego silniej nie obawiałem się na starość, jak przymusowej bezczynności. Wydawała mi się najgorszym rodzajem śmierci: śmiercią za życia.

Człowiek stary nie powinien zajmować miejsca młodym, ale jego wiedza, doświadczenie i hart woli mogą stanowić wartość, której ważyć lekko nie należy.

Dymisja prof. Kozłowskiego. Nowa Konstytucja.

W kawiarniach i klubach od dłuższego czasu krążyły fantastyczne opowieści o kompromitujących hulankach prezydenta Rady Ministrów, o wekslach z jego podpisem, które znalazły się w bankach państwowych.

Do marsz. Piłsudskiego, prócz rodziny, lekarzy i paru współpracowników najbliższych, nikt już przystępu nie miał. Podobno sam prezydent Mościcki zdecydował się powiadomić go o ekscesach premiera. Według innej, prawdopodobniejszej wersji, — raport w tej mierze miał złożyć II Oddział Sztabu.

Późnym wieczorem, dn. 27 Marca, prof. Kozłowski został wezwany do Belwederu. Nazajutrz Warszawa dowiedziała się, że podał się do dymisji i że jego miejsce zajął płk. Walery Sławek. W składzie gabinetu nie zaszły zmiany.

...W dniu 28 kwietnia 1935 r. nastąpiło uroczyste podpisanie nowej Konstytucji przez prezydenta Rzeczypospolitej i przez członków rządu.

Wypracował ją Stanisław Car, pomagali mu Wacław Makowski i Wojciech Rostworowski. Trzech akuszerów, w dawnej Polsce tzw. rzeźpików! Noworodek nie miał łatwego na świat przyjścia...

Nowa ustawa nie była samoradnym wysiłkiem twórczym, odzwierciedlającym dążenia i pragnienia narodu, a mającym na celu wyniesienie ducha publicznego. Była robotą, wykonaną na zamówienie.

Platon w „Republice” przestrzega, że ten, który rządzi, nie powinien wyszukiwać i nakazywać tego, co jemu na korzyść wychodzi, lecz — co tym jest przydatne, którzy jego władzy podlegają. Nowa polska ustawa konstytucyjna rozszerzała znacznie władzę prezydenta Rzeczypospolitej i uprawnienia rządu.

W tym czasie w krajach kulturalnych ład burżuazyjno-kapitalistyczny, produkt ubiegłego stulecia, tracił grunt. Państwa europejskie wchodziły na szlaki socjalizacji życia, usuwania lub conaj-

mniej łagodzenia niesprawiedliwości społecznych, zapewnienia warstwom pracującym należnego udziału w łaskach bytowania. We Włoszech faszyzm znalazł oparcie w związkach zawodowych i zrzeszeniach spółdzielczych. W Niemczech całe życie i cała produkcja wtłoczone zostały w ramy twardej dyscypliny militarnej i przystosowane do celów zdobywczej ekspansji. W Stanach Zjednoczonych Roosevelt zapowiedział, że środków na zadośćuczynienie nagłym potrzebom rzesz uboższych będzie szukał w skarbach jednostek nadmiernie bogatych.

W Portugalii głębszych przeobrażeń dokonał Oliveiro Salazar, profesor uniwersytetu w Coimbrze, „mystyk, oddany Bogu i cyfrom”. Konstytucja portugalska, uchwalona w dn. 19 marca 1934 r., była nawskroś nowoczesna, i — o dziwo, — mimo, że miała służyć krajowi od Polski w Europie najodleglejszemu, polskim właściwościom i potrzebom była może najbliższa.

Nowy ustrój, wprowadzony przez prof. Salazara, wyznaczał, jako zasadnicze fundamenty życia, — rodzinę, samorząd lokalny i zrzeszenia gospodarcze, utrzymywał równowagę społeczną, współdziałanie i harmonię.

Kwietniowa konstytucja polska nie uwzględniała nowych prądów, które wiodły do reform, zapobiegających rewolucjom. Marsz. Piłsudski umiał by może wyciągnąć z niej pożytek: konstytucja była na jego miarę przykrojona.

Zmiana praw nie pomaga, jeśli zły przykład z góry uczy prawa obchodzić i gwałcić. Nowe prawa zyskują tę wartość, jaką im nadaje człowiek, który je wykonywa.

...Marsz. Piłsudski dogorywał.

Zgon Marszałka Piłsudskiego.

Dwunastego maja 1935 r., w chłodny wieczór majowy, lotem błyskawicy rozległa się po mieście i kraju wieść:

— Marszałek Piłsudski nie żyje.

Wstrząśnienie było wielkie. U wszystkich jedno na ustach pytanie:

— Co będzie teraz?

Przestało bić serce, odszedł nieugięty Strażnik bezpieczeństwa państwa i honoru narodu, — człowiek niepospolitych darów i nie-małych wad, ale zawsze niezachwiany autorytet moralny. Pierwszy — od czasów Powstania Styczniowego — wznowił walkę czyn-

na o wyzwolenie narodu. Przeciwnicy usiłowali pomniejszyć mu tę zasługę: trzeba wziąć pod uwagę, że narażał swoje i innych życie na takim terenie, jaki był wtedy dostępny. W masach robotniczych umacniał wolę do niepodległości, pod jego przewodem dawniejsi towarzysze z Organizacji Bojowej i gorętsza młodzież tworzyli Legiony. Oparł się pokusom i naciskom, gdy Ludendorff domagał się od Polski werbunku na rzecz Mocarstw Centralnych, po turmach carskich i Sybirze — zakosztował twardego więzienia niemieckiego w Magdeburgu. Nie złamało go. Gdy go zwolniono, w pierwszych dniach listopada 1918 r., na powrotnej drodze do Warszawy zatrzymał się w Berlinie. Emisariusze ostatniego kanclerza Cesarstwa, ks. Maksa Badeńskiego, usiłowali go przekonać, że Polska winna zrezygnować z Wielkopolski i z Pomorza. Słuchał właśnie w kawiarni Bauera pod Lipami wywodów w tej mierze hr. Kesslera, kiedy na ulicy powstał gwałt.

— Ostatnie depesze! Cesarz Wilhelm abdykował!

Piłsudski pożegnał się ze swym rozmówcą. Na drugi dzień był w Warszawie.

Pamiętamy, co się wtedy działo w stolicy. Dymisja gabinetu Świeżyńskiego, rozprężenie, w całym kraju wrzenie. Do kogo zwraca się w trudnej chwili Regencja? Komu zdaje władzę? I kto zaprowadza ład?

Piłsudski.

Z dziecinnyim spiskiem ks. Sapiehy obszedł się po ojcowsku. W ciągu jednego roku w najuciążliwszych warunkach — mnogie i dzielne wojsko stworzył. Ducha rycerskiego w narodzie wskrzesił.

Roili mu się wielkie rzeczy. Być może, iż siły na zamiary mierzył. Ale komuż w Polsce wówczas nie szumiało w uszach!

Zmaga się z rozgardiaszem wewnętrznym. Konstytucja Marcowa, pośpiesznie uchwalona, nie zabezpieczała władzy. Odbudowując się Polskę osłabiały właśnie stronnictw, intrygi i ambicje przywódców partyjnych...

Zamach stanu bywa aktem dodatnim, jeśli kładzie kres nadużyciom, dla państwa szkodliwym. Bywa ujemnym, jeśli służy interesom samolubnym. Do jakichkolwiek celów zmierza, staje się błędem, jeśli chybia.

Wartość dokonanego zamachu mierzy się jego wynikami. Nie zawsze wystarcza zwyciężyć. *Il y a des victoires, dont on meurt!* Umieć wyciągnąć ze zwycięstwa należne korzyści, trudniejsza często sztuka, niż same zwycięstwo!

.....Maj 1926 r.....

Piłsudski doszedł do przekonania, że odrodzonej państwowości polskiej grozi rozkład. Rozterki polityczne najdywały już odpryski w wojsku. Poszczególni generałowie i nawet poszczególne pułki ulegały wpływom takich lub innych ideologii.

Napór myśli łączył się u Piłsudskiego z czynem. Decyduje się na użycie siły.

Przebieg zamachu majowego, możnaby mniemać, pociągnął go dalej, niż zamierzał. Stąd połowiczność rezultatów.

...Mijają trzy lata, następują nowe uderzenia. Uwięzienie przywódców opozycji, proces Brzeski, Bereza Kartuska. Tego historia Piłsudskiemu nie przebaczy.

Herman Rauschning, były prezydent Senatu Gdańskiego, w swej książce „Rewolucja nihilizmu”, surowo w hitlerowskich Niemczech zakazanej, referuje między innymi swą rozmowę z marsz. Piłsudskim w Belwederze. Było to w grudniu 1933 r.

Poruszona została sprawa przeobrażeń, jakie w tym czasie dokonywały się w Rzeszy. Piłsudski traktował socjalizm narodowy, jako nową formę życia narodu niemieckiego.

— Niemiecki socjalizm narodowy, mówił, nadużywa środków, które same przez się mogą być skuteczne, lecz winny być stosowane jedynie w wyjątkowych okolicznościach.

— Nie łatwo bowiem zmienić utrwalone przez wieki nastawienie narodu, okiełznać jego charakter, wdrożyć go do nowych dążeń.

— Ja, — ciągnął dalej marszałek, — nie mogę chwalić się powodzeniem. Miałem i mam słabą rękę. Raz jeden dałem się wyrwać z rezerwy i od tego czasu muszę eksponować się coraz więcej!

...Krażyła wtedy pogłoska, jakoby Piłsudski proponował Francji wspólne, zbrojne wystąpienie przeciw Niemcom, zanim one przygotują się wszechstronnie do wojny odwetowej! Francja miała odmówić, motywując, że nie warto było zadawać sobie tak kosztownego trudu. W Paryżu utrzymywano, że Hitler musi w końcu wywołać katastrofę i do reszty Rzeszę osłabić.

Dla Polski Piłsudski pragnął władzy silnej, lecz odpowiedzialnej. Nie chciał zmuszać, chciał przekonywać.

W doborze ludzi, którymi się otaczał i którym najważniejsze obowiązki w państwie powierzał, Piłsudski często — i dotkliwie się mylił.

W urazach i gniewie bywał zawzięty.

Bóg odwołał go przed najcięższą próbą, jaką Polsce gotowało tragiczne Przeznaczenie.

Zyndram Kościałkowski na czele Rządu.

Ordynacja wyborcza została tak przemyślnie ułożona, że zwycięstwo grupy belwederskiej przebrało miarę.

Cóż z tego bowiem, że w jawnych walkach partyjnych nastąpiło pewne uciszenie, skoro najlepsze siły w narodzie nie zostały wciągnięte do współdziałania!

Główną przebudowę ustroju wewnętrznego mógł podjąć jedynie człowiek, łączący wyższy umysł i wiedzę z odpowiednim autorytetem moralnym.

Izby Prawodawcze zebrały się w październiku. Płk. Sławek, jak to było przyjęte po każdych wyborach, zgłosił ustąpienie gabinetu. Spodziewano się ogólnie, że Izby odpowiedzą wyrażeniem rządowi zaufania. Płk. Sławek był przecież najbliższym towarzyszem broni i przyjacielem marsz. Piłsudskiego.

Ku powszechnemu zdziwieniu, prez. Mościcki dymisję gabinetu przyjął. W kołach sanacyjnych płk. Sławek stracił względy. Obawiano się jego nieustępliwej surowości wobec korupcji i wobec upadku dobrych obyczajów. Zarzucano mu, że na szefa rządu nie posiadał odpowiednich kwalifikacji.

Więc może prez. Mościcki szukał wyższej inteligencji, bystrzejszej rzutkości?

Ni zowąd, ni siadło ni padło, spadek po płk. Sławku przekazany został Marianowi Zyndram Kościałkowskiemu.

A w tym mężu właśnie wszystko było małe. Charakter, umysł i nawet wzrost. Wielką była tylko usługowość wobec silniejszych i pycha wobec słabszych.

Rozsądkiem i ogładą towarzyską, górowała nad nim żona.

Lecz Kościałkowski rozszedł się z nią, i w czasie wojny niemieckiej w roku 1941 do Warszawy nadbiegła wiadomość, że na emigracji ożenił się z panną Balcerkiewiczówną, z którą umknął zaraz w pierwszych dniach września 1939 r. do Rumunii.

To drugie małżeństwo było lepiej dopasowane. W korcu maku się szukali. P. Balcerkiewiczówna była akurat tej samej miary aktorką, co Zyndram Kościałkowski — mężem stanu.

W jego gabinecie Sprawy Wewnętrzne objął Władysław Raczkiewicz, Przemysł i Handel — gen. Roman Górecki, Komunikacje — płk. Ulrych. W grudniu ministrem Oświecenia został prof. Świątosławski.

Nowy gabinet zainaugurował swe czynności takim zadrażnieniem stosunków z Czechosłowacją, że konsulowie tego państwa opuścili Kraków i Poznań, zaś na Śląsku Czeskim ogłoszono stan wojenny. Polska odpowiedziała stanem wyjątkowym na Śląsku Cieszyńskim.

Mój nowy warsztat pracy.

Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism ogarnął wszystkie znaczniejsze dzienniki w kraju i większość czasopism. Zrzeszone wydawnictwa obejmowały 95% spożycia papieru gazetowego.

W długotrwałym okresie niewoli prasa polska była rozgłosnią opinii publicznej, stanowiła przednie straże w walkach o należne prawa.

...Najlotniejsza wyobraźnia wyprzedza swój czas zaledwie o parę pokoleń. Idee, które splatają się niemal organicznie z procesem rozwojowym ludzkości, zawsze znajdują mózgi, które je lęgną i rozpowszechniają. Następne pokolenia już ich nowizny nie dostrzegają. Owe idee — niekiedy prawdy — stają się dorobkiem powszechnym.

Prasa zbiera dojrzewające w czasie idee, jak ogrodnik owoce z drzewa. Udostępnia je ogółowi, rozprowadza. Nie każda jednak idea, dlatego że nowa, bywa szczęśliwą. Trafiają się takie, które wywołują katastrofy.

Prasa może być czynnikiem konstruktywnym i dodatnim. Jeśli swej misji nie potrafi sprostać, może równie dobrze stać się elementem destruktywnym i szkodliwym. Będzie dobroczynnym, jeśli służy wolności, prawdzie i sprawiedliwości, — złoczym, jeśli staje się narzędziem demagogii, interesów i namiętności.

W polskich kołach dziennikarskich pieszczono się złudzeniami, że wyzwolona Rzeczpospolita, wypłacając się z historycznych długów wdzięczności, stanie się dla swej prasy Arkadią, miodem i mlekiem płynącą. Rzeczywistość nie ziściła tych nadziei. Wiceprezes Związku Dziennikarzy R. P., Witold Giełżyński wyszczególniał w „Świecie” zarządzenia rządowe, godzące w prasę: podatek obrotowy od drukarni, podwyżkę taryfy przewozowej na papier rotacyjny, wstrzymanie ulg celnych dla maszyn drukarskich, choć ich w kraju nie wyrabiano, szykany poczty, monopolizację ogłoszeń państwowych dla pism, wysługujących się rządowi, — i wreszcie harce cenzury policyjnej, — rujnujące prasę konfiskaty...

Zorganizowanie samopomocy i pieczy nad prasą stało się koniecznością. Gdy nie stało Rady lub Izby Prasowej, misję tę mogły jedynie spełniać, działając solidarnie, dwa naczelne zrzeszenia prasowe: Związek Dziennikarzy R. P. i Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism.

Nie było łatwym do tej wspólnej akcji doprowadzić. Dziennikarze podejrzewali, że wydawcy ich wyzyskiwali, wydawcy, — że byli wyzyskiwani przez dziennikarzy. Ze względów sprawiedliwości należy przyznać, że i po jednej i po drugiej stronie nie brakło argumentów. Ale oba te żywioły, dziennikarze i wydawcy, dopiero razem stanowili całokształt prasy: dziennikarz był jego duszą, wydawca — ciałem.

Działalność Związku Wydawców Dzienników i Czasopism.

Trzeba było tedy przełamać wiele uprzedzeń, zanim upełnomocnieni przedstawiciele dwóch naczelnych korporacji prasowych mogli zasiąść przy jednym stole i radzić nad wspólnym dobrem. Moje stanowisko, jako prezesa zarządu Związku Wydawców, było osobliwie drażliwe. Dziennikarze widzieli we mnie wydawcę, wydawcy — dziennikarza.

Działalność Związku Wydawców rozwijała się szybko i wszechstronnie. Energia Kauzika, jako dyrektora, była niespożyta. Nawykły do ministerialnych metod pracy, wprowadził nawał posiedzeń, konferencji, komisji, delegacji. Wątku do obrad dostarczały stosunki ze zrzeszeniami drukarzy, z kartelami fabrykantów papieru, z poszczególnymi ministerstwami, z dyrekcjami Polskiej

Agencji Telegraficznej i Polskiego Radia, z Tow. „Ruch” (kolportaż), z agencjami ogłoszeniowymi... Zabiegi o obniżenie kosztów produkcji, o zapewnienie wydawnictwom samowystarczalności finansowej — o wysoki ich poziom etyczny...¹⁾

W dwa lata po ukonstytuowaniu się, Związek Wydawców mógł pochwalić się projektem jednolitej dla całego państwa ustawy prasowej, wypracowanej przez komisję, której przewodniczył dr. Piętaś, szef biura prasowego Rady Ministrów, późniejszy prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

Projekt nasz wzorował się na ustawach, obowiązujących w zachodnio-europejskich państwach demokratycznych.

Rząd zwlekał z wprowadzeniem go w życie. Po przewrocie majowym nasz projekt wydawał się zbyt liberalnym.

W r. 1939-m minister Grabowski, z pomocą wiceministra Chęłmońskiego, wysmażył inny statut, który w grupie belwederskiej znalazł uznanie. Obiecywano sobie, że jego klauzule pozwolą wziąć prasę „za mordę”....

¹⁾ Do Rady Naczelnej i Zarządu Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism w r. 1938-m należeli: Ankiewicz Jan („Pielgrzym” i „Goniec Pomorski” w Pelplinie), Biega Bolesław, wiceprezes („Wieczór Warszawski”), Borman Antoni („Wiadomości Literackie”), Bormanowa Ludwika („Pani Domu”), Cieślak Stanisław („Słowo Pomorskie”, Toruń), Czarnecki Andrzej („Tygodnik Handlowy”), Czołonowski Jerzy („Polska Zachodnia”, Katowice), Dąbrowski Marian („Il. Kurier Codzienny”, Kraków), Dobija Mieczysław („Światowid”, Kraków), Falkiewicz Jerzy („Przegląd Techniczny”), Gerne Antoni („Dziennik A. B. C.”), Gottowt Hilary („Dziennik Poznański”), Grabowski Adam („Czas”), Gromski Edmund („Wiek Nowy”, Lwów), Heinrich Stefan („Przegląd Elektryczny”), Hołówkowa Janina („Kurier Poranny”), Jeleński Szczepan („Tęcza”, Poznań), ks. Kosibowicz Edward (wydawnictwa OO. Jezuitów), O. Kolbe Maksymilian („Rycerz Niepokalanej”, „Mały Dziennik”), Korfanty Witold („Polonia”, Katowice), Ksycki Alfred (wydawnictwa własne — Żnin), Krzywoszewski Stefan („Prasa”), Leitgeber Roman („Kurier Poznański”, „Orędownik”, Poznań), Lewandowski Antoni („Dom Prasy” S. A. — Warszawa), Majewski Stanisław („Goniec Warszawski”), Maliniak Julian („Robotnik”), Milawski Wacław („Przegląd Organizacyjny”), Mrozowski Feliks („Kurier Warszawski”), Niklewicz Mieczysław („Dziennik Wileński”), Oltaszewski Marian („Ekspress Łódzki”), Pawłowski Edward („Kurier Bydgoski”), Pieracki Zygmunt („Bluszcz”), Podwysocki Stanisław („Wiedza i Życie”), Puławski Leon („Gazeta Polska”), Rosenzweig Daniel („Nasz Przegląd”), Sawicki Władysław („Rolnictwo”), Sotomski Jan („Polska Zbrojna”), Strzetelski Stanisław („Wieczór Warszawski”), Stypulkowski Jan („Echo”, Łódź), Teska Lech („Dziennik Bydgoski”), Wilkoszewski Franciszek („Goniec Częstochowski”), Włodarski Józef („Słonko”), Zakrzewski Stanisław, Zenon („Reklama”), Ziętowski Kazimierz („Dziennik Kujawski”, Inowrocław), Zwierzyński Aleksander („Dziennik Wileński”).

...Wolność drukowanego słowa była, jest i będzie jedną z najcenniejszych zdobyczy, jakie ludzkość zawdzięcza Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Rząd, uchylający się od krytyki, sam sobie wystawia świadectwo ubóstwa. Opozycja, dobrem pospolitym powodowana, w życiu państwa jest czynnikiem nie mniej cennym, jak energia rządu. Wykroczenia prasowe? Od czegoż odpowiedzialność sądowa! Byłe sądy działały szybko i sprawnie, bo satysfakcja, udzielona poniewczasie, nie naprawia złego.

Opiekę nad moralnością winny sprawować rady lub izby dziennikarskie, przez świat prasy do życia powołane.

Dziennikarstwo polskie zachwaszczone było dyletantami i wszelkiego rodzaju łazikami. Pokutowało w nim wielu nieudanych literatów i rozbitków życiowych, podszywali się pod miano redaktorów nawet agenci ogłoszeniowi. Wyższa Szkoła Dziennikarska, pod kierownictwem Wincent. Trzebińskiego, a przy współudziale Witolda Giełżyńskiego i Stanisława Jarkowskiego, dopiero rozwijała skrzydła.

Powaga i godność prasy domagały się sanacji tych stosunków. Uskutecznić ją mogło wprowadzenie rejestru dziennikarzy.

Zagadnieniem tym zajęła się Komisja Porozumiewawcza, wyłoniona przez Związek Dziennikarzy i Związek Wydawców. Na razie niepodobna było myśleć o wprowadzeniu cenzusu naukowego. Ustaliliśmy zasadę, że za dziennikarza zawodowego mógł być poczytywany ten, kto z pracy w redakcjach czerpał główne środki utrzymania.

Rejestr był na ukończeniu, gdy wybuchła wojna z Rzeszą.

Akcja Związku Wydawców, mająca na celu podniesienie poziomu prasy, szła w czterech kierunkach:

1. Usprawnienie i udoskonalenie agencyjnej obsługi informacyjnej.
2. Zapewnienie redakcjom większej ilości własnych materiałów informacyjnych.
3. Czuwanie nad poziomem etycznym.
4. Dbalność o wyższe wykształcenie i wiedzę fachową wśród pracowników redakcyjnych i administracyjnych.

W lutym 1938 r. oba Związki, Dziennikarzy i Wydawców, doprowadziły do układu zbiorowego w zawodzie dziennikarskim. Rozwiązano zagadnienie, które do niedawna wydawało się kwadraturą koła. Układ zyskał moc obowiązującą na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej.

Wysoki Trybunał Prasowy.

Żywość temperamentów dziennikarskich sprawiała, że polemiki w gazetach i periodykach przekraczały niekiedy granice godziwych obyczajów, narażając na szwank powagę prasy. Związek Wydawców przeprowadził na walnym zgromadzeniu uchwałę, zalecającą wszystkim redakcjom sprawdzanie informacji, umieszczanych o innych organach prasy. We wrześniu 1937 r., z inicjatywy tegoż Związku, odbyła się narada, w której wzięli udział znaczniejsi wydawcy, redaktorzy i publicyści.

Projekt wytworzenia własnej instancji, któraby zapobiegała publicznemu praniu brudnej bielizny, obudził zrazu zastrzeżenia. Gdy intencje zostały wyświetlone, nastąpiła zgoda.

W ten sposób powstała prasowa Komisja Orzekająca.

Weszli do niej z ramienia wydawców: Biega Bolesław, Butkiewicz Henryk, Krzywoszewski Stefan, Majewski Stanisław, Niklewicz Mieczysław, Olchowicz Konrad. Ze strony dziennikarzy: Berezowski Zygmunt, Giełżyński Witold, Gluziński Tadeusz, Piestrzyński Ryszard, Piotrowski Zygmunt, Starzyński Mieczysław, Wieczorkiewicz Antoni. Przewodnictwo przypadło Giełżyńskiemu i mnie.

Komisja Orzekająca zdobyła autorytet. Orzeczenia jej były szanowane, wykroczenia prawie ustały.

Towarzystwo Wiedzy Prasowej.

W dniu 21 października 1937 r. walne zgromadzenie członków Związku Wydawców uznało potrzebę stworzenia w Polsce Instytutu Prasowego.

Pierwszy taki instytut założył w Berlinie dr Mohr, były redaktor „*Münchener Neuste Nachrichten*“, który w latach 1916—1917 pełnił w Warszawie obowiązki szefa cenzury okupacyjnej.

Próba powiodła się. Wprędce powstały analogiczne instytuty w różnych większych miastach Rzeszy i Austrii. Inne kraje zachodnio-europejskie i Stany Zjednoczone A. P. poszły za tym przykładem.

W Polsce z inicjatywą w tej mierze wystąpił Związek Wydawców Dzienników i Czasopism. Zgromadziliśmy tak obfite materiały informacyjne, prawne, techniczne i statystyczne, że same przez się już stanowiły cenny nabytek.

Kauzik pojechał do Berlina, by bezpośrednio zaznajomić się z organizacją i działalnością tamtejszego Instytutu, uważanego powszechnie za pierwowzór. Biblioteka naszego Związku obejmowała pół tysiąca książek, poświęconych zagadnieniom prasowym.

W toku prac przygotowawczych doszliśmy do przekonania, że Polski Instytut Prasoznawczy winien być założony przez szersze koło obywateli, interesujących się prasą. W tym celu postanowiliśmy zawiązać Towarzystwo Wiedzy Prasowej.

Organizacyjne zebranie odbyło się w dniu 30 marca 1938 r., pod przewodnictwem prof. Antoniewicza, rektora Uniwersytetu Warszawskiego. W sali sesjonalnej naszego Związku zebrała się setka przedstawicieli prasy i pokrewnych jej organizacji. Projekt statutu został uzgodniony i na następnym zebraniu w tymże gronie — zatwierdzony. Do Zarządu powstającego Tow. Wiedzy Prasowej powołani zostali: hr. Dzieduszycki Aleksander, prezes Tow. Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, Giełżyński Witold, wiceprezes Związku Dziennikarzy R. P., ks. Kaczyński Zygmunt, założyciel i dyrektor Polskiej Agencji Katolickiej, Kauzik Stanisław, dyrektor Polskiego Związku DZ. i Cz., Krzywoszewski Stefan, prezes Zarządu tegoż Związku, Lewandowski Antoni, dyrektor „Domu Prasy”, Libicki Konrad, dyrektor naczelny Polskiego Radia, prof. Łempicki Zygmunt, Niklewicz Mieczysław, wiceprezes Zarządu Wydawców, Obarski Mieczysław, prezes Polskiej Agencji Telegraficznej, Puławski Leon, prezes zarządu Tow. „Ruch”, Reyman Edmund, dyrektor Szkoły Nauk Politycznych, Starzyński Mieczysław, redaktor naczelny „Gazety Polskiej”, Strzetelski Stanisław, redaktor naczelny „Wieczoru Warszawskiego”, red. Wieczorkiewicz Antoni, Wierzyński Hieronim, wiceprezes Związku Dziennikarzy R. P., Wywiórski Jerzy, redaktor naczelny „Kurier Porannego” i Zalewski Stanisław.

Prezesem Zarządu Tow. Wiedzy Prasowej obrany został Libicki, wiceprezesami — Strzetelski i ja, sekretarzem generalnym — Kauzik.

Do Rady Naczelnej Towarzystwa weszli:

Antoniewicz Wł., Berezowski Zyg., Biega Bol., Butkiewicz Henr., prof. Bystron Stan., Makowski Jul., Miłaszewski Stan., Górecki Piotr, ks. Kosibowicz Edward, Lepecki Miecz., Majewski Stan., Mrozowski Fel., Olchowicz Konrad, Rakowski Janusz, Ścieżyński Miecz., prezydent Starzyński Stefan, Trzebiński Wincenty, prof. Wędkiewicz Stan., oraz całe prezydium zarządu.

Na początek utworzyliśmy 4 sekcje: 1) nauki i szkolenia, 2) wydawnictw informacyjnych, 3) archiwalno — biblioteczną 4) prac historycznych.

Czasopisma.

Utworzenie w Związku Wydawców autonomicznej Sekcji Prasy Periodycznej przedstawiało duże trudności, aczkolwiek wszyscy odczuwali jej potrzebę. Niebawem zróżniczkowanie tej prasy dotyczyło nie tylko treści i formatu; sięgało do podstaw struktury gospodarczej poszczególnych wydawnictw. Niektóre czasopisma korzystały z subsydiów jawnych lub utajonych, inne swój byt opierały wyłącznie na prenumeracie, kolportażu i ogłoszeniach. W jednej i drugiej kategorii znajdowały się wydawnictwa, zakładane i prowadzone dla dobra powszechnego — i takie, które broniły już to poszczególnych programów, już — pewnych interesów i stąd czerpały uposażenia. Jedne i drugie mogły być pożyteczne, lecz warunki ich egzystencji były odmienne.

Znalezienie wspólnego języka było zadaniem uciążliwym, jednak w końcu doszliśmy do ładu.

Na łanach i ugorach polskiej prasy codziennej.

Dzienniki polskie, wychodzące w tym okresie czasu na terenach Rzeczypospolitej, z wydawniczego punktu widzenia przedstawiały wielką rozbieżność pod względem objętości, układu, ceny i zamożności.

Najsolidniejszym wydawnictwem codziennym był „Kurier Warszawski”, największy rozpęd wykazywał instytut wydawniczy Mariana Dąbrowskiego, w Krakowie („Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Światowid” etc.). Współzawodniczył z nim warszawski „Dom Prasy”, który wydawał kilka dzienników i tygodników („Ekspress Poranny”, „Kurier Czerwony”, „Kino”, „Przegląd Sportowy” etc.).

W nieustannych perypetiach, jakie przechodziła Polska, „Kurier Warszawski” nic nie uronił z tego dziedzictwa, jakie pozostawił.

stawił Wacław Szymanowski, a które Franciszek Lewentał podparł swoją obrotnością kupiecką. „Kurier Warszawski” cieszył się niezachwianym zaufaniem dostatniej burżuazji warszawskiej, chętnie był czytany w dworach wiejskich b. Królestwa. Ogromne dochody czerpiąc z reklam, drobnych ogłoszeń i nekrologów, nie odczuwał, jak inne pisma, dolegliwości kryzysowych. Drobne ogłoszenia mnożyły się w ciężkich czasach, nieboszczycy nie zawodzili nigdy.

„Kurier Warszawski” trwał nieugięcie na straży Kościoła Katolickiego i tradycji narodowych. Zachowywał w drażliwych okolicznościach przykładną ostrożność i równowagę, zawsze — dobre obyczaje prasowe.

Zalety te cenili nawet przeciwnicy, wymawiający pismu oportunizm i przedawnione formy dziennikarskie.

Krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny” swą jaskrawą żywotnością, szybkością i obfitością informacji, oraz zadzierzystym tonem trafiał do smaku małopolskich rzesz czytelników. Podczas wojny światowej Marian Dąbrowski rozpowszechnił swe wydawnictwo na całym terenie okupacji austriackiej, dotarł do okupacji niemieckiej. Była chwila, że nosił się z zamiarem przeniesienia całego przedsiębiorstwa do Warszawy.

Dla swych ambitnych zamysłów znalazł w swym szwagrze Mieczysławie Dobiji pomocnika ruchliwego i pomysłowego.

„Ilustrowany Kurier Krakowski” wszakże, mimo usilnych zabiegów, nie zdobył w Warszawie szerszej poczytności. Stąd zapewne wywodziła się uparta niechęć Dąbrowskiego do stolicy. Lepiej odeń orientował się w stosunkach warszawskich Dobija.

Ten, rozwiódłszy się z pierwszą małżonką, zakochał się w bardzo ładnej aktoreczce krakowskiej, którą zaangażował za swojej dykcji do Teatrów Warszawskich. Zofia Nakonieczna była na scenie zjawiskiem nader powabnym. Złośliwi koledzy mimo to mianowali ją „niekonieczną” i to przezwisko do niej przylgnęło.

Przez dłuższy czas nakład „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” górował nad nakładami innych dzienników polskich. Żaden galicyjski dygnitarz, nauczyciel, czy zwykły skryba nie mógł się obyć bez „Kurierka”, zaś Bóg jeden wiedział, ile zapelniali oni w całej Polsce urzędów! Dąbrowski i Dobija posiadali w Krakowie takie „chody”, że tamtejsza dykcja kolejowa przystosowywała rozkład pociągów do potrzeb wydawniczych popularnego dzienni-

ka. Takie przywileje gorszyły wydawców warszawskich, przede wszystkim zaś tzw. „prasę czerwoną”, ześrodkowaną w „Domu Prasy”.

Założycielami tej spółki byli moi dawni współpracownicy z „Kuriera Polskiego”: Henryk Butkiewicz, dziennikarz niezwykle zdolny, Antoni Lewandowski, sprężysty i pomysłowy organizator wydawniczy, oraz Jerzy Plewiński. Skorzystali oni z doświadczeń głośnego wydawcy londyńskiego, Harmsworth’a, który w maju 1896 r. swym dziennikiem „Daily Mail” wywołał przewrót w prasie angielskiej.

Obniżył cenę numeru swej gazety do pół pensa, dostosował jej poziom do poziomu umysłowego i zaineresowań szerokich warstw czytelniczych. Harmsworth, późniejszy lord Northcliffe, dawał swym czytelnikom to, czego pragnęli. W pierwszym rzędzie sensację! Udostępnił swój dziennik, długie artykuły zastąpił krótkimi notatkami, których efektowne, lapidarne nagłówki bywały wymowniejsze od treści.

I w czwartym roku istnienia „Daily Mail” drukowała blisko półtora miliona egzemplarzy!

W Warszawie najniższa cena dzienników wynosiła 20 groszy za numer. Butkiewicz i Lewandowski obniżyli ją do połowy, stworzyli nowy typ pisma popularnego: „Ekspress Poranny” i „Kurier Czerwony” niosły swoim czytelnikom najświeższe wiadomości w formie sensacyjnej, lub zabawnej.

Spółka okrzepła, odkąd przystąpił do niej, jako udziałowiec płk. Bogusław Miedziński. Jego pełnomocnik, mjr. Leon Puławski objął przewodnictwo w radzie zarządzającej „Domu Prasy”.

Naczelnym organem obozu rządowego była „Gazeta Polska”. Patronat nad tym dziennikiem dzierżył również płk. Miedziński, z biegiem czasu stał się podobno jego głównym właścicielem.

„Gazeta Polska”, rozporządzając daleko sięgającymi przywilejami, posiadała pierwszorzędných korespondentów zagranicznych. Jej współpracownicy mieli wszędzie dostęp ułatwiony. Pułkownika Miedzińskiego wszakże nadto pochłaniała polityka, aby mógł wydawniczej zajmować się sprawami redakcji. Zastępował go płk. Matuszewski, później — Mieczysław Starzyński, młodszy brat prezydenta m. Warszawy.

Grupa belwederska zagarnęła także „Kurier Poranny”, z którym, po nagłej śmierci w Genewie Kazimiera Ehrenberga, Ludwik Fryze nie mógł sobie poradzić. „Czynniki miarodajne” zaintere-

sowały się jego kłopotami. Niecierpliwość wierzycieli została utemperowana, ale Fryze nic na tym nie zyskał, mimo że zaledwie przed paru laty został, wraz z Ehrenbergiem, nagrodzony komandorią orderu „*Polonia Restituta*”. Teraz odepchnięto go od własności pisma i od redakcji bez odszkodowania. Były potentat prasy warszawskiej, którego Adam Nowicki polskim lordem Rothermere nazywał, wiódł odtąd życie w niedostatku i bezczynności. Stanowisko, które w „*Kurierze Porannym*” piastował za czasów Ludwika Fryzego Palemon Magnuski, powierzone zostało wdowie po Tadeuszu Hołówce, fotel redaktorski otrzymał Wojciech Stpiczyński. Tego trawiła nieuleczalna choroba, że zaś życie prowadził nad miarę sił i zdrowia, w niedługim czasie umarł.

„*Kurier Poranny*” we władaniu obozu prorządowego mało zyskał nowych zwolenników, a utracił znaczną liczbę dawnych, przede wszystkim — Żydów —, którzy stanowili poważny kontyngent jego prenumeratorów.

Z pism popołudniowych, prócz „*Kuriera Czerwonego*”, dużą poczytność w stolicy zyskał „*Wieczór Warszawski*”. Dyrektorem wydawniczym tego dziennika był senator Tadeusz Kobyłański, zastępował go Bolesław Biega, a naczelnym redaktorem był Stanisław Strzetelski, publicysta wykształcony i doświadczony. Współzawodniczył z „*Wieczorem*” „*Goniec Warszawski*” Stanisława Majewskiego i „*A. B. C.*”, którym przez pewien czas kierował dr Tadeusz Glużyński, szwagier Kornela Makuszyńskiego.

Prasa narodowo-demokratyczna przechodziła ciężkie opresje. Gnębiły ją konfiskaty. Roman Dmowski, najtęższy mózg i najlepsze pióro stronnictwa, przeniósł się do wieczności. Inni dawniejsi przywódcy zestarzelili się, młodsze żywioły stronnictwa, niedawno tak silnego, bratały się z radykałami narodowymi („*O. N. R.*”).

„*Robotnik*” pozostał bastionem Polskiej Partii Socjalistycznej, skupiał jej przednie siły. Mieczysław Niedziałkowski, redaktor naczelny a polemista cięty, wiódł homeryckie boje z „*Gazetą Polską*”.

Organem Żydów polskich był starannie przez Hirschhorna i Schwalbego prowadzony „*Nowy Przegląd*”.

Pięciogroszowy „*Kurier Codzienny*”, redagowany przez Jerzego Szapirę, rozchodził się przeważnie na peryferiach Warszawy.

„*Mały Dziennik*”, również pięciogroszowy, drukowali O. O. Niepokalanie w Szymanowie.

W Wielkopolsce przodujące miejsce w prasie codziennej zajmował „*Kurier Poznański*”. Redagował go Marian Seyda, dyrek-

torem wydawniczym był rozważny, zacny Roman Leitgeber. Wśród wydawców pomorskich wyróżniał się trzeźwością i pogodą umysłu Edward Pawłowski, właściciel „*Kuriera Bydgoskiego*”. We Lwowie największą poczytnością cieszył się „*Wiek Nowy*”, którego wieloletnim redaktorem był Bronisław Laskownicki, dyrektorem wydawniczym — adw. Gromski. W Łodzi znaczne nakłady osiągnął „*Ekspress Ilustrowany*”. Czcigodny organ konserwatystów krakowskich, — „*Czas*”, — przeniósł swe penaty do Warszawy. Niewiele na tem skorzystał, mimo że w Janie Moszyńskim znalazł inteligentnego i ruchliwego redaktora. Harcownikiem zachowawczym niepospolitego talentu i temperamentu był Stanisław Mackiewicz, redaktor i wydawca wileńskiego „*Słowa*”. On — i Władysław Studnicki — nie lękali się idei niepopularnych, swojej prawdy w bawełnę nie obwijali. Mackiewicz rąbał na prawo i na lewo, ale zawsze z animuszem rycerskim.

O zainteresowaniach etyczno-literackich sfer rządowych miały świadczyć dwa wydawnictwa: jedno — zbyt słabe pod względem graficznym, — „*Arkady*”, — wydawała Polska Agencja Telegraficzna z dochodów, jakie niósł oficjalny „*Monitor*”, drugie — tygodnik „*Pion*”, było wzorem pretensjonalnej nieudolności.

Niemcy już jarnie szykowały się do wojny.

W ustroju państwowym i życiu społecznym Rzeszy dokonywały się wielkie przeobrażenia. Z dawnych autorytetów pozostał nietknięty autorytet wojska.

Już przed 150 laty Mirabeau powiedział, że Prusy nie były krajem, posiadającym armię. Prusy były armią, która zdobyła kraj.

Generalicja niemiecka utrzymywała w narodzie swe znaczenie, bo nie dotknęło jej odium traktatu wersalskiego. Erzberger przypłacił życiem swe zabiegi pokojowe. Hindenburg stale powtarzał, że lepsza chwalebna klęska, niż haniebny pokój.

Hitler, sięgając po niepodzielną władzę, autorytet armii uszanował, ustawą o dwuletniej służbie wojskowej zyskał jej względy. Zapowiadał uroczystie, że „*rękojmnia honoru i bezpieczeństwa powierzona została z powrotem własnej sile narodu niemieckiego*”. Służba wojskowa znów stała się szczytna, każdy Niemiec

był do niej obowiązany. W Rzeszy żaden mężczyzna i żadna kobieta nie mogli się uchylić od udziału w obronie ojczyzny.

Nowe formy wymagały nowej treści. Tej winny były dostarczyć pokolenia młode, Hitler podjął ich wychowanie. Począwszy od lat ośmiu wszystkie dzieci niemieckie musiały należeć do organizacji *Jungvolku*.

„Służba pracy” (*Arbeitsdienst*) objęła młodzież wszystkich stanów i obojga płci. Gdy nadchodziła pora wykonywania zajęć, młodzież spędzała tygodnie w koszarach, przyuczała się do rygorów życia wojskowego. Nawykła w ten sposób do życia zbiorowego, do bezwzględnej karności i ciągłej kontroli. Służba wojskowa dopełniała reszty.

...Niewolnicy nie tworzą tyranów, lecz przeciwnie, tyrani tworzą niewolników!

System wychowawczy, militaryzując i socjalizując, miał urobić nowy typ Niemca, — dać mu siłę fizyczną, wiedzę praktyczną, kult i umiejętność pracy. Miał nadewszystko stępić indywidualność. Cała młodzież niemiecka szła pod jeden strychulec.

Wszędzie i zawsze produkcja seryjna!

Stroną duchową zajmie się propaganda, szpiegowsko czujna, bezustanna. Ta będzie trzymać „myśl w obcęgach”, zhistryzuje młode roczniki gwałtownym entuzjazmem dla wodza i ustroju i ślepą nienawiścią do wrogów istotnych i urojonych. Utwierdzi wiarę w wyższość rasy niemieckiej, w jej władcze przeznaczenie, — i w siłę brutalną, jako czynnik „zawsze i jedynie decydujący”.

Nauka Chrystusowa, miłość bliźniego, ukochanie wolności i prawdy?

Zwiędłe kwiaty dnia wczorajszego!

Dzień dzisiejszy, to był trud nad odbudową przemocy. W mózgach niemieckich utkwiała przestroga Bismarka: Armaty należy kuć w czasie pokoju! Dzień jutrzejszy przyniesie wspaniałe zwycięstwa, ujarzmienie narodów słabszych, otwarcie bezgranicznych „przestrzeni życia”...

Zapał powszechny pociągnął i starsze pokolenia, udręczone pamięcią klęski, żarte żądzą odwetu. Armie organizują, ćwiczą i zbroją dawni oficerowie cesarscy. Kierownictwo produkcji objęli wyszkoleni i doświadczeni fachowcy. Nauka poszła na jej wysługi. Intensywny rozwój rolnictwa i przemysłu miał uniezależnić Rzeszę od blokady. Antoni Zischka, komentator i apologeta owych usiłowań, wydał dla pokrzepienia serc studium p. t.: „*Wissenschaft*

bricht Monopole” (Nauka łamie monopole). Zgromadził w niej wiadomości o cudach, osiąganych przez niemiecką chemię syntetyczną. Fabryki niemieckie wytwarzały z węgla, drzewa, wapna, mleka i wody — benzynę, kauczuk, materiały wybuchowe, różne tkaniny. Udoskonalona margaryna zastępowała masło, olej rzepakowy, świetnie rafinowany, — oliwę, sacharyna — cukier. Postępy rolnictwa zwiększały niepomiarnie produkcję ziarna i roślin okopowych. Rozwój hodowli bydła i nierogacizny — ilość mleka i mięsa.

Nowe wynalazki w dziedzinie sprzętu wojennego i pocisków mnożyły się, jak rydze w mchu. Miotacze ognia nazwano „ukoronowaniem geniuszu niemieckiego”!...

A Europa?

Skłócona wewnętrznie Francja tak dalece obawiała się wojny, że przymykała oczy. Wierzyła w niezwyciężalność linii obronnej Maginota!

Zacny lord Chamberlain łudził się wytrwale nadzieją, że uda mu się grożącą burzę zażegnać. Dzwonek laterański zastępował parasol, który nieodstępnie towarzyszył mu w podróżach i przechadzkach: przekonał się po niewczasie, że parasol może osłonić od deszczu, ale nie od bomb, sianych spod nieba przez samoloty nieprzyjacielskie.

W Paryżu i Londynie pocieszano się tanim optymizmem Capus'a: — *Tout s'arrange!*... Jakoś to będzie!...

Sztuczny spokój zakłócił Mussolini. W październiku 1935 r., skorzystawszy z błahego incydentu w Ual-uai, wszczął wojnę z Abisynią. Okazało się, że przygotowywał się do tej kampanii zawczasu: wojska włoskie, wyposażone w nowoczesny sprzęt wojenny, łatwo zwyciężyły lichy uzbrojonych Etiopów. Sromotna klęska, zadana kiedyś Włochom przez Menelika pod Aduą, została pomszczona, cesarz Haile Salassie musiał szukać schronienia w Anglii. Król Wiktor Emanuel awansował na cesarza Etiopii. Sukces afrykański tak rozzuchwiał Mussoliniego, że niebawem sięgnął po Albanię.

Jasne i zdecydowane stanowisko zajął w lipcu 1937 r. prezydent Stanów Zjednoczonych, Franklin Roosevelt. Stwierdził, że dyktatury groziły niebezpieczeństwem całemu światu, że wobec tego

doktryna Monroe'go „Ameryka dla amerykanów” stawała się przeżytkiem.

Nie poprzestał na słowach. Jął tak usilnie rozbudowywać flotę wojenną Stanów Zjednoczonych, że w ciągu kilku lat stała się największą potęgą morską świata.

...Niemiecka propaganda nienawiści ze szczególną zawziętością zwracała się przeciw Polsce.

Tak niedawno jeszcze prof. Schmoller pouczał swych niemieckich słuchaczy, że największym błędem Fryderyka Wielkiego był rozbiór Polski. A stary Wundt, chluba nauki niemieckiej, zapewniał, że odbudowa Polski Niepodległej była koniecznością historyczną!

Teraz Polska uznana została za główną i nieznosną przeszkodę, wstrzymującą germańskie parcie na Wschód — *Drang nach Osten*. Przeszkodę należało znieść, naród polski — unicestwić.

Gen. Sikorski na szpaltach „Kuriera Warszawskiego” wymownie komentował przygotowane zabiegi wojenne Rzeszy.

W książce p. t.: „Przyszła wojna” przestrzegał, że Trzecia Rzesza nie wyrzeknie się odebrania Polsce Górnego Śląska i Pomorza, że wiara w jej zapewnienia pokojowe byłaby niedorzecznością. Książka gen. Sikorskiego, przełożona na język francuski, wzbudziła na Zachodzie zainteresowanie.

Polska przed burzą dziejową.

Zyndram Kościałkowski tak dalece klikę rządzącą zawiódł, że rychło musiał z przewodnictwa w Radzie Ministrów ustąpić! Na pocieszenie dano mu tekę Opieki Społecznej

Według tej taktyki urzędników, którzy w dzielnicach zachodnich zdali egzamin ze swej niezdatności, wysyłano na Kresy Wschodnie, gdzie potrzebna była właśnie najświatlejsza energia władzy państwowej. Resort Opieki Społecznej obejmował Kasy Chorych, Ubezpieczalnie Społeczne, Inspekcję Pracy, kompleks innych ważnych spraw państwowych. Instytucje te, w zasadzie bardzo pożądane, w praktyce były dokuczliwe. Skutek był taki, że mnożyły wciąż liczbę urzędników, ci zaś gorliwie dokładali starań, by każdemu interesantowi dowieść, że w Polsce nie tabakiera służyła dla nosa, lecz nos dla tabakiery.

Hodowcę karpi z pod Święcian, czy z pod Oszmiany, zastąpił gen. Sławoj-Składkowski, z zawodu lekarz: przed wojną światową prowadził klinikę chirurgiczną w Sosnowcu. Wstąpił do Legionów, służbistością zwrócił na siebie uwagę. Późniejsze „Strzępy meldunków” odzwierciadliły, jak gen. Składkowski ujmował swoje zadania i obowiązki. Przede wszystkim — bezwzględne, nie mędrkujące wobec władzy zwierzchniej, posłuszeństwo! Władzę nadrzędną, po zgonie marsz. Piłsudskiego, stali się dlań prez. Mościcki i marsz. Rydz-Śmigły. W pożyciu domowym — Francuzka o temperamencie gwałtownym, którą podczas dłuższego pobytu w Paryżu poznał i, rozwiodłszy się z pierwszą żoną, zaślubił.

Gen. Składkowski, przyjmując, jako minister czy szef rządu, delegację lub poszczególnie osoby, trzymał stale w ręku zawczasu przez sekretarkę przygotowane arkusze papieru. Słuchał i szybko notował. W ten sposób gromadził dalsze „Strzępy meldunków”. Swego zdania skąpił, decyzje odkładał.

Samodzielnie interesował się zagadnieniami higieny w miastach i po wsiach. Jego zapobiegliwość w tej dziedzinie nie była bez pożytku.

Wszelka racjonalna praca wymaga trafnego doboru kierownika, w jego bowiem ręku koncentruje się rozplanowanie wysiłków, ostateczna decyzja i nadzór nad wykonaniem. Gen. Składkowski mógł być sprężystym naczelnikiem policji miejskiej. Dla prez. Mościckiego i marsz. Rydza był najdogodniejszym szefem rządu.

Minister Skarbu, Eugeniusz Kwiatkowski przystąpił do rozbudowy Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP).

Okręg ów miał:

- a) wzmocnić państwo wielkimi wytwórniami, które w razie potrzeby mogłyby służyć celom obronnym,
- b) dać zatrudnienie i zarobki bezrolnym, których liczba w przebudowanych, dotychczas nieuprzemysłowionych częściach kraju, bezustannie się zwiększała.

Z punktu widzenia interesu państwowego i pożytku społecznego inicjatywa była doniosła. Niepokój budziła bliskość granicy niemieckiej.

.

Marsz. Piłsudski od przewrotu majowego do ostatnich dni życia był w Polsce instancją najwyższą. Władza jego opierała się na autorytecie osobistym.

Gdy marsz. Piłsudski przeniósł się do wieczności, prez. Mościcki odczuł brak autorytetu moralnego, któryby go w armii i w narodzie podpierał i osłaniał. Wydało mu się, że należało szukać generała, któryby marsz. Piłsudskiego zastąpił.

Generał Sosnkowski?

Nie budził zaufania.

Więc kto?

Wybór padł na gen. Rydza, który w ostatnich latach życia marsz. Piłsudskiego, stał się jednym z najbliższych jego współpracowników, — a w kampaniach legionowych i w późniejszych potrzebach wojennych nieraz się odznaczył.¹⁾

Buławę marszałkowską otrzymał gen. Rydz.

Szerszemu ogółowi polskiemu był mało znany. Pochodził z Małopolski Wschodniej, ojciec jego był zatrudniony w żandarmerii polowej, podobno pisał się: Rietz. Edward Rydz uczęszczał przez jakiś czas do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Więszego talentu w malarstwie nie uwydatnił. Odkąd wstąpił do Legionów, żywiołem jego stało się wojsko.

Marsz. Piłsudski cenił w nim wypróbowanego oficera.

Ożenił się w Wilnie, kiedy w tym mieście kwaterował. Zaślubił córkę aptekarza z pomniejszego miasteczka kresowego. Stąd mówiono, że gen. Rydz wywodził się z Brzeżan, a jego żona — z apteki. Pierwszy jej mąż rozszedł się z nią, lecz nie przestał być zazdrosnym. O względy pani począł zabiegać pewien ziemianin, ona domagała się od męża zgody na rozwód. Pewnego dnia w Wilnie odprowadzała narzeczonego na dworzec. Że widocznie na dłuższy czas wyjeżdżał, żegnali się czule. Niespodzianie zjawił się na peronie mąż. Ujrzał żonę w objęciach obcego mężczyzny, zamroczyło go. Wyciągnął z kieszeni rewolwer, strzelił. Ziemianin padł trupem u stóp bogdanki.

Tragizmowi tego przeżycia przypisywano w znacznym stopniu późniejszy stan nerwów młodej pani, — kiedy, uzyskawszy w końcu rozwód, wstąpiła w ponowne związki małżeńskie z gen. Rydzem.

Gen. Rydz, który od czasu udziału w lubelskim parodniowym rządzie Daszyńskiego, trzymał się z dala od polityki, — nie dorastał

¹⁾ Marsz. Piłsudski, wyjeżdżając raz do Wilna, zastępstwo w Inspektoracie na czas nieobecności powierzył gen. Rydzowi. Stąd jakoby wylęła się legenda, że marsz. Piłsudski uważał gen. Rydza za swego następcę.

do stanowiska, jakim go kaprys losu wyposażył. Znalazłszy gorliwych dworaków, którzy mu bakę świecili, uwierzył w swoją misję dziejową. Pojechał z oficjalną wizytą do Francji, zaczął wygłaszać przemówienia na zjazdach legionistów, i takiego nabrał przeświadczenia o uniwersalności swego umysłu, że nie odmawiał swych wskazówek nawet twórcom nowego statutu miejskiego dla Warszawy.

W dniu 10 listopada 1936 r. odbyło się w Zamku uroczyste wręczenie gen. Rydzowi buławy marszałkowskiej.

...Dawniejsi, najbliżsi towarzysze broni marsz. Piłsudskiego, — pułkownicy Sławek i Prystor w pierwszym rzędzie, — tracili wpływy. Płk. Sławek, prezes Bloku Bezpartyjnego, piętnował surowo szerzące się w obozie prorządowym karjerowiczostwo i pogoń za zyskownymi synekurami. Filipiki te wywoływały niepokój w kołach zamkowych, niemniej — w odłamie żywotniejszych belwederczyków. Uznano, że Blok spełnił swą powinność, przeprowadzając w Sejmie i Senacie Ustawę Kwietniową. Murzyn zrobił swoje, murzyn mógł odejść. Blok został rozwiązany, płk. Sławek uczuł się tak dalece opuszczony, że odsunął się od życia politycznego i osiadł w swej skromnej resztówce pod Raławicami.

Prezydent Mościcki, marsz. Rydz i ich powiernicy, doszli do przekonania, że sztucznie osiągnięta większość w Izbach nie była wyrazem przeważającej opinii w kraju. Postanowiono powołać do życia wielką organizację ponadpartyjną, któraby wytwarzała w narodzie przychylne nastroje dla poczynąń rządowych.

Marszałek Rydz zgodził się „Obozowi Zjednoczenia Narodowego” (OZON) orędownać.

Wówczas wyłonił się problem.

Komu powierzyć czynne tego Obozu kierownictwo? Potrzebny był człowiek, budzący w powszechności zaufanie.

Zgodzono się na płk. Koca.

.

Płk. Koc był człowiekiem wysokiej wartości moralnej. Serce gorące, charakter prawy, gotowość do poświęceń, brak wygórowanych ambicji. Podczas obrony Warszawy dowodził pułkiem ochotników. Kula przeszła mu wątrobę, cudem uratowano mu życie. Pełni zdrowia nigdy nie odzyskał.

Nieposzlakowana uczciwość i bezinteresowność płk. Koca sprawiała, że powierzano mu odpowiedzialne misje finansowe.

Fachowymi w tej dziedzinie doradcami płk. Koca stali się: Szymon Landau i Mojżesz Lewin. Pierwszy posiadał skuteczne stosunki w Londynie, drugi — w Holandii. Obaj dorobili się znaczniejszych fortun. Landau zarządzał spółką „Siła i Światło”, wybudował i prowadził Elektrownię Pruszkowską, Lewin obdarzył półwysep Hel „Juratą”. Państwo Landau mieszkali we własnej, pięknej posiadłości w Konstancinie, dygnitarze sanacyjni spotykali się u nich z zagranicznymi finansistami i dyplomatami. Pani Landau, siostra radcy prawnego naszej ambasady paryskiej, adw. Józefa Wittenberga, była główną opiekunką Klubu Golfowego w Klarysewie. Klub ściągał wytworne towarzystwo polskie i cudzoziemskie, współdziałał w nawiązywaniu pomocnych znajomości.

Płk Koc miękkie miał serce i miękką duszę. Pod jego gołębie skrzydła parły się rzesze wiercipiętów różnego kalibru, lecz jednakochciwych żeru i wyzuty ze skrupułów. Tajemniczy zamach, dokonany przez najętych opryszków na jego willę w Świdrze, miał służyć mu przestrogą.

... W początkach napływ członków do OZONU był ożywiony. Rychło wszakże uwidoczniło się, że ci, co w tej organizacji płk. Koca obsiedli, przeważnie o swoich własnych ambicjach i karierach myśleli.

Kogokolwiek sprawy osobiste, czy chęć wrażeń zapędziły w tych czasach do Niemiec, wracał zaniepokojony, opowiadał o gorączkowych przygotowaniach do wojny. Nasze „sfery miarodajne” markowały spokój. Akt o nieagresji z Rzeszą obowiązywał. Minister Beck jeździł do Paryża, Londynu i Pragi, w Berlinie z kancle-rzem Hitlerem rozmawiał. Prez. Mościcki urządzał dla marsz. Goeringa polowania w Białowieży. W Warszawie fetowano Greisera, — tego samego Greisera, który w trzy lata później, jako *gauleiter* poznański, o całe piekło prześcignął wileńskiego Murawiewa-Wieszatiela.¹⁾ Nowy minister Sprawiedliwości, Grabowski, następca Michałowskiego, był goszczony w Berlinie przez Franka, — który w martyrologii polskiej lat 1939—44 tak okrutnie i krwawo się wyróżnił.

¹⁾ W roku 1946-m Greisera spotkała zasłużona kara.

... Minister Beck był pracowity. W przeciwieństwie do innych dyplomatów, — reprezentację salonową uważał za stratę czasu. Gdy późną porą opuszczał pałac Brühlowski, niekiedy wstępował do jednego z hotelowych barów przy dancingu, siadał samotnie w kącie, i ćmiąc mocne cygaro, rzeźwił się odstałym koniakiem. Jazgot hałaśliwego jazzbandu, zgiełk, śmiechy i krzyki, widok par, krążących w dreszczach tanga, — duszność powietrza, zatruta perfumami, alkoholem, dymem i zmysłowością, uspakajały nerwy ministra.

... Opozycja zamilkła. Witos, Korfanty, Lieberman błakali się za granicą. Dawni przywódcy Demokracji Narodowej starzeli się, Dmowskiego brakło. Oenerowcy grzęzli w obrzydliwym żydożerstwie. Zajazd młodego burzliwca, Adama Doboszyńskiego na starostwo w Myślenicach został łatwo zlikwidowany. Bolesław Piasecki nie mógł wydobyć swej „Falangi” z powijaków. Konserwatyści, odsunięci od rządu, trwali w *splendid isolation*, demokracja chrześcijańska drzemała. Zarysowywał się nieśmiało centrowy „Front Morges”, inspirowany przez Paderewskiego, gen. Sikorskiego i Strońskiego.

... Adam Doboszyński junior był synem adwokata krakowskiego tegoż imienia, który, podjąwszy na własne ryzyko przeprowadzenie wielkiego procesu spadkowego w Petersburgu, wygrał dla swych mocodawców ogromną fortunę, — dla siebie i rodziny — zamożność. Wzbogacony jurysta nabył majątek ziemski, przylgnął do demokratów krakowskich, podparł tamtejszą „Nową Reformę”, z czasem przejął ją na własność. Uzyskał mandat do wiedeńskiej Rady Państwowej. Znałem go jeszcze z czasów mego narzeczeństwa, bo się z matką mej żony przyjaźnił. Kiedy przed laty mieszkaliśmy w Paryżu, odwiedzał nas tym chętniej, że żyliśmy w towarzyskich stosunkach z panią Wiśniewską, wdową po emigrancie powstaniowym. Doboszyński zakochał się w jej córce, o rękę panny zabiegał i w końcu ją poślubił.

Wyroczenia na Śląsku Cieszyńskim.

Letnie miesiące w roku 1937-m spędziłem w Wiśle na Śląsku Cieszyńskim. Prastara dzielnica piastowska wabiła mię zdawna, znałem ją mało. Czarowała łagodną pięknnością.

Wejścia do doliny Wisły w Beskidach strzegą ociężała Czar-toria i raczej strzelista Równica. Królowa naszych rzek, dopiero co ze swych źródeł wyzwolona, wąskim jeszcze łożyskiem, w ciemnej zieleni buków i świerków, śpieszy z wesołym bełkotem w głąb Polski. W dali granatowe pasmo gór, szczyt Baraniej w mgłach opalowych. Z Dziehcinki, Gabajowej, Jawornika, Malinki, Par-tecznika, po skalistych wertepach pędzą do macierzy gwarliwe potoki. Powietrze jak szampan: daje płucom gazu, podnieca radość życia. Pełnia księżycy nad Gubalonką! Boże! Jakie cuda dla Polski stworzyłeś!

Nic bardziej wzruszającego, jak świąteczne nabożeństwo w Iz-debnej. Kościółek na górze, dolne ławy zajęte przez godne gospo-dynie, wszystkie w jednakowo uroczystym oblóczeniu. Dziewczęta, jak przystało niewinności, skromnie skupiają się w przejściu. Gos-podarze i chłopaki na pięterku: z Izdebnej — w czarnych, z Konia-kowa — w czerwonych kamizelkach. Ołtarz okolony ściennymi malowidłami Wałacha, który tu się urodził i dla swoich maluje. Ksiądz odprawia nabożeństwo z przejęciem, a gdy wejdzie na am-bonę i do góralskiego narodu przemówi, kościółek drży od west-chnień i postękiwań. Czasem ktoś, strzysnąć nie mogąc, zawoła, tkliwa kobieta zapłacze... Jakie śpiewy, jakie modły!

Trzy dla mnie najpiękniejsze w Polsce nabożeństwa, to w Czę-stochowie podczas odpustu, w krakowskim kościele Mariackim i w Izdebnej!

...Nabożeństwo się skończyło, plac przed kościołem, ocienio-ny sędziwymi kasztanami i lipami, wypełnia się tłumem. Starsi au-tochtoni kroczą bez pośpiechu ku bliskiej gospodzie. Wielka izba cokolwiek mroczna, z okien widok na góry i lasy, że się nim oczy nie mogą nasycić. Pokraczny szynkarz za ladą, jakgdyby żywcem zdjęty z obrazu Goyi. W dużych szklanicach pieni się czarne piwo cieszyńskie, lekkie, chłodne i słodkawe. Dokoła twarze poważne i życzliwe, rozmowy przyciszone. Zapytać, odpowiedzą chętnie i taktownie.

W dolinie gubajowej nad strumieniem, gospoda pośledniejsza, ale z terenem, zastępującym ogród. W dni świąteczne latem hasa tu młodzież. Paru górali dmie w trąby lub dmucha w piszczalki, stary brodacz spiczaste z kobzy dźwięki dobywa. Kawaleria — przy oddzielnym stole — niezgorzej czyści gardła. Dziewczęta stadkiem obsiadły wzgórek.

Gdy huknie kapela, chłopaki jakby ociągając się, ruszają z ław, podchodzą do dziewczyn. Każdy ma swoją, z nią tylko tańczy.

Czasem przytupnie tak dziarsko, że dziewczynie robi się gorąco, oblewa się pąsem.

W Wiśle, nad basenem, goście z miast całej Polski tańczą od rana do obiadu, w kostiumach kąpielowych, na placyku przed ka-wiarenką. Czasem, gdy słońce nadto doskwiera, któraś z rusałek wyrwie się z objęć kozodoja i plusk do wody! On za nią, gonitwa, nurki, zdyszane krzyki, perliste śmiechy...

A nad Polską groźne gęściły się chmury!

Sygnały.

Bolesław Koskowski w noworocznym „Kurierze Warszawskim” zapowiadał, że rozpoczynający się rok „nie będzie senny”.

Gen. Wład. Sikorski oznajmiał, że nadchodzi moment decydujących rozstrzygnięć. Pokój czy wojna?

W Niemczech gruntowne zmiany militarne. W armii (*Reichswehr*) — generał v. Brauchitsch, w pospolitym ruszeniu (*Wehrmacht*) — generał Keitel.

Wodzem naczelnym — Adolf Hitler, b. kapral austriacki.

Do jego rady przybocznej weszli: Ribbentrop, Goering, Rudolf Hess, Goebbels, generałowie Brauchitsch i Keitel, admirał Raeder.

Niezadługo z tymi nazwiskami będziemy spotykać się częściej...

Stanisław Stroński stwierdzał, że w Europie robiło się gorąco. ... A Europa?

W Londynie postanowiono zażądać od Hitlera wyjaśnień. Niech świat dowie się wreszcie, czego odradzające się Niemcy chcą, jakie są ich zamierzenia.

Aby wyłuskać prawdę, brytyjski minister spraw zagranicznych, lord Halifax udaje się do Berlina.

I maska spada. Niemcy nie mogą pogodzić się z utratą kolonii afrykańskich. Domagają się ich zwrotu, ale z naddatkiem; roszczą pretensje do Konga belgijskiego, do Angoli portugalskiej! W zamian gotowe zrzec się agresywnych intencji wobec Czechosłowacji. Niemcy sudeccy wszakże muszą uzyskać autonomię narodową.

Rzesza nie dozna przeszkód w swych dążeniach do przyłączenia (*Anschluss*) niemieckiej Austrii...

Wreszcie skromne życzenie: Rzesza przestrzega W. Brytanię i Francję przed jednostronnym układem z Rosją Sowiecką. Wschód Europy, to „niemiecka przestrzeń życia”!

W Londynie i Paryżu silne poruszenie. By je złagodzić, nad Tamizą zjawia się Ribbentrop. Rozmowy toczą się dalej. Tłumy na ulicach witają gościa niemieckiego okrzykami:

— Ribbentrop! Wynos się!

Zacny lord Chamberlain w dalszym ciągu snuje idylliczne plany poczwórnego dyktoriatu (W. Brytania, Francja, Niemcy i Włochy), który objąłby kierownictwo spraw politycznych w Europie.

W Warszawie, w korytarzach pałacu Brühlowskiego szeptało, jakoby nie było wykluczone, że do tego wysokiego synhedrionu zostanie wciągnięte piąte państwo — Polska. Powoływano się na słowa Hitlera, wypowiedziane w Sejmie Rzeszy, a wyrażające uznanie dla „prawdziwej neutralności” Polski, dla jej dobrej woli w stosunkach z Gdańskiem...

Zagraniczna polityka polska wyladowywała się w odwiedzinach sąsiedzkich i w wystawnych przyjęciach. Regent węgierski, adm. Horthy, przybył do Krakowa. Prez. Mościcki gościł go tam na Wawelu, powiózł przez Warszawę na polowanie do Białowieży.

W kilka tygodni później Białowieża miała nowego gościa: marsz. Goeringa. Obiecywano mu rysie, ubił 8 dzików. Bardzo sobie chwalił polowanie w odwiecznej puszczy.

... Minister Beck nie wydawał się spokojny.

Finis Austriae. Czechy zagrożone.

Wiedeń, jedną z najstarszych i najpiękniejszych stolic kontynentu, po upadku monarchii dręczyły wszystkie nowoczesne plagi: bankructwa, bezrobocie i nędza, najazd spekulantów i przybłędów z całego świata.

Traktat wersalski skurczył niepomniernie granice Austrii. Polityczne i gospodarcze podstawy austriackiego państwa były tak kruche, że sprawowanie rządów stawało się tańcem wśród mieczów. Drwiono w Genewie: „*L'Autriche fait la politique d'autruche*”¹⁾

W 1932 r. władzę objął Dollfuss, dla niskiego wzrostu zwany „małym kanclerzem”. Był zwolennikiem Habsburgów, mniemał jednak, że pora ich powrotu na tron jeszcze nie nadeszła. Burzliwe wrzenie rozniecała agitacja wszechniemieckich socjalistów narodowych spod znaku swastyki.

¹⁾ Austria robi politykę strusia! (chowa głowę w piasek).

Doszło do krwawych zamieszek. Dollfus uśmierzył je, lecz sam padł ofiarą. Zamordowano go. Spadek przejął kanclerz Schuschnigg.

Agitację za przyłączeniem Austrii do Rzeszy prowadził Seyss-Inquart, sobowtór gdańskiego Foerster. Organizował zastępy austriackich socjalistów narodowych, podżegał do gwałtów. Pomagał mu dyskretnie v. Pappen, oficjalny ambasador Rzeszy w Wiedniu.

Schuschnigg wezwany do Berchtesgaden. Konferencja z Hitlerem w obecności v. Pappena i generałów Keitla i Reichenau. Atmosfera ciężka, nacisk ultymatywny. W rządzie austriackim musi znaleźć należne miejsce przedstawiciel partii narodowo-socjalistycznej! Schuschnigg broni się zawzięcie. Z obu stron padają słowa twarde, jak kamienie. Nerwowy wiedeńczyk zapomina o idiosynkrazji Hitlera do tytoniu, zapala papierosa po papierosie. Hitler stawia sprawę na ostrzu noża. Generałowie czekają na rozkazy.

Nie było rady, trzeba było ustąpić, zwłaszcza że prezydent Republiki Austriackiej, Miklas do zgody napierał. Wpuszczono kota do śpiżarni.

Odtąd szło jak z płotka. Agitacja na rzecz Anschluss'u wzbierała, jak górski potok na wiosnę. Burzliwe wiece, demonstracje, krwawe bójk. Schuschnigg jedyny ratunek widzi w plebiscycie. Lecz Hitler wie, że plebiscyt może zawieść, więc go odrzuca i postanawia kończyć z samodzielnością Austrii i z jej opornym kanclerzem.

Wczesnym rankiem 12 marca 1938 r. wojska niemieckie wkraczają do Austrii. W południe Hitler ląduje na lotnisku w Wiedniu.

Seyss Inquart wyprowadził na ulice miasta dziesiątki tysięcy sfanatyzowanej młodzieży, spokojni obywatele pozostali w pieleszach domowych.

Nieobecni zawsze tracą. Młodzież wiedeńska przyjmuje Hitlera, jako triumfatora.

W Berlinie radość, w Europie konsternacja. Prezydent Miklas zrezygnował, Schuschnigg internowany. Niezależne państwo austriackie przestało istnieć.

W. Brytania decyduje się wprowadzić powszechną służbę wojskową. Francuski minister spraw zagranicznych pytał podobno naszego ambasadora w Paryżu, Łukasiewicza, czy Polska wzięłaby udział w wojnie przeciw Rzeszy, gdyby Francja wystąpiła czynnie w obronie Czech. Łukasiewicz miał odpowiedzieć, że Polska nie czuła się na siłach do wojny z Rzeszą.

Rząd czeski tym niemniej spodziewał się, że w razie agresji ze strony Niemiec, W. Brytania, Francja i Rosja nie poskąpią pomocy.

W Rzeszy nie przykładano do tych obietnic wiary. Agent Hitlera, Heinlein hulał w Sudetach, podjudzając tamtejszych Niemców do buntu.

A w Polsce?

Z Litwą znów nieporozumienia. Koncentracje wojsk z obu stron granicy. Plk. Koc zniechęcił się do Ozonu, złożył prezesurę. Spadek objął generał Skwarczyński, żołnierz i polityk nieznan.

Plk. Beck objeżdżał Europę. W czasie I półrocza 1938 r. odwiedził Rzym, Rygę, Rewel, Sztokholm, Oslo.

Ambasadorem w Rzymie mianowany został gen. Wieniawa-Długoszowski, kawalerzysta urodziwy i z fantazją. Cukiernia Ziemiańska, w której nominat stale bratał się z cyganerią warszawską, jubilowała. Stali bywalcy — ucieszeni, że towarzysza ich zabaw spotkało tak nieoczekiwane wyróżnienie.

Signum temporis.

Hrabinę Oktawię Wielopolską spotkałem parę razy na zebraniach towarzyskich. Jawiła się również z mężem w lokalach publicznych, często w licznej męskiej asyście. Jej uroda blondynki promieniowała kobiecością w pełni rozkwitu.

Kiedy zimą r. 1937-go wyjeżdżała na czas niedługi do Paryża, gdzie mieszkała jej matka, p. Kurzeniewska, mąż i przyjaciele odprowadzali piękną panią na dworzec. Sypały się dowcipy i żartobliwe przestrogi, pani śmiała się do swych wielbicieli, żegnała ich z okna swego przedziału w wagonie sypialnym.

Na drugi czy trzeci dzień Warszawę poruszyła sensacyjna wiadomość. Oktawia hr. Wielopolska, podczas postoju w Berlinie, została zatrzymana przez niemieckie władze policyjne i osadzona w Moabie.

Rodzina wszczęła żarliwe usiłowania, aby hr. Wielopolską uwolnić. Niebawem jednak sprawa okazała się poważniejsza, niż pierwotnie sądzono. Niemiecka służba bezpieczeństwa oskarżała hr. Wielopolską o świadczenia dla wywiadu francuskiego. Wpłatały był w tę aferę wyższy oficer niemiecki.

Piękna pani zniknęła odtąd bezpowrotnie dla świata. Nikt z rodziny nie uzyskał do niej dostępu, śledztwo trwało rok z górą. Wio-

sną 1938 r. nadeszła wiadomość, że trybunał lipski skazał ją na dożywotne więzienie.

W tym samym mniej więcej czasie wrócił do kraju jeden z oficerów polskich, który przez dłuższy czas przydzielony był do naszej misji wojskowej w Berlinie. Nad Szprewą znany był, jako zapalony sportowiec. Prowadził życie wystawne, berlińskie panie za nim przepadały. Opuścił stolicę Rzeszy nagle, a równocześnie uwięziono dwie panie z wyższego towarzystwa berlińskiego, które były z nim zaprzyjaźnione. Te spotkał wyrok szybszy i surowszy. Skazane zostały na ścięcie, wyrok wykonano.

Fakty te rzucały niepokojące światło na stosunki polsko-niemieckie, mimo sąsiedzkich odwiedzin i przyjaznych oświadczeń.

W Polsce wywiad niemiecki miał zadanie ułatwione. Prócz fachowców, doświadczonych w swoim zawodzie, posiadał niezliczone zastępy gorliwych amatorów. Grasowali oni na wszystkich odcinkach życia: w wojsku i marynarce, w przemyśle i kupiectwie, w palestrze, w ziemiaństwie, nawet w uniwersytetach (prof. Grundmann). Rzeczpospolita gościła milion Niemców jawnych lub utajonych, którzy, będąc obywatelami państwa polskiego, gotowi byli zawsze do wszelkich usług na rzecz wywiadu niemieckiego.

Przekonaliśmy się o tym dowodnie, kiedy jesienią 1939 r. kraj nasz znalazł się pod butem niemieckim.

Napięcie rośnie.

Paryż zgotował brytyjskiej parze królewskiej przyjęcie entuzjastyczne. Lord Chamberlain uparcie łudził się nadzieją, że zdrowy rozsądek nie dopuści do nowej wojny światowej. Do Czechosłowacji wysłany został, jako gołąb z gałązką oliwną, lord Runciman, znany w Anglii pod przezwiskiem „Żeglarza samotnego”. Miał zbadać ogniska zapalne, ustalić diagnozę, wypracować projekt kompromisu, któryby pogodził żarłocznego wilka z załękniętym królikiem.

Jednocześnie organ Niemieckiej Partii Narodowo-Socjalistycznej, „*Der Angriff*” wzywał pospół germański do ratowania rodaków sudeckich, rzekomo przez Czechów ogladzanych i obdzieranych ze skóry, — mordowanych w łonie matek lub doprowadzanych do samobójstwa...

Sytuacja czyniła się tak naprężona, że lord Chamberlain zdecydował się polecieć do Berchtesgaden.

Lecz rozmowa z Hitlerem nie przyniosła pomyślnego wyniku. Tak samo jeszcze jedno spotkanie w Godesbergu, pod Kolonią.

Rzesza, w nocy o charakterze zdecydowanie ultymatywnym, zażądała od Czechosłowacji załatwienia wszystkich spornych zagadnień granicznych i narodowych przed 1 października 1938 r.

Ustępstwa, których Hitler domagał się, godziły bezpośrednio w niepodległość Czech.

Prasa czeska zapowiadała w razie napadu obronę do ostatniej kropli krwi, — w myśl zasady, że naród, który swej niepodległości nie broni, nie jest jej wart.

Warszawskie Muzeum Narodowe.

Wiosną 1939 r. nastąpiła inauguracja Muzeum Narodowego w Alei Trzeciego Maja.

Cenne zbiory, duszące się w ciasnocie starej i brzydkiej kamienicy na Podwalu, zdobyły wreszcie luźne pomieszczenie. Gmach — dzieło architekta Tadeusza Tołwińskiego, — imponował rozmiarami i surową powagą. W porównaniu ze wspaniałymi pałacami, jakimi wyposażyły sztukę Włochy, Francja i nawet Rosja, raził wewnątrz prostotą, graniczącą z ubóstwem.

W Polsce Wyzwolonej szafowano pieniędzmi tylko wówczas, gdy chodziło o siedziby reprezentacyjne dla dostojników państwowych i bankowych. Natomiast szczędzono ich na cele sztuki i nauki.

W dawnej Rzeczypospolitej fundacje o charakterze publicznym tworzyły wielkie rody magnackie, — Zamoyscy, Czartoryscy, Ossolińscy, Działyńscy. W okresie niewoli — potentaci finansowi i dzielne jednostki.

Dzięki zabiegom Aleksandra Rajchmana, a hojności Maurycego hr. Zamoyskiego i Leopolda Kronenberga powstała w Warszawie Filharmonia. Wytrwałość Tomasza hr. Potockiego i energia Arnolda Szyfmana doprowadziły do skutku Teatr Polski. Kierbedziowa wzniosła siedziby dla Biblioteki Publicznej i Szkoły Sztuk Pięknych. Józef hr. Potocki wyposażył Towarzystwo Naukowe kwotą 200 tys. rubli, Edward hr. Krasiński wybudował na Okólniku ładny pałacyk dla biblioteki i zbiorów Ordynacji Opinogórskiej, — Wawelberg i Rotwand fundowali doskonałą Szkołę Techniczną...

Pomajowi multimilionerzy nie kwapili się do ofiar. Jeśli nawet nabywali dzieła sztuki, czynili to wyłącznie na użytek własny lub traktowali to, jako jedną z trafnych lokat kapitału.

W Rosji działo się pod tym względem lepiej. Tretiakow w Moskwie zgromadził wspaniałą galerię sztuki nowoczesnej, ofiarował ją miastu. Sołdatienkow i Szaposznikow zapoczątkowali w tejże stolicy arcybogatą Bibliotekę Publiczną. Bachraszyn założył Muzeum Teatralne, Mamontow obdarzył Moskwę niezrównaną Operą Włoską. Występowały w niej najprzedniejsze sławy śpiewacze, pierwsze kroki na jej scenie stawiał Szaljapin, dekoracje malował Korowin, nowe opery wystawiali Rimskij-Korsakow i Mussorgskij. Miliony, którymi sypał Morozow, pozwoliły Stanisławskiemu stworzyć Moskiewski Teatr Artystyczny, chlubę światowej sztuki dramatycznej. Petersburski finansista, baron Ginsburg umożliwił Dżagilewowi zorganizowanie baletu rosyjskiego, który stał się sensacją artystyczną Europy i Ameryki...

Wyzwolona Polska nie zdobyła się na takich Mecenasów.

Już trąbka myśliwska nie zbudzi!...

Jakaż radość, kiedy w tym roku zbliżał się okres polowań jesiennych!

Niestety! nie dopisywało zdrowie. Sześć tygodni spędzonych ponownie w Beskidach, nie przyniosły poprawy. Łudziłem się nadzieją, że nic mi snadniej rzeźwości nie przyda, jak włóczęgi po polach za kuropatwami, przedwieczne podchody i podjazdy na kozły, które jawią się, jak płowe cienie na łączkach leśnych. Zaś później, w październiku, naganki w pachnącym lesie, zasłanym żółto-brunatnym kobiercem z liści... Z zarośli wymyka kot, wysuwa się ostrożnie lis, nad czubami drzew śmigają barwne koguty bażancie, czasem przemknie czarny cietrzew...

Polska złota jesień łączyła się dla mnie niepodzielnie z zabawą łowiecką.

....Więc siako tako, w dzień wrześniowy po śniadaniu, wsiedliśmy z Tomaszem Bersonem do bryczki, która czekała przed dworem w Lesznie, pod Błoniem. Ranek był wietrzny, kilkunastu chłopaków zawczasu spędziło kury ze rżysk i koniczyn w kartofle, tego roku bardzo dorodne. Nać sięgała za kolana, nogi utykały w bruzdach. Szybko sformowaliśmy ławę, wyżeł już myszkował, niebawem poczęły się rwać kury.

Do kata! Co się stało z moimi nogami, które dotychczas służyły mi tak niezawodnie! Dziś chybały się bezradnie w spętanej naci, z czoła sypały się gęste krople potu. I pudłowałem!... Wstyd powiedzieć, jak pudłowałem!

Gdyśmy zatrzymali się nad głębokim rowem, który przecinał kartoflisko, na trokach miałem dwa razy mniej kur, niż mój towarzysz!

Berson proponował, bym szedł skrajem kartofli, po rżysku. Iść było lżej, lecz sprawność strzału nie wróciła. Nogi były jak z waty.

Gdzie czasy, kiedy mi w polu jeden tylko Rabski dorównywał, a Weyssenhof kważno strofował, że polowanie, to nie prześcigi szybkobiegaczy!

Kochany Józiu! Jeśliś widział mię tego ranka z wysokości niebiańskich, pewno śmiałeś się do rozpuku z moich strapień!....

Mnie zbierało się na łzy.

Zostawiłem Bersona w kartoflach, pojechałem na jeziorko pod lasem, gdzie w trzcinach i tatarakach chętnie żerowały krzyżówki i cyranki. Liczyłem, że w łódce odzyskam pewność strzału.

Kaczek było sporo, lecz pudłowałem dalej. Rybak, który nie pierwszy raz mię woził, kiwał głową zdziwiony. Wiatr uciszył się, na lazurze nieba rozpełzły się srebrzyste puchy obłoków. Słońce przygrzewało rozkosznie. Dokoła niezmacony spokój.

Nie było go w mojej rozklekotanej głowie!...

....Nazajutrz wstąpił po mnie samochodem Karol Rotkel i, jak było uplanowane, — że czułem się rzeźwiejszy, — pojechaliśmy razem pod Kutno, do Miecz. Fijałkowskich. Do Skłót.

Tam czekała liczniejsza kompania myśliwych. Kuropatw i bażantów — co niemiara!

Lecz gdy ruszyliśmy w pole, wróciła żelazna ciężkość nóg. Wieczorem — wysoka gorączka. Złośliwa anemia!

Przez kilka miesięcy byłem, jak lampa, w której dopalał się olej. Dr. Zofia Sadowska uparła się, by płomyk nie zgasł.

Jesienią 1938 r. Tragedia Czechosłowacji.

Hitler postawił Czechom ultimatum: jeśli wyłuszczone żądania nie będą do dnia 1 października 1938 r. uskutecznione drogą porozumienia, Rzesza przeprowadzi je siłą.

Wojska niemieckie gromadziły się na granicach.

Prez. Roosevelt wzywał do umiarkowania. Odpowiedź czeska brzmiała wymijająco. Mussolini proponował zjazd przedstawicieli czterech głównych mocarstw europejskich w Monachium.

WBrytania ogłaszała „na wszelki wypadek” mobilizację floty i lotnictwa, Francja — pięciu roczników lądowych. Równocześnie poseł brytyjski przestrzegał w Pradze, iżby rząd czeski nie liczył na czynną pomoc Anglii. Analogiczną deklarację w imieniu swej Republiki składał ambasador francuski.

Prasa czeska napomynała z goryczą „o zdradzie przyjaciół” i o „bankructwie polityki sojuszniczej”.

...Ten moment właśnie obrał sanacyjny rząd polski, żeby upomnieć się o zagarnięte w końcu lipca 1920 r. przez Czechów Zaolzie.

Gen. Górecki urządził na placu Piłsudskiego w Warszawie manifestację przeciwczeską. Ozon organizował tego samego pokroju wiece w całym kraju. Komunikat oficjalny głosił górną, iż rząd polski w stosunku do Czechosłowacji „uregułuje swe postępowanie zależnie od respektu, należnego interesom polskim”.

Moskwa zareagowała pogroźką, że gdyby wojska polskie przekroczyły granicę czeską, akt polsko-sowiecki zostałby odwołany. Polska replikowała, iż zarządzenia związane z obroną państwa, należą wyłącznie do rządu polskiego, który nie ma obowiązku tłumaczyć się ze swego postępowania.

Zjazd w Monachium doszedł do skutku w dniu 29 września 1938 r. Stawiła się „wielka czwórka”: Chamberlain, Hitler, Mussolini i Daladier. W toku zawitych obrad zgodzono się, że ewakuacja Sudetów przez Czechy winna być dokonana niezwłocznie, przed 1 października. Ostateczne wytknięcie nowej granicy między Rzeszą a Czechami miało być przekazane komisji, złożonej z ambasadorów czterech mocarstw głównych.

Prasa niemiecka uznała, że wypocony w Monachium kompromis był „wyjściem honorowym”. W Pradze Czeskiej porównywano go z klęską pod Białą Górą.

Rząd polski wystosował do Czech ultimatum, domagające się zwrotu Zaolzia najpóźniej do godziny 14-ej w dniu 2 października. W Polsce znaczna część społeczeństwa odczuwała niesmak. Zaolzie należało się nam, lecz moment rewindykacji nie był fortunnie wybrany, nie był *fair play*, piękną grą. Prawda, w 1920-m roku, gdy Polsce groził pogrom, Czechy postąpiły z nami nieładnie. Lecz czyż należy w odwecie za czyn nieładny plamić się czynem szpetnym?

Czechy znalazły się w matni bez wyjścia. Siła złego na jednego! Cóż miał począć naród świadomy swej bezsilności? Przyrodzone demokracji czeskiej trzeźwe poczucie rzeczywistości wskazywało konieczność rezygnacji. Prezydent Republiki Benesz opuścił Pragę, szukał schronienia w Londynie.

Tam — i w Paryżu — cieszą się, że Chamberlain i Daladier „uradowali pokój”!.....

...Wojska niemieckie obsadziły cztery pierwsze strefy Sudetów, zawierające ważne fortyfikacje graniczne, rozpełzły się głębiej. Wojska polskie wkroczyły do Zaolzia, zajęły Karwinę. Generał Bortnowski, który siłami polskimi dowodził, okazał wiele taktu.

Warszawskie sfery rządowe zachowywały się tak, jak gdyby odniosły zwycięstwo „na polu chwały”. Marsz. Rydz przyjmował hołdy w Cieszynie. Podążył za nim prez. Mościcki. Uniwersytet warszawski pokwapił się z doktoratami honorowymi dla marsz. Rydza i ministra Becka.

Niemcy chęłpili się, iż „przebudowali Europę bez wystrzału”.

Winston Churchill ostrzegał, że — wykluczając Czechosłowację z równowagi europejskiej, — Rzesza zyskała w razie wojny 25 dywizji, które inaczej musiałyby pilnować granicy czeskiej. Nabytki terytorialne, osiągnięte w r. 1938-m przez Rzeszę, wzmocniły jej armię o półtora miliona bagnetów!.....

Wybory do Izby Prawodawczych w Polsce odbyły się w pierwszej połowie listopada 1938 r. Nowa ordynacja ułatwiała władzom administracyjnym nacisk na wyborców, sanacja nie omieszkła przyjaznej koniunktury na swoją korzyść wyzyskać.

Dość powszechnie w tym czasie sarkano na parlamentaryzm, że nie prosta swym zadaniom, — że się przeżył. Artur Śliwiński w swej książce „Na przełomie dwóch wieków” (1931), twierdził, że tego rodzaju zarzuty były błędne, że mieszano ideę z jej realizacją, treść — ze skutkami jej fałszowania. „Zasada parlamentaryzmu, to zasada sprawiedliwości w najprostszym i najgłębszym tych słów znaczeniu” Guglielmo Ferrero, znakomity socjolog włoski, wywodził, że parlamentaryzm uzgadnia interesy społeczeństwa z interesami państwa, dążenia poszczególnych warstw i grup społecznych — z dobrem narodu. Parlamentaryzm przyniósł jawność rządów, ustanowił ich odpowiedzialność. Jeśli nie osiąga celów, winne są zawsze złe metody i złe obyczaje wyborcze („Między przeszłością, a tym co nas czeka”).

Polsce zarzucano brak spoistości wewnętrznej i karności. Ale zgoda nie może być gnuśną ustepliwością słabszego wobec mocniejszych, bo z bierności nic się nie rodzi. Walka, słusznie podjęta i w przystojny sposób prowadzona, staje się czynnikiem postępu i rozwoju.

Na co zdobyła się nasza opozycja w wyborach 1938 r.? Chcąc zrzucić z siebie odpowiedzialność, wstrzymała się od udziału w wyborach. Walczyła abstynencją.

Mandaty poselskie, prócz nielicznych wyjątków, podzielili między sobą luminarze ozonowi, oraz wysługujący się im zausz-nicy.

Zapomniano o prawdzie, iż rządzący winni posiadać więcej światła, niż rządzeni....

Gdzie miód, tam i muchy!

Wśród sanacji mnożyły się ostre wewnętrzne niesnaski i wa-śnie. Płk. Wenda atakował ministra Kwiatkowskiego, wymawiał mu „wąskość programu”. Żądał rozmachu wzorowanego na ustro-jach totalistycznych. Miały to być jakoby echa poglądów, które brały górę „na ulicy Klonowej”. (siedziba marsz. Rydza).

Min. Kwiatkowski z łatwością odsłonił nicestwo tych zachcia-nek.

... O triumfie wyborczym kliki sanacyjnej można było powie-dzieć to samo, co przed niewielu laty mówił w Izbie Gmin Lloyd George, gdy konserwatyści, prowadzeni przez Balfour'a, odnieśli przy wyborach miażdżące zwycięstwo.

— Izba ta stała się pieskiem p. Balfour'a: szczeka do niego, węszy dlań zwierzynę, goni, aportuje, — a kasa tych, na których p. Balfour poszczuje

Już w pierwszych miesiącach niepokój!

Prez. Mościcki w noworocznym przemówieniu do korpusu dy-plomatycznego przestrzegał, że Polska pragnie zgodnego współży-cia ze swymi sąsiadami, przeciwstawi się wszakże każdemu, ktoby chciał godzić w jej żywotne interesy.

Minister Beck Święta Bożego Narodzenia spędzał z małżonką w Nicei.

Nagle sensacja w całej Europie! Min. Beck wylądował niespo-dzianie w Berchtesgaden, odbył dłuższą konferencję z kanclerzem Hitlerem!

W Paryżu i Londynie dzienniki podały wiadomość o tym spot-kaniu w wydaniach nadzwyczajnych.

Konferencja w Berchtesgaden miała charakter oficjalny. Asy-stowali jej Ribbentrop, hr. Moltke, Lipski i hr. Michał Łubieński.

Kanclerz Hitler usiłował przekonać delegatów polskich, że Niemcy nie dążą do zdobyczy na Wschodzie, że losy Austrii i Cze-chosłowacji nie wpłyną w żadnej mierze na stosunki niemiecko-polskie, a on osobiście, pragnie utrzymać w mocy pakt z r. 1934.

— Ale, — dorzucił po tych wywodach, nie da się również za-przeczyć, że Gdańsk, miasto niemieckie, musi prędzej czy później wrócić do Rzeszy. Problem gdański winien być rozwiązany polu-bownie, wspólnym wysiłkiem. Tak samo zagadnienie swobodnej komunikacji między Rzeszą, a Prusami Wschodnimi.

Min. Beck odpowiedział stanowczo.

— Polska opinia publiczna nigdy nie zgodzi się na podobne ustępstwa.

Hitler upierał się.

— Tego rodzaju trudności usuwa trafny pomysł. Szukajmy!.... Polska nie potrzebuje obawiać się ze strony Rzeszy żadnego „faktu dokonanego”.

Niemiecki socjalizm narodowy opierał się nie na etyce chrześcijańskiej, lecz na dyscyplinie policyjnej.

Bezwzględna karność wobec zarządzeń władzy poczytywana była jako obowiązek naczelny. Zagłuszała sumienie, czyniła obywatela ślepym narzędziem do spełnienia każdego rozkazu, chociażby rozkaz sprzeciwiał się poczuciu sprawiedliwości, prawa i miłości.

...Chamberlain w angielskiej Izbie Gmin doradzał Niemcom, aby zabiegi o kolonie, surowce i przestrzeń życia rozpoczęły od zaniechania przygotowań do wojny.

Bonnet we francuskiej Izbie Deputowanych poręczał WBrytanii pomoc wszystkich sił zbrojnych Republiki, gdyby Niemcy sprowokowały wojnę.

Prez. Roosevelt zapowiadał, że w razie zbrojnego zatargu Stany Zjednoczone staną murem po stronie WBrytanii i Francji, że tym dwom państwom dopomogą całą swą wytwórczością przemysłową.

Niemcy w dalszym ciągu mąciły wodę w Słowacji, na Rusi Przykarpackiej, w Gdańsku i w Kłajpedzie. Z Czechami koniec!... Prezydent Hacha i minister Chwałkowski, gdy im Hitler zagroził zbombardowaniem Pragi, ukorzyli się, przyjęli wszystkie warunki.

W Polsce nikt rozsądny nie myślał o rozszerzaniu podbojem granic Rzeczypospolitej.

Cudzego nie pragnęliśmy, lecz byliśmy zdecydowani bronić tego, co było nasze.

Włoski mediator w Warszawie.

Przyjazd do Polski włoskiego ministra spraw zagranicznych, hr. Ciano (schyłek lutego 1939 r.) wiązano z uroczystościami, poświęconymi pamięci szlachetnego pułkownika Nullo, który zginął bohaterską śmiercią w r. 1863-m, walcząc o naszą wolność.

Takimi entuzjastami szczyliła się wówczas Italia!

Sekretem poliszynela było wszakże, iż owe uroczystości były tylko dyplomatycznym pretekstem.

Misja hr. Ciano, ukartowana przez Mussoliniego wspólnie z Hitlerem, miała na celu wciągnięcie Polski w orbitę aktywnej polityki „Osi” niemiecko-włoskiej.

Hr. Ciano przybył z małżonką i w asyście kilku wybitnych dziennikarzy włoskich. Znalazł się między nimi najgłośniejszy pu-

blicysta Italii faszystowskiej, red. Gayda. (*Corriere della Sera*), a który przy Mussolinim odgrywał mniej więcej tę samą rolę, co Goebbels przy Hitlerze.

Towarzyszył gościom nasz nowy ambasador przy Kwirynale, gen. Wieniawa-Długoszowski.

Ani hr. Ciano, ani jego żona, nieślubna córka Mussoliniego, nie wywarli w Warszawie wrażenia dodatniego. Hrabina nie posiadała ani urody, ani wdzięku, właściwego paniom włoskim. Jej mąż zdawał się lekceważyć dobre formy towarzyskie, które są cechą przyrodzoną arystokracji włoskiej.

Nasze sfery oficjalne przyjmowały gości z wielkimi atencjami. Mozolne konferencje urozmaicone były przyjęciami.

Wielki raut na Zamku ściągnął blisko półtora tysiąca osób. Było to, jak zwykle, zbiegowisko bez składu i ładu. Prez. Mościcki traktował tego rodzaju recepcje, jako dopust Boży. Pani prezydentowa nie miała o nich zielonego pojęcia. Kancelaria zamkowa rozsyłała zaproszenia na prawo i lewo, jej funkcjonariusze darzyli nimi przygodnych znajomych i ich przyjaciółki. Opozycja świeciła na owych asambalach nieobecnością.

W królewskich salonach tłoczyła się ciżba obwieszonych orderami wojskowych, urzędników, oraz ich małżonek, wystrojonych odświętnie i bez gustu. Spotykało się w tym tłumie osobistości płci obojga, których obecność budziła konsternację. W bufecie panował ścisk nieopisany. W palarni ciemno było od dymu, mimo że dostojny gospodarz chlubił się wynalazkiem sztucznego powietrza górskiego.

..Ważyły się losy Polski i całej Europy. Dwie potężne dyktatury, niemiecka i włoska, stawiały sprawę kanciasto: z nami lub przeciw nam! W Polsce posiadało głos decydujący w tym momencie dziejowym trzech ludzi: prez. Mościcki, marsz. Rydz i min. Beck. Ku nim zwracały się wszystkie oczy. Prez. Mościcki miał, jak zawsze, uśmiech przymarznięty do ust, marsz. Rydz manifestował władczy spokój Napoleona. Brakło tego spokoju w oczach min. Becka.

Gdy przechodził przez jeden z mniej zapełnionych salonów zamkowych, zatrzymał mnie hr. Moltke. Towarzyszyła mu małżonka. Ambasador zwykle bardzo opanowany, wydawał się rozstrojony, pani — zdenerwowana. Wymieniliśmy parę zdawkowych uwag o raucie. Hr. Moltke, wysokiego wzrostu, pochylił się nagle, wziął mnie za ramię, i przyciszonym głosem rzucił pytanie:

— Nie wie pan nic nowego?

Nic nie wiedziałem ponadto, co mniej więcej wiedzieli wszyscy. A gdybym był wiedział, nie byłbym udzielał informacji umocowanemu przedstawicielowi Rzeszy. Pani Moltke pociągnęła męża:

— Chodźmy!

On ocknął się, pożegnał, zniknęli w tłoku.

Odtąd już hr. Moltkego nie widziałem.¹⁾

Na tym asambli również ostatni raz spotkałem b. ministra rolnictwa, Stanisława Janickiego i jego żonę. Pani promieniała urokiem róży wrześniowej. Śmiała się, rada z komplementów, którymi ją darzono.

Uroda pani Janickiej była równie kapryśna, jak jej usposobienie. Jeśli humor nie dopisywał, jasne, akwamarynowe oczy gasły, popielate włosy martwiały, szczupła postać stawiała się wiotką, jak trzcina. Depresja mijała? Oczy zapalały się światłem, włosy nabierały połysku platyny, na ustach jawił się przekorny uśmiech, ruchom wracała prężność. Janicki bardzo rozkochany, pożerał ją wzrokiem.

....W dniu 25 września 1939 r. samoloty niemieckie nurkowały tuż nad dachami kamienic, miażdżąc stolicę Polski wielkimi pociskami, sypiąc gradem kul karabinowych, wzniecając pożary. Ciężkie działa oblężnicze gen. Blaskowitza waliły bez przerwy w nieszczęsne miasto.

Państwo Janiccy przed kilku dniami przybyli ze swego majątku pod Garwolinem do stolicy, mniemając, że w mieście będzie bezpieczniej.

....Dokoła ich kamienicy szalał złowrogi warkot samolotów, ponury huk bomb i wycie granatów. Gdzie było spojrzeć, płomienie i dym. Państwo Janiccy zdecydowali się szukać schronienia poza domem. Wrzucili cenniejsze obiekty do małej walizki, wyszli na schody. Gruchnął wielki pocisk. Mury zatrzęsły się, stara kamieniczka (Krakowskie Przedmieście Nr 67) rozleciała się, jak domek z kart.

Państwo Janiccy zagrzebani w gruzach.

¹⁾ Po wybuchu wojny 1939 r. hr. Moltke objął w berlińskim ministerstwie spraw zagranicznych referat polski. Parę razy wymieniano go, jako ewentualnego następcę generał-gubernatora Franka, gdyby w stosunku do Polaków nastąpiło złagodzenie kursu. Hr. Moltke tego się nie doczekał, zmarł w Madrycie, jako ambasador Rzeszy przy generale Franco.

...W programie przyjęć dla gości z Italii znalazł się obiad na cześć przedstawicieli prasy włoskiej. Organizował go płk Ścieżyński, jako oficjalny prezes Związku Dziennikarzy R. P. Mnie przy stole miejsce przypadło między redaktorem Gaydą, a włoskim korespondentem wojennym, który przed tygodniem zaledwie opuścił kwaterę gen. Franco w Hiszpanii.

Ów korespondent, mimo dobrze przekroczonej sześćdziesiątki, wyróżniał się południowym temperamentem i plastyką opowiadania. Gayda, znacznie młodszy, był małowówny, jak gdyby język mu lodowaciał. Wiało od niego chłodem. Uchodził za powiernika hr. Ciano, rodziło się więc przypuszczenie, że jego mocodawca nie dobił w Warszawie pomysłu targu.

Po obiedzie pojechaliśmy na raut do ambasady włoskiej. Salony były przepełnione, towarzystwo dość kaduczne. Atmosfera zawodu i kwasu. Hr. Ciano i jego małżonka ukazali się późno i na krótko, towarzyszył im gen. Wieniawa-Długoszowski. Parę razy rozległ się śmiech hrabiny tak donośny, że gwar milkł...

Dostojewskij we „Wspomnieniach z martwego domu” utrzymuje, że o ile przy pierwszym spotkaniu z nieznanym człowiekiem jego śmiech sprawi wrażenie przyjemne, można ufać, że to dobry człowiek.

Zapewne i odwrotnie....

Cóż tedy przyniosła podróż ministra włoskiego, podjęta rzekomo dla uczczenia pamięci bohaterskiego Nullo?

Warszawa odpowiedziała:

— Nullo!).

Ewolucja taktyki niemieckiej w stosunku do Polski.

Znaczny odłam polskiej opinii politycznej obawiał się więcej Niemiec, niż Rosji. Rusefikacyjne zakusy caratu zawiodły. Metody germanizacyjne budziły trwogę. Przestrogą były zdobycze, jakie z biegiem stuleci osiągnęli Niemcy na Łużycach i Pomorzu Zachodnim, w Prusach Wschodnich i na Dolnym Śląsku.

Jak się układały stosunki polsko-niemieckie od czasu, kiedy Hitler objął w Rzeszy dyktaturę?

¹⁾ Zero.

W dniu 26 stycznia 1934 r. w Berlinie i w Warszawie ogłoszony został niemiecko-polski pakt o nieagresji. Rządy Rzeszy i Rzeczypospolitej miały odtąd traktować polubownie we wszystkich sprawach, dotyczących ich wzajemnych stosunków. W żadnym razie nie mogły się odwoływać do swoich sił. Oba rządy przyrzekały szukać rozwiązania spornych zagadnień politycznych, gospodarczych i kulturalnych w duchu sprawiedliwości i równego uznania wzajemnych interesów.

Umowa, ustalająca między dwoma państwami dobre stosunki sąsiedzkie, zawarta została na 10 lat. O ile nie byłaby wypowiedziana na sześć miesięcy przed tym terminem, przedłużała się automatycznie na taki sam okres dalszy.

Marsz. Piłsudski w Polsce, a kanclerz Hitler w Niemczech, posiadali taką siłę i wolę, że mogli przeprowadzać swoje koncepcje, nawet jeśli opinia publiczna czyniła zastrzeżenia.

Min. Beck kontynuował w stosunku do Trzeciej Rzeszy politykę marsz. Piłsudskiego. Między rządem polskim i niemieckim nastąpiło odprężenie. Gdańsk pozostał wprawdzie ogniskiem zapalnym, lecz nawet najwyżsi dostojnicy Trzeciej Rzeszy, którzy przybywali do Polski, godzili się, że pokojowe współżycie dwu sąsiadujących mocarstw było sprawą ważniejszą, niż posiadanie jednego więcej, prowincjonalnego miasta.

Kanclerz Hitler zapewniał osobiście min. Becka, że prawa Polski do Gdańska nie będą w niczym przez Rzeszę naruszone, statut Wolnego Miasta nie ulegnie zmianie. Podkreślał, że tę deklarację uważał dla siebie za obowiązującą.

Z trybuny Sejmu Rzeszy kanclerz oświadczył, że Polska respektuje sytuację narodową Niemców gdańskich i że nawzajem Rzesza respektuje prawa Polski w stosunku do Gdańska ¹⁾.

Wkrótce potem przybył do Polski z rewizytą marsz. Goering. W rozmowie z marsz. Rydzem zapewniał, że Führer był zadowolony z polepszenia się stosunków polsko-niemieckich, że prawa Polski do Gdańska zostały uznane. Mimochodem wyraził opinię, że dla Niemiec nawet zwycięska wojna z Polską była niepożądana, mogła bowiem przyczynić się do wzmocnienia w Rzeszy komunizmu.

W sprzeczności z tymi oświadczeniami były jednak wynurzenia kanclerza Hitlera wobec dziennikarza amerykańskiego Ward

¹⁾ „Les relations polono-allemandes au cours de la periode 1933-1939. Recueil des documents officiels”, Flammarion, Paris 1940.

Price'a. Kanclerz przyznał wprawdzie, że Polska potrzebuje dostępu do morza, ale dodawał z goryczą, że ów cel był iszczony Korytarzem Pomorskim, który odcinał Prusy Wschodnie od Rzeszy.

Na zjeździe norymberskim (12 września 1938 r.) Hitler mówił, że porozumienie Rzeszy z Polską było ważniejsze dla pokoju europejskiego, niż oracje, wygłaszane na ten temat w Lidze Narodów. W berlińskim Pałacu Sportowym (26 września 1938 r.) wyraził wiarę, że pakt o nieagresji z Polską doprowadzi do trwałego między dwoma państwami pokoju.

Nagle niespodzianka! Może balon próbny... Ambasador Lipski notyfikował min. Beckowi swoją rozmowę z nowym niemieckim ministrem spraw zagranicznych, Ribbentropem podczas śniadania w restauracji Grand Hotelu w Berchtesgaden.) Ribbentrop proponował „lojalne rozwiązanie” rozterek polsko - niemieckich przez oddanie Rzeszy Gdańska, oraz eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Korytarz Pomorski. Rzesza gwarantowałaby Polsce w Gdańsku wszelkie ułatwienia gospodarcze i kolejowe. Jako ekwiwalent ofiarowywała Polsce przedłużenie paktu o nieagresji do lat 25 i uznanie istniejących granic polsko-niemieckich.

Na konferencji z min. Beckem w Berchtesgaden kanclerz Hitler już wyraźnie sformułował owe żądania Niemiec. Min. Beck wrócił do Warszawy z ciężką głową.

W końcu stycznia 1939 r. przybył do Warszawy z rewizytą min. Ribbentrop z małżonką. Znow wysunął sprawę Gdańska i eksterytorialnej autostrady przez Pomorze, i znow spotkał się z uprzejmą, lecz stanowczą odmową. Komunikat urzędowy obwieścił, że obaj ministrowie uznali zgodnie potrzebę zbadania i rozstrzygnięcia zagadnień aktualnych, dotyczących Rzeszy i Polski, w duchu poszanowania uprawnionych każdego państwa interesów.

W dniu 30 stycznia 1939 r. kanclerz Hitler mówił w Sejmie Rzeszy: „...W mętnych miesiącach zeszłego roku (1938) przyjaźń polsko-niemiecka okazała się jednym z czynników pokojowych w publicznym życiu Europy”.

W marcu 1939 r. min. Ribbentrop począł straszyć ambasadora Lipskiego sprawą Rusi Podkarpackiej i mniejszości narodowych w Polsce. Twierdził, że niezałatwiona sprawa Gdańska źle usposabia kanclerza Hitlera. Aby zjednać sobie jego względy, doradzał nadać paktowi polsko-niemieckiemu charakter anty-sowiecki.

¹⁾ „Les relations polono-allemandes au cours de la periode 1933-1939. Recueil des documents officiels”.

Minister Beck w instrukcji, przesłanej ambasadorowi Lipskiemu, zwracał uwagę, że Polska na terenie międzynarodowym nigdy nie chciała brać udziału w żadnej akcji, wymierzonej przeciw Rzeszy. Z Sowietami Polskę łączy taki sam pakt o nieagresji, jak z Rzeszą. W sprawie komunikacji przez Pomorze, — Polska gotowa była do wszelkich ułatwień technicznych, — ale zawsze i tylko na gruncie państwowości polskiej.

Agent Hitlera, Foerster, niezmordowanie podjudzał w Gdańsku szowinizm niemiecki i nienawiść do Polski. Dopomagał mu Greiser, prezydent tamtejszego senatu. Goebbels i Dietrich wmawiali teraz w cierpliwych czytelników „zgleichszaltowanej” prasy niemieckiej, że dla Rzeszy nie było pilniejszej potrzeby państwowej, jak oderwanie od Polski Gdańska i eksterytorialne połączenie Rzeszy z Prusami Wschodnimi. Ile oszczerstw i szpetnych oskarżeń miotano w tym czasie przeciw Polsce, niktby nie zliczył.

Rząd polski odpowiadał spokojnie, iż życie niemieckie w Gdańsku nie było w niczym krępowane. Przypominał, iż Rzesza zobowiązała się respektować prawa i interesy polskie na terenie Wolnego Miasta. Min. Ribbentrop w rozmowach z ambasadorem polskim czynił się chłodny i nerwowy. Dawał do zrozumienia, że wiadome mu były zamiary agresywne Polski w stosunku do Gdańska i uprzedzał, że stanowiłyby one *casus belli*.

Obawom tym dał również wyraz hr. Moltke w rozmowie z min. Beckiem. Ten odpowiedział, że agresja ze strony Niemiec na Gdańsk tak samo stanowiłaby *casus belli* dla Polski. Moltke wzburzył się.

— Pan minister chce porozumiewać się z karabinem w rękę! — zawołał.

Zaostrzenie stosunków polsko-niemieckich coraz silniejszy niepokój budziło w Londynie i w Paryżu. Ambasador brytyjski w Warszawie sir Howard Kennard, w imieniu lorda Chamberlain'a proponował rządowi polskiemu wspólny układ czterech mocarstw: WBrytanii, Francji, Sowietów i Polski. Min. Beck odpowiedział, że Polska chętnie przystąpi do takiego układu z WBrytanią i Francją, — z Sowietami już posiadała obowiązujący pakt o nieagresji.

Wobec tego oświadczenia, w dniu 31 marca 1939 r. lord Chamberlain złożył w Izbie Gmin oświadczenie, że gdyby jakiegokolwiek państwo podjęło akcję, zagrażającą niezawisłości Polski i Polska byłaby zmuszona do obrony, rząd Jego Królewskiej Mości i rząd

Republiki Francuskiej zobowiązują się do podtrzymania Polski wszelkimi siłami.

Układ sojuszniczy Polski z WBrytanią, podpisany wkrótce potem przez min. Becka w Londynie, niweczył nadzieje Niemiec na ustępliwość Polski.

Umizgi się skończyły.

Bez maski.

Ultymatyczna deklaracja kanclerza Hitlera w Sejmie Rzeszy.

W dniu 28 kwietnia 1939 r. kanclerz Hitler w Reichstagu sformułował katerygiczne warunki Niemiec w stosunku do Polski:

1. Gdańsk winien wrócić do Rzeszy, jako wolna jednostka państwowa.
2. Rzesza zapewni Polsce w Gdańsku wolny port w rozmiarach, które Polska sama określi i z całkowitym dostępem do morza.
3. W zamian za to, obecne granice między Niemcami a Polską zostaną uznane przez Rzeszę, jako ostateczne.
4. Rzesza gotowa będzie zawrzeć z Polską pakt o nieagresji na 25 lat.
5. Niezawisłe Państwo Słowackie zostanie zagwarantowane wspólnie przez Niemcy, Polskę i Węgry. Niemcy wyrzekną się na tym terytorium wszelkiej przewagi.

....Kancelarz Hitler utrzymywał, iż Rząd polski odrzucił propozycje niemieckie. Polska jakoby oświadczyła jedynie gotowość:

1. Do układów w sprawie stanowiska wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku.
2. Do rozmów w sprawie ułatwienia tranzytu niemieckiego przez Pomorze.

Odmowa Polski w interpretacji kanclerza Hitlera sprzeczna była z polityką pojednawczą, zainicjowaną przez marsz. Piłsudskiego, ponieważ Polska zawierała nowe pakt, mające na celu okrażenie Rzeszy, (aluzja do paktów z W. Brytanią i Francją), a prasa polska jakoby prowadziła oszczerczą kampanię antyniemiecką.

Wobec tego kanclerz Hitler odwoływał niemiecko-polski akt o nieagresji!

Rząd niemiecki nie odrzucał jeszcze możliwości dalszych układów. Domagał się od Polski stanowiska jasnego i zdecydowanego. ...Zapewne takiego, jakie zajęła Czechosłowacja...

Alea iacta est: Minister Beck na mównicy Sejmowej.

Był to wielki dzień w Sejmie — kiedy min. Józef Beck miał dać odpowiedź na postawione przez kanclerza Hitlera warunki.

Posłowie byli prawie w komplecie. Ministrowie zawczasu obśiedli swoje ławy, korpus dyplomatyczny — łoże. Na trybunach panował ścisk bezprzykładny.

Huczało niczym w ulu. Lecz gwar zacichł, jak nożem uciął, kiedy marszałek Sejmu, prof. Wacław Makowski, zasiadł w fotelu.

Po wstępnych formalnościach, na mównicę wszedł min. Beck. Był blady, widocznie wzruszony. Ułożył papiery na pulpicie, powiódł wzrokiem po audytorium, i ważąc każdy wyraz, zobrazował okoliczności, które doprowadziły do podpisania w Londynie paktu obronno-sojuszniczego Polski z W. Brytanią, na wzór tego, jaki już Polskę łączył z Francją.

Min. Beck zamilkł. Wszyscy zrozumieli, że teraz padną słowa decydujące. Sala stężała w bezruchu i ciszy.

— Dla pana kanclerza Rzeszy układ ten stał się pretekstem do zerwania zawartego z Polską w r. 1934-m paktu o nieagresji. Paktu, który stanowił zmianę kursu politycznego, który był próbą wydobicia się z niezdrowej atmosfery ciągłych ukłuc, rozterek i nieprzychylnych intencji, który był usiłowaniem wyniesienia się ponad animozje, nagromadzone przez wieki, i stworzenia podstaw do trwałego porozumienia. Zerwanie tego układu jest aktem doniosłym. Ale wszelki układ ma taką wartość, jakie są jego wyniki. Skoro partner uchyla się od zgody, nie ma powodu do żałoby. Pakt z r. 1934-go, oparty na gruncie wzajemnego poszanowania i dobrego sąsiedztwa, był dodatni dla Niemiec, dla Polski i dla całej Europy. Utracił wszakże ten charakter z chwilą, kiedy w Rzeszy objawiły się tendencje krępowania naszej polityki i żądania jednostronnych ustępstw, sprzecznych z naszymi najżywczejszymi interesami. Co stało się powodem nagłej decyzji rządu niemieckiego? — wiadomość, zaczerpnięta z gazet, o dojściu do skutku układu brytyjsko-polskiego. Skoro tylko wróciłem z Londynu, wyraziłem gotowość przyjęcia pana ambasadora Rzeszy. Chciałem

mu wyjaśnić genezę i intencje owego układu. Pan ambasador Rzeszy do dzisiejszego dnia nie uważał za właściwe skorzystać z danej mu sposobności. Jeśli rząd Rzeszy, wbrew swym poprzednim deklaracjom, interpretował pakt nasz z r. 1934, jako izolujący Polskę i uniemożliwiający jej normalną i przyjacielską współpracę z Państwami Zachodnimi, taką interpretację musielibyśmy stanowczo odrzucić. Czyżby kanclerz Hitler zamierzał Polskę silniej krępować, niż Polska krępuje Rzeszę?

Znów min. Beck zamilkł. Znów na sali cisza zapartych oddechów.

Żądania ewakuacji Gdańska, plebiscytu na Pomorzu, a w razie, gdyby plebiscyt wypadł na niekorzyść Rzeszy, — eksterytorialnej linii kolejowej i autostrady, muszą być przez nas poczytane za chęć odepchnięcia Polski od morza.

Pokój był i jest celem najżarliwszych zabiegów dyplomacji polskiej. Aby jednak zabiegi mogły odnieść skutek, należy przystępować do nich z pokojowymi zamiarami i z pokojowymi metodami.

Min. Beck uderzył dłonią w pulpit.

— Nieusprawiedliwionym żądaniom damy należyty opór! Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną, ale dla nas, Polaków, pokój za wszelką cenę nie istnieje... Bo jest jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która nie ma ceny. Tą rzeczą jest honor!

Mury gmachu sejmowego zadygotały, taka zagrzmiała burza oklasków i krzyków. Już nie można było utrzymać na wodzy trybun. W oczach pań szklily się łzy, na twarzach jawiły się ciemne wypieki. Beck stał na mównicy nieruchomy. Pobladał tylko jeszcze więcej.

Podbiegł do niego stary gen. Żeligowski, ścisnął rękę.

— Panie ministrze, — wołał, — powiedział pan to, co Polska czuje i myśli!

Kości były rzucone!

Deklaracja min. Becka odpowiadała rycerskiemu romantyzmowi polskiemu, Polak nadewszystko ukochał wolność. Czasem jej nadużywał, lecz w przeciwnościach nigdy nie przestawał o nią walczyć. Żadna przemoc nie zdołała zrobić zeń niewolnika.

Bezkrzytyczna karność i obowiązkowość, — zniekształcona *Pflichttreue*, — uczyniła Niemców niewolnikami systemu najgorszego, bo policyjnego.

Głębszy instynkt przestrzegał Polskę przed ustępstwami wobec partnera, który zawarte przez się umowy gotów był zawsze traktować, jako bezwartościowe świstki papieru.

...Radiowe papkinady marsz. Rydza, obliczone na popularność, zapewniały powszechność polską o gotowości obronnej naszej armii „na ostatni guzik”.

Sztabu niemieckiego nie zmyliły. Berlin był dokładnie powiadomiony o niższości liczebnej i uzbrojeniowej wojsk polskich, o niedostatkach ich dowództwa.

Przechwałki marsz. Rydza trafiały jednak do łatwowiernych mózgów polskich i gdy minister Beck miotał się w zabiegach o uniknięcie zatargu z silniejszym, złym sąsiadem, magle warszawskie piętnowały te usiłowania nieledwie jako zdradę.

Polska nie kierowała już wydarzeniami. Była przez nie niesiona.

Że jednak nie tylko na Zamku i przy ulicy Klonowej, ale nawet w pałacu Brühlowskim nie przykładano wiary do pogroźek niemieckich, świadczyła konferencja prasowa, jaką odbył wiceminister spraw zagranicznych, Arciszewski, w czerwcu 1939 r. w Klubie Urzędników tegoż ministerstwa.

Referując przebieg ostatnich wypadków, min. Arciszewski wyraził przypuszczenie, że Niemcy chcą przestraszem wymusić na Polsce ustępstwa, że przecież trudno uwierzyć, aby posunęły się dalej.

Jeden z obecnych dziennikarzy zapytał:

— Jak pan minister sądzi, — czy oddając Niemcom Gdańsk, Polska mogłaby dojść z nimi do ładu, unikając wojny?

Arciszewski odpowiedział:

— Na razie — może tak. Ale gdybyśmy raz weszli na drogę koncesji, nie byłoby końca. Przykład Czech jest odstraszaający, Polska terroryzować się nie da.

W końcu czerwca 1939 r. w ambasadzie francuskiej odbyło się śniadanie, w którym wzięło udział kilkanaście osób z towarzystwa polskiego. P. Noel dowodził współbiesiadnikom, że wojna z Niemcami była niezawodna, że Polskę czekał gwałtowny impet najazdu, Warszawę — bombardowanie.

— Ale w ciągu sześciu tygodni — kończył, — wojska francuskie przybędą z odsieczą i zrobią porządek.

Generalny konsul angielski, a szczerzy Polski przyjaciel, p. Sawery, zapowiadał nie mniej skuteczną pomoc W. Brytanii.

Berlin zapatrywał się na pomoc naszych sprzymierzeńców Zachodnich sceptycznie. Nad Szprewą wiadano, że ani W. Brytania, ani Francja nie były do wojny przygotowane, że opinia publiczna w obu krajach była wojnie przeciwna.

...Pakt brytyjsko-polski w żadnej mierze nie mógł być poczytywany za prowokację. Był raczej zapobiegawczym ostrzeżeniem, że Niemcy dla swych planów zaborczych nigdy nie pozyskają współdziałania Anglii.

W podobny sposób przed pierwszą wojną światową, zawiodły próby, podejmowane przez Hohenzollernów. „Wspomnienia niemieckiego następcy tronu”¹⁾ cytują rozmowę charakterystyczną najstarszego syna cesarza Wilhelma II-go z ówczesnym brytyjskim ministrem spraw zagranicznych, lordem Edwardem Grey'em, kiedy kronprinz przybył do Londynu na uroczystości koronacyjne Jerzego V-go, jako przedstawiciel cesarza Wilhelma.

Młody Hohenzollern, niechybnie natchniony przez ojca, wyliczał korzyści, jakie mogłaby osiągnąć W. Brytania, łącząc swoje aspiracje polityczne z niemieckimi.

— Najmądrzejszym i najpewniejszym zabezpieczeniem pokoju powszechnego, — wywodził, — byłoby ścisłe porozumienie największej potencji lądowej, tj. Niemiec, z największą potencją morską tj. z W. Brytanią. Te dwa mocarstwa, gdyby chciały, mogłyby się podzielić światem!

Lord Grey odpowiedział z flegmą.

— Tak... być może... Ale W. Brytania nigdy z nikim się nie dzieli...

...Prezydent Roosevelt nawoływał obu dyktatorów europejskich, Hitlera i Mussoliniego, do rozważi i umiaru.

.

Wiosna roku 1939-go była osobliwie łaskawa. Ogrody i parki miejskie odurzały wonią bzów, jaśminów i akacji. Słowiki darły się wieczorami bez pamięci.

Inauguracja nowego placu wyścigowego na Rakowcu ściągnęła niezliczone tłumy. Lato zapowiadało się skwarne.

Warszawa zamawiała na gwałt pokoje w hotelach i pensjonatach Zakopanego, Krynicy, Juraty, Jastrzębiej Góry i gdzie się dało; kto mógł, wybierał się w góry, nad morze, na morze, choćby na wieś.

¹⁾ „Erinnerungen des Kronprinzen Wilhelm”, Stuttgart—Berlin 1928.

Prez. Mościcki już bawił w Spale. Część lata zamierzał spędzić w swym zameczku wiślańskim, w Beskidach. Minister Beck obiecywał sobie wywczasy w willi nałęczowskiej, którą posiadał jego teść p. Salkowski, wzięty adwokat lubelski.

W początkach czerwca byłem zaproszony na obiad do marszałka Senatu, Bogusława Miedzińskiego. Towarzystwo składało się prawie wyłącznie z wpływowych adherentów obozu rządzącego.

Przy stole drwiono z jęklivych proroków i lęklivych Kassandr, które wieściły wojnę.

...Ludzie, którym dzieje się dobrze, skłonni bywają do łatwego optymizmu.

W czerwcu przybył do Warszawy szef brytyjskiego Sztabu Głównego, gen. Ironside. Zapowiadano, iż zabawi pięć dni, że celem jego odwiedzin było bliższe zaznajomienie się ze stanem sił zbrojnych Polski.

Gen. Ironside zaprotekował układ wojskowy między W. Brytanią a Rzeczypospolitą, swój pobyt wszakże skrócił i wyjechał jakoby skonsternowany tym, co w Polsce zastał i widział. W raporcie, który złożył w Londynie, miał wyrazić opinię, iż armia polska pod względem uzbrojenia i przygotowania wojennego odpowiadała mniej więcej poziomowi, jaki wojska zachodnio-europejskie posiadały pod koniec ubiegłego stulecia.

Marsz. Rydz i gen. Kasprzycki, minister Spraw Wojskowych, zachwycali się francuskim wodzem naczelnym, generałem Gamelin.

Gen. Wład. Sikorski, pytany w tej mierze o zdanie, chwalił inteligencję i wiedzę fachową generała Gamelin'a, w chwiejnym jednak i kunktatorskim jego charakterze nie dopatrywał się kwalifikacji na następcę Joffre'a i Foch'a.

Jules Romains w swoich późniejszych: „Siedmiu tajemnicach przeznaczenia Europy” potwierdził trafność diagnozy gen. Sikorskiego. Pisał, że tok myśli gen. Gamelin'a nie wiązał się organicznie z czynem...

I Francja poniosła straszliwą klęskę.

Dramat płk. Sławka.

Kiedy marsz. Piłsudski wiosną 1935 r. dogorywał, płk. Sławek był człowiekiem, posiadającym w Polsce decydujące wpływy polityczne. Jako przewodniczący Bloku Bezpartyjnego w Sejmie i w Senacie, rozporządzał bezapelacyjnie większością głosów. Po raptownym ustąpieniu prof. Leona Kozłowskiego zrobiła się luka. Ster rządów objął płk. Sławek, po raz trzeci w przeciągu pięciu lat.

W każdej trudniejszej sytuacji marsz. Piłsudski do niego się zwracał, ufając bez zastrzeżeń jego dobrej woli i prawości. Sławek za swego komendanta byłby dał sobie wszystką krew wytoczyć.

Wśród drużyny belwederskiej płk. Sławek wyróżniał się szlachetnym idealizmem, bezinteresownością, żołnierskim poczuciem honoru i odpowiedzialności.

Marsz. Piłsudski doczekał się Konstytucji Kwietniowej, ale skorzystać z niej nie zdążył. Mniemano powszechnie, że, skoro kadencja prof. Mościckiego dobiegnie kresu, władza zwierzchnia przejdzie w ręce płk. Sławka.

Prez. Mościcki małżeństwem z młodą sekretarką zdyskwalifikował się w opinii publicznej. Płk. Prystor, podówczas marszałek Senatu, nie wahał się powiedzieć mu tej prawdy w oczy.

Znaleźli się przecie gracze polityczni, dla których prof. Mościcki był na stanowisku prezydenta Rzeczypospolitej dogodniejszy. Płk. Sławek gromił karierowiczostwo i synekury, nie tał swej awersji do łakomych pszczoł, co tam i sam z różnych kwiatków i niekwiatków miód zbierają...

Po zgonie marsz. Piłsudskiego, prof. Mościcki nabrał tchu i pewności siebie. Zagrzewała go do wytrwania rodzina i otoczenie zamkowe. Premier Składkowski ochoczy był do wszelkich meldunków. Buława marszałkowska zjednała gen. Rydza.

Blok Bezpartyjny rozpadł się, z jego popiołów wylęgl się anemiczny Ozon, do którego dał się wciągnąć pocziwy, lecz bezradny płk. Koc. Zwiększał się zastęp wpływowych dostojników, którzy osobiste interesy z ponownym wyborem prof. Mościckiego wiązali.

Dokoła płk. Sławka czyniła się pustka.

Prezydentem Rzeczypospolitej obrany został poraz trzeci prof. Mościcki. Pułkownicy Sławek i Prystor, mohikanie prawej „piłsudczyzny”, zagrzebali się w pustelniczych resztówkach wiejskich, Prystor — na Wileńszczyźnie, Sławek — pod Miechowem.

Płk. Sławka sekowano szkaradnie. Przez rok blisko wstrzymywano mu wypłatę emerytury.

W najbliższym sąsiedztwie Zakład Św. Kazimierza. Siostry Mi-

Dla człowieka, który brał tak ważki udział w kierownictwie sprawami państwa, bezczynność i samotnictwo w odległej wiosce, gdy rozstrzygały się losy kraju, były nie do zniesienia. W drugiej połowie marca 1939 r., — komunikował mi to jeden z najbliższych przyjaciół pułkownika, — Sławek wystosował do marsz. Rydza obszerny list, w którym przestrzegał przed nadciągającym kataklizmem, wykazywał niedostateczne przygotowanie obronne Polski, nawoływał do wysiłków, aby wojny uniknąć.

List pozostał bez odpowiedzi.

Płk. Sławek życie poświęcił sprawom ojczyzny. Można było spierać się co do trafności dróg, jakie obierał już to dla jej wyzwolenia, już — później, — dla zapewnienia jej ładu i pomyślnego rozwoju. Zawsze kierował się dobrą wolą, nie można było skąpić mu szacunku.

Gdy karta się odwróciła, ci, co przedtem ubiegali się o jego względy, teraz za nic go mieli. Płk. Sławek przybył do Warszawy, w kołach rządzących przyjęto go, jak psa w kłęgielni. Do prez. Mościckiego w ogóle przystępu nie uzyskał. Gen. Składkowski udzielił oficjalnej audiencji, wysłuchał i pożegnał. Wynikiem konferencji był jeszcze jeden „strzęp meldunków”.

Płk. Sławek odwiedził w stolicy nielicznych druhów, którzy dochowali mu wiary, ale sami również znaczenie postradali. Wiódł z nimi długie, smutne rozmowy. Wiadomym było, że pasował się z czarnymi myślami.

Ostatni wieczór spędził u Artura Śliwińskiego.

Ranek przyniósł tragiczną wieść.

— Płk. Sławek wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia! Żołnierzowi, który śmierci patrzył mężnie w oczy, zabrakło odwagi do życia.

Perypetie „Koleżanek”.

Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej (TKKT), dzięki wpływowym orędownikom umacniało swój stan posiadania, przeobrażając się w spółkę akcyjną.

Komisaryczny Zarząd Miasta przystępował do tej Spółki ze swym wielomilionowym majątkiem teatralnym.

Co wnosiło Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej?

Obietnice subwencji ze strony banków państwowych i poszczególnych ministerstw.

Za kulisami poruszenie, plotki. Większą subwencję jakoby zapewniło Ministerstwo Spraw Wojskowych!

Cały świat przejęty był obawą wojny. Spodziewano się jej wybuchu lada tydzień, lada miesiąc.

Polski Mars najdywał czas i środki na świadczenia dla Thalii i Melpomeny!...

Był to najsmutniejszy okres rozwydrzonego protekcjonizmu. Hulaj dusza bez kontusza, poznaj pana bez żupana!

O sprawach — nieraz wielkiego znaczenia — rozstrzygały liściki rekomendacyjne małżonek i nieżonek wysoko postawionych osobistości.

Odczułem ów bicz Boży na własnej skórze!...

Od dłuższego czasu przestałem pisać dla sceny.

Po ustąpieniu z dyrekcji Warsz. Teatrów Miejskich wydawało mi się, że moje węzły z teatrem zostały raz na zawsze przerwane.

Silne i długotrwałe upodobania przekształcają się jednak w nalogi... Skusił mię pomysł do nowej komedii.

Było mi trochę wstyd. W moich latach wracać do dawnej namiętności? Współzawodniczyć z młodymi?...

...Pomysł dojrzał, zacząłem pisać latem 1937 r. Zwierzyłem się Szyfmanowi, on proponował, bym nową sztukę zarezerwował dla Teatru Polskiego.

W ten sposób powstały „Koleżanki”. Skończyłem je w Wiśle, w lipcu 1938 r. Posłałem egzemplarz Szyfmanowi. W dziesięć dni później otrzymałem wiadomość, że sztuka będzie wystawiona w najbliższym sezonie.

Był to mój 21 utwór sceniczny.¹⁾

Z różnych względów, od Szyfmana niezależnych, wystawienie sztuki odwlokło się do wiosny 1939 r.

¹⁾ Piękna Ogrodniczka, Małe dusze, Tęcza, Biały królik, Edukacja Bronki, Aktorki, Przywódca, Rusalka, Diabeł i karczmarka, Rozstaje, Zmartwienia pana Hammelbeina, Głuszec, Pani Chorążyna, Kolombina, Historia z nieprawdziwego zdarzenia, Szal, Walka, Panienska z dancingu, Noc Sylwestrowa, Uśmiech hrabiny, Koleżanki.

Jedną z głównych postaci w „Koleżankach” miała odtworzyć młoda, obiecująca artystka, pani Malkiewicz Domańska. Reżyserię objął Zbigniew Ziemiński.

Odbyło się kilka prób czytanych. Sztuka i role podobały się aktorom. W pierwszej połowie kwietnia rozpoczęły się próby sytuacyjne.

Pewnego ranka telefonuje do mnie Szyfman, prosząc, bym jak najszybciej przyjechał do teatru.

Wskoczyłem do taksówki, w kilka chwil później byłem na Oboźnej. Szyfman miał minę grobową.

— Aktorzy roznieśli po kawiarniach fałszywą, że „Koleżanki” są twoją najlepszą sztuką...

— W tym, prócz przesady, nie ma tak dalece nic złego!

— Rozbudzili apetyty. Moja władza zwierzchnia zażądała, aby rola, którą powierzyliśmy Domańskiej, była oddana Kaiserównie.

— Komu?

Szyfman powtórzył z odcieniem bolesnej ironii.

— Pannie Kaiserównie.

Fluch der bösen Tat!

Toż to ja właśnie, jako dyrektor Miejskich Teatrów Dramatycznych, wprowadziłem ją na scenę. Była ładna, kształtna i senna, sarnim jej oczom brakło wyrazu. W sztukach kostiumowych wyglądała powabnie. W każdym większym teatrze potrzebne są urodziwe statystki.

Senna aktoreczka, która wówczas — zdawało się — do trzech zliczyć nie potrafiła, — okazała się cichą wodą, co gdy wzbiera, rwie groble.

Rozkochał się w niej gen. Kasprzycki, minister spraw wojskowych, mimo że był od wielu lat żonaty i miał dorastającego syna. Kierownicy Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej, pp. Korsak, Kaden-Bandrowski i Zawistowski umieli wyzyskać popędliwy afekt ministra. Nie zawahali się nawet wznowić „Cyrana de Bergerac”, aby Kaiserówna mogła pokazać się w roli Roxany!

Szyfman ze zwykłą obfitością gestów namawiał do ustępliwości.

— Sztuka jest „murowana”. Jedna rola, słabiej obsadzona, nie zachwieje przedstawienia. A gdybyś się upierał, — władza zwierzchnia mogłaby zmusić cię do przerwania prób.

Przykładano mi nóż do gardła, szarpałem się przez cały dzień.

Każdy autor, młody, czy stary, z upragnieniem wyczekuje realizacji swej sztuki na scenie. Ja miałem powody bardziej konkret-

ne do niecierpliwości. Zaczepnałem w „Zaiksie” tj. w Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych, większą zaliczkę. Trzeba było ją spłacić.

...Więc, zgrzytając zębami, musiałem ulec naciskowi. Ziemiński pocieszał mnie, że uczyni wszystko, co będzie mógł, żeby z drewna iskry wykrzesać.

Nazajutrz, zamiast pani Domańskiej, próbowała w „Koleżankach” Kaiserówna. Nic sobie z tego nie robiła, że poważniejsi artyści przyjęli ją ozięble.

Lecz oto w tydzień później za kulisami niebywałe wzburzenie. Z ust do ust biegnie wiadomość o samobójstwie młodej jeszcze kobiety, która z piątego piętra przy ul. Hożej rzuciła się na bruk. Zabiła się na miejscu.

Gdy sprawdzono nazwisko denatki, okazało się, że była to generałowa Tadeuszowa Kasprzycka.

„Aktorzy zażądali, by do swej roli wróciła p. Domańska. Tak się też stało.

Kaiserówna wyjechała w parę dni później z gen. Kasprzyckim do Paryża. Ten moment bowiem obrał właśnie marsz. Rydz, by delegować go w ważnej misji do sprzymierzonego państwa, jako przedstawiciela wojskowości polskiej.

Małżonka gen. Składkowskiego.

...W kancelarii i za kulisami Teatru Polskiego panował niezwyklej rejdach. Artyści, maszyniści, woźni, — jeden przez drugiego, opowiadali o wydarzeniu, które stało się sensacją kawiarni teatralnych.

Poprzedniego wieczora przybyła na przedstawienie „Koleżanek” generałowa Składkowska w towarzystwie przyjaciółki i paru panów. Kompania była pod gazem.

W międzyakcie rozbawione towarzystwo wyszło na placyk przed teatrem. Panie wybuchały piskliwym śmiechem, panowie ry czeli z uciechy.

Zabrzączał dzwonek. Publiczność pośpieszyła na widownię, socjeta pani Składkowskiej pozostała na placyku. Jedna z pań zaczęła nucić frywolną piosenkę, panowie wtórowali. Z okna foyer na pierwszym piętrze bufetowy wołał o ciszę. Powstała zgiefkliwa kłótnia. Ktoś przez okno chlusnął wodą na rozhukane bractwo. Parę kropli spadło na kapelusz małżonki premiera.

— Ja was nauczę! — darła się pani Składkowska. W więzieniu siedzieć będziecie, teatr każę zamknąć!

Nazajutrz wczesnym rankiem, do Teatru Polskiego przybyła policja mundurowa i cywilna, dwu komisarzy. Przeprowadzono surowe śledztwo.

Personel służbowy zawział się, nikt nie chciał ujawnić winowajcy. Szyfman, zawsze przytomny, wtrącił swoje trzy grosze: ofiarował pięćset złotych temu, kto weźmie przestępstwo i karę na swój rachunek. Komisarz zapewniał, że pani premierowa, w porywie pasji niepowściągliwa, pamięć ma krótką.

Znalazł się nieszczęśliwiec, który za pół tysiąca złotych gotów był siedzieć w kozie choćby parę miesięcy. Skończyło się na kilku dniach. Szef rządu mógł uspokoić swoją małżonkę, iż zuchwalec poniósł zasłużoną karę.

...Generałowa Składkowska, pochodziła z Paryża, uważała się w Polsce za przedstawicielkę wyższej kultury, i jako taka lubiła od czasu do czasu stolicę Polski oświecić. Tej łaskawości zawdzięczała Warszawa występy gościnne panny Mistinguette, sześćdziesięcioletniej gwiazdy paryskich *Folies Bergeres*, a przyjaciółki osobistej pani premierowej. Wzorowo zakonserwowana anatomia tancerki nie wzbudziła w Warszawie żywszego uznania. Większego powodzenia doznała Lucienne Boyer, słynna pieśniarka z paryskich kabaretów Montparnasse'u, którą również ściągnęła do Warszawy pani Składkowska.

Ostatnie dwa miesiące przed wybuchem wojny.

Od paru dziesiątków lat miesiące wakacyjne najczęściej spędzałem wraz z rodziną w Skolimowie, lub Konstancinie. Zwykle w willi Władysława Buchnera, redaktora i wydawcy „Muchy”, z którym łączyły mnie zażyłe stosunki koleżeńskie. On zajmował pierwsze piętro, my — parter; każdy miał przydzieloną na własny użytek połowę dużego ogrodu.

Pracownię urządziłem sobie pod osypanymi kwieciami lipami. Nieprzerwana melopea rozśpiewanych pszczoł i ćwierkanie drobne-go ptactwa zachęcały raczej do lenistwa. Powietrze było przesiąknięte słońcem i zapachem sadu. W igliwiu pobliskich sosen uwi-jały się wiewiórki.

W cieniu jabłoni i grusz, gnących się pod ciężarem owocu, majaczyła sylweta Buchnera, który przechadzał się wolno po swej parceli. Skubał z krzaków maliny, niekiedy schylał się po zapóźnio-ną truskawkę, — i układał w rymy moralizatorskie dysertacje do najbliższych numerów „Muchy”.

....Nigdy zapewne Polska nie interesowała się żywiej polityką, jak w tym czasie.

W początkach tego lata często włóczyłem się po lasach Oborskich z Antonim Wieniawskim, który w Konstancinie wczasu zaży-wał. Wieniawski był biegłym finansistą i doświadczonym rolni-kiem, po ojcu (Jordanie) odziedziczył gładkie pióro. W pierwszym gabinecie Ponikowskiego (r. 1918) sprawował obowiązki ministra Skarbu, jego umysłowość odznaczała się wszechstronnością zain-teresowań. Wieniawski smakował w dobrych książkach i dobrym teatrze. W jego salonach zbierało się wielu działaczy społecznych i politycznych, klika sanacyjna była mu wyraźnie nieprzychylna, on od czynnej polityki stronił.

W długich rozmowach, które prowadziliśmy podczas owych przechadzek, Wieniawski dawał upust złym przeczuciom. W jego mniemaniu ludzie, którzy dorwali się w Polsce do władzy, nie do-rośli do zadań, jakie piętrzyły się przed nieokrzepłym jeszcze pań-stwem.

Dokuczał mu zły stan zdrowia. W połowie lipca wrócił do Warszawy i wnet położył się do łóżka.

W ostatnich dniach sierpnia, bawiąc w mieście, pytałem przez telefon, czy można go odwiedzić. Pokojówka odpowiedziała przy-ciszonym głosem.

— Pan właśnie przed godziną umarł.

Gdyśmy go, na parę dni przed wybuchem wojny, żegnali w ko-ściele powązkowskim, podczas żałobnego nabożeństwa wpadł do świątyni zdyszany jego jedyny syn, w rynsztunku bojowym. Nad-biegł prosto z frontu, już do swego pułku, jako oficer rezerwy po-wołany. W dwa tygodnie później zginął w Modlinie.

Antoni Wieniawski był szczęśliwszy ode mnie... Nie dożył tego ciosu.

W Konstancinie i Skolimowie, mimo nadciągającej katastrofy, odwiedzano się, jak zwykle. Odbywano spacer, grywano w bry-dza, młodzież flirtowała. Łudzono się, że wojny da się uniknąć.

W lipcu 1939 r. minister Spraw Wojskowych, gen. Kasprzycki sporo czasu poświęcał zdjęciom filmowym, w których uczestniczyła Kaiserówna, a którym patronowało ministerstwo. Zdjęcia odbywały się w terenie z udziałem wojska, gen. Kasprzycki osobiście dawał wskazówki. W końcu lipca zatrzymał się z Kaiserówną w Krakowie. Wieczorem przyłączyło się do nich paru aktorów.

Jerzy Leszczyński pytał:

— Panie generale, — powiadają, — że przed 1 września wybuchnie wojna!

— Śmieję się pan z tego! Niemcy nie uważają się nas zaczepić!

Minister Spraw Wojskowych miał wciąż tyle wolnego czasu, że w ostatnich dniach sierpnia 1939 r., kiedy już po obu stronach granicy gromadziły się wojska, uczestniczył w parogodzinnym posiedzeniu, które odbyło się w Ratuszu, pod przewodnictwem prez. Starzyńskiego, a na którym rozstraszano plan kampanii jesiennej Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej!

W trzecim dniu wojny, kiedy już pół Polski było objęte pożogą najazdu, gen. Kasprzycki brał ślub z p. Kaiserówną.

W parę dni później wsiadł do wielkiej limuzyny, naładowanej walizkami i pudełkami od kapeluszy, i wraz z młodą małżonką pędził określoną drogą ku granicy rumuńskiej...

A marsz. Rydz-Śmigły?

W środę, dnia 30 sierpnia 1939 r., wieczorem grał w swych apartamentach przy ul. Klonowej w brydża. Panowie August Zaleski i Tadeusz Sułowski, którzy uczestniczyli w partii, koło godz. pierwszej w nocy wstąpili do Klubu Myśliwskiego przy ul. Kredytowej, by zasięgnąć języka.

Gdy się zwierzyli, gdzie i jak spędzali wieczór, jeden z obecnych¹⁾ wyraził zdziwienie, że w chwili tak wysokiego napięcia wódz naczelny najdywał czas i ochotę do gry w karty. Lojalni partnerzy tłumaczyli że to właśnie świadczyło o opanowaniu nerwów i o ufności we własne siły.

Marsz. Rydz opuścił Warszawę równocześnie z ministrami. Kiedy pod Kutnem rozpętywała się bitwa, w której miały się decydować losy Polski, marsz. Rydz gościł w Olyce, na Wołyniu, u Janusza ks. Radziwiłła. Opuszczając wnet potem kraj, wzywał gen. Rómmla, by bronił Warszawę do upadłego, bo tego wymagał honor Polski...

¹⁾ Zdzisław ks. Lubomirski.

Ostatnia niedziela Sierpnia... Syn wrócił z Warszawy na obiad, wiadomości, jakie przywiózł były alarmujące. Krążyła wieść, iż rząd polski proponował Rzeszy arbitraż w Londynie lub Paryżu. Kanclerz Hitler wyraził życzenie, aby pełnomocnicy polscy niezwłocznie przybyli do Berlina.

W Gdańsku i na całym pograniczu niemieckim mnożyły się napaści Niemców. W Warszawie — entuzjastyczne manifestacje tłumów przed ambasadami Francji i W. Brytanii. Ambasada niemiecka była strzeżona przez silne oddziały policji.

...Po południu wybraliśmy się do znajomych, którzy posiadali willę w rozległym sadzie nad rzeczką. W dni świąteczne roiło się tam zawsze od gości. Owej niedzieli przyjechało z Warszawy zaledwie parę osób. Wszyscy byli niespokojni, rozmowa wlokła się i rwała, myśl błądziła daleko.

Prezes sądu, starszy pan, bardzo zgnębiony, cichym głosem mówił:

— Czekają nas straszliwe przeżycia!

Jedna z pań replikowała nieśmiało.

— Nasz żołnierz jest niezrównany. Będzie walczył do upadłego!

Dostojnik sądowy objął ją życzliwym spojrzeniem i łagodnie ciągnął dalej.

— Niewątpliwie. Lecz o zwycięstwie decyduje przewaga siły lotnictwa, artylerii, broni pancernej i zmotoryzowanej, — produkcja wojenna, która uzupełnia szybko ubytek...

— Mamy sojuszników, którzy dowiedli swej wyższości!

— Dzieli nas od nich przestrzeń Rzeszy, cieśniny Sundu i Bałtów.

Goście z Warszawy spieszyli się z odjazdem, wracaliśmy do domu w milczeniu. Wieczór był jasny i ciepły, żółta bania księżycy wisiała nisko nad wierzchołkami drzew.

Z willi, którą mijaliśmy, dochodziły radiowe dźwięki tanga i tkliwych pieśni.

...Już miałem gasić światło, gdy do pokoju weszła żona. Usiadła na łóżku i nagle przytuliła się do mnie. Wybuchła płaczem.

Daremnie usiłowałem ją uspokoić. Łkała coraz silniej.

— Jeszcze jedna wojna!

Przeżyliśmy już dwie, nie licząc światowej, — ukraińską i sowiecką. W każdej z nich jednak nasz brał czynny udział. Jakież wówczas przechodziliśmy udręki, obawy!

I teraz byliśmy pewni, choć liczył już 43 lata, — że jeśli otrzyma wezwanie, żadna siła nie zatrzyma go w domu. Żona szeptała.

— Boję się! Okropnie się boję!

Tej nocy nie spaliśmy oboje. Syn musiał również nie spać, bo kiedy wczesnym rankiem wybierał się do Warszawy, oczy miał podkrążone. Wrócił na obiad bardzo rozstrojony. Przyparłem go do muru. Wyznał, że biegał po urzędach wojskowych, chcąc się zameldować do służby. Odpowiadano mu, że mobilizacja nie była dotychczas ogłoszona.

We wtorek 28 sierpnia, nasz rząd ogłosił komunikat, w którym prostował oskarżenia berlińskie o rzekomych mordach Niemców w Łodzi i w Bielsku, oraz o polskich obozach koncentracyjnych dla Niemców.

I nagle rozpętała się panika. Każdy, kto zapóźnił się na letnich wywczasach, chciał jaknajprędzej wracać w rodzinne pielesze. Pociągi biegnące w stronę Warszawy, były przepełnione. Ludzie tłoczyli się na dachach wagonów i na buforach. Skolimów i Konstancin w ciągu dwóch dni doszczętnie opustoszały. Zamykano pensjonaty. Autochtoni drętwieli z osłupienia.

Przyszedł Buchner i pytał, co zamierzamy uczynić. Ani żona, ani ja, nie mieliśmy ochoty wyjeżdżać. Przyjaciele z Warszawy zachęcali, aby nie poddawać się nerwowym nastrojom.

Syn na noc stale wracał.

Ale dni wlokły się ciężko, bez końca....

30-go sierpnia, w środę, ogłoszona została mobilizacja.

Hr. Michał Łubieński, z ramienia M. S. Z., złożył w ambasadzie brytyjskiej w Warszawie następujące oświadczenie:

1. Rząd brytyjski może być całkowicie pewny, że mimo nieznosnej sytuacji, wytwarzającej się w Gdańsku, Polska powstrzyma się od wszelkiego aktu, który mógłby być postrzegany za prowokację.
2. Rząd polski wyraża przekonanie, iż rząd brytyjski nie zajmie żadnego stanowiska w zakresie zagadnień, interesujących Polskę, bez porozumienia się z rządem polskim.

Rząd brytyjski zakomunikował rządowi polskiemu tekst noty, wysłanej do kanclerza Hitlera. Nota, sformułowana w tonie najbardziej uprzejmym, proponowała ponowne podjęcie rozmów z Polską w sprawach spornych, ewent. ofiarowywała w tym celu pośrednictwo rządu brytyjskiego.

Nazajutrz, tj. w czwartek dn. 31 sierpnia, min. Beck odpowiedział, iż rząd polski gotów jest przystąpić niezwłocznie do wymia-

ny zdań z rządem niemieckim. W razie wszczęcia pertraktacji wojska polskie wstrzymają się od wszelkiego naruszenia granic Rzeszy. Domagał się analogicznego zapewnienia ze strony Niemiec.

Tegoż wieczora w Berlinie min. Ribbentrop przyjął ambasadora Lipskiego. Rozmowa była mętna. Ribbentrop zdawał się godzić na propozycję rządu brytyjskiego i wyraził nadzieję, iż umocowanym do rozmów delegatem Polski będzie ambasador Lipski. Zastrzegł się jednak, że musi złożyć raport kanclerzowi Hitlerowi.

W cztery godziny później, tj. na godzinę przed północą, komisarjat gdański donosił Warszawie, że wojska niemieckie, stacjonujące w Prusach Wschodnich, weszły na terytorium Wolnego Miasta.

O świcie krążownik niemiecki Schleswig-Holstein rozpoczął ostrzeliwać ze wszystkich dział Westerplatte. Równocześnie olbrzymie armie niemieckie na całej linii od Zachodu runęły na ziemie Rzeczypospolitej.¹⁾

Wojna!...

W dniu 1-go września, w piątek, obudziłem się bardzo wcześnie. Kiedym otworzył drzwi na taras, słońce tkwiło jeszcze nisko nad drzewami. Ale już grzało, w sadzie wabiły się wilgi. Dozorca zrywał dorodne, rumiane jabłka i rzucał do koszyka, który podsuwała mu jego magnifika. Skoro mnie obaczyli, zbliżyli się do tarasu. Dozorca raportował.

¹⁾ W sześć lat później w listopadzie 1945 r., w Norymberdze przed Trybunałem Czterech Wielkich Mocarstw: W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Rosji Radzieckiej i Francji, rozgrywał się przewód sądowy, wytoczony czolowym zastrzelkom Hitlera. Prokuratura stwierdziła na podstawie znalezionych dokumentów, że w dniu 22 sierpnia 1939 r. w Obersalzburgu, w pobliżu Berchtesgaden, odbyła się tajna narada Hitlera z zaufańcami, którzy teraz zajmowali ławy oskarżonych. Hitler przedstawił swoją decyzję napadu na Polskę, — przy czym zaznaczył, że oddziały niemieckie z trupią główką otrzymały rozkaz mordowania w Polsce bez litości mężczyzn, kobiet i dzieci, że siłą uderzenia niemieckiego będzie szybkość i brutalność.

— Dżingischan — wywoził Hitler, — wymordował miliony ludzi, a historia widzi w nim tylko wielkiego budowniczego. Kto pamięta dziś o eksterminacji Ormian?... Inwazja i tępienie Polaków rozpoczyna się w dniu 1 września o świcie.

— Świat liczy się tylko ze zwycięzcami.

I „wódz” zakonkludował.

— Do widzenia w Warszawie!

Goering, w szale radości, miał wskoczyć na stół i zatańczyć dziki taniec wojenny.

— Powiadają, że dziś zacznie się wojna.
— Bóg raczy wiedzieć...
Dozorca skarżył się, że na targu już niczego nie można było się dokupić.

Buchner wyszedł na swój balkon i strofował dozorcę.
— Co Adam plecie o wojnie! Żadnej wojny nie będzie.
Na wymytm do czysta błękicie nieba, bardzo wysoko, —
jawiło się kilka ciemnych punkcików.

Buchner konstatawał z zadowoleniem.
— Nasze myśliwce ćwiczą się.
Liczba punkcików mnożyła się. Doznawało się wrażenia, że pod niebem odbywała się gonitwa.

Samoloty, z przerwami, uwijały się do południa. Nasze eskadry odpędzały aeroplany niemieckie, wysyłane na zwiady.

Nazajutrz, 2-go września, przeloty nad Skolimowem trwały przez cały dzień. Już nie było wątpliwości, że nad nami odbywały się walki powietrzne. Od czasu do czasu słychać było oddalone, głuche detonacje. Koło ciemnych punktów snuły się białe obłoczki.

Był to dzień moich imienin, ułożyliśmy się jednak, że obchodzić je będziemy wspólnie z imieninami żony w niedzielę. Z Warszawy miała przyjechać garstka krewnych i przyjaciół.

Syn przywiózł wiadomości o rozkazie Hitlera do armii. Dyktator utrzymywał, że Polacy odrzucili warunki rządu Rzeszy, że mordowali bestialsko obywatele narodowości niemieckiej, dopuszczali się gwałtów na pograniczach. Wskutek tego postanowił odwołać się do sił zbrojnych.

W Warszawie niepokój budziło milczenie sojuszników. Bonnet, francuski minister spraw zagranicznych, nie taił, że wolałby wstrzymać wybuch wojny ustępstwami. Hr. Ciano rozmawiał z nim telefonicznie w tej sprawie jeszcze w piątek, 1-go września.

W niedzielę, 3-go września, ranek był przedziwnie ciepły i słoneczny. Siedzieliśmy na tarasie willi, Buchner z córką i wnuczką składali życzenia. Samoloty, ścigające się w powietrzu, tak spowszedniały, że już nie budziły uwagi.

Wszystkich żał niepokój. Czyż Polska, pozostawiona własnym siłom i środkiem, będzie mogła oprzeć się nawale niemieckiej?

Radio warszawskie zapowiadało komunikat oficjalny. Poszliśmy do gabinetu. Na tarasie wyrósł dozorca z żoną, w drzwiach od kuchni pokojówka i kucharka.

Radio przemówiło, jak fanfara.
— W. Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę!

Moja żona bardzo wzruszona, osunęła się na kolana. Buchner poszedł za jej przykładem, uklękliśmy wszyscy.

— Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech!....

Serca rozpierała radość. Wielka potencja świata stanęła do rozprawy z zachłannością niemiecką.

Milton, twórca „Raju Utraconego”, powiadał, że Pan Bóg, jeśli miał na ziemi trudniejsze zadanie do spełnienia, powierzał je Anglikom!...

...A Francja?

W parę godzin potem przemówił Paryż. Francja ogłaszała Niemcom wojnę. W radio zabrzmiały przejmujące dźwięki Marsylianki...

Tego już nikt nie mógł strzymać. Wybuchły łkania, szlochy, polały się szczęśliwe, ciepłe łzy. Ściskaliśmy się wzajem, równocześnie śmiejąc się i płacząc.

O godzino niezapomniana!

Refleksje.

Polski romantyzm polityczny rodził się z buntu przeciw rozbiorom, które Jerzy Clemencau nazywał „największą zbrodnią świata”. „Nigdy gwałt nie był mniej usprawiedliwiony, nigdy zbrodnia przeciw ludzkości nie domagała się natarczywiej naprawy, — stale odkładanej. Rozbiory Polski stały się synonimem najgorszego przestępstwa z pośród tych, jakie obciążają rachunek naszej rzeckomej cywilizacji.”¹⁾

Romantyzm polski był świętym ogniem, który zagrzewał do nieustającej walki o wyzwolenie.

Gdy odwróciła się karta dziejów i odżyło państwo polskie, romantyzm, element buntu i walki, z natury rzeczy tracił swoje znaczenie. Państwo musiało kierować się trzeźwą rozumą, brać w rachubę wszelkie możliwości.

I oto dręczące pytanie:

— Czy poczucie rzeczywistości i trzeźwy rozum mogły być uratować Polskę od katastrofy? Czy kosztem Gdańska i eksterytorialnego korytarza Polska mogła była zabezpieczyć sobie ze strony Trzeciej Rzeszy pokój?.....

¹⁾ Jerzy Clemencau: „Grandeurs et misères de victoire”.

Wojna w ideologii niemieckiej była kontynuacją polityki, prowadzonej w czasie pokoju: posługiwała się tylko innymi środkami. Była poczytywana za „najwyższy nakaz cywilizacji”.

W Niemczech nie wahano się nigdy wywoływać wojny, gdy moment zdawał się dogodny.

W r. 1870-tym Bismark spreparował „depeszę emską”, by zniewolić ostrożnego Wilhelma I-go do wypowiedzenia wojny Francji.

B. ambasador Wilhelma II-go w Londynie, ks. Lichnowsky, stwierdza w swych wspomnieniach „Moja misja londyńska”, że w r. 1914-m Berlin zamęczał austriackiego ministra spraw zagranicznych, hr. Berchtolda, do zaatakowania Serbii, mimo, że groziło to rozpętanem wojny światowej. Bezpośrednim motywem wypowiedzenia wojny Francji przez cesarza Wilhelma II-go w r. 1914-m było notoryczne kłamstwo o przelotach aeroplanów francuskich nad Norymbergą.

W Berlinie nie wierzono, aby WBrytania dotrzymała zobowiązań wobec Rzeczypospolitej.

Polska podniosła rzuconą jej rękawicę, mimo że zdawała sobie sprawę z przewagi wojennej przeciwnika.

„Wielkość narodu zależy nie tyle od odnoszonych zwycięstw, ile od ideałów, w imię których naród walkę prowadzi” — pisał Lloyd George.¹⁾

Mógłże istnieć szczytniejszy ideał, jak niepodległość i całość Ojczyzny?

Łuska z oczu spada.

Pierwsze kroki wojenne ze strony Niemiec nastąpiły w dniu 1-szym września, przed świtem, przy moście na Wiśle pod Tczewem. Ów most był własnością Rzeczypospolitej, aczkolwiek przeciwniegi brzeg należał już do Wolnego Miasta; posiadał znaczenie strategiczne, ponieważ był jedynym w dolnym biegu Wisły i przez niego szły pociągi tranzytowe z Rzeszy do Prus Wschodnich.

Sygnal! Od Wschodu szedł pociąg tranzytowy.

Dzień wstawał ciepły i cichy.

Na most wtoczył się ciężki parowóz niemiecki. Ciągnął wagon pocztowy i parę wagonów osobowych. bez świateł. Przystanął.

¹⁾ „Wspomnienia wojenne”.

Huknął niespodziewanie strzał i wnet rozległy się wybuchy granatów ręcznych.

Z wagonów osobowych wysypała się hurma żołnierzy niemieckich. Rzucili się do kabli, chcąc je przecinać.

Ale kapral Kiedrowicz, który tej nocy pełnił przy moście straż, już grzał do napastników z ciężkiego karabinu maszynowego. Żołnierze polscy otworzyli ogień tak cięty, że Niemcy nie wytrzymali. Kilku padło, reszta uciekła. Po drugiej stronie rzeki wylaniały się oddziały wojsk niemieckich...

Pusty pociąg, oświetlony blaskami wschodzącego słońca, pozostał unieruchomiony na moście. Nadbiegł dyżurny oficer naszych saperów, przekreślił kontakt do min. Olbrzymi most wyleciał w powietrze z ogłuszającym hukiem...

Nagromadzone zawczasu na całej linii granicznej armie niemieckie wtargnęły do Polski lawiną, od Bałtyku po Rumunię.

Nasze dowództwo dało się zaskoczyć. Spóźniona mobilizacja nie mogła być w całej pełni ukończona.

Płk. Jerzy Kirchmayer — dziś generał — w fachowym studium „Kampania Wrześniowa”, wydanym w roku 1946, pisał, że w wojnie tej zetknęły się dwie armie: polska, zupełnie nie przygotowana i niemiecka, ćwiczona przez 20 lat do odwetu.

„Wojsko polskie z przestarzałym uzbrojeniem i organizacją, z zaniedbany wykształceniem operacyjnym, — i wojsko niemieckie, uzbrojone i zorganizowane w sposób najbardziej nowoczesny, silne ogniowo i ruchowo, na wysokim poziomie wykształcenia operacyjnego”.

Polskie siły zbrojne rozciągnięto na wydłużonej granicy kraju, zamiast skupić je w dogodnym do oparcia punkcie.

Błędem również, według gen. Kirchmayera, okazało się skoncentrowanie całego dowództwa w niepodzielnie jednym ręku, i to w ręku słabym.

Już w trzecim dniu wojny nieprzyjaciół wykazał bezapelacyjną przewagę w boju na ziemi i w powietrzu i skutkiem działań niemieckich obszar tyłowy zaczął pogrążyć się w bezładzie.

Lotnictwo niemieckie, które liczyło około 5000 samolotów wobec 771 polskich, w pierwszym dniu wojny zaatakowało wszystkie nasze lotniska. Wskutek tego spora liczba naszych samolotów, nie rozproszona w porę po utajonych lotniskach polnych, uległa zniszczeniu. Eskadry niemieckie rozwalaly bombami nasze wytwórnie samolotów, magazyny broni i amunicji, radiostacje, węzły kole-

jowe. Sztab niemiecki był poinformowany dokładnie o wszystkich ważniejszych polskich obiektach wojskowych.

Prażono z powietrza pociskami miasteczka i wsie, drogi i nawet pastwiska, nie bacząc, że w nocy z dnia 1-go na 2-go września, z inicjatywy rządu niemieckiego, a za pośrednictwem rządu holenderskiego, Niemcy i Polska zobowiązały się nie atakować ludności cywilnej.

Kiedy ten układ zawierano, dowództwo niemieckie lękało się nalotów francuskich na miasta Rzeszy. Obawy okazały się płonne, o przyrzeczeniu zapomniano.

Dwie główne armie polskie, poznańska — gen. Kutrzeby i pomorska — gen. Bortnowskiego miały bronić Wielkopolski i Pomorza. Przeciw nim skierowały się gwałtowne uderzenia wojsk generałów v. Kùhlera i v. Klugego, wspomagane przez formacje pancerne generałów Straussa i Guderiana.

Już po pierwszych dwóch dniach ciężkich walk gen. Bortnowski z większą częścią swoich wojsk musiał się cofać, bo groziło odcięcie. Cały obszar nadmorski, z Gdynią, Oksywiem, Helem i Westerplatte, został zdany na własne siły.

Drugie skoncentrowane natarcie niemieckie zwracało się przeciw Śląskowi, którego broniła armia gen. Szylinga. I tutaj wojska polskie musiały szybko ustępować; zagrażał ich tyłom gen. Reichenau, który pchał swą armię na Częstochowę, Radomsko i Piotrków.

Zasadniczy polski plan obrony, widocznie zawczasu dobrze znany sztabowi niemieckiemu, został przez błyskawiczne uderzenia obrócony w niwecz.

Plan ten opierał się na układzie wojennym, zawartym w dniu 19 maja 1939 r. w Paryżu przez marsz. Śmigłego z gen. Gamelin. Układ przewidywał, że gdyby Polska była zaatakowana przez Niemcy, całe lotnictwo francuskie miało natychmiast runąć na określone cele w Rzeszy (bazy operacyjne, węzły kolejowe, zakłady przemysłowe), a to celem odciążenia frontu polskiego. W trzecim dniu mobilizacji wojska francuskie miały zająć bazy wypadowe na Rzeszę, w piętnastym — miały wspólnie z siłami brytyjskimi przejść do generalnej ofensywy.

Analogiczny jakoby układ z WBrytanią podpisany został w Warszawie przez gen. Ironside'a, szefa sztabu angielskiego i gen. Stachewicza, szefa sztabu polskiego.

Wojna rozpoczęła się, Francja z pomocą zwlekała. Marszałek Rydz Śmigły widział się zmuszony już w dniu 3-cim września zmie-

nić plany. Koncentrował dwie grupy uderzeniowe: jedną — w rejonie Tomaszów, Rawa Mazowiecka, drugą — w rejonie Kielc.

W koncepcji tej tkwiło zatrzymanie nieprzyjaciela w rejonie Częstochowy, umożliwienie odwrotu wojskom generałów Bortnowskiego i Kutrzeby.

Lecz gen. Skwarczyński nie zdołał przeprowadzić w porę koncentracji pod Kielcami, nowy plan naczelnego wodza nie dał się zrealizować. Zachodziła obawa, że nieprzyjaciel może odrazu skoczyć ku Warszawie.

Dzienniki warszawskie w dniu 1-ym września obwieściły wtargnięcie wojsk niemieckich w granice Rzeczypospolitej.

Odezwa prez. Mościckiego brzmiała:

„Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec państwa polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii.

W tej chwili dziejowej zwracam się do wszystkich obywateli państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały naród w obronie swej wolności, niepodległości i honoru skupi się dokoła Wodza Naczelnego i Sił Zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi, jak się to już nieraz działo w historii stosunków polsko-niemieckich.

Cały naród polski, pobłogosławiony przez Boga, w walce o świętą i słuszną sprawę zjednoczony z armią, pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa”.

Nazajutrz, dnia 2-go września, pojawiło się orędzie Naczelnego Wodza do armji:

— „Żołnierze”!

Niemiec, odwieczny nasz wróg, napadł dn. 1-go września na Rzeczpospolitą, naruszając całą naszą granicę.

Nadszedł czas wypełnienia naszego żołnierskiego obowiązku. Żołnierze! Walczymy o istnienie i przyszłość Polski.

Za każdy krok, zrobiony w Polsce, musi wróg drogo zapłacić swą krwią. Każdy z was ufny w słusność naszej sprawy i w sprawiedliwość Bożą, musi zdobyć się na najwyższy wysiłek, by jaknajprędzej wypełnić nakaz obowiązku i honoru.

Bez względu na długotrwałość wojny i poniesione ofiary, ostateczne zwycięstwo będzie należało do nas i do naszych Sprzymierzeńców”.

Płk. Umiastowski, speaker Radia Polskiego, pouczał żołnierzy:

— Strzelajcie powoli! Każdy strzał musi być celny. Strzelajcie bez pośpiechu!

Słuchaczy ogarniał niepokój. Był to już nawoływanie do oszczędzania amunicji?...

Ozon trąbił:

— Wodzu! — „Prowadź! Z nami zwycięstwo! Niech żyje wielka i zwycięska Rzeczpospolita Polska”.

Premier Składkowski w dn. 2 września mówił w Sejmie:

— „Narzuconą nam wojnę wygramy, bo nauczył nas Józef Piłsudski, jak się zdobywa niepodległość i jak się jej broni. Wojnę tę wygramy, bo na wezwanie pana Prezydenta pójdziemy wszyscy do walki, ramię przy ramieniu. Wojnę tę wygramy, — bo mamy wodza, marszałka Rydza Śmigłego i wypełnimy z twardym, żołnierskim postanowieniem wszystkie jego rozkazy, wiodące w Imię Boże do zwycięstwa”.

W państwach demokratycznych ogólne prowadzenie wojny jest prerogatywą rządu, jako władzy, która reprezentuje jednolitość i ciągłość polityki państwowej.

Według Konstytucji Kwietniowej, przykrojonej na miarę marsz. Piłsudskiego, prezydent Rzeczypospolitej był „Zwierzchnikiem Sił Zbrojnych”, stanowił o wojnie i pokoju, mianował i zwalniał Naczelnego Wodza.

Polityką wojenną kierował Prezydent Rzeczypospolitej, działaniami operacyjnymi — Wódz Naczelnny.

Tym trybem cała władza i odpowiedzialność za losy państwa przeszła w ręce dwóch ludzi: prez. Mościckiego i marsz. Rydza.

W pierwszych dniach wojny Warszawa nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tego, co się działo na froncie, aczkolwiek wiadomości, pochodzące od uchodźców, były bardzo niepokojące.

W Skolimowie krótka rada familijna: postanowiliśmy wrócić do miasta. Z Warszawy przysłano nam jedną z niewielu pozostałych na służbie taksówek. Buchner wciąż utrzymywał, że się ze Skolimowa nie ruszy. Lecz gdy władowaliśmy się do zapchanej parkunkami limuzyny i rozległ się sygnał odjazdu, Buchner nagle zmienił zdanie.

Zapytał szofera.

— Czy nie mógłby pan wrócić po nas? Za godzinę będziemy gotowi.

Szofer zgodził się, pożegnaliśmy się jeszcze raz, taksówka pomknęła w stronę Warszawy.

Już więcej Buchnera nie widziałem. W dwa dni później opuścił Warszawę, po paru miesiącach włóczęgi, najeżonej przygodami, dotarł do Wilna, znalazł tam u jednego z księży schronienie. Siły jednak zawiodły. Buchner rozchorował się i wkrótce zmarł.

...Warszawa przybrała aspekt wojenny. Dworce kolejowe, tramwaje i autobusy były natłoczone rezerwistami, ulicami maszerowały oddziały jeszcze nieumundurowane, wszędzie brzmiały pieśni żołnierskie. Alarmy nalotowe bez liku.

W dzień naszego powrotu, 4-go września, nad miastem krążyło blisko 70 samolotów nieprzyjacielskich. Nasze eskadry rącho pędziły do walki, siedem samolotów niemieckich strącono.

Na skrzyżowaniach ulic pełniły służbę posterunki sanitarne. Kiedy zapadał zmrok, Warszawa tonęła w ciemnościach. Sklepy zamykano wcześniej, tramwaje z przygaszonymi światłami sunęły jak cienie. Mijały je ostrym pędem samochody wojskowe, trąbiąc rozgłośnie.

W większości fabryk praca odbywała się prawidłowo. Prez. Mościcki dekretował utworzenie dwóch nowych resortów. Ministrem i głównym komisarzem cywilnym mianowany został wojewoda Kostek Biernacki, ministrem propagandy i prasy — wojewoda Grażyński. Ten ostatni dobrał sobie, jako wiceministra, plk. Wyżła Ścieżyńskiego. W dwa czy trzy dni później wszyscy trzej nominaci opuścili wraz z resztą ministrów swoje niezagrane jeszcze fotele i stolicę.

Sitem wiadomości rzetelnych i fałszywych stał się lokal Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Związek Dziennikarzy R. P. nie posiadał dogodnej siedziby; nasz lokal, położony w doskonałym punkcie śródmieścia, był obszerny i wygodnie urządzony. Teraz odbywały się w nim od wczesnego ranka do późnego wieczora ożywione konwentykle. Nietylko wydawcy i dziennikarze warszawscy, ale również ci, co zmuszeni byli uchodzić z dzielnic zachodnich, zagarnianych przez wojska nieprzyjacielskie, tu taj wyznaczali sobie spotkania.

Dzienniki czyniły, co mogły, by podtrzymać w społeczeństwie ducha. Jedna z gazet notowała pogłoski, jakoby dywizje niemieckie dostały się we dwa ognie wojsk polskich, że porty niemieckie rzekomo były bombardowane przez flotę brytyjską, a francuzi rozpoczęli ofensywę na lądzie, morzu i w powietrzu.

Naczelne Dowództwo było powściągliwsze. W swych komunikatach nie tało zajęcia przez Niemców Bydgoszczy i Grudziądza, donosiło o zaciętych i krwawych bojach pod Mławą.

Marsz. Rydz Śmigły domagał się, aby Prezydent Rzeczypospolitej i ministrowie opuścili zagrożoną stolicę. Doradzał ewakuację ważniejszych urzędów.

Prezydent skwapliwie zastosował się do tych rad i wraz z całą rodziną wyjechał już 4-go września. Ministrowie w dniach następnych. Kwatera Główna Wodza Naczelnego została pospieszenie przeniesiona do Brześcia Litewskiego w nocy z 5 na 6 września. Decyzja już była spóźniona, odwrót poszczególnych naszych armii dokonywał się samorzutnie. Odtąd wszystko zależało od tego, w jakim stanie nasze wojska zdołają się przedostać na prawy brzeg Wisły i czy powiedzie się ustalić północne skrzydła frontu nad Narwią lub Bugiem. Marsz. Rydz Śmigły opuścił stolicę w obawie, że mógłby zostać w niej zamknięty. Tym samym jednak ogólne kierownictwo działaniami wojennymi wypadło mu z rąk.

Historia — pisze gen. Kirchmayer — nie przebaczy Rydzowi wyjazdu na oddalony punkt, z którego już nie mógł dowodzić. Poczytano mu to za ucieczkę.

Polska, pozostawiona przez sojuszników własnym siłom, znalazła się w położeniu tragicznym.

Według danych, ogłoszonych później przez nasze emigracyjne ministerstwo informacji, niemieckie siły wojenne miały się do sił polskich, jak dziesięć do jednego.

Polska była krajem słabo uprzemysłowionym. Jej sieci nowoczesnych dróg były niedostatecznie rozwinięte. Polska posiadała ogółem około 50.000 samochodów (osobowych i ciężarówek) oraz 12.000 motocykli, którym w tej wojnie przypadła ważka rola. Liczba globalna samochodów w Rzeszy (wraz z Austrią i Czechosłowacją) wynosiła blisko 2.000.000, liczba motocykli — 1.500.000!

Olbrzymia przewaga w dziedzinie broni pancernej i zmotoryzowanej, samolotów i samochodów, zapewniała wojskom niemieckim szybkość poruszeń, która paraliżowała odporność polską.

W dniu 6-ym września marsz. Rydz nakazał wojskom polskim cofać się w kierunku linii Narew — Bug — Wisła. Tereny od Modlina do ujścia Pilicy zostały zdane gen. Rómmłowi, który w ten sposób stał się obrońcą Warszawy.

Rozkaz ów doszedł gen. Rómmła w Mszczonowie. W odręcznym liście marsz. Rydz Śmigły pisał:

— Panie Generale, Pan obejmie dowództwo Warszawy, w której bronić się trzeba, jak długo starczy amunicji i żywności. Ufam Panu Generałowi, że Pan dobrze wypełni ten historyczny obowiązek.¹⁾

Gen. Rómmel był ranny. Mimo to udał się natychmiast do Warszawy. Tam przekonał się, że całe lotnictwo, artyleria przeciwlotnicza i amunicja zostały wycofane, że ewakuowano z miasta nawet straż pożarną. Pozostawione siły obronne były słabe.

Według dalszych rozkazów, między Sandomierzem a Pilicą miała zająć pole świeżo ukonstytuowana armia gen. Piskora wraz z dywizją gen. Dąb-Biernackiego. Południową część frontu, od Sandomierza do Karpat, obejmował gen. Fabrycy, któremu podporządkowano resztki rozbitych wojsk gen. Szyllinga.

Zadaniem wojsk generałów Kutrzeby i Bortnowskiego było uderzenie z frontu na niemieckie siły gen. Reichenau, które już podchodziły pod Skierniewice.

Gen. Radziwiński kierował obroną na Północy. Niemieckie dywizje przedzierały się w kierunku Pułtuska i Rożan.

Prezydent miasta, Stefan Starzyński, początkowo również zamierzał opuścić Warszawę. Samochód, wyekwipowany do drogi, czekał na podwórzu ratuszowym. Lecz gdy gen. Składkowski, na wyjeźdźnym, mianował Starzyńskiego Komisarzem Rządu i na niego zdał całą władzę cywilną w stolicy, Starzyński sprostał godnie misji, która nań spadała, o wyjeździe więcej nie myślał.

Powołał do życia Komitet Obywatelski, jako organ doradczy, objął w nim przewodnictwo. Niemal co wieczór przemawiał przez radio do ogółu mieszkańców, oświeślał ważniejsze zagadnienia i obowiązki, zachęcał do wytrwania.

Kiedy nastąpiła kapitulacja, zwierzchni zarząd miasta natychmiast objęły władze niemieckie. Starzyńskiego na razie pozostawiono na stanowisku głowy miasta. Nie na długo. W połowie października, w Ratuszu odbywało się posiedzenie Komitetu Obywatelskiego, przewodniczył Starzyński. Na salę sesyjną wszedł woźny, zbliżył się dyskretnie.

— Dwóch oficerów niemieckich pragnie w pilnej sprawie mówić z panem prezydentem.

¹⁾ Wywiad w „Życiu Warszawy” z dn. 5 Września 1945 r.

Starzyński przeprosił zebranych, wyszedł, — i więcej już go nie widziano. Owo posiedzenie Komitetu Obywatelskiego było ostatnim.

Starzyńskiego więziono naprzód w Warszawie, potem wysłano jakoby do obozu karnego w Mauthausen w Turynii. Wszelki ślad po nim zaginął.

Postawa, jaką w czasie oblężenia zajął, ściśle odpowiadała nastrojom stolicy. Cała ludność polska, bez względu na wiek, płeć, kulturę i zamożność, przejęta była jednym uczuciem i jedną wolą: bronić miasta do ostatniego tchu!

Warszawa zagrożona.

...Syreny wyły przeraźliwie, głośniki radiowe na wszystkie strony przestrzegały:

— Uwaga... Uwaga... Nadchodzi.

Słychać było chrapliwy łomot zbliżających się bombowców.

Grzmiały pospieszne strzały z dział przeciwlotniczych, klekotały karabiny maszynowe. Ulice miasta w mgnieniu oka pustoszały. Przechodnie kryli się w bramach domów i w schronach.

Nad miastem rozwijała się bitwa podniebna. Myśliwce polskie nacierały z furją na napastnika.

Ale już odzywały się głuche, złowrogie grzmoty bomb. W bramach i w schronach rozmowy milkły, twarze bladły. Kobiety szepotały „Pod Twoją Obronę”...

Nagle z za bramy wyrywa się radosny krzyk.

— Trafiony!...

Jeden z niemieckich potworów powietrznych zachybotał pod obłokami, — koziołkował.

Tłumy wypadają z bram na środek jezdni. Wszystkie oczy płoną.

— Stracili Niemca! Niech żyje Polska!

...Ugodzony celnym strzałem bombowiec spadł na pobrzeżu Wisły.

Napastnicze samoloty rozproszyły się, gwałtowna kanonada uciła. Ulice zaludniły się, opowiadaniom nie było końca. Każdy chciał zwierzyć się ze swych spostrzeżeń i wrażeń.

Syreny odwoływały alarm...

Komunikat Dowództwa Naczelnego z dnia 6 września nie usposabiał do optymizmu. Objaśniał, że wobec przeważających sił nieprzyjacielskich nasze wojska w dalszym ciągu cofały się „planowo, zachowując całość swoich formacji, oraz linie frontu”.

Z terenów, zajmowanych przez armie niemieckie, ściągały do stolicy coraz liczniejsze rzesze uchodźców.

Wieczorem tegoż dnia speaker wojskowy, płk. Umiastowski wezwał z właściwym mu patosem przez radio wszystkich mężczyzn, zdolnych do noszenia broni, by niezwłocznie opuścili miasto.

Mniemano, że było to zarządzenie władz wojskowych.

W naszym mieszkaniu telefon dzwonił bez ustanku. Przyjaciele i koledzy syna pytali, co zamierza uczynić.

Jego dręczyły wątpliwości. Od pierwszego dnia wojny szarpała go myśl, że kiedy inni przelewali krew w obronie ojczyzny, on pozostał w domu. Usilne starania, by go wciągnięto do służby czynnej, okazały się bezskuteczne. Miał-że przeciwieć się woli władz wojskowych, których rzecznikiem wydawał się płk. Umiastowski?

— Skoro rozkaz, nie pora mędrkować, — rozumował. Trzeba słuchać!

Oponowałem.

— Zarządzenia takiego nie było, płk. Umiastowski przemawia we własnym imieniu, a to, do czego nawołuje, jest absurdem.

Zdawało mi się, że syna przekonał, rozeszliśmy się spać.

Północ minęła, telefon nie przestawał alarmować. Syn co chwila wybiegał ze swej sypialni, wiódł ożywione dyskusje.

...Już zasypiałem, w przedpokoju kroki. Porwałem się z posłania.

Syn, odziany do drogi, otwierał drzwi na schody.

— Chcesz pójść?

— Większość kolegów idzie.

— Wierzysz raczej lekkomyślnemu gadaczowi, niż ojcu?

...Po dłuższych, ponownych przełożeniach, syn w końcu zdecydował się zostać. Był to zapewne z jego strony najwyższy w stosunku do mnie dowód zaufania!

Owej pamiętnej nocy dziesiątki tysięcy obywateli wywędrowały z miasta.

Część ich zatrzymano tuż za Grochowem, i skierowano do kopania rowów strzeleckich. Inni rozbiegli się po drogach w stronę Lublina i Siedlec. Wlekli się od wsi do wsi, nie wiedząc, co z sobą począć.

Z wygłoszonego nazajutrz oświadczenia radiowego płk. Aleksandrowicza, szefa sztabu Dowództwa Warszawskiego, można było wnioskować, że władzom wojskowym daleka była myśl poważniejszej ewakuacji, aczkolwiek władze te „nie sprzeciwiały się wyjazdowi osób, które nie były związane pracą z pobytem w Warszawie, i które miały środki na wyjazd oraz miejsce, gdzie się udać”.

Ewakuację bezładną, — płk. Aleksandrowicz kwalifikował jako bezcelową i szkodliwą.

...Komendant miasta, gen. Czuma rozplakatował odezwę:

„Działania wojenne mogą przenieść się pod mury Warszawy.

Władze cywilne zmuszone były do ewakuacji. W ślad za nią rozpoczęła się zbędna ewakuacja ludności, która może być potrzebna tu, na miejscu.

Obywatele! Warszawę trzeba bronić. Pomożecie tej akcji, powracając natychmiast do normalnych zajęć i wykonując wszystkie zlecenia, jakie będą wam poruczone. Dzisiejszej nocy na wezwanie stanęliście licznie do kopania rowów i tak powinniście postępować nadal.

Wracajcie więc do swych zajęć, pomagajcie wojsku waszą postawą oraz utrzymaniem ładu i porządku, by nie odrywać wojska od pracy bojowej”.

Siódmego września pancerne oddziały niemieckie przekroczyły pod Pułtuskim Narew, a pod Wyszkiem — Bug. Daremne były zażarte walki, toczone przez dywizje gen. Kowalskiego i płk. Kalińskiego w rejonie Łomży. Nawet sprawozdawcy niemieccy pisali, że tam „żołnierz bił się z żołnierzem”. Oddziały polskie zmuszone były przedzierać się w kierunku Siedlec.

W dzień Matki Boskiej, 8 września, eskadry niemieckie dokonały ciężkich, kolejnych nalotów na Warszawę. Pociski burzące i zapalające padały gęsto w całym mieście, rozwalając domy, wzniecając pożary. Poważnie uszkodzono szpital Przemienienia Pańskiego na Pradze oraz im. marsz. Piłsudskiego. Służba sanitarna z narażeniem życia wynosiła rannych. Bomby, ogień, krzyki, jęki... Istne piekło! Dużo ofiar. Gmach ministerstwa Spraw Wewnętrznych w znacznej mierze w gruzach, pałac Staszica pokiereszowany.

Wieczorem trwoga. Niemcy na placu Narutowicza!

W przednich oddziałach niemieckich rozbiegła się wiadomość, jakoby Warszawa została wzięta. Propagandowy samochód niemiecki pokwapił się w stronę stolicy. Jakim cudem przedostał się na Ochotę, trudno było sprawdzić. Ludność cywilna zatrzymała intruzów, rozbroiła, oddała w ręce władz wojskowych.

Nazajutrz znowu na peryferiach miasta pojawiło się kilka czołgów niemieckich, zwabionych wieścią wrocławskiej rozgłośni radiowej, że Warszawa zdobyta. Parę owych czołgów unieruchomiono, mieszkanki przedmieść oblewały je naftą i podpałyły.

Kraków padł bez wystrzału. Na ulicach Warszawy rozbrzmiewała pobudka:

„Naprzód Warszawo! Na walkę krwawą!

Świętą i prawą. Naprzód Warszawo!”

...Minister Opieki Społecznej, Kościałkowski w pierwszym dniu wojny zainicjował Komitet Opieki Społecznej. Przewodniczącym mianował inżyniera Tyszkę i na tym wyczerpała się jego energia. W parę dni później zwiął. Inż. Tyszka poszedł za jego przykładem. Przewodnictwo w Komitecie przypadło Arturowi Śliwińskiemu.

W Komitecie Samopomocy Społecznej ześrodkowały się wyśiłki, mające na celu ulżenie doli ludności.

W atakach powietrznych na Warszawę pilotom niemieckim towarzyszyli często wywiadowcy, znający wybornie miasto. W niedzielę, 10 września, nasze armatki przeciwlotnicze straciły 15 samolotów nieprzyjacielskich. Z jednego z nich pilot, — czy wywiadowca — ratował się na spadochronie. Wylądował w parku Łazienkowskim, a tak dobrze znał teren, że zniknął jak kamień w wodzie.

Ciężkie armaty niemieckie zajmowały zawczasu wyznaczone dokoła stolicy pozycje, zaczynały bić w jej mury ogniem i żelazem.

Losy Warszawy rozstrzygają się nad Bzurą.

Armie gen. Kutrzeby i Bortnowskiego wykonały sprawnie nakazany im odwrót w kierunku Kutna i Łodzi.

Rozpoczęła się największa bitwa tej wojny, — bitwa, w której miały się zetrzeć główne siły polskie, pod naczelnym dowództwem gen. Kutrzeby, ze znacznie liczniejszymi wojskami niemieckimi, którymi kierował marsz. Brauchitsch.

W pierwszych dniach walk gen. Kutrzeba odebrał Niemcom Łódź, zadając dywizji niemieckiej v. Briesena dotkliwe straty. Lecz wojska polskie, rozmieszczone w obszarze Radomia, nie dotrzyma-

ły pola. Pułki gen. Andersa, które miały powiększyć siły gen. Kutrzeby, zostały zatrzymane na prawym brzegu Wisły. Brauchitsch szybko przegrupował swoje siły, wojska gen. Kutrzeby znalazły się w zamkniętym kotle, który ścieśniał się z każdą dobą. Niemieckie czołgi — wielkie i małe fortece z żelaza — parły bez przerwy na pozycje polskie. Niezliczone armaty nieprzyjacielskie sypały gradem pocisków. Chmary samolotów niemieckich uwijały się w podniebiu, wybuchy bomb rozrywały powietrze. Dokoła płonęły miasteczka, wsie i lasy.

Żołnierz polski bronił każdej piędzi ziemi, z niezłomnym uporem. Męstwo i hart łączył z rozpaczą i wzdargą śmierci. Gdy wszystko rwało się w strzępy, żołnierz ratował honor narodu. Wśród piekielnej kanonady z ziemi i z powietrza — nasza piechota szła do przeciwników na bagnety z takim impetem, że pułki niemieckie chwiały się, rzucały broń. Żołnierz nasz nie dojadł, nie dospał, życie bez ustanku narażał. Żyzna ziemia kutnowska, którą przez tyle lat każdej jesieni za kuropatwami deptałem, chłonęła strugi krwi. Gen. Bortnowski pchał konnicę na armaty i czołgi.

Setki i tysiące najdzielniejszej młodzieży ginęły!

Dla Ciebie, Polsko!...

Sztabowcy niemieccy i przydzieleni do głównej kwatery dziennikarze przypatrywali się tym aktom bohaterstwa z osłupieniem.

...Naocznym, lubo stronnym świadkiem zmagania był Mario Appelius, glob-trotter włoski, który należał do drużyny faszystowskich korespondentów wojennych, odkomenderowanych do informowania powszechności włoskiej o tryumfach potężnego sprzymierzeńca.¹⁾

Spod jego pióra wyszła już w początkach 1940 r. książka o wojnie niemiecko-polskiej, p. t. „Una guerra di trenta giorni” („Wojna trzydziestodniowa”). Książka zawierała wiele tendencyjnych fałszów, poczynawszy od tytułu, bo działania wojenne na terenie Rzeczypospolitej trwały do 6-go października. I na tym przecież wojna Rzeszy z Polską nie skończyła się, nasze dywizje i brygady, okręty wojenne i eskadry lotnicze walczyły na froncie zachodnim, w Norwegii, w Afryce, we Włoszech. Polska nie poddała się swemu losowi, zachowała na emigracji swoją władzę zwierzchnią i rząd, podboju nie uznała, nie wdała się w żadne układy z na-

¹⁾ Mario Appelius był autorem książki „Tajemnica Buddy”, przełożonej na język polski.

jeźdźcą, prowadziła przez 5 lat w kraju upartą i krwawą wojnę podziemną. Pozostała jedynym z podbitych krajów, w którym Niemcom nie udało się stworzyć uległego pseudo-rządu.

Appelius, posłuszny wskazówkom mentorów, ubolewał w swej książce nad niedojrzałością polityczną Polaków, którzy ośmielili się stawić czoło uroszczeniom drapieżnego sąsiada. Epigonowi Mazziniego i Garibaldiiego nierówna walka z przemocą jawiła się szaleństwem romantyzmu, eksperymentem samobójczym. Trzymał się znanej praktycznej zasady, że lepiej jest być przez chwilę tchórzem, niż przez całe życie nieboszczykiem, piętnował nieudolność naczelnego dowództwa polskiego, jego brak poczucia odpowiedzialności. Wobec waleczności naszych pułków jednak nie mógł wstrzymać się od podziwu i wzruszenia. Oddawał hołd ich bohaterstwu.

... Osiem dni i osiem nocy trwały pod Kutnem gigantyczne boje. W dniu 15 września gen. v. Blaskowitz wreszcie zdobył Kutno, zabarykadował drogi i przejścia, wiodące na Modlin i Warszawę.

Gen. Wład, widząc grozę położenia, mówił do oficerów:

— Jedyne żołnierskie wyjście z tej matni, to lec tutaj pośród swoich żołnierzy.

Poprowadził swoje oddziały na linie niemieckie i jak zapowiedział, padł wśród swych żołnierzy, śmiertelnie ranny. Gdy kapelan w polu udzielał mu ostatniej posługi, generał Wład prosił:

— Powiedz ksiądz mojej żonie, że oddałem życie za Polskę. Niech wychowa naszego syna na dzielnego żołnierza.

Prócz niego, zginęli pod Kutnem dwaj inni generałowie dywizji, Bołtuć i Grzmot-Skotnicki, płk. Świtalski, mnóstwo innych wyższych i niższych oficerów. Gen. Bortnowski, ciężko ranny, dostał się do niewoli. Generałowie Kutrzeba, Król-Kownacki, Alter, Tokarzewski, Przyjałkowski, bijąc się zażarcie na czele uszczuplonych oddziałów, dotarli do Warszawy.

Na Westerplatte, pod Gdańskiem, 175 żołnierzy i 5 oficerów polskich broniło się przeciw nawale niemieckiej od lądu i morza przez siedem dni i nocy.

Siódmego września wyjechał na Westerplatte pociąg towarowy. Na przedzie sunęła cysterna, zapełniona benzyną i skrapiała las po obu stronach toru. Z pociągu waliły miotacze ognia. Resztki lasu stały w płomieniach. I ten szturm mimo wszystko został odparty, lecz dalsza walka okazywała się bezcelową. Pięćdziesięciu obrońców poległo, sześćdziesięciu było rannych....

W obszarze Gdyni dowodził kontradmirał Unrug. Bronił się na Helu do 1 października.

W Oksywiu, porcie wojennym Gdyni, szczupły garnizon walczył przeciw dziesięciokrotnie liczniejszemu siłom nieprzyjacielskim, póki mógł. Gdy zasoby amunicji wyczerpały się, płk. Dąbek zwołał pozostałych przy życiu, rozdał krzyże *Virtuti militari*.

— Nie mamy czym strzelać. Niech każdy czyni, co chce i może.

Dwóch czy trzech zuchów podobno zdołało wymknąć się na niewielkiej motorówce do Szwecji. Trzy doby przebyli na wzburzonych falach, mocując się z wichrami, cierpiąc głód.

Płk. Dąbek, kiedy na okopach Oksywia wystawiono białe chusty, przyłożył do skroni rewolwer....

Kapitulacji nie przeżył.

Prezydent Mościcki w drodze do Rumunii.

Po słonecznym dniu wrześniowym zapadł chłodny wieczór. Stary dwór wiejski w Lubelszczyźnie szykował się do spoczynku. Dienne sprawy były ukończone, barykadowano szczelnie drzwi i okna, bo odkąd wybuchła wojna, w okolicy zdarzały się napady. Pan domu, znany w kraju ziemianin, porządkował rachunki w kancelarii; pani, czując się zmęczoną, wcześniej udała się do sypialni. Wtem za oknami zaczęły gwałtownie klaksony. Trzy wspaniałe limuzyny zajęły przed ganek. Rozległy się wołania, kołatano do drzwi.

Pan domu kazał otworzyć.

Jakież było jego zdziwienie, gdy w sieniach ujrzał prezydenta Rzeczypospolitej, a przy nim — jego małżonkę! Z drugiego samochodu wysiadali państwo Michałostwo Mościccy, z trzeciego — państwo Bobkowscy.

W sennym dworze wiejskim zrobił się harmider niebywały.

Prezydent, bardzo utrudzony drogą, prosił senatora Rzeczypospolitej o nocleg.

Pani domu odstąpiła dostojnemu gościowi swoją sypialnię. Przybyli nie chcieli ani jeść, ani pić, pragnęli snu. Wydawali się wyczerpani fizycznie i moralnie.

Służba zносиła walizy, panią prezydentową i rodzinę umieszczono w pokojach gościnnych. Gospodarz już chciał życzyć Pre-

zydentowi dobrej nocy, gdy zjawił się Michał Mościcki, taszcząc niewielką skrzynkę i długi, starannie owinięty rulon. Oba obiekty własnoręcznie wepchnął pod łóżko dostojnego ojca.

Ze słów, którymi usprawiedliwiał swe zabiegi, gospodarz suponował, że w skrzyni mieściły się klejnoty koronne, a w rulonie — bezcenny obraz Matejki.

Prezydent Rzeczypospolitej, po tygodniowej z okładem włóczędze po kraju, kierował się ku granicy rumuńskiej.

...Nazajutrz rano, po śniadaniu, prez. Mościcki wybrał się z gospodarzem na przechadzkę do ogrodu. Był wypoczęty, pogody ducha nie odzyskał.

Szli aleją. W podniebiu ukazały się ciemne punkty. Gdzieś daleko huknęły detonacje. Samoloty niemieckie buszowały po najdalszych zakątkach kraju, tropiły nasze skupienia wojsk, dezorganizowały ruch pociągów, szerzyły spustoszenia, pożary i trwogę.

Pan Prezydent zdenerwował się i zaproponował powrót do dworu na przełaj przez krzaki. O zmierzchu przed ganek zajęły samochody. Michał Mościcki własnymi rękami wyciągnął spod łóżka tajemniczą skrzynkę i rulon, umieścił je w limuzynie Prezydenta. Podziękowano gospodarstwu za gościnę, samochody zniknęły na zakręcie.

Tak ów smętny epizod wojenny opowiadał sąsiad i przyjaciel polityczny senatora.

...Do prerogatyw Prezydenta Rzeczypospolitej, według par. 13-go Konstytucji Kwietniowej, należało wyznaczenie na czas wojny swego ewentualnego następcy. Miało to na celu zabezpieczenie ciągłości władzy nadrzędnej.

Prez. Mościcki winien był spełnić ową powinność przed opuszczeniem terytorium Rzeczypospolitej.¹⁾

Kogóż uznał za najgodniejszego do objęcia po nim spadku, do reprezentowania Państwa na zewnątrz i na wewnątrz, do stanowienia o wojnie i pokoju, do zwierzchnictwa sił zbrojnych?

Gen. Wieniawę-Długoszowskiego, dzielnego kawalerzystę i wesołego kompana cyganerii skamandryckiej, który tak niedawno jeszcze, zanim został ambasadorem Rzeczypospolitej w Rzymie, w nocnych dancinгах, ku uciechu bywalców, nieraz obejmował komendę jazz-bandu i dyrygował rozradowanymi muzykantami....

Wieniawa wziął nominację na serio. Pospieszył z nią do Paryża, gdzie się tworzył rząd emigracyjny.

¹⁾ Początkowo tym następcą miał być marsz. Rydz-Śmigły.

Widocznie jednak *post factum* p. Prezydent zreflektował się, i na wszelki wypadek wysłał do Paryża drugą nominację, jakoby podpisaną *in blanco*.

W Paryżu wypełniono ją nazwiskiem Władysława Raczkiewicza, dawniejszego marszałka Senatu, który w swej szybkiej karierze politycznej umiał nie narazić się żadnej partii. Wieniawa, acz nie bez gorzkości, ustąpił lojalnie miejsca.

Taka krążyła opowieść.

...Wieniawa później znalazł się w Nowym Yorku. Z najwyższego piętra jednego z drapaczy chmur na *Broadway* wyskoczył na bruk....

Był jednym z ostatnich zapewne kawalerzystów polskich w dawnym stylu, niezawodnych do szabli, szklanki i kochanki, o których dziewczęta śpiewały miłe piosenki i w których lubował się Wojciech Kossak.

Szły czasy nowe. Już nie „ułań stał na pikiecie” lub odbywał rekonesanse, ku ucieście dziewcząt wiejskich, strojnych jak na odpust, lecz wysoko, pod niebem, myszkowały uskrzydłone „myśliwce”... Konnicę zastąpiły nierównie szybsze i wytrzymalsze dywizje zmotoryzowane.

Warszawa w ogniu.

W dniu 9 września zmiana w planach całokształtu obrony. Marsz. Rydz wydał rozkaz, aby wojska, zgrupowane na obszarach Białegostoku, Grodna i Wilna, skierowały się do Małopolski Wschodniej. Na Podlasiu pozostał ze swymi szczupłymi oddziałami dzielny gen. Franciszek Kleeberg.

Obronę frontu Południowo-Wschodniego objął gen. Sosnkowski. Podporządkowano mu armie generałów Fabrycego i Szylinga.

Warszawa i Modlin miały bronić się do upadłego. Kwatera Główna w dniu 11 Września przeniesiona została do Włodzimierza Wołyńskiego, w cztery dni później — do Młynowa nad Ikwą, następnego dnia do Kołomyi.

Marsz. Rydz wraz ze swym Sztabem znalazł się w Kosowie. Nazajutrz, 17 września, pod Kutami przedostał się do Rumunii. Tegoż dnia armie radzieckie przekroczyły granicę.

W Warszawie dotychczasowy komendant stolicy, gen. Czuma ustąpił miejsca gen. Rómmłowi, który kwaterę swą umieścił w podziemiach gmachu Lotnictwa przy ul. Rakowieckiej.

Łącznikiem między Obroną miasta a ludnością stał się Komitet Obywatelski. Przewodniczył mu gen. Rómmel, zastępował go — prez. Stefan Starzyński.

Do Komitetu należeli: Marian Borzęcki, ks. Zygmunt Chormański, Józef Ewert, Jan Gebethner, Julian Kulski, Zdzisław ks. Lubomirski, Bolesław Miklaszewski, Mieczysław Niedziałkowski, Jan Pohoski, Wacław Paszkowski, Maciej Rataj, Józef Rożniecki, Artur Śliwiński, Andrzej Wierzbicki i Zygmunt Zaremba. Postanowiono utworzyć Straż Obywatelską, która miała czuwać nad bezpieczeństwem i mieniem ludności oraz nad „utrzymaniem należytej postawy”.

Aspekt miasta przeobrażał się nie do poznania. Z jezdni zniknęły samochody prywatne i taksówki. Koń wrócił do dawnych praw, wyciągano ze stajni nawet sędziwe chabety, z wozowni — obdrapane dorożki i lepiej zakonserwowane, zabytkowe karety z herbami. Kupcy łupili klientów do żywej skóry, a wietrząc w przyszłości jeszcze wyższe zyski, cenniejsze towary usuwali przezornie z półek. Prez. Starzyński dosłownie chrypił od nawoływania, aby nigdzie nie przerywano zwykłych zajęć i żeby sklepy pozostawały przynajmniej w ciągu kilku godzin otwarte. Przestrzegał, że ze sklepów zamkniętych towary będą rekwirowane. Groźba poskutkowała.

Rosła mnogość uchodźców z bliższych i dalszych dzielnic.

Cukiernie i kawiarnie były przepełnione, w każdej leżały się fantastyczne bajki. Najdywały chętny posłuch, bo każdy szukał pociechy, choćby kosztem prawdopodobieństwa.

Komunikacje z prowincją utknęły. Nawet z bliskim podmieściem stały się utrudnione. W kościołach modlono się żarliwie. Nabożeństwo u Św. Krzyża za poległych na Westerplatte ściągnęło niebywale tłumy.

Naloty rozpoczynały się o świcie, trwały późno w noc. Alarmy nie ustawały. Gdy zapadał zmrok, z podniebia leciały gęsto i bezustannie bomby zapalające. Wzniesione pożary ułatwiały lotnikom niemieckim planową akcję niszczycielską. Zdziesiątkowana Straż Ogniowa pędziła od ognia do ognia bez wytchnienia.

Trwoga gryzła serca i umysły, tak samo w apartamentach, jak w suterrenach i na poddaszach. Lecz tu i tam jednak powtarzano uparcie:

— Nie damy się! Wytrwamy!

Panie z towarzystwa i kobiety z ludu niosły na najdalej wysunięte pozycje koszyki z żywnością. Żołnierze witali je z wdzięcznością.

...Zdolność kochania jest najcenniejszą wartością człowieka. Jakkolwiek się objawia, czy w miłości mężczyzny do kobiety i kobiety do mężczyzny, czy w uczuciach wzajemnych rodziców i dzieci, czy wreszcie w bezinteresownej przyjaźni, zawsze tkwi w niej gotowość do poświęceń. Tym piękniejszą się staje, im wyższy jest jej zasięg.

W tym okresie wspólnych cierpień Warszawa stała się zbiorową, wielką duszą, która objęła i zespoliła dusze wszystkich obywateli polskich, złączonych jedną wolą i jednym uczuciem.

Aby usprawiedliwić barbarzyńskie bombardowanie, Niemcy usiłowali okłamać świat, jakoby Warszawa była fortecą obronną. Świadczyć o tem miały rozkopane na niektórych skwerach i placach rowy. W rzeczywistości, były to schrony dla przechodniów. Takim samym łgarstwem były opowieści o przygotowaniach do walki w poszczególnych domach.

Jeśli bombardowanie potęgowało się, głośniki radia niosły chóralny śpiew: „Pod Twoją Obronę”...

Odzywały się sygnały odwoławcze? W oka mgnieniu wracało podniecone życie. Na ulicach, spod ziemi wyrastała ciżba, pośpiesznie otwierano sklepy. Panie częstowały przechodzących żołnierzy papierosami, herbatą, kromkami chleba.

Prez. Starzyński zainicjował „bataliony pracy”, których zadaniem były roboty, związane z potrzebami obrony. Do batalionów zgłaszali się ochotnicy w wieku od lat 17 do 55-ciu. W ciągu paru dni zarejestrowano ich osiem tysięcy.

Komunikaty Naczelnego Dowództwa stwierdzały bliskość linii obronnej (Narew — Bug — Wisła). Nadmieniały przy tym, że nasze wojska odpierały natarcia nieprzyjaciela, że zdobywały w przeciwnatach czołgi i wozy pancerne, zadawały nieprzyjacielowi straty.

Speakerzy radiowi krzepili serca zapowiedzią jakoby szykującej się ofensywy francuskiej. Dowództwo niemieckie wycofało rzekomo część wojsk z Polski, przerzucając je na Zachód. W Berlinie tłumy na ulicach miały wolać: chleba!...

Bajki te raczej zastrzały niepokój, niż go gasiły.

... Gen. Rómmel wydał odezwę, w której zwierzał się, że „umie słuchać rytmu serc ludności warszawskiej, które biją mocno, zgodnie i ofiarnie dla żołnierza, walczącego bohatercko za całość i wolność ojczyzny”, że „obywatele stolicy okazują się godnymi dawnych jej bohaterskich obrońców”.

Obowiązywał zakaz chodzenia po ulicach od godziny 8-ej wieczorem do 4-tej z rana, zastrzono cenzurę prewencyjną dla gazet. Dzienniki, podając wiadomości o posiedzeniu Rady Ministrów, nie wymieniały miejscowości, gdzie się posiedzenie odbyło.

Ogłoszono nominację płk. Koca na wiceministra Skarbu. Komentowano, że płk. Kocowi powierzono wywiezienie zagranicę państwowych zasobów złota.

Na apel prez. Starzyńskiego, obywatele wszelkich stanów i obojga płci wzięli się do zamykania ulic.

Lotnicy niemieccy uwzięli się na Ogród Zoologiczny. Bombardowano go kilkakrotnie — większość zwierząt (lwy, tygrysy, niedźwiedzie i stara „słonina”, Kaśka, ulubienica dziatwy) padły ofiarą.

Gazownia stanęła 9 września. Ludność stolicy pozbawiona została gazu na przeciąg wielu miesięcy.

Spalił się Teatr Letni w Ogrodzie Saskim. Stara, drewniana buda, — zawdzięczałem jej wiele sukcesów!

W niedzielę 10 września, siedemnaście kolejnych nalotów! Jeden — popołudniowy — trwał blisko dwie godziny. W ogniu — Praga, Grochów, Wawer — ucierpiało silnie śródmieście. Wzmagająca się akcja ciężkich niemieckich dział oblężniczych.

Tegoż dnia na murach stolicy rozplakatowano orędzie gen. Rómmla.

— Obywatele!

Naczelnny wódz, marszałek Śmigły-Rydz, odgradzony od Warszawy, a kierujący bezpośrednio grupą naszych wojsk na południowym Wschodzie, nadesłał następujący rozkaz:

„Należy bronić stolicy, albowiem z jej posiadaniem łączy się honor Narodu. W ciężkich chwilach, które przeżywa armia, należy pamiętać, że zwycięży w końcu męstwo i uporczywa walka, połączona z duchem ofensywy.

Walkę tę należy prowadzić na wszystkich odcinkach bez wytchnienia, z wiarą w końcowe zwycięstwo. Środki wroga topnieją, więc działać i nie tracić nadziei”.

Tak górnie — i niezdarnie — przemawiał do narodu wódz, który miał w parę dni później szukać bezpieczeństwa w Rumunii...

W dziejach oręża polskiego marsz. Śmigły-Rydz mógł być znaleźć wzory, jak wódz, swojej misji godzien, w podobnych okolicznościach postępuje. W katastrofalnym dniu odwrotu z pod Cecory, dnia 6 października 1620 r., — hetman Żółkiewski, gdy nalegano nań, by ratował życie ucieczką, odpowiedział:

— Gdzie owce giną, tam powinien i pasterz, bo by go spytano: Gdzieś podział owce?

I, odsuwając konia, którego mu sprowadzono, dodał:

— Nie wsiadę. Miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg kończy nade mną swój wyrok.

Tak samo później pojmwali swe posłannictwo Kościuszko, ciężko ranny pod Maciejowicami, książę Józef Poniatowski, gdy honor Polski pod Lipskiem Panu Bogu oddawał, Romuald Traugutt, kiedy w 1864 r. szedł z podniesioną głową na stoki cytadeli...

Gen. Rydz w bojach legionowych i w toku wojny 1920 r. zyskał opinię dobrego generała.

Na wodza naczelnego brakło mu twórczej wyobraźni, śmiałej inicjatywy, daru sugestii — i szczęścia... Uwierzył pochlebstwom, jakimi go głaskano i pojono, nabrał tak wysokiego mniemania o swych wartościach, że kiedy gen. Sosnkowski przedstawiał mu swoje uwagi w sprawach wojskowych, albo August Zaleski wszczynał rozmowę o problemach polityki zagranicznej, marsz. Rydz o pogodę pytał...

Późną jesienią 1941 r. rozeszła się w Warszawie pogłoska, jakoby wymknął się z Rumunii, gdzie był internowany i górskimi bezdrożami do Polski się przedostał. W miesiąc potem, według tej opowieści, zachorował i zmarł. Mówiono nawet, że pogrzebany został na Powązkach.

.

Kanclerz Hitler zapowiedział, że wojna z Polską będzie błyskawiczną. Naglił więc swoich generałów, by kończyli co rychlej z Warszawą.

Wojska sowieckie kierowały się w stronę Wisły.

Nasze lotnictwo gonilo ostatkami. Niemieckie bombowce i myśliwce coraz niżej i zuchwalej uwijały się nad miastem, niosąc śmierć i zagładę. W ciągu nocy z dnia 16 na 17 września na stolicę padło więcej niż 5000 pocisków. Nie oszczędziły Zamku Królewskiego. Runęły odwieczne, szacowne mury, sercom polskim drogie, zamilkł sędziwy zegar na wieży, który od trzech stuleci

wydzwaniał godziny. Najpiękniejsze sale, duma Polski, legły w gruzach. Śmierć poniósł wieloletni kustosz, Kazimierz Brokl. Pogrzebano go doraźnie przy bramie Grodzkiej.

Katedralny kościół Św. Jana bombardowano w niedzielę, dnia 17 września, podczas nabożeństwa rannego. Odprawiał je ksiądz profesor Sidkowski, pękające szyby osypały szkłem rozmodlone rzesze. Kapłan przeniósł Św. Sakramenty do zakrystii, wrócił jednak do ołtarza, gdy się uciszyło. W chwilę potem wielki granat uderzył w szczyt świątyni, rujnując nawę główną. Przerażliwy krzyk, wołania, jęki, mnóstwo osób rannych. Nabożeństwo przerwano, ratunkiem kierował arcybiskup Gall.

Tegoż samego dnia uszkodzone zostały kościoły Św. Krzyża, Św. Marcina i O. O. Jezuitów, spłonął pamiątkowy kościół Ewangelicki. Na skwerze Grzybowskim, przed kościołem Wszystkich Świętych, pogrzebano kilkaset osób.

Księża udzielali ostatniej posługi na ulicach, *in articulo mortis*.

„Robotnik” organ czołowy Polskiej Partii Socjalistycznej, apelował do towarzyszy niemieckich w wojsku:

— Przestańcie! Wybiła godzina! Za wolność!

Wołanie na puszczy! Redaktor Niedziałkowski, po kapitulacji, okupił swe wezwanie długim więzieniem i śmiercią męczeńską.

Nad wieczorem 17 września, prez. Starzyński przemówił mocnym, wzruszonym głosem przez radio:

— Straszliwe zniszczenie, jakiego dokonuje nieprzyjaciół w Warszawie nie złamało nas, nie osłabiło naszego ducha! W imieniu gnębionej ludności stolicy polskiej, zwracam się do rządów W. Brytanii i Francji, czy i kiedy udzielą nam pomocy?...

Nasi sprzymierzeńcy milczeli.

19 września radio londyńskie w biuletynie polskim podało orędzie prez. Mościckiego do „obywateli” polskich.

Głosiło, że armia nasza zmagala się z przewagą wroga, że doład powstrzymywała napór niemieckich sił zbrojnych.

— „Polska, sprzymierzona z Francją i Anglią, walczy o prawo przeciw bezprawiu, o wiarę i cywilizację przeciw barbarzyństwu, o dobro przeciw panowaniu zła w świecie.

„Z walk musimy wyjść i wyjdziemy zwycięsko. Musimy zachować uosobienie Rzeczypospolitej. Dlatego, choć z ciężkim sercem, musiałem przenieść siedzibę organów w takie miejsce, gdzie istnieć będą warunki, zapewniające im wszelką suwerenność i spokój działania.

„Obywatele”!

„Wiem, że mimo najcięższych przejść zachowacie hart ducha, godność i dumę. Na każdego z Was spada dziś obowiązek czuwania nad honorem narodu. Opatrzność wyrządzi nam sprawiedliwość”.

Prof. Mościcki spokoju i bezpieczeństwa szukał w Szwajcarii...

...Warszawa wciąż wierzyła w cud. Nawet rozważny „Kurier Warszawski” zapewniał, że „Warszawa, barykada honoru i wolności, nie padnie: Warszawa niezdobyta”!

Innego zdania byli dyplomaci zagraniczni, akredytowani przy rządzie polskim, którzy dotychczas w Warszawie wytrwali. Trawił ich coraz żywszy lęk.

Zwrócili się do prez. Starzyńskiego, jako komisarza rządu, z prośbą, aby umożliwił im wyjazd.

Gen. Rómmel porozumiał się z kwaterą gen. v. Blaskowitza. Ustalono zasady ewakuacji, pozwolono przyłączyć się do niej wszystkim cudzoziemcom, którzy Warszawę i Polskę pragnęli opuścić.

20 września, o zmierzchu, Krakowskim Przedmieściem ciągnął długi wąż limuzyn w stronę mostu Kierbedzia. Z podniebia zniknęły wrogie samoloty, kanonada umilkła. Na ulice wyległy tłumy. Z samochodów wyglądały pobladłe i wymęczone twarze pań, dochodziły lamenty i skargi dzieci. Publiczność polska przypatrywała się z melancholijnym uśmiechem...

Trzystometrowa, pusta przestrzeń (*nobody land*), dzieląca dwa walczące wojska, budziła największą trwogę.

Pozostali w obleżonym mieście przedstawiciele Watykanu, Turcji, Brazylii, oraz kilku urzędników ambasady sowieckiej.

Uchodźcy dobrnęli bez szwanku do stacji kolejowej poza frontem. Tam czekał pociąg pod parą, pomknął przez Gdańsk do Berlina. W tamtejszym luksusowym hotelu Adlon witali gości przedstawiciele niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, kapela cygańska grzmiała marsza Rakoczego.

Prez. Starzyński, komentując orędzie prez. Mościckiego, meldował:

— „Lud Warszawy bohatersko stoi na swych posterunkach. Trwał, trwa i trwać będzie”.

Radio londyńskie obwieszczało, że „świat cały podziwia Warszawę”. Prez. Roosevelt w przemówieniu radiowym zapewniał, że

„Polska istnieje i istnieć będzie”, że naród amerykański sprawcom okrucieństw, popełnianych w Polsce, we właściwym czasie da należną odprawę.

Radio paryskie wołało:

„Polska zwycięży i stanie się potężniejszą”.

...Rozsądek wskazywał, że nie było już nadziei zwycięstwa. Imperatyw wewnętrzny upierał się przy wierze, iż, nie bacząc na cierpienia, należało wytrwać.

Żyliśmy jak w malignie, nie rozróżniając rzeczywistości od złudy. Rozkielzana wyobraźnia snuła marzenia o nagłym zwrocie fortuny. Nasze wojska wyzwalały się z marazmu klęski, biły Niemców. Z Francji nadciągała odsiecz. Flota brytyjska zajmowała Szczecin, Gdańsk.

Głuchy, ponury huk bomb przerywał tok rojeń...

W czwartek, 22 września, nieprzyjaciół atakował na prawym brzegu Wisły Annopol, Brudno, Saską Kępę. Walki toczyły się już w obrębie miasta.

Pałac Zachęty Sztuk Pięknych silnie uszkodzony. Spłonęły obrazy Chelmońskiego, Siemiradzkiego, Aksentowicza, Lenca, witraż Wyspiańskiego. Ofiarą padły dwie osoby, które przebywały w gmachu.

Elektrownia dotkliwie pogruchotana. Zgasło światło, stanęły tramwaje, zamilkło radio. W fabrykach i warsztatach praca ustała. Wodociągi nie działały. Wodę trzeba było czerpać z nielicznych studzien lub z Wisły.

Mało który sklep pozostał otwarty. Targi tchnęły cmentarną pustką.

Nadzieja została tylko w Bogu.

...W południe nastąpiło, jak zwykle krótkie ucieszenie. Po nocy bezsennej wyrwałem się z domu, by zaczerpnąć powietrza. Nowym światem dobiegłem do Pałacu Staszica, oczy zatrzymały się na posągu Chrystusa przed Św. Krzyżem.

Wszedłem do świątyni.

Nabożeństwa się skończyły, w ławach środkowej nawy zaledwie kilkanaście osób. Przed wielkim ołtarzem — nikogo.

Kiedy ziemskie instancje zawodzą, dusza ludzka zwraca się do Tego, który jest wszystkiego początkiem i kresem. I wówczas — choć tylko niekiedy i nie dla wszystkich — spływa cud wiary: dusza ludzka łączy się z Bogiem.

Już raz kiedyś tak się modliłem. Kiedy umierał mój wnuk...
Teraz błagałem Syna Bożego, by ratował Polskę.

— Panie Zmiłuj się nad nami. Pobłogosławileś naszym tęsknotom i wysiłkom, wróciłeś nam — po stuletnich mękach jarzma — wolną ojczyznę.

Mielizbyśmy ją utracić?...

Łzy gorące sypały się z oczu, płonącym czołem tłukłem o chłodne flizy kamienne.

— Chryste! Ratuj Polskę!

... Chrystus, rozpięty na krzyżu, patrzył z nad ołtarza boleśnie i milczał.

Łaskę zdobywa się przez cierpienie...

— Panie! Uczyń, aby cierpienia nasze nie były ponad siły!

Głuche uderzenia bomb, dalszych i bliższych, grzmiały bez przerwy. Wielkie granaty wyły ponuro, szrapnele pękały w powietrzu z suchym traskiem. Walily się w gruzy kamienice, buchały płomienie pożarów, na placach i skwerach żłobiły się głębokie leje. Nasz dom trząsł się i chwiał.

Hitler podobno przybył do oblegającej armii i z dachu trybun wyścigowych na Służewcu pieścił oczy widokiem Warszawy w ogniu.

Neron znalazł godnego naśladowcę!...

Myśliwce niemieckie chrapały teraz tuż nad dachami, obrona przeciwlotnicza cichła. Pożarów nie było czym gasić. Alarmy wiązały się w jeden nieprzerwany łańcuch: w końcu całkiem ich poniechano.

Nasze mieszkanie wystawione było na dwie strony: od Alei Trzeciego Maja i od ulicy Smolnej. W oknach nie pozostało jednej całej szyby. Wystraszone gołębie wpadały do pokoiów, trzepotały się bezradnie pod sufitem. Nieraz tak wyczerpane z sił, że dawały się brać rękoma.

Syn zorganizował straż ochotniczą na poddaszach. Wory z piaskiem do zasypywania pocisków zapalających, wiadra z wodą — do zalewania ognia... Dyżury w dzień i w nocy.

... W piątek, 22 września, spożywaliśmy kolację w pokoju służbowym, jako że najskuteczniej osłonięty był od kul, którymi sypały myszkujące wciąż myśliwce niemieckie. W pobliskiej ja-

dalni zabrzęczał telefon. Rządca kamienicy, należącej do mojej żony, a położonej w dzielnicy nalewkowskiej, drżącym z przerażenia głosem meldował, że w bezpośrednim sąsiedztwie płonęło kilka domów. Samoloty niemieckie ciskały bezustanku bomby zapalające. Wody brakło. Straż ogniowa, mimo wielokrotnych wezwań, nie przybywała.

Połączyłem się z Komendą Straży Ogniowej. objaśniono, mnie, że wszystkie oddziały były w ruchu. Ratowano przede wszystkim gmachy publiczne.

Gdym zdał relację rządcy, wpadł w szal. W rozpaczliwych słowach kreślił obraz tego, co się przed jego oczyma działo. Ulica Wołyńska była jednym morzem płomieni. Przez okna wyrzucano bety na bruk, mieszkańcy uciekali w bezprzytomnej trwodze. Jęki, płacz i krzyki mieszały się z wyciem granatów i grzmotami bomb. Wicher roznosił iskry.

Nalegałem, aby gromadził na dachach odważniejszych lokatorów, przestrzegałem, że mogą liczyć jedynie na własne siły.

I wszystkie pociski, jakie padły na nasz dom, zostały ugaszone. O północy spadł deszcz, kamienica ocalała.

... W sobotę 23 września, gdy kanonada na chwilę ustała, martwe ulice zaroily się od ciekawych. Co krok, znajomi. Każdy zatrzymywał, rozpytywał o nowiny, komunikował swoje. Powtarzano skwapliwie najfantastyczniejsze koszałki opałki.

Na Mazowieckiej spotkałem ks. Zdzisława Lubomirskiego. Był bardzo znekany.

— Jeśli bombardowanie się przeciągnie, z Warszawy nie zostanie kamień na kamieniu. Dalszy opór jest beznadziejny!

I ciągnął dalej:

— Dzisiejszej nocy pojechałem do Rómmla, do jego kwatery na Rakowieckiej. On tego samego zdania. Kapitulacja stała się nieuniknioną, więc im rychlej, tym lepiej.

— A Starzyński?

— Właśnie, Starzyński! Od niego wracam. Upiera się, że musi trzymać się rozkazu, jaki otrzymał od Rydza. Warszawie przypadła obrona honoru Polski...

Ks. Lubomirski zamilkł. Widocznym było, że nie chciał dać pełnego upustu goryczy.

... W Komitecie Obywatelskim ścierały się trzy poglądy. Jeden reprezentował prez. Starzyński: obronę do ostatniego tchu,

bez względu na straty. Drugi, — ks. Zdzisława Lubomirskiego, — wskazywał bezcelowość dalszych ofiar, konieczność kapitulacji. Trzeci — Artura Śliwińskiego: wojsko winno było podjąć heroiczny wysiłek, aby wyrwać się z murów i uniknąć — za wszelką cenę — poddania się.

W różnych punktach kraju resztki naszych wojsk wciąż jeszcze walczyły z wrogiem. Dzielny gen. Kleeberg dotrzymał pola pod Kockiem najdłużej.

Miasto zastygło w rozpaczliwej niemocy. Ludzie zaciskali wargi, nikt się nie skarżył. Żona i ja wieczorem czuliśmy się tak znużeni, że — raz kozie śmierć! — postanowiliśmy spędzić noc w mieszkaniu, nie zbiegając z trzeciego piętra do schronu. W ciągu dnia dwa pociski armatnie ugodziły w parter naszej kamienicy od strony Alei Trzeciego Maja. Dom zachwiał się. Zdawało się, że runie, grzebiąc nas pod gruzami. Naprzeciwko — od Smolnej — granaty rozwalily częściowo front kamienicy hr. Branickiego. Bombowce niemieckie szalały, myśliwce — siały kulami z karabinów maszynowych. Fasady domów były kostropate, jak zżarte ospą twarze ludzkie. Śmierć czyhała na każdym kroku, życie stało się igrzyskiem przypadku.

...Żona umieściła się w pokoju służbowym, mnie ułożono materac w łazience, między pokojem wnuczki a kuchnią. Syn, synowa i wnuczka zmówili się na analogiczny nocleg w mieszkaniu na drugim piętrze, opróżnionym przez jednego z radców poselstwa szwajcarskiego.

Spożyłem talerz kartoflanki i, nie czekając na innych, bardzo wyczerpany, ległem w łazience. Rodzina gwarzyła przy stole.

Minął kwadrans, już zasypiałem. Jarząca błyskawica, gwałtowny wstrząs. Ogłuszający huk...

Straciłem przytomność.

Ile czasu minęło? Nie wiem. Jak przez sen, usłyszałem przełożony głos wnuczki.

— Dziadusi! Czy ty żyjesz! Ja nie chcę umierać!

Napróżno usiłowałem poruszyć się, podnieść. Czułem się bezwładny, nie mogłem wymówić słowa. Bólu żadnego. W zamroczonej podświadomości przemknęła niespodzianie myśl: zaliż to nie rozpoczynał się mój nowy okres życia, odrąbany już od doświadczeń ziemskiej, wyzwolony z powłoki ciała?...

...Potężny granat wyrznął w róg naszej kamienicy od strony Alei Trzeciego Maja i, żłobiąc w ścianie frontowej wielką wyrwę, przebił się do kamienicy sąsiedniej. W pokoju wnuczki zmiażdżył meble, rozbił ścianę, w pokoju synowej dokonał niemniej zniszczenia. Mnie przywaliły dwie wielkie szafy, jedna z pokoju wnuczki, druga od strony łazienki. Wypełniała owe szafy bielizna i odzież: zawartość osłoniła mnie od poważniejszych obrażeń.

Syn i służba odgarniali zwał. Mogłem nareszcie odetchnąć swobodniej — i przemówić.

...Parę sekund przebyłem po tamtej stronie...

Nazajutrz rano, w rozbitych pokojach na podłodze, wśród odłamów muru, naleźliśmy tom Mickiewicza z „Panem Tadeuszem”. Wnuczka czytała go przed kolacją. W oprawie tkwił chropowaty odrywek granatu: wżarł się w książkę tak mocno, że z trudem można było ją otworzyć.

...Przeprowadziliśmy się na stałe do schronu: bombardowanie wciąż potężniało w napięciu. Zniesiono nam do suteryn łóżka polowe i poduszki, ciepłe płaszcze i pledy, bo noce czyniły się chłodne. Małe okienko bez szyb, przywalone workami z piaskiem, skąpe cedziło światło. Że elektryczność nie działała, o zmierzchu zapalano ogarki świec, wetknięte w butelki. Na brudnych ścianach migotały upiorne cienie. Nikt nie miał ochoty do rozmowy, wszyscy gonili ostatkiem odporności.

Pod poduszką miałem flaszkę z wódką.

Rano, w południe i wieczorem kucharka zносиła rondel z kartoflanką.

Z miasta nadbiegały wieści tragiczne o niezliczonych zabitych, rannych i żywcem zagrzebanych. Najpiękniejsze gmachy zabytkowe obrócone w gruzy. Dawna Komisja Skarbu, Bank Polski, gmach Teatrów Miejskich na Marywilu, — arcydzieła Corazziego... Pałace Prymasowski, Zamoyskich, Krasińskich...

Groza doszła do najwyższego napięcia w niedzielę, 24-go i w poniedziałek, 25-go września. O północy poszedłem z synem na lustrację straży domowej. Z poddaszy widok był apokaliptyczny.

Wielkie miasto spowite w jedno kłębowisko płomieni i dymów, niebo krwawe. Wiatr niósł sadze, pył i gryzący odór spa-

lenizny, gorzały wszystkie ulice śródmieścia. Wprost naszych okien, na rogu Nowego Światu i Alei Trzeciego Maja, dom ministerstwa Komunikacji — jeden wielki słup ognia. We Frascati płonęła ambasada francuska, na Książęcej — budynki fabryczne.

Ile ofiar, bólu, łez...

Któż myślał o ratowaniu dobytku? Nie zawsze mógł ocalić życie. Mieszkańcy wypadali z płonących domów, pędzili przed siebie na oślep, gonił ich łoskot walących się murów...

Jan Kucharzewski i Stanisław Kętrzyński nie zdążyli unieść materiałów historycznych, które do swych dzieł przez dziesiątki lat gromadzili.

O przewożeniu zwłok na cmentarze nie było mowy. Grzebano w podwórzach, na skwerach i placach, w ogrodach. Tymczasowe mogiły znaczone skleconymi z nieheblowanego drzewa krzyżami. Całymi dniami klęczały przy nich zapłakane kobiety i dzieci.

Walki toczyły się na ulicach Woli, Ochoty, Marymontu i Saskiej Kępy.

W nocy z 25 na 26 września szturm piechoty niemieckiej został — mimo braku amunicji — odparty z wielkimi dla nieprzyjaciela stratami.

...Komitet Obywatelski na posiedzeniu, które odbyło się pod przewodnictwem prez. Starzyńskiego — uznał dalszą obronę Warszawy za bezcelową. Starzyński zakomunikował uchwałę gen. Rómmłowi, ten przyjął ją do wiadomości, jako wyraz woli stolicy. Prez. Starzyńskiego dekorował krzyżem *Virtuti Militari*, do bliższego omówienia z dowództwem niemieckim warunków kapitulacji wydelegował gen. Kutrzebę i płk. Pragłowskiego.

Żołnierze mieli być odesłani do miejsc zamieszkania, oficerom, wziętym do niewoli, pozostawiono szable.

W środę, dn. 27 września, walki ustały. W trzy dni później wojska niemieckie poczęły zajmować miasto strefami.

...Ludzie blakali się po ulicach, jak widma, sklepy pozostały zabarykadowane, biura nieczynne. Głowy mieliśmy mętne i puste, jak po wysokiej gorączce, która nagle spadła. W uszach tętniły żałobne echa Eroiki...

Z tłących się zgłiszcz domu ministerstwa Komunikacji na Nowym Świecie wydzielał się ohydny, mdlący fetor. Zginęło tam podobno kilkadziesiąt osób. Nad placem Trzech Krzyży klębiły się ciemne dymy, migotały czerwone jęzory ognia.

Dopalał się front olbrzymiej kamienicy, sąsiadującej z Instytutem Głuchoniemych i Ociemniałych.

W całym mieście kikuty zburzonych domów, dymiące zwaliska gruzu. Oficerowie niemieccy z radością dokonywali zdjęć pamiątkowych...

Usta dłonią trzeba było zatykać, by stłumić wyrywający się jęk. Gdzie ściana płaczu, przy której Polak mógłby skarżyć się Stwórcy?...

...I ów ranek słoneczny, kiedy na wszystkich główniejszych ulicach grzmiały orkiestry defilujących tryumfalnie pułków niemieckich. Chodniki były puste, okna zasłonięte.

Warszawa zastygła w bólu.

A to był dopiero wstęp do kataklizmów, jakie stolicę Polski czekały.

OKUPACJA NIEMIECKA I POWSTANIE WARSZAWSKIE

Część „Wspomnień”, obejmująca okres Okupacji Niemieckiej 1939—1944, a opracowana obszerniej na podstawie doznań osobistych i bardzo licznych wydawnictw tajnych, przepadła w katastrofie Powstania Warszawskiego.

Lukę wypełniłem w skróceniu i z pamięci, — w warunkach pamięci wyjątkowo niesprzyjających.

O akcji podziemnej pisałem według opowieści, jakie w Warszawie krążyły i jakie podawała nasza prasa tajna. Za zupełną ścisłość tych relacji nie mogę nieść odpowiedzialności. Wiele wody w Wiśle upłynie, zanim wszystkie myczyny bohaterstwa polskiego, okazane w tak nierównej walce, zostaną we wszystkich szczegółach ustalone.

Legenda bywa zawsze piękniejszą od nagiej prawdy. Wystarczy, jeśli na prawdzie się opiera i z niej czerpie wątek: już tym samym godną się staje przekazania jej pamięci następnych pokoleń.

OKUPACJA NIEMIECKA
OSTATNI KWARTAŁ 1939 ROKU
R O K 1 9 4 0

Hitler zażądał od swego ambasadora w Warszawie szczegółowego raportu o nastrojach, nurtujących powszechność polską — w stosunku do Niemiec.

Hr. Moltke nadesłał swój elaborat na miesiąc przed wybuchem wojny. „Biała Księga” niemiecka opublikowała go *in extenso* znacznie później.

Elaborat wywodził, iż w Polsce wszystkie narodowo uświadomione warstwy przesiąknięte były „nacjonalizmem”. Więc: duchowieństwo, nauczycielstwo, ziemiaństwo, zawody wolne i w ogóle inteligencja, w której wydatną rolę odgrywał element semicki. Na masy robotnicze fascynujący wpływ wywierała Polska Partia Socjalistyczna. Chłopsstwo polskie było Niemcom wręcz nieprzychylne.

Prasa polska, według hr. Moltkego, była ekspozyturą polskiego szowinizmu.

W owym memoriale przyszli wielkorządcy i kaci okupacyjni, — Frank, Greiser i Forster — zyskali podręcznik, opracowany przez gorliwego rzeczoznawcę.

Dyrektywa wyszła z ust Hitlera:

— *Żaden naród nie może istnieć dłużej, niż dokumenty jego kultury.*

A interpretacja?

Ażeby wykreślić Polskę z listy żyjących narodów, należało zniszczyć wszystko, co było jej kultury wyrazem. Tępić bez litości ludzi, którzy byli polskiej kultury rzecznikami.

Trzej zaufańcy, którym Hitler powierzył unicestwienie Polski, przejęli się gruntownie swoją misją. Prześladowania władz okupacyjnych zwróciły się gwałtownie i zaciekle przeciw tym warstwom polskim, które raport wskazywał, jako dla Niemczyzny najniebezpieczniejsze.

Zaraz od pierwszych miesięcy zawzięta akcja przeciw katolickiemu Kościołowi i duchowieństwu! Z szczególną bezwzględnością na tych ziemiach, które zostały wcielone do Rzeszy.

Zamykano i rabowano kościoły i klasztory, obracano je na pomieszczenia użytkowe, — na składy wojenne, nawet na teatry świetlne. Księży i zakonników więziono, wywożono do obozów koncentracyjnych. Na Pomorzu prześladowano pobożnych, którzy nie chcieli wyrzec się polskich ksiąg do nabożeństwa. W Płocku rozgrabiono tamtejszy skarbiec katedralny, słynny z zabytków historycznych. Nie oszczędzono osiemdziesięcioletniego biskupa Nowowiejskiego. Wtrącony brutalnie do więzienia, wprędce zmarł.

Pod koniec 1942 roku w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych tkwiło około trzech tysięcy polskich księży i zakonników!

Duchowieństwo nasze nie dało się złamać, ani zastraszyć.

We wszystkich wyższych zakładach naukowych wykłady zawieszono. Gmachy zarekwirowano na potrzeby wojska. Zbiory, laboratoria, biblioteki — złupione. Profesorowie, bez względu na wiek, zsyłani do obozów koncentracyjnych.

Tragicznie dotknięta została krakowska Wszechnica Jagiellońska. Wśród tych, którzy nie wytrzymali próby, Ignacy Chrząnowski, Stanisław Estreicher...

Naukowcy, mimo wszystko, nie przzerwali pracy. Przez ich skromne mieszkania, zavalowane książkami, przewijała się młodzież studiująca. Członkowie Tow. Naukowego im. Mickiewicza, Tow. Filozoficznego, Historycznego i innych — zbierali się na tajnych obradach. Przez całą wiosnę 1944 r., podczas najkrwawszych represji, debatowano żarliwie, jakie ustalić formy życia uniwersyteckiego na przyszłość, by uniknąć błędów przeszłości. Opracowywano podręczniki uniwersyteckie.

Warszawa miała w robocie 280 podręczników, Kraków — 80.¹⁾

Znaczna liczba szkół średnich została zamknięta. W tych, co się ostały, władze niemieckie obniżyły poziom nauk do potrzeb „narodu niewolników...”.

Wojciech Trąpczyński, b. marszałek Sejmu, na podstawie raportu Bühlera, zastępcy Franka, później twierdził, że Hitler zamierzał całkowicie zniweczyć szkolnictwo polskie.

Nie docenił rogatej duszy polskiej, — żywotności, dla której każda represja staje się podniętą do oporu.

¹⁾ Prof. Julian Krzyżanowski („Odrodzenie”).

Ofiary? Było ich bez liku. Opróżnioną placówkę obejmował zastępca.

Światło przesunęło się — wraz z całą Polską Walczącą, — do podziemi.

Dla młodszych pokoleń — komplety, dla młodzieży starszej — zakonspirowane wykłady, które prowadzili profesorowie wyższych zakładów naukowych. Nauka stawała się skarbem, który trzeba było ukrywać, a który przez to samo stawał się cenniejszym.

Liczbę strat ze świata nauki znacznie powiększyło Powstanie Sierpniowe. Od bomb zginęli prof. Edward Loth, bakteriolog Słonimski. W szpitalu zamordowano anatoma Grzybowskiego, w piwnicy własnego domu — skandynawistę Sawickiego. Pod murem Ogrodu Saskiego padli historyk sztuki Zygmunt Batowski, geograf Stanisław Lencewicz. Z pośród młodszej generacji — historyk literatury Tadeusz Wiwatowski, językoznawca Tadeusz Friedrich, filozof Stanisław Milbrand...

Tylu innych!

Z dzielnic, wcielonych do Rzeszy, wszyscy ziemianie wysiedleni. Wielu uwięziono, rozstrzelano. W General — Gubernatorstwie ziemiaństwu działa się lepiej. Kontyngenty dostaw były wygórowane, lecz kto potrafił za swoimi sprawami odpowiednio drepnąć i nadmierne żądania *Landkreismirth'ów* papką i solą łagodzić, ten sprzedawał „na lewo” części produktów wzmacniał swoje dochody i nieraz finanse wydatnie poprawiał.

Cała prawie przemysłowa wytwórczość została podporządkowana wojennym interesom niemieckim. I tu jednak, ten co umiał w mętnych nurtach okupacyjnych pływać i nurkować, mógł nie tylko, jak za króla Sasa, jeść, pić i popuszczać pasa, ale także wykupywać za bezcen w niezliczonych „spółkach komisowych” piękne zabytki i arcydzieła sztuki polskiej, których musieli się pozbywać ich właściciele. Należy jednak dodać, że owych filutów nie było wielu.

Ze świata urzędniczego ostali się na swych stanowiskach niżsi funkcjonariusze komunalni i skarbowi. Pobory ich w stosunku do wciąż rosnącej drożyzny były głodowe, zwierzchnicy niemieccy dawali przykład bezwstydnego łapownictwa.

Nic dziwnego, że i podwładni nie zawsze potrafili oprzeć się zarazie.

Palestrę polską uznano za żywioł najniebezpieczniejszy, — gniazdo polskiej irredenty. Tym więcej, że w kancelariach adwo-

kackich zapanowało bezrobocie! Życie zamierało, nikt nikogo nie procesował, aktów prawnych nie dokonywano...

Frank, niemiecki minister sprawiedliwości, przed rokiem w Warszawie uroczyście przez polskie sądownictwo i adwokaturę goszczony, wywdzięczał się brutalnym terrorem.

Powszechnie szanowany prezes Rady Adwokackiej, Ludwik Domański osadzony na Pawiaku! Tak samo dziekan Leon Nowodworski. Temu, lubo był znacznie młodszy, pobyt w więzieniu tak poderwał zdrowie, że, gdy go zwolniono, niebawem życie zakończył.

Masowe aresztowania adwokatów nastąpiły w połowie 1940 roku.

Tragiczne stały się warunki bytu emerytów. Zredukowano i wyrównano wszystkie stopnie ich poborów do jednego poziomu: — do 200 złotych miesięcznie. Po potrąceniu podatków, nieszczęsny emeryt, najczęściej już do pracy zarobkowej niepodatny, otrzymywał miesięcznie koło 180 złotych...

Każdy żebrak uliczny zbierał więcej!

Emerytury, w ten sposób ustalone, były wobec szalejącej drożyzny takim samym uragowiskiem, jak przydziały żywnościowe, wydawane „na kartki”...

Pauperyzacja i ogłodzenie polskich warstw inteligencji — i tym trybem — osłabienie i zniszczenie ich odporności duchowej, było sednem programu okupacyjnego, wykombinowanego przez „naukowców” niemieckich.

Wszystkie większe redakcje i drukarnie uległy rekwizycji. Dziennikarze i wydawcy — pozbawieni swoich warsztatów pracy.

Dzienników i czasopism, wydawanych w języku polskim przez władze okupacyjne, w żadnej mierze nie można było uważać za organy polskie. Były trucizną propagandy niemieckiej.

Przewidując taki obrót rzeczy, prezydent m. Warszawy, Stefan Starzyński na parę dni przed kapitulacją złożył na ręce Stanisława Kauzika do rozporządzenia Związku Wydawców Dzienników i Czasopism pół miliona złotych na pomoc dla prasy. Rozdziałem tego funduszu zajęła się komisja, do której należeli Biega Bolesław, Kobylański Tadeusz, Kauzik Stanisław, Lewandowski Antoni i ja, jako przewodniczący.

Dziennikarze warszawscy od pierwszych dni zdali sobie sprawę, jaka misja im przypadła w Polsce Walczącej. Nie bacząc na trudności i niebezpieczeństwa, stworzyli tajną prasę polską.

Wnet ofiary! Już w pierwszych tygodniach okupacji uwięzieni zostali Marian Grzegorzcyk i Hieronim Wierzyński. Wypuszczono

ich po kilku miesiącach, aresztowano powtórnie. Grzegorzczak zdołał w końcu odzyskać wolność i w dalszym ciągu pełnił swe posłannictwo, Wierzyński zmarł w Majdanku Lubelskim. Naczelnym redaktorem „Robotnika” Mieczysław Niedziałkowski, jeden z głównych przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej, rozstrzelany na Palmirach wraz z b. marszałkiem Sejmu, Ratajem, Kazimierz Czapiński, zamęczony w Oświęcimiu! Tadeusz Kobylański, senator, wydawca „Wieczoru Warszawskiego”, wywieziony do Niemiec wraz z żoną i córką. Medard Kozłowski przez dłuższy czas więziony na Pawia-ku. Dunin-Wąsowicz dwukrotnie tam osadzony. Jan Moszyński, redaktor „Czasu”, rozstrzelany!

Córka mojej siostrzenicy, Marii Wigurzyny, słuchaczka Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, wyszła za mąż za kolegę, Kobyleckiego, współpracownika „Gazety Polskiej”. We dwójkę podjęli wydawnictwo tajnej gazetki „Dzień”, prowadzili ją żywo. Gestapo ujęło Kobyleckiego, „Dzień” jednak nie przestał wychodzić. Prowadziła go dalej młodziutka żona. Ale wkrótce i ją, wraz z matką, pochwycono, zesłano do Oświęcimia. Wigurzyna po kilku miesiącach zmarła, Kobylecka, mimo delikatnej kompleksji, piekło Oświęcimia przetrzymała.

Nie było tygodnia bez nowych ofiar. Nazwiska dziennikarzy, którzy zginęli na swym zawodowym polu walki, godne złotych zgłoszek w księdze — Dziejów Prasy Polskiej.

Muzea i biblioteki zamknięte, planowo rabowane. Wszelkie związki i stowarzyszenia o charakterze politycznym, społecznym, kulturalnym i zawodowym — rozwiązane. Pałac Zachęty Sztuk Pięknych przeobrażony na Dom Kultury Niemieckiej! Wspaniałe gmachy Teatrów Miejskich na Marywilu, szczytne dzieło Corazziego, rozwalony. Teatr Polski — poważnie uszkodzony. Widowiska dramatyczne w języku polskim na razie zawieszone. Po pewnym czasie koncesje na prowadzenie scenek komediowych jęto wydawać indywiduom, które zyskały (jakim kosztem?) zaufanie niemieckiego wydziału propagandy.

Lepsza część aktorstwa polskiego oparła się współpracy pod kierownictwem takich „powierników”. Związek Artystów Scen Polskich — zlikwidowany — nie mógł wypowiedzieć się publicznie w tej sprawie. Stąd bolesne zajścia, nagany, infamje, chłosty, strzyżenie kobietom głów, — nawet egzekucje...

Koncerty symfoniczne odbywały się w cukierni Lardellego, przy ul. Polnej. Kierował nimi b. kapelmistrz Opery, Dołżycki, który uznał za zyskowne przerobić się na ukraińca i tak żarliwie,

bez mydła, wciskał się w łaski nielicznych gości niemieckich, że oburzona publiczność polska cukiernię zbojkotowała. Musiano koncerty przerwać.

Władzom okupacyjnym nie wystarczyło odjęcie stolicy wszelkich rozrywek o poziomie wyższym. Żarliwie ułatwienia znajdowały imprezy, służące do oglupiania widzów i do obniżania poziomu obyczajów.

Koncesji na widowiska kabaretowe przeważnie udzielano osobnikom, którzy byli powolni pouczeniom i wskazaniom cenzury¹⁾.

Garstka wybitnych artystów komediowych uległa pokusie wysokich zarobków. Pospolitali swe talenty w spelunkach.

Inteligencja polska bojkotowała owe widowiska.

Tego wszakże było mało. Ażeby w powszechności polskiej szerzyć najszkodliwsze instynkty, założono w dawnym Kasynie Oficerskim, w Alei Szucha, publiczny dom gry. Uprawiano tam ruletę i bakarata, bufet był sownie zaopatrzony w trunki, goście otrzymywali przepustki na swobodny powrót nocą do domu. Zdarzało się, że w ciemnych zaułkach na szulerów, co większe sumy zdobyli, czyhali partnerzy mniej szczęśliwi i pod grozą rewolwerów odbierali wygraną.

Dochód z szulerni przeznaczony był na niemieckie dobrojenie. W ten sposób gracze polscy dobrowolnie i bezpośrednio przyczyniali się do zwiększania sił wojennych śmiertelnego wroga Polski.

Nieco później zorganizowano, zdaje się w celu analogicznym, wyścigi konne w Lublinie i we Lwowie. Dało się do nich zjednać kilka stajni hodowlanych polskich. W różnych punktach Warszawy funkcjonowały filie totalizatora, do okienek tłoczyła się hałstra...

Prasa podziemna piętnowała Polaków, którzy do kasyna gry uczęszczali. Ogłaszano w „Rzeczpospolitej” ich nazwiska.

¹⁾ Sens tych poczynąń odkrył w czerwcu 1940 r. opublikowany „ściśle tajny” okólnik Urzędu Propagandy w Generalnym Gubernatorstwie do podległych mu w dystrykcie Wydziałów. Stwierdzał, że na tych ziemiach „przywróconych do Rzeszy”, a stanowiących „odwieczną przestrzeń życiową narodu niemieckiego”, ma prawo rozwijać się wyłącznie kultura niemiecka. Teatr poezji i teatr idei mógł odtąd być tylko teatrem niemieckim. Polakom, którzy jakoby żyli zawsze odpadkami cudzej kultury, należał się teatr najgorszego rodzaju, schlebający niskim instynktom mas, przyciągający je pornografią i płaskim śmiechem. Okólnik usilnie zalecał tworzenie takich scen dla udowodnienia postępnosci kultury polskiej i dla stwarzania pozorów życia normalnego w zajętych kraju. Doradzano przy tym, aby posługiwano się artystami o znanych nazwiskach. Zniszczenia teatru polskiego mieli dokonywać sami Polacy.

Bohdan Korzeniowski: „Zagłada Teatrów w Warszawie”. (Teatr).

Komitet Obywatelski, któremu przewodniczył prezydent miasta, Stefan Starzyński, został rozwiązany w pierwszych dniach okupacji. Starzyńskiego uwięziono, przepadł bez wieści.

Były wiceprezydent miasta, Marian Borzęcki, zmarł na Pawiaku. Tamże osadzony drugi wiceprezydent, Tadeusz Szpotański, cudownym sposobem zdołał ujsć. Strażnik polski, który pełnił wartę na wieży, dał się wciągnąć do spisku, ułatwił ucieczkę. Sam również zniknął.

Polskich strażników zastąpiono ukraińcami.

Znacznie później, bo w r. 1943-m aresztowano i rozstrzelano dawnego prezydenta miasta, inż. Słomińskiego. Burmistrza Kulskiego dwukrotnie zabierano na Pawiak i po paru dniach uwalniano, wiceburmistrz Podwiński kilka miesięcy przesiedział.

Komitetowi Samopomocy Społecznej, utworzonemu w pierwszych dniach września 1939 r., po nagłym wyjeździe inż. Tyszki, przewodniczył Artur Śliwiński. Uzupełnił listę członków tak umiejętnie, że Komitet mógł być poczytany za przedstawicielstwo wszystkich ważniejszych prądów polskiej myśli politycznej i społecznej.

To się Niemcom oczywiście nie podobało. Komitet został rozwiązany. Że potrzeba takiej instytucji była nieodzowna, zainicjowano Radę Główną Opiekuńczą, a na jej czoło wysunął się, — jak kania, kiedy burza, — Adam hr. Ronikier, pamiętny ze swej orientacji proniemieckiej z czasów pierwszej wojny światowej.

R. G. O. niosła pewne usługi niezamożnym mieszkańcom stolicy. W jej biurach znalazła schronienie garść inteligentów, którzy utracili swe stanowiska i którym groziły represje. Legitymacje urzędnicze w pewnym stopniu ich zabezpieczały.

Adam hr. Ronikier w końcu sam dostał się do więzienia. Studnicki, który jawnie mienił się germanofilem, parę razy przez Niemców był więziony.

Bank Polski został zastąpiony przez Bank Emisyjny. Dyрекcję objął Feliks Młynarski, stąd nowe banknoty nazwano „młynarkami”. Ich wartość nabywcza stale się obniżała.

We wszystkich bankach państwowych, komunalnych i zwłaszcza prywatnych — zastój i cmentarna cisza. Zarządcami byli „powiernicy” niemieccy, zdarzało się jednak, że i Polakowi tę misję powierzano.

Wobec utrudnień, na jakie był narażony handel jawny, osobliwie w dziedzinie produktów spożywczych i wyrobów włókienniczych, rozwinął się niebywale handel pokątny, domokrażny.

Wolny dowóz żywności był surowo zakazany. Żandarmeria niemiecka, wspomagana przez nieszczęsną policję granatową, obsadzała peryferie stolicy, dokonywała rewizji w pociągach, czatowała na skrzyżowaniach dróg podmiejskich.

Daremne zachody! *Nec Hercules contra plures!*

Ludność trzymała stronę przemysłników.

Na jakie przy tym oni zdobywali się ponysły, świadczył fakt następujący.

Szosa Wolską o zmierzchu jechał chłopak, za nim na furze rozsiadła się gruba baba. Że wieczór był chłodny, tak się zawinęła w chusty, że głowy jej nie było widać.

Fura wjechała w obręb miasta, w żandarmach wzbudziła podejrzenia. Zatrzymali chłopka, jęli przetrząsać słomę. Baba ani drgnęła. Mówią do niej, — nie odpowiada. Żandarm próbuje wziąć ją za ramię. Baba nic. Szarpnął silniej. Chusty spadły, odsłoniła się szlachtowana świnią, do wozu sznurem przymocowana.

Żandarmi cieszyli się conceptem i zdobyczą, przemysłny woźnica umknął.

Na targach miejskich przekupnie łapówkami zapędy policji łagodzili.

Aspekt ulic warszawskich szybko się zmieniał. Najpiękniejsze lokale kawiarniane i sklepowe zagarniali Niemcy. Na drzwiach wejściowych napisy:

„Nur für Deutsche”,

....Każdego ranka wieści o świeżych aresztowaniach. Obóz koncentracyjny w Oświęcimiu zapelniał się polskimi zesłańcami. Niebawem poczęły z nim współzawodniczyć także obozy w Treblince, w Majdanku, w Bełżcu.

Tysiące Polaków wysyłano do obozów w Rzeszy. Mordy odwetowe zainaugurowano w drugie święto Bożego Narodzenia 1939 r. w Wawrze, na peryferiach Warszawy.

W tamecznej kawiarence - półszynku dwóch żołnierzy niemieckich usiłowało aresztować znanych w podmieściu łobuzów, Dąbka i Prasulę, których poszukiwała policja polska.

Ci, miast żądanych legitymacji, wyjęli błyskawicznie rewolwery. Paf! Paf! Jeden z żołnierzy leży bez życia, drugi niewiele później ostatecznie tchnienie oddaje.

Właściciel kawiarenki, Barszczak, bardzo przerażony, zawiadamia o fakcie najbliższy posterunek policji.

Północ minęła, kawiarenka zamknięta. Wawer pogrążony w śnie. Nagle rejwach. Zajeżdżają ciężarówki z żandarmami, limu-

zyny z oficerami niemieckimi. Pospieszny przewód śledczy, potem doraźny sąd.

Stu zakładników ma niezwłocznie opłacić życiem zabójstwo, dokonane przez awanturników, prawdopodobnie pijanych.

Jęto przetrząsać sąsiednie domostwa, wyciągano z łóżek zaspanych mieszkańców, którzy nie mogli zrozumieć, czego od nich chciano. Rozdzierające krzyki kobiet, płacz dzieci.

Nieszczęśliwców, bijąc i kopiąc, spędzono na placyk, przylegający do komendantury niemieckiej. W komendanturze sprawdzano personalia. Do ustanowionej setki zbrakło kilkunastu ofiar.

Że już kilka godzin trwała ta akcja wojenna, niebo od wschodu poczynano błędnąć. Na przystanku kolejowym sygnalizowano pociąg, spieszący do Warszawy.

Zatrzymano pociąg na stacji. Żandarmi niemieccy wdarli się do wagonów, wypchnęli kilkunastu wystraszonych pasażerów na peron i w drogę do komendantury! Był komplet.

Wczesnym rankiem egzekucja.

Poprowadzono uwięzionych dziesiątkami na plac, położony u kresu ul. Rubinowej.

Pierwsza dziesiątka.... Opodał coraz większy tłum zrozpaczonych kobiet, rozsłochanych dzieci. Rozkazano skazańcom zdjąć nakrycia głowy i uklęknąć. Zaledwie dniało, więc ustawiono reflektor elektryczny. Zagrał karabin maszynowy.

Zakładnicy zachowali zdumiewające mnóstwo.

Dziesięć razy kolejno odzywał się terkot złowieszczej maszynki. Był biały dzień, kiedy klękała ostatnia partia. W ten sposób, między innymi zginęli: 70-cio letni inż. Szulewicz, redaktor Pieczynis, adwokat Jabłoński, dr. Stryjewski....

... W Warszawie, w pierwszych czasach okupacji, egzekucje odbywały się — przeważnie nocą — w Ogrodzie Sejmowym lub na Palmirach. Mieszkańcom ulicy Wiejskiej płoszyły sen głuche odgłosy strzałów. Niekiedy wiatr niósł — ledwie dosłyszalne echa pieśni o Polsce, co jeszcze nie zginęła. Z tą pieśnią na ustach skazańcy żegnali się z życiem.

.

Stosunki między Polakami a Niemcami ograniczały się do konieczności urzędowych. Władze okupacyjne wprost zakazywały Niemcom zbliżenia się towarzyskiego z Polakami. Tym bardziej unikali go Polacy. W pociągach kolejowych i tramwajach Niemcy posiadali osobne przedziały.

W miesiąc po kapitulacji Warszawy, w godzinach popołudniowych, pokojówka przyniosła nam bilet wizytowy. Nazwisko niemieckie.

Żona i synowa zaniepokojone.

Wchodzi młody oficer, zgrabny i elegancki. Cokolwiek speszony wrażeniem, jakie wywołał, — objaśnia, że jest wnukiem baronowej v. Strombeck z domu Luceńskiej, — przyjaciółki matki mej żony, a rodzonej siostry p. Folandowej, małżonki dawnego wiceprezesa Teatrów Rządowych. Pani v. Strombeck odwiedzała przed laty rokrocznie swą rodzinę warszawską. Z jej jedyną córką przyjaźniła się moja żona. Kiedyś otrzymaliśmy zawiadomienie o jej ślubie, nazwiska męża nie zapamiętaliśmy, bo stosunki się urwały.

Młody oficer tłumaczył się.

— Moja matka, dowiedziawszy się, że jadę w sprawach służbowych do Warszawy, poleciła mi dowiedzieć się o zdrowie państwa, i czy państwo podczas oblężenia nie ucierpieli.

Po chwili milczenia żona odrzekła.

— Niech pan podziękuje matce za pamięć. Mamy się dobrze.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Oficer zasępił się, złożył ceremonialny ukłon, wyszedł.

... Wojska niemieckie sterroryzowały Danię, wylądowały w Norwegii. Łada tydzień spodziewano się najazdu na Francję.

W Paryżu rezydował nowy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Raczkiewicz, oraz powołany przezeń rząd polski. Gen. Sikorski, który rządowi przewodniczył, organizował polskie dywizje emigracyjne.

Włochy wypowiedziały wojnę Francji i WBrytanii. Francja musiała znaczną część swoich sił, **milion żołnierza**, przesunąć na granicę włoską.

Warszawa wierzyła że Francja i WBrytania, zyskawszy dzięki Polsce osiem miesięcy czasu na uzupełnienie swego potencjału wojennego, powtórzą szkołę, daną Niemcom w roku 1918-ym. Ufano, że już na linii Maginot'a Niemcy połamią sobie zęby.

W roku 1940-ym Francji zabrakło Jeoffre'a i Focha!

Armie niemieckie przemknęły, jak burza, przez Holandię i Belgię, runęły na północną Francję.

I katastrofa!

Wojska francuskie nie wytrzymały piekielnego natarcia pancernych i zmotoryzowanych zastępów Hitlera.

Paryż oddany prawie bez walki! Cała Francja w szponach niemieckich!

W Warszawie przygnębienie, graniczące z rozpaczą.

Nasze władze emigracyjne przeniosły się w porę do Londynu. Armii brytyjskiej, która walczyła na wybrzeżu Flandrii i Normandii groziła zagłada.

Ciężkie i ponure były dni dla Polski!

....Lecz oto promyk łaskawszy.....

W najgroźniejszym momencie niespodziany, historyczny wysięk dynamiki anglosaskiej!

Anglia zmobilizowała w ciągu paru dni całą swą flotę, przeszło tysiąc okrętów! Trzystotysięczna armia, walcząca pod Dunkierką, błyskawicznie załadowana i odstawiona na wyspy!

Hitler śle niemiecką flotę powietrzną, by zmiotła z powierzchni Londyn.

Nowy zawód. Eskadry niemieckie zdziesiątkowane, odparte. Najazd na Anglię udaremniony. A w obronie stolicy chwalebny udział naszego lotnictwa!

Stary żebrak, urzędujący na Smolnej, łypał figlarnie ślepiami do stałych dobroczyńców i z cicha nucił.

„Śpij, dziecino, śpij kochanie!

Niemiec Anglii nie dostanie!”

....W Warszawie rozpoczęto oblawy na ludzi. Rzesza potrzebowała rąk roboczych.

Weselna pora majowa. W dzień św. Stanisława pierwsza łapanka.

Oficerowie Gestapo i wzmocnione patrole żandarmów zatrzymywały na ulicach młodszych mężczyzn, pchały brutalnie do ponurych, czarnych ciężarówek.

Oficerowie wydawali się w doskonałych humorach. Bawiło ich to polowanie, brali w nim czynny udział. Drwili z płaczących kobiet, żandarmi kolbami odrzucali te, które czepiały się uprowadzanych mężów, braci, synów.....

Każdy ranek przynosił wiadomości o nowych aresztowaniach.

12 lipca dzień skwarny. Do drzwi frontowych, przed południem, zadzwonił oficer niemiecki. Pytał o adwokata Krzywoszewskiego.

Syna nie było w domu. Oficer zapowiedział, że wróci później.

Kiedy syn zjawił się na obiad i powiedziano mu o wizycie, zachmurzył się. Matkę i żonę zapewniał, że odwiedziny niechybnie były w związku ze sprawą któregoś z klientów.

Zasiedliśmy do stołu, siląc się na spokój. Nie dokończyliśmy zupy, kiedy w przedpokoju zabręczał dzwonek.

Wszedł ciężkim krokiem rosły i barczysty oficer niemiecki, w czapce na głowie. Rozejrzał się, wzrok jego zatrzymał się na synu.

— *Rechtsanwalt* Krzywoszewski?

Syn podniósł się.

— Jestem.

— Pan musi ze mną jechać.

Moja żona zbladła, synowa i wnuczka wpatrywały się z niemym przerażeniem w oficera.

On od niechcenia tłumaczył.

— Niech się panie nie przejmują, nie ma oskarżenia o jakiegokolwiek przewinienie. Zarządzenie obejmuje sześćdziesięciukilku adwokatów. Mają być internowani, jako zakładnicy wojenni.

Z naciskiem powtórzył.

— To nie jest uwięzienie. To jest internowanie.

Otarł spocone czoło chustką, skarżył się, że dokuczało mu pragnienie.

Żona wskazała krzesło, syn podsunął syfon z wodą sodową. Oficer napełnił szklankę, łakomie wychylił. Synowi napomknął, aby „na wszelki wypadek” zabrał ze sobą trochę ciepłej bielizny.

Nam zrobiło się zimno. Był początek lata, on już przewidywał zimę w więzieniu.....

Nie chcieliśmy, aby Niemiec widział naszą trwogę i łzy. Rozstaliśmy się z synem w milczeniu, on wpatrywał się w nas, jak gdyby chciał unieść z sobą nasz obraz. W jego szaro szafirowych oczach tkwił bezdeny smutek.

Syfon był opróżniony, oficer naglił do pośpiechu.

Syn wyszedł pierwszy z podniesioną głową, za nim — gestapowiec. Wybiegliśmy na balkon od podwórza. Syn zatrzymał się w bramie, spojrzał ku nam — i szybko wsiadł do oczekującego samochodu. Oficer za nim. Samochód ruszył..... zniknął.

W naszym mieszkaniu łkanie i płacz.

....Czyniliśmy nadludzkie, godziwe wysiłki, ażeby syna uwolnić. Wszystkie zawodziły.

W połowie sierpnia wywieziono aresztowanych adwokatów do Oświęcimia.

Raz na miesiąc otrzymywaliśmy od jedynaka karty pocztowe, pisane po niemiecku. Zaczynały się stale i niezmiennie od słów:

— Jestem zdrow i czuję się dobrze.....

W końcu listopada łudzono nas nadzieją, że syn lada dzień powróci. Moja żona wierzyła, że zasiądzie z nami w wieczór wigilijny do stołu.

Piątego grudnia dzień był chmurny i zgniły, — jeden z tych dni zimowych, kiedy wszelka radość życia gaśnie. Po południu wstąpił do mnie na gawędę Eustachy Czekalski.

....W przedpokoju otwierano drzwi. Do gabinetu wpada żona z otwartą depeszą w ręku. Jej oczy błędne.

— Staś nie żyje!

Chwyciłem depeszę.

„*Kriegsgefangene Stanislaus Krzywoszewski gestern um 7 Uhr früh gestorben*“.

Pod depeszą nazwisko komendanta obozu.

....Późno tej nocy znalazłem się na posłaniu, bo żona wciąż odchodziła od przytomności. Moje serce skakało. Oddychałem ciężko, głowa płonęła.

Powieki się kleiły, ale sen odmawiał.

Nagle odczułem, że ktoś zbliża się bezgłośnie. Oczy miałem przymknięte, świadomość pełną.

Tchnął lekki ruch powietrza. To był on, niewątpliwie Staś.... Bałem się podnieść powieki, żeby się nie rozwiął. Stał u mego wezglowia, pochylił się lekko. Jego szaro szafirowe oczy były smutne.

Jak długo to trwało? Może kilka sekund, może znacznie dłużej. I znów lekki ruch powietrza.

Oddalił się.

Leżałem bez ruchu w nadziei, że wróci. Z przyległego pokoju zawołała żona. Porwałem się z łóżka.

— Staś był tutaj, mówiła cicho z trudem, widziałam go Żyje.... już żyje tamtym życiem!

Śmierć jedyne go syna była najistotniejszym nieszczęściem osobistym, jakie nas spotkać mogło. Moja żona ciężko chorowała przez parę miesięcy, do normalnego zdrowia nie wróciła. Ja też znalazłem się na krawędzi. Oboje utraciliśmy główną rację naszego bytowania.

....Zima miała się ku schyłkowi, lubo mróz jeszcze trzymał, z Oświęcimia przysłano nam małą drewnianą skrzynkę z prochami syna.

Złożyliśmy ją do niemowlęcej trumienki, trumienkę po nabożeństwie żałobnym w kościele na Powązkach, zanieśliśmy do rodzinnego grobu.

....Jaki był los „internowanych“ w Obozie Oświęcimskim naszych księży, naukowców, adwokatów, — którzy stanowili kwiat

inteligencji polskiej, — świadczy zwięzłe, ściśle, rzeczowe sprawozdanie adw. Ignacego Radlickiego, b. posła na Sejm. Należał on do tej samej grupy aresztowanych bez żadnego powodu w lipcu 1940 r. prawników, co mój syn.

Jesień tego roku była słotna i chłodna. Pod koniec października i w listopadzie zakładnicy oddziani w liche pasiaki więzienne, byli zatrudnieni przy rozbiórce starych i rozbudowie nowych gmachów. Nadchodziły wciąż transporty cegły, trzeba było odstawiać ją na wskazane miejsce i układać w przyzmy.

Radlicki pisze:

„Była to ciężka praca dla niewprawnych rąk. Każdy więzień musiał wziąć na ręce nie mniej niż 6 cegieł i przenieść je na odległość jednego kilometra. Z ceglami wolno było iść stępą, natomiast z powrotem należało pędzić po cegłę klusem. W czasie pogody praca bywała znośna. Stawała się zabójczą w czasie zimnych deszczów. Zziębnięci i przemoczeni do nitki, bez czapek, taszczyliśmy przemarznięte, zlodowaciałe cegły w zgrabiających rękach. Gliniasty, rozmokły grunt sięgał po kostki, w podartych trzewikach bulgotała woda. A z powrotem wyrrywaj co żywiej! Stawało się to często ponad siły, a jednak mus był na nie się zdobyć, bo inaczej wnet z za węgła wyskakiwał dozorca i bił, gdzie popadło. Po plecach, po głowie, ręką lub pałką....”

„Po dwóch dniach tego piekła dłonie miałem spuchnięte, jak banie. Nie zapomnę widoku kolegi Stanisława Krzywoszewskiego. — Widzę go, jak stoi przed jednym z budynków, chwieje się jak trzcina, błędne oczy chodzą mu w orbitach. Lada chwila upadnie.... Podbiegam do niego, wypada dozorca....”

Krzywoszewski wówczas po raz wtóry dostał się do szpitala, z którego już nie wyszedł żywy....”

....Ileż razy ten obraz spędzał mi sen z oczu na całą noc!

Nie było w Polsce rodziny, któraby podobnych tragedii nie przeżywała.

I mimo to polska dusza zbiorowa nie dawała się złamać! Wiara w wyzwolenie i w lepsze jutro pozostała żywa i płomienna.

Ale czara gorzkości i nieludzkich cierpień była daleka od wyczerpania.

Walka podziemna.

We Francji gospodarowali Niemcy, Riwierę francuską zajęli Włosi. Całe brzemie wojny dźwigała WBrytania. Na morzach poniosła straty dotkliwe. Stany Zjednoczone uruchamiały gorączkowo wielką armię, nastawiały swój wspaniały przemysł do potrzeb wojennych, — z czynnym wystąpieniem zwlekały.

Niemcy szykowali się do skoku na Sowiety.

Andrzej Maurois wydał w Londynie broszurę, w której wyświetlał okoliczności, towarzyszące wybuchowi wojny. Przytaczał w niej swoją rozmowę z Churchill'em.

Maurois pytał.

— Kiedy WBrytania przystąpi do decydującej z Niemcami rozprawy?

Churchill puszczał kłęby dymu z sążnistego cygara, patrzył w dal.

— Widzi pan, my wyspiarze mamy charakter i obyczaje krabów morskich.

Maurois zdziwił się.

— Krabów?

— Bardzo wojownicze stworzenia, ciągnął dalej Churchill, — swój animusz rycerski wyładowują jednak wtedy, gdy się do boju należycie przygotowują. Krab w pewnych okresach roku zrzuca starą, zużytą skorupę i kryje się w niedostępnych szczelinach skał nadmorskich. Czekają tam cierpliwie, póki mu nowy puklerz nie odrośnie i odpowiednio nie stwardnieje. Wtedy wychodzi na skały, atakuje wrogów i bije ich.

— Nasz puklerz jeszcze dostatecznie nie okrzepł. Przyjdzie właściwa pora, uderzymy mocno...

Na ustach Churchill'a pojawił się lekki uśmiech.

— Pan, panie Maurois, zna świetnie historię Anglii. Więc Pan wie, Anglia nie zawsze bywała w poszczególnych bitwach zwycięska. Wojny wygrywała zawsze!

...Polska, w żelaznych okowach okupacji, mimo przegranej wojny, nie złożyła broni, lecz musiała obronę przesunąć na inną płaszczyznę.

Akcja podziemna powstała samorzutnie i równocześnie z pierwszymi okrucieństwami okupacji.

Na czele organizacji spiskowej stanęli żywotniejsi przedstawiciele czterech zasadniczych kierunków polskiej myśli politycznej: Ludowców, Polskiej Partii Socjalistycznej, Demokracji Narodowej i Stronnictwa Pracy.

Konspiracja ogarnęła całą Polskę. Nawiązała stosunki z rządem emigracyjnym w Londynie, stała się jego ekspozyturą krajową.

Grupy sanacyjne, które wywodziły się z Ozonu, nie przystąpiły do zorganizowanej Jedności Narodowej.

Że jednak w tych grupach sporo było ludzi rzutkich i ambitnych i że rozporządzały one dość znacznymi środkami, zawiązały akcję własną, zespalając się w Bloku Niepodległościowym. Swą żywotność wyładowywali w licznych i starannie prowadzonych wydawnictwach tajnych.

Grupy te posiadały sporo adherentów w korpusie oficerskim, który tworzył podziemną Armię Krajową. W skutek tego rozporządzały wpływami w Komendzie Głównej.

Wynikała stąd pewna dwoistość w poczynaniach Rządu Krajowego i Armii Krajowej, — dwoistość, która z biegiem czasu miała wywołać skutki tragiczne, bo epigonów ideologii marsz. Piłsudskiego cechowała śmiałość, granicząca ze skłonnością do hazardu.

Pierwszym krajowym Delegatem Rządu Emigracyjnego był zacytowany Cyryl Ratajski, były prezydent m. Poznania i b. minister Spraw Wewnętrznych. Działacz społeczny zasłużony, polityk niebiegły, a do konspiracji zgoła nie przysposobiony.

Nie miał też do niej i nieodczownych sił fizycznych. Wielkie to było z jego strony poświęcenie, że wziął na swe barki takie brzemie i taką odpowiedzialność!

Rychło w tych tarapatach resztę zdrowia wyczerpał, musiał posterunek opuścić. W parę miesięcy potem zmarł.

Spadek przejął profesor statystyki Piekalkiewicz, człowiek ze wszech miar godny, lecz trochę fantasta, skłonny do uporu i w doborze współpracowników nie zawsze fortunny.

Polityczne jego posunięcia bywały niekiedy bałamutne i wskutek tego miast uspakajać, podsycaly wewnętrzne tarcia.

Duszą konspiracji w pierwszych dwóch latach okupacji był komendant Krajowych Sił Zbrojnych, pułkownik, a później generał Grot-Rowecki.

Przy Delegaturze i Komendzie Głównej tworzyły się zaczątki przyszłych ministerstw i departamentów, dokonywały się przedwstępne studia i prace przygotowawcze.

Departament Prasy i Informacji był centralnym ogniskiem propagandy w kraju i zagranicą. Stąd szło światło o bohaterskim oporze Polski i o zbrodniach niemieckich — na cały kraj i na cały świat, stąd biegły wiadomości, prostujące fałszywą propagandę niemieckiej. W powszechności polskiej podtrzymywał otuchę i wiarę w zwycięstwo.

Stanisław Kauzik znalazł w tej akcji właściwą arenę do wyładowania swej niespożytej żywotności. Zmobilizował liczny zastęp gorliwych współpracowników, podtrzymywał ich zapał. Robota była piekielnie trudna i niebezpieczna. Szpiegi wszędzie weszły, uszami strzygły. Nieostrożność polska, — zwłaszcza w lokalach publicznych, — powodowała wiele ofiar.

Niemiecka Tajna Policja Państwowa nie lekceważyła żadnej denuncjacji, nawet anonimowej.

Ale cóż z tego, że gdzieś odkryto lokal redakcyjny, tajną drukarnię, punkt kolportażowy?

Nazajutrz stawali do apelu w innych pomieszczeniach nowi ludzie.

Akcja podziemna nie знаła przerwy. Ludzie, którzy imali się tej pracy, odrzekali się własnego ogniska domowego i spokoju. By zmylić ślady, wiedli tryb życia koczowniczy, zmieniali przygodne kwatery, w ręcznej walizeczce nosili z sobą całe swoje gospodarstwo. Zebrania polityczne i posiedzenia rządu odbywały się w coraz to innych mieszkaniach prywatnych.

I to trwało przez pięć lat! Męka i śmierć czyhały na każdym kroku.

W drugiej połowie maja 1941 r. w Warszawie znów zapachniało prochem.

Miasto zaroilo się wojskiem. Mostami kolejowymi mknęły na Wschód niezliczone pociągi, naładowane wojskiem i sprzętem wojennym. Aleją Trzeciego Maja, pod naszymi oknami, ciągnęły na

prawy brzeg Wisły pułki piechoty, artylerii i broni pancernej, zrzadka — konnicy, która stała się przeżytkiem. Wlokły się olbrzymie konwoje ciężarówek.

Nasze serca biły żywiej. Niemcy po raz wtóry miały sprząć się w gigantycznym boju z Rosją. Dla Polski jawiły się nowe **horrorki**.

22-go Czerwca w południe wpadł do nas Kauzik bardzo wzruszony.

— Armie niemieckie dziś o świcie wtargnęły w granice Sowietów!

Hitler szydził z przestrogi o przyrodzonych sojusznikach Rosji, — generałach Mrozie i Przestrzeni. Przechwalał się, że niemiecki geniusz organizacyjny i techniczny upora się łatwo z trudnościami, że wojsk niemieckich nie spotka w Rosji los Wielkiej Armii Napoleona.

Stalin trzymał się wypróbowanej strategii Kutuzowa: wciągał wroga jaknajdalej od jego baz zaopatrzenia.

Churchill pośpieszył do Moskwy, by ze świeżym sprzymierzeńcem nawiązać bliższe porozumienie. W ślad za nim to samo uczynił gen. Sikorski.

Ambasadorem Rzeczypospolitej przy Rządzie sowieckim mianowany został prof. Kot, który niezwłocznie, wspólnie z gen. Anderssem, zajął się tworzeniem dywizji polskich na terenie Rosji.

Niemniej trudnym i ważnym zagadnieniem było zorganizowanie pomocy dla ludności polskiej, znajdującej się przeważnie w Azji.

.....

Zima lat 1941—42 była wyjątkowo sroga. Generał Mróz ziścił pokładane w nim przez Rosję nadzieje. Do Warszawy i przez Warszawę sunęły pociągi z rannymi i odmrożeniami. Lazarety w mieście były przepełnione, tworzone wciąż nowe.

Pani Z., mieszkanka Warszawy, podczas pobytu u wód zagranicznych zaprzyjaźniła się z żoną bogatego przemysłowca z Nadrenii. W grudniu 1941 r. otrzymała list, w którym owa Niemka błagała o rzetelne wiadomości o synu. Leżał ciężko ranny w jednym ze szpitali warszawskich.

Dostęp do lazaretów niemieckich był Polakom surowo wzbroniony. Pani Z. jednak na zasadzie otrzymanego listu, uzyskała pozwolenie na jednorazowe odwiedzenie młodego oficera.

Wprowadzono ją do obszernej sali. Przez zamarzniete szyby okien sączyło się mętne światło. Zimowy dzień bez słońca dogorywał.

Syn niemieckiej przyjaciółki leżał na jednym z łóżek, cały w wacie i bandażach. W jego oczach płonęła gorączka. Nie poznał przybyłej pani, nie wzruszył się, gdy mu oświadczyła, że ma zdać sprawę matce o stanie jego zdrowia.

Miotając się na łóżku, ochrypłym głosem krzyczał:

— Niech pani napisze matce, że chcę umrzeć! Niczego więcej nie pragnę. Nie powinna była puścić mię na wojnę, trzeba było raczej od razu mię zabić. Mam 21 lat, i co ze mnie zostało? Potwór, odrażający kaleka! Takiego życia nie chcę! Nie chcę!...

Rwał bandaż, łkał. Na innych łóżkach kłębiły się białe postacie, charczały westchnienia, jęki. Salę ogarniał szal.

Wpadł starszy lekarz z sanitariuszem, ryknął groźnie.

— Ruhe!

Pani Z. wybiegła na korytarz, półprzytomna. Odetchnęła, gdy znalazła się za bramą.

... W Niemczech już kursowały ulotki z rysunkiem konnego pomnika Fryderyka Wielkiego i z podpisem:

Stolzer Reiter, komm' herunter,
Dein Gefreiter kann nicht weiter.

A był to dopiero schyłek 1941 r.!

Powszechna wielka radość!

Stany Zjednoczone A. P. wypowiedziały Niemcom wojnę.

Prez. Roosevelt w orędziu swym przestrzegał, że wojna w dalszym ciągu będzie przewlekła i krwawa. Zapowiadał niechybne zwycięstwo, lecz nawoływał do cierpliwości i wytrwałego wysiłku.

— Jeśli wypadki rozwiną się pomyślnie, może dobrniemy do celu w roku 1943-ym, głosił. Nie jest jednak wykluczone, że wojna przeciągnie się do roku 1944-go, i nawet dłużej!...

Nam wydawało się, że te słowa były tylko pogroźką pod adresem Niemiec...

Karta Atlantycka.

Ignacy Paderewski przewidział dziejową rolę, jaka miała przypaść prez. Rooseveltowi, łączyły go z nim przyjazne stosunki. Nie bacząc na swój wiek, wybrał się do Ameryki, ażeby tam strzec i bronić interesów Polski.

Wkrótce po przybyciu do Nowego Yorku zachorował na zapalenie płuc. Zdarzyło się, że w tym mieście przypadkowo bawił młody, lecz już znany w Warszawie lekarz, dr Jakimowicz, członek naszego Rotary — Klubu. Wiosną 1939 roku wyjechał do Nowego Yorku, by w laboratorium Uniwersytetu Columbia przeprowadzić studia naukowe.

Zaskoczyła go wojna.

Dr Jakimowicz radził sobie na przymusowej emigracji praktyką lekarską. Gdy wezwano go do łóża chorego Paderewskiego, w krótkim czasie przywrócił sędziwemu artyście zdrowie.

Paderewski umiał być wdzięcznym.

W Waszyngtonie prez. Roosevelt skarżył się przed nim na bezradność amerykańskich lekarzy, którzy się nim opiekowali. Paderewski opowiedział, jak szczęśliwie wywiódł go z opresji dr Jakimowicz — i tak swą relacją prez. Roosevelta zainteresował, iż niebawem dr Jakimowicz został zawezwany do Białego Domu w Waszyngtonie.

Nagle światowej wagi sensacja!

Na pełnym Atlantyku spotkanie dwóch mężów, którzy kierowali losami wielkich potencji anglosaskich.

Roosevelta i Churchilla!

W parodniowych konferencjach, jakie odbywały się na pokładach pancerników, ustalone zostały w „Karcie Atlantyckiej” cele wojenne Sprzymierzeńców oraz podstawy przyszłego ładu w Europie i w całym świecie, po odniesionym nad państwami Osi zwycięstwie.

W ilustracjach niemieckich pojawiły się fotografie z tego zjazdu. W tłumie osób, otaczających prez. Roosevelta na pokładzie, uśmiechał się nasz kolega Jakimowicz.

Prez. Roosevelt zabrał go z sobą na historyczną wyprawę.

...Paderewski nie wytrzymał nadmiernych dla swego wieku i zdrowia trudów. Biorąc czynny udział w pracach Kongresu Polskiego w Chicago, zaziębił się ponownie. Powtórzyło się zapalenie płuc, i tym razem nie zdołano go już uratować.

Wielki patriota do ostatniej chwili żył tylko dla Polski.

Gehenna Żydów.

Prześladowania Żydów rozpoczęły się zaraz w pierwszych miesiącach okupacji. Zaostrzały się z każdym tygodniem.

Ścigani byli z jednakową zawziętością Żydzi nacjonaliści i Polacy pochodzenia semickiego, nierzadko wyznający wiarę chrześcijańską, a nawet którzy z nią na świat przyszli i nic wspólnego z judaizmem nie mieli.

Stosowano w całej grozie nieludzką doktrynę rasizmu.

Tych, których klauzulę owej doktryny zaliczały do Żydów, a którzy, uważając się za Polaków, wzdragali się nosić żółtą opaskę z gwiazdą Dawida, wtrącano do więzienia.

Jednym i drugim grabiono przedsiębiorstwa, sklepy, warsztaty, mieszkania... Wszystko!

Przy tym znęcano się nad nimi brutalnie i upokarzająco.

...Pamiętam moje ostatnie odwiedziny u Emila Breitera, dawnego współpracownika „Świata”, z którym łączyła mnie szczerą przyjaźń.

Breiter tkwił jeszcze w swym mieszkaniu przy ulicy Kapucyńskiej. Gościł u siebie kolegę, Leona Berensona, bardzo znanego adwokata.

Pora była południowa. Obu mecenasów zastałem przy pracy. Zamiatali i froterowali posadzkę. Pani Breiterowa krzątała się w kuchni.

Służąca opuściła ich...

Zasiedliśmy do gawędy w salonie. Parę razy odzywał się w przedpokoju dzwonek. Przy każdym rozmowa się przerywała, pani domu bladła, Breiter podnosił się, jak gdyby z pewnym wahaniem, szedł otworzyć drzwi. Berenson wiódł za nim wzrokiem, nasłuchiwał.

Podobne wrażenie budził każdy zatrzymujący się przed bramą samochodu.

Bezwiednie przeżywałem ich niepokój.

Uczucia, które nas nurtowały, znalazły głębszy wyraz przy pożegnaniu. Breiter był wzruszony, ścisnął mnie serdecznie. Obu nas trawiła myśl, że może już się na tym padole nie spotkamy.

Gdym wychodził na ulicę, przed dom zajechała limuzyna. Wy-skoczyło z niej dwóch oficerów niemieckich. Ogarnęło mnie bezradne przerażenie. Może już po nich?... Przeszedłem na drugą stronę ulicy, skierowałem się w stronę Hipoteki. Zawróciłem.

Oficerowie wyszli spieszonym krokiem z bramy, wsiedli do samochodu, odjechali...

...Właściwa akcja eksterminacyjna rozpoczęła się z chwilą, kiedy wykrojono z miasta t. zw. „dzielnice żydowską”, okoloną wysokim murem, pilnie strzeżonym.

Dla Polaków pochodzenia semickiego wyłonił się tragiczny dylemat: przesiedlić się do ghetta, czy pozostać w swych pieleszach, zdając się na łaskę Przeznaczenia?...

Zamożniejsi i obrotniejsi wybierali trzecią alternatywę: szukali możliwie bezpiecznego ukrycia.

Znalezienie go jednak przedstawiało niemałe trudności i hazardy.

Władze okupacyjne karą śmierci groziły tym, którzy ukrywali w swych mieszkaniach osoby, poczytywane za Żydów.

Nie da się, niestety, zaprzeczyć, zdarzały się nikczemne jednostki, — na szczęście dość rzadko, — które tę chrześcijańską przysługę kalały wyzyskiem, — niekiedy nawet dopuszczały się haniebnego szantażu.

Sądy Polski Podziemnej karały takie występki z bezwzględną surowością.

W zamkniętym ghetto rozgorzała gorączka i rwetes. Zgęściło się tam, wraz z uchodźcami z pomniejszych miast prowincjonalnych, około 400.000 mieszkańców. Straszliwa nędza proletariatu żydowskiego stykała się z zamożniejszymi sferami inteligenckimi, nawet z kapitalistami, nawykłymi do dobrodziejstw dostatku.

Dla tych pieścuchów losu powstały zbytkowne jadalnie, kawiarnie i sklepy z łakociami, które zaspakajały wybredne nawet zachcianki. Przed wystawami owych lokali tłoczyły się cztery zgłodniałych i półnagich nieszczęśliwców.

Autonomiczny zarząd gminy, zdany na samowolę Gestapo, nie był w stanie wydołać potrzebom. Prezes zarządu, inż. Czerniakow,

poniewierany i parokrotnie więziony, gdy zażądano odeń wydania wszystkich mieszkańców „nieprodukcyjnych”, otrul się. Na Pawiaku odebrał sobie życie Gustaw Wertheim, dyrektor naczelny „Pocisku”, u siebie w domu, w willi na Belwederskiej, Aleksander Neuman, finansista i kolekcjoner. Chorego obłożnie Gutnajera, słynnego w całej Polsce „handlarza sztuki”, zamordowano wraz z rodziną i służbą w chwili, kiedy przybyły — za pozwoleniem władz okupacyjnych — znany chirurg, dr. Rokszeja, dokonywał operacji.

Ten również padł ofiarą. W parę dni później wdowie po zabitym lekarzu wyrażono ubolewanie „z powodu zaszłej pomyłki”.

Kościół Wszystkich Świętych znalazł się w obrębie dzielnicy żydowskiej. Proboszcz, ks. Marcei Godlewski, pomawiany nieraz o antysemityzm, czynił, co mógł, by katolikom pochodzenia semickiego nieść ulgę. Gestapo zareagowało. Księży rozpędzono, rodziny, które na plebanii znalazły przytułek, wywieziono do Treblinki.

Moja żona posiadała w dzielnicy żydowskiej dużą kamienicę dochodową, odziedziczoną po matce.

Zamieszkiwały ją, niemal wyłącznie, mniej zamożne rodziny żydowskie.

Już podczas pierwszej wojny światowej trzeba było nieraz zubożonych lokatorów wspierać, zamiast od nich kłopotliwe egzekwować. Teraz wpływy z kamienicy kapwały coraz leniwiej. Gdy ghetto zawarto, całkiem ustały. Wieloletni rządca domu, Wiernik, spotykał się w tym okresie z nami dla raportów w gmachu Sądu Grodzkiego. Gmach ów posiadał główne wejście od ulicy Leszno, w dzielnicy żydowskiej. Drugie, tylne — od ulicy Ogrodowej — w mieście.

Gestapo wpędziło te spotkania uniemożliwiło.

... W lipcu 1942 r. rozpoczęło się masowe wywożenie Żydów z getta.

W tym celu na linii kolei Obwodowej, w pobliżu ulicy Stawki, urządzono specjalny przystanek. Rozgrywały się tam sceny koszmarnie. Oddziały SS przybrały do pomocy, „własowców”, prawie zawsze pijanych, ewakuowały kolejno poszczególne domy.

Jak ewakuowały!

Wdzierały się do wewnątrz, rabowały dobytek, w razie najmniejszego oporu i często bez żadnego powodu, mordowały. Kobiety gwałcono.

Potym wyganiano wszystkich mieszkańców, — mężczyzn, kobiety i dzieci, — na ulicę i większymi gromadami pędzono na plac przed przystankiem.

Tam oczekiwanie na pociąg. Czasem kilka godzin, kiedy indziej — parę dni. Bez strawy, nawet bez wody do picia, choć spieka bywała dojmująca.

Ładowanie do zamkniętych wagonów odbywało się chaotycznie. Rozdzielano żony od mężów, dzieci od matek. Szczelnie zapelniony wagon plombowano.

Mijały godziny, doby, — nieustanny krzyk, płacz, jęki... Pojedyncze strzały...

Nareszcie pociąg gotów do drogi... Ruszał w stronę Małkini, Lublina...

Do Treblinki, Majdanka, Bełżca...

Tam rozległe obozy, okrażone drutem kolczastym, niezliczone baraki drewniane, — komory gazowe, krematoria...

Na wstępie, przybywającym odbierano wszystko, co posiadali przy sobie i na sobie. Rzekomo — „na przechowanie”...

Niekiedy od razu wiedziono „do kąpieli”. Nikt żywy z tej kąpieli nie wracał.

Z końcem roku 1942-go w ghetto warszawskim pozostało zaledwie 30 tysięcy Żydów, wyłącznie młodszych i do pracy zdolnych.

Potrzebni byli przedsiębiorcom niemieckim, obsługującym wojsko.

Wśród tysięcy obywateli polskich, uwięzionych w ostatnim kwartale 1942 r., znaleźli się Zdzisław ks. Lubomirski i znany pisarz, Adam Grzymała Siedlecki.

Z jakiego powodu ich aresztowano, niepodobna było dociec.

Bardzo niemłody już ks. Lubomirski, b. Regent w okresie pierwszej Wojny Światowej, wstępną kwarantannę na Pawiaku odbył, jak wszyscy, w podziemiach na betonowej podłodze. Później przeniesiono go do więziennego szpitala. Wyszedł tak złamany duchowo i fizycznie, że już zdrowia nie odzyskał. W lipcu 1943 r. dokonał żywota w Małej Wsi pod Grójcem.

Grzymałę Siedleckiego trzymano kilka miesięcy. Pobył w więzieniu odbił się również ujemnie na jego zdrowiu.

Polska walcząca.

Wróżbici, — a Bóg jeden wiedział, ilu ich w tych czasach w Warszawie grasowało, — przepowiadali, że rozpoczynający się rok nowy przyniesie pokój. Myrta Noel, przymykając piękne, ale twarde oczy czarownicy, widziała generała Sikorskiego, jadącego na białym rumaku przez ulice Warszawy wśród entuzjastycznie witających go tłumów.

Miraż był tak powabny, że uśmiechali się doń wszyscy. Najdawali się nawet tacy, co tym fantazjom dawali wiarę.

Delegatura Cywilna i Komenda Główna Sił Zbrojnych usprawniły łączność z rządem emigracyjnym w Londynie. Otrzymywano stale instrukcje i wiadomości, broń i pieniądze. Utajone stacje radiowe, odbiorcze i nadawcze, pracowały gorliwie. Od czasu do czasu, w ustalonych z góry miejscowościach, lądowali z podniebia przy pomocy spadochronów odważni emisariusze.

Żandarmi niemieccy chętniej polowali na zrzuty worków z pieniędzmi, niż na śmiałków z za morza. Pod Kiernozią spróbowali dwóch takich chwatów przytrzymać. Ci dali się zaprowadzić do pobliskiej wioski. Ale kiedy zawezwany sołtys zajechał z podwodą, aresztowani raptem wyjęli dobrze ukryte rewolwery i celnymi strzałami położyli żandarmów trupem. Sołtysowi kazali wieść się w głąb lasów.

Akcja podziemna zorganizowała w Budapeszcie i w Sztokholmie ekspozytury, które przez dłuższy czas skutecznie pośredniczyły w stosunkach z Londynem.

Na Węgrzech jednak wkrótce rozgospodarowali się Niemcy, w Budapeszcie jęło grasować Gestapo. Doświadczeni agenci wpadli na trop polskiej organizacji, wywęszyli jej siedzibę. Rewizja, aresztowania... Ujawniona została placówka warszawska, która załatwiała sprawy z Budapesztem...

Pewnego ranka ulica Skorupki obsadzona policją i wojskiem. Ustawiono karabiny maszynowe. Jeden z domów przetrząsany przez gestapowców. Aresztowano mężczyzn, kobiety... Męczarnie, egzekucje...

Niemniej boleśnie zakończyło się pośrednictwo szwedzkie. Jedną z ofiar padł nieodżałowany Piotr Drzewiecki, dawny prezydent m. Warszawy, prezes polskiego Rotary. Wywieziono go do Berlina, tam w Moabicie żywota dokonał.

Lecz nic z tego, że ofiary! Natężenie walki podziemnej rosło, w mieście z każdym miesiącem mnożyły się zamachy na znienawidzonych gestapowców i urzędników okupacyjnych. Niemiecki Urząd Pracy (*Arbeitsamt*), mieszczący się w gmachu Tow. Kred. Ziemskiego, parokrotnie atakowany, przeobraził się w twierdzę, bronią z zewnątrz i wewnątrz.

W całym General-Gubernatorstwie napady na pociągi, przewożące wojsko i sprzęt wojenny, na urzędy gminne i powiatowe.

Odbijano transporty więźniów, terroryzowano banki¹⁾.

...Prasa podziemna potrzebowała linotypów?

Pod zarekwirowaną przez Niemców drukarnię zajedza ciężarówka z kilku niemieckimi żołnierzami i podoficerem. Zameldowali się niemieckiemu nadzorcy, doręczyli urzędowy nakaz wydania maszyn, zaopatrzonej w należne pieczęcie i podpisy.

Wszystko w porządku! Podoficer doskonałym narzeczem berlińskim naglił do pośpiechu, nadzorca zawezwał swoich ludzi do pomocy.

Linotypy załadowano, ciężarówka odjechała.

Na drugi dzień *larum!* *Ausweis* był podrobiony, podoficer, perorujący narzeczem berlińskim i towarzyszący mu żołnierze niemieccy okazali się „bandytami polskimi”!

Linotypy drukowały „Rzeczpospolitą”, półoficjalny organ Delegatury.

...Ulicą Miodową w biały dzień toczyła się zakryta ciężarówka, obsadzona przez żandarmów niemieckich z karabinami w ręku. Wiozła zapieczętowane worki z świeżo wydrukowanymi asygnatami Banku Emisyjnego (t. zw. „młynarkami”).

U zbiegu ulic Miodowej i Senatorskiej zator. Zapory umieszczone przy robotach miejskich, zostawiły w tym miejscu wązki przejazd. A w przejeździe zderzyła się niepozorna szara limuzyna

¹⁾ Formacją Armii Krajowej, która osobiście się w tej walce odznaczyła, był pułk „Broda” (Brygada Dywersyjna), której również i w Powstaniu Sierpniowym przypadła chwalebna karta.

z wózkiem ręcznym, naładowanym pustymi skrzyniami. Między szoferem a nierozgarniętym obdartusem, który pchał wózek kłótnia.

Ciężarówka z banknotami musiała przystanąć.

Obdartus nagle przyłożył do ust gwizdawkę, powietrze rozdarł ostry świst. Jak z pod ziemi, wyskoczyło kilkunastu zuchów, otoczyli ciężarówkę. Gęsta strzelanina. Szofer i żandarmi leżą na bruku. Swoich dwóch rannych napastnicy wnoszą do ciężarówki, przy kierownicy zasiadł chłopak w mundurze niemieckim. Nierozgarnięty obdartus wsiadł do niepozornej, szarej limuzyny. Znow ostry świst. Limuzyna pomknęła, ciężarówka za nią. Skręciły z Senatorskiej w Podwale, zniknęły.

Na miejscu walki został ręczny wózek z pustymi skrzyniami. Młode chwaty rozproszyli się bez śladu.

W dwa czy trzy dni później prasa podziemna ogłosiła pokwitowanie z odbioru zarekwirowanych na rzecz akcji podziemnej 106 milionów złotych.....

Władze okupacyjne rozkleiły na murach ogłoszenie: kto pomoże policji do wykrycia sprawców, otrzyma nagrodę w kwocie 5 milionów złotych.

Nazajutrz na tych samych obwieszczeniach naklejone inne, również w dwóch językach.

— Pięć milionów złotych temu, kto Polsce Walczącej w porę doniesie o przewidywanym, nowym transporcie banknotów!....

....Propaganda niemiecka rozplakatowała w całym mieście lapidarne wyjątki z demagogicznych przemówień Hitlera, — jego dumne i szumne zapowiedzi dalszych zwycięstw i przyszłego ładu świata pod jarzmem germańskim.

Minęło parę tygodni. Plakaty jeszcze sterczały na murach, gdy pojawiają się nowe, na takich samych arkuszach papieru, w takim samym układzie i druku. Nagłówek, jak na poprzednich:

— *Führer sagte!*

Były to również autentyczne wyjątki z krasomówczych popisów Hitlera, ale takie, którym bieg wydarzeń już zadał bezapelacyjnie kłam. Teraz mogły wywoływać jedynie smętny uśmiech lub szydlive uwagi....

Przechodnie polscy wnet odgadli podstęp. Nie posiadali się z uciechy, lubo strzegli się ją okazywać. Niemcy natomiast czytali je ze zwykłym szacunkiem i przejęciem, dziwiąc się jednak w duszy, że Führer mógł mylić się tak jaskrawo.....

Owe wtórne plakaty pozostały na murach przez całą dobę, gdzieś nawet dłużej. Wreszcie jakiś bystrzejszy dygnitarz zrozumiał złośliwość, narobił piekła.

Policja granatowa na gwałt zdzierała zbrodnicze afisze.....

....Polska obsługa wywiadowcza doniosła władzom podziemnym, iż w Majdanku szykuje się transport grupy „przestępców politycznych” do Oświęcimia.

Odbić więźniów!

Cicha, podmiejska stacja kolejowa w Celestynowie, chmurny i ciemny, jakby na zamówienie, wieczór majowy. Dokoła stacji planowo ukryte pikiety. Nastrój nerwowy, bo oczekiwany pociąg spóźnia się. Miał przybyć o godzinie 22-ej, nie ma go jeszcze o północy.

W małej odległości od stacji zatrzymano wskutek tego pociąg wypełniony wojskiem, a dążący z Warszawy na Wschód.

Nareszcie sygnały. Pociąg z Lublina wpada na stację, przystaje. W mroku, — niczym z pod ziemi, — wyrasta liczniejsza gromadka uzbrojonych ludzi. Otaczają wagon środkowy, t. zw. więźniarkę.

Z wagonu wychylili się żandarmi niemieccy. Strzały..... Pięciu żandarmów pada trupem. Inni kryją się pod ławami.

Granaty wywalają drzwi wagonu. Więźniowie wyskakują jeden przez drugiego.

Bezladna strzelanina w dalszym ciągu, bo w innych wagonach sporo oficerów niemieckich.

Obawa, że może nadbiec silniejsza odsiecz z pociągu, zatrzymanego pod stacją.....

Lecz, co było zamierzone, wykonano. Uwolnieni więźniowie i ich wybawcy znikają w ciemnościach. Nikt ich nie goni... Pociąg z Lublina rusza szybko w stronę Warszawy.

Teraz na peronie jawi się wystraszony zawiadowca.....

Szczególną w okupantach wściekłość budziła polska prasa podziemna. Mimo najsroższych prześladowań rozwijała się coraz bujniej i zuchwalej.

Najgorsze zarzewie buntu!

Zdarzyło się, że policja niemiecka w asyście policji granatowej, szukała w kamienicy przy ul. Długiej, należącej do p. Kazimierzowej Olszowskiej, ukrywającego się jakoby tam Żyda.

Żyda nie znaleziono, lecz przypadkowo trafiono na utajoną drukarnię, która odbijała jedno z podziemnych pisemek.¹⁾

W kamienicy wielki gwałt. I akurat nadeszła właścicielka.

Aresztowano ją.

P. Olszowska, wdowa po ambasadorze polskim w Berlinie, a później w Ankarze, mieszkała w innej zgoła dzielnicy. Lokatorów swego domu nie znała.

Wylegitymowano ją. Przybyły oficer Gestapo kazał ją zwolnić.

Nazajutrz do mieszkania p. Olszowskiej wpadają żandarmi, zabierają siedemdziesięcioletnią kobietę w Aleję Szucha. Tam długie badanie.

Gdy opuszczała pokój, z tyłu strzał. Pani Olszowska padła nieżywa.

Słynny z piękności naszyjnik pereł, który nosiła stale, przepadł bez śladu.

Każdy dzień — nowe męki i ofiary. Krwawiono Polskę do białego.

Ze strony polskiej — bezprzykładna odwaga i gotowość do poświęceń. Byłe nie zaprzestać walki!

Dwaj oficerowie Gestapo, sadystycznie pastwiący się nad uwięzionymi, otrzymali wyrok śmierci. Wykonania wyroku podjął się Jan Kryst, podoficer A. K., z zawodu ślusarz.

Późnym wieczorem w mundurze oficera niemieckiego, wchodzi do spelunki (Adria), gdzie elita okupacyjna conocne odprawiała hulanki.

Na sali było pełno, atmosfera duszna. Jazzband piszczał, skrzeczał i klekotał.

Przybyły obchodził stoły, jakgdyby umówionych kolegów szukał. Zatrzymał się. W ręku ukryte fotografie, dostarczone przez kontrwywiad.

Sprawdził. Twarze dwóch oficerów, którzy rzeźwili się koniakiem z uszminkowanymi lafiryndami, odpowiadały fotografiom.

Sięgnął niedbałym ruchem do kieszeni. Dwa celne strzały. Obaj gestapowcy leżeli na posadzce.

Muzyka ucichła, sekunda złowrogiej ciszy. I nieopisany harmider. Od wszystkich stolików biegli oficerowie i cywilni z rewolwerami w ręku.

¹⁾ Zdaje się, że to był oenerowski „Szaniec”.

Nie było ratunku!

Jeszcze jeden strzał, we własną skroń, ręką, która nie zadrżała....

W pierwszych miesiącach 1943 r. ofiarą padł prof. Jan Piekałkiewicz, Delegat Rządu Emigracyjnego.

Wywiadowcy tajnej policji niemieckiej póty deptali mu po piętach, aż pochwycili go wreszcie w dniu 19 lutego 1943 r., kiedy z posiedzenia Rządu Podziemnego, które odbyło się w jednym z prywatnych mieszkań w Alei Niepodległości, powracał tramwajem do swej skromnej siedziby na Saskiej Kępie (przy ul. Nurskiej, u p. Szymańskiej).

Śledziły go z bliska dwa nikczemne indywidua. On widocznie odczuł niebezpieczeństwo, bo chciał już za placem Unii wysiąść. Przyskoczyły do niego draby z rewolwerami w ręku, powiedli w Aleję Szucha, do gmachu Gestapo.

Trzymany był tam przez tydzień, badania musiały być straszliwe. Gdy przywieziono go w ostatnich dniach maja na Pawiak, wyglądał podobno, jak cień. Umieszczono go w t. zw. „separatce”, w dalszym ciągu głodzono. Gasł w oczach, jedno słowo tylko miał na ustach.

— Jeść!

Zmarł w czerwcu.

Prof. Piekałkiewicz urodził się w roku 1892-m, studjował ekonomję na Politechnice petersburskiej. Doktorat uzyskał w Uniwersytecie Jana Kazimierza. W Warszawie wykładał statystykę w Szkole Nauk Politycznych.

Był człowiekiem cichym i nawet niepozornym, niekiedy upierał się przy swym zdaniu. W walce na życie i śmierć z przemocą niemiecką okazywał — jak zresztą wszyscy jego towarzysze — niezachwiany hart duszy. Przekonaniami politycznymi zbliżony był do Polskiego Stronnictwa Ludowego. Pierwszym zastępcą jego w rządzie był Jan Stanisław Jankowski, b. minister Opieki Społecznej. W konspiracji tytułowany był „doktorem”, używał nazwiska „Klonowski”.

W akcji podziemnej nie było dnia przerwy. „Klonowski” bez zwłoki i wahania objął osierocony posterunek.

....W parę miesięcy później druga ciężka strata!

W sidła gestapo wpadł Komendant Krajowych Sił Zbrojnych gen. Grot-Rowecki.

W najeżonej trudnościami i niebezpieczeństwem akcji spiskowej był on siłą pierwszorzędną. Organizator wyborów, umysł lotny a zrównoważony, dusza rycerska.

Komendant Grot jednał sobie serca wszystkich, którzy się do niego zbliżali.

Gestapo długi czas szukało go daremnie. Niestety! nasz wywiad musiał posilkować się agentami „obosiecznymi”, t. j. takimi gadami — co za pieniądze świadczyli również usługi niemieckiej policji tajnej.

Zdaje się, że komendanta Grota zdradził właśnie jeden z owych judaszów.

Pochwycono go 30 czerwca 1943 r. w mieszkaniu przy ul. Spiskiej nr. 14 o dziewiątej z rana. Wywieziono do Berlina. Przed Powstaniem Sierpniowym wiadomym było, że jeszcze żył, acz ciężko chorował. Później wszelki ślad po nim zaginął.

Listę bolesnych strat uzupełniła wkrótce najdotkliwsza. Bawiłem wówczas na wsi, u p. Justyny Bersonowej, w Boglewicach pod Grójcem.

Była upalna niedziela letnia, niebo uśmiechało się soczystym błękitem. Pod kwitnącymi lipami syciłem się rozkosznym spokojem, który jest łaską wsi polskiej.

Z kościoła wracają panie, są tak wzruszone, że płaczu bliskie.

Z Londynu wieść tragiczna!

— Samolot, niosący gen. Sikorskiego do Egiptu na lustrację stacjonujących tam wojsk polskich, rozbił się na skałach Gibraltaru. Gen. Sikorski, jego córka i adjutant postradali życie.

Rządy sanacyjne wyjałowiły Polskę z talentów politycznych. Tym bezcenniejszą siłą był gen. Sikorski, ze swymi wartościami wodza armii i męża stanu. Po katastrofie wrześniowej 1939 r. stanął na czele polskiego rządu emigracyjnego w Paryżu, w mig stworzył we Francji zaczątek nowej armii polskiej. Zawczasu przejrzał, jaka rola miała przypaść Churchillowi, umiał zyskać jego przychylność i zaufanie.

Gen. Sikorski rozumiał, że polityka jest sztuką możliwości i że w pewnych okolicznościach kompromis staje się koniecznością.

.....Stanowisko premiera w rządzie emigracyjnym objął dotychczasowy wicepremier, Mikołajczyk, naczelne dowództwo Polskich Sił Zbrojnych — generał Sosnkowski.

W kraju obie nominacje przyjęto życzliwie: wierzone, że Mikołajczyk będzie się trzymał w polityce kierunku, wytkniętego

przez gen. Sikorskiego, że gen. Sosnkowski, zwycięzca spod Gródka Jagiellońskiego, znajdzie w armii należny autorytet.

W Warszawie egzekucja jednego z głównych katów Gestapo, osławionego Kutschery, który zyskał ponury rozgłos w Holandii i w Czechach, a teraz grasował w Polsce. Nasza akcja podziemna postanowiła go zgładzić. On taił się, jak kret. Nikomu nie ufał. Nawet bliscy współpracownicy nie mieli z nim bezpośredniej łączności.

....Pewnego ranka przemycił chyżo w limuzynie ulicą Szopena. W pobliżu Alei Ujazdowskiej zatarasował mu drogę wielki samochód, używany jako karawan. Opodał, przed bramą, stał inny, mniejszy, z żołnierzem w mundurze niemieckim przy kierownicy.

Z limuzyny wyskoczyli dwaj młodzi ludzie, podbiegli do pojazdu Kutschery, który musiał zwolnić biegu.

Strzały!.....

Kutschera i jego szofer zabici. Młodzi ludzie pędzili swoim samochodem w stronę Alei Trzeciego Maja.

Na moście Poniatowskiego zatrzymał ich silniejszy patrol żandarmów niemieckich.

Znów strzelanina.

Obaj bohaterscy chłopcy okupili swój wyczyn śmiercią.

Zabójstwo Kutschery stało się sensacją europejską. Podobno sam Himmler przybył do Warszawy na wywiezienie jego zwłok.

Ostateczna likwidacja Ghetta.

U pani Kazimierzy Neronowiczowej, która w posesji Kanoniczek, na placu Teatralnym, prowadziła większych rozmiarów kuchnię dla inteligencji, w poniedziałki, w godzinach popołudniowych, zbierało się grono starszych osób na taniego brydża i wymianę najświeższych wiadomości.

Dzień był szary, marcowy. Za oknami żalił się rachityczny ogródek, błotnisty i zapuszczony. Ciążył nad nim od ulicy Daniłowiczowskiej posepny, wysoki gmach więzienny.

Interesujących nowin tego dnia nie było, brydż włókł się w nudnym milczeniu.

Nagle huk i wstrząs. W oknach zabrzęczały szyby.

— Armaty?

Huk powtórzył się kilka razy. Wtórowały mu suchym, dokuczliwym klekotem karabiny maszynowe. Parę osób wstało od stolików. Ktoś zaopiniował.

— Likwidują ghetto!

Tej likwidacji spodziewano się już od dawna.

Odeszła ochota do gry, rozeszliśmy się wcześniej, niż zwykle.

....Ostatni akt tragedii żydowskiej trwał blisko miesiąc, — dniem i nocą.

Nieszczęśliwcy, których w ghetto pozostawiono, przewidywali, że prędzej czy później wybiję ich godzina. Postanowili drogo sprzedać życie.

Broń i amunicję, oraz plan obrony, otrzymali od Komendy Krajowych Sił Zbrojnych.

Akcją kierował były oficer armii polskiej, Żyd.

Kiedy nadeszła oczekiwana chwila i gestapowcy, wspomagani przez zbirów ukraińskich, ruszyli do mordy i rabunku, każda zamieszkała kamienica stała się fortecą. Prawie wszystkie zaopatrzone były w podziemną łączność z posesjami sąsiednimi.

Od owego popołudnia nad dzielnicą żydowską przez kilka tygodni snuły się bez przerwy ciężkie dymy pożarów. Nocami żarzyły się czerwone łuny. Rozlegały się grzmoty rozwalanych bombami lub dynamitem domów.

Niemiecka akcja przeciw Żydom prowadzona była z tak zwierzęcym okrucieństwem, że zrozpaczone matki ciskały drobne dzieci z wysokich pięter na bruk, a potem rzucały się same, byle tylko nie wpaść w szpony rozbestwionego żołdactwa.

Ludziom, którzy mieszkali w sąsiedztwie z dzielnicą żydowską, strzelanina i krzyki nie dawały chwili spokoju. W zgorączkowanych wyobraźniach jawiły się upiorne obrazy tragedii, jakie rozgrywały się za przeklętym murem.

....Aż przyszedł dzień, kiedy w ghetto zapanowała cmentarna cisza.

Nie było już kogo mordować!

Padł rozkaz, żeby zatrzeć ślady zbrodni. Przemysłny spekulant z Rzeszy uzyskał od władz okupacyjnych, niechybnie kosztem sutej łapówki, koncesję na zrównanie z ziemią pozostałych w dzielnicy żydowskiej domów i na wywożenie gruzu.

Hultaj najdywał jakoby w ruinach i piwnicach skarby, które były tam przez hurtowników żydowskich ukryte.

Nasza kamienica przy ul. Wołyńskiej, jedyne zabezpieczenie starości, została wraz z innymi spalona i doszczętnie zburzona.

Wieś pod terrorem.

Życie na wsi było na ogół łatwiejsze, niż w Warszawie.

Duszono wprowadzie ziemian i chłopów wygórowanymi kontyngentami i skrupulatniejsi ziemianie, do pokątnych machlojek nieśkłonni, ledwo koniec z końcem wiązali. Spryciarze nurkowali w mętnej wodzie, dorabiali się „forsy”.

Czasem usiłowali rehabilitować się znaczniejszymi darami na cele narodowe.

Biczem Bożym na dwory ziemiańskie stali się w tym okresie bandyci.

Nagminne rozbójnictwo zaczęło się w lasach Lubelszczyzny i Podlasia, w okolicach Gór Świętokrzyskich. Rozszerzyło się w całym Gubernatorstwie. Żaden dwór ziemiański nie był pewien nocy bezpiecznej. Obrony nie praktykowano, bo lękano się pomsty, — i rzadko który obywatel posiadał pozwolenie na broń palną.

Cóż znaczyła zresztą jedna fuzyjczyna przeciw gromadzie, uzbrojonej w rewolwery, rozpylacze i granaty ręczne!

Żandarmeria niemiecka i zdyskwalifikowana policja granatowa unikały spotkania z bandytami. Z odsieczą uparcie się spóźniały.

Jak kiedyś w starej operetce Offenbacha, ci rzekomi obrońcy ognisk domowych przybywali zawsze poniewczasie.

Na sukurs służby folwarcznej i gospodarzy wiejskich nie można było liczyć. Któż chciałby zdrową głowę kłaść pod Ewangelię?

Więc jedno jedyne wyjście: dobrowolny okup.

W Grójeckim bandyci nie wysuwali żądań nadmiernych. Łapczywi byli na odzież i zegarki, chętnie dobierali się do spiżarni, łagodnieli wobec wódki i kiełbasy. Napady jednak powtarzali tak często, że niejeden właściciel majątku uciekał z rodziną do miasta.

Boglewice, gdzieśmy letnie miesiące spędzali, nie uniknęły ogólnego losu.

....Była północ, dwór pogrążony w głębokim śnie.

Od strony kuchni twarde pięści biją w drzwi.

Gospodyni zbudziła się, wyjrzała z piętra przez okno.

U wejścia kilkanaście ciemnych postaci, w rękach chybocą rewolwery.

Gospodyni zeszła na dół, odemknęła. Przybysze kazali się prowadzić do dziedziczki.

- Pani dziedziczka chora.
- A kto ma klucze od kasy?
- Pani kasjerka.
- To do niej!

Zaczęły się zwykłe pertraktacje i targi, rozwarto kasę. Przygotowane na okup dwa tysiące złotych rzucały się w oczy. Herszt bandy domagał się więcej. Ostatecznie jednak ustąpił, kontentując się dodatkowo kilkoma obiektami odzieży i zegarkiem.

Druga partia napastników w tym samym czasie molestowała administrację majątku. Tam, prócz pieniędzy i zegarków, zabrano ubrania i buty.

Steroryzowana służba folwarczna musiała dodatkowo zaprzęgać konie do wozów, by odstawić nieproszonych gości do dalszych, sąsiednich lasów.

Dwór uspokoił się, zasnął ponownie. Wtedy zjawił się na swym posterunku stróż nocny, który podczas odwiedzin gdzieś się zawieruszył, a teraz skwapliwie swoją czynność manifestował.

Do band rozbójniczych garnęli się wszelkiego rodzaju wykojeńcy wojenni: ukrywający się Żydzi, Polacy, którzy coś wobec Niemców przeszkrobali i musieli się taić, bezrobotni, którzy nie mieli ochoty jechać do Rzeszy. Nie brakło, niestety! także polskiej młodzieży wiejskiej i miastowej, próżniaczej, a wódką zdemoralizowanej, — no i bandytów zawodowych.....

....Równocześnie w lesie Boglewickim, z wiedzą i aprobatą pani Justyny Bersonowej, krzątała się od świtu do nocy spora garść młodych „drwali”. Rąbali strzaskane pociskami drzewa i układali w sęgi, karczowali pnie.

Przewodził im zaimprovizowany nadleśny, Andrzej Grossman, oficer wojsk polskich, a z zawodu chemik, absolwent Politechniki w Nancy.

„Drwale” nie opuszczali lasu nawet w dni świąteczne. Z folwarku posyłano im prowianty, jadło sami sobie warzyli.

Załogę drwali stanowiła młodzież, tropiona przez policję niemiecką, jako element wrogi.

Charakterystycznym było to, że i we dworze, i we wsi, wszyscy o tej konspiracji wiedzieli i nikt słowa nie pisnął...

Widywaliśmy ich czasem z daleka, gdyśmy się bryczką włóczyli po wąskich drożynach gęstego lasu z panią Justyną. Zamienialiśmy zdaleka ukłony i życzliwe uśmiechy.

— Szczęść Boże!

Po czterech czy pięciu miesiącach, pod jesień, w ciągu kilku dni rozproszyli się wszyscy.

W gęście zalesionych okolicach kraju mnożyły się oddziały podziemnej Armii Krajowej. Młodzi drwale prawdopodobnie znaleźli w nich właściwe miejsce.

Cała Polska stanowiła jedną, samorzutną konspirację.....

Zbieg z Treblinki.

U schyłku lata wróciliśmy z Boglewic do Warszawy. W domu powitały nas twarze zafrasowane.

— Mamy gości!

— Jakiego gościa?

Poprowadzono nas do kuchni. Drzwi od pokoju służbowego szczelnie zamknięte.

Zapukałem, klucz zachrobotał w zamku. W otwartych drzwiach stał nasz rządca z ulicy Wołyńskiej, — Wiernik.

Zdumienie! Nie przypuszczaliśmy, żeby żył.

— Jakim sposobem pan się tu znalazł?

— Uciekłem z Treblinki.

Rozpoczęła się długa opowieść.

Wiernik, jako majster ciesielski, wywieziony wraz z innymi mieszkańcami naszej kamienicy, przydzielony został do robót budowlanych. W Treblince wznoszono pośpiesznie nowe baraki. Obóz rozszerzał bez przerwy swą „przestrzeń śmierci”.

Poprzez komory gazowe wyprawiano codziennie na tamten świat tysiące Żydów, nie tylko polskich, lecz także spędzonych ze wszystkich zakątków Europy. Każdej doby pociągi zwoziły świeże, niezliczone zastępy ofiar.

Tak mijały miesiące. Liczba Żydów w Treblince w końcu poczęła topnieć. Młodszych i żywotniejszych więźniów jęła nurtować myśl o ucieczce.

— Nawet, gdyby się nam nie powiodło, — argumentowali, — lepiej zginąć w walce, niż dać się wytruć, jak szczury!

Zawiązał się spisek, objął tysiąc jednostek, duchowo i fizycznie silnych.

....Nadszedł wyznaczony dzień. Że od rana dokuczał skwar, spora garść Ukraińców, stanowiących główny kontyngent dozorców, pod wieczór wybrała się do kąpieli w pobliskiej rzeczce.

Zapóźnili się, gęstniał zmierzch. Na umówiony sygnał tysiąc desperatów rzuciło się na zdekompletowanych strażników. Mordowano ich bez litości, czym kto mógł, plądrowano kieszenie, wypchane dolarami i złotem....

Nim z innych baraków przybyła pomoc, „tysiąc walecznych z Treblinki” rozbiegło się w ciemnościach wieczornych po okolicznych polach i lasach.

Pewną ich liczbę schwycono. Srogą śmiercią opłacili bunt Naszemu rządcy udało się przed świtem dopaść małej stacyjki i wkraść się do pociągu towarowego, który zdążył w stronę Warszawy.

Przed jedną z ostatnich stacji, Wiernik wyskoczył w biegu z wagonu i krętymi ścieżkami dostał się do miasta.

W Warszawie nie posiadał już nikogo z bliskich. Wylądował u nas.

Trzeba było postanowić, co czynić dalej. Nasze mieszkanie nie było odpowiednią na dłuższy termin kryjówką. Kamienica była własnością Poselstwa Szwajcarskiego, posiadała zaledwie kilku lokatorów. Każdy nowy przybysz zwracał uwagę. Czułym obserwatorem był portier poselstwa, nazwiskiem Gering, przed wojną — obywatel polski, po kapitulacji Warszawy — gorliwy Niemiec.

Że opinia ta była zgodna z prawdą, stwierdził niebawem wyrok trybunału podziemnego. Gering został skazany za szpiegostwo na śmierć, zastrzelono go pod drzwiami poselstwa. Wiadomość o wykonanym wyroku zarejestrowała „Rzeczpospolita”.

Wiernik pozostał u nas przez dziesięć dni, nie wychodząc zgoła na miasto.

I nie było sprawą łatwą znaleźć dla niego kwaterę. Temu, co Żyda ukrywał, groziła kara śmierci.

Przede wszystkim należało zbiegowi wyrobić nowy dowód osobisty.

Z tą sprawą załatwiliśmy się szybko. Mojżeszowego wyznania Wiernik przeobraził się w katolickiego Kowalczyka. Dokument posiadał cechy tak autentyczne, że jedna z przyjaciółek mojej żony, mieszkająca samotnie, odważyła się „Kowalczykowi” udzielić schronienia.

Znalazł również pokrewną duszę, która spisała jego przeżycia w Treblince. Skrypt został przesłany do Londynu, tam przełożono go na język angielski. Ogłoszony drukiem w Stanach Zjednoczonych, rozszedł się podobno w wielkiej ilości egzemplarzy.

Krwawa jesień.

Akcja konspiracyjna obejmowała coraz szersze kręgi. Nazwiska ludzi, którzy tą akcją kierowali, były na ogół powszechności polskiej nieznane.

Rząd anonimowy cieszył się w kraju autorytetem, jakiego w wolnej Rzeczypospolitej nie posiadał rząd jawny.

W Radzie Jedności Narodowej, która była ekspozyturą czterech Stronnictw Głównych, ścierały się rozbieżne programy społeczne, ale spajała je jedna myśl:

— Walka z najeźdźcą do ostatniej kropli krwi!

Młodzież garnęła się nagminnie do podziemnej Armii Krajowej. W korpusie oficerskim Armii Krajowej zachowali wpływy epigoni Ozonu. Komendant, gen. Bór-Komorowski ich natchnieniem ulegał.

Armia Krajowa nabierała takiej pewności siebie, że jej oddziały w różnych ośrodkach Gubernatorstwa ćwiczyły się całkiem swobodnie.

Młodym junakom zbyt często zbywało na ostrożności. Stąd wiele tragicznych „wsyp”.

...Niepełnoletni syn znanego pisarza, Juliusza Kaden-Bandrowskiego siedł placem Napoleona. W kieszeni miał rewolwer, niósł paczkę z nabojami.

Niósł tak nieogłędnie, że naboje posypały się na chodnik. Dostrzegł to idący za nim oficer niemiecki.

Krzyczy: — Stój!

Chłopiec ucieka. Oficer krzyczy, — strzela.

Zranił chłopca w nogę.

Mimo to chłopak próbuje biec dalej. Wpada w ulicę Świętokrzyską, traci siły. Pędzi ku niemu już kilku Niemców.

Chłopiec wyciąga rewolwer z kieszeni, kładzie się trupem.

...Własnym odrębnym szlakiem prowadziła walkę z okupantem Polska Partia Robotnicza.

P. P. R. wydawała parę tajnych pism propagandowych, utrzymywała własną bojówkę, organizowała zaczątek własnej Armii Ludowej.

Sprzymierzeńcy Zachodni życzliwym okiem spoglądali na zmagania się narodu polskiego z przemocą niemiecką, gdy inne mniejsze kraje w położeniu podobnym, — jak Czechy, Dania i Norwegia, — składały broń i godziły się ze stanem rzeczy. Nawet we Francji „kollaboracja” dość głęboko zapuszczała korzenie.

Nasza prasa podziemna skwapliwie cytowała objawy uznania, dopatrując się w owej akcji zdobyczy moralnych, które, jako nasz dalszy wkład do wojny, miały zaważyć na naszych przyszłych losach...

Z początkiem jesieni 1943 r. w Warszawie żaden dzień nie przechodził spokojnie. Raz wraz na ulicach strzelanina, przechodnie rozbiegali się w popłochu, na chodniku leżał zabity lub ranny. Na prowincji mnożyły się napady na pociągi wojskowe i urzędy gminne, wysadzano w powietrze mosty kolejowe.

Władze okupacyjne za „czyny występne” mężczyzn młodych i starszych, którzy zdołali się ukryć, pociągały do odpowiedzialności całe ich rodziny, — kobiety, dzieci, nawet — służbę.

Prof. Stanisław Kętrzyński i jego małżonka zostali uwięzieni, dlatego, że ich syna, czynnego w akcji podziemnej, nie udało się gestapowcom pochwycić.

Ten sam los spotkał żonę i matkę b. posła, Zbigniewa Stypułkowskiego.

...Tragicznych zająć było co niemiara.

Przy ulicy Mazowieckiej pod Nr. 4 istniał bar „Pod Kotarą”.

Bywało w nim stale pełno, lubo dobrej opinii nie zażywał: właściciela, podobno Żyda łódzkiego, podejrzewano, że swoją wolność i koncesję zawdzięczał wysługom, świadczonym tajnej policji niemieckiej.

Wczesny zmierzch jesienny zapadł, w niewielkiej salce było tłoczno. Weszło dwóch mężczyzn, ciemno ubranych, zbliżyli się do bufetu.

I zaraz strzały.

Gospodarz, jego żona i szwagier padli zabici na podłogę.

Od sąsiadującego z bufetem stolika odpowiedziano również strzałami. Jakoby siadywali tam stale agenci Gestapo.

Światła zgasły. Goście i obsługujący kryli się pod stołami.

Dwaj zuchwali intruzi dotarli nietknięci do drzwi, zniknęli w tłumie przechodniów.

W barze — kilkanaście trupów i rannych. Wśród innych — życie postradała artystka dramatyczna Malanowicz-Niedzielska, która pracowała w barze, jako kelnerka, oraz właściciel składu obić z ul. Mazowieckiej, Staszewski, który pierwszy raz dał się skusić jednemu z klientów do baru „Pod kotarą” na pół czarnej...

Gubernator Fischer zagroził, że w odwet za zamachy „bandytów polskich” płacić będą życiem zakładnicy polscy.

Za jednego Niemca lub niemieckiego szpiega — dziesięciu niewinnych obywateli polskich.

W kilka dni później, — w końcu października, — w Alei Niepodległości, tuż przy ul. Madalińskiego, napad na dwóch żołnierzy niemieckich. Jeden zabity, drugi ciężko ranny.

Nazajutrz o 9-ej z rana na tym samym miejscu jawią się ciężarówki z wojskiem i policją. W jednej z ciężarówek dwudziestu wymęczonych więźniów politycznych, t. zw. zakładników.

Zdawali się nie rozumieć, w jakim celu ich przywieziono.

Policja granatowa zgarnęła z pobliskich ulic przechodniów, by asystowali egzekucji. Wojsko obstawiło wyloty.

Nieszczęśliwców ustawiono pod murem.

Złowroga chwila ciszy. Chrapliwa komenda.

Salwy...

Żandarmi obchodzili powalonych. Tych, co dawali znaki życia, dobijali strzałami z rewolwerów. Komendant czekał w ponurym milczeniu.

Raport...

I znów chrapliwa komenda.

Żołnierze wrzucają zwłoki zamordowanych do ciężarówki. Komendant i towarzyszący mu oficerowie wsiedli do limuzyny, żołnierze — do swych wozów.

Odjechali. Na chodniku kałuże krwi.

Policja granatowa ściągała dozorców domowych, by miotłami zacierali ślady zbrodni.

Z okolicznych domów biegły zapłakane kobiety z kwiatami, ustawiały doniczki na miejscu kaźni. Klękały, modliły się, łkając. Mężczyźni przystawali z pochylonymi głowami.

Nazwiska dwudziestu, pierwszych z tej serii, męczenników, rozplakatowano w całym mieście.

Przed afiszami zbierały się milczące tłumy. Poblądłe oblicza były posępne, usta zaciśnięte.

...Odtąd Warszawa kilka razy na tydzień przeżywała takie zbiorowe egzekucje, zawsze w miejscach, gdzie popełniony był zamach.

W ciągu pięciu miesięcy, t. j. do 1-go kwietnia 1944 r. zamordowano w ten sposób więcej niż trzy tysiące zakładników.

By zapobiec patriotycznym śpiewom lub okrzykom, zaklemano skazańcom usta gipsem. Podobno praktykowano również obozwardniające zastrzyki.

Gdy jedna z egzekucji odbywała się na Nowym Świecie, z pobliskiego kościoła Św. Krzyża wybiegło paru księży, by umierającym nieść ostatnią posługę. Żandarmi kolbami ich odegnali, jednego, który się opierał, zagarnęli.

... Kolportaż prasy podziemnej stał się procederem bardzo ryzykownym.

Młoda żona oficera polskiego, więzionego w Oflagu, szła Nowym Światem. W ręku trzymała sporą torbę, w której pod kapustą i marchwią tkwiła plika tajnych druków.

Z bramy domu wysuwają się raptem żandarmi.

— *Was tragen Sie da?* pyta groźnie wąsaty wachmistrz.

Młoda pani niedbałym ruchem podaje torbę, uśmiecha się przekornie.

— Niech pan sprawdzi!

Żandarm zawahał się, zawstydził. Machnął ręką, mruknął gburnie.

— *Gehen Sie weiter!*

Pani podziękowała mu skinieniem głowy i, choć skrzydła czuła u ramion, odeszła niespiesznie. Obejrzała się, żandarmi już wrócili do bramy. Odetchnęła głębiej, pomknęła pędem. Wpadła do mieszkającej w pobliżu przyjaciółki, rzuciła się na krzesło.

— Szklankę wody!

I zemdląca...

... Głucha noc grudniowa, wszyscy w naszym mieszkaniu spali.

W przedpokoju gwałtowny dzwonek. W sypialni żony szczekał zajadle nasz spaniel.

Nim narzuciłem piżamę, żona, bardzo zaniepokojona, już wbiegła do przedpokoju. Walono kolbami do drzwi.

— *Polizei!*

Otworzyłem drzwi. Wtargnęło dwóch oficerów niemieckich, za nimi — czterech żandarmów w hełmach, z karabinami w ręku — i bardzo zaleknięta dozorczyńni domu.

Wprowadziliśmy w milczeniu intruzów do jadalni, która służyła nam jednocześnie jako biblioteka.

Starszy oficer mierzył mnie zimnym, nieżyczliwym spojrzeniem, jego towarzysz rozglądał się nieufnie.

— *Rechtsanwalt Krzywoszewski?*

Odpowiedziałem sucho.

— Nie ma go.

Starszy oficer zachnął się.

— *Er ist nicht da?*

Ślepie żandarmów wpiły się groźnie we mnie.

— Adwokat Stanisław Krzywoszewski, nasz syn, uwięziony w lipcu 1940 r., w dniu 5 grudnia tegoż roku zmarł w Obozie Koncentracyjnym w Oświęcimiu. Jest już poza panów zasięgiem.

Moja żona dodała.

— Mogę przedłożyć telegram urzędowy komendanta Obozu.

Starszy oficer jeszcze bardziej sposepniał, i nie zwracając na nas uwagi, rozsiadł się — zawsze w czapce na głowie, — przy stole. Wyjął z kieszeni gruby portfel, rozłożył plikę papierów, zmierzył mnie wrogim spojrzeniem.

— Ile pan ma lat?

— Siedemdziesiąt siedem.

— *Was?* ...

Oficerowie wymienili spojrzenia. Starszy wydawał się rozłoszczony. Wyrwało mu się półgłosem.

— *Was wollen sie denn!* ...

Zamyślił się tępo. Młodszy odczytywał tytuły książek w oszklonych szafach. To jego zainteresowanie sprawiło, że serce zakolało mi żywiej. W dolnych szufladach, wśród szpargałów, krył się rękopis moich „Wspomnień”, sięgający do połowy 1943 roku, spora kolekcja ulotek i wydawnictw podziemnych. Gdyby rewizja je ujawniła — uwięzienie, Oświęcim, może śmierć.

Nie drgnąłem jednak. Dlaczegoż los miał mnie oszczędzić, skoro mi zabrał syna?

W oczach żony dostrzegłem lęk. Uśmiechnąłem się do niej, ona opanowała się, odpowiedziała bladym uśmiechem.

Starszy oficer zadawał dalsze, stereotypowe pytania. W drzwiach od korytarza stanęła synowa i obie służące, bardzo przeżalone.

I nagle niespodzianka. Indagacja przerwana, oficer gwałtownym ruchem zgarnia ze stołu papiery, gruby portfel pakuje do kieszeni szynela.

W oczach żony bezmierna trwoga. Co będzie teraz? Słyszeliśmy własne oddechy.

Oficer powstał, dał znak towarzyszowi, i nie kiwnąwszy głową, ruszyli ku drzwiom. Za nimi żandarmi. Dozorczyńni uśmiechnęła się radośnie, przypadła do ręki żony, chciała całować i moją...

Na podwórzu stróżowało, przy wejściu na schody frontowe i przy wejściu na schody kuchenne, dwóch żandarmów. Na ulicy przy samochodach jeszcze dwóch.

Samochody zawarczały, odjechały. Nie dowiedzieliśmy się, czego od nas chciano.

.....

W drugiej połowie grudnia 1943 r. trzy wyrocznie świata. Roosevelt, Churchill i Stalin spotkali się w Teheranie. Oczekiwano historycznych rozstrzygnięć i postanowień.

Komunikaty, streszczające wyniki obrad, były beztreściwe.

Warszawa w transach.

Noworoczne przemówienia Roosevelt'a i Churchilla zapowiadały, że w miesiącach wiosennych nastąpią piorunujące uderzenia Armii Sprzymierzonych na Rzeszę.

Włochy kapitulowały. Ale trzeba je było w krwawych bojach z rąk niemieckich wydzierać.

Wojska sowieckie docierały do granic Polski.

Na całej przestrzeni Rzeczypospolitej, gdzie tylko większe obszary leśne, szerzyła się coraz zuchwalsza partyzantka. W Warszawie nikt wychodząc na miasto, nie był pewien, czy go nie położy zabłąkana kula.

Codziennie obławy, aresztowań bez liku. W dalszym ciągu egzekucje publiczne.

Gorączka podnosiła się gwałtownie.

...Drugiego lutego w godzinach rannych przybiegła pasierbica Franciszka Głowińskiego, wicedyrektora Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism, a mego serdecznego przyjaciela, z wiadomością, że Gestapo uprowadziło go po szczegółowej rewizji w mieszkaniu.

Żegnając się z żoną, szepnął, aby mnie natychmiast przestrzegła.

Związek Wydawców podejrzewany był o bliższe stosunki ze Związkiem Obrony Ziem Zachodnich...

Pojawił się i Kauzik, bardzo przejęty aresztowaniem Głowińskiego. Namawiał gorąco, aby na wszelki wypadek zejść Niemcom choćby na krótki czas z oczu.

Żona moja dała się łatwo przekonać. Porozumiałem się telefonicznie z Boglewicami.

...Tegoż samego ranka został zastrzelony w swym biurze przy placu Napoleona wzięty adwokat niemiecki, dr. Eitner.

Nie bacząc na protesty woźnych i sekretarki, do jego gabinetu wtargnęło dwóch mężczyzn, przyzwoicie ubranych. Wnet strzały. Napastnicy wybiegli szybko na plac, wskoczyli do oczekującej limuzyny, — pomknęli.

Eitner leżał na posadzce bez życia.

Powszechnie mniemano, że został zgładzony z wyroku niemieckiego sądu kapturowego. Nie było bowiem tajemnicą, że Eitner zakochał się w pięknej Polce, która pracowała w jego biurze. Rozszedł się polubownie z żoną, uzyskał rozwód i zamierzał wstąpić w nowe związki małżeńskie.

Z Polką!

Ta postawiła warunek, że jej mąż musi być katolikiem. Eitner godził się na wszystko. Ślub z panną S. miał odbyć się wkrótce w kościele Św. Krzyża.

Eitnera znałem osobiście. Cieszył się opinią człowieka uczciwego. Pochodził z Wrocławia, przed wojną pełnił funkcję radcy prawnego konsulatu polskiego w tym mieście. Mówił nieźle po polsku.

Będąc członkiem partii narodowo-socjalistycznej, Eitner zdawał sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwa narażały go zamiary matrymonialne. Dowodem tego były dwa pozostawione testamenty: jeden, w którym legował cały swój majątek, posiadany w Niemczech, — byłej żonie i dzieciom, oraz drugi, w którym wszystko, co miał w Polsce, przekazywał pannie S.

Księża z parafii Św. Krzyża, gdzie Eitner dostąpił chrztu, doznali z powodu tej sprawy wiele przykrości, lubo spełnili tylko swój duchowny obowiązek. Zwłoki Eitnera nie spoczęły na cmentarzu Powązkowskim. Zabrała je policja niemiecka.

...Po paru tygodniach wróciliśmy z Boglewic do Warszawy.

W marcowym słońcu topniały resztki śniegu. Szedłem w południe Nowym Światem ku pałacowi Staszica.

W pobliżu ulicy Pierackiego natknąłem się na wzmocniony patrol: ośmiu żandarmów i dwóch oficerów Gestapo. Legitymowali i rewidowali przechodniów.

Oficerowie zmierzili mię złymi oczyma, ale nie turbowali. Poszedłem dalej, zatrzymałem się przy kramie z gazetami, obok hotelu Savoy.

W tem tuż — tuż strzały karabinowe i z rewolwerów. Przechodnie uciekali, kryli się po bramach. Chodnikiem pędził, jak wi-

cher w zawiei, chłopak słusznego wzrostu, lat mniej więcej dwudziestu. Kapelusz spadł mu z głowy. Za nim gonili jezdnią dwaj niedawno spotkani oficerowie Gestapo i, nie zważając na przechodniów, prażyli za uciekającym z rewolwerów.

Nieco dalej biegł żandarm i repetował z karabinka.

Chłopiec przemknął, niemal ocierając się o moje ramię. Kula gwizdnęła blisko, stuknęła o mur. Sprzedawczyni gazet, bardzo przełęczniona, osunęła się w swej budce na kolana, ja przywarłem do muru.

Chłopiec już sięgał ul. Ordynackiej.

Z przeciwnej strony, tym samym chodnikiem kroczyło dwóch żołnierzy niemieckich, całkiem obcych tej obławie. Chłopiec raptem ich dostrzegł i stracił głowę.

Miał uskoczyć w ulicę Ordynacką, bezradnie przystanął. Zdyszani gestapowcy nadbiegali.

Chłopiec wodził nieprzytomnym wzrokiem, nasze spojrzenia skrzyżowały się. W jego oczach tkwiła taka rozpacz, że mnie serce w piersiach zamarło.

Młodszy gestapowiec już był o kilka kroków. Celował dłużej, bo ręka mu drżała.

Wypalił.

Chłopak krzyknął okropnie, wznosił ramiona ku niebu, jak gdyby miał rzucić się w nieznana toń. I runął na brudną, tającą kupę śniegu.

Daremnie usiłował podnieść się.

Starszy gestapowiec znów mierzył, z odległości paru kroków. Nie zdążył strzelić. Chłopiec zwinął się w sobie i legł martwy.

Gadzinowy wzrok gestapowców teraz ślizgał się po mnie. Moje oczy patrzyły przez czerwoną mgłę, szumiało w skroniach.

Przemogłem się, skręciłem w Ordynacką...

Prześladowania i okrucieństwa potęgowały wolę polską do obrony, jednały dla konspiracji nawet ludzi spokojnych i zrównoważonych. Ci, co od niej stronili, przeważnie nie byli jej godni.

Terror, w tym trybie przez Niemców prowadzony, przestawał być środkiem odstraszająco-zapobiegawczym. Stawał się sam w sobie celem. Zbrodnie terrorystyczne Niemców nie przyczyniały im żadnego pożytku. Zasycaly jedynie ich krwiożercze instynkty.

Do polskiej akcji spiskowej przyłączali się mężowie nauki, profesorowie zamkniętych wyższych zakładów naukowych. Tajne

wykłady humanistyczne prowadzili Stan. Kętrzyński, Wład. Tarkiewicz, Wacław Borowy, St. Poniatowski, Julian Krzyżanowski. Na zakonspirowanym wydziale Prawnym studiowało wiosną 1944 r. około 500 młodych prawników. Podziemna medycyna ściągała rzesze jeszcze liczniejsze. Tak samo przyroda. Organizowano tajne wykłady polityczne, kursy dziennikarskie. Szkolnictwo Wyższe Warszawy Podziemnej w r. 1944 obejmowało około 4.500 słuchaczy.

Spiskowało nauczycielstwo szkół średnich, ucząc młodzież nie według narzuconych przez władze okupacyjne wskazań, lecz w zgodzie z patriotycznym sumieniem polskim. Do tego spisku wciągało organicznie i nawet zaprzysięgało nieletnią młodzież szkolną. Konspirowały wszystkie zawody wolne, bo mało który z ich wybitniejszych przedstawicieli nie uczestniczył w komisjach, wyłonionych przez Rząd Podziemny. Obradowały one nad przyszłą nową organizacją życia państwowego i gospodarczego.

Czyż nie konspirował poniekąd każdy, kto czytał tajne komunikaty i pisemka, puszczał je dalej w obieg?

Cóż dopiero ten, co odważał się słuchać ukrytego radia!...

Władze niemieckie, wobec tej elementarnej żywotności polskiej były bezsilne.

Odważny nigdy nie bywa okrutnym. Tchórzostwo siepaczków okupacyjnych uwidoczniło się w ich haniebnym okrucieństwie.

Nie odstraszało nikogo, — prawie nikogo. Oddziały tajnej Armii Krajowej jawnie kwaterowały po wsiach, wystawiając na drogach pikiety. Rekwirowały w okolicy dla żołnierzy żywność, dla koni paszę. Lokalne władze niemieckie udawały, że o niczym nie wiedzą. Nie było tygodnia, żeby na głównych szlakach komunikacyjnych nie wysadzono gdzieś w powietrze mostu kolejowego, nie rozbito pociągu z wojskiem lub amunicją...

Obóz oficerski A. K. tym bardziej się niecierpliwił, że w miastach zdarzały się wsypy, represje bywały krwawe.

Sowiety stały się najważniejszym partnerem Sprzymierzonych, wiązały lwią część wojennego potencjału Osi. Teraz odnosiły coraz świetniejsze zwycięstwa.

Polityka była i pozostanie inną formą wojny. Wojna jest polityką, realizowaną orężem.

O losach wojny i o obrotach polityki rozstrzygają nie sprawiedliwość i bohaterstwo, lecz siła. Narodom, które tę smutną prawdę lekceważą, grozi upadek, niekiedy zguba.

W Moskwie tamtejsza emigracja polska utworzyła „Związek Patriotów Polskich”, który jako zasadniczy punkt programu wysuwał trwały sojusz, zbliżenie i przyjaźń między Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich a Rzeczpospolitą.

Dla Polski utrata odwiecznych ognisk jej kultury, jak Wilno, Krzemieniec i Lwów, wydawała się stratą nie do zniesienia.

Ale Polska, wtłoczona między obszary dwóch wielkich potencji rozbiorowych, t. j. Rosji i Niemiec, musiała szukać z jednym z nich porozumienia, choćby kosztem ofiar.

Inaczej, przy zmianie okoliczności, mogło grozić Polsce ich wzajemne zbliżenie: tak pojmował politykę pruską Bismarck.

Pradawne ziemie Piastowskie — jako odszkodowanie — wzbogacały Polskę pod względem gospodarczym i kulturalnym, czyniły ją państwem *par excellence* zachodnim.

Sojusz niepodległej, suwerennej Polski z Rosją był aktem wielkiego znaczenia dla całej Słowiańszczyzny i nawet dla całego kontynentu europejskiego.

W połowie maja wyjechaliśmy z żoną na dwa miesiące do Boglewic. Tam w pierwszej dekadzie czerwca poruszyła nas do głębi wiadomość o wylądowaniu wojsk brytyjskich, amerykańskich i polskich w Normandii, pod Caen, i o sforsowaniu Wału Atlantyckiego, uważanego przez Niemców za niezdobyty.

Odwiedził nas w Boglewicach Kauzik. Był zachwycony spokojem i kulturą dostatniego dworu wiejskiego. Na odjeździe wziął mnie na ubocze.

— Wie pan, rzekł, dla kogo pobyt tutaj, choćby krótki, byłby idealnym wypoczynkiem? Dla naszego Delegata Rządu, wicepremiera. Jest nieludzko zmęczony! Tutaj nikt go nie zna, byłby bezpieczny.

I dodał.

— Nadchodzi czas wielkich rozgrywek. Nabrałby sił!

Rada w radę poszedłem do pani Justyny Bersonowej i zapytałem, czy nie udzieliłaby gościny zasłużonemu działaczowi narodowemu, który zmuszony jest ukrywać się, a bardzo potrzebuje wywczasu.

Pani Justyna, gdy szło o przysługę, łączną z pożytkiem ogólnym, nie znała rekuzy.

— Będę gościowi bardzo rada, — odpowiedziała, — nie chcę wiedzieć jego nazwiska, ani stanowiska. Rekomendacja panów całkowicie mi wystarczy.

Ponieważ w ostatnich dniach czerwca miałem parę osobistych interesów do załatwienia w Warszawie, umówiłem się z Kauzikiem, że wtenczas i ową sprawę załatwimy.

....Przybyłem do Warszawy 29 czerwca. Wieczorem zszedłem na drugie piętro do zacnych państwa Jeanneret. Słuchaliśmy radia.

Podawano przemówienie mera Cherbourg'a z powodu całkowitego wyzwolenia tego miasta i portu spod jarzma niemieckiego.

Trudno było oprzeć się wzruszeniu, jednocześnie kasała zawiść. Kiedyż podobnego szczęścia dostąpi Warszawa?....

Kauzik dał mi znać, że nazajutrz, o 6-ej po południu, zjawi się u mnie z „Doktorem”.

I tak się stało.

W toku rozmowy Delegat nie taił, że był do ostatecznych granic wyczerpany, że od trzech lat nie zaznał wytchnienia. A tryb życia i pracy ludzi, którzy brali na swe barki brzemień władzy podziemnej, był potworny. Tropieni w dzień i w nocy przez tysiące szpiegów.... Upiorna odpowiedzialność! Nieustające swary i tarcia wewnętrzne! Zaiste, nie wytrzymywały nawet żelazne nerwy!

Kauzik gorąco namawiał Delegata choćby na kilkunastodniowy urlop. Delegat nie przeczył, że taki wyjazd bardzo go kusił, na razie jednak zatrzymywały go w Warszawie sprawy niezmiernie ważne i niecierpiące odwłoki! Krótki urlop wydawał mu się możliwym dopiero w drugiej połowie lipca.

Oświadczyłem, że jeśli to nastąpi, ja mój pobyt w Boglewicach odpowiednio przedłużę.

Wywiązała się ożywiona rozmowa na temat stosunków polsko-rosyjskich. Przemawiałem gorąco za koniecznością porozumienia, Delegat tłumaczył, że niemniej go pragnie, — wyłuszczał trudności, z jakimi rząd podziemny się borykał.

Nazajutrz wróciłem do Boglewic. W tydzień potem Kauzik doniósł mi, że projekt urlopu nie może być zrealizowany. Delegat zmuszony był odrzec się najkrótszego nawet wypoczynku.

Dwudziestego lipca wróciliśmy z żoną do Warszawy.

Wlokąc się dorożką z dworca kolejki Grójeckiej do mieszkania, byliśmy świadkami ohydneho widowiska.

Ława żandarmów niemieckich szła szerokim półkolem od ulicy Puławskiej pustymi polami i badylarskimi ogrodami w stronę Okęcia. W oddali także sama ława posuwała się od Okęcia w stronę Puławskiej. W środku zwięzającego się kotła kręciło się bezradnie kilku mężczyzn, usiłujących wymknąć się z matni.

Biegli w jedną stronę, to znów w drugą. Żandarmi zatrzymywali ich strzałami, wrzeszcząc:

— *Hände hoch!* Ręce do góry!

Nie doczekaliśmy się wyniku obławy. Gdym zatrzymał jednokonkę, z za drzew wypełzł żandarm z karabinem w ręku i zaczął nam się podejrzliwie przyglądać. Trzeba było jechać dalej.

Powitanie Warszawy nie rokowało nic dobrego. Miasto wydawało się smutne i zaleknięte, ruch uliczny gasł. Wychodził na ulicę tylko ten, co musiał.

Synowa z wnuczką ściągnęły z Podkowy Leśnej o dzień wcześniej.

Ptactwo przed burzą instynktownie chroni się do gniazd.... Nad Warszawą zbierała się burza.

....Olbrzymia większość narodu polskiego od początku wojny wszystkie swe nadzieje pokładała w Sprzymierzeńcach Zachodnich.

WBrytania, Stany Zjednoczone A. P., Francja miały Polskę spod jarzma niemieckiego wyzwolić.

Tymczasem obrót wojny sprawił, że zbawcze armie zbliżały się nie od Zachodu, lecz od Wschodu.

Nie było wyjścia. Należało politykę polską przestawić na tory rzeczywistości, bo polityki nie można prowadzić na przekór działającym się faktom.

Wojska radzieckie i armia polska posuwały się ku linii Wisły. Słychać było już huk armat. Nocami wyły syreny alarmowe. Nie-samowite, trupio-białe smugi reflektorów macały uporczywie ciemny szafir nieba. Aleją Trzeciego Maja, od strony mostu Poniatowskiego, wlokły się furmanki chłopskie, zaprzężone w wychudłe szkapiny. Ludność wiejska z prawego brzegu Wisły uchodziła ze swych siedzib przed pożogą wojenną.

Mężczyźni chmurni i milczący, kobiety i dzieci zapłakane....

Bocznymi ulicami Powiśla, jakby ukradkiem, ciągnęły w stronę mostu czołgi i zmotoryzowane armaty.

Przybywały posiłki, zawezwane przez niemiecką obronę Warszawy z innych frontów.

Oddziały piechoty niemieckiej utraciły dawny, prężny ordynek. Szły spieszenie i dość bezładnie. Nie było już słychać butnych pieśni.

Front niemiecki umacniał się na linii Zegrze—Rembertów—Ot-wock.

Prawie na skraju zagrożonej Pragi!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (P. K. W. N.), wyłoniony przez Krajową Radę Narodową, osiadł w wolnym już Lublinie, tworzył rady powiatowe i gminne. Rozpoczął Reformę Rolną. Wanda Wasilewska wygłaszała przez radio przemówienia propagandowe.

W Warszawie spodziewano się lada dzień decydującego uderzenia wojsk. marsz. Rokossowskiego.

Władze okupacyjne traciły dawną pewność swej przemocy. Wraz nabierała śmiałości Polska Podziemna. W niedzielę 30 lipca, na ulicach śródmieścia zuchwałe chłopaki sprzedawały świeży numer „Rzeczypospolitej Polskiej”. Rozklejano na murach odezwę Rady Jedności Narodowej i Pełnomocnika na Kraj: „Do Obywateli”. Żandarmi niemieccy kryli się po bramach, policja granatowa bez pośpiechu zdzierała buntownicze afisze.

W naszym mieszkaniu od wczesnego ranka do zmierzchu, jak w ulu. Bliżsi i dalsi znajomi zbiegali się po nowiny, czytali tajne pisemka. Jednych żałł lęk, innych rozpierała nadzieja.

W poniedziałek, 31-go lipca przed południem zjawił się Kauzik. Pytał, czy Pełnomocnik Rządu mógłby następnego dnia, t. j. we wtorek 1-go sierpnia, o godzinie 6-ej po południu odbyć u nas konferencję z kilku osobami.

— Oczywiście, odpowiedziałem. Urządzą tak, żeby w mieszkaniu nie było nikogo obcego.

Tramwaje tego dnia chodziły już dość nieregularnie, Warszawę trawiło oczekiwanie.

Po obiedzie pojechałem z żoną odwiedzić dawno nie widzianą panią Neronowiczową. W jej saloniku, u Kanoniczek, wiało pustką. Nikt nie miał ochoty do brydża, rozmowa nie kleiła się. Wszystkich nurtował niepokój.

Już więcej p. Neronowiczowej nie miałem widzieć.....

....Wracaliśmy do domu piechotą. Mimo wczesnej przedwieczornej pory, na ulicach przechodniów było zadziwiająco mało. Tramwaje całkiem puste.

W powietrzu czaiła się nieuchwytna trwoga przed Nieznanym...

Z za Wisły dochodził coraz głośniejszy huk dział. W Alei Trzeciego Maja dudniały i zgrzytały „Tygrysy”, „Pantery” i małe złośliwe „Goliaty”, to znów armaty, ciężarówki z amunicją. Pod naszymi oknami, na umocnionym skwerze między Muzeum Narodo-

wym a Bankiem Gospodarstwa Krajowego, obozował oddział piechoty.

Synowa i piętnastoletnia wnuczka, oddawna zaprzysiężone w organizacji wojennej kobiet, otrzymały tajny rozkaz, aby naza jutrz o 10-ej z rana stawily się na punkcie zaopatrzeniowym przy ul. Szpitalnej.

Wnuczce oczy skrzyły się z radości. Synowa szepnęła.

— Mówią, że powstanie.....

Nie odrzekłem nic. Wydawało mi się nieprawdopodobnym, aby szef Rządu Podziemnego wyznaczał konferencję w prywatnym lokalu na dzień wybuchu powstania.

Noc była burzliwa. W Alei Trzeciego Maja nieustanny, piekielny hałas. Czołgi, armaty, ciężarówki, przemarsz wojsk. Częste pojedyncze strzały. Artyleria za Wisłą grzmiała.... Niebo wciąż dręczone reflektorami i rakietami.

Sen odbiegał, co chwila zrywałem się z łoża. Parła ciekawość. Do okien trzeba było podkraść się ostrożnie, bo raz wraz w ściany kamienicy trzaskały kule karabinowe.

Wczesnym rankiem zbiegłem na drugie piętro do pp. Jeanneret, by słuchać komunikatów radiowych. Londyn podawał wiadomości z Moskwy, że wojska marsz. Rokossowskiego zajęły Mińsk Mazowiecki, Radzymin, Wołomin i Otwock.

Przedpoła Warszawy!....

Synowa i wnuczka poszły, na obiad nie wróciły. Zjawiło się kilku sąsiadów z ul. Smolnej. Wszyscy zaleknęci.

Miałem w ważnej, nie swojej sprawie do pomówienia z b. wyższym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który, — potrzebą przynaglony, — pracował w aptece na placu Trzech Krzyży. Mieszkał we własnej willi na Mokotowie.

Wypadłem do niego zaraz po obiedzie, koło trzeciej. Na Nowym Świecie wszelki ruch zamierał. Większość sklepów zamknięta, przechodnie rzadcy. Jeszcze rzadsze wozy tramwajowe...

Rozmówiłem się w aptecę, a odchodząc, radziłem memu dobremu znajomemu, by pośpieszył do oddalonego domu.

— Coś się kluje.....

Usłuchał mej rady, dostał się do tramwaju, który go dowiózł do Puławskiej. Tam dopadł do domu już pod obstrzałem.

Gdym wracał na Smolną, z różnych stron odzywały się strzały karabinowe, gdzieś dalej terkotała maszynka.....

Ulice opustoszały doszczętnie.

O szóstej oczywiście nikt do naszego mieszkania nie zadzwonił. Na skwerze, obok Muzeum silniejszy oddział żołnierzy niemieckich chyłkiem zajmował głęboko wryte w ziemi korytarze.

Nadchodził zmierzch. Zeszliśmy z żoną na drugie piętro, by słuchać radia. Tym razem nie było żadnych interesujących nowin.

Od ulicy Smolnej nagle zgiełk i wrzawa. Zbiegliśmy na podwórze, wyjrzelśmy za bramę.

Spora garść podrostków i młodych kobiet, pod kierunkiem dojrzałego chwata, wznosiła z wielkim zapalem barykadę u zwężonego wylotu ul. Smolnej na Nowy Świat. Wyciągano z pobliskich kamienic co się dało: stare skrzynie, deski, ławy, żelazne kosze od śmieci. Rozwalono budkę do sprzedaży gazet i tytoniu, pchano z triumfem jakiś ręczny wózek, rąbano siekierami i okutymi drągami asfalt z chodników.....

Młodociane sztubaki taszczyły brukowce, wydobyte z jezdni przed szpitalem Czerwonego Krzyża.

Z framugi okna sąsiedniego domu nr. 21, w którym jeszcze poprzedniego dnia kwaterowali Niemcy, powiewała wielka chorągiew biało-czerwona.

Ze wszystkich okolicznych bram, okien, balkonów okrzyki.

— Niech żyje Polska!

Zapomniałem o wszelkiej rozwadze. Serce czułem w gardle, w uszach szumiało.

Z oczu sypały się gorące łzy. Wzruszenie, jakiego doznaje człowiek, który niespodzianie wyjrzał z mrocznego lochu na świat Boży — wolny!

Wołałem wraz z innymi.

— Niech żyje Polska!

Jeanneret powtórzył okrzyk z zapalem. Mocowaliśmy się na podwórzu z ciężkim, żelaznym koszem, pełnym śmieci.....

Zjawiły się pani Jeanneret i moja żona. Śmiały się i naprzemian szlochały.....

Jakież to byłoby szczęście umrzeć w takim porywie uniesienia!

....Synowa i wnuczka nie wróciły na noc do domu.

Nie zmrużyliśmy oka. W Alei Trzeciego Maja albo złowroga cisza, albo piekielny chrzest, zgrzyty i dudnienie czołgów. Niedaleko ujadały maszynki. To znów pojedyncze, całkiem bliskie strzały karabinowe. Na ciemnym niebie blade smugi reflektorów.

Groza!

Kanonada za Wisłą milkła.....

Powstanie sierpniowe. Zwodna swobody jutrzienka...

Kamienica nasza znalazła się na rubieży dwóch walczących stron: w pokojach od ulicy Smolnej byliśmy w dzielnicy polskiej, w pokojach od Alei Trzeciego Maja — w dzielnicy niemieckiej.

Muzeum Narodowe, sąsiadujący z nim ufortyfikowany skwer narożny i olbrzymi gmach Banku Gospodarstwa Krajowego stały się jedną z głównych pozycji okupanta.

W dniu 2 sierpnia, na prost naszych okien, od świtu działania wojenne.

Z ogrodów św. Łazarza, na tyłach Muzeum, wysuwały się wciąż nowe grupy żołnierzy niemieckich, znikwały w rowach i schronach skweru.

Inne przemykały biegiem przez jezdnię Nowego Świata, wpadały głównym wejściem do Banku Gospodarstwa Krajowego. Skupiały się czołgi, większe i mniejsze. Jedne, w krótkich odstępach czasu, toczyły się Nowym Światem w kierunku placu Trzech Krzyży lub Krakowskiego Przedmieścia, inne — Aleją w stronę dworca Głównego lub Mostu Poniatowskiego. Kilka potworów czuwało w rezerwie za zasiekami z drutu kolczastego przy Muzeum.

Z bliska i z daleka słyszać było ciągle strzały karabinowe, klekot maszynek. Od czasu do czasu odzywały się działa mniejszego kalibru — czołgowe.

Potężny „Tygrys”, — raczej przedpotopowa gadzina z długim dziobem, — umieścił się naprost naszej kamienicy.

W mieście wszelki ruch uliczny zamarł. Wszystkie bramy domów zaryglowane.

Kanonada za Wisłą całkiem ucichła.

....Z okien i z dachu Banku Gospodarstwa bezustannie prażono nasz dom pociskami. Śniadanie spożyliśmy w jadalni, której olbrzymie, potrójne okno wychodziło na Smolną.

Wtem wstrząsający huk. Kamienica zachwiała się, rozbite szyby spadały z brzękiem na bruk.

„Tygrys” plunął ze swego dziobu w opancerzone drzwi frontowe Poselstwa Szwajcarskiego. Wywalił je, drażąc w murze wyłom.

Od strony podwórza krzyki, bieganina. Na schodach rumor. Kolby tłuką w drzwi.

Wpadło trzech zdyszanych żołdaków. Wrzeszczeli, żeby im doręczyć wszystkie klucze i natychmiast schodzić do schronu.

Zastaliśmy tam już większość strwożonych lokatorów.

Z apartamentów poselstwa wewnętrznymi schodami prowadził chorą żonę adwokat Szymański, pełnomocnik rządu szwajcarskiego. Nagle przypomniał sobie, że w pośpiechu nie wziął lekarstwa, zawrócił.

Żołdak, który wartował na dole, strzelił. Szymański padł trupem.

Pani Szymańska krzyknęła. Zresztą nikt nie rzekł słowa. W ślepiach żołdaków migotały złe błyski. Gotowi byli wszystkich mordować.

Zamknięto nas pod strażą w schronie. Tkwiłiśmy w posępnym milczeniu.

Dopiero o godzinie drugiej po południu nadszedł oficer w asyście paru podoficerów i żołnierzy. Twardym tonem obwieścił, że dla naszego bezpieczeństwa przeprowadzeni będziemy do podziemi Muzeum Narodowego.

Zapewniał, że o całość naszego dobytku nie powinniśmy się trwożyć, że będą go strzec żołnierze.

— Przed wieczorem wszyscy wrócą do swych siedzib!

Zostawiono nam pięć minut czasu.

— Ani minuty dłużej!

Spytałem pana Jeanneret.

— Pan pójdzie z nami?

Zachnął się.

— Ani myślę. Jestem wolnym obywatelem szwajcarskim, nikt nie ma prawa mi rozkazywać. Moje mieszkanie jest eksterytorialne. Nie ruszę się.

Prosiłem, by przyjął do przechowania depozyt, pozostawiony mi przez synową. Zgodził się chętnie.

Wydawało mi się, że u niego będzie bezpieczniejszy.

Wpadliśmy z żoną do mieszkania, żołdak za nami. Nie pozwolił dokończyć śniadania. Zabraliśmy torebki z pieniędzmi i — na wszelki przypadek — letnie płaszcze. Już trzeba było schodzić.

W Aleję Trzeciego Maja przedostaliśmy się przez świeżo pociskiem wyrąbany otwór w murze. Przez jezdnię kazano nam biec, bo kule gwizdały.

W mrocznych i stęchłych podziemiach Muzeum tumult nieopisany. Ściągnięto z ulic Książęcej, z części Nowego Świata, z nieparzystych numerów Smolnej, może jeszcze skąd, — kilka tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Wszystkie stany i profesje! I wszyscy w jednakim niepokoju o dalszy los i dobytek. Z ust do ust biegła pogłoska, że mają nas wywieźć do Niemiec, że pociągi czekają pod parą.

Niebawem pojawili się i państwo Jeanneret. Zagrożono im użyciem siły. Depozyt synowej został w ich mieszkaniu na Smolnej.....

Rozmawiano szeptem i mało. Każdy pogrążony był w swych troskach. Znajomych mnóstwo.

Wreszcie zapadł wieczór. Światła zgasły o 9-tej wieczorem. Tu i owdzie migotała lampka nocna. Nic do jedzenia. Ale gorzej doskwierał głód wiadomości. O paręset kroków szalał bój na życie i śmierć, my nie wiedzieliśmy nic.

W ciągu tego dnia powstańcom dopisywało powodzenie. Objęli Powiśle, Czerniaków, Stare Miasto, znaczną część Śródmieścia, Żoliborza, Mokotowa.

Krótką noc letnia wlokła się bez końca. Ranek nie przyniósł ulgi.

Krażyła ulotka, zrzucana obficie przez samoloty niemieckie. Wzywała mieszkańców stolicy do zaniechania bezcelowej walki. Zredagowana niezdarnie i głupio, wywoływała tylko wzruszenie ramion.

Przez maleńkie, wysoko osadzone okienka widać było, jak płonęły domy po drugiej stronie Alei. Nasza kamienica była pierwsza, którą podpalono.

Na każdym kroku pytania.

— Sądzi pan, że nas wywiozą? Do Niemiec?

Pod wieczór obchodził podziemia oficer w towarzystwie podejrzanego cywila. Oficer wzywał po niemiecku do wyłonienia delegacji, która uda się do Komendy Polskiej z żądaniem przerwania beznadziejnej walki. Cywil powtarzał orację po polsku.

W odpowiedzi głuche milczenie. Oficera ogarniała wściekłość.

Tak minęły trzy długie dni i jeszcze nieznośniej ciągnące się noce. Głód, pragnienie. By uzyskać kubek wody z kranu, trzeba było godzinami stać w ogonku. Obolałe członki drętwiały, mózg czynił się mętny.

Dopiero trzeciego dnia, w piątek wieczorem wynieśli i wzgardliwi funkcjonariusze Niemieckiego Czerwonego Krzyża rozdzielali mikroskopijne dawki drobnych sucharków.

Przed północą obwieszczono:

— Kobiety i dzieci oraz mężczyźni od 70 lat będą mogli w godzinach rannych opuścić podziemia.

Już przed wschodem słońca tłoczyła się do wyjścia niecierpliwa ciżba.

Wydostaliśmy się dopiero koło godziny 8-ej. Dokoła nieustająca strzelanina.

Nie było czasu na rozmysły i wahania. Ruszyliśmy co tchu w stronę wylotu Smolnej przy wiadukcie. Strzały. Przyśpieszamy biegu. Nagle postrzegam tuż przedemną, na chodniku, zwłoki młodej kobiety w kałuży niezakrzepłej krwi.

Już nie mogłem się zatrzymać. Przeskoczyłem. Ulica Smolna puściuteńka. Domy o murach parzystych stały nietknięte. Wszystkie bramy zabarykadowane.

Moja żona ledwo trzymała się na nogach. Zaproponowałem odpoczynek w mieszkaniu redaktora Winc. Trzebińskiego, dyrektora Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, który mieszkał pod nr. 22-m.

Wystraszona służąca objaśniała, że państwo Trzebińscy wyprowadzili się do rodziny na Tamkę, gdzie jakoby miało być bezpiecznie.

Żona położyła się na kanapie i w mgnieniu oku zasnęła. Ja wymknąłem się, żeby sprawdzić z bliska, co się stało z naszą kamienicą.

Nie było na co patrzeć!

Jedno zwalisko gruzów!

Wszystko, co odziedziczyła moja żona, co ja w spadku otrzymałem i co zgromadziliśmy własnym, wieloletnim wysiłkiem, było już to rozkradzione przez żołdaków niemieckich, już — zniszczone przez ogień.

Dokumenty i papiery rodzinne, obrazy i portrety, srebra, brązy, kryształ, stara porcelana, meble stylowe, — i biblioteka, przez kilkadziesiąt lat przesiewana i uzupełniana, rękopisy sztuk, jeszcze w druku nie wydanych, stopy notatek, zbiory rysunków, karykatur i pamiątkowych fotografii, teki artystyczne....

W tych gratach, kolekcjach i książkach tkwiło życie kilku pokoleń!

....W trzy godziny później przez wydrążone w murach otwory przedostaliśmy się chyłkiem na ulicę Szczygłą, gdzie pod nr. 3/5 znaleźliśmy gościnę u przyjaciółki mojej żony, pułkownikowej Sikorskiej.

Że powstanie wybuchło raptownie, można było poniekąd wnioskować z faktu, iż na dobę przed tym Delegat Rządu ustalał na dzień następny konferencję polityczną.

Ostateczna decyzja zapadła prawdopodobnie pod naciskiem kół wojskowych w dniu 31-go lipca.

Jak tłumaczono nagłość tego postanowienia?

1. Armii Krajowej rzekomo groziła dekonspiracja i rozbitcie. Obawiano się, że utajone składy broni mogły być wykryte.
2. Krążyły pogłoski, jakoby władze okupacyjne zamierzały lada dzień podjąć na wielką skalę wywożenie z Warszawy do Rzeszy wszystkich mężczyzn w wieku od lat 16 do 55-u.
3. Spodziewano się, że wojska radzieckie lada godzina przełamią słabnący opór niemiecki i że dotrą do Warszawy. Nasze sfery oficerskie obstawały, aby stolica Polski własnym zabiegom i ofiarom zawdzięczała swe wyzwolenie.

Kolportowano także wiadomość, — która przedostała się nawet podobno do prasy angielskiej i amerykańskiej, że łączność między Dowództwem Armii Krajowej a Sztabem marsz. Rokossowskiego została nawiązana, że z ramienia tego Sztabu bawił już w Warszawie kapitan Kaługin.

Dr. Stefan Litauer później wywodził, że kpt. Kaługin znalazł się w Warszawie w chwili wybuchu powstania całkiem przypadkowo, że nie był wcale przedstawicielem armii marsz. Rokossowskiego, delegowanym do Dowództwa naszej Armii Krajowej.

Znalazł się w stolicy, jako wywiadowca radzieckich oddziałów partyzanckich, walczących na tyłach wojsk niemieckich. Że właśnie wybuchło w Warszawie powstanie, wziął w nim czynny udział.

Dopiero 15 września wylądowali na ulicy Wspólnej, tuż przy Kruczej, dwaj istotni wysłańcy Pierwszej Armii Białoruskiej. Przyjęła ich Armia Ludowa i na ich życzenie przeprowadziła do gen. Montera, dowódcy obrony Warszawy z ramienia A. K. Jeden z nich, radiotelegrafista, zginął, jakoby zabity przez granat niemiecki, drugi po kilku dniach wrócił tam, skąd przybył.

Misje nawiązania kontaktu spełzły na niczym.

Dr. Litauer twierdził, że gen. Bór-Komorowski i Delegat Rządu zwrócili się telegraficznie o pomoc nie do Stalina, lecz do Roosevelta i Churchilla.¹⁾ Dr. Litauer dodawał, że posiada niezbite dowody, iż Niemcy starali się sprowokować wybuch powstania.

¹⁾ „Rzeczpospolita” z dn. 16 maja 1945 r.

Chcieli uzyskać pretekst do zniszczenia Warszawy. Za pośrednictwem agenta dostarczali nawet jakoby broń naszym organizacjom podziemnym.

W przeciwieństwie do swego poprzednika, gen. Grota-Roweckiego, który posiadał w wojsku autorytet i umiał zeń korzystać, gen. Bór-Komorowski ulegał wpływom swego otoczenia. Tam zaś rej wodzili oficerowie zdolni, lecz do awanturniczej polityki i hazardu skłonni.

Tym więcej, że Gestapo deptało im po piętach. W Krakowie i na Śląsku już miejscowe organizacje A. K. poniosły nieodżałowane straty.

W istocie rzeczy, armia marsz. Rokossowskiego w swym zwycięskim, błyskawicznym pochodzie oddaliła się od swych baz zaopatrzenia. Na linii Wisły spotkała się z twardym oporem, wzmoconym przez świeże posiłki.

Przezorny marsz. Rokossowski zwolnił tempo, nawet cofnął się nieco. *Chi va piano, va sano e lontano!*

O Polsce, w 1863-m roku, pisał Cyprian Norwid do Augusta Cieszkowskiego:

„Gdzie energia wyprzedza inteligencję, tam co pokolenie rzeź”...

Przebieg walk na terenie Warszawy w pierwszym tygodniu zdawał się świadczyć, że niemieckie władze wojskowe były wybuchem zaskoczone. Wyżsi dygnitarze okupacyjni, w myśl starej gadki rosyjskiej: „znajet koszka, kto miaso sjeł” panicznie rzucili się do ucieczki. Gubernator Fischer oparł się w Łowiczu i dopiero, kiedy nieco ze strachu ochłonał, przeniósł swą rezydencję do bliższego Sochaczewa.

Był w toku wstępnych walk taki moment, że tylko trochę więcej żołnierza, sprzętu wojennego i składniejszej komendy, całe miasto mogło dostać się w posiadanie powstańców. Niemcy wszakże nie dali sobie wydrzeć z rąk — głównych, kluczowych arterii, łączących stolicę z magistralami komunikacyjnymi, ani mostów na Wiśle.

Stroną atakującą byli powstańcy. Dowództwo niemieckie ścigało na gwałt odsiecz.

W mieście wytworzyła się najdziwniejsza w świecie szachownica, tereny niemieckie i polskie oddzielały często jezdnie ulic.

Jedna strona ulicy była polska, druga — niemiecka!

Ludność — mimo wszystkie wątpliwości i obawy, całą zbiorową duszą sprzyjała powstańcom. W dzielnicach polskich zwłaszcza, któż mógł oprzeć się radosnemu wzruszeniu, że Niemca — ani śladu!

Płuca inaczej oddychały, serce inaczej biło. Kto żyw, od wczesnego ranka wylegał na ulicę. Przed bramami kamienic ożywione konwentykle. Wymiana najnowszych wiadomości, zawsze uskrzydłonych optymizmem. Oczy śmiały się — lub rozrzewniały do łez — na widok młodych żołnierzyków, gdy ich oddziały przechodziły z chwacką fantazją. Wyciągały się ramiona, grzmiały okrzyki!

— Niech żyje armia! Niech żyje Polska!

Któż — mógł oprzeć się porywającym uczuciom!

W podwórzach lub bramach domów ustawiano ołtarzyki zdobne w kwiaty, które z wszystkich mieszkań znoszono. O zmierzchu wszędzie śpiewy. „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, „Boże, coś Polskę”, „Z dymem pożarów”...

Wtórowały huki bomb i granatów, wściekły warkot samolotów.

.....

Ulica Szczygła należała do okręgu Powiśla, który tkwił niemal całkowicie w posiadaniu polskim. Niemcom powiodło się jedynie obwarować w gmachach Uniwersytetu i w jednym z domów przy ul. Karowej. Mimo zażartych ataków ze strony polskiej, Niemcy z Uniwersytetu nie dali się wykurzyć.

Wszystkie mieszkania na Powiślu były potwornie natłoczone przez rodziny, wysiedlone z dzielnic niemieckich. Życie pulsowało tętnem gorączkowym. Zamierało, jeśli nad dachami zaczynały krążyć bombowce.

W ogrodach Konserwatorium i sąsiedniego Zakładu Św. Kazimierza po całych dniach ćwiczyli się ochotnicy. Pod drzewami paradowały zdobyte na Niemcach czołgi i pancerki.

Tamka stała się główną i najruchliwszą arterią Powiśla. W domu pod Nr. 48 usadowiła się Delegatura rejonowa. W kamienicy obok — Komenda.

Sklepy zabarykadowane. Targ „na Ordynackiem” pusty. Na chodnikach przeważała młodzież obojga płci, bardzo zaaferowana i płonąca.

W poszczególnych kamienicach mnożyły się bez liku publiczne audycje radiowe. Niemiecki skład Philips’a w ostatnich tygodniach

przed Powstaniem wyprzedawał aparaty każdemu, kto przyniósł conajmniej 500 złotych.

Najliczniejszych słuchaczy ściągały audycje polskie: w południe — „Głos Wolnej Ameryki“, wieczorem — polski komunikat z Londynu.

Obie audycje kończyły się pieśnią chóralną „Z dymem pożarów“. Słuchacze podchwytywali śpiew, błagalny chorał przerywały szlochy, łkania kobiet.

Prasa podziemna, — teraz ujawniona, — zredukowała się do 9 — 10 wydawnictw, mało różniących się pod względem treści. Organem Rządu Krajowego pozostała „Rzeczpospolita“, Komendy Sił Zbrojnych — „Biuletyn Informacyjny“. Poziomem publicystycznym wyróżniał się „Robotnik“.

Mnożyły się pisemka alimentowane przez Polską Partię Robotniczą (P. P. R.), przez Polską Armię Ludową (P. A. L.), oraz przez organizacje pokrewne. Często gazetki rozklejano w bramach i na murach domów, rozdawano bezpłatnie.

Wszelki handel ustał. W utajonych zakamarkach można było niekiedy zdobyć jakiś produkt, oczywiście po cenach zawrotnie wygórowanych, albo w trybie zamiennym. Obiektami tych szachrajstw były przeważnie wódka, tytoń i tłuszcz.

Wysiedleńcy i pogorzelnicy żywili się w publicznych kuchniach bezpłatnych, które wydawały rano i wieczorem kawę zbożową z kromką chleba, zaś w południe — talerz mniej lub bardziej treściwej zupy.

Myśmy czerpali posiłek południowy z kuchni przy ul. Pierackiego, którą kierowała pani Goetlowa, małżonka znanego pisarza.

... Niezawsze ten, co sieje, zbiera.

Ja w tym czasie pierwszy raz w życiu w tej formie spotkałem się z namacalnymi dowodami pewnej popularności, jaką jednały mi moje komedie. Gdy w dzielnicy Powiśla rozbiegła się wieść o naszych losach i schronieniu, znajomi i jeszcze więcej — nieznajomi jęli nam znosić lub nadsyłać pieczywo, mąkę, kaszę, inne produkty, — w takich ilościach, że mogliśmy dzielić się z bardziej potrzebującymi.

Słowa przytym były proste, niekiedy naiwne, lecz serdeczne. Budziły uczucia, które kiedyś wyśpiewał poczciwy Pol:

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie...

Cóż mogło osiągnąć bohaterstwo polskie, zostawione własnym siłom?

Norwid, epigon romantyzmu, twierdzi, że bohaterstwo, to pół-ogniwo księżycowe na chorągwi prac ludzkich, ku ziemi zwrócone. Drugim półogniwem, w niebo zwróconym, jest męczeństwo...

Powstanie Sierpniowe było i bohaterstwem i męczeństwem

Norwid dodawał, że Polacy umieją tylko klócić się lub kochać, nie potrafią różnić się pięknie i mądrze.

Naród polski swemu romantyzmowi zawdzięcza wspaniałe arcydzieła poezji, i również — okrutne błędy polityczne i nieszczęścia.

Romantyzm, to rozpętanie wielomównej wrażliwości, wyobraźni, światoburczej fantazji i mistycyzmu — kosztem rozsądku, jasności i umiaru. Bezradny chaos w rozstrzygnięciach, nieopanowana ochota do walki, do rozwalania utartych prawd, — przerost indywidualizmu i umiłowanie wolności, graniczące niekiedy z anarchizmem!

Garnizonowi niemieckiemu w Warszawie przybywały coraz znaczniejsze posiłki w ludziach, czołgach i armatach. Kwiat młodzieży polskiej ginął na barykadach i w podziemiach. Warszawa rozpadała się w gruzy i zgłiszcza.

Rozważniejszych ludzi ogarniały wątpliwości, czy ci, co powstać nie rozpętali, nie ulegli raz jeszcze mamidłom romantyzmu, mierzącego siły na zamiary.

Możnaż jednak było studzić zapał, który serca polskie rozgrzewał, w całym świecie budził podziw?

Znowu kości były rzucone...

... Osobiście zawsze byłem zdania, że, wobec stwierdzenia błędu, źle bywa przy nim się upierać. Zawsze pora zawrócić, bo tylko w ten sposób pomniejsza się utraty.

Kiedyś jednak z pewnością znajdą się pisarze, którzy dla tych wydarzeń i przeżyć najdą płomienne słowa, jasne i prężne jak błyskawice, dymiące jak wulkan, ważne i uszeregowane, jak modlitewne dźwięki w organach...

Rozsądek włada tylko argumentami, czerpanymi z wiedzy, logiki i doświadczenia.

Wzniosłe uczucie wszystko czyni pięknym.

Samoloty niemieckie uwijały się tuż nad dachami. Nic im nie groziło. Powstańcy nie posiadali obrony przeciwlotniczej.

Starodawne świątynie, pamiątkowe gmachy, wielkie bloki kamienic rozpadały się w gruzy.

Bombom samolotowym sekundowały granaty, miotane przez ciężkie działa niemieckie z przyczółków mostowych i z pociągu pancernego, który wjeżdżał bezkarnie na wiadukt, i na nowy most kolejowy. Na głównych arteriach stolicy zgrzytały łańcuchy ruchomych fortów z żelaza, — „Tygrysów” i „Panter”, bijących gęsto ze swych armatek.

Oddziały powstańcze trwały nieugięte na swoich pozycjach. Ciągłe obcowanie ze śmiercią jak gdyby pobudzało niezłomną fantazję naszej młodzieży walczącej.

Przy barykadach powaga. Rozkazy wyraźne, lecz niegłośnie. Załogi rezerwowe wyczekiwały swej kolei w bramach i na podwórzach sąsiednich domów. Służba sanitarna odstawiała rannych na noszach do lazaretów.

Młode kobiety pełniły służbę pomocniczą, zwykle z butelkami nafty w ręku.

W walkach wręcz żołnierze niemieccy rzadko dotrzymywali pola. Przerażała ich odwaga i piorunowa rzutkość ochotników polskich. W trudniejszych wypadkach dowództwo niemieckie nie ważyło się stosować bojowych obyczajów dawnych hord tatarskich: gnali kobiety i dzieci przed czołgami, które atakowały pozycje polskie.

Oddziały ukraińskie wysilały się, by w okrucieństwie i rabunku mentorów germańskich prześcignąć. Oni to wymordowali na Nowym Zjeździe profesorów Uniwersytetu (między innymi Cybichowskiego i Tretiaka), na kolonii Staszica ich ofiarą padł znany artysta dramatyczny, Mariusz Maszyński.

Zrzuty broni ustały. Zbyt często stawały się łupem Niemców, straty w samolotach były dotkliwe.

W Berlinie do 10 sierpnia nic o Powstaniu Polskim nie wiadomo. Dowództwu niemieckiemu wydawało się, że stłumi je w ciągu paru dni i że przejdzie nad nim do porządku dziennego, jak nad epizodem bez znaczenia.

.....

Kościół Fary, Pijarów i Panny Marii na Nowym Mieście zburzone!

Zażarte walki w Halach Mirowskich i na Placu Teatralnym. Pałac Blanka i kościół Kanoniczek obrócono w gruzy. Garstka polskich straceńców długo broniła się w ruinach Ratusza.

Udało się powstańcom wypędzić Niemców ze Stacji Filtrów i z Gazowni. Gmach Poczty Głównej parokrotnie przechodził z rąk

do rąk. Załoga osadzona w Elektrowni, dawała przykład niezrównanej wytrzymałości. Pewne powodzenia w Mokotowie i na Żoliborzu, ale plac Unii, dworzec Gdański i wiadukt pozostały w posiadaniu wroga.

Wściekle boje o drapacza chmur. (*Prudential*) na placu Napoleona.

Drapacz przez powstańców zdobyty! Krwawe wysiłki celem opanowania Banku Gospodarstwa Krajowego i Uniwersytetu bezskuteczne!

Walka o Stare Miasto, — ukochaną Starówkę — ciągnęła się dwa tygodnie. Najboleśniej straty i szkody!...

... Triumfem wojennym techniki niemieckiej były świeżo znalezione, potężne pociski, jednocześnie burzące i zapalające, a wyrzucane z ogromnych moździerzy.

„Krowy ryczące”!

Już samo ich przedwstępne sapanie i stękanie budziło zagrożenie. Wybuchając, rozpryskiwały nie tylko odłamy żelaza, ale i gęstą miazgą ognistą z siarki i nafty. Pożar był niemożliwy do ugaszenia, rany z oparzeń — okropne.

... I nawet w tym piekle nasza młodzież walcząca nie traciła fantazji.

Przejście przez jezdnię Alei Jerozolimskiej (Powstanie awansowało ją na Aleję gen. Sikorskiego) uchodziło za niebezpieczne. Spod Banku Gospodarstwa Krajowego Niemcy w dzień i w noc prażyli nieustającym ogniem. Nasza Komenda wydała rozporządzenie, aby chcących przejść puszczano jedynie, gdy się całkiem ściemni i to w miejscach wskazanych i strzeżonych. Zalecano sążniste susy.

Chłopcy, wartujący u zbiegu Brackiej, zmajstrowali kukłę wielkości człowieka. Wskroś jezdni przesunęli zafasowany, długi sznur, przymocowali doń sprawnie przyobleczony chochoł. Kukła, chwiejąc się i podrygując, w ciemnościach udawała wcale nieźle sylwetkę przebiegającego człowieka.

Niemcy, ukryci w portalu Banku, nużę walić z karabinów!

Za węglem na Brackiej, wkleśłe brzuchy polskich ochotników trzęsły się od uciechy.

... Na ogół jednak wszystkich trawił niepokój. Dni dłużyły się bez końca, noce były upiorne. Ciągłe — dalsze i bliższe — grzmoty bomb, pioruny granatów, — ryk „krów”. Czteropiętrowa kamienica mogła lada moment rozpaść się, jak domek z kart.

W tym samym czasie wieści z Zachodu brzmiały jak fanfara. W Normandii armie niemieckie rozbite i okrażone. Wojska brytyj-

skie i amerykańskie parły na Paryż. Churchill — na wodach Korsyki — ćmiąc cygaro, — z pokładu pancernika przyglądał się lądowaniu wojsk Sprzymierzeńców na Riwierę francuską. Polska dywizja pancerna gen. Maczka odniosła świetne triumfy pod Falaise. Korpus gen. Andersa zdobywał włoskie miasta nad Adriatykiem.

Warszawa i Polska były zostawione własnym losom. Nasze lazarety porały się z zadaniem ponad siły. Musiały opatrywać nie tylko rannych powstańców, ale także dziesiątki tysięcy nieszczęśliwców cywilnych. Nie starczyło łóżek, pościeli, bandażów, gazy....

W drugiej połowie sierpnia walczącej Warszawie zaczęło braknąć wszystkiego.

.

Odezwa rządu z dnia 12 sierpnia 1944 r., wieściła o utworzeniu Krajowej Rady Ministrów.

Przewodniczącym Rady został dotychczasowy Delegat i wicepremier, ob. Klonowski. Departamenty Skarbu oraz Przemysłu i Handlu objął minister Opolski, departamenty Sprawiedliwości, Prasy i Informacji — min. Walkiewicz, departamenty Poczty i Telegrafów, Komunikacji, Robót Publicznych oraz Pracy i Opieki Społecznej — min. Traugutt. Wszystkie nazwiska były kryptonimami.

Do czasu powrotu do kraju Prezydenta Rzeczypospolitej oraz Rządu Emigracyjnego, zarządzenia i decyzje Rady Krajowej Ministrów miały być dla obywateli miarodajnymi i obowiązującymi.

Odezwa głosiła wreszcie, że Polska przechodziła jeden z najbardziej przełomowych okresów dziejowych, że ciemne chmury ciążyły jeszcze, ale na niebie polskim już jawiła się jutrenka swobody, bo wróg wygrywał ostatnie swoje atuty, a Naród Polski wszystko przetrzyma i zwycięży.

My w Warszawie dostrzegaliśmy na razie tylko chmury.

Zważywszy na położenie coraz krytyczniejsze, Komendant Armii Krajowej wydał rozkaz do wszystkich oddziałów tej Armii, rozproszonych w różnych stronach kraju, by śpieszyły na pomoc stolicy.

18 sierpnia tragedia w Mokotowie!

Wielki czworobok nowych kamienic między ulicami Rakowiecką i Narbutta zbombardowany i spalony. Do pięknie rozbudowanej przy ulicy Boboli siedziby OO. Jezuitów wdarła się tłuszcza rozbestwionych żołdaków niemieckich i ukraińskich. Porwano dyrektora zakładu, ks. Kosibowicza, zawieszono w Aleję Szucha i tam zastrzelono. Innych OO. Jezuitów wymordowano na miejscu. Trzem tylko, mimo że byli ranni, powiodło się ująć.

Ks. Kosibowicz był jednym z najświatlejszych przedstawicieli duchowieństwa polskiego. Przyrodzoną bystrość umysłu łączył z rozległą wiedzą, pogłębianą dłuższym pobytem na Zachodzie. Talent krasomówczy czynił go kaznodzieją, który wywierał fascynujący wpływ na warstwy inteligenckie.

A jak przy tym dusza jego była prosta i pocziwa, świadczył ulubiony kanarek, który swobodnie fruwał w jego skromnych pokojach. Ks. Kosibowiczowi rozjaśniały się oczy, gdy ptaszyna siadała mu ufnie na ramieniu.

Ks. Kosibowicz stał na czele wszystkich wydawnictw OO. Jezuitów w Warszawie. Jego to trudem i zabiegami dźwignął się poważny zakład wydawniczy, doskonale zaopatrzony i rozgospodarowany. Z osobliwą pieczołowitością redagował „Przegląd Powstaniecki”, miesięcznik, poświęcony sprawom polityczno-społecznym, literackim i sztuce.

....O zmierzchu siedziałem w gabinecie dziennikarza i poety, Jana Sokolich-Wroczyńskiego, dawnego współpracownika „Świata”, który mieszkał przy ul. Pierackiego, na wprost ulicy Kopernika.

By oderwać się od posępnej rzeczywistości, gwarzyliśmy o kruchości orzeczeń krytyki doraźnej, o zbiorowych sugestjach czytelników i widzów teatralnych, sugestjach równie gwałtownych, jak krótkotrwałych.

Dochodziliśmy do wniosku, że wartość dzieł literackich ustala się ostatecznie dopiero po latach, kiedy owe sugestie rozproszą się, niczym mgły poranne, że twórczość polską ostatnich stu lat czeka ją poważne przewartościowanie.

Rozmowa toczyła się przy nieustannym huku dział, grzechocie karabinów maszynowych, stękaniu i sapaniu „krów”. Pod szarzącym niebem snuły się ciemne dymy pożarów.

Nagle za oknem ozwała się rześka piosenka żołnierska.

Ulicą Kopernika maszerował ku ulicy Pierackiego niewielki oddział żołnierzy A. K. „Chłopcy z lasu”, którzy przedarli się do Warszawy, by walczyć w jej obronie!

Byli odziani przystojnie, uzbrojeni należycie. Miny gęste, w ruchach zadzierzista pewność siebie, młodzieńcza zuchwałość.

Tylko było ich tak mało!

....Doprowadzeni nocnym bombardowaniem do szału, ludzie wypadali z mieszkań na ulice, z walizkami i tobołami w rękę, pędzili nieprzytomnie przed siebie.

Schrony i piwnice były natłoczone w dzień i w noc. Ranek przynosił otępienie, — ale takie, jak po silnej, wyczerpującej gorączce.

Mnożyła się liczba tymczasowych mogił w ogródkach i na skwerkach, w brukowanych podwórzach domów.

Wicepremier Krajowy zaklinał Mikołajczyka, by słał dalsze rzuty broni. Przygnębienie było tak silne, że cichły nawet rozterki wewnętrzne.

W organie Polskiej Partii Robotniczej, — „Armja Ludowa” — w numerze z dnia 19 sierpnia, w artykule p. t. „W walce wykuwa się jedność narodu”, pisano:

„W atmosferze wolności, gdy powstały warunki swobodnego wypowiedzania swych myśli i przekonań przez każdego Polaka, stało się jasne, że wszyscy, niezależnie od przynależności do tego, czy innego stronnictwa, dążymy do tego samego celu, — do Polski Niepodległej i Demokratycznej. Masy ludowe wyczuły instynktownie, że stanowią jedną, niepodzielną całość, ożywioną miłością Ojczyzny.”

Równocześnie w organie Stronnictwa Narodowego czytaliśmy:

„Jesteśmy wszyscy razem jednym zwartym organizmem, jesteśmy narodem, walczącym o swą wolność, i w tej wartości tkwi nasza siła, której żaden wróg pokonać nie zdoła.

W tej jedności gwarancja naszego zwycięstwa”.

..... We wtorek, 22 sierpnia, z ust do ust biegła wieść.

— Paryż oswobodzony!

Radość i żądło gorzkości...

Radość, że bratni naród francuski odzyskał swą ukochaną stolicę.

I gorzkość, że nasza ukochana stolica w śmiertelnej walce rozpada się w gruzy, — i pomocy nikąd!...

Gorzkość wyładowywała się w parafrazie komunikatu wojennego:

— Pomimo pomocy W Brytanii, powstanie trwa dalej...

.... Dowództwo niemieckie, mimo upomnień Aliantów, nie przyznawało żołnierzom Armii Krajowej praw kombatantów. Wziętych do niewoli wystrzelivano, jako „polskich bandytów”.

Do lazaretu polskiego wpadli żołdacy niemieccy z oficerem na czele.

Nad lazaretem powiewała chorągiew Czerwonego Krzyża.

Zdyszany oficer niemiecki zatrzymał się nad jednym z łóżek. Przygląda się leżącemu w nim rannemu.

— Ja ciebie gdzieś widziałem!....

Ranny odpowiada.

— Owszem..... Jestem kapitanem Armii Polskiej i jako taki byłem wyznaczony do omówienia warunków krótkotrwałego zawieszenia działań wojennych na naszym odcinku, celem usunięcia zabitych i rannych. Pan był parlamentariuszem ze strony niemieckiej.

— To ty! ryknął oficer.

Skierował rewolwer, wypalił raz po raz. Głowa rannego zalała się krwią.....

Scenie tej byli przytomni lekarze polscy.

Polski stan posiadania kurczył się. Tamka znalazła się pod tak silnym ostrzałem, że delegatura okręgowa musiała przenieść się na ulicę Kopernika.

Mieszkańcy ulicy Szczygłej i Okólnika z każdym dniem rzadziej wychodzili na świat ze schronów i piwnic.

Nie codzień było można dotrzeć na ul. Pierackiego po obiadową zupę. I zupa była coraz cieńsza.

Prowianty wyczerpywały się. Brakło chleba i tłuszczów. W narożnej kamienicy naprzeciwko cierpliwa amatorka po całych dniach bębniła na fortepianie „marsza weselnego” Mendelschona. O piętro wyżej inny meloman kwilił żałośnie i niewprawnie, lecz wytrwale, na skrzypcach.

Przed świtem w ogrodach Św. Kazimierza koguty piał, jak za najspokojniejszych czasów.

.... Zaproszenie do Delegatury na naradę w sprawie skuteczniejszego zabezpieczenia Biblioteki Krasińskich.

Przemknęłam wymarłą ulicą, trzymając się murów. W lokalu Delegatury rozprężenie. Pracownicy przerzedzeni, zafrasowani..... Ani chleba, ani gazet.

Na posiedzenie zjawili się tylko dwóch zaproszonych. Nie uradziliśmy wiele.

Wracałam przyspieszonym krokiem. Co chwila trzeba było kryć się w bramach. Dobiegałam domu, kiedy tuż za mną, straszliwy grzmot. Brzęk szyb, głuchy łoskot spadających na bruk odłamów muru, cegieł, blachy. Ulicę Kopernika zasłonił gęsty obłok dymu i kurzawy.

Przylgnąłem do płytkiej wnęki, żeby nabrać tchu.

Z ulicy Kopernika biegli z obłędnym krzykiem mieszkańcy walącej się i płonącej kamienicy.

Wynoszono rannych... zabitych...

Kościół Św. Aleksandra i Św. Krzyża rozwalone, Chrystus dźwigający krzyż, potrzaskany. Ulica Moniuszki i Świętokrzyska w płomieniach.

Pod wieczór, przy ul. Pierackiego Nr 15, na obszernym podwórzu czteropiętrowej kamienicy Wedla, zbiórka liczniejszego oddziału Armii Krajowej.

Na zczerniałych twarzach młodzieży ślady czterotygodniowych bojów, nieprzespanych nocy, skąpego wikt. W oczach twar- da, nieugięta determinacja.

Ci chłopcy przywykli do obcowania ze śmiercią!

Zwarta grupa kilkunastu dziewcząt, twarze równie poważne. Garstka bardzo przejętych swą misją harcerzy....

Krótką komenda. Pośrodku czworoboku stanął pułkownik i przemawiał do żołnierzy podniosłymi komunałami. Słuchano go w ciszy.

Gęby młodych morusów ożywiły się, kiedy po pułkowniku głos zabrał major, dowodzący oddziałem.

Ten gadał z prostą swadą żołnierską, bez patosu, i trafiał do serc. Wtórowały mu życzliwe chrząkania, przyśmiechy.

Powiało ciepłem.

Ów oddział miał atakować ponownie Uniwersytet. Czołgom i armatom nie poradził. Musiał wycofać się ze stratami.

Tegoż wieczora natknąłem się na grupę żołnierzy, którzy kanałami wydostali się z labiryntu ruin i zgłiszcz Starego Miasta.

Wyglądali upiornie!

Od stóp do głów oblepieni błotem, ranni, naprędce byle jako opatrzeni, nieprawdopodobnie wychudzeni....

I w oczach przygnębienie, jak gdyby życie utraciło dla nich wszelką wartość!

Starówka w ręku Niemców!

... W ostatnich dniach sierpnia zgasło światło, zbrakło wody.

Mało kto posiadał naftę lub świecę.

Elektrownia, której przez miesiąc broniła dzielna załoga, zburzona.

Tak samo Stacja Filtrów. Trzeba było czerpać wodę w studniach, mieszczących się w Zakładzie Św. Kazimierza.

.....

Komunikaty gen. Bora, który w tym czasie zdekonspirował się i odsłonił swoje prawdziwe nazwisko (Komorowski), krzepiły może serca słabsze, lecz nie zawsze odpowiadały istocie rzeczy.

Bohaterstwo jest wzniosłym, o ile służy celom wielkim i realnym. Bohaterstwo nie może być samo w sobie celem: łączy stając się walką don Kiszota z wiatrakami.

Cóż z tego, że nasz żołnierz okazywał niezrównane męstwo i hart! Decydowała przewaga sił. Losy powstania były ponad wątpliwość przesądzone.

Zdobываяc broniore przez Polaków kwartały, Niemcy gnali wszystkich mieszkańców precz, pozwalając im zabrać z dobytku tyle, ile mogli w ręku unieść. Podwórko naszej kamienicy zawalone było tobołami i kosztami. Wypędzone rodziny zalegały klatki schodowe, korytarze, — wciskały się do już nadmiernie przeludnionych mieszkań.

Samoloty niemieckie sypały deszcz ulotek, które wzywały ludność polską do corychlejszego opuszczenia miasta.

W każdym podwórzu odbywały się burzliwe wiece. Jedni decydowali się iść, inni obstawali, żeby wytrwać.

W niedzielę 3 września, Niemcy zaniechali bombardowania na godzinę czy dwie. Ale powetowali sobie tę przerwę po południu. Takiego piekła jeszcze nie było. Wstrząsające wybuchy i huki nie ustawały na chwilę. Paliło się Śródmieście: Plac Napoleona, ulica Szpitalna, Zgoda, Bracka.....

Wieczorem wpadły do nas synowa i wnuczka, bardzo przejęte. Wyglądały, jak cienie. Kamienicę na Szpitalnej, gdzie mieścił się ich punkt zaopatrzeniowy, rozwaliły bomby. Wśród zabitych — ich najbliższa przyjaciółka, p. Żochowska, siostra Wedla, która w pierwszych dniach Powstania straciła jedyne, niepełnoletniego syna....

Długie, potępieńcze narady, co dalej czynić.

Uciekać? Ale gdzie? Pieszko, gdzie oczy poniosą?

Zdajemy się na łaskę losu. Zostajemy.

... W poniedziałek rano, 4 września, ponowny deszcz ulotek niemieckich. Z podwórza znikły kufry i toboły. Stali mieszkańcy pozostali w swych pieleszach.

Cały dzień obłędne bombardowanie. Niebo krwawiło się od pożarów.

Wszystkich żał niepokój, nikt nie miał ochoty do rozmowy. Żadnych wiadomości, bo wraz z przerwaniem światła elektrycznego zamilkły głośniki radiowe.

Choćby parę godzin snu!
Koło północy nastała martwa cisza. Zasnąłem.
Nie na długo.
Za oknem, na ulicy, podniecony jazgot i rumor, tupot przyspieszonych kroków, wołania.
Podbiegłem do okna.
Gęste gromady ludzi, objuczonych pakunkami, ciągnęły w stronę ulicy Pierackiego.
Wysiedleńcy z Tamki! Zatem i dla nas ostatnie ostrzeżenie....
Uchyliłem drzwi do przyległego pokoju. Moja żona, synowa i wnuczka spały jak zabite.
Nie miałem odwagi ich budzić.
Tumult na ulicy trwał prawie do świtu. W godzinę później zaczęły ryczeć ponownie armaty, wybuchać bomby.
Narzuciłem płaszcz, wyszedłem przed dom. Ulica była pusta. Przed bramą starsza kobieta, mieszkanka kamienicy, żegnała się tklawie z młodą panią, prawdopodobnie córką lub wnuczką, która na ramieniu nosiła opaskę Czerwonego Krzyża. Widocznie szła na dyżur do lazaretu.
Starszej pani ciężko było rozstać się z dziewczęciem. Przedłużała pożegnanie. Panią uśmiechała się i trochę niecierpliwiała.
Starsza pani nakreśliła nad jej główką znak krzyża.
— Idź!....
Panią pobiegła chyżo. Starsza pani ścigała ją zatroskanymi oczami.
Czekała może, iż dziewczę zatrzyma się, odwróci....
Dziewczę pochłonięte było obawą, żeby się nie spóźnić....
....W naszym mieszkaniu, na parterze, najbezpieczniejszym wydawał się ciemny korytarz, wiodący do kuchni. Tam teraz, jeśli bombardowanie potężniało, zbierali się wszyscy współlokatorzy, stali i przygodni. Ja zwykle pozostawałem w swoim pokoju od frontu. Tego ranka uległem naleganiom wnuczki, poszedłem za nią w głąb korytarza, że tam od otwartego okna w kuchni wionęło trochę powietrza. Służąca podsunęła mi stołek.
Grzmoty bomb, które wybuchały tuż-tuż, przeobrażały się w piekielny huragan. Nikt nic nie mówił.
Nagle okropny huk i wstrząs. Czteropiętrowa kamienica zachybotała gwałtownie. Straciłem przytomność.
Lecz wnet ją odzyskałem.
Wśród ciemności, że oko wykol, w korytarzu przeraźliwe krzyki, jęki.

Leżałem na podłodze, nie mogąc się ruszyć. Dokoła zamęt niesamowity. Rozbijano drzwi, które się zaparły. Byłem przywalony odłamami muru, szczątkami szaf. Z trudem podniosłem się na kolana. Wysoko, u szczytu olbrzymiego leja, wydrążonego bombą od dachu do parteru, kłębiły się czerwone płomienie. Ktoś przeze mnie przeskoczył, obcasem musnął moją czaszkę.

Nowy rozpaczliwy wysilek. Stałem na nogach.

Powietrze rozlało się czarną mazią, która zaklejała usta, oczy i nos. Z czoła spływała ciepła krew.

Nie mogłem chwycić tchu.

Współlokatorzy w obłędnym przerażeniu rwali się przez wylamane wreszcie drzwi do klatki schodowej. Wnuczka wołała, że musi ratować swoją ranną matkę.

— Gdzie moja żona?

Przepchnąłem się kilka kroków, znów upadłem. Wlokłem się na kłęczkach. Co chwila ktoś mnie potrącał.

— Jest!

Żona leżała bezwładna, nieprzytomna. Głowa we krwi. Ale oddychała!

— Żyła!

Wysilek, że zbrakło tchu. Podniosłem żonę, wziąłem w ramiona. Z kuchni przeciskała się stara kucharka, która służyła u nas trzydzieści lat.

— Karolka! Pomóż!

Uciekła. Własne życie przede wszystkim.

Wyostałem się do klatki schodowej. Serce tłukło się w piersi, z czoła spływała krew, pot i czarna maź.

Przysiadłem.

Żona odemknęła oczy, lecz nie zdawała się rozumieć, co się dokoła działo. Chciała coś powiedzieć, słowa więzły w krtani.

Schodami pędzili na dół lokatorowie z górnych pięter, unosząc, co kto chwycił. Z podwórza dojrzał mię kustosz biblioteki Przędzieckich, — zacny p. Wdowiszewski. Z jego pomocą wyniosłem żonę na podwórze. Wyrwał komuś z rąk prześcieradło, rozpostarliśmy je na asfalcie, ułożyliśmy żonę.

Z okien wyższych pięter wyślizgiwały się czerwone jęzory płomieni. Sąsiednie kamienice były w ogniu. Na podwórzu sądny dzień.

Gdzie umieścić żonę?

W najbliższym sąsiedztwie Zakład Św. Kazimierza. Siostry Miłosierdzia! Szarytki!

Żona rozglądała się szeroko rozwartymi oczyma. To, co się do-koja działo, wydawało się jej gorączkowym, koszmarnym snem.

Brniemy wśród gruzów. Przez wrota Zakładu Św. Kazimierza wysypuje się śpiesznie, lecz w zupełnym porządku, spory oddział powstańców.

Oblicza zasępione, usta zaciśnięte. W pamięci utkwiły mi dwie postacie z jednego szeregu: średnich lat chudy mężczyzna o siwych włosach i wymęczonej twarzy intelektualisty, a obok niego, także z karabinem na ramieniu, piętnastoletni może, pucułowaty malec o śmiejących się oczach. Przeciwnieństwo było osobliwe.

W pawilonie Sióstr Miłosierdzia rwetes, jak na tonącym okręcie. W korytarzach ciżba zrozpaczonych kobiet i dzieci.

Jęki, krzyki, płacz.

W jednej z mniejszych izb wolne łóżko!

Lecz i tu pokój wnet się zapelnia. Na podłodze kałuże krwi. Lekarze i szarytki opatrują rannych, księża, pochyleni nad umierającymi, udzielają ostatniej posługi.

Rany w głowie żony po obmyciu, wydały się niegroźne. Ale straciła władzę w nogach i słuch.

Mnie twarz piekła nieznosnie, patrzyłem jak przez mgłę. W korytarzu stała beczka, pełna wody. Bez wahania zanurzyłem parokrotnie głowę.

Ulga!

Żona pod opieką szarytek, ja czym prędzej z powrotem do mieszkania. Może zdołam uratować torebkę żony i swoją, w nich trochę pieniędzy, pamiątkowe drobiazgi. I nadewszystko — obwiązany sznurkiem rękopis „Wspomnień”, — owoc sześćioletniej pracy!

Płomienie lizały już okna parteru. Wpadłem do wnętrza. Dym gryzł w oczy. Meble potrzaskane, płaszcze na krześle obok stołu — w strzępach.

Torebki i rękopis nietknięte!

Tyle zdołałem ocalić. Z podwórza wołano, żeby co żywiej wychodzić!

Tuż za mną oberwał się wielki odłam muru.....

Ulica Szczygła — widok apokaliptyczny! Wszystkie domy płonęły. Środkiem jezdni biegli ludzie nieprzytomni.

Rozdzierające krzyki rozpaczły!

Prędzej do żony. Dopadłem do wrót Zakładu.

O Boże!

Placyk przed pawilonem roi się od niemieckiego żołactwa. Dookoła strzelanina. Na korytarzach pawilonu pustka. Wszystkich mężczyzn uprzątnięto. W pokoju, w którym leżała żona, pozostała jedynie również ranna p. Milewska. Jej mąż, adwokat warszawski, siedział przy łóżku.

W korytarzu złowrogi tupot butów. W drzwiach zdyszany podoficer z rewolwerem w łapie, za nim pięciu czy sześciu żołdaków z karabinami.

— *Alle Männer heraus!*

Rozkaz stosował się do adw. Milewskiego i do mnie.

Obaj nie ruszyliśmy się z miejsca.

Jawia się przerażone szarytki.

— Niech panowie wychodzą! Inaczej wszyscy zginiemy!

Co robić? Opuścić żonę w tym stanie?

Starsza szarytka nalegała.

— Panowie nas zgubią!

Wybiegłem na placyk przed pawilonem. Kilku oficerów podnieconych dopiero co ukończonym bojem, rozmawiało żywo, ćmiąc papierosy.

Przedłożyłem swoją prośbę, powołując się na wiek i na stan żony.

Nie chcieli słuchać. Najwyższy rangą zmierzył mnie urągliwym spojrzeniem i powtórzył z naciskiem.

— *Alle Männer heraus!*

Stojący obok żołnierz odepchnął mnie kolbą.

Wpadłem do żony. Ona, widząc mnie, chciała się uśmiechnąć, — i nie mogła. Nad pawilonem przelatywały nisko myśliwce i prażyły z karabinów maszynowych.

Kule przez rozwarte okna trzaskały w ściany pokoju.

Adwokata Milewskiego już nie było. Zagarnięto go. W drzwiach żołdak.

— *Heraus!*

Ucałowałem żonę i, nie śmiąc obejrzeć się, wyszedłem. W jednym ręku moja torebka, w drugim — ciężki rękopis.

.....Wielkie skupisko wysiedleńców wszelkiego wieku i stanu. Zaleknięci, zrozpaczeni! Rozzłoszczony oficer sprawdzał dowody osobiste. Młodszych — i nie posiadających legitymacji, odsyłał na stronę. Jeśli pakunek wydawał mu się podejrzanym, nakazywał podoficerom sprawdzać.

Godzina, może dwie, wyczekiwania.

Wreszcie pędzą nas przez zwałiska na Browarną. Tam wielka chmara wysiedleńców z innych ulic. Znow stojmy długo.

Jeden z konwojujących podoficerów dojrzał na mym palcu pierścione. Zbliżył się i z obłęsnym uśmiechem wziął za rękę, podniósł do oczu.

Skrzywił się. Krwawnik w sygnecie zraził go. Nie warto było się schylać.

Raptem krzyki komendy. Rozległa kolumną ruszamy w stronę mostu Kierbedzia.

Ulica Browarna i jej przecznice — jedno cmentarzysko. Nie wszystkie domy zburzone, lecz w żadnym mieszkańca. Tu i ówdzie na bruku zwłoki świeżo zastrzelonych mężczyzn, którzy próbowali uciekać.

Na skrzyżowaniach — grupy żołdaków, plądrujących opustoszałe kamienice. Zaaferowane gęby świadczyły, że ten rodzaj „wojny totalnej” bardzo im do smaku przypadł.

I dalej — Bednarską, Krakowskim Przedmieściem, Trębacką, Elektoralną.... Zgliszczą i gruzy! W mózgu się émiło, w oczach brakło łez. Podoficerowie darli się.

— *Schneller! Polnisches Vieh! Schneller!*

Dłuższy postój w kościele św. Jakuba, na Wolskiej. Po tym nieznane ulice, okrążające miasto. Z parterowych okien jednego z domów, zajętego przez wojsko, rozweseleni naszym widokiem żołnierze ciskali kawałki czarnego, spleśniałego chleba.

Jak psom!

Zmierzch gęstniał, kiedy dotarliśmy do dworca „Warszawa Zachodnia”. Nim podstawiono pociąg, zrobiła się noc.

Do Pruszkowa dojechaliśmy w pełnych ciemnościach.

Obóz Koncentracyjny mieścił się w olbrzymich halach warsztatów kolejowych. Teren wilgotny, błotnisty.

W wyżłobionym torze kolejowym wewnątrz olbrzymiej hali — brudna woda. Wszystkie maszyny i cały sprzęt wywiezione. Pozostały jedynie wbite w ziemię wysokie i wąskie stoły dla robót stolarskich.

Dokuczało mi nieznośne pragnienie. Przy kranie wodociągowym tłok.

Nie miałem żadnego naczynia. Przez dłuższy czas stałem bezradny. Wreszcie ulitowała się jakaś starsza kobieta, podała mi napelnioną butelkę. Wychyliłem ją do dna.

W ciemnym kącie znalazłem wolne miejsce na stole. Podłożyłem rękopis pod głowę i tak doczekałem się świtu.

Myśli tłoczyły się niespokojne, gorączkowe... Co się dzieje z żoną, z synową i wnuczką? Co mnie czeka? Dokoła płacz dzieci, żalosne skargi kobiet, gburne swary mężczyzn.....

Rankiem z ust do ust biegła wieść, że mają wieść nas dalej. Gdzie, nikt nie wiedział.

Więc jak najspieszniej wymknąć się z matni!

Mój wiek czynił mię do pracy fizycznej niezdolnym!

Daremne zabiegi! Oficerowie wzruszali ramionami. Znow te same słowa.

— Rozkaz, to rozkaz!

Dobrnąłem do Komendanta Obozu. Grube niemczysko, w starszych latach, o byczym karku i tępej twarzy. Gdy zaczął wyłuszczać prośbę, by mię zwolniono, przerwał zirytowany.

— Nie ma o czym mówić. Pojedzie pan wraz z innymi.

— Gdzie?

— Tam, gdzie pana zawiozą.

I odwrócił się.

Przed barakiem wózki z kotłami, napelnionymi bladą kawą zbożową. Rozdawano przy tym kromki kwaśnego, czarnego chleba. Do kawy nie mogłem pretendować, — nie miałem kubka....

Tłoczących się wysiedleńców traktowano wzgardliwie.

— *Polnisches Vieh!* Polskie bydło.

Opuściła mię ochota do dalszych starań.

Przed barakiem, na wyschłej i sromotnie zaśmieconej wypuklinie martwiło się kilka chuderlawych, zakurzonych akacji.

Rozłożyłem się pod jedną z nich, zobojętniały na wszystko. Dzień dojrzywał słoneczny i ciepły, oczy wpijały się w nieskazitelnie czysty lazur nieba, w puchy srebrzystych obłoków.... Niebo było tak piękne, a życie tak obmierzłe! Jak dobrze byłoby umrzeć w tej chwili, patrząc w niebo!....

Od czasu do czasu ktoś z przechodzących wymawiał półgłosem moje nazwisko.... I szedł dalej.

Przystanęły dwie zakonnice.

— Pan niezdrows?

— Jestem znużony.

— Niech pan się zwróci do starszej sanitariuszki Czerwonego Krzyża... Siostra Makowska.... Właśnie idzie.

Zbliżyła się sanitariuszka.

— Pan Krzywoszewski?

— Tak.

— Poznałam pana z fotografii. Mąż mój jest adwokatem, kolegował z pańskim synem.

W pani Makowskiej znalazłem opiekunkę, która wydobyła mnie z Obozu.

Zaprowadziła do niedalekiego baraku ambulatoryjnego. Mogłem ułożyć się na niezupełnie jeszcze zgniłej słomiance. Pod wieczór, dzięki wstawiennictwu p. Makowskiej, lekarz niemiecki zakwalifikował mnie do zwolnienia.

Jeszcze dwie doby jednak trwały męki. Formalności, szykany...

Noce były upiorne. Leżeliśmy tak gęsto, że z obu stron czułem dotyk i oddechy sąsiadów. Jeden sapał i chrapał, drugi melancholijnie świstał. Jeślim się poruszył, obaj objawiali gwałtowne niezadowolenie.

Gdy dniało, wynoszono z baraku tych, co w ciągu nocy zmarli!

Ostatniego ranka leżałem na słomiance, trawiony gorączką, pół żywy, z przymkniętymi oczyma. Miałem być wypuszczony w południe.

Wtem coś spadło mi na kolana.

Przechodziła młoda, hoża dziewczyna, niosła w koszyku pomidory. Dwa z nich rzuciła na me posłanie. Uśmiechnęła się, przyspieszyła kroku.

Nigdy żaden owoc nie smakował mi lepiej! Nawet brzoskwinie latem we Florencji!

W chwilę potem, w rozwartej bramie baraku synowa i wnuczka!... Uratowane!

Dwa dni dłużej zostały w Warszawie, złego losu nie uniknęły.

Tym samym trybem, co mnie, skierowano je do Pruszkowa.

Pani Makowska obiecała je uwolnić — i przyrzeczenia dotrzymała.

W natłoczonej furze wydostałem się za drut kolczasty. Przed bramą zasięku przekupnie z bułkami i kielbasą. Zadowolilem się bułką, wydała mi się w smaku niezrównana.

Fura, po krótkim zatrzymaniu, znów ruszyła, w ścisiku potężna dłoń tkała usilnie jakiś przedmiot do mojej ręki.

Spory kawał soczystej, tłustej kielbasy!

Ogorzałe, wąsate oblicze śmiało się życzliwie.

— Niech mistrz przyjmie... od wielbiciela! Za „Panienkę z dancing'u”!

„Mistrz” zawahał się, ... Odmówić było trudno...

Fura skakała po kocich łbach pruszkowskiej peryferii. Znękanie oczy nie mogły się nasycić widokiem bujnej zieleni drzew, żywymi barwami dalii, malw, astrów...

Za parkanami kury, gęsi... Szczebiot rozbawionych dzieci...

Życie toczyło się zwykłym trybem!...

...Kolejką elektryczną dotarłem do Podkowy Leśnej. Ze stacji powlokłem się, ledwie powłócząc nogami, do Stawiska, — kiedyś, posiadłości mego przyjaciela, Stanisława Lilpopa, a która obecnie była własnością jego córki, p. Hanny Iwaszkiewiczowej.

Kilka osób przed dworem, wśród nich — pani Hania. Nieufnym wzrokiem mierzyła starego obdartusa, który przekroczył bramę parkową i zbliżał się do podjazdu.

Wymizerowany, z białą szczeciną na niegolonej twarzy, w porwanym ubraniu, bez kapelusza, na plecach owiązany sznurkiem rękopis...

Sam siebie byłbym nie poznał!

Już tylko parę kroków...

Pani Hania nagle zawołała radośnie.

— Papuńcio!

Tym mianem nazywała mnie dawniej, kiedy łączyła ją bliska przyjaźń z moim synem, i kiedy dłużej u nas w Skolimowie bawiła.

Ja byłem tak utrudzony i wzruszony, że ledwo mogłem mówić. Polski Hiob!

...Nazajutrz wieczorem przybyły do Stawiska moja synowa i wnuczka.

W Podkowie Leśnej. Pod cudzym dachem.

Dwór w Stawisku natłoczony był ponad miarę wygnańcami z Warszawy. Zgodnie z tradycją polską, gwałcił prawa fizyki, — i gdy zdawało się, że już igła się nie zmieści, jeszcze przygarniano świeżych przybyszów.

Synowa i wnuczka, bardzo blisko spokrewnione z panią domu, pozostały w Stawisku. Że na jedną rodzinę było dosyć, postanowiłem jak najspieszniej szukać dachu nad głową dla siebie gdzieindziej.

Tym razem los mi sprzyjał. Pierwszym znajomym, którego nazajutrz spotkałem, był prezes warszawskiego Rotary-Klubu, zacy, ludziom życzliwy, Witold hr. Sągajłło.

Będąc w takim samym położeniu, co ja, przed kilku dniami znalazł schronienie we dworze żółwińskim, o półtora kilometra od stacji Podkowa Główna oddalonym.

Żółwin należał przed laty do mego dobrego znajomego, Michała Natansona. Obecnie był własnością p. Henryka Witaczka z Milanówka, pioniera przemysłu jedwabniczego w Polsce.

Interwencja hr. Sągajłły osiągnęła skutek, — w niemniej przepełnionym dworze żółwińskim znalazł się dla mnie tapczan.

Sądziłem wówczas, że mój pobyt w Żółwinie będzie się liczył na tygodnie. Spędziłem tam sześć miesięcy.

Państwo Witaczkowie byli zjawiskiem niezwykłym. Osobiście — potrzeb skromnych, — na pomoc nieszczęsnym rodakom łożyli krocie. Narażali się na niewygody, przykrości, niejednokrotnie — na niebezpieczeństwa.

Henryk Witaczek umysłowością i charakterem przypominał Wokulskiego z „Lalki” Prusa.

Łączył polski romantyzm z trzeźwym zrozumieniem rzeczywistości, tkwiło w nim głębokie poczucie obywatelskiej odpowiedzialności i obowiązków. Jako przemysłowiec, był śmiałym inicjatorem i organizatorem: wraz ze swą siostrą, osobą wysokiej wartości społecznej i praktycznej, stworzył — niemal z niczego — nową gałąź przemysłu, opartą na surowcu rodzimym. Źródło uczciwych dochodów dla siebie, okazałych zarobków dla robotników w fabryce, a dla drobnych rolników, podejmujących uprawę drzewek morwowych i hodowlę łuskostrzydłych owadów jedwabniczych, — zyskowny przemysł chałupniczy.

Dla budżetu Państwa — pozycję wysoce dodatnią.

... Niepokój o żonę mącił mi myśl, gryzł, nocą płoszył sen. Dni biegły — i żadnej wiadomości!

Szarytki zostały wysiedlone z Warszawy, rozproszyły się w podmieściu. Obchodziłem wszystkie ewakuowane szpitale i lazarety. Nigdzie śladu! Znajomi lekarze szukali w szpitalach, które tymczasowo pozostały w Warszawie. Daremnie! Od spotykanych sióstr z Zakładu Św. Kazimierza nie można było nic się dowiedzieć.

Obsługa szpitali, przemęczona pracą, dość niechętnie udzielała informacji. Wszędzie brakło łóżek, pościeli. Chorzy i ranni leżeli hurmą na słomie, odżywiani, jak się trafiło...

Błagałem o pomoc w Radzie Głównej Opiekuńczej, w Czerwonym Krzyżu. Takich, co przechodzili podobne strapienia, były tysiące...

W Pszczelinie natknąłem się w tamtejszym szpitalu na siostrę miłosierdzia, która pozostała dzień czy dwa dłużej w Zakładzie Św. Kazimierza, po objęciu go przez Niemców.

Nic się od niej nie dowiedziałem. Była wylęknięta, małomówna. Ogarniała rozpacz...

Na szlaku Warszawa — Żyrardów spiętrzyły się główne fale rozbitków warszawskich.

Osiedla podstołeczne nie były w stanie wchłonąć ich mnogości. Pociągi Elektrycznej Kolei Dojazdowej bywały wprost nieludzko zapchane. Desperaci obsiadali dachy i wiązadła wagonów. Katastrofalnie przeludniony był Milanówek, że tam osobiście szukała przytułku wygnana z Warszawy inteligencja. Samych tylko profesorów wyższych uczelni, docentów, asystentów i laborantów liczono do pięciuset. Opiekował się nimi ze zwykłą mu energią b. rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Antoniewicz.

Wygnańcy musieli nieraz dni i noce spędzać na otwartych werandach, w ciemnych komorach lub stodołach, choć już dokuczały chłody jesienne.

Warszawski Oddział Rady Głównej Opiekuńczej, kierowany przez Machnickiego i Wachowiaka, czynił, co mógł, żeby najpilniejszym potrzebom stawić czoło.

Zadanie było ponad siły. Wyszędleńcy przeważnie posiadali tyle, co na grzbiecie.

Ktoregoś dnia siedziałem z Sągajłłą na dworcu w Podkowie Główniej. Zbliża się do nas wynędzniały starzec. Siwe włosy i broda zmierzwiłone, koszula brudna i podarta, na nogach — resztki pantofli rannych, spodnie od piżamy, niegdyś bajecznie kolorowe, na plecach kaftan zagadkowego pochodzenia.

Sięgam do kieszeni, by zebrać datkiem wspomóc. Przerażony Sągajłło chwytą mnie za dłonie.

— Co pan robi?

I przedstawia.

— Profesor...

Ów mizerak był znanym uczonym, profesorem Politechniki Warszawskiej.

Starsi i słabsi nieszczęśliwcy nie wytrzymywali próby. Zaraz w pierwszych tygodniach zmarli: Wojciech Szukiewicz, Bolesław Lutomski, Karol Irzykowski. Ferdynand A. Ossendowski w parę miesięcy za nimi podążył.

... Włosy jeżyły się na głowie, gdy opowiadano o tym, co się działo w tym okresie czasu na „Zieleńcu”, dawnym targowisku warszawskiej Ochoty.

Niemcy urządzili tam postój, na którym gromadzono większe transporty wysiedleńców z zachodnich i południowych dzielnic stolicy.

Odrutowano srośnie zaśmiecone pustkowie, spędzano tam tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci, aż gromadził się „komplet” do dalszej wysyłki. Pod gołym niebem, bez jedzenia i wody.

Ukraińcy, którzy sprawowali straż, plądrowali zawiniątka i kieszenie, ścigali z palców pierścionki, grabili wszystko, co im się spodobało. W razie najłżejszego oporu katowali, strzelali. Nocą przeraźliwe krzyki uprowadzanych i gwałconych kobiet przejmowały zgrozą.

Każdego ranka wynoszono dziesiątki zwłok.

Szmatławce okupacyjne wysławiały humanitarność niemieckich władz wojskowych...

W Warszawie dalszy opór stawał się samobójczym nonsensem. Bohaterski rapsod dobiegał kresu.

Oddział mokotowski powstańców, liczący dwa tysiące żołnierzy, przyciśnięty ostatecznością, złożył broń.

Krażyły mgliste i tajemnicze pogłoski o pertraktacjach dowództwa polskiego z dowództwem niemieckim. Ze szpalt „Nowego Kuriera Warszawskiego” zniknęło wyrażenie „bandyci polscy”. Układy jakoby prowadził osobiście gen. Bór-Komorowski.

W pierwszych dniach października tragiczna wieść.

Kapitulacja!

Dwanaście tysięcy żołnierzy i oficerów Armii Krajowej oddanych w niewolę!...

Szczupłe tylko garstki powstańców zdołały przedrzeć się do lasów kampinoskich.

Łudzono się, że wobec tego ustanie dalsze burzenie i palenie Warszawy.

Nic z tego!

Tym żywiej, bo bezpiecznie, wysadzano w powietrze ocalałe dotychczas gmachy i kamienice. Warszawa co noc od zmroku w łunach.

W ciżbie wygnańców, którzy znaleźli się w Obozie Pruszkowskim widziano dwóch zgnębionych starców: b. prezydenta Rzeczy-

pospolitej, Stanisława Wojciechowskiego i b. marszałka Sejmu, Wojciecha Trąpczyńskiego.

Władze niemieckie zaskoczone były bogactwami, jakie mieściły się w Warszawie i stały się łupem żołdactwa. Stąd decyzja: podzielić się odpowiedzialnością z żywiołami miejscowymi.

Rada Główna Opiekuńcza dała się nakłonić do orędownictwa tej grabieży cudzego mienia. Cel miał uświęcać środki. Szło o zdobycie ciepłej odzieży, bielizny i pościeli dla wysiedleńców.

Wynik był nikły... Ale fama, że w ruinach stolicy można łatwo się wzbogacić, podnieciła złe instynkty. Wszelkiego rodzaju tałajstwo jęło nagminnie przekradać się do miasta po zdobycz. Paserzy oczekiwali na łup w Opaczu.

Tak powstało szabrownictwo.

Na targowiskach w Milanówku i w Grodzisku gorączka. Zdarzało się podobno, że wygnaniec za ostatni grosz odkupywał zrabowane własne rzeczy.

Zgoła odmienną wagę posiadały zabiegi, podejmowane przez dyrektora Muzeum Narodowego — Lorentza, dyrektora Archiwum Akt Dawnych — Suchodolskiego, b. rektora Uniwersytetu Warszawskiego — prof. Antoniewicza i znakomitego historyka, prof. Kolankowskiego, kustosza Biblioteki Zamoyskich.

Tym chodziło o ratowanie skarbów kultury polskiej, które potąd ocalały.

...Rozgrom Warszawy, — „*Sacco di Varsovia*” trwał dalej. Hitler jakoby domagał się, aby nie zostawiono kamienia na kamieniu. Cała Polska była w ogniu. W jaki sposób zabezpieczyć to, co jeszcze można było ocalić?...

Trudno dociec, komu wpadł do głowy pomysł fantastyczny.

Że ocalałe zabytki kultury polskiej najpewniejsze schronienie znajdą w Rzeszy!...

Gen. Geibel, szef Gestapo na okręg warszawski, przyrzekał, że dobytek duchowy będzie z czasem Polsce zwrócony.

Gestapowcowi trudno było ze strony polskiej wierzyć i ufać. Lecz lepszego wyjścia z oparów nie widziano.

I w ten sposób podobno niemało zabytków ocalało.

...Równocześnie dalsze oblawy i aresztowania. Zatrzymywano pociągi, wyciągano pasażerów. Niemieccy żandarmi i żołnierze czyhali na skrzyżowaniach dróg, wpadali do domostw, uprowadzali mieszkańców.

Ludność wiejską i miejską zmuszano do kopania rowów strzeleckich.

Potem wcale z tych rowów nie korzystano.

Naiwność niemiecka wciąż pieściła się złudzeniem, że Polska, zawiedziona przez Sprzymierzeńców, pójdzie na lep prostackich zalecanek i niesumiennych obiecanek, że przywiedziona do rozpaczyny młodź polska zasili przerzedzone kadry niemieckie.

Frank napomynał o możliwości powołania czynników polskich do współudziału w administracji kraju. „Nowy Kurier Warszawski” żalił się, iż w Polsce brakło „sprzyjającej atmosfery dla zagubionej linii politycznej marsz. Piłsudskiego”.

Propaganda niemiecka tworzyła nowe czasopisma w języku polskim, które miały urabiać w tym duchu opinię polską.

Świeżo wylęgnięta w Częstochowie „Gazeta Narodowa” uderzała w ton, dotychczas niepraktykowany, który cenzorów niemieckich musiał wyprowadzać z równowagi:

„Wojna ma się ku końcowi. Jeśli Niemcy nie zadziwią świata jakimś zupełnie nowym środkiem bojowym o niebywałej skuteczności, nic nie uratuje ich od klęski.

„Naród polski ma chyba najmniej powodów do tego, żeby życzyć Niemcom pomyślnego obrotu sprawy”.

„Rezygnujemy z wyliczenia wyrządzonych nam krzywd, zadawanej udręki i poniżeń, ograniczając się do stwierdzenia, że usiłowania, zmierzające do złamania kręgosłupa narodowi polskiemu spaliły na panewce. Natomiast hitlerowcom udała się, oczywiście, wbrew ich zamiarom, rzecz, na którą daremnie silili się Piłsudski i Dmowski, mianowicie — zjednoczenie narodu polskiego, który pod okupantem zrósł się, okrzepł i dziś stanowi jeden mocny stop”.

„Strażnica”, kolportowana przez urzędową agencję niemiecką „Atlas”, podawała zdjęcia „z tragicznego zakończenia rycerskiego oporu stolicy” i piętnowała dosadnie „podrywanie dobrej woli, która w społeczeństwie polskim w stosunku do prac fortyfikacyjnych niewątpliwie istnieje”.

W tym samym tonie przemawiał do ogółu polskiego subwencjonowany przez Ollenbuscha „Przełom”.

W różnych punktach Generał-Gubernatorstwa stosowano wobec młodzieży w wieku wojskowym alternatywę: albo wywiezienie do Rzeszy, albo — zaciąg ochotniczy do służby pomocniczej w niemieckich siłach zbrojnych.

Nasza młodzież wybierała trzecie wyjście: wiała do lasu.

Kuszenia nie odnosiły żadnego skutku.

... Definicja Pawła Valery, że najistotniejszą cechą poezji jest jej doskonała bezużyteczność, wydaje mi się efektownym paradoksem.

Podobną wartość przedstawia bohaterstwo dla bohaterstwa.

Tylko że wzniosłość beznadziejnego nawet porywu dla wielkich ideałów nigdy nie mija bez śladów...

Powstanie Sierpniowe było nowym wobec całego świata dowodem, do jakich poświęceń i ofiar zdolny jest naród polski, by zrzucić ciężące mu jarzmo. W dziejach ludzkości nie masz chyba przykładu równej gotowości do poświęceń i wytrzymałości w ofiarach...

Patrzyliśmy z podziwem i dumą na nieulękłe męstwo naszych synów i córek. Jednocześnie szarpał ból, że tyle bezskutecznych strat!

Nie wszystko musi być bezwzględnie i bezpośrednio *użyteczne*!

.....

... Jesienne niebo stawało się szare i mętne, coraz częściej siepał deszcz leniwy, lecz uparty. Czasem bratał się z mokrym śniegiem.

W grząskim błocie dróg wiejskich kałuże zamieniały się w bajora.

Trzeba było wyrzec się codziennych wycieczek do prymitywnej i niegościnniej kawiarenki „Pod lipami”, gdzie schodziła się garstka rozbitków warszawskich. Bywał tam Jan Skotnicki, malarz utalentowany, a człowiek wybitnej kultury umysłowej; przez dziesięć lat przewodził Departamentowi Sztuki i był niewątpliwie najświetlejszym kierownikiem, jakiego ten resort posiadał. A choć wiele istotnych zasług położył, i krzyż Pański 19 kolejnych tego resortu ministrów przetrzymał, na pożegnanie nawet Krzyża Zasługi mu poskąpiono. Przychodzili: zacny wicemarszałek Sejmu Osiecki, b. minister i wojewoda Darowski, Ferd. A. Ossendowski, krytyk i bibliofil Mieczysław Rulikowski, mój dawny kolega redakcyjny Eustachy Czechalski, wicedyrektor Wyższej Szkoły Dziennikarskiej Stanisław Jarkowski, b. redaktor „Expressu Porannego, Kazimierz Pollack, Wład. Zyglarski... Wielu innych.

Do Żółwina często przybywał z Łowicza prof. Kolankowski, autor „Polski Jagiellonów”, zawsze wrący życiem i wiarą w przyszłość, a przy tym niezrównany szachista. Poniewierał mię zawstydzającymi matami, a nie kochać go było trudno.

Dzień do dnia naogół tak bywał podobny, że, mimo katastrof, jakie wstrząsały światem, gubiliśmy często rachubę dni. Ze stratą żony nie mogłem się pogodzić. Najbardziej dojmującym było, że czułem się rozpaczliwie sam.

Uczucie samotności nie ma nic wspólnego z osamotnieniem. Często najdotkliwiej odczuwa się samotność w zgiełku obcego zbiegowiska.

Huk armat w dzień i w nocy rósł, od Północy i od Południa.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia! W Żółwinie zacni państwo Witaczkowie czynili, co mogli, by rozbitkom warszawskim dać złudzenie atmosfery rodzinnej.

Odmraca się karta dziejów...

Ossendowskiego, autora „Ludzi, zwierząt i bogów”, oraz licznych innych wspomnień i wrażeń podróżniczych, znałem oddawna, lecz powierzchownie. Zbliżyliśmy się dopiero w Żółwinie.

Ossendowski rozpoczął swą karierę pisarską, jako dziennikarz. Petrogradzkie „Birżewyja Wiedomosti” wysłały go do Mandżurii w r. 1903, na teren toczącej się tam wówczas wojny rosysko - japońskiej.

Jego twórczość literacką cechowało niezawodne wyczucie tematów i środowisk, pociągających czytelników aktualnością i egzotykiem. Porywisty talent opowiadawczy i polotna wyobraźnia sprawiały, że Ossendowski nie zawsze sam rozróżniał, co było wytworem fantazji, a co — ścisłością sprawozdawczą.

Zawsze święcie wierzył w to, co opowiadał.

Te zalety sprawiły, że Ossendowski stał się bodaj najpoczytniejszym pisarzem polskim zagranicą. Gdy przekłady utworów innych pisarzy polskich, protegowanych i subwencjonowanych przez Pen-Club, naogół stawały się „cegłą” księgarską, Ossendowski samorzutnie zdobył rynki zagraniczne i czerpał z tego źródła niemałe dochody.

Ossendowskiemu od dłuższego czasu nie dopisywało zdrowie. Mimo to na chwilę nie przestawał pracować. W Żółwinie ukończył większą powieść p. t. „Warszawa”, osnutą na wydarzeniach wrześniowych wojny niemiecko-polskiej i przeżyciach okupacyjnych. Prócz tego parę mniejszych powiastek dla młodzieży.

Był chory, leczyl się niedbale, stan jego zdrowia wciąż się pogarszał.

9 stycznia, po południu, dwie godziny spędziłem w jego pokoiku. Rozmowa zesła na przeżycia myśliwskie, Ossendowski ożywił się, opowiadał o swoich wyczynach łowieckich w Mandżurii.

— Niech pan powie, ile pan naprawdę zabił tygrysów? — pytałem.

— Cztery.

Przekomarzałem się:

— Kolego! Czy nie za dużo! Opuść pan choć jednego!

Ossendowski śmiał się, ale obstawał przy swoim. Nie chciał również nic ustąpić z 68 niedźwiedzi, które miał ustrzelić w Azji...

A tak rad był z gawędy, że gdym odchodził, gorąco za odwiedziny dziękował.

Wieczorem we dworze żółwińskim zgiełk i bieranina. Do sali jadalnej, gdzie siedzieliśmy przy stole, wpada bardzo wzruszony dr. Doński, troskliwy i kochany nas wszystkich opiekun.

— Ossendowski w niebezpieczeństwie! Krwotok wewnętrzny.

Nazajutrz wczesnym rankiem konsylium lekarzy. Zaordynowali natychmiastowe przewiezienie chorego do szpitala w Grodzisku.

Tam krwotok wnet się powtórzył. I koniec! Pochowaliśmy Ossendowskiego w Milanówku, 13-go stycznia. Tego samego dnia huk armat wzmógł się niepomniernie. W powietrzu kręciły się bezkarnie samoloty radzieckie. Zrzucały bomby, prażyły kulami z karabinów maszynowych. Przeciwobroną niemiecką była zadziwiająco słaba.

Radio moskiewskie obwieszczało, że marszałek Żukow przystąpił do rozstrzygającej ofensywy na froncie północnym.

Rozpoczęła się ta ofensywa od mocnych uderzeń na linię Wiśły spod Sandomierza i Baranowa, rozszerzyła się w atakach na Modlin, Nasielsk i Ciechanów oraz na Pilicę pod Warką.

14 i 15 stycznia kanonada trwała bez przerwy coraz bliższa i coraz potężniejsza.

We dworze żółwińskim podniecenie, gorączkowe narady. Nasz teren mógł lada chwila stać się polem walki. Wszędzie dookoła, w lasach i w polu czekały świeżo wykopane rowy strzeleckie.

We wtorek, 16 stycznia, z samego rana, pobiegłem do marsz. Osieckiego, by zasięgnąć języka.

W willi, którą zamieszkiwał, rejdach. Żołnierze rosyjscy w służbie niemieckiej, t. zw. „własowcy”, którzy kwaterowali na parterze, zgiełkliwe i pośpiesznie zbierali manatki.

Wszystkimi leśnymi drogami w kierunku Grodziska pędziły ciężarówki niemieckie, naładowane wojskiem, przemykały zamknięte limuzyny z oficerami.

Pogoda była chmurna, bez słońca. Spod rozmokłego śniegu wyzierały czarne plamy błota.

W Żółwinie sądny dzień. Do dworu wciąż wpadali oficerowie niemieccy, zdrożeni i zgłodniałi. Domagali się posiłku, — spożywali w milczeniu, co im podano, i już ich nie było. Na folwarku bezustanne, krótkie postoje liczniejszych, bezładnych gromad żołnierzy. Ci żarli jeszcze łapczywiej i co prędzej gnali dalej.

Tak przeminął dzień. Mieszkańcy dworu, „na wszelki wypadek”, pakowali swój szczupły dobytek. Tyle, ile można było unieść w plecaku. Panie były bardzo strwożone, mężczyźni posępni. W istocie rzeczy, nikt nie wiedział, co należało czynić.

Uciekać? Ale gdzie? Wszędzie groziły te same niebezpieczeństwa. W stajni pozostało zaledwie parę chabetów. Więc na piechotę, przez pola i łąki?... Ktoś radził szukać kryjówki w stertach słomy na polach.

Łatwy pożar....

Nastał wczesny zmierzch. Zajaśniały światła elektryczne. Ale cieszyliśmy się nimi niedługo. Nagle przeciągły huk! I wstrząs tak silny, że szyby w oknach gwałtownie zabrzęczały.

Wszystkie światła zgasły.

Niemcy wysadzili w powietrze elektrownię w Pruszkowie.

Zamigotały liche, wojenne świece, osadzone w butelkach, — jedna czy dwie naftowe lampki kuchenne.....

Nastrój robił się upiorny.

Za parkanem ogrodu, na trakcie, wiodącym z Nadarzyna do Grodziska, ruch i gwar niesamowity. Nieprzerwany łańcuch skrzypiących wozów i bryczek, wszystkie wypełnione bez miary wojskiem. Niekiedy liczniejsze hurmy rozgadanego, niespokojnego żołdactwa, które zapomniało o wszelkim ordynku.

Parł je paniczny strach.

Zapomnieliśmy o kolacji, nikt nie myślał o śnie. Armaty grzmiały bez przerwy, niebo było czerwone od łun.

Panie, przyodziane do drogi, siedziały w milczeniu przy swych tobołkach i zawiniątkach. Mężczyźni nie rozstawali się z plecakami. Rozmawiano mało i półgłosem.

Ja postanowiłem nie ruszać się z miejsca. Bez sensu wydawały mi się rozpaczne wysiłki celem ratowania życia. Przedstawiało tak małą wartość! Najchętniej byłbym poszedł do mej kamery spać, — zatrzymywała ciekawość, co będzie dalej.

O północy przed gankiem rumor. Do drzwi frontowych wałą kolbami żołnierze niemieccy, którym na folwarku zbrakło wolnego miejsca pod dachem. Byli niehumanie zmordowani, chcieli za wszelką cenę wytchnąć.

Dawna buta opuściła ich zupełnie. Jeden przez drugiego tłumaczył:

— *Wir sind kaput. Alles kaput!*

Zjawili się kilku oficerów, równie wyczerpanych, lecz milkliwszych. Nie chcieli jeść, pragnęli jedynie paru godzin snu. Upadali ze znużenia.

Żołnierze układli się pokotem w hall'u i w dużej jadalni na posadzce, oficerom podłożono w salonie materace i poduszki.

Odpoczynek był niedługi. O trzeciej nad ranem — jeszcze była czarna noc, — oficerowie porwali się na nogi. Bliski huk armat i warkot samolotów nie ustawał na chwilę. Żołnierze, zamroczeni snem, ociągali się ze wstawaniem. Oficerowie molestowali, lecz bez zwykłej, pruskiej ciętości. Wysyłali żołnierzy drobnymi grupami przez pola w kierunku na Grodzisk.

O piątej z rana w Żółwinie nie było jednego Niemca. Ani na folwarku, ani we dworze.

Armaty ucichły.

Zapadłem w moim pokoiku w twardy sen.

Obudził mnie ciężki za oknem łoskot i chrzęst.

Pewno niemieckie czołgi! Był biały dzień.

Wyrząłem przez okno. Poprzez bezlistne gałęzie drzew parkowych widać było potworne sylwety olbrzymich czołgów, które jeden za drugim toczyły się traktem w stronę Grodziska.

Uczucie ulgi! Niemcy cofają się w dalszym ciągu...

Wybiegłem na ganek. Skupiła się tam już większość mieszkańców dworu.

Wszyscy wpatrywali się w rozwartą bramę parku, którą mijały czołgi.

— Bolszewicy!

Nie wierzyłem oczom ani uszom. Skoczyłem do bramy.

Rzeczywiście. Bolszewicy!

Załogi czołgów składały się przeważnie z żołnierzy i oficerów o wybitnym typie mongolskim. Wszyscy byli odziani w grube, szare kożuchy, na głowach — wielkie czapy baranie. W ręku karabiny.

Przy bramie parkowej skupiła się cała służba folwarczna. Jedna z potężnych machin przystanęła, wyskoczył młody oficer.

Wołał.

— *Tomariszcz! Wy swobodny! My prognali germancem!*

Dokoła czołgów luzem krążyła piechota.

Od strony Grodziska, oddalonego od Żółwina zaledwie o 8 kilometrów, grzmiały gwałtownie armaty. W podniebiu warczały sa-

moloty radzieckie. Prażyły uciekających polami Niemców bombami i gradem kul z maszynek, — całkiem bezkarnie, bo niemieckie samoloty i niemiecka artyleria przeciwlotnicza zniknęły bez śladu.

Przez cały dzień, aż do wieczora, przez Żółwin ciągnęły oddziały radzieckie, oficerowie jawili się we dworze. Wszyscy byli zgłodniali, oczy śmiały się im do wódki. Ale jej nie nadużywali, śpieszyli dalej.

Strudzonym wojakom skromny dwór żółwiński wydawał się pałacem zaczarowanym. Obmacywali wyściełane meble i portiery, przypatrywali się z podziwem wielkiemu kredensowi w jadalni, szafom bibliotecznym w gabinecie, obrazom. Sensację budziły klatki z zielonymi papużkami, t. zw. „inséparables”. Podziwiali je prawie z rozrzewnieniem.

Przed zmierzchem przybył ze swym sztabem pułkownik, wcale jeszcze młody. Gdy się posilili, przeszli do salonu. Pułkownik dojrzał fortepian, ucieszył się. Zasiadł, jał przesuwac palcami po klawiszach.....

Dzień zamierał. W kątach salonu stłoczyły się panie.

Pułkownik uśmiechał się do nich, próbował przedawnionego już foxtrot'a. Spojrzał figlarnie na oficerów, którzy zgrupowali się przy fortepianie....

Panie były ledwie żywe. Każda nosiła w duszy żalobę, wszystkie były bezdomne, wymęczone tragicznymi przeżyciami, niepewnością o najbliższą przyszłość! Noc nieprzespana, tyle trwogi, wrażeń!.....

Młodzi oficerowie natomiast byli podnieceni zwycięstwem, parla ich ochota do wyładowania radości. Mniemali może przy tym, iż tańcem sprawią polskim damom przyjemność...

Zbliżyli się do pań.... Te wymawiały się grzecznie.... Oficerowie obstawali. Jeden przemawiał z takimi stanowczym zapałem, że oniesmielona pani bezradnie dała się pociągnąć....

Noc ogarniała salę. Pułkownik, rozochocony, wołał o światło. Przyniesiono świeczkę w butelce, postawiono na fortepianie.

Pułkownik skinął na stojącego opodal młodziutkiego adiutanta i wstał. Adiutant zajął jego miejsce na taborecie. Pułkownik podszedł dziarsko do panienki, która kryła się we framudze okna za firanką. Daremnie tłumaczyła się, że w ogóle nie tańczy....

Pięć czy sześć par kręciło się w mroku tak już gęstym, że poszczególne postacie sprawiały wrażenie cieni.

Przypominał się taniec chochołów z „Wesela”...

W księdze dziejów Narodu Polskiego odwracała się karta.

...Duszo ma, nie lękaj się, Bóg na niebie żywie!.....

Na niebie Bóg, na naszych ziemiach pradawnych — młode pokolenia polskie, które dojrzewały wśród bohaterskich walk, w piekielnych mękach turm i obozów koncentracyjnych, w czyścicu tęsknot i zgryzot emigracji.

Te młode pokolenia kształtować będą i umacniać nową, wolną Polskę, sprawiedliwą dla wszystkich i szczęśliwą.

Tak nam dopomóż Bóg!

SPIS ROZDZIAŁÓW:

ROK 1923	1
Prezydent Wojciechowski. — Marszałek Foch w Warszawie. — Witos — premierem. — Inflacja, drożyzna, paskarstwo. — Klub polityczno-społeczny. — Kariera artystki polskiej. — Miłość tragiczna. — Polowanie na Pińszczyźnie. Kamil Mackiewicz.	
ROK 1924	20
Wł. Grabski staje do walki z inflacją. — Reymont - laureatem nagrody Nobla. — Karol Szymanowski. Kompozytorowie i muzycy. — Wojciech Kossak i jego córki. — Kłopoty warszawskich teatrów miejskich. Moje sprawy teatralne. — Ślub syna. Boże Narodzenie w Zakopanem. — Głuszcze w Białowieży. Generał Bałachowicz.	
ROK 1925	36
Odbudowa. — Lato na Pomorzu. — Manewry na Wołyniu (sierpień 1925 r.). — Ekspansja zagraniczna literatury polskiej. — Wł. Grabski rezygnuje.	
ROK 1926	43
Po Grabskim Skrzyński — po Skrzyńskim Witos. — Przewrót majowy. — Nowe siły w Gabinetcie. — Twórczość dramatyczna polska na forum światowym. — Na rojstach litewskich. — Wstać, czy nie wstać? — Organizacje partyjne.	
ROK 1927	58
Groch o ścianę. — Sprawa gen. Zagórskiego. — Gen. Tadeusz Rozwadowski. — W redakcji „Świata”. — Nowe czasy — nowi ludzie. — Kongres autorów dramatycznych w Rzymie. — Polowanie dla arcyksiążąt.	
ROK 1928	75
Ku silnej władzy. — Epizod afgański. — „Walka”. — Audiencja u Prezydenta Rzeszy, Marsz. Hindenburga. — Jesienne polowania na Pomorzu: jelenie i daniela. — Polowanie prezydenckie bez Prezydenta.	

ROK 1929	84
Widnokrąg polityczny w chmurach. — P. W. K. (Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu). — Warszawa, stolica Rzeczypospolitej. — Hiszpania w przededniu rewolucji. — Tragedia rodzinna.	
ROK 1930	101
Dalszy rozwój walki marsz. Piłsudskiego z Sejmem. — Debiut płk. Sławka. — Szach królowi. — Proces brzeski. — Kwiaty i ciernie komediopisarza. — Kongres teatralny w Budapeszcie. — Rotary International.	
ROK 1931	112
Sławek — Prystor — Pieracki — Polityka wewnętrzna. — Literatura i sztuka w opałach. — Prasa w odrodzonej Polsce. Organizacje prasowe. — Szkoła dziennikarska. — Tow. „Ruch” i akcja prasowa płk. Miedzińskiego. — Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism. — Jubileusz „Świata”. — Jak objąłem Miejskie Teatry Dramatyczne. — Teatralna wojenka. — Reżyseria i reżyserowie. — Protekcja. — U Jerzego Szaniawskiego. — Tragiczny koniec Kamila Mackiewiczza. — Moje ostatnie polowanie na Kresach: Na Polesiu wołyńskim. — Na Prypeci.	
ROK 1932	145
Rządy Prystora. — W Rzeszy. — Przesilenie gospodarcze. — Mój pierwszy sezon teatralny.	
ROK 1933	152
Jędrzejewicze u władzy. — Odbudowa niemieckiej potęgi wojennej. — Akademia literatury. — Administracja teatrów miejskich. Nieoczekiwana propozycja. — Walka o lato. — Podatkowa ekspedycja karna. — Rozstanie ze „Światem”.	
ROK 1934	169
W Niemczech — Hitler wodzem. — W kraju. — Rozgrywka w teatrach miejskich. — Jak Aleksander Lednicki radził przyjaciółom i jak sam sobie poradził. — Epilog krucjaty teatralnej. — Gdy jesień życia bieli włosy...	
ROK 1935 — 1937	182
Dymisja prof. Kozłowskiego. Nowa konstytucja. — Zgon Marszałka Piłsudskiego. — Zyndram Kościalkowski na czele Rządu. — Mój nowy warsztat pracy. — Działalność Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. — Wysoki Trybunał Prasowy. — Towarzystwo Wiedzy Prasowej. — Czasopisma. — Na łanach i ugorach polskiej prasy codziennej. — Niemcy już jawnie szykują się do wojny. — A Europa? — Polska przed burzą dziejową. — Wywczasy na Śląsku Cieszyńskim.	

ROK 1938	208
Sygnały. — Finis Austriae. Czechy zagrożone. — Signum temporis. — Napięcie rośnie. — Warszawskie Muzeum Narodowe. — Już trąbka myśliwska nie zbudził... — Jesienią 1938 r. Tragedia Czechosłowacji.	
ROK 1939	216
Już w pierwszych miesiącach niepokój! — Włoski mediator w Warszawie. — Ewolucja taktyki niemieckiej w stosunku do Polski. — Bez maski. Ułtymatywna deklaracja kanclerza Hitlera w Sejmie Rzeszy. — Alea iacta est: Minister Beck na mównicy Sejmowej. — Dramat płk. Sławka. — Perypetje „Koleżanek”. — Małżonka gen. Składkowskiego. — Ostatnie dwa miesiące przed wybuchem wojny. — Wojna!... — Refleksje. — Łuska z oczu spada. — Warszawa zagrożona. — Losy Warszawy rozstrzygają się nad Bzurą. — Prezydent Mościcki w drodze do Rumunii. — Warszawa w ogniu.	
OKUPACJA NIEMIECKA I POWSTANIE WARSZAWSKIE	280
ROK 1941	294
Walka podziemna.	
ROK 1942	299
Karta Atlantycka. — Gehenna Żydów.	
ROK 1943	304
Polska walcząca. — Ostateczna likwidacja Ghetta. — Wieś pod terrorem. — Zbieg z Treblinki. — Krwawa jesień.	
ROK 1944	323
Warszawa w transach. — Powstanie sierpniowe. Zwodna swobody jutrzeńska... — W Podkowie Leśnej — pod cudzym dachem.	
ROK 1945	365
Odwraca się karta dziejów.	

5/1 1490
Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317063/II



000-326718-00-0